

**MAREK HARNY**

**„LEKCJA MIŁOŚCI”**

**2003**

*Wszystkie Boże dzieci kochać kogoś muszą,*

*A ja kogoś takiego już mam.*

*Czekałem długo,*

*Odejść mogę już,*

*Bo odpowiedź znam:*

*Była moją lekcją miłości,*

*Była moją lekcją miłości.*

Bee Gees: „Lesson In Love” (przekład: Arkadiusz Nakoniecznik)

## ***Podziękowania***

O spisaniu tej opowieści myślałem od dawna, ale kończyć mi ją przyszło w tempie doprawdy szaleńczym, co nie mogłoby się udać, gdyby nie pomoc i życzliwość wielu osób.

Młodszy inspektor Andrzej Kapko, były szef wydziału antynarkotykowego w krakowskiej policji, odsłonił przede mną wiele kryminalnych tajemnic.

Moją wiedzę na temat dzisiejszej narkomanii najbardziej rozszerzyli Marek Zygadło, kierujący krakowskim Monarem, oraz wolontariusz Robert Marciniak, a także Kosma Adamska i Adam Rynkiewicz, twórcy Teatru Profilaktycznego (który jest zupełnie inny niż powieściowy Teatr Nieobojętny).

Wiele dała mi także lektura kwartalnika „Monar Na Bajzlu”, redagowanego przez Grzegorza Wodowskiego i Jacka Charmasta, zwłaszcza publikacje takich autorów, jak Jowita Fraś czy Tarzan Michalewski.

Marta Borek, moja młoda koleżanka z „Gazety Krakowskiej”, zadała sobie trud spojrzenia na tekst oczami przedstawicielki swego po kolenia, ratując mnie przed niejedną wpadką.

Joelle Martin i Roger Taillade, przyjaciele z Prowansji, udostępnili swój gościnny dom w Martigues, gdzie w lipcu tego roku powstało prawie dwieście ostatnich stron powieści.

Co nie byłoby możliwe, gdyby Ewa Tyralik-Kulpa i Krzysztof Kulpa, przyjaciele z Warszawy, nie udostępnili mi niezbędnego sprzętu.

Jan Koźbiel, redaktor powieści, jest jedną z wielu życzliwych jej osób w wydawnictwie Prószyński i S-ka.

Za Jego pośrednictwem dziękuję Im wszystkim.

I wreszcie osoba najważniejsza, czyli Wanda, bez której wszechstronnego i niezłomnego wsparcia w ogóle nie byłoby o czym gadać.

Po prostu nie otworzyła kupionej specjalnie na tę okazję butelki Dom Perignon, dopóki nie skończyłem.

## ***PROLOG***

### ***Piękni siedemnastoletni***

Nawet po latach, kiedy wspomnienie Nataszy coraz bardziej zacierało się w pamięci, ta jedna scena wciąż wracała, pojawiając się przed oczami w najmniej spodziewanych momentach.

Jacek Ładny widział wtedy bardzo wyraźnie, jak Natasza zeskakuje nago z tapczanu i biegnie na balkon, zasłaniając sobie rękami piersi i łono, choć on patrzył na nią z tyłu. Robiła tak za każdym razem, kiedy na dole zatrzymywał się samochód. Bała się, że to może wracać jej mąż.

Jacek Ładny miał wtedy niecałe siedemnaście lat i jej strach śmieszył go. Ale miał też swoją dobrą stronę. Natasza bowiem okazała się wstydliva i tylko w takich chwilach pozwalała mu się cała oglądać. Kiedy poprzedniego wieczoru zdecydowała się wreszcie przy nim rozebrać, zrobiła to pod kołdrą, a i potem zakrywała się choćby prześcieradłem. Jedynie w przerażeniu zapominała o wstydzie. A kiedy mijało, bo to znów nie był mąż, z westchnieniem ulgi opuszczała bezsilnie ramiona. I przez tych kilka chwil, zanim wróciła pod kołdrę, mógł widzieć jej nieosłonięte niczym ciało także z przodu.

Natasza była skromną, nieśmiałą trzydziestolatką, jakby przekonaną o tym, że zostając nauczycielką rosyjskiego w zawodówce, osiągnęła szczyt swoich możliwości. Takie przynajmniej sprawiała wrażenie, z rezygnacją przyjmując do wiadomości, że przyszli tokarze i mechanicy samochodowi nigdy nie opanują na wet obowiązkowego wiersza „Prazdnik maja”, więc jej naprawdę rozległa znajomość literatury rosyjskiej pozostanie na zawsze bezużyteczna, a miłość do wierszy Achmatowej i Błoka będzie się wydawać jedynie śmiesznym dziwactwem.

Toteż kiedy w jej klasie pojawił się wyrzucony z technikum za alkoholowe wybryki Jacek Ładny, przeżyła jedno z najprzyjemniejszych zaskoczeń swego życia.

Choć w pierwszej chwili po czuła do chłopaka zdecydowaną niechęć.

Nosił długie włosy, stylizując się na hipisa, co jeszcze mogłoby ująć, bo wyglądał w nich całkiem przystojnie, ale równocześnie zdawał sobie najwyraźniej sprawę ze swojej urody i w jego odętych, przez cały czas jak by skrzywionych wargach czaiło się takie poczucie wyższości, takie lekceważenie całego świata, że nawet przy klasie nie po trafiła powstrzymać się od okazania mu antypatii.

Poczuła chęć, by go poniżyć.

Z chłopakami z zawodówki udawało się to bez trudu. Znajomość rosyjskiego wśród nich była żenująca, kompromitowali się sami, żałośnie dukając najprostsze teksty, co wywoływało niesłychaną wesołość wśród innych, takich samych nieuków.

- To może nasz niedoszły technik powie nam coś po rosyjsku? Cokolwiek. Wiem, że to niełatwe. Ale my tu jesteśmy wyrozumiali.

Nowy wstał i z głupią miną rozglądał się po suficie.

- Śmiało - zachęciła go z obłudną słodyczą. - Pomożemy.

Zawodówka tradycyjnie była wrogo nastawiona do uczniów z technikum, więc śmiechy zaczęły się natychmiast. Jednak umilkły, kiedy Ładny zaczął z bezbłędnym akcentem skandować rwane frazy Majakowskiego: U mienia w dusze ni odnogo siedogo wotosa, i stariczeskoj nieznosti met w niej! Mir ogromiw moszaju gofosa, idu - krasiwyj siemnadcatilietnij... [Jacek oczywiście zmienił dla swych potrzeb wiek pięknego dwudziestodwuletniego z „Obłoku w spodniach”; podobnie zresztą jak Julian Tuwim w swoim przekładzie: „W duszy mej nie ma / ani jednego siwego włosa, / ani krzty starczej czułości miękkiej. / Opioruniwszy świat potęgą głosu, / idę - dwudziesto letni, / piękny!” (Wydawnictwo phiLobiblon, Warszawa).

W miarę jak mówił, w oczach Nataszy rósł zachwyt, jakby całe jej dotychczasowe szare życie nagle zyskało sens.

Jeszcze tego samego dnia po lekcjach pozwoliła Jackowi Ładnemu odprowadzić się do domu. Spytał, czy może ponieść jej teczkę. Musiała docenić to poświęcenie. Nie było tajemnicą, że wszyscy uczniowie naśmiewają się z jej teczki. Godziła się na to z rezygnacją, ale także z pogardą dla okrucieństwa szczeniaków. Nie zamieniła by jej na damską torbę.

Przezwiśka „Ruska” i „Sowietskaja Żenszczina” musiały ją boleć jeszcze bardziej. Mimo to nie reagowała na nie gniewem. Jakby rozumiała, że choćby nie wiadomo jak się starała, zawsze będzie dla nich wrogiem. Szkolnym okupantem. Nie tylko uczyła znienawidzonego języka, ale w do datku wyszła za partyjnego karierowicza, który właśnie niedawno został sekretarzem w Komitecie.

Nowy uczeń jakby zupełnie tym się nie przejmował. Niósł jej wyśmiewaną teczkę na ramieniu, z nonszalancją chuligana, nie zwracając uwagi na szydercze spojrzenia kolegów.

- Nie boisz się, że nazwą cię lizusem? - spytała zdziwiona.

- Mogą mi... - powstrzymał się. - Przepraszam, pani profesor.

Zaśmiała się.

- Nie przepraszaj. Też chciałabym tak umieć.

- Co w tym trudnego?

- Może dla Ciebie nic. Dla mnie to bardzo trudne.

Teraz wyraźnie intrygował ją ten chłopak, obnoszący tanią imitację dzinsów niby prawdziwe wranglery i co chwila odgarniający wolną ręką opadające na oczy włosy. Musiało tak być, skoro w parku zaproponowała, żeby usiedli na chwilę na ławce.

Chwila przedłużyła się do ponad dwóch godzin.

- Pani nie jest Rosjanką, prawda? - zaczął od zasadniczej sprawy.

- Skąd wiesz?

- Chyba pani nie sądzi, że jestem jak te wszystkie ćwoki? Domyślam się, co pani robiła w Rosji.

Coś się w niej otworzyło.

Nigdy wcześniej nikomu nie opowiadała o sobie tak otwarcie. Milczenie wpoił jej ojciec, przedwojenny nauczyciel, którego ominął Katyń, ale nie zesłanie. Kiedy wrócili do Polski, długo po wojnie, miała dziesięć lat. Jedno z najważniejszych przykazań brzmiało: O Syberii nie rozmawiamy z nikim. Dla własnego bezpieczeństwa. I dla uspokojenia dusz. Nawet w domu rodzice unikali przy niej tego tematu.

Z czasem obrazy tajgi, zamarznętej rzeki, drzew pękających od mrozu, wspomnienie komarów, tnących niemiłosiernie przez całe krótkie lato, zaczęły blednąć w pamięci dziecka. I pogardliwe krzyki miejscowych rówieśników, kiedy ojciec i podobni mu łachmaniarze wracali z pracy: Smotritie! Idut polskije pany. Wyparły je pierwsze wrażenia z Polski i poczucie dławiącej niesprawiedliwości. Przez całą długą drogę rodzice opowiadali tylko o tej Polsce, aż zaczęła ją sobie wyobrażać jako raj. Wreszcie nikt nie będzie traktował jej z pogardą tylko dlatego, że jest Polką.

Na brudnym, zadymionym dworcu w Tarnowie, gdzie zostali skierowani, nastąpiło przykre przebudzenie. Ledwo wysiedli z wagonu, obcy tu i zagubieni, przywitał ją wrzask jakiegoś niedorostka: „Ruskie przyjechały!” Te słowa dźwięczały jej w uszach przez lata. Nie mogła się od nich uwolnić. Ale nigdy nikomu się do tego nie przyznała. Dopiero teraz, Jackowi Ładnemu, na ławce w parku. Swemu nowemu uczniowi, który jeszcze kilka godzin wcześniej tak bardzo ją złościł. A kiedy już powiedziała o tym, nie mogła przestać.

Wylewała z siebie żale, nagromadzone przez całe życie.

Mówiła o tym, jak nienawidziła swego pochodzenia. Jak było jej wstyd za ojca, który po przyjeździe do Polski nadal chodził w ruskiej czapce. Kiedy wrócili, była mroźna zima, a ojciec przywiózł sobie karakułową uszanke, która gdzieś tam, w dalekiej teraz Rosji, musiała być szczytem elegancji. W Tarnowie łobuzy biegały za nim, wołając: „Ty, Ruski, daj

kopiejku!”

Jeszcze teraz czerwieniła się, opowiadając o tym Ładnemu.

- No i widzisz, nigdy nie pozbyłam się piętna Ruskiej. Taki już mój los.

Na filologię rosyjską poszła jakby trochę z przekory, ale tak że dlatego, że naprawdę kochała rosyjską literaturę. W odróżnieniu od męża, którego nie kochała nigdy. Tak przynajmniej twierdziła. Łączyła ich tylko wspólnota losów. Oboje nosili kostiumy, których w głębi dusz nienawidzili. Co prawda ona robiła to wbrew woli, a on drogę partyjnej kariery wybrał sam. Jednak w pewnym okresie życia bardzo jej odpowiadał jego cynizm, kiedy na obozach dla młodych komunistów wyśpiewywał:

Gdy ci się rano nie chce podnieść dupska,

Pomyśl, jak walczyła Nadia Krupska.

A gdy pod kołdrą trzepiesz kapucyna,

przypomnij sobie idee Lenina.

Jakby dawał do zrozumienia, że ich życie jest tylko teatrem, w którym grają za pieniądze, a naprawdę są inni, lepsi. Dopiero po ślubie odkryła, że popełniła błąd. Mąż nie był lepszy. Okazał się kłamcą nie tylko w dziedzinie ideologii. Na szczęście coraz mniej bywał w domu. Robił w partii karierę, co po legało głównie na nieustannych posiedzeniach, kursokonferencjach i wyjazdach w teren, do zakładów pracy i na wieś. Kończyły się one niezmiennie ostrymi pijatykami. Mąż pogrążał się w alkoholizmie, od czasu do czasu zaliczając przypadkowe kontakty z przypadkowymi towarzyszkami z socjalistycznych związków młodzieży. Do domu przywozili go w nocy kierowcy z komitetu. Albo w ogóle nie wracał.

Nie skarżyła się na swój los. Mogła do późna czytać książki i słuchać ulubionej muzyki. Przynajmniej nigdy jej nie bił. Najwyżej bełkotał, za nim zapadł w nieświadomość: „Polityczna robota wymaga poświęceń, co ty myślisz!”

Natasza opamiętała się dopiero wówczas, gdy nadszedł wczesny październikowy zmierzch i w parku zapaliły się latarnie.

- Boże, ale się zasiedzieliśmy. I po co ja ci to wszystko opowiadam? Tylko cię zanudzam.

Ręka Ładnego podpełzła po oparciu ławki, choć jeszcze nie dotknęła pleców nauczycielki.

- Wcale mnie pani nie zanudza - powiedział. - Lubię słuchać. Bardziej niż gadać.

- Ale w ten sposób ty wiesz już o mnie prawie wszystko, a ja o tobie nic. Nie bawię się tak - udawała nadąsaną dziewczynkę.

- Nie wie pani, że jestem nieukiem i chuliganem?
- Robisz wszystko, żeby cię za takiego uważali. Dlaczego?
- A ja wiem? Może się maskuję, tak jak pani.

W tym momencie jego ręka lekko, jakby przypadkiem, oparła się na jej ramieniu. Na chwilę oboje znieruchomieli, a potem rusycystka przysunęła się do swego ucznia.

- Jakos chłodno się zrobiło, nie uważasz? - spytała, jakby chciała usprawiedliwić swój ruch.

Ładny przycisnął ją śmieiej, a kiedy nie poczuł oporu, pochylił się nad jej twarzą. Głowa nauczycielki opadła do tyłu, opierając się na jego ramieniu. Z początku całowała się nieśmiało, jak by trochę nieporadnie. Potem objęła go za szyję i zaczęła robić to mocniej. Choć piętnaście lat przed upadkiem komunizmu publiczne pieszczoty nie były jeszcze czymś powszechnym, nie zwracali uwagi na przechodniów. Nauczycielka opamiętała się dopiero w chwili, kiedy wolna ręka Ładnego znalazła się pod jej płaszczem i zaczęła wpełzać pod sweter. Wtedy nagle wyzwoliła się z jego objęć, przesunęła dłońmi po twarzy, jakby chciała coś z niej zetrzeć.

- Boże, co ja robię - powiedziała półgłosem. Poderwała się z ławki, chwyciła swoją teczkę. - Było bardzo miło, naprawdę. Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz siedziałam z kimś w parku. - Pochyliła się i pocałowała go szybko w policzek. - Ale nie odprowadzaj mnie już dalej. Proszę.

Patrzył więc za nią, jak odchodziła, niewysoka, czarnowłosa, w krótkim płaszczyku, ze swoją śmieszną teczką. Gdyby nie bał się wygłupić, pobiegłby za nią. Poza tym pomyślał, że jeśli tego nie zrobi, ona szybciej zmięknie, następnym razem będzie mógł posunąć się dalej.

I tak się stało.

Nazajutrz na lekcji co prawda unikała jego wzroku, ale trzy dni później znów pozwoliła mu się odprowadzić. Tym razem pod samą bramę. Sama wciągnęła go za załom muru. Pocałowała krótko i mocno, a potem uciekła. Stukot jej obcasów już dawno ucichł w ciemnym pasażu, a on wciąż stał na chodniku i nie mógł się na nic zdecydować. Wreszcie ruszył za nią, ale kiedy na liście lokatorów przeczytał nazwisko jej męża, zrezygnował.

Po tygodniu zaprosiła go sama. Mąż wyjechał na szkolenie w Komitecie Centralnym. Ładny spodziewał się po tej wizycie bardzo wiele, ale się zawiódł. We własnym mieszkaniu Natasza była spięta, czujna i nie pozwoliła mu nawet na tyle, co na ławce w parku. Nie wiedział, jak przełamać jej opór. Podejmował kolejne próby, a ona pozostawała niewzruszona. Chciała tylko rozmawiać i słuchać muzyki. Wreszcie spróbował znów



przemówić do niej słowami Majakowskiego, co tak obiecująco zakończyło się za pierwszym razem.

Marija!

Poet soniety pojet Tianie, a ja -

wieś' iż miasa, cziełowiek wieś' -

tieto twoje prosto prostu, kok prosiąt christijanie -

„chlieb nasz nasnszcznyj dažd' nam dnies'.

Marija - daj!...

Marija - nie chcesz?

Nie chcesz! [„Marjo!

/ Poeta pieje sonety Tjanie, / lecz ja / jestem z mięsa cały, / człowiek cały, /  
zwyczajnie proszę o twoje ciało, / jak proszą chrześcijanie: / chleba naszego powszedniego /  
daj nam. Panie! / Daj Marjo! /... / nie chcesz, Marjo? / Nie chcesz!” (W. Majakowski, „Obłok  
w spodniach”, tłum. Julian Tuwim).]

Ale i to nie poskutkowało.

Natasza pogłaskała go delikatnie po rękę i powiedziała:

- Jacek, to nieważne, czy ja chcę, czy nie chcę. Nie możemy.

- Dlaczego? Bo jestem gówniarzem?

- Mam męża.

- Twój mąż woli partię. I wódkę.

Milczała.

Znów przysunął się do niej bliżej na kanapie, a ona i tym razem pilnowała, żeby nie pozwolił sobie na zbyt wiele.

- Widzisz? Mam rację - powiedział.

- To nie takie proste. Jakoś to życie sobie ułożyłam. Nie mam siły wszystkiego rozwalać.

- Żal ci tego mieszkanka, na które on ma przydział? Tego fiata, na który dostał talon z komitetu? To ci wystarcza?

- To nie jest do pogardzenia, Jacek. Wielu ludzi w Polsce tego nie ma.

- Obojętne, z kim?

- Nie jest najgorszy. Nie bije mnie. Na dom daje. Jeździmy na wczasy do Bułgarii.

Czego mogę chcieć więcej?

- Kpisz sobie ze mnie?

- Nie. Takie jest życie. Kiedyś sam się przekonasz.

Obraził się.

- Nie traktuj mnie jak gówniarza!

Mimo wszystko zaprosiła go ponownie. Tym razem na spotkanie przyszedł z prezentem. Kupił jej płytę Wysockiego, którego uwielbiała. Z trudem maskowała wzruszenie i zmieszanie.

- Co ty wyprawiasz? Stać cię na to? - Nie martw się. Nikogo nie okradłem. Zaoszczędziłem na obiadach.

- Zwariowałaś. Nie mogę tego przyjąć.

- Nie? W takim razie...

Chwycił płytę w obie dłonie i zrobił ruch, jakby chciał przełamać ją na pół. Rzuciła się ku niemu z przerażeniem w oczach.

- Nie, nie!

- Więc bierzesz?

- Biorę, biorę.

Sam położył płytę na talerzu adapteru i nastawił tę piosenkę, która była właściwym prezentem. Albo raczej sygnałem.

Zdies' łapy u jelier drozat na wiesu,

Zdies' pticy szczebiecziut triewożno.

Żiwiosz w zakołodowanom dikom liesu,

Otkuda ujti niewozmożno... [„Tu lipy nad jodłą się chylą i drżą /1 ptaki ćwierkają pieśń trwożną./ Tu za czarowany i dziki las w krąg, / z którego wyjść nigdy nie można”. (Włodzimierz Wysocki, „Człowiek za burtą. Wiersze-pieśni”. Przekład: Aleksander Śniezko, Oficyna Literatów i Dziennikarzy „Pod Wiatr”, Warszawa 1996)]

Potem długo przekonywał ją, że powinna z tego zaklętego lasu uciec właśnie z nim. I stał się cud. Co nie udało się Majakowskiemu, tego dokonał Wysocki. Wprawdzie tego wieczoru pieścili się jeszcze w ubraniach, ale następnego dnia wreszcie się zdecydowała. Wypiła pół butelki wina na odwagę, pościeliła tapczan, zgasiła górne światło, puściła płytę i pozwoliła, że by przy nocnej lampce rozebrał ją do majtek i biustonosza. Potem wskoczyła pod kołdrę i tam szybko zrzuciła resztę. On rozebrał się na jej oczach.

Czerwieniła się, ale patrzyła na niego łapczywie.

- Zachowujesz się, jakby to był twój pierwszy raz - powiedział, żeby ukryć własne zdenerwowanie.

- Bo jest. Pierwszy raz zdradzam męża. A ty? Miałaś już kobietę?

Miał wcześniej tylko jedną, a teraz za mało pewności, że dobrze mu pójdzie.

Poruszył więc lekceważąco ramionami.

- A czy to ważne?

- Nie. Nieważne - szepnęła i przywarła do niego całym ciałem. Potem poprosiła: - Pomału. Nie śpiesz się.

Starał się. Była spięta i skrepowana. Kiedy próbował zrzucić kołdrę, z uporem naciągała ją z powrotem na ich ciała. Powoli jednak otwierała się, zaczynała reagować na jego dość proste pieszczoty i odpowiadać mu tym samym. I zapewne jeszcze przed północą dotarliby do mety, gdyby nie samochody. Rzadko przejeżdżały pod oknem, ale każdy z nich powodował, że Natasza sztywniała i zamierała w oczekiwaniu. A kiedy któryś z nich hamował, nie umiała powstrzymać się przed panicznym biegiem na balkon. I potem wszystko trzeba było zaczynać od nowa. Wreszcie, już niemal nad ranem, przerwa między kolejnymi samochodami była na tyle długa, że ich ciała w końcu się połączyły.

Coraz trudniej było mu się powstrzymywać, ale ona znów szeptała:

- Pomału, proszę. I trwało jeszcze długo, zanim zaczęła szybciej oddychać i powtarzać: - O mój mały. Kochany.

I wtedy usłyszeli ten ostatni samochód. Głośniejszy niż poprzednie. Zatrzymujący się pod samym oknem. Próbował powstrzymać ją i dokończyć, ale nie dał rady. Wyrwała się spod niego i jeszcze raz pobiegła na balkon. Tym razem, kiedy się odwróciła, nie zobaczył na jej twarzy ulgi, tylko jeszcze większą panikę.

- To on! - zawołała szeptem. - Uciekaj.

Było to zbyt nieprawdopodobne, żeby uwierzył. Pomyślał, że skorzystała z okazji, żeby się go pozbyć. Akurat w takiej chwili.

- Nie wygłupiaj się - powiedział ze złością.

Chwyliła go za rękę, siłą wyciągnęła z pościeli i nagiego wypchnęła na schody, w ostatnim momencie wciskając ubranie i buty.

- Na górę - szepnęła jeszcze.

Został sam w ciemności, oszołomiony i wściekły. W tej samej chwili na dole otworzyły się drzwi wejściowe i na klatce schodowej zapaliło się światło. Nie czekał dłużej. Wbiegł na palcach na ostatnie piętro. Było mu zimno. Zaczął dygotać, wychylając się ostrożnie przez poręcz. W dole zobaczył wchodzącego po schodach mężczyznę w długim prochowcu i kapeluszu. Rzeczywiście wszedł do mieszkania Nataszy, otworzywszy drzwi kluczem. Światło zgasło.

Jacek Ładny czuł się jak obity. Ubrał się w ciemności i zszedł ostrożnie na parter, trzymając się poręczy. Ranek był bardzo chłodny. Na stację miał kilka kilometrów, ale

nawet długi marsz go nie rozgrzał.

Jeszcze tego samego dnia upił się po raz kolejny i zrobił awanturę w szkole. Tym razem wyrzucili go nieodwołalnie.

Nigdy więcej nie zobaczył Nataszy.

Im był starszy, tym częściej przyłapywał się, że w kilkunastoletnich długowłosych chłopcach zaczyna widzieć siebie sprzed lat. Nieodmiennie przypominała mu się wtedy ta ostatnia noc z Nataszą i myślał z żalem, że nawet się z nią nie pożegnał. Często szedł za takimi chłopakami, niemal śledził ich, starając się odgadnąć, kim są, co robią, z kim się spotykają, czy mieli już kobietę i w jakich okolicznościach to się stało. Kilka razy zdarzyło się, że został zauważony i wtedy robiło się nieprzyjemnie. Mimo to było mu trudno się powstrzymać i za jakiś czas sytuacja się powtarzała.

Kiedy z dużym opóźnieniem ukończył studia, osiadł w Krakowie i zaczął pracować w „Gazecie Krakowskiej”, stał się zawodowym tropicielem cudzych losów. Jednak dla niego nigdy nie był to tylko sposób zarabiania na chleb. Wiele razy robił to bezinteresownie, z dziwnej potrzeby, której nie umiałby dokładnie nazwać.

Kubę Mazurka poznał już w innej epoce.

Od przygody z Nataszą minęło ponad dwadzieścia lat.

Dobiegał końca wiek XX i całe tysiąclecie. Świat dookoła zmienił się nie do poznania. Czasami zdawało się Ładnemu, że Kuba w wieku siedemnastu lat jest zupełnie inny niż on kiedyś, że inaczej myśli, odmienne ma problemy i radości, o co innego chodzi mu w życiu.

A czasami, że nie różnią się niczym.

Ze starymi ma się przerażane (pisze Kuba Mazurek)

Z moimi starymi było tak, że jak tylko ojciec pojechał na zarobek do Rajchu, matka od razu znalazła sobie nowego frajera. Co się dziwić, miała wprawę. Aż mnie to zaczynało nudzić. Nowy był dokładnie w takim samym stylu, jak jego poprzednicy. Jeszcze jeden niewydarzony artysta. Paradował w skórzanej kurtce i czarnym podkoszulku, a siwe włosy z boków czaszki, bo na środku już ich prawie nie miał, wiązał w kucyk. Wyglądał jak stary debil. Nie wiem, jak matka mogła tego nie widzieć. Uważał się za reżysera i to rozumiem, bo jakie miał wyjście. Ale moja matka też uważała go za reżysera i to mi się już nie mieści w głowie.

To, co pan Dulemba nazywał Teatrem Nieobojętnym, było żalosną objazdową trupą, odgrywającą szmirowate spektakle o narkomanach. Niby działali przy Krakowskim Pałacu

Młodzieży, ale te swoje przedstawienia dawali głównie w szkołach i ośrodkach kultury za pieniądze rządu i jakichś antynarkomańskich fundacji. Jasne, że nikt nie zapłaciłby pięciu złotych z własnej kieszeni, żeby obejrzeć coś podobnego. Ale na te ściemy pędzono przeważnie całe klasy w ramach zajęć wychowawczych, więc ludzie woleli to niż chemię. Albo katechezę. I potem przedłużali w nieskończoność tak zwaną dyskusję, żeby zarwać kolejną lekcję. Wiem, bo sam przez to przeszedłem.

Żelazna Dziewica, nasza wychowawczyni, też zaprowadziła nas kiedyś do Teatru Nieobojętnego na ten rekord świata kiczu pod tytułem „Złoty strzał”. Autorstwa i w reżyserii pana Dulemby, frajera mojej starszej. Było to naprawdę ciężkie doświadczenie. Zmusiłem się, bo nie chciałem przyznać sam przed sobą, że wymiękam.

Przedstawienie mówiło, jak panienka zakochuje się w ćpunie i postanawia wyciągnąć go z nałogu. Oczywiście nie wyciąga go, za to wciąga się sama. Potem on zakochuje się w innej lalce, która go totalnie olewa, i idzie na leczenie, żeby sobie u niej zasłużyć. Ale ta druga olewa go nadal, więc on zaczyna szukać tej pierwszej, która tymczasem stoczyła się na samo dno i dogorywa w jakiejś melinie. On szuka i szuka, co służy do pokazania serii obrazków ze straszego życia ćpunów. Kiedy ją w końcu znajduje, ona właśnie dała sobie złoty strzał. Poznaje go w ostatnim błysku świadomości i wyznaje, że nigdy nie przestała go kochać. On leci na pogotowie, bo w melinie nie ma telefonu. Kiedy wraca, ona jest już sztywna. On tuli trupa w ramionach, płacze i postanawia studiować resocjalizację, żeby resztę życia poświęcić wyciąganiu ćpunów z nałogu. Koniec.

I co miałem powiedzieć, kiedy matka spytała mnie wieczorem, jak podobało mi się przedstawienie? Pewnie, że mogłem ją zbyć jakimś bzdetem. Jak ją znam, to by ją zadowoliło. Taką politykę prorodzinną uprawiałem zazwyczaj. Tylko że nagle przestało mi się chcieć.

- Przecież sama wiesz. - Zmusiłem się, żeby patrzeć jej prosto w oczy. - Żenada.

Byłem nieludzki? Fakt, wiedziałem, że robię jej przykrość. A ona mi nie robiła tym Dulebą?

- Ostatnio ciągle wszystko i wszystkich krytykujesz - powiedziała z wyrzutem.

- Nie wszystko, tylko pana Dulembę i jego koszmarnie sztuczdyło.

- Od kiedy to jesteś takim znawcą teatru? Marian Dulemba to bardzo zdolny reżyser.

- Zdolnym to można być, jak się ma dwadzieścia lat.

- Nie przebił się, bo nigdy nie był w układach. Ani za komuny, ani teraz.

Próbowała mnie zmiękczyć. Chciała, żebym powoli, powoli przyzwyczyił się do obecności pana Dulemby w jej życiu. Takie rzeczy trzeba przecinać.

- Może nie wiem, jakim jest reżyserem, ale na pewno jest grafomanem. Mógłby sobie przynajmniej sam nie pisać scenariuszy.

- Znalazł się krytyk - powiedziała matka i na tym skończyła się nasza rodzinna rozmowa przy kolacji.

Nie wiem, dlaczego Dulemba nie wziął jakiegoś porządnego cudzego tekstu, tylko uparł się przy własnoręcznym pisaniu. Zdaje mi się, że nie tylko dla pieniędzy, choć to też musiało mieć znaczenie. Jednak przede wszystkim chyba wyobrażał sobie, że ma do powiedzenia bardzo dużo rzeczy szalenie ważnych dla świata.

Kiedy skończyło się przedstawienie, wyszedł na scenę, żeby po prowadzić dyskusję. Zamiast stanąć jak człowiek, usiadł na proscenium, jakby chciał nam pokazać, jakim jest luzakiem. I zaczął ściemniać, że normalnie opad szczeny:

- Nie będę pytał, czy się wam podobało. Bo tu nie o to chodzi. Ale jeśli po tym, co dziś zobaczyliście, choć jedna osoba spośród was powstrzyma się w krytycznej chwili i nie sięgnie po narkotyki, to nasza praca ma sens.

Taki szit mógłby wciskać smarkom z podstawówki. Może nie które by się przejęły. Bo na pewno nie wszystkie. Tylko że to był spektakl dla liceów. Obok mnie siedział Robert Kajzer i widziałem, jak uśmiecha się szyderczo i kiwa z politowaniem głową. Wiedziałem, że gdyby mu się chciało odezwać, zrobiłby z Dulembi umysłową miazgę, ale mu nie zależało.

Od razu wyrwało się paru cwaniaczków z głupimi pytaniami, których celem było tylko opóźnienie powrotu do szkoły.

I facet sam zaczął się kompromitować. Traktował swoją rolę bardzo poważnie i nie umiał po hamować gniewu, kiedy się zorientował, że robią sobie z niego Jaja.

- Wydaje wam się, że to żarty? Zapamiętajcie, że każdy, kto podsunie drugiemu narkotyki, choćby skręta czy tabletkę ekstazy, jest zbrodniarzem.

To już wywołało jawny śmiech, bo na sali było ze trzydziestu takich zbrodniarzy. Ten Dulemba był naprawdę beznadziejny. I właśnie kogoś takiego musiała sobie upatrzeć moja matka.

- Zrozumiał to bohater naszego spektaklu. A wy? Spójrzcie na siebie. Może jeszcze czas się cofnąć, zanim przyczynicie się do czyjegoś nieszczęścia.

Gdyby pan Dulemba wiedział, co o nim wtedy myślałem, dopiero by się zdziwił. Bo gdybym ja miał zaćpać, to wyłącznie z jego powodu. A dokładnie dlatego, że moja starsza dawała się posuwać takiemu kretynowi. Może bym i zaćpał, gdyby nie to, że po prostu miałem totalną blokadę. Wszystko, na co umiałem się zdobyć, to parę razy pociągnąć skręta. I szlaban. Czy ktoś by uwierzył, że nawet nigdy w życiu nie połknąłem tabletki? Co tu gadać,

pękałem. Było mi nawet wstyd przed koleśkami, ale nic nie mogłem poradzić. Gdybym kiedykolwiek dał sobie w żyłę, przyczynić się do tego mógłby tylko pan Dulemba.

On jeden na całym świecie wystarczająco mnie wkurzał. Jasne, to tylko takie gadanie. Musiałbym być skończonym dupkiem, żeby z powodu kogoś takiego spać sobie młode życie. To nie było żadne rozwiązanie. Przynajmniej dla mnie.

Znalazłem lepsze.

Julka Dulemba była fajnym dzieciakiem i naprawdę nie zasłużyła sobie na takiego ojca. Ale cóż, takie jest życie. Co winna jest mała żabka, rozjechana na szosie przez tira? Nic, prawda? Julka chodziła jeszcze do podstawówki i ledwo co zaczęła rozglądać się po świecie. Jeszcze prawie nic nie kumała. Trochę było mi jej żal, ale nie miałem wyjścia. Żabek na szosie też było mi szkoda. I co z tego?

Wiedziałem, że matka najczęściej umawia się z Dulębą na pieprzonko z rana, jeszcze przed otwarciem Pałacu Młodzieży. Coraz częściej musiała wcześniej wyjść, żeby wszystko przygotować przed zajęciami. Naprawdę myślała, że w to wierzę? Nigdy nie zdradziłem się przed nią, że wiem, więc może zdawało jej się, że jestem taki naiwny. A ja wiedziałem wszystko. Gdybym chciał, mógłbym zacząć się w rekwizytorni i nakryć pana Dulembę na mojej matce.

Tylko co potem? Zabić go? A bawić się w podglądacza nie miałem najmniejszej ochoty. Wystarczyło mi, że doskonale potrafiłem wyobrazić ich sobie na tej wąskiej, zakurzonej kanapce, na której konała nieszczęsna ćpunka w „Złotym strzale”.

Julka chodziła do prywatnej szkoły obok Plant. Była to buda, gdzie nauczano po francusku, w języku bohemy, a ona przecież urodziła się w rodzinie artystów, to gdzie miała chodzić, biedaczka. Czekałem na ławce za krzakiem, aż wyjdzie po lekcjach. Koniec października przyniósł piękną pogodę, prawdziwe babie lato. W taki dzień wszyscy powinni się kochać i robić sobie dobrze. Niestety, życie nie jest ideałem. Zobaczyłem ją, a ona mnie nie.

Złapałem jakiegoś dzieciaka, który też przed chwilą wybiegł z budynku.

- Ty, koleś, masz tu piątkę i oddaj ten list tej panience z długimi włosami, no, tej jasnej. Jak zapyta, to powiedz, że ci dała jakaś kobieta. Tylko nie nawal, bo cię znajdę i wydrę ci tę kasę z gardła.

- Czy ja wyglądam na debila? - spytał szczeniak i poleciał w podskokach.

Następnego dnia od rana czekałem w bramie naprzeciwko Pałacu Młodzieży. Nie wiedziałem, czy mój plan wypali. W liście na piśmie: Jeśli chcesz wiedzieć, co twój tata robi z rana, ukryj się jutro przed 9.00 w rekwizytorni. Życzliwa przyjaciółka.

Tekst ułożyłem z liter wyciętych z „Gazety Krakowskiej”. Zachowałem się jak w jakimś durnym filmie, ale to mnie bawiło. Dopiero później zacząłem się zastanawiać, czy panienka się złapie, czy nie powinienem jednak napisać dosłownie, o co chodzi. Z drugiej strony, właśnie to mogłoby ją przerazić. A tak mogła pomyśleć, że to nic takiego strasznego, że jej tata na przykład od rana pije wódkę z kolegami.

Wszystko się udało.

Najpierw przyszła matka. Bałem się, czy Julka zdąży przed swoim ojcem. Zdążyła. Prawie biegła od tramwaju, oglądając się ukradkiem, jakby to ją ktoś gonił. Weszła bez przeszkód. O tej porze czynny już był basen i pojawienie się młodej panienki nie mogło wzbudzić podejrzeń portiera, nawet gdyby go cokolwiek obchodziło. Wreszcie zobaczyłem, jak zza rogu wyjeżdża stary, poobijany garbus Dulemby. Oczywiście stać go na nowy samochód. To taki szpan. Artystyczny. Przejechał przed bramą Pałacu i skręcił w lewo. Wiedziałem, że zaparkuje kawałek dalej i wejdzie od tyłu, przez kotłownię. Ludzie, którzy konspirują, robią z siebie idiotów.

Mogłem już nie czekać, ale coś mnie trzymało w bramie.

Trochę się przestraszyłem, że będzie afera, jeśli Julka za mocno przeżyje. Weźmie wyjdzie na dach na przykład i skoczy. I znajdą przy niej mój list. Bałem się niepotrzebnie. Po półgodzinie wybiegła, zaryczana, przez główną bramę. Dulemba się nie pokazał. To mogło tylko znaczyć, że zakochani byli tak zajęci sobą, że na wet nie zauważyli świadka.

Druga część planu poszła tak samo gładko.

Jeszcze tego samego dnia zaczęłem w szkole kolesia z trzeciej C, zwanego Rwaczem. Nie bez racji. Lubił młode mięsko. Słyszałem, że już kiedyś, na jakiejś dyskotecie, dobierał się do Julki, ale poniósł haniebną klęskę.

- Wiesz co? Czemu jesteś taki nieczuły? - spytałem. - Ta mała Dulemba na ciebie leci. Nie chcesz jej pozbawić cnotki? Popatrzył na mnie podejrzliwie.

- Co ty bredzisz? Próbowałem ją wyrwać, ale to zakonnica.

- Ślepy jesteś. Ona jest zielona, peszy się. Ale po nocach jęczy za tobą. Nie wiem, może potrzeba jej dopingu. Nawet do mnie robiła jakieś aluzje, tylko wiesz, ja się w to nie bawię.

Rwacz wzruszył ramionami, ale dobrze widziałem, że moje ziarno padło na jego glebę, jak zwykł mawiać Libertowicz, nasz historyk i były dyrektor.

Na żniwa nie musiałem długo czekać.

W następną sobotę zjrzałem do Technolandu, właściwie bez nadziei, że coś mogło się już wydarzyć. Wydawało mi się, że jest na to za wcześnie. Źle myślałem. Rwacz, kiedy



już złapał trop, był jak wilk. Obserwowałem ich z daleka i nie miałem wątpliwości, że Julka jest zgubiona. Pozwalała mu się jawnie obmacywać. Kiedy wychodzili, długo przed końcem dyskoteki, co miało swoją wymowę, robiła wrażenie nawalonej jak miś koala. Wyszedłem za nimi. No jasne, wsiadła do żółtego cinquecento sport, które Rwacz dostał niedawno od ojca. To działało!

Potem poszło już z górki. Rwacz przeleciał ją jeszcze parę razy i pogonił, jak to miał w zwyczaju. Na facecie, tym albo innym, Julce jeszcze specjalnie nie zależało. Ale w ćpanie zdążyła się wciągnąć. Zaczęła gwałtownie szukać nowego źródła. I znalazła.

Parę tygodni temu spotkałem ją przypadkiem przed południem w okolicach dobrze znanej młodym ćpunkom kamienicy przy Plantach. W oficynie jest melina, w której odchodzi wymiana towar za towar. Młode ciało za porcję dowolnych dragów. Może z wyjątkiem kompotu. Nie ten poziom. To lokal dla lepszej młodzieży, dysponującej kasą. Albo świeżą cipką. Stary kompociarz zostanie stamtąd spuszczonej z połamanymi kończynami. Ale drzwi są zawsze otwarte dla chętnych uczennic, które za miast siedzieć w szkole na nudnych lekcjach, wolą się fajnie za bawić.

Julka wytoczyła się stamtąd w towarzystwie dwóch innych naćpanych gówniar. Przed chwilą zrobiły dobrze koleśiom za działkę, na bank. A kilka następnych dostały do rozprowadzenia. Dosłownie wpadła na mnie. Kiedy mnie poznała, w jej wzroku zobaczyłem nienawiść.

- O, cześć! - zawołałem wesoło. - Co tu robisz?

- Bo co, doniesiesz ojcu? - spytała wojowniczo, bez cienia strachu. Biła od niej taka agresja.

A przecież jeszcze niedawno Julka Dulemba była potulnym, nieśmiałym dziewczątkiem. Dokonałem cudu.

Dzień był jasny jak rzadko, słońce dawało po oczach, aż bo lały. I dobrze widziałem źrenice Julki, mimo tej jasności wielkie jak spodki. Była naspidowana jak rakietka.

Mógłbym się założyć, że dostała kreskę na odwagę, zanim wyszła z towarem na miasto. A więc wszystko potoczyło się tak, jak chciałem.

Poszedłem za nimi w bezpiecznej odległości. Z klientkami spotkały się na Plantach przy fontannie. Znów kilka działek browna poszło do ludzi. A ten głupi stary Dulemba jeszcze niczego nie przeczuwa. Wciąż jest tak zajęty moją matką, że nie widzi, co się dzieje w jego własnym domu. Wcale mnie to nie martwi. Tym bardziej szokujące będzie przebudzenie. Czekać na to cierpliwie.

Myśli w zimowym deszczu

Z moimi starymi było tak, że jak tylko ojciec pojechał na zarobek do Rajchu, matka od razu znalazła sobie nowego frajera...

Jacek Ładny nie miał pojęcia, co powiedzieć. Chłopak siedział po drugiej stronie biurka i czekał, a on bezmyślnie wciąż od nowa przebiegał tekst oczami i nie mógł zmusić się, żeby podnieść wzrok. Ogarniały go złość i zażenowanie. Myślał: A co to, do cholery, jest, konfesjonał? Kiedy zgodził się poprowadzić warsztaty dziennikarskie dla licealistów, nie było mowy o tym, że ma być ich spowiednikiem. Miał im tylko doradzać, jak robić szkolną gazetkę. Rozdrażnienie było tym większe, że towarzyszyło mu poczucie winy. Przecież sam smarkacza sprowokował. Pograł z nim nie fair.

- Wiesz, Kuba, to jest za bardzo osobiste - zaczął ostrożnie. - Nie nadaje się do gazety.

- Nie myślałem o gazecie. - Głos chłopaka był nienaturalnie wyluzowany. - Chciałem tylko, żeby pan powiedział, co o tym sądzi.

Nie miał siły patrzeć w oczy Kubie Mazurkowi. Musiał przyznać, że tekścik mu się spodobał. Mały go zaskoczył. Nie przy puszczał, że w duszy siedemnastolatka może kryć się tyle mściwości. Ale czuł się idiotycznie, jakby podglądał go onanizującego się. Jeśli jego matka naprawdę miewała facetów na boku, to co właściwie mógł mu poradzić?

Wstał i podszedł do okna.

Szare dachy Krakowa znów błyszczały od deszczu. Kolejna zima bez śniegu działała na niego przygnębiająco.

- Co sądzę o czym? O tej historii czy o tekście? - spytał ostrożnie.

- No... o tekście.

- Słuchaj, nie czuję się na siłach - powiedział. - Jestem reporterem. A to jest fikcja, nie? Literatura.

Chłopak nie odpowiadał. Wpatrywał się nieruchomo w biurko. Ładny widział tylko jego długie włosy, opadające na twarz. Pomyślał, że to dziwne. Mało który spośród rówieśników Kuby Mazurka nosił jeszcze długie włosy. Od jakiegoś czasu chłopcy przeważnie golili się na łyso, jakby chcieli uchodzić za gangsterów.

- Kuba? - ponaglił go. - Wymyśliłeś to, prawda?

- Jasne - rzucił chłopak, wzruszając ramionami.

Widać było, że nie jest całkiem szczery.

Ładny wciąż nie był zadowolony. Nie uspokoił się, choć wymusił na chłopcu taką odpowiedź, jaką chciał usłyszeć. Czuł się co raz bardziej nie w porządku. Mimo to nie widział powodów, że by się angażować. Po prostu mdliło go na samą myśl o tym. Wystarczająco

doskwierały mu własne problemy, z którymi kiepsko sobie radził, żeby chciał jeszcze brać sobie na głowę cudze. Nie miał nic przeciw zabawie w dziennikarstwo ze smarkaczami. Liczył nawet, że coś na tym skorzysta. Zyskiwał przez nich do stępu do zamkniętego świata małaolatów, który coraz trudniej było mu rozumieć. Tylko że koszty nie mogły być zbyt duże. Mógł pomagać temu chłopcu w pisaniu.

W życiu nie był w stanie.

Przeżywał niedobry okres.

Właśnie poczuł ciężar czterdziestki, a minęło już pięć lat od czasu, kiedy wydał swój ostatni zbiór reportaży. Wszyscy zdążyli o tym zapomnieć, a on nie mógł zdobyć się na nic nowego. Spóźnił się do Bośni. Nie pojechał do Czeczenii. Zamiast tego rozmięniał się na drobne w codziennej gazecie i coraz bardziej upodabniał się do kolegów walczących o każde pięć groszy wierszówki, jakby od nich zależało życie.

Musiał coś z tym zrobić. I to szybko. Miał pomysł na nową książkę.

Od kilku miesięcy chodził mu po głowie projekt, do którego pasowałby tytuł „Złe dzieci”, „Wściekłe szczeniaki”, coś w tym rodzaju. Czuł, że to jest temat, dzięki któremu mógłby wrócić na rynek. I to z hałasem. Ludzie byli przerażeni tym, co się stało z ich dziećmi, kiedy puściły więzy komuny. To było dla nich ważniejsze niż Bośnia i Czeczenia razem wzięte. Wierzył, że jeśli przyłoży się do pracy, znów jego będzie na wierzchu. Okazało się to nie takie proste. Zanim zabrał się do pisania, zdawało mu się, że przez lata pracy reporterskiej zgromadził górę materiału na temat małaolatów.

I to była prawda.

Ale kiedy po zbierał swoje reportaże, opublikowane w „Gazecie Krakowskiej” i kilku tygodnikach, kiedy przejrzał stare notatki i nagrania, wszystko wydało mu się jednostronne i mało oryginalne. Choć było tam kilka naprawdę ostrych historii. O dziewczynie z młodzieżowego gangu, którą koledzy powiesili na cmentarzu w Zabrze, bo tak kazał jej chłopak, a ich szef. O tym, jak sataniści z Rudy Śląskiej w trakcie czarnej mszy zmusili dwoje nastolatków do uprawiania miłości na ołtarzu, a potem ich zamordowali. O chłopczku z Nowej Huty, który zarznął swych rodziców, kiedy spali, i pokroił ich ciała piłką do drewna. I parę innych, od których włosy stawały na głowie. Wszystkie miały jednak pewną słabość: ich bohaterami były same dzieci z dołów. Naznaczone klęską już na starcie. Chłopcy z zawodówek, dziewczyny z domów dziecka, z poprawczaków. Blokery z betonowych sypialni, odziedziczonych w spadku po komunie. Szalikowcy Wisły i Cracovii. Młode kurewki, wywodzące się z wiejskiej ciemnoty. Obraz był prawdziwy. Ale banalny.

Żeby książka miała siłę rażenia, potrzebował jakiejś zwałającej z nóg historii o

dzieciach z najlepszych domów. O słodkich panienkach, które znalazły się na dnie. O smarkaczach, którym nie brakowało niczego, a mimo to wykoleili się, zaczęli ćpać albo kraść samochody. Byli tacy w Krakowie. Tyle że on nie miał do nich dojścia. Ucieszył się więc, kiedy zadzwoniła do niego Justyna Barska, znajoma ze studiów. Nie utrzymywali kontaktów, spotykał ją tylko czasem na ulicy. Teraz nagle przypomniała sobie o koledze z roku, którego teksty czasem zdarzało się jej czytać tu i ówdzie. Szukała fachowca do pomocy, bo nowa dyrektorka wcisnęła jej opiekę nad szkolną gazetką.

- Wiesz kto, prawda? Sławna pani Caban. Tylko patrzy, na czym mogłaby mnie złapać.

Zgodził się od razu, choć miała to być przysługa gratis, a on zazwyczaj wyklócał się o zapłatę, żeby nie zyskać opinii faceta, którego można łatwo wykorzystać. Tym razem zrobił wyjątek, bo „Kuźnia”, jedno z najlepszych liceów w Krakowie, mogła okazać się bardzo interesującym polem obserwacji. Posyłali tu swoje dzieci najważniejsi ludzie w mieście. Pracownicy naukowcy z UJ i AGH urzędnicy z magistratu, wzięci adwokaci i lekarze. Dwóch byłych wiceministrów. No i nowi biznesmeni, którzy po upadku komuny w parę lat nie wiadomo jak zrobili wielkie pieniądze. Poza tym oczywiście wiedział, co to za baba, ta Caban. We wrześniu została dyrektorką „Kuźni”, choć rodzice pisali protesty w obronie poprzedniego dyrektora, historyka Libertowicza. Ładny dobrze pamiętał tę aferę, gazeta pisała o niej kilka razy.

Wszystko to wiązało się z politycznymi przepychankami w Radzie Miasta.

Upadający zarząd, żeby się utrzymać, oddał fotel jednego z wiceprezydentów radnemu Psocie. Reprezentował on najskrajniej prawicowy klub, tak zwaną Inicjatywę Obywatelską Przeciw Pornografii i Demoralizacji, której przewodziła nawiedzona radna Teresa Kwiat. Ładny nie znosił tego towarzystwa. Na nieszczęście Psota dostał w ręce oświatę i zaczął czyścić po swoim. Obsadzenie nowej dyrektorki w „Kuźni” było jedną z jego pierwszych decyzji. Ładny był gotów pomóc każdemu, kto pozostawał w konflikcie z radnym Psotą i dyrektorką Rafaela Caban.

Kiedy Justyna Barska usiadła przy stoliku w Europejskiej, gdzie się umówili, od razu zrozumiał, że najważniejszy powód był jednak całkiem inny. Nie przeszło mu. Po dziesięciu latach znów poczuł ucisk w gardle na jej widok. A przecież przez ten czas przeżył wiele. Nieudane małżeństwo, kilka burzliwych romansów, także zakończonych fiaskiem. Wyrzucano go z pracy i przyjmowano z powrotem. Jego pierwszy zbiór reportaży, opublikowany tuż po upadku komuny, przyjęto z entuzjazmem. Potem przyszły klęski. Żona z dzieckiem zamieszkała w Holandii, w towarzystwie zamożnego prawnika. Ostatnio Ładny

rzadko widywał syna. Zresztą, obaj najwyraźniej czuli co raz mniejszą potrzebę tych krępujących kontaktów. Dla chłopca bardziej atrakcyjny okazał się holenderski adwokat, syn polskich Żydów, zmuszonych do wyjazdu w 1968 roku. Teraz okazało się, jakby tych wszystkich lat prawie nie było.

Przy stoliku w Europejskiej Ładny znów poczuł bolesny żal do samego siebie, że wtedy pozwolił, by Justyna wymknęła mu się z rąk. W młodości miał różne życiowe zakręty, dwukrotnie rzucał studia, po drodze zaliczył wojsko i kilkanaście miesięcy pracy na czarno przy remontach domów w Paryżu. Kiedy wreszcie trafił na polonistykę, był dużo starszy od koleżanek z roku. Nie ułatwiało to bliższych kontaktów.

Justyna Wojtala, córka profesora z wydziału prawa, miała opinię nieugiętej w sprawach seksu. Takiej, na którą szkoda czasu, bo i tak nic z tego nie wyjdzie. Może to ich właśnie zbliżyło. Był mniej niecierpliwy od młodszych kolegów.

Porażki nauczyły go czekania.

Spotykał się z Justyną od miesiąca, kiedy zdecydował się wreszcie pocałować ją po raz pierwszy na drewnianych schodach starej krakowskiej kamienicy, w której mieszkali jej rodzice. Dalej też posuwał się bardzo powoli. Przetkańczyli chyba z dziesięć wieczorków, zanim położył rękę na jej biodrze. Taktyka, która przez kilka miesięcy dawała coraz bardziej obiecujące wyniki, w końcu go zgubiła.

Waldemar Barski pojawił się zniemacka i Ładny nawet się nie spostrzegł, jak było po ślubie. Poczuł się tak urażony, że nawet nie próbował o nią walczyć. Nie szanował Barskiego, który był znanym podrywaczem. Działał też w studenckiej opozycji, jak prawie wszyscy na uniwersytecie, ale przez poważniejszych działaczy był uważany za krzykliwego awanturnika. Ładny postanowił nie rywalizować z kimś takim. Później nieraz sobie powtarzał, że Justyna jednak była warta, żeby o nią powalczyć. Teraz znów to sobie uświadomił. I od razu zaczął zastanawiać się, czy jeszcze miałby jakiegokolwiek szansę? Od ślubu wydawała się niewzruszenie wierna swojemu Waldemarowi. Uczniowie nazywali ją Żelazną Dziewicą. Mogły to jednak być tylko pozory.

Barski wciąż nie był nikim ważnym, jakimś drobnym deweloperem czy pośrednikiem w handlu nieruchomościami, któremu przez długi czas się nie wiodło, a teraz dopiero przebijał się do elity. Po tylu latach małżeństwa nie mieli dzieci. To by mogło świadczyć, że niekoniecznie układało się między nimi idealnie. Może jednak byłoby warto spróbować od nowa.

- Słuchasz mnie?

- Przepraszam. Zapatrzyłem się na ciebie.

Udała, że tego nie słyszała.

- Stara mnie nie lubi - żaliła się, mieszając bez potrzeby kawę, jakby wciąż była spięta. - Wiesz, nigdy się babie nie podobałam, zresztą z wzajemnością. No i teraz ona jest na wierzchu. Tylko czeka, żebym się potknęła. Bądź człowiekiem, pomóż starej koleżance. Muszę udowodnić, że jestem coś warta.

- Tego nie musisz. To się widzi - powiedział z przekonaniem.

- Miły jesteś, ale jednak muszę. Wiesz, kto prowadził gazetkę przede mną? Muchowicz. Teraz rozumiesz?

Rzeczywiście, zrozumiał. Mucha był legendą „Kuzni”. „Gazeta Krakowska” wiele razy pisała o sukcesach jego uczniów. Dopiero po zawale musiał trochę zwolnić. Pewnie z tego powodu zrezygnował też z opieki nad szkolną gazetą.

- Producent laureatów, co?

- Sam widzisz, trudno sprostać legendzie.

- Masz taką ambicję?

- Mam to w nosie. Mucha jest nie do ruszenia, zwłaszcza teraz, ale według mnie to szkodnik. Tresuje mały do wygrywania olimpiad polonistycznych. Żywi uczniowie nic go nie obchodzą. To tylko moje zdanie. Dla innych jest idolem. I chcę czy nie chcę, będą mnie z nim porównywać. Co z tego, że jego gazetka była bez życia, że zamienił ją w biuletyn polonistyczny. I tak wszyscy będą twierdzić, że to niedościgły wzór. Muszę coś wymyślić, może choć niektórzy przejrzą na oczy.

Tak zaczęła się ich nowa znajomość po latach. Barska traktowała go jak bliskiego kumpla. Nawet parę razy poszła z nim na piwo do Free i Pod Jemiołą. Ale równocześnie cały czas trzymała go na dystans, nie pozwalając nawet pomyśleć o niczym więcej. Kiedy mimo wszystko próbował robić jakieś aluzje, zaczynała opowiadać o swoim mężu, jaki jest wspaniały.

W końcu zniechęcił się.

- Sam pan mówił, żeby pisać o tym, dlaczego małolaty są teraz takie złe - odezwał się chłopak, jakby chciał mu przypomnieć o swojej obecności.

- Co? A, tak, tak. Pamiętam. Tylko że myślałem o dziennikarskiej robocie. Opartej na faktach. Nie chodziło mi o fantazje wysane z palca.

Nie umiał powstrzymać rozdrażnienia. Wiedział, że chłopak nie jest niczemu winien, mimo to czuł się zawiedziony. Liczył na to, że dostanie wreszcie od niego jakiś trop, który pozwoli mu ruszyć z książką. Jakiś konkret. Adres. Cokolwiek. Kuba był przecież najlepszy z całego zespołu „Kowadła”. Na kogo miał liczyć, jeśli nie na niego? Na Kamila Kota? No tak,

synek Agaty Kot, dziennikarki z Radia Wisła, był może równie zdolny. Ale w nim Ładny miał wroga od samego początku. I za nic nie mógł zrozumieć, dlaczego. Przecież próbował się do chłopaka zbliżyć. Prawdę mówiąc, ze względu na jego matkę, którą znał od lat i chętnie poznałby lepiej. A Kamil odpowiedział ledwo maskowaną pogardą i nienawiścią. Zupełnie bez powodu.

Na Ewę Góral, naczelną „Kowadła”? Bardzo ją lubił. Była córką Beaty Aschenbrenner i Andrzeja Górala, w latach osiemdziesiątych najbardziej romantycznej pary krakowskiej podziemnej „Solidarności”. Poznał ją kiedyś jako niemowlę. Teraz wyrosła na piękną pannę, zbyt jednak grzeczną, zbyt dobrze ułożoną, żeby mogła mu się do czegoś przydać. Pisała nieźle, ale za bardzo poprawnie.

Czuł znużenie. Chciałby już zostać sam. Miał jeszcze dużo pracy.

Patrząc na zmierzch za oknem i krople spływające po szybach, rozumiał, dlaczego Kuba Mazurek zwleka z wyjściem na ulicę, pogrążoną w zimowym deszczu. Nie wyganiał go więc.

- Kto powiedział, że to fantazje? - obruszył się Kuba.

- Jak to? Ty sam.

- Powiedziałem, że ta historia jest nie całkiem prawdziwa, a nie, że wyssana z palca.

- Mam rozumieć, że jest w niej trochę prawdy?

- Nawet nie trochę. To wszystko rzeczywiście istnieje.

- Co? To mieszkanie?

- Na przykład.

- Ci dilerzy?

- Też.

- To dlaczego nie napisałeś o tym po prostu reportażu? - spytał Ładny, nareszcie zaniepokojony.

Jeśli gdzieś w Krakowie naprawdę istniała taka melina, w której małolatki były wciągane w nałóg, zmuszane do seksu i handlu narkotykami, mógł to być najważniejszy temat do jego książki.

- Żartuje pan? - Kuba Mazurek dopiero teraz popatrzył mu prosto w oczy. - Nie jestem samobójcą. Nie rozumie pan?

Dobrze rozumiał. Chciał tylko wy badać, skąd chłopak o tym wie. Na ćpuna nie wyglądał. A informacje miał zaskakująco dokładne. Oczywiście, jeśli były prawdziwe.

Nagle zdecydował się spytać o coś, co już od paru minut chodziło mu po głowie.

- Słuchaj, a ta panienska z waszej szkoły, ta jakaś Iwona...

- Żmijka Huber? No właśnie. Ona dokładnie tak zaczynała.

Ładnemu z coraz większym trudem przychodziło udawanie obojętności. A więc miał rację. Chłopak jednak do czegoś się przydał. Ładny już wcześniej czuł, że ta Iwona Huber, zgwałcona jakoby przez naćpanych gówniarzy, to dobry trop, że powinien się go złapać. Tylko nie wiedział, jak do dziewczyny dotrzeć. Policja była nieprzejednana. W tej sprawie podkomisarz Piontek postawiła szlaban nawet jemu. Mogło to znaczyć, że śledczy po prostu nic nie wiedzą i się denerwują. Nie było to jednak podobne do Piontek. Raczej byłaby z nim szczerą. Coś więc wiedzieli, tylko nie do końca. Bali się, że przedwczesny rozgłos wszystko popsuje. Dlatego Gabriela Piontek nawet po znajomości nie chciała mu zdradzić, co naprawdę było grane.

- Zapomnij - oznajmiła mu wprost, kiedy wpadł do niej do komendy. - Idź do rzecznika prasowego.

- Jesteś bez serca - powiedział. - Myślałem, że mnie lubisz, a ty mnie wysyłasz do rzecznika?

- Może cię lubię, ale twoi koledzy narobili już dosyć brudu.

Miała prawo do rozdrażnienia. Kolesie jej się wymknęli. A mogli to być właśnie gwałciciele z Technolandu. Tak gazety nazwały sprawców kilku gwałtów na dziewczynach, które wcześniej bawiły się w sławnej dyskotecie. Wiedział, że w ich złapanie Piontek włożyła naprawdę dużo serca. Tymczasem Iwona Huber, która wskazała jakichś chłopaków i złożyła obciążające ich zeznania, potem wszystko odwołała. W tej sytuacji sędzia mógł ich tylko wypuścić.

- Wiesz, jak to jest - powiedział Ładny. - Może jej wcale nie zgwałcili.

- To ty nie wiesz, jak jest - zdenerwowała się Piontek. - Postraszyli, że urzną jej łeb i wszyscy wpadli w panikę, cała rodzinka. Tatuś najpierw sam ją do nas przyprowadził, a teraz pierwszy przybiegł, że on bardzo przeprasza, ale córeczka bała się przyznać, że się puszcza, i całą historię zmyśliła.

- No widzisz? Pewnie naprawdę tak było.

- Akurat. Mamy tych drani na oku ponad rok i nie możemy im nic zrobić. Co którego złapiemy, sąd go wypuszcza. A najgorsi są w ogóle poza zasięgiem.

- Może trzeba się trochę bardziej postarać? Zdobyc jakieś dowody?

- Nie bądź taki mądry. Tylko spróbuj napisać w tej swojej gazecie, że policja jest nieudolna, to cię zabije.

- Nie jestem taki jak ty. Wiesz, że nigdy bym ci tego nie zrobił. Tobie dałbym się nawet zamknąć jako gwałciciel.



Obrzuciła go lekceważącym spojrzeniem.

- Nie nadajesz się.

Chętnie pokazałby Gabi Piontek, do czego się nadaje. Też mieli swoje stare porachunki. Kiedy trafił na polonistykę, ona studiowała prawo i przyjaźniła się z Justyną Wojtałą. Z Gabi poszło mu dużo łatwiej. Choć, żeby wyrazić się ściśle, może tylko szybciej. Pocieszył się nią już następnego dnia po ślubie Justyny z Barskim. Ale nie potrwało to długo, ledwie kilka nocy pod nieobecność kumpla w akademiku. Zapamiętał duże, silne i ruchliwe ciało, wprawiające piętrowe łóżko w niebezpieczne kołysanie.

Później dowiedział się, że Gabi też tylko się nim pocieszała. Piękny Waldi i jej wcześniej zawrócił w głowie, zanim ożenił się z jej najlepszą przyjaciółką. Po studiach Piontek wstąpiła do policji, wyszła za męża za oficera z komendy, który po kilku latach zaczął wypróbowywać na niej siłę swoich pięści. Tylko że ona była nie gorzej wykształcona. W trakcie ostatniej awantury złamała mężowi rękę i odeszła, zabierając dwójkę dzieci. Wtedy Ładny, także akurat po rozwodzie, ponownie zaproponował jej swoje towarzystwo. Jakiś czas zastanawiała się, ale ostatecznie nic z tego nie wyszło. Pozostali przyjaciółmi. Miał jednak potrzebę ciągłego udowadniania jej, ile straciła.

Jeśli Kuba Mazurek mówił teraz prawdę, znów była taka szansa.

- Słuchaj, Kuba - powiedział. - Sam wiesz, że jesteś dobry. Do szkolnej gazetki wystarczy. Gdybyś jednak chciał spróbować sił w prawdziwej...

- Myśli pan, że miałbym szansę?

- Nie wiem. Ale na pewno stać cię na coś więcej niż młodzieńcze próby literackie.

Słyszał, jak to zabrzmiało. Jak jawna podpucha. Spodziewał się, że Kuba wkurzy się i powie, żeby spadał na drzewo. Na jego miejscu pewnie właśnie tak by zrobił. Ale chłopak tylko zabrał swój zeszyt z biurka i schował do plecaka, jakby ze wstydem.

- Ma pan rację, to nie był najlepszy pomysł - zgodził się. A po chwili, jakby się namyślił spytał: - Sądzi pan, że byłoby warto za jąć się Żmijką Huber?

- Jeśli coś o tym słyszałeś, to sam wiesz.

Kuba spojrział na niego jakby z pretensją.

- Wszyscy o tym słyszeli - powiedział.

- Miałem na myśli coś, o czym słyszeli nie wszyscy. Właśnie to jest pole do popisu dla dziennikarza. Na przykład dowiedzieć się, kim są faceci, którzy ją zgwałcili. Może to ci z Technolandu?

- Nikt jej nie musiał gwałcić. Ona sama jest puszczalska.

- Brawo. Teraz mówisz dokładnie jak te łajdaki. Od kandydata na dziennikarza

należałoby wymagać czegoś więcej.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Kiedy to prawda. Ta lalka od dawna szukała kłopotów. Ostatnio obracała się w takim towarzystwie, że aż się prosiła.

- Wiesz, w czym konkretnie?

- Coś słyszałem. Musiałbym posprawdzać.

To było właśnie to, czego Ładny szukał. Wiedział, że policja od jakiegoś czasu namierza taką grupę. Krąg rozwydrzonych gówniarzy z dobrych domów, pewnych swej bezkarności. Tylko że na informacje w tej sprawie była pełna blokada. Młodszy inspektor Borejko dawał mu do zrozumienia, że chodzi o zbyt głośne nazwiska. To, do czego on nie zdołał dotrzeć oficjalnie, Kuba mógł wydobyć od swoich kolegów i ich znajomych. Czuł, że chłopak jest już urobiony. Jego ambicja została podrażniona, przestał myśleć o ryzyku.

Był tylko jeden kłopot.

Dzieciak mógł naprawdę wpakować się w jakieś szambo. W Ładnym nagle odezwało się sumienie. A może po prostu strach. Powinien zrobić to sam, a nie wyręczać się smarkaczem. Przecież wiedział, że Mazurek i bez tego jest dość podpadnięty. Już pod koniec drugiej klasy o mało nie wyleciał ze szkoły. W końcu poprzedni dyrektor postanowił, że trzeba podać mu rękę. Ale nowa dyrektorka nie była aż tak wyrozumiała. Przyszła właśnie po to, żeby oddzielić kąkol i sporysz od dobrego katolickiego ziarna.

- Wiesz, może jednak nie ryzykuj - odezwał się Ładny po namyśle. - Jeśli nawet czegoś się dowiesz, prawdopodobnie i tak nie będziesz mógł tego wykorzystać.

- Mógłbym dowiedzieć się czegoś dla pana - powiedział chłopak, patrząc w okno. - A pan zrobi z tym, co będzie chciał.

- Naprawdę? Zrobiłbyś to?

- Jasne. Czemu nie? Chce pan?

Nie umiał odrzucić tej ofiary.

Wiele miesięcy później miał zadawać sobie pytanie, czy to naprawdę on tak namieszał w życiu Kuby Mazurka. Chłopak przyszedł do niego w zaufaniu, może tylko chciał z kimś pogadać. Może wystarczyło powiedzieć: Wiesz, stary, tysiące chłopaków w twoim wieku mają dużo większe problemy z rodzicami. Nie przejmuj się tak. Wyluzuj. Nic by go nie kosztowało, gdyby zdobył się po prostu na kilka mało znaczących, ale bezinteresownych słów. Nigdy potem nie potrafił sobie odpowiedzieć, czy one mogłyby coś zmienić.

Żelazna Dziewica. Co za ksywka! (pisze Kuba Mazurek)

Żelazna Dziewica. Co za ksywka! Naprawdę można zwątpić, co nie? Człowiek od razu zaczyna główkować, skąd się wzięła. Bo wystarczy popatrzeć na profesorkę Justynę Barską, naszą panią od polaka, żeby zrozumieć, że tym, co ją tak nazwali, nie mogło chodzić o zespół Iron Maiden. Całe szczęście. Nigdy nie przepadałem za tą kapelą. Muzyka jak muzyka, czasem da się posłuchać. Ale te ich trupie gadzety, ten horror dla wieśniaków. Koszmar.

No więc lepiej, że ta nasza Żelazna Dziewica jest w całkiem innym typie urody. Zostaje drugie skojarzenie, nie wiem, czy lepsze. Z dziewczicą norymberską. No, z tą żelazną panną, w której zamykano heretyków i podejrzanych o czary. Z wierzchu piękną, a w środku na bijaną żelaznymi gwoździami, żeby poczuli przedsmak rozkoszy prawdziwie piekielnych. Trzeba przyznać, że tu się otwiera na prawdę duże pole dla wyobraźni. Trochę strach, ale równocześnie kusi.

Takie właśnie miałem uczucia, kiedy mnie przynosili do trzeciej A, pod opiekę pani Barskiej. Nawiasem mówiąc, ta trzecia A to kupa niezłych snobów. Kiedy się trochę rozejrzałem, byłem dość przerażony, w co ja się dałem wrobić! Aż się tu roi od aparatów, jakich na mat-fizie w ogóle się nie spotykało. Na przykład kolesie z odbiciem politycznym. Są popieprzeni guearyści, którzy rano witają się słowami: Socialismo o muerte! Hasta la victoria siempre\ I chyba jeszcze bardziej popieprzeni narodowcy. Oczywiście nie jakieś prymitywne skiny, jak w zawodówkach w Nowej Hucie, tylko inteligentni faceci, którzy za dziadków mają profesorów. Znają na pamięć Dmowskiego, biegają na zbiórki Młodzieży Wszechpolskiej czy czegoś w tym rodzaju. I głoszą, że Unia Europejska wprowadzi w Polsce niewolę brukselską, jeszcze gorszą od moskiewskiej.

Czułem, że nie będzie mi lekko, bo towarzystwo nie dość, że miało narąbane w głowach, to jeszcze nosiło się z wysoka. Na początku bardzo mi brakowało Roberta Rajzera i innych fajnych, konkretnych chłopaków z mat-fizu. Ale, jak to mówią, dostałem propozycję nie do odrzucenia. Albo trzecia A, czyli humana, albo w ogóle pożegnałbym się z „Kuźnią”. A raczej „Kuźnia” pożegnałaby się ze mną. Uznali, że do mat-fizu jestem za głupi. Zresztą, powiem wam w tajemnicy, że mieli ful racji. Co ja robiłem na tym mat-fizie, to ja sam nie wiem. I w ogóle jak udało mi się zdać egzamin. Bez ściemy, to akurat wiem. Po prostu się zawzięłem.

Byłem gotów na wiele, żeby tylko zrobić matce na złość.

Biedaczka, na prawdę starała się rozwijać we mnie tak zwane talenty. Nawet jeśli sama się mną nie zajmowała, pochłonięta kolejnymi nie udanymi artystami swego życia, pchała mnie do różnych zespołów i kółek. A to plastycznych, a to recytatorskich, a to

teatralnych. Tylko do muzyki miałem drewniane ucho. Była niepocieszona. Musiała się z tym w końcu pogodzić, bo jakie miała wyjście.

Kiedy w Pałacu Młodzieży utworzono zespół nowoczesnego tańca, moja starsza nie wytrzymała i zapisała mnie.

Było to okropne, ale wtedy jeszcze nie przychodziło mi do głowy, że mógłbym się matce sprzeciwić. Uratował mnie ojciec. Akurat wpadł na parę dni do domu z jednego ze swych kolejnych wyjazdów. Podśluchałem ich wieczorną rozmowę w kuchni.

- Nie wydaje ci się, że przesadzasz z tym robieniem z niego artysty?

- Kuba ma talent. Ma wiele talentów.

- Nigdy w to nie wątpiłem. Ale brakuje mu siły i charakteru, żeby radzić sobie w tym całym artystycznym bagnie.

- To tylko tobie się wydaje, że to bagno. Nie znosisz wszystkiego, co cię przerasta.

- Mówię ci, że zrobisz mu krzywdę.

- Koniecznie chcesz, żeby był taki jak ty - powiedziała matka. - On taki nie jest.

- Pomału się z tym godzę - zamruczał mój starszy. - Już jest wystarczająco słaby. Nie widzę powodu, żebyś jeszcze zrobiła z niego pedzia.

Dość uważał na słownictwo i słowo „pedał” nie przeszłoby mu przez gardło. Był wczorajszy. I nie przyjmował do wiadomości, że czasy się zmieniły, że teraz nazywa się ich gejami, czyli wesoły mi. Albo kochającymi inaczej.

Ojciec mógł pogodzić się ze smutnym faktem, że nie zostanę inżynierem budowlanym i sportowcem, ale załamałby się, gdybym zaczął zadawać się z pędzlami. O dziwo, tym razem matka uległa. Może ojcu naprawdę udało się ją przestraszyć? Wszystko jedno, ważne, że już nie musiałem zostać następcą Bejarta. Nigdy chyba się nie domyślił, jak bardzo byłem mu za to wdzięczny. Tak bardzo, że zawzięłem się i zdałem na ten mat-fiz. Na przekór matce. Dla niego. Może nawet przez jakiś czas zdawało mi się, że jednak wykształcę się na tego inżyniera budowlanca. Ale na jak długo można się zawziąć? Matka nadal mnie nie lubiła. Z wzajemnością.

Pierwszą klasę jeszcze jakoś przemęczyłem. W drugiej zaczęły się cyrki. Najgorsze przejścia miałem z fizą, której uczyła Cabanowa, zwana Piranią. Na domiar nieszczęścia to właśnie ona była na mat-fizie moją wychowawczynią. Jeśli w ogóle można tak określić osobę jej gatunku. W tym przypadku fizyczne podobieństwo do ryby *Serrasalmus piraya* z podrzędu kłusaczy idealnie odpowiadało charakterowi pani Caban. Kiedy jej podpadłem, większość ludzi patrzyła na mnie ze współczuciem, jakbym już był martwy. Caban była znana z tego, że jak już poczuła krew nieszczęśnika, nie spoczęła, dopóki nie obgryzła go do gołych kości.

Mnie też zjadłaby po kawałku, gdyby nie dyrektor Libertowicz. Wybronił mnie osobiście. Załatwił sprawę w kuratorium i z Żelazną Dziewicą, żeby ze chciała wziąć mnie do swojej klasy i nie ustawiła się do mnie wrogo od razu na wejściu.

Ratunek przyszedł dosłownie w ostatniej chwili, tuż przed trzęsieniem ziemi, jakie nastąpiło w szkole po wakacjach. Jeszcze w czerwcu nikt się nie spodziewał, że Cabanowa, ten tępy babsztyl, już niedługo zostanie dyrektorką w miejsce Libertowicza, który próbował wpuścić trochę świeżego powietrza do zatęchłego wnętrza naszej sławnej „Kuźni”. Nie znacie, jak to mówią, dnia ani godziny. Niektórzy starzy próbowali protestować, ale szybko wymiękli. Cabanową przepychał słynny katolicki radny Psota. Wszyscy wiedzą, że facet ma mocne wejścia w kościele. No i lubi rządzić. Był już nawet ministrem czy kimś takim. Dopóki nie palnął w telewizorze, że AIDS to kara boska dla pedałów. Cały świat ryczał z naszego pradawnego Krakowa, który chyba na wieki pozostanie pradawny.

Po tej żenadzie Psota nie nadawał się już na ministra. Nawet katolickiego. Ale w Krakowie się nadał. Nic dziwnego, że dla kogoś takiego dyrektor Libertowicz był agentem diabła, bo pozwalał, żeby w sławnej „Kuźni” panienki malowały włosy, a faceci nosili kolczyki. No to mu pokazali, kto tu rządzi. A więc moja przyszłość dalej wygląda niepewnie. Przestałem mieć do czynienia z Piranią na co dzień, ale wciąż ma nade mną władzę. No i nadal mnie nie znosi. Na pewno mi u niej nie pomogło, że przestałem chodzić na lekcje religii, kiedy zmienili nam katechetę na tępego buraka, który może by się nadał na wiejskiego proboszcza, ale na wykładowcę w „Kuźni” nie nadaje się na pewno. Nie chodzi o kryzys wiary czy coś w tym rodzaju. Znam koleśki, którzy naprawdę przechodzą taki kryzys, a na religię biegają dla świętego spokoju, żeby sobie nie narębać. Ja myślę, że chyba jest ktoś, gdzieś, no, jakiś pauer. A Jezus to na prawdę w porządku postać. Ale to nie znaczy, że mam znosić nad sobą jakiegoś ćwoka, umysłowe zero.

Kłopot w tym, że od Piranii nie mogę się tak samo łatwo uwolnić. Teraz więc właściwie wszystko zależy od mojej nowej wychowawczynie. A Barskiej też nie potrafię do końca rozgryźć. Nawet pomijając jej osławione żelazne dziewictwo, to ludzie różnie o niej mówią, że zadziera nosa. I że jeśli chodzi o jej ukochanego polaka, to nie zna się na żartach. Katuje wszystkich lekturami spoza programu. Nie tylko Solżenicynem, Miłoszem i Herlingiem-Grudzińskim, ale także na przykład Jackiem Kaczmarskim, bardem Solidarności. I że jeśli ktoś nieostroźnie pokaże, że olewa jej idoli, to ona też potrafi się zawziąć. Nie gorzej niż Pirania. Podobno paru gości załatwiła na amen. Muszę sprawdzić, czy to prawda.

Jeden plus, że przynajmniej można patrzeć na nią bez obrzydzenia. Jest po prostu superlaską, każdy musi to przyznać. I co z tego, że stara? Jeszcze tego nie widać,

przynajmniej z wierzchu. Ona sama dobrze o tym wie, bo się pilnuje, żeby ubierać się jak najbardziej oficjalnie. Kiedy się zapomni i przyjdzie w sukience, wszystkim chłopakom staje. No, to tylko taka metafora, ale niektórym staje naprawdę.

Właściwie to nie mogę na nią narzekać. Od początku starała się być wobec mnie w porządku. Nie dawała mi do zrozumienia, że jestem wrzodem, który wyrósł na dupie jej wspaniałej klasy. Od pierwszego dnia próbowała mnie zintegrować. I szczerze mówiąc, nie miałem nic przeciw temu, żeby mnie integrowała.

Już po pierwszej godzinie wychowawczej poprosiła, żebym został po lekcjach. Zauważyłem, że moi nowi koledzy zaraz zaczęli robić porozumiewawcze miny i głupie gesty. Największy klasowy grubas, którego nazywali Dżemojadem, pokazał taki ruch, jakby łapał panienkę od spodu, i jeszcze poruszał dużym palcem. Może też jestem wczorajszy, ale nie lubię za daleko posuniętej wulgarności. Wzruszyłem ramionami i stuknąłem się w czoło. To go tylko jeszcze bardziej rozbawiło i zaczął całym ramieniem naśladować tłok parowy.

Sądziłem, że Barska nie zdaje sobie sprawy, co uczniowie pokazują sobie za jej plecami. Okazało się, że chyba jest wszystkiego świadoma.

- To nie jest łatwe, prawda? - spytała, kiedy zamknąłem drzwi za tą bandą zgrywusów.

- Co? - spytałem ostrożnie.

- Dostosować się do nich.

- A muszę? - spytałem, może trochę zbyt opryskliwie, bo wkurza mnie, kiedy ktoś mówi mi, co powinienem.

Ja wiem, chciała dobrze. W końcu była moją nową wychowawczynią, więc po prostu próbowała mnie wychowywać. Za to jej płacili. Przynajmniej nie olewała, jak większość dzisiejszych ticzersów. Wcale nie była przez to mniej wkurzająca. Zwłaszcza kiedy odpowiedziała spokojnie;

- Obawiam się, że niestety musisz. Albo cię pożą na surowo.

- To dla mnie nic nowego. Już raz o mało co nie zostałem pożarty przez piranię.

Uśmiechnęła się lekko, ale na tyle wyraźnie, żebym to zauważył. Zaraz potem zgasiła uśmiech i odezwała się sucho:

- Pozwolisz, że tego nie skomentuję. Zapewniam cię, że oni też mają ostre zęby. A dostosować się do nich to nie hańba. To awans. Powiem ci bez zarzucia, bo to żadna moja zasługa, że trzecia A to najzdolniejsza klasa, z jaką się do tej pory zetknęłam. Pełna indywidualności. Nieznośnych, to prawda, ale taka jest cena wybitności. Weź tego grubego, którego przezywacie Dżemojadem. Jest rozwydrzony, czasem taki wulgarny, że chciałoby się go zabić. To prawie geniusz. Dałby sobie spokojnie radę w każdym innym profilu. Wybrał

humanę, bo słusznie mu się wydawało, że tu będzie miał najwięcej wolności. I najwięcej pola dla wykorzystania swoich różnorodnych talentów. Wiesz, że on już dostaje nagrody za filmy animowane, które realizuje w domu na komputerze?

Nie wiedziałem. Jeszcze prawie nic nie wiedziałem o moich nowych kolegach. Na razie nie dopuszczali mnie do poufałości. A ja się nie pchałem. Nigdy pchanie się nie należało do moich zwyczajów.

- Nie chcesz się im narzucać, prawda? - Żelazna Dziewica jakby odgadywała moje myśli, co było bardzo denerwujące.

- Nie potrzebuję.

- Owszem, potrzebujesz. I powinieneś.

- Co powinienem?

- Zrobić wszystko, żeby cię uznali za swojego. Pokazać im, że umiesz.

- A co ja umiem?

Popełniłem błąd. Chciałem ją tylko zbyć, żeby już przestała przytruwać, a ona to odebrała, że mam jakieś kompleksy czy coś w tym rodzaju.

- Nie oceniaj się tak nisko. O ile wiem, to umiesz pisać. Dlatego chcę ci zaproponować, żebyś na początek włączył się w redagowanie „Kowadła”.

Musiałem mieć minę niezbyt szczęśliwą, bo zaczęła mnie agitować:

- Wiem, że może ci się to wydawać zbyt dziecinne, poniżej twoich ambicji... - Nie umiałem zgadnąć, czy szydziła, czy tak jawnie na choma brała mnie pod włos. - ... ale w ten sposób możesz zaprzyjaźnić się z liderami klasy. Kamil Kot to nasz najlepszy polonista, laureat olimpiady. Chyba wiesz, że redaktor Agata Kot z Radia Wisła to jego matka.

- Za wysokie progi - mruknąłem.

- Nie bądź taki skromny. Myślę, że piszesz nie gorzej od niego.

Byłem przekonany na tysiąc procent, że piszę lepiej. Barska źle odczytała moją minę.

- Naprawdę. On trochę zadziera nosa, ale nie jest głupi i na pewno potrafi to docenić. Możesz mu nawet zaimponować. Moim zdaniem, nie masz żadnych powodów, żeby czuć się gorszym od Kamila czy od Ewy Góral.

Słowo daję, ticzersi mają naprawdę niełatwy kawałek chleba. Pomyślałem, że Barska na pewno wolałaby już być w domu i pieścić się z panem Barskim czy jakimś innym facetem, niż opowiadać takie bzdety Kubie Mazurkowi. Przecież widziałem, jak się męczy. Poświęciła się, wzięła mnie sobie na głowę, żebym nie zmarnował młodego życia, więc starała się być konsekwentna. Co ona sobie wyobrażała? Że jest jakimś bogiem, panią mojego życia, że może mnie tworzyć na obraz i podobieństwo? Przecież, jak pomyśleć, ona też jest tylko

zwykłą samicą, która parę razy w ciągu dnia lekcyjnego odwiedza toaletę dla dziewcząt, żeby sikać na siedząco, a co cztery tygodnie zostawia tam swoje zakrwawione alwaysy w specjalnym kubelku, razem z podpaskami swoich uczennic. To jakim prawem patrzy na mnie z góry?

Tak mniej więcej sobie kombinowałem, kiedy Żelazna Dziewica nagle zaczerwieniła się, jakby czytała w moich myślach.

- Co? O co ci chodzi? - spytała.

Pomyślałem, że powinienem odpowiedzieć grubym głosem, jak w filmach: O to, żeby cię zerznąć, bejbi.

I już miałem te słowa na końcu języka, prawie je słyszałem. Ale równocześnie pamiętałem, że gdyby mnie teraz wywalili z „Kuźni”, moja biedna matka chyba by się pochlastała, mój nieszczęśliwy ojciec, wypruwający sobie żyły na obczyźnie, dostałby zawału, a wszyscy moi wrogowie mieliby prawo do głuchej satysfakcji. Więc zachowałem się jak rozsądny chłopiec i tylko potrząsnąłem głową, że nie chodzi mi o nic.

- Chodzi o to, że wspomniałam o Ewie? Tak? Nie masz się czego wstydić. Przecież wiem, że Czarna podoba się wszystkim chłopakom. Wcale się nie dziwię, że tobie też.

No i nie mówiłem?

A wydawało jej się, że jest taka mądra. Szczerze mówiąc, ta Ewka Góral, nie wiadomo dlaczego nazywana Czarną, też może obudzić hormony, jeszcze jak! Tak naprawdę nie jest nawet bardzo ciemna, a oczy ma wręcz jasne. Nie twierdę, że mi się nie spodobała od razu. Musiałbym być chyba jakimś pędzlem, jak powiedziałyby mój subtelny tatuś. Ale za duży przy niej tłok, a tego nie lubię. No i zawsze mnie raczej odrzucało od takich panien jak Czarna, karmionych ptasim mlekiem.

Więc nie chciałem pozwolić, żeby Dziewica dalej była przekonana, że ledwo zostałem łaskawie przyjęty do tej wspaniałej trzeciej A, od razu zakochałem się bez pamięci w najwspanialszej prymusce, której starzy byli kiedyś najwspanialszymi bojownikami Solidarności.

- Drobną pomyłką - sprostowałem. - Wolę normalne panienki.

Jakbym zrobił jej osobistą przykrość. Jakby Ewa Góral była jej ukochaną córeczką czy kimś w tym rodzaju.

- Myślisz, że ona nie jest normalna? To się bardzo mylisz. W gruncie rzeczy ona jest najnormalniejsza z nich wszystkich. Naczelną „Kowadła” została wcale nie dlatego, że jej rodzice są znani. Po prostu najlepiej się nadawała. Więc nie pękaj. Jestem pewna, że się dogadacie.



Normalnie mi ją raila czy jak? Naprawdę wzięła się ostro za urządzenie mojego życia.

- Jeśli taka jest pani profesor opinia, to na pewno - zgodziłem się grzecznie.

Żelazna Dziewica westchnęła.

- Z tobą też nie będzie łatwo, co? Trudno, wiedziałam, co robię. Powiem ci tylko, że jeśli sądzisz, że chcę meblować twój świat, to się mylisz. Jestem z innej szkoły myślenia. Zaproponowałam ci to, bo mam swój interes w tym, żebyś włączył się do redagowania „Kowadła”.

Poczułem, że grzeczność wymaga, abym spytał:

- Jaki?

- Ja też jestem nowa w tej klasie. Jak wiesz, przejęłam trzecią A po profesorze Muchowiczu. Teraz wszyscy się przyglądają, jak sobie poradzę. Po prostu proszę cię, żebyś mi pomógł.

Nie umiałem ocenić, czy to ciąg dalszy tej ściemy, którą ona chyba uważała za psychoterapię, czy rzeczywiście tak się przede mną odsłoniła, co prawdopodobnie było dowodem wielkiego zaufania. Zresztą, wszystko jedno. I tak miałem tylko jedno wyjście, jeśli nie chciałem, żeby moi rodzice zeszli tragicznie. Libertowicz już się nie liczył, a poza nim miałem w szkole prawie samych wrogów. Nie mogłem zaczynać wojny z Żelazną Dziewicą. Okazałbym czarną niewdzięczność.

Barska jest przecież kimś w rodzaju mojej Matki Teresy z Kalkuty.

- Zaufanie pani profesor jest dla mnie zaszczytem.

Uniosłem się na krzesło i ukloniłem.

Znów westchnęła.

- Boże, jeszcze jeden błazen. Za jakie grzechy?

Słowo daję, że odetchnąłem, kiedy znalazłem się po drugiej stronie drzwi. Żelazna Dziewica okazała się jakaś dziwnie miła. To było podejrzane, bo sądziłem, że mi wstawi jakąś umoralniającą katechezę, że to moja ostatnia szansa i tak dalej.

O dziwo, moi nowi koledzy czekali na mnie przed szkołą, najwyraźniej z ciekawości. Czego się spodziewali? Grubas Dżemojad, huśtając na łańcuchu swoje zwały, przyglądał mi się obłeśnie.

- I jak było? - spytał.

- Dostałem propozycję nie do odrzucenia.

- O, jaką? - zainteresował się i znów zaczął udawać tłok parowy.

- Walnij się w ten durny łeb - powiedziałem. - Za karę zostałem redaktorem.

- A nie mówiłem? - ucieszył się. - Dziewica tworzy sobie nową gwardię. Coś mi się

zdaje, Kamil, że twoja gwiazda zaczyna spadać.

- To się jeszcze okaże - warknął Kot z wściekłością, bez cienia poczucia humoru. I ja z tym gościem, chcąc nie chcąc, muszę współpracować. Do tej pory nie jest lekko. Przyszłość też widzę dość czarno.

PS Wracam do tego arta, bo zapomniałem napisać o pewnej dość ważnej rzeczy.

Otóż kiedy w redakcji „Kowadła” pojawił się redaktor Jacek Ładny z „Gazety Krakowskiej”, sytuacja całkiem się zmieniła. Kamil przestał być taki ważny i pewny siebie. Zdaje się, że ten facet, Ładny, naprawdę wie, o co chodzi.

Poszedłem do archiwum i przeczytałem trochę jego reportaży. Takim dziennikarzem chciałbym być. W każdym razie, z nim warto się w to bawić. Muszę się postarać, żeby uznał mnie za partnera. Chyba źle zrobiłem, że pokazałem mu akurat ten głupi art o mojej starej i jej kochasiu. I o karze, jaką wymarzyłem sobie dla Dulemby, żeby jego mała córeczka utopiła się w bagnie.

Zdaje się, że Ładny nie do końca wiedział, co ma o tym sądzić. Może tak wyglądało, że oczekuję od niego rady, współczucia, pomocy. Może nie do końca zrozumiał, po co ja pisuję te kawałki. Sam nie umiałbym tego dokładnie wytłumaczyć. Po prostu, kiedy coś napiszę, od razu widzę to jaśniej albo od innej strony. A głupio jest pisać pamiętnik.

Więc piszę tylko wtedy, kiedy jest jakaś konkretna potrzeba.

Sam jeszcze dokładnie nie wiem, do czego może mi się to przydać.

Ze dwa razy umieściłem moje arty w Internecie, ale wkurzają mnie komentarze głupków, którzy podłą czają się chyba tylko po to, żeby innym prawić złośliwości. Więc na razie dałem sobie z tym spokój. Przyswoiłem z Internetu tylko nazwę. Art, to mi się podoba. Trochę jak artykuł, ale jednocześnie kojarzy się z czymś artystycznym.

Ta moja pisanina to też jeszcze nie wiadomo co.

Adios Che Guevara!

Que viva marijuana!

W nocy Jacek Ładny zabalował w Ritmo Latino i rano obudził się z kacem tak wielkim, że najchętniej w ogóle nie otwierałby oczu. Wiedział jednak, że jeśli pozwoli sobie na poranną słabość, to nie zwlecze się z pościeli do południa, rozwali sobie kolejny dzień i do kaca po tequila dołączy się o wiele gorszy, z powodu marnowania czasu.

Jednym ruchem spuścił nogi z tapczanu i próbował zapanować nad wirowaniem pokoju. Myślał: Znów, krety nie, nawaliłeś się tequilą. Zamiast dotrzymać wierności czystej ojczyściej, po której nie cierpiałbyś tak. I po co? Żeby nie odstawać od urodzonych o

kilkanaście lat później dziennikarskich młodzików? Przecież oni wymyślili tę idiotyczną modę na bimber z jakiegoś kaktusa, bo właśnie chcieli odróżnić się od takich jak ty, reliktyw żytniej i wyborowej. Próbowaleś nadażyć za epoką? No to masz, na co zasłużyłeś.

Myślał: Niech to szlag trafi, nawet nie mogę się wyrzygać. Dawno nauczył się kontrolować picie na tyle, żeby nie przekraczać granicy, poza którą jego organizm odpowiadał zdrową reakcją i uwalniał żołądek od nadmiaru trucizny. Już nie pamiętał, kiedy ostatni raz wymiotował po przepiciu. Pozwalało mu to unikać towarzyskich kompromitacji. Niestety, przedłużało cierpienia nazajutrz. Przewyciężając pragnienie, żeby z powrotem paść na tapczan i przyjąć pozycję embrionalną, dźwignął się na nogi, z zamkniętymi jeszcze oczami dotoczył się do biurka i włączył komputer. To był zawsze najlepszy sposób. Teraz zaczynał działać automatyzm.

Hipnotyzujący blask ekranu zmuszał głowę do aktywności. Często nie takiej, jakiej należałoby sobie życzyć, ale zawsze jakiejś. Otworzył plik z zaczętym artykułem o ćpunach. Właśnie wpłynął do sejmu kolejny projekt zmian w ustawie o zwalczaniu narkomanii. Autorzy proponowali ostre przykręcenie śruby i zamykanie wszystkich schwytych na gorącym uczynku. Ładny miał napisać tekst, który byłby głosem w dyskusji, jaka rozpętała się wokół sprawy. Nie było to nic trudnego, w gruncie rzeczy samograj. Wystarczyło cytować obie strony.

Miał już w zeszycie spisane opinie jednych i drugich. Takich jak Gabriela Piontek czy je den z jej szefów, młodszy inspektor Borejko, którzy byli gotowi wsadzać do więzienia każdego, kto da się złapać choćby z jednym skrzętem czy tabletką ecstazy. I zajadłych wrogów zaostrzania łagodnej dotąd ustawy. Ci ostatni wywodzili się na ogół spośród fachowców od terapii i byłych narkomanów. W głębi duszy uważał, że ta pisanina nie ma sensu. Wziął temat, bo przyszło mu do głowy, że przy okazji poprosi o opinię tak że Mariana Dulembę, jako autora zaangażowanego antynarkomańskiego dramatu. I w ten sposób będzie okazja poznać faceta.

Ładny nie wierzył w to, co napisał Kuba o córce Dulemby. To znaczy, sam siebie wiele razy zapewniał, że nie wierzy. Ale jakiś cień niepokoju pozostał. Jeśli smarkacz naprawdę zrobił dziewczynce jakieś świństwo, to on, Ładny, powinien mimo wszystko zareagować. Musiał to sprawdzić. Dla spokoju sumienia.

Złościło go, że Mazurek coraz bardziej wciągał go w swoje sprawy. Tylko że już nie wiedział, jak się wyplątać. Zaczął nawet podejrzewać, że smarkaczowi może właśnie o to chodziło.

Dulemba w rzeczywistości wyglądał dużo lepiej niż w opisie Kuby. To prawda, że nie

był najmłodszy, ale postawny i wysportowany. Krótko przystrzyżona szpakowata broda nadawała mu wygląd szlachetnego myśliciela. Ładny pomyślał, że nie miałby nic przeciw temu, żeby tak wyglądać za dziesięć lat.

Zastał go akurat w biurze u Mazurkowej i w ten sposób udało się mu namierzyć oboje naraz.

- Przepraszam, że tak bez uprzedzenia, ale czasy są brutalne - przywitał się i dopiero potem przedstawił.

Z doświadczenia wiedział, że brutalnością czasów można wyjaśnić w tym kraju wszystko i po takim wejściu z większością rozmówców natychmiast nawiązuje się nie porozumienia.

Tak stało się i tym razem.

- Coś o tym wiemy - mruknął Dulemba.

Mazurkowa rozpromieniła się.

Ładny zarejestrował, że jest kobietą bardzo silnie reagującą na zewnątrz.

- A, to pan opiekuje się moim Kubą. To znaczy, szkolną gazetką poprawiła się. - Już dawno chciałam pana poznać. Kuba nie może się pana nachwalić.

Ładny zauważył, że to ostatnie wcale nie spodobało się Dulembie - Zupełnie się nie zdziwił. Szybko wyjaśnił, po co przyszedł.

- O ile się orientuję z lektury, panie Jacku, to pan jest zwolennikiem liberalnego kursu. Może nawet legalizacji tak zwanych miękkich narkotyków? - wycedził Dulemba z przekąsem.

- Nie, panie Marianie - Ładny starał się dostosować do tonu rozmówcy. - Próbuję tylko być bezstronny.

- Wygodna postawa - mruknął reżyser.

- Cóż, panie Marianie. Jestem, jak to mówią, tylko lustrem, które przechadza się po dziurawych polskich drogach i odbija koślawe polskie wierzby. Choć może by i wołało odbijać palmy w Cannes.

- Dawniej, panie Jacku, ludziom pióra chodziło, żeby nie tylko opisywać rzeczywistość, ale też próbować ją zmieniać. Karol Marks, jedenasta teza o Feuerbachu.

- Pamiętam, panie Marianie, też się jeszcze na to załapałem.

- A nie, nie, panie Jacku. - Dulemba najwyraźniej uwielbiał takie potyczki słowne. Usiadł bokiem na biurku Mazurkowej, rozluźnił się i z satysfakcją kiwał palcem. - Nie tylko Marks, na swój nieudolny sposób, chciał zmieniać świat. Także, na przykład, taki Jezus Chrystus. Może ta postać przypadkiem też jest panu znana? Jezus wybaczył nawet łotrowi na

krzyżu. Co mówić o biednych ćpunach na głodzie. Jak pan słusznie zauważył, panie Jacku, na krzyżu. Co innego wybaczyć, co innego przyzwalać.

Ładny uśmiechnął się pojednawczo. Dobrze wiedział, że dyskusje na temat narkotyków można prowadzić tygodniami i nie ruszyć z miejsca. Między zwolennikami różnych poglądów nie było szans na zbliżenie. Strata czasu. Bardziej frapowało go obserwowanie Mazurkowej.

Skończywszy czterdziestkę, wyglądała wciąż ładnie i młodo. Była może przesadnie szczupła, wręcz chuda, miała nerwowe dłonie, które wciąż musiały być czymś zajęte, i długie włosy, farbowane na ciemny kasztan, opadające na plecy. Ale Ładny od razu zarejestrował, że przy tej chudości miała całkiem duże piersi. Tylko że najwyraźniej była nie do wzięcia. Patrzyła na Dulembę wzrokiem, jakim uczniowie patrzą na guru. A Ładny pomyślał: Jakim Maria z Magdali mogła patrzeć na Jezusa. Sam dałby dużo, żeby jakaś kobieta patrzyła tak na niego. Nawet jeśli Kuba nieco ubarwił rzeczywistość, opisując więzy łączące jego matkę z reżyserem Dulebą, to w tej sprawie na pewno nie kłamał. Kuba widział w przyjacielu swej matki tylko starego debila. A to nie było takie proste.

Dulemba miał w sobie żar i szaleństwo pierwszych chrześcijan, jakąś szlachetną naiwność, której nie zabiły w nim upływające lata i ponoszone klęski. Zabrakło mu talentu, a może tylko szczęścia, by zostać wielkim reżyserem. Nie dla niego były powalające widownie na kolana inscenizacje „Makbeta”, „Dziadów” i „Braci Karamazow”. Nie dla niego Stary Teatr, Comedie Francaise czy inny Odeon. Ale znalazł swoją misję i był gotów poświęcić jej życie. Jego desperacja mogła robić wrażenie. To przypomniało Ładnemu, po co tu naprawdę przyszedł. Kilka minut później mógł odetchnąć.

Dulemba miał wprawdzie córkę o imieniu Julia, ale dziewczynka skończyła dopiero osiem lat i w żaden sposób nie mogła być bohaterką niemoralnej opowiadki Kuby Mazurka. Pisanie chłopaka przypominało raczej zabiegi magiczne, jakby wbijanie igieł w woskową laleczkę, symbolizującą wroga. Ulga była naprawdę duża.

Ładny mógł się poczuć zwolniony z obowiązku dalszego zajmowania się tą sprawą.

Spisał więc tylko szybko, co Dulemba myślał o projekcie ustawy antynarkotykowej, a co potrafiłby sam wykombinować, nie ruszając się zza biurka. I już mógł się pożegnać, zostawiając reżysera sam na sam z wpatrzoną w niego rozmodlonym wzrokiem Anną Mazurkową. Teraz trzeba było tylko to wszystko wprowadzić do pamięci komputera.

Świeący ekran natarczywie przypominał o swoim istnieniu.

Ładny postawił obok klawiatury półtoralitrową muszyniankę i zaczął stukać w

klawisze. Na wypicie kilku łyków pozwalał sobie dopiero po napisaniu kolejnego tysiąca znaków. W ten sposób, mimo że kac nie ustępował, dwie godziny później tekst był prawie gotowy. Jeszcze poprzedniego dnia miał zamiar rzetelnie wyważyć racje obu stron. Przeszło mu to.

Piszząc, nie ukrywał już, po której stronie bije jego serce. Z rozmysłem łamał reguły sztuki dziennikarskiej. Żeby co niektórych zdenerwować. Nie Mariana Dulembę, bo na zdaniu reżysera tak bardzo mu nie zależało. Przede wszystkim tę pyską Agatę Kot, która wszystkich traktowała jak swoich rozmówców w Radiu Wisła. Poprzedniego dnia spotkał ją w Ritmo Latino. Od dawna mu się podobała, ale z drugiej strony często doprowadzała go do wściekłości. Nie miała w sobie za grosz tolerancji. Czasem podejrzewał, że po prostu lubi się awanturować. I to go w niej raz odpychało, a raz pociągało.

Poprzedniej nocy naprawdę go wkurzyła. Najpierw ujęła za serce, żeby potem tym mocniej zdenerwować. Nie umiał już sobie przypomnieć, jak znalazł się wśród nich Angelo, student z Kolumbii, którego wszyscy nie wiadomo dlaczego nazywali tym włoskim imieniem. Nie protestował, więc widocznie mu się podobało. Wciąż przesiadywał w Ritmo Latino. Albo był jednym z cichych współwłaścicieli, albo tylko załatwiał dla nich jakieś biznesy, bo dość dobrze znał polski. W każdym razie krąg jego krakowskich znajomości przedstawiał się imponująco. Najprawdopodobniej był więc kumplem młodzików i to oni zawołali go do towarzystwa.

Nie pamiętał też, z jakiego powodu Agata ścięła się z tym Indianinem. Może denerwowało ją, że spoglądał na nią jak na pewną zdobycz. Angelo co prawda patrzył tak na każdą kobietę ładniejszą od diabła, ale Kot wyjątkowo tego nie znosiła. Zdobywcze spojrzenia Kolumbijczyka tym bardziej doprowadzały ją do szału, że być może z ochotą pozwoliłaby mu się przelecieć, a w żaden sposób nie mogła sobie pozwolić na taką ekstrawagancję.

Ładny byłby gotów postawić trochę pieniędzy, że chodziło właśnie o to. Oczywiście gdyby je miał.

- A pan czym się zajmuje w Polsce? - spytała zaczepnie. - Bo słyszałam, że studia pan przerwał.

- Jestem Angelo. - Odsłonił białe zęby i odgarnął z policzka kosmyk kruczoczarnych włosów.

- A ja pani Kot, bardzo mi miło. To co pan właściwie tu robi?

Indianin najwyraźniej zdenerwował się, że jego machismo nie zostało docenione.

- A ja wiem, co ty myślisz, pani Kot, że Angelo wozi koka. Chciałaś fajny reportażyk,

co nie? Od pierwsza ręki? Ty nie wiesz, pani Kot, że to pieprzony rasizm? Indianin, to zaraz wozi koka?

Młodzi próbowali łagodzić, żartować, ale Kot była już w polemicznym amoku, co jej przynosiło znaczny rozgłos jako dziennikarce radiowej, jednak w życiu bywało nieznośne.

- Jakoś tak się składa, panie Angelo, że ostatnio w Krakowie naprawdę pojawia się coraz więcej kokainy. Ciekawe skąd? Może koka rośnie w Zielonce? Może w Kłaju? Może w Nowym Targu?

- Angelo nie interesuje to. - Angelo uśmiechnął się ironicznie. - Tobie interesuje, pani Kot, twój problem. Ty pytasz Angelo, pani Kot, skąd idzie koka do Krakowie? Angelo to nie wie. Z Kolumbia? To może być. Ale ty powiedz, pani Kot, czy Colombiano wozi koka tutaj? Ty chora? Ty wiesz, jak Indianin czesany na aeropuerto? Jakby wszy on miał. Albo te, ty wiesz, pani Kot, mendy, co nie? Idzie koka do Krakowie, to Polak wozi, nie Colombiano.

- Aha, to może Polak też sadzi koka, przerabia liście koka na proszek koka? - zaczęła go przedrzeźniać.

- Co ty wiesz, pani Kot. - Indianin machnął ręką. - Chłop Colombiano, on nie wciąga kreski, on nie pali crack, on nie daje do żyły. On uprawia ziemia i chce żyć. Z czego? Z czego może Indianin żyć? Kawa, bananas, caña de azucar, na tym trzyma łapy kapitalista i gringos. Dla Indianin jest koka, żeby żyć.

- Przyjemnie pana słuchać, panie Angelo. Pięknie pan nawija, jak sam Che Guevara. Adelante, comandante\

Angelo zaśmiał się dobrotliwie, jakby słuchał dziecka.

- Che Guevara? On był cretino.

Potem zanucił swoim lekko matowym, indiańskim głosem: Adios Che Guevara\ Que viva marijuana...

- Dokładnie - ucieszył się jeden z młodzików, z którego parowała tequila. - Dobra maryśka nie jest zła.

- Jezuuus, nie mogę tego słuchać. - Agata Kot prawie zawyla, chwyciła Ładnego za rękę i pociągnęła tak silnie, że mało nie wyrwała mu jej ze stawu. - Może wreszcie ze mną zatańczysz i uwolnisz mnie od tego towarzystwa.

Niespodziewanie dla samego siebie znalazł się na parkiecie w sąsiedniej sali, przerobionej na latynoską dyskotekę. Uczucie było dziwaczne. Za murami wciąż moknął w deszczu Kraków, a obok na Plantach Grottger na pomniku zasepiał się, jak zawsze, nad trupami powstańców styczniowych. Tu całą długą ścianę pokrywało nieudolne malowidło, udające meksykański mural, jakby jakiś miejscowy pacykarz ubrdał sobie, że jest Biegiem de

Riverą. Kolorowe światła fireballi omiatały mur, wydobywając z mroku postaci indiańskich chłopów i ludzi w mundurach, wyglądających jak partyzanci Fidela Castro. Z głośników waliła muzyka mariachis w rytmie disco. Wszystko razem sprawiało wrażenie tak gigantycznego kiczu, że aż nabierało rangi niezwykłego przeżycia artystycznego. Przynajmniej w zamglonych tequilą oczach Jacka Ładnego, dodatkowo oszołomionego niespodziewaną bliskością ciała Agaty Kot. Brał oczywiście pod uwagę, że taka sytuacja może się kiedyś zdarzyć. Nawet sam jej szukał. Kiedy przyszła, zaskoczyła go.

Tańczyli może pół godziny bez przerwy, nie rozmawiając, bo w ogłuszającym ryku mariachi disco nie było to możliwe. Kot okazała się wymagającą partnerką, lubiła tańczyć blisko, a równocześnie dynamicznie, co Ładnego zmuszało do dużej koncentracji. Nie miał szans, by jej dorównać, ale przyjmowała jego niezdarności wyrozumiale. Pozwalała mu przyciskać się mocno i wchodzić sobie w krok, czego już dawno nie próbował na parkiecie. Było dobrze. Nie miał wprawdzie kondycji, ale dotrwał do chwili, kiedy to ona pierwsza zaproponowała przerwę. Indianin Angelo gdzieś znikł, młodzi wtopili się w inne grupki. Na szczęście znalazły się dwa wolne stołki przy barze, gdzie było o wiele bardziej intymnie niż na sali. Pozornie. Bo już kilka chwil później młodzi dostrzegli Agatę i pomachali jej wesoło. Odwróciła się i ze złością zapaliła papierosa.

- Nie mogę, nie mogę - powtarzała. - Widzisz? Dobra maryśka nie jest zła! A to durne palanty.

- Przesadzasz - powiedział Ładny. - Tak im się tylko gada. Nawalili się. Obecne pokolenie ma słabe głowy.

- Byłoby pięknie, gdyby to była prawda. Ale te głupki naprawdę w to wierzą. Słowo daję, głupota bywa zbrodnicza.

- Ty nigdy nie próbowałaś? - spytał, bo kiedyś słyszało się o niej to i owo. Zresztą, sam pamiętał ją sprzed lat.

- Ja to ja. To były inne czasy. Byłam dorosła. Nie wciągałam w bagno żadnych dzieciaków. Nie opowiadałam naokoło, że dragi są okey. Za samo takie gadanie obcinałabym języki.

- Daj spokój. - Jej zajadłość zdumiała go. - Mówisz całkiem jak pan Dulemba, nasz znany artysta profilaktyczny.

Odchyliła się na stołku, spoglądając Ładnemu w oczy przenikliwie i niespodziewanie trzeźwo.

- A co ty właściwie masz przeciwko Dulembie?

- Właściwie nic. Poza tym, że wciska ludziom szmirę za pieniądze podatnika.



- Naprawdę tak myślisz?

Nie myślał tak. Nie miał pojęcia, co naprawdę sprzedaje Marian Dulemba w swoim Teatrze Nieobojętnym. Nie widział żadnego z jego przedstawień. Niespodziewanie dla samego siebie zaczął mówić tekstem Kubby Mazurka.

- A co, nie mam racji? - spytał.

- Oczywiście, że nie. Może Dulemba jest trochę nawiedzony, ale robi dobrą robotę. Przynajmniej coś próbuje.

- Głównie posuwać żonę faceta, który w tym czasie zaharowuje się za granicą.

- Zaraz, co ty pieprzysz?

Wzburzenie Agaty Kot nie wyglądało na udawane. Zrobiła ruch, jakby miała ochotę zeskoczyć ze stołka. Powstrzymał ją, kładąc pojednawczo dłoń na jej ramieniu. Nie miał ochoty pokłócić się z nią z takiego powodu.

- Myślałem, że wiesz. Zresztą, nic mnie to nie obchodzi.

- Oczywiście, że nic cię to nie obchodzi. Mimo to papłasz, co ci ślina na język przyniesie. Kto inny jeszcze by uwierzył.

- Nie sądziłem, że tak poważnie to potraktujesz. Znasz ją?

- Upiłeś się? Przecież nasi synowie chodzą do jednej klasy.

- Pamiętam. Miałem na myśli bliższą znajomość.

- Oczywiście. Studiowałyśmy na jednym roku.

- Nie wiedziałem. Nie obrażaj się.

Nie obraziła się. Była tak nakręcona, że najwyraźniej miała potrzebę wygadania się i nie mogła się obejść bez słuchacza. Może sprawiał to brak mikrofonu. Może tequila. Może niezakończone starcie słowne z Anielem. A może tak już miała. Jacek Ładny słuchaczem był idealnym. Czuli to zwłaszcza kobiety. Na pewno lepszym niż młodzi koledzy. Oni sami za bardzo lubili gadać. Ładnemu wcale nie zrobiło się przyjemnie, kiedy Agata Kot postawiła go z nimi na równi.

- Nie sądziłam, że myślisz tak samo, jak ci gówniarze. Łatwo wam być liberałami, bo nie drżycie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę o swoje dzieci. Jak Ania Mazurkowa. Albo ja.

- Ty chyba o swojego Kamila nie musisz drzeć? To wzór.

- Tak uważasz? Czy kpisz sobie? - Popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Czemu mnie o to podejrzewasz? Bo twój syn źle się o mnie wyraża?

- Wiesz o tym?

- Nie żartuj, nie jestem takim idiotą, na jakiego może w twoich oczach wyglądam. To

się czuje.

- Masz rację. Kamil jest aż za święty. I właśnie to mnie przeraża. Nikt nie jest dla niego dość dobry. Nie tylko ty. Ja także.

- Widocznie siedemnastolatki tak mają.

- Nawet jeśli tak, Kamil ma tego za pięciu. Ja wiem, on może czuć, że ma powody. Niestety, byłam taka nowoczesna, że nie zadbałam, żeby miał w domu ojca. Sama też nie miałam do niego głowy, musiałam walczyć z komuną, potem robić karierę. Boże, karierę. - Zaśmiała się gorzko. - Ale kariera.

- Utrzymujesz się na powierzchni. W tych czasach to nie jest mało.

- Nie jest mało? Jacek, co to się z nami porobiło? Kiedyś o coś nam chodziło, o coś walczyliśmy. A teraz? - Machnęła ręką.

Ładny uśmiechnął się.

- Adios Che Guevara...

- Żebyś wiedział. Już lepszy Che Guevara niż to gówno. Kariera! Utrzymać się na powierzchni. Utrzymałam się, a tymczasem mój syn stał się obcym facetem. Pozwoliłam, żeby dziadkowie przerobili Kamila na swoje kopyto. I dziwić się, że jest taki sam, jak oni? Wszystko ma wszystkim za złe. On jeden jest święty.

Odruchowo złapał Agatę za rękę, którą trzymała na barze. Pół godziny wcześniej byłby to gest zaplanowany. Teraz był spontaniczny, wszystko wyszło naturalnie.

- Nie obwiniaj się. Cokolwiek rodzice zrobią, i tak będą winni.

Nie cofnęła dłoni. Przekręciła ją i lekko oddała uścisk. Spojrzała na Ładnego i uśmiechnęła się trochę kpiąco, a trochę smutno.

- Wiesz to po sobie, co?

Miała rację. Nie mógł uważać się za dobrego ojca. Nie było się więc o co obrażać.

- Widzisz? Właśnie dlatego zawsze tak podziwiałam Anię - powiedziała Kot. - Niesamowita dziewczyna, naprawdę. Na studiach była dużo zdolniejsza ode mnie, nie dorastałam jej do pięt. Ale się zakochała w ćwoku z polibudy. - Prychnęła z pogardą. - No i skończyła w domu kultury.

- A co mogłaby robić? Pracować w Radiu Wisła i podstawiać ludziom sitko?

- Głupi jesteś. To ja podstawiam sitko. Ona mogła zostać nową Martą Meszaros.

- Jesteś pewna, że by to wolała?

- Bądź spokojny, wolałaby. Tylko chciała wyrwać się z domu, od swoich drogich rodziców. To właściwie jacyś przyzwoici ludzie, chyba nauczyciele. Ale mentalnie wiek dziewiętnasty. Wiesz, Boże, coś Polskę, te rzeczy. Zdawało jej się, że jak wyjdzie za mąż, to

coś się zmieni. No i zmieniło, ale na gorsze.

Myślał: A ty w kim się zakochałaś, Agato Kot, aktywistko Niezależnego Zrzeszenia Studentów i podziemnej Solidarności, reporterko niezależnego Radia Wisła? W czym twój wybrany mężczyzna okazał się lepszy?

- Znasz go? - spytał.

- Wojtka Mazurka? Jasne. Wiesz, na studiach to był właściwie zupełnie w porządku facet. Pochodzi z jakichś buraków, ale nikt sobie rodziny nie wybiera, nie? Tak że naprawdę, fajny był. Udawał, że zależy mu na czymś więcej niż tylko na forsie, że zerwał smycz. Taka dusza towarzystwa. Grał na gitarze, występował w kabarecie, jeździł na nartach, pływał na żaglówkach, krótko mówiąc, wiesz, nie dziwię się, że zawrócił Ance w głowie. Niestety, po ślubie wylazł z niego burak.

Myślał: Znaczący to zapewne, że po założeniu rodziny Wojtek Mazurek zaczął główkować, jak zarobić na wspólne życie. Zasuwał dniami i nocami, równocześnie pisząc pracę magisterską i wynajmując się za murzyna do cudzych projektów. Potem ruszył za pieniędzmi w świat. Skończyły się imprezki, ogniska z gitarą, wyjścia do teatru i wyjazdy na festiwale muzyczne. On harował, a ona się nudziła. Kiedy urodził się Kuba, biedaczka wpadła w depresję. Feministyczna propaganda.

- W końcu pan mąż wziął dupę w troki, pojechał za granicę i zostawił ją samą z dzieciakiem.

Nie miał ochoty z nią dyskutować. Wiedział zresztą, że to nie miałyby sensu. W takich wypadkach babska solidarność była odporna na wszelkie argumenty.

- Za to przysyła forszę - przypomniał tylko.

- A co komu z takiej forsy? Możesz mi wierzyć, ja wiem, co to znaczy, radzić sobie samej z dorastającym chłopakiem. Dlatego Ania tak mi imponuje. Choć ma z Kubą dużo większe problemy niż ja z Kamilem.

- Myślisz?

- Ja nie myślę, ja wiem. Czasem dziękuję Bogu, że z dwojga złego Kamil jest taki święty. To przynajmniej nie grozi śmiercią. A mimo to Ania, choć ma tyle swoich problemów, próbuje robić coś więcej, żeby inni gówniarze się nie wykolejali. Przecież ten cały Teatr Nieobojętny to jej robota, sam Dulemba jest na to za leniwy.

Ładny, chcąc nie chcąc, znów zaczął myśleć o Kubie Mazurku. Choć wcale nie miał ochoty. Miał ochotę myśleć o czymś zupełnie innym. Bliskość ciała Agaty Kot, którą czuł prawie bez przerwy od paru godzin, domagała się jakiegoś skonsumowania. Wiedział już, że Kamil wyjechał do dziadków. Właśnie dlatego Agata pozwoliła sobie na nocną hulankę. Ten

wieczór nie powinien się tak po prostu zakończyć. Wydawało mu się, że zaproszenie było wyraźne, przecież nie musiała informować go, że będzie w domu sama.

W taksówce nie odważył się na żaden bardziej zdecydowany gest, choć czasu miał dużo, bo mieszkała na jednym z ponurych blokowisk w Nowej Hucie. Może dlatego, że z jej strony nie odebrał kolejnego wyraźnego sygnału. A może deprymowały go zachęcające spojrzenia bezczelnego taksjarza, które przyłapywał w lusterku. Skręcili między ciemne o tej porze nocy wieżowce i Ładny poczuł, że czas minął. Rzeczywiście, kiedy wysiadł za nią z taksówki, powstrzymała go:

- A ty dokąd?

- Pomyślałem, że powinienem cię odprowadzić pod drzwi. Tu nie wygląda bezpiecznie.

- Chyba za dużo myślisz, wiesz? To mój teren. Sama jestem bezpieczniejsza niż z tobą. Dzięki za miły wieczór.

Wkurzył się. Nie miał ochoty na żadne podchody, oboje byli na to za starzy. Pomyślał, że jeśli nie, to nie. Wsiadł z powrotem do taksówki i ze złością zatrzasnął drzwi.

- Tak to jest z tymi babami, kierowniku, co? - zagaił taksjarz. - Jak?

- Narobią człowiekowi smaka, a potem: Dzięki za miły wieczór. Pan nie umiesz z nimi postępować.

- A jak trzeba?

- Króciutko. Za kudły i o glebę. Ale pan jesteś chyba jakiś inteligent, kierowniku, co?

- No - Jacek Ładny pokiwał głową w ciemności, spoglądając przez okno.

Zanim wysiadł w Prokocimiu, miał gotowy nowy plan tekstu o ustawie antynarkotykowej. Zmienił zamiar. Uznał, że nie będzie wcale obiektywny, choćby się to miało nie spodobać szefom. Oni też byli za wsadzaniem ćpunów do kryminału. Niewiele wiedzieli o narkotykach, ale dali się ogarnąć ogólnonarodowej psychozie. Myślał: Ktoś w końcu powinien przeciwstawić się panice rozsiewanej przez mamuśki, które nie mogą sobie poradzić z dorastającymi synami.

Przypomniał sobie dokładnie cały wieczór, kiedy po raz ostatni czytał tekst w komputerze, poprawiając nieliczne literówki. Pozostało tylko zakończenie. Postanowił przywalić. Jako pointę wykorzystał wspomnienia byłej narkomanki, która trafiła kiedyś do aresztu i bardzo plastycznie opisywała tortury głodu narkotycznego, jakich doznawała w celi. Podczas gdy na zewnątrz narkotykowy biznes nadal rozkwitał w najlepsze. Nie musiał się wcale wysilać, dziewczyna pisała z pasją. Myślał: Masz fuli racji, kochana. Chcą pozamykać ćpunów tylko po to, żeby uspokoić własne sumienia. I strach. Szybko wklepał stosowny cytat:

Mówi się, że w tak zwanych cywilizowanych społeczeństwach tortury zostały dawno zniesione. Okazuje się jednak, że zasada ta ćpunów nie obejmuje. Ćpun to przecież nie człowiek, to śmieć, gówno, rzygowina. W najlepszym razie zwierzę pozbawione duszy. Przynajmniej według naszych świętoszkowatych parlamentarzystów, rozhisteryzowanych rodziców i podsycających tę histerię dziennikarzy. Za ich sprawą szykuje się więc powrót Świętej Inkwizycji w nowoczesnym wydaniu. Jak kiedyś czarownice, a później Żydzi, tak ćpun staje się idealnym kozłem ofiarnym na nadchodzący XXI wiek.

Miał jeszcze trochę wątpliwości, czy nie za ostro. Ale kiedy pomyślał, jak spojrzała na niego Agata Kot na odchodnym, bez dalszych wahań otworzył pocztę internetową, wpisał e-mailowy adres redakcji i z satysfakcją kliknął w ikonkę „wyślij”.

### Żmijka na haju (pisze Kuba Mazurek)

Dulemba mógłby się schować ze swoimi scenariuszami. Sam potrafiłbym napisać mu dziesięć razy lepszy. Wystarczyłoby opowiedzieć tylko to, co już wiedziałem o Żmijce Huber. Nie wiedziałem wszystkiego, ale wcale nie musiałbym dużo zmyślać. Najwyżej trochę.

Najpierw poznałem jej kuzyna. Mało kto się orientował, że Żmijka Huber jest kuzynką piosenkarza, znanego pod ksywką Pacyfista albo Pacyfa. No, tego, co kiedyś śpiewał z Miłozem Balangą w Ruchu Oporu, a potem ostro zadołował. Właściwie obaj założyli ten zespół, który wyskoczył od razu pierwszą piosenką „Ruch oporu trwa”. Nie puszczała ich w radiu, ale tym szybciej stali się jedną z największych gwiazd undergroundu. Fani zaczęli ich nazywać Opornikami, bo dla jaj przypinali sobie elektryczne oporniki, jak kiedyś ludzie w stanie wojennym. Z początku Pacyfa był nawet sławniejszy od Miłozza, miał swoją legendę. Ksywkę wziął po Pacyfście numer jeden, słynnym krakowskim hipie, który za głębokiej komuny odmówił pójścia do wojska i odpękał za to dwa lata za kratami. Pacyfa po latach powtórzył jego numer i choć przesiedział tylko parę tygodni, a potem dostał służbę zastępczą, też zaimponował małodatom.

A teraz śpiewa najwyżej na ulicy, za parę zetów, które mu rzuca z litości. Widywałem go często, siedzącego na Siennej, Szewskiej albo Grodzkiej, ale nigdy nie łączyłem ze Żmijką. Wcześniej prawie jej nie znałem. To fakt, że chodziła do naszej szkoły, zanim jej starzy nie dostali propozycji nie do odrzucenia, żeby ją przenieść gdzie indziej. Ale niewiele mnie obchodziła. Nasze ścieżki nie przecinały się. Choć szczerze mówiąc, trudno było jej nie zauważyć. Jakiś czas przed tym, jak „Kuźnia” się jej pozbyła, zaczęła dawać czadu, jeśli chodzi o ubiór. Robiła się na punkowe czy coś w tym rodzaju. Odblaskowe kudły, piercingi, imitacje tatuaży, próbowała różnych rzeczy, byle tylko zaszokować. Tyle że specjalnie nikogo

nie szokowała. W dzisiejszych czasach nie jest to takie łatwe.

Ticzerzy nie wydawali się zachwyceni, ale było to jeszcze za Libertowicza, kiedy w „Kuźni” panowała moda na tolerancję, więc nie czepiali się wprost włosów czy kolczyków Żmijki. Nie mówili, że zgłupiała, bo maluje łeb na zielono, tylko dlatego, że nie ma pojęcia o zasadach termodynamiki i obrazie odradzania się państwowości polskiej w „Przedwiośniu” Stefana Żeromskiego. Starsi Żmijki dostawali szału i pewnie właśnie o to jej chodziło. Jeszcze niedawno była grzeczną panią, podstawówkę skończyła z czerwonym paskiem, i nie mogli zrozumieć, co się nagle stało. Czasem zaczynam wierzyć, że wszyscy starzy są jednakowo głupi.

No więc tak naprawdę to Żmijkę poznałem dopiero u Pacyfy, w jego mieszkaniu przy Dietla. Kiedy nie ułożyło mu się ze śpiewaniem, zaczął handlować płytami w budce niedaleko dworca. Trochę legalnie, a trochę piratował. Większość najlepszych nagrań trzymał w domu, dla zaufanych klientów. Często kupowałem u niego, bo nie zdzierał, czasem nawet zgadzał się poczekać na kasę parę dni. Dużo kolesi zaopatrywało się w nowości u Pacyfy. Bo kogo dzisiaj stać na legalne płyty?

Jednego dnia buszowałem właśnie w jego zasobach, kiedy z głębi mieszkania niespodziewanie wyłoniła się Żmijka Huber. Pacyfa odziedziczył po swojej babci mieszkanie przepastne, pełne zakamarków, w których można się było zgubić. Żmijka też wyglądała, jakby zabłądziła. Oboje byliśmy mocno zdziwieni swoim widokiem, a ona poza tym mocno niezadowolona. Mogłem to zrozumieć, bo wyglądała nie za pięknie. Włosy, niepomalowane teraz na żaden zajebisty kolor, były szare i tłuste. Na czole pryszczki, na policzkach jakieś plamy. Miała na sobie straszliwie złachany, brudny i o wiele za duży dres. Spodnie opadały jej do połowy tyłka i co chwila podciągała je niecierpliwie. W buzi trzymała skręta i najwyraźniej szukała ognia.

- To Iwona, moja kuzynka - wyjąkał Pacyfa, który wyglądał na przerażonego nagłym pojawieniem się Żmijki. Nie wiedział, na ile może mi zaufać. Oficjalnie nie byłem dopuszczony do tajemnicy, że dorabiał sobie do płyt, dilując maryskę, ale coś mi się o uszy obilo. Kraków jest mały, takie rzeczy się wie.

- Znamy się - powiedziałem tonem kogoś swojego, żeby go uspokoić.

- Tak? - spytała Żmijka wrogo.

Trochę mnie zbiła z tropu, bo rzeczywiście, znaliśmy się tylko ze szkolnego korytarza, ale brnąłem:

- A nie? Chodzisz do drugiej Be, myłę się?

- Bo co? Czyżbyś też ucęszczał do sławnej „Kuźni”? Nie wyglądasz.

Wkurzyła mnie, słowo daję. Kim ona była, ze swoimi pryszczami i bladym tyłkiem w brudnym dresie, żeby tak do mnie gadać? I ze swoim skrętem w pysku? To fakt, była w „Kuźni” grupa snobów, którym się wydawało, głównie z powodu ich starych, że są nie wiadomo kim. Ale kim byli rodzice Żmijki? Nie słyszałem o nich nic takiego, co mogłoby usprawiedliwiać zadzieranie nosa. Ledwo znikła, Pacyfa, wyraźnie przestraszony, zaczął się przede mną tłumaczyć:

- Proszę cię, zachowaj to dla siebie. Ta wariatka uciekła z domu. Przecież nie wyrzucę jej na ulicę. W dodatku zasmradza mi chałupę, jeszcze sąsiedzi poczują. Nie mam pojęcia, skąd wzięła trawę.

- Spoko - powiedziałem. - Chyba nie myślisz, że pójde cię zakapować? Za kogo mnie masz?

Trochę się zmieszał.

- Nie chodzi mi o to. Przecież wiem, że nie jesteś kapusiem. Tylko jakby jej starzy się dowiedzieli, że jest u mnie, to nawet nie chcę myśleć. Jej ojciec to prawdziwy psychol, nie znasz go.

- Słuchaj, nic nie widziałem, nic nie słyszałem. Zabieram płytę i spadam.

I tak też zrobiłem, bo czułem się dosyć głupio. Później, choć wcale tego nie chciałem, zacząłem wieczorami przed zaśnięciem rozmyślać o Żmijce Huber. O niej i Pacyfie. Zacząłem główkować, czy on na pewno przestraszył się tego, że nakryłem go na dragach. Ostatecznie wiedziało o tym pół miasta. Może tym, co miał do ukrycia, była Żmijka. Chyba nie trzymał jej na chacie bezinteresownie. I nie za darmo jarała jego trawę. Co za to dostawał? Odpowiedź wydawała się prosta jak konstrukcja cepa. A Żmijka była jeszcze wtedy niełatą. Do piętnastu brakowało jej dwóch miesięcy. Sprawdziłem.

Następnym razem natknąłem się na Żmijkę dopiero na szkolnej zabawie przy końcu karnawału. Caban wymyśliła, że trzeba wrócić do dawnej dobrej tradycji szkolnych wieczorków. W ten sposób można mieć młodzież pod kontrolą i ustrzec ją od szatańskich niebezpieczeństw, jakie czyhają w modnych dyskotekach i na domowych imprezkach. Prawie wszyscy kpili z pomysłu dyrektorki, ale potem przyszli. Nie było w tym nic dziwnego. Bali się podpaść. Caban wyraźnie dała do zrozumienia, że nieobecność będzie źle widziana. Pomału, ale z konsekwencją walca drogowego likwidowała przejawy tolerancji i luzu, całej tej zgnilizny, w której zaczął pograżać „Kuźnię” Libertowicz.

Najlepszy dowód, kogo wzięła na didżeja. Rafała Podkościelnego z czwartej A, swojego przydupasa. Koleś był drętwy, starał się żyć zgodnie z nazwiskiem. W podstawówce służył do mszy. Teraz nie przepuścił żadnej pieszej pielgrzymki na Jasną Górę czy do

Kalwarii. W szkole można by znaleźć dziesięciu, którzy lepiej poprowadziliby disko. Ale przecież nie o to chodziło. Tylko on dawał sto dziesięć procent gwarancji, że dobierze muzykę odpowiednią dla uczniów najbardziej wzorowego z krakowskich liceów. Żadnego Judas Priest, AC/DC, żadnego KAT-a, żadnego plugawego hip-hopu. Kapele przemycające w tekstach satanizm, aluzje do seksu czy dragów, albo choćby słówka na „k” i „p”, były na ich wspólnym indeksie. Cabanowa mogła liczyć na Podkościelnego jak na samą siebie. On po prostu taki był. Grał poczciwe disco, które dyrektorka uważała za muzykę w miarę zdrową, nawiązującą do tradycji ludowych festynów.

Żmijka podeszła do mnie pierwsza, co mnie tak zaszokowało, że nie wiedziałem, jak się odezwać i zacząłem się jąkać:

- I co powiesz? Niezła imprezka, co? - Była to pierwsza rzecz, jaka przyszła mi do głowy.

Popatrzyła na mnie jak na głupka.

- No wiesz? Co za wiocha.

Jakby mi dała w pysk. Gówniara, co ledwo skończyła podstawówkę, sugerowała, że jestem wieśniakiem? A przecież chciałem być tylko miły.

- Chcesz powiedzieć, że ty jedna jesteś z miasta? Staralem się, żeby to zabrzmiało szyderczo. Rodzice Żmijki dopiero przed kilku laty przenieśli się do Krakowa z jakiejś pipidowy. Jej starszy był pułkownikiem w wojsku i mieszkał tam, gdzie mu kazali. Ale moje szyderstwo było widać marne, bo wcale jej nie ruszyło.

- Tak myślę, jak patrzę na tę żenadę. Najlepsze liceum w Polsce, można paść ze śmiechu.

Jej ostentacyjne znużenie było doprawdy wkurzające. Ja też nie przepadałem za „Kuźnią”, ale po takiej gadce byłbym gotów się o nią bić. Gdybym tylko nie bał się wygłupić.

- To co tu robisz?

- Jakbyś nie wiedział. - Wzruszyła ramionami. - Próbuję utrzymać się w budzie.

Pomyślałem, że to wątpliwy sposób na obłaskawienie dyrektorki, przyjść z gołym brzuchem i kolczykiem w pępku. Żmijka wystroiła się, jakby chciała wszystkim pokazać, że się nie łamie i powiedzieć, jak Agnieszka Chylińska z zespołu O. N. A. na wręczaniu Fryderyków: Fuck you, teachers! Ale wiadomo, że laski nie są po to, żeby wymagać od nich konsekwencji. Zaraz dała kolejny tego popis. Nagle położyła mi dłonie na ramionach, zaczęła kręcić tyłkiem i wciągać mnie w taniec. Oczywiście od razu zostało to zauważone. Żmijka miała już określoną opinię w całej szkole. Później zrozumiałem, że wszyscy wiedzieli to, o czym ja jeszcze nie miałem pojęcia. Wydawało mi się, że jestem nie wiadomo jak



wtajemniczony, bo widziałem ją u Pacyfy ze skrzytem w buzi. Co za naiwniak. To były jeszcze niewinne igraszki w porównaniu z tym, do czego naprawdę była zdolna. Właśnie miałem się o tym przekonać.

Żmijka wcale nie miała ochoty ze mną tańczyć, jak mi się przez parę chwil zdawało. Chciała mnie tylko przeciągnąć na drugą stronę sali, do bufetu urządzonego obok szatni. Bufet, można się pochlastać! Pepsi-cola light, kubusie, chipsy, orzeszki, słone paluszki. Dyrektorka wykonała duży wysiłek, żebyśmy poczuli się z powrotem gówniarzami. Tak nas właśnie widziała. Gdyby miała pojęcie!

Żmijka kupiła butelkę mineralnej i popijała powoli, uwieszona na moim ramieniu, kiwając się jak w transie do dźwięków dobiegających z sali gimnastycznej. Jej na wpół przymknięte oczy patrzyły na mnie jakoś dziwnie. Myślałem, głupi, że zaimponuję tym koleśiom, bo w drugim końcu bufetu pojawili się w tej samej chwili Robert Kajzer ze swoją nową panią i Dżemojad, jak zwykle w niezaspokojonej potrzebie. Ale oni przyglądali mi się jakby z szyderstwem.

- No i co? Domyślisz się wreszcie i zrobisz coś dla mnie? Ja, tuman, ciągle nic nie kumałem.

- Jasne - zgodziłem się skwapliwie. - Powiedz tylko co.

- Boże, aleś ty ciemny. Załatwisz mi tabsy? Piguły, no?

Dopiero teraz wszystko mi się logicznie połączyło. Zrozumiałem, jakim byłem ćwokiem. W dodatku nie miałem pojęcia, skąd wziąć ekstazy w szkole. W Technolandzie albo Czadzie wiedziało się mniej więcej, kto diluje, ale i tak nie byłem pewny, czy umiałbym się do tego zabrać. Jedyńm ratunkiem wydał mi się w tej sytuacji Robert. Jak zwykle.

Kiedy tylko zbliżyłem się do niego na parę kroków, wyciągnął przed siebie obie ręce, jakby się zasłaniał.

- Nic z tego, stary. Nawet mnie nie proś.

Zbaraniałem. Tak od razu domyślił się, o co mi chodziło? Ale Robert zawsze wiedział najlepiej, co jest gdzie grane.

- Dlaczego? - spytałem głupkowato.

- Jak nie wiesz, to wytłumaczę ci później. Dla ciebie zrobię wszystko, ale tego nie.

Jego nowa panią, patrząc gdzieś ponad moim ramieniem, zasyczała:

- Niech ta dziwka się tu nie zbliża, bo nie ręczę za siebie.

No i już zacząłem coś kumać. Właśnie miałem poprosić Roberta, żeby poradził mi, co mam w takim razie zrobić, kiedy Dżemojad oderwał się od bufetu i podszedł do mnie z obleśnym uśmieszkiem. Sądziłem, że chce mi coś zaproponować, ale on wyminął mnie

bezczelnie i zaraz usłyszałem za plecami jego ociekający śliną głos:

- Co, potrzebny towarek? Miś Yogi zawsze do usług.

Od pierwszej klasy lansował takie przezwisko dla siebie, ale za cholerę nie chciało się przyjąć. Wszyscy dalej nazywali go Dżemojadem, od czego aż się pinił.

Odwróciłem się. Żmijka Huber już jemu zwisała z ramienia, wpatrując się maślanymi oczami w jego tłustą, pryszczatą gębę.

- A co ja z tego będę miał? - spytał oblesnie.

- To, co inni. Chyba wiesz.

- Tylko tyle?

- Nie wystarczy?

- A gdybyś... - Nachylił się do jej ucha i nie usłyszałem reszty.

- Wal się! - Próbowała oderwać się od niego, ale przytrzymał ją.

- Coś ty, na żartach się nie znasz? Zgoda.

I pociągnął ją za sobą. Na odchodnym spojrzał jeszcze przez ramię i beczelnie puścił do mnie oko. Nie wiedziałem, co mam zrobić. Czy powinienem go zabić, kopnąć w tłustą dupę, czy po prostu zignorować. Nie zrobiłem nic, bo zanim zdążyłem się zdecydować, Robert zostawił na chwilę swoją laskę i zaciągnął mnie do toalety dla chłopców. Najwyraźniej uznał, że powinien mnie pocieszyć, bo objął mnie i spytał z przesadnym luzem:

- Sory, naprawdę nie mogłem. Nie mam do tej małej żmii zaufania. Chyba się nie załamaleś, co?

- Niby czym?

- No, nie ściemniaj. Tym, że ci gruby zgarnął przyjemność sprzed nosa.

- Jaką przyjemność? Chciałem jej zrobić przysługę po koleżeńsku, to wszystko. W końcu Żmijka Huber też człowiek.

Patrzył na mnie zdumiony.

- Przysługę? Bezinteresownie? Mówisz poważnie? Przede mną nie musisz się kryć. Rozumiem to, wszystko jest dla ludzi, nie?

- Co właściwie rozumiesz? - spytałem ostro, bo zaczynało mnie to wszystko wnerwiać.

- Naprawdę nie wiesz? Chyba jesteś ostatni taki naiwny w całym mieście. Przecież ona nigdy nie ma kasy. Jej stary to jakiś Hitler. Nie daje jej ani grosza.

Dopiero teraz połąpałem się, że Żmijka chciała mnie wyjelenić.

- To czym płaci za towar? Robert bawił się jak nigdy.

- Jeszcze się nie domyślasz? Wali chłopakom konia, tak płaci. Naprawdę nie

wiedziałaś?

Zrobiło mi się trochę gorąco, ale na zewnątrz nic, pełny luz i cool.

- Nie jestem zainteresowany. - Wzruszyłem ramionami, choć w środku wszystko mi się przewracało.

- Tym lepiej. Ale w takim razie zapłaciłbyś za nic, jak frajer. Możesz mi podziękować.

Faktycznie, powinienem być mu wdzięczny, że mnie oświecił. Tylko czemu wcześniej byłem takim idiotą? Kwadrans później mało nie oplułem Dżemojada. Zobaczywszy mnie, zrobił w moim kierunku kilka tanecznych kroków, kręcąc swoim tłuszczem, który przelewał się w jego workowatych spodniach, a potem poruszył kilka razy zwiniętą dłońią i znów puścił do mnie oko. Co za obleś! Oplułbym go naprawdę, gdyby nie to, że w ten sposób wygłupiłbym się jeszcze bardziej. Żmijka Huber, wreszcie szczęśliwa, szalała na parkiecie, nie widząc nikogo. A przede wszystkim mnie. Prawdziwa żmija.

To ją Dulemba powinien zrobić bohaterką swojego następnego sztuczdyła. Tym bardziej, że samo życie dopisało taki pedagogiczny ciąg dalszy. Ona naprawdę jest na prostej drodze do piekła. Musiałoby nie być na świecie żadnej sprawiedliwości.

- Mama, czego ty chcesz?

Matka była w domu. Kuba poczuł się niemile zaskoczony. Rzadko wracała tak wcześnie. Od razu ukrył się w swoim pokoju i odgrodził się od reszty świata dźwiękami Rage Against the Machine. Ostatnio coraz trudniej znosił jej bliską obecność. Nie cierpiał ukradkowych spojrzeń, kiedy sądziła, że tego nie widzi. Jej oczy robiły się wtedy takie zatroskane, smutne i bezradne, jakby był jakimś zbrodniarzem, który miał właśnie zostać skazany na śmierć. Wiedział, że matka się o niego martwi. Podejrzuwała go nie wiadomo o co, a nie miała odwagi zapytać. Wciąż wyraźnie dźwięczały mu w uszach jej słowa: „Wiesz, że nie jestem w stanie ciągle cię kontrolować. Zresztą, to pewnie nie miałyby sensu, prawda? Chciałabym tylko, żebyś wiedział, że potrafię wiele zrozumieć i wybaczyć. Ale gdybym się dowiedziała, że bierzesz, to nie wiem, chyba bym się zabiła”.

Zdobyła się na taką odwagę kilka wieczorów po tym, jak skrytykował „Złoty strzał”. Widać uznała, że jeśli wstrząsający dramat Mariana Dulemby nie przemówił do jego wyobraźni, to musi być zagrożony. Odebrał to gorzej, niż gdyby się przed nim niespodziewanie obnażyła. Zrobiło mu się za nią wstyd. Pomyślał, że po takiej odżywece można tylko pójść na bajzel i zaćpać. I gdyby rzeczywiście coś go w tę stronę ciągnęło, pewnie by to zrobił. Nie mógł znieść jej psiego wzroku. Więc wtedy tylko odburknął:

- No co ty, mama? Spuściła oczy.

- Ja tylko chciałam ci powiedzieć. Żebyś wiedział.

Nie mówiła mu tyłu najważniejszych rzeczy, a uznała za potrzebne powiedzieć mu właśnie to. Jej ślepotą była żalosa.

- Przecież wiem.

Kuba wolałby, żeby matka wytłumaczyła mu na przykład, dlaczego nie rozwiodła się z ojcem. Po co ciągnęli tę bezsensowną fikcję. I tak żyli osobno od wielu lat. Właściwie prawie już nie pamiętał czasów, kiedy rodzice byli naprawdę razem. Ojciec siedział wciąż za granicą, przyjeżdżał coraz rzadziej. Gdyby rozstali się urzędowo, wszystko byłoby prostsze. Matka wreszcie nie musiałaby się tak kryć ze swoimi facetami. Już dawno mogłaby sobie mieć oficjalnie jakiegoś nieudanego reżysera teatralnego albo instruktora amatorskich zespołów, jeśli właśnie tacy ją pociągali. Nie musiałaby łapać krótkich chwil zakazanych miłości w podłych hotelach i pożyczonych garsonierach. Może wtedy nie trafiłaby przynajmniej na tego Dulembę. Z nich wszystkich on był dla Kuby najtrudniejszy do zniesienia.

A najgorsze, że zachowywała się tak z jego, Kuby, powodu. Mógłby się założyć. Czuli się w obowiązku chronić go. Poświęcić swoje życie osobiste dla niego. To było nie do wytrzymania. Wciąż robiła nie to, co trzeba. Teraz też powinna zrozumieć, dlaczego zamknął drzwi i puścił Rage na full. Żeby mu nie przeszkadzała. Chciał się skupić, jeszcze raz przemyśleć plan działań na najbliższe dni. Musiał przecież wywiązać się z obietnicy danej Ładnemu.

Mimo że od ostatniej rozmowy z nim minęło już kilka dni, wciąż nie mógł sobie wybaczyć. Czuł, że wyszedł na idiotę, pokazując mu opowiadanie o swoich rodzicach. Teraz sam nie mógł zrozumieć, co mu strzeliło do głowy. Na co liczył, że tak się odkrył przed tym facetem. Choć teraz przynajmniej wiedział już, czego się trzymać. Interesował Ładnego tylko jako autor tekstów do szkolnej gazetki. Redaktor wcale nie uwierzył w niego tak bardzo, jak wcześniej udawał. Tym bardziej musiał mu udowodnić, na co go naprawdę stać.

Wciąż nie mógł się odważyć, żeby w drzwiach swego pokoju wstawić zamek i zamykać się przed matką na klucz. To był błąd. Znow weszła niezaproszona. Dobrze, że choć zapukała.

- Unikasz mnie? - spytała.

- Mama, czepiasz się.

- Ja się czepiam? Mógłbyś przynajmniej docenić, że jest obiad, kiedy przychodzisz.

- Nie jestem teraz głodny.

- Zrobiłam ci coś, że obrażasz się na jedzenie?

- Oj, mama! Nie obrażam się. Po prostu zjem później.

Nie powiedziała, że to nie restauracja i że powinien zjeść obiad razem z nią. Przynajmniej zachowała tyle klasy.

- Mogę usiąść? - spytała.

- Oj, mama, co się wygłupiasz? Przysiadła na skraju jego tapczanu.

- Masz kłopoty? - spytała cicho.

- O co ci znowu chodzi?

- Masz kłopoty, prawda?

- Nie mam żadnych kłopotów.

- To dlaczego interesujesz się tą dziewczyną?

- Jaką znowu dziewczyną?

- Nie udawaj. Tą zgwałconą.

Była doprawdy beznadziejna. A tak się z początku ucieszyła, kiedy zaczął udzielać się w „Kowadle”. Widocznie miała nadzieję, że w ten sposób poprawi sobie pozycję w szkole, w oczach nauczycieli. Wyobrażała sobie całkiem fałszywie prawdziwe dziennikarstwo. A właściwie w ogóle o tym nie myślała. Była szczęśliwa, że w końcu okazał zainteresowanie czymkolwiek oprócz głośnej muzyki. Bo już wyraźnie zaczęła się bać, że nic go nie interesuje. Podobało jej się, że ma nowe towarzystwo, nareszcie odpowiednie. I że dzięki temu trochę mniej czasu spędza z Robertem Kajzerem. Jego wpływu na Kubę najbardziej się bała. Nie mówiła tego wyraźnie, ale musiałby być ślepy, żeby nie widzieć. Przecież wiedział, że kilka razy chodziła do Żelaznej Dziewicy i błagała, żeby ta wymyśliła jakiś sposób na jej syna, bo inaczej się chłopak wykolei. A to przecież dobry dzieciak, tylko taki trudny!

Wyglądała żałośnie ze swoim bałwochwalczym zapatrzaniem w jego nowych kolegów. Według niej Ewa Góral i Kamil Kot powinni być dla niego wzorami. Tylko dlatego, że ich matki były wzorami dla niej. Nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego miała się za gorszą od takiej Agaty Kot, drugorzędnej dziennikarki z Radia Wisła. Albo Beaty Aschenbrenner-Góral, która może i była kiedyś romantyczną bojowniczką o wolność, ale od kiedy obrosła w biznesy, zachowywała się jak błada kopia Barbary Piaseckiej-Johnson, tej od Johnson & Johnson. Był wściekły na matkę, że najwyraźniej miała poczucie zmarnowanego życia, bo nie zrobiła takich karier jak matki Kamila i Czarnej. I w dodatku jego też zarażała swoimi kompleksami. Nie umiał sobie z tym poradzić.

Biedaczka, tak bardzo jej zależało, żeby zaprzyjaźnił się z dziećmi właściwych rodziców. Nic jej nie obchodziło, czy dziennikarstwo zainteresowało go naprawdę czy nie. Tylko o to, że właściwe znajomości w szkole mogą kiedyś zaprocentować. Wiedział, że nie

miałaby nawet nic przeciw temu, żeby zakochał się w Ewie Góral. W tej jednej sprawie mógłby się z nią zgodzić. Ale to tylko jeszcze bardziej komplikowało sprawę. Czuł, że ona tylko czeka, kiedy wreszcie zacznie umawiać się z Czarną. I to go paraliżowało. Jakby i bez tego wszystko nie było wystarczająco trudne.

- Powiedz - poprosiła cicho. - Nie chcę dowiedzieć się ostatnia. Miałeś z nią coś wspólnego?

- Ze Żmijką Huber? Chyba żartujesz.

- Wcale nie mam nastroju do żartów. Uwierz mi.

- A ty mi uwierz, że nie zgwałciłem Żmijki Huber.

- Mam nadzieję.

- Masz nadzieję!

- Przepraszam. - Tym razem ona się spieszyła. - Wiem, że nie mógłbyś tego zrobić.

I znów zabrzmiało to w jej ustach bardziej jak obelga, niż pochwała. Biedaku, nie mógłbyś tego zrobić, bo nie potrafiłbyś. Tak to odebrał.

- To o co ci chodzi?

- Myślę, że coś wiesz i wahasz się, czy powinieneś powiedzieć to policji.

- Co ty sobie znowu wymyślasz?

- Słuchaj, możesz mnie nie szanować - powiedziała głosem osoby śmiertelnie znużonej - ale niech ci się nie zdaje, że jestem idiotką. Że wszyscy rodzice są idiotami. Jej ojciec zadzwonił do mnie zaraz po twoim telefonie.

Ręce opadały. To prawda, że wygłupił się, dzwoniąc do Hubera. Facet był wystraszony jak nie wiadomo co. Aż dziwne, że zawodowy oficer tak bardzo nie potrafił ukryć strachu. A Kuba przede wszystkim niepotrzebnie od razu się przedstawił. Takie są zgubne skutki zbyt dobrego wychowania. Nie potrafił się od tego odzwyczaić. Potem coś bredził, że dowiedział się, co spotkało Żmijkę, to znaczy Iwonę, że gdyby mógł jakoś pomóc, to bardzo chętnie. Sam czuł, jak nieudolne były te wszystkie kłamstwa. Po prostu nie przygotował się do tej rozmowy i nic dziwnego, że okazała się wielką klapą.

- Jeśli chcesz pomóc naszej córce, to zapomnij o niej - przerwał mu ostro Huber. - i nie dzwoń tu więcej, bo zawiadomię policję.

Czuł się potem przez cały dzień jak zbesztany dzieciak.

- Musisz zawsze podejrzewać coś złego? Nie masz prawdziwych zmartwień? - spytał opryskliwie.

W następnej chwili przestraszył się, że matka się rozpłacze.

- Wiem, że nie umiem już z tobą rozmawiać. Trudno, widocznie nie potrafię zastąpić

także ojca takiemu chłopcu jak ty. Nic na to nie poradzę. Staram się, jak umiem.

To było najgorsze. Zwykle domyślała się, że nie powinna w ogóle poruszać tego tematu. Ale czasami, pewnie wtedy, gdy czuła się szczególnie bezradna, traciła nad sobą kontrolę. Próbowwała mu w takich razach sugerować, że to ojciec od nich uciekł. To prawda, że uciekł, Kuba dobrze o tym wiedział, nie musiała mu przypominać. Ale też nie zapomniał, że ona nigdy nie próbowała go zatrzymać. Bo i po co? To jej było na rękę. Mógłby się założyć o wszystko.

Pamiętał, jakby jakiś dawny sen, tę chwilę, kiedy ojciec pierwszy raz odlatywał na eksport do Arabów. Było to jeszcze za komuny. Wtedy tak się nie mówiło. Nie znali przecież innej rzeczywistości oprócz komuny. Jego rodzice i ich znajomi urodzili się już w Polsce komunistycznej. Mówiło się: za Stalina, za Gomułki, za Gierka, za Jaruzelskiego. Tylko to ostatnie nazwisko Kuba umiał połączyć z konkretną twarzą. Kiedy do domu przychodzili znajomi, zawsze kończyło się jakąś kłótnią o generała w czarnych okularach. Już nawet nie pamiętał, kto z dorosłych był zdania, że Jaruzelski to bandyta, a kto go bronił, że ogłaszając stan wojenny uratował Polskę przed sowiecką inwazją. Został mu w głowie tylko wierszyk: „Nie pokona orła wrona, prędzej skona”. Ale nie konała. Więc ojciec musiał jechać na eksport, pracować za petrodolary dla Saddama Husseina, bo w tym kraju nie szło wyżyć.

Kuba jeszcze wtedy nie rozumiał, że ojciec miał po prostu dość życia z matką. Stał na tarasie portu lotniczego na Okęciu, trzymając ją kurczowo za rękę, i długo czekał na start samolotu do Bagdadu. Potem patrzył, jak niezgrabny ił 62 odrywa się wreszcie od ziemi i wzbija ku niskim chmurom. Dygotał z zimna i ze strachu, że maszyna zaraz przewali się na bok i runie na ziemię. Była taka opinia, że iły 62 spadają. Zresztą, naprawdę spadały. Więc kiedy ten, którym odleciał ojciec, już zniknął, on wciąż się trząsał, usiłując przebić chmury oczami. Wtedy matka pociągnęła go tak mocno, że aż zaboląło go ramię. Śpieszyła się. Nigdy jej nie wybaczył, że wtedy tak jej było pilno. Choć dopiero dużo później dowiedział się, do czego. Do niewydarzonego scenografa imieniem Szymon, pierwszego z serii jej niewydarzonych artystów.

- Wiesz, że ja się tylko o ciebie boję - powiedziała i wstała, pociągając nosem.

Zrobiło mu się okropnie. Jeszcze trzy lata wcześniej podskoczyłby i objął ją. Ale teraz już nie mógł. Mógłby jej tylko powiedzieć, żeby się tak nie przejmowała, bo gdyby ojciec tu był, nic by to nie zmieniło. Teraz już nie. Wyłączył komputer, wstał i nałożył kurtkę. I tak już nie potrafiłby się skupić.

- Zawsze, kiedy chcę z tobą porozmawiać, akurat musisz gdzieś wyjść - powiedziała.

Nie była to prawda. Prawie nigdy nie chciała z nim rozmawiać. Od czasu do czasu

chciała tylko uspokoić sumienie.

- Umówiłem się z Robertem - powiedział, choć wymyślił to właśnie w tej chwili, i wiedział, że w ten sposób jeszcze bardziej ją pogiębi. Najchętniej nie pozwoliłaby mu w ogóle spotykać się z Robertem. Ale nie starczało jej na to odwagi. Chyba czuła, że jest już za późno.

- Myślałam, że choć raz posiedzimy i wypijemy razem herbatę.

W jej głosie brzmiał żal, który go złościł najbardziej ze wszystkiego. Kiedyś dałby wiele, żeby to powiedziała. Teraz już nie potrzebował. Nie wiedziałby, jak z nią rozmawiać.

- Sory, nie wiedziałem - mruknął.

- Kiedy ja mam wolne popołudnie i moglibyśmy trochę pobyć razem, to dla ciebie, oczywiście, ważniejszy jest Robert.

Akurat, pomyślał. Jeśli nie musiała pracować po południu, to znaczyło po prostu, że pokłóciła się z Dulębą. Może to i była dobra wiadomość, ale w gruncie rzeczy jej sprawy obchodziły go coraz mniej.

Dopiero na ulicy odetchnął głęboko. Deszcz ze śniegiem zaciął w oczy. Cofnął się do bramy, zapalił papierosa i nasunął kaptur kurtki na głowę. Potem powlókł się ulicą bez celu. Zmoknięty papieros miał smak bardziej gorzki niż zwykle. Minał go autobus jadący na Dworzec Główny. Do przystanku było niewiele ponad pięćdziesiąt metrów. Odruchowo rzucił się w pogoń. Wcale nie umawiał się z Robertem, to był tylko pretekst, żeby wyjść z domu, a przy okazji wbić szpilę matce. Teraz nie wiedział, co ze sobą zrobić. O tej porze Robert powinien siedzieć w Samobóju przy Brackiej.

Dobrze mieć kumpla (pisze Kuba Mazurek)

Matka od dawna wierzy święcie, że to Robert Kajzer jest moim złym duchem. Zdaje się, że podobne zdanie ma teraz także nasza Żelazna Dziewica. Pani wychowawczyni czuje się w obowiązku przeprowadzać ze mną rozmowy umoralniające. I już kilka razy napomykała, że jej zdaniem to nie jest właściwa znajomość. Roberta w szkole nikt nie ruszy, bo jego stary ma dzisiaj znów długie ręce, jak kiedyś za komuny. Ticzersów najwyraźniej to wkurza. Nawet Dziewicę, która, muszę to przyznać, nie jest taka, jak mi się na początku zdawało.

- Ja wiem, że ten chłopak może zaimponować. Jest atrakcyjny, ma pieniądze, powodzenie u dziewczyn. Ale obawiam się, że dla ciebie ta przyjaźń może okazać się niebezpieczna - truła.

Nagle wszyscy chcą mnie chronić przed zejściem na złą drogę. Starzy są głupi. Czy



kiedykolwiek przyszło im do głowy choćby na sekundę, że Robert zawsze dawał mi tylko dobre rzeczy?

Uratował mi życie. Dosłownie. Jeszcze w podstawówce. Do dziś nikt o tym nie wie, poza nami dwoma. To były dobre czasy.

Starzy narzekają, że w ostatnich latach komuny nie było w sklepach niczego poza octem. My nie przywiązywaliśmy do tego większej wagi. Coś się zawsze jadło. Za to można było liczyć na kumpli. Nie tak jak dzisiaj, kiedy kasa za ślepie nawet małaolatów.

Chodziliśmy jeszcze do przedszkola, kiedy nasi starzy wprowadzili się do jednego bloku na Azorach, na zwanego inżynierskim. To, zdaje się, była nagroda dla dzielnej załogi Żelbudu za wkład w rozbudowę huty im. Lenina. Nasi ojcowie dostali prawie równocześnie mieszkania w bloku inżynierskim i talony na samochody, które przydziałała partia.

Mój stary musiał być dobry, bo nie należał, a mimo to dostał talon. Co prawda tylko na malucha, a pan Kajzer na fiata mirafiori, ale to jeszcze nie tworzyło między ludźmi przepaści. Pan Góral, ojciec Czarnej, miał na przykład poloneza, choć trochę starszego. A przecież był znanym działaczem Solidarności, w stanie wojennym zamknęli go w internacie, a potem przez kilka lat nie mógł znaleźć pracy. Wiem, bo wtedy państwo Góralowie mieszkali kilka bloków od nas i poszliśmy do tej samej podstawówki co Czarna. Co prawda do różnych oddziałów, ale ze dwa razy pojechaliliśmy razem na kolonie nad Jezioro Rożnowskie. Jeśli dobrze pamiętam, właśnie z tych znajomości wyszły pierwsze awantury między moimi starymi.

Na jakiejś imprezie w domu, nie wiem, mogły to być imieniny matki, któryś z wujków zaczął czepiać się ojca. To przypominam sobie dokładnie, bo pierwszy raz w życiu usłyszałem takie zestawienie słów:

- Nie rozumiem, jak ty możesz podawać rękę tej kurwie partyjnej.

Mój stary też miał już trochę w głowie i postawił się, co na trzeźwo rzadko mu się zdarzało:

- To mój przyjaciel i proszę sobie nim gęby nie wycierać.

- Gratuluję - powiedział wujek szyderczo.

- Komu się nie podoba, może mnie w dupę pocałować - rozeźlił się mój stary.

- W tym domu tak się nie mówi - uznał za stosowne wkroczyć dziadek Chłopicki.

Kto wie, czy nie była to jakaś mocno spóźniona rodzinna parapetówka, bo ojciec odpowiedział:

- Tato zapomniał, że już nie mieszkamy w taty domu, tylko u siebie. A w tym domu mówi się, jak się chce. I przyjaźni, z kim chce.

No i teraz wtrąciła się matka:

- Będę ci wdzięczna, jeśli tych swoich przyjaciół zostawisz dla siebie.
- Tak? Nie zapominaj, że gdyby nie Gerard, nie mielibyśmy tego mieszkania.
- Może byłoby go lepiej nie mieć za cenę przyjaźni z kimś takim?
- I co? Jak długo jeszcze gnieździć się z kochanymi rodzicami? Dziękuję uprzejmie.

Zrobiła się afera. Dziadkowie obrazili się i zaczęli wychodzić. Mama za nimi. Złapała mnie i zaczęła ubierać, krzycząc, że w takim razie my także wracamy do dziadków.

Wtedy po raz pierwszy w życiu pokazałem charakter. Zaparłem się i wrzasnąłem, że nigdzie się stąd nie ruszę. Że tu jest mój dom. I rozplakałem się z pełnym wyrachowaniem, wiedząc, że w ten sposób zrobię większe wrażenie.

I rzeczywiście.

Wszystko rozeszło się po kościach, bo przecież nie można było narażać dziecka na taki stres. Mały Kubuś i bez tego był taki wrażliwy. W ten sposób uratowałem małżeństwo moich starszych przed rozpadem. Wtedy mi jeszcze zależało, żeby zostali razem.

No i nastraszyłem ich tak skutecznie, że w następnych latach dalej robili wszystko, żeby dziecku nie sprawiać przykrości. Nawet kiedy dziecko od dawna na to lało. Nie potrafiłem wtedy zrozumieć, o co niektórzy ludzie czepiali się pana Kajzera. Tato Roberta wydawał mi się takim sympatycznym facetem. I życzliwym dla mojego ojca. W Żelbudzie zajmował dużo wyższe stanowisko, zdaje się, że był jednym z wicedyrektorów, a mimo to nie zadzierał nosa. Grywał z moim ojcem w tenisa i razem jeździli na ryby. Kajzer miał letni domek w Rożnowie, nad jeziorem, i kilka razy zaprosił nas na weekend. Mnie przy okazji, żeby Robert się nie nudził. To są jedne z najfajniejszych wspomnień, jakie zostały mi z dzieciństwa.

Matka nigdy nie dała się namówić na taki wyjazd, ale nad jeziorem wcale mi jej nie brakowało. Zresztą pani Kajzerowa też nie przyjeżdżała.

Dopiero dużo później miałem się dowiedzieć, że tamto małżeństwo też było bardziej dla zmyły, a pan Kajzer robił, jak to się mówi, skoki na boki, więc nie zabierał żony na swoje wyprawy.

Co do mojej mamy, sama wyjaśniła to od razu.

- Jak ty to sobie wyobrażasz? - krzyknęła na ojca, kiedy nieśmiało przekazał jej zaproszenie Kajzera. - Jak mogłabym potem spojrzeć w oczy Beacie Aschenbrenner?

Bo ojciec przyjaźnił się z panem Kajzerem, a mama z matką Czarnej. Wcześniej nie widziałem w tym żadnej sprzeczności. Nie rozumiałem, że to dwa wrogie światy. Dopiero po przeprowadzce do bloku inżynierskiego nauczyłem się bardzo szybko, że wszyscy ludzie

dziela się na komunistów, przeciwników komuny oraz takich, którzy siedzą okrakiem na barykadzie. Pan Kajzer był komunistą. Rodzice Czarnej przeciwnikami komuny. Moja mama także, choć trochę mniej. A ojciec siedział okrakiem na barykadzie. Szczerze mówiąc, w czasach, kiedy jeździliśmy nad Jezioro Rożnowskie, moja sympatia była raczej po stronie komunistów. Wydawało mi się, że starsi Czarnej, kiedy przychodzili po nią do szkoły, za bardzo zadzierali nosa. W odróżnieniu od nich pan Kajzer był swoim chłopem, a Robert szybko stał się najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem. Byłem dumny, że ktoś taki jak on zadaje się ze mną. Był we wszystkim do przodu. Więcej miał, więcej umiał, lepiej się bił.

No i uratował mi życie. Ale to dopiero później. Najpierw pan Kajzer załatwił, że ojciec dostał się na wyjazd do Saddama Husseina. Oznaczało to przeskok do wyższej kasty ludzi, którzy zarabiali w dolarach. Mój starszy planował, że dzięki temu zacznie budowę domku w Libertowie, będzie nas stać na samochód lepszy niż maluch, a poza tym na wieżę hi-fi i zachodni sprzęt narciarski dla mnie. Matka widziała to inaczej. Że ojciec się sprzedał. Bo żeby wyjechać, musiał zapisać się do partii. Wcale nie chciał. To pan Kajzer go przekonał. Przy ognisku nad jeziorem. Byłem przy tym.

- Nie bądź głupi i pomyśl wreszcie o sobie - tłumaczył głosem cichym, ale stanowczym, jakby wszystko wiedział lepiej. - Na co liczysz? Solidarność jest trupem. A trupy nie zmartwychwstają.

Zapamiętałem tę rozmowę, bo wiedziałem, że jeśli ojciec zapisze się do tej całej partii, w domu będzie awantura, jakiej jeszcze nie widziałem. Siedzieliśmy z Robertem przy ogniu i piekliśmy kiełbaski, ale cały byłem jednym wielkim uchem, nakierowanym w stronę, gdzie rozmawiali nasi ojcowie.

- Słuchaj, czy ja nie jestem dobrym fachowcem? - Mój stary próbował się jeszcze bronić.

- Jesteś świetny.

- No? I to nie wystarczy?

- Nie. Przyszedł czas próby. Jesteś z nami?

Ojciec zamilkł. Chyba nigdy jeszcze nie natężyłem tak słuchu, jak wtedy.

- No, jesteś? - ponaglił Kajzer.

- No, jestem - wymamrotał mój stary tak cicho, że ledwo usłyszałem.

I zapisał się do tej partii. I pojechał do swojego wyśnionego Iraku. A matka, o dziwo, nie zrobiła z tego powodu żadnej afery. Naprawdę to ona też chciała, żeby pojechał. Dopiero po jego wyjeździe miałem zrozumieć, dlaczego. Tylko że wszystko ułożyło się nie całkiem

tak, jak sobie kombinowali. Zanim się wszyscy spostrzegli, komuna runęła znienacka, jak pijak, który potknął się o własne nogi. Przyszedł okrągły stół i czerwiec 1989 roku. Solidarność jednak zmartwychwstała i wygrała wybory. Pan Góral, ojciec Czarnej, w rządzie Mazowieckiego został wiceministrem. PZPR popelniła własnoręcznie seppuku. Wtedy w „Głosie Nowej Huty” jakiś złośliwy skurwysyn napisał o moim starym „ostatni kochanek nieboszczki partii”. Podobno najpóźniej w całym Krakowie złożył deklarację o przyjęcie. Widocznie taki już jest. Wszystko robi w niewłaściwym czasie. Chyba mam to po nim.

W tym Iraku też już długo nie pobył. Amerykanie wkurzyli się na Saddama Husseina, który przestał się ich słuchać i przyłączył do Iraku Kuwejt razem z całą tamtejszą ropą. Na to nie mogli pozwolić i urządzili mu operację „Pustynna Burza”. Mój starszy, razem z resztą Polaków, musiał ewakuować się z powrotem do Krakowa. A fabrykę, którą dopiero co zbudowali, amerykańskie bombowce zrównały z piachem. Ci z Solidarności wytykali potem, że Irakijczycy mieli w niej wzbogacać uran. I że komuniści tacy jak pan Kajzer i mój ojciec pomagali Saddamowi wyprodukować bombę atomową.

Kiedy wrócił do domu, nieboszczka partia spoczywała już, jak to się mówi, na śmietniku historii. Mimo to wszyscy się go czepiali. Starym komuchom tak nie wypominali przeszłości, jak jemu tej ostatniej w Krakowie deklaracji. W firmie nie było dla niego żadnego sensownego zajęcia. Niby go nie wyrzucili, ale został popychadłem. W dodatku pieniędzy z Iraku nie wystarczyło nie tylko na domek, ale nawet na wymianę auta, a maluch zaczynał się już sypać.

Reforma walutowa Balcerowicza sprawiła, że tatusiowe dolary z dnia na dzień pięć razy straciły na wartości. Wyrosły na tym fortuny cwaniaków, którzy domyślili się w porę, co się szykuje. Albo z góry wiedzieli.

Mój starszy ani nie wiedział, ani się nie domyślił. Pamiętam, że przez parę następnych miesięcy chodził jak struty. Wreszcie miał tego dość i sam rzucił robotę w Żelbudzie. Już na własną rękę, z bandą podobnych sobie desperatów, wyjechał do Grecji. Przez prawie rok na czarno kopali Grekom studnie w skalistej ziemi Hellady. A tymczasem Robert Kajzer uratował mi życie.

Wszyscy byli przekonani, że to on namówił mnie do ucieczki z domu. Było na odwrót. Musiałem coś zrobić, po prostu nie mogłem dłużej wytrzymać tego, co wyprawiała matka. Choć kiedy dziś o tym myślę, chce mi się śmiać. Podejrzewam, że z tym swoim pierwszym adoratorem, Szymonem, nawet się nie przespała. Ale wystarczyły mi jego wizyty w naszym domu. I to, jaka była dla niego miła. Jak nigdy dla ojca. Przynajmniej ja niczego takiego nie pamiętałem. Fakt, że próbowała jeszcze zachowywać pozory. Przynajmniej na początku.

Urządzała imprezki dla większego grona znajomych z pracy. Składkowe, z wódeczką i tańcami. Niby wszystko OK, pełna kultura. Ale nawet ja już kumałem, że taki taniec, jaki uprawiała z Szymonem, to po prostu jedyna forma macanki, na jaką w naszym katolickim kraju mogli sobie publicznie pozwolić. Zresztą, po jakimś czasie przestało im to wystarczać. W końcu przyłapałem ich, jak się lizali na klatce schodowej. Dziwne, ale nie było to dla mnie żadnym szokiem. Właśnie dokładnie tego się spodziewałem. I miałem już wyraźny powód, żeby coś zrobić. Żeby jeszcze ten jej Szymon nie był taki młody. Ale wyglądał jak mój starszy brat. Hip w T-shircie z Jimem Morrisonem. I komuś takiemu moja starsza na moich oczach dawała sobie wpychać język do gęby.

To co ja miałem robić?

Napisałem wcześniej, że ja namówiłem Roberta. I to jest prawda. Choć szczerze mówiąc, wcale nie musiałem go długo namawiać.

Jego ojciec po upadku komuny też przeżywał kiepski okres i zaczynał być nieprzyjemny.

- Masz rację, trzeba im pokazać, kto rządzi w tym domu - powiedział Robert.

A miał wtedy, smarkacz, trzynaście lat. Raz byłem pierwszy. wymyślając naszą ucieczkę. On po prostu na to nie wpadł. Zaraz potem jednak znów przejął inicjatywę. Przede wszystkim musiał załatwić swoje własne porachunki. Kajzer nie puścił go na koncert Heya do Nowego Sącza. Przez jakieś głupstwo. Jeśli dobrze pamiętam, Robert zaparł się i nie przeczytał lektury, a polonista go przypalał. No i stary Kajzer się wkurwił, bo za komuny żaden nauczyciel by sobie na to nie pozwolił, a teraz już się nie bali.

Myślę, że właśnie to, a nie jakaś głupia książka czy nawet pała w dzienniku, spowodowało jego furie.

Pojechaliśmy więc do tego Nowego Sącza, nic nikomu nie mówiąc. Ja też byłem wtedy fanem tej kapeli, której sława właśnie wybuchła. Nie różniłem się pod tym względem od prawie całej naszej klasy w podstawówce. Tylko że inni szybko zdradzili grunge dla hip-hopu albo pierdoł w rodzaju techno, a ja właśnie przez Heya doszedłem do Nirvany, Pearl Jam i Rage Against the Machine. Zwłaszcza do tych ostatnich, bo od jakiegoś czasu najbardziej kręcą mnie ich teksty.

No, ale wracajmy do Nowego Sącza, gdzie razem z całym namiotem, postawionym na jakiejś łące, ryczeliśmy: Nic, naprawdę nic nie pomoże. Jeśli ty nie pomożesz dziś miłości... Dziś można by powiedzieć, że to skończony banał. Ale wtedy to była magia. Dosłownie czuło się te wiązki potężnej energii, wybiegające z gardła Kaśki Nosowskiej, okrążające namiot od człowieka do człowieka i doznające po drodze niesamowitego wzmocnienia.

Czułem prawdziwy pauer, nie potrzebowałem do tego żadnego spida, żadnych tabsów, bez których dzisiejsi bywalcy techno parties są do niczego. Po koncercie łaziliśmy nocą po Nowym Sączu i nie mogliśmy się uspokoić. Szczerze mówiąc, ja miałem dość, mógłbym wracać do Krakowa. Wiedziałem, że matka musiała już wystarczająco spanikować. Poza tym byłem głodny jak cholera, a kiedy minęła euforia po koncercie cały pauer gdzieś wyparował, zwyczajnie coraz bardziej chciało mi się spać. Mogliśmy jeszcze zdążyć na nocny pociąg i po drodze wyspać się w przedziale, ale Robert nawet nie chciał o tym słyszeć.

- Co, tak zaraz się poddawać? Niech się najpierw posrają ze strachu.

Po kilku godzinach dotarliśmy do Rożnowa. Trochę piechotą, trochę stopem. Wtedy kierowcy nie bali się jeszcze tak jak teraz a widok dwóch szczeniaków nocą na szosie budził w nich odruchy samarytańskie. Kiedy znaleźliśmy się na miejscu, zaczynało szarzeć. Robert obejrzał najpierw dokładnie bramkę przy szosie, zjazd do domku i jego otoczenie, zanim stwierdził:

- Dobra, jeszcze ich nie było.

Zanim się pojawią, zdążymy im złożyć wizytę. Już wtedy lubił bawić się z prześladowcami w kotka i myszkę. To nigdy nie była moja ulubiona gra, ale co miałem robić. Tym bardziej, że marzyłem tylko o spaniu. Łudziłem się. Robert wcale nie pozwolił mi się przespać. Choćby pięć minut.

- Chcesz, żeby nas zgredy tak szybko nakryły? Niech się trochę pomęczą.

Wcale mi już na tym nie zależało. Poczuję się urażony, że Robert używa takich słów, mówiąc o naszych, było nie było, rodzicach. Nawet to co robiła moja starsza z tym hipem Szymonem, nie wydawało mi się już takie straszne. Ale nie umiałem sprzeciwić się Robertowi. Choć tyle dobrze, że znalazł w domku jakieś stare ciastka i szybko zjedliśmy wszystkie na stojąco. Potem wyciągnął skądś plastikowy, hermetycznie zamykany worek na ubrania i zakomenderował, bo trudno to nazwać inaczej:

- Rozbieramy się. Szmaty do wora.

I nie czekając dłużej, zaczął ściągać ciuchy. Odruchowo zacząłem robić to samo, jeszcze zanim odważyłem się spytać:

- Zaczekaj, ale po co?

- Żeby nie zmokły.

- Będziemy pływać? - spytałem przerażony.

- No. Kajakiem.

Trochę mnie uspokoił, ale niewiele. Pływałem wtedy słabo. Prawdę mówiąc, ledwo umiałem w rozpaczliwym stylu utrzymać się na wodzie. Z tego powodu w kajaku też nie

czułem się za pewnie. Robert był już całkiem goły, a ja nie mogłem się zdobyć na ściągnięcie slippek.

- Ale co ty...?

- Sam zobaczysz. To będzie zbrodnia doskonała. Zabrzmiało to niepoważnie i wcale się nie przestraszyłem, że Robert chce mnie zabić. Perspektywa wypłynięcia kajakiem na jezioro była dużo bardziej przerażająca. W tej samej chwili wzrok Roberta padł na moje slipki.

- A to co? Gacie też! - rozkazał.

Nie wiedziałem, co gorsze, rozebrać się, czy pokazać, że się wstydzę. Wyszło, że to drugie, bo w następnej chwili moje slipki też wpadły do worka. Robert przyjrzał mi się krytycznie.

- No - powiedział. - Już myślałem, że się łamiesz, bo masz małego. A przecież jesteś w porządku.

Wziął swojego ptaka do ręki i przytknął do mojego.

- Widzisz? Twój jest tylko trochę krótszy - pocieszył mnie.

A mnie się wydawało, że wcale nie trochę. Poza tym jemu wiły się już pojedyncze czarne włosy, a ja wciąż byłem tam goły jak oskubany kurczak. Dobrze, że nie zajmowaliśmy się dłużej tą anatomią porównawczą, bo chyba bym się rozpląkał ze wstydu.

Kiedy odbijaliśmy od brzegu, nad jeziorem unosiły się smugi porannej mgły. Na szczęście dla mnie było tylko jedno wiosło i nie musiałem po raz kolejny robić z siebie pośmiewiska. Opłynęliśmy zalesiony cypel, który zasłonił domek Kajzerów przed naszymi oczami. Do najbliższego brzegu mieliśmy może sto metrów, a może pięćdziesiąt, nie umiałem tego ocenić, kiedy Robert nagle odłożył wiosło, chwycił worek z ubraniami i wyrzucił za burtę. Potem podniósł się, stanął na burtach i zaczął kołysać kajakiem. Skorupa od razu nabrała wody. W tej samej chwili zobaczyłem, że ptak stanął mu z zimna i pomyślałem, że mój najlepszy kumpel jednak postanowił mnie zamordować. Ale dlaczego?

- Niech myśla, żeśmy utonęli - wyjaśnił, zanim zdążyłem spytać.

Pomyślałem, że ja utonę naprawdę. Pocięcha, że przyjaciel tego nie chciał, była niewielka. Kajak jeszcze nie szedł na dno. Jeszcze dalibyśmy radę wyczerpać wodę dłońmi i dowiosłować do brzegu. Było mi strasznie żal życia. Ale nie mogło mi przejść przez gardło, że nie umiem pływać. Chwyciłem się idiotycznej nadziei, że jakoś sobie poradzę. Patrzyłem jak zaczarowany na Roberta, stojącego nade mną z tym sterczącym ptakiem i nie mogłem wydobyć z siebie głosu. A on zakołysał się jeszcze raz na nogach i kajak schował się powoli pod wodą.

Zacząłem rozpaczliwie trzepać rękami i przez chwilę nie utonąłem. Ale brzeg był tak daleko! Zobaczyłem przed sobą pływający worek z naszymi ubraniami, w którym utworzyła się wielka bania powietrza. Próbowałem go chwycić i użyć jako koła ratunkowego, ale wymknął mi się i głowa wpadła mi pod wodę. Walczyłem jeszcze przez chwilę, a potem poczułem się, jakbym wciągał ogień do płuc i dalej nic nie pamiętam.

Wracalem do przytomności powoli. Najpierw poczułem, że robią ze mną coś bolesnego. Całe płuca były jednym bólem. Potem jakby wszystkie wnętrzości wyleciały ze mnie przez otwór gębowy i wraz ze wstrętnym zapachem własnych rzygów poczułem wielką ulgę. Pod powiekami zrobiło się najpierw czerwono, potem jaśniej, wreszcie uniosłem je i zaraz z powrotem opuściłem, bo słońce dało mi prosto po źrenicach. Ale już w następnej chwili musiałem spojrzeć jeszcze raz. Ta sprawa była dla mnie prawie tak ważna jak życie. I kolejna ulga. Były tam. Moje slipy. Na moim tyłku. Zanim pojawili się jacyś ludzie, Robert nie tylko do-holował mnie o własnych siłach do brzegu, ale też pomyślał o moim wrodzonym wstydzie, choć wcześniej tak się z niego wyśmiewał. To się nazywa kumpel.

Potem przyszedł odwiedzić mnie w szpitalu, kiedy leżałem na obserwacji.

- Palancie - przywitał mnie - dlaczego nie powiedziałaś, że nie umiesz pływać?

- Bo trochę umiem.

- Aha! Właśnie widziałem - prychnął. A potem spojrzał na mnie uważnie. - Ale to nic. Uratowałem ci życie. Teraz mam u ciebie dług. Kiedyś przyjdę go sobie odebrać.

Oczywiście, nie wziąłem tego poważnie. Pewnie wyczytał to w jakiejś książce. Albo zobaczył na filmie. Zresztą, co ja mogłem mu dać? Nie ma co kryć, Robert był zawsze dwa kroki z przodu.

Od Żmijki z daleka!

- A ty co tu robisz? - zdziwił się Robert, zobaczywszy Kubę przy stoliku w Samobójcu.

- Nie widziałem cię tu ze sto lat. Nic nie mówiłaś, że dzisiaj będziesz.

- Bo tak tylko wpadłem. Przypadkiem.

- No proszę. Ciągnie owieczkę do wilków, ciągnie, co? A już myślałem, że twoja Żelazna Dziewica przerobiła cię na aniołka.

- Jaka znowu moja Żelazna Dziewica.

- Komu ściemniasz, mnie? Wszyscy wiedzą, że jesteś jej nowym pupilkiem.

Kuba prychnął pogardliwie, ale nie wypadło to przekonująco.

- Nie ma się czego wstydzić - powiedział Robert pojednawczo. - Niejeden chciałby ją choćby z daleka powąchać. Najwięksi śmiałkowie próbowali więcej i polegli. A coś



słyszałem, że z tobą ona zamyka się sama w klasie. I co wtedy robicie?

- Ćwiczymy głupa - warknął Kuba. Kajzer zaśmiał się i klepnął go w ramię.

- No, dobra. Nie wkurzaj się. Mam parę minut czasu. Obalisz ze mną browarek? Mam nadzieję, że to ci jeszcze wolno?

Samobój był kultową knajpą wielu małolatów. Tutejszy boss lubił ostre muzyczne klimaty. Począwszy od klasyki w rodzaju Iron Maiden czy Metalliki aż do death metalu. A najbardziej kręciły go kapele ewidentnie satanistyczne, jak Judas Priest albo AC/DC. Polskie też. KAT koncertował nawet w tej piwnicy na żywo, po czym połowa mieszkańców ulicy napisała protesty do prezydenta, a pewien muzyk zawiadomił prokuraturę, że w Samobóju rozpowszechnia się treści obrażające uczucia religijne i stanowiące zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego. I nic, głosy obywateli pozostały bez echa. Wciąż nikt nie pytał tutaj o dowód osobisty, choćby było widać gołym okiem, że panienka czy chłopak chodzą jeszcze do podstawówki. Nawet Inicjatywa Obywatelska Przeciw Pornografii i Demoralizacji, z radną Kwiat na czele, nie potrafiła zmusić właścicieli Samobója do przestrzegania ustawy o wychowaniu w trzeźwości. Inne puby też przeżyły złoty, choć krótki okres totalnego rozprzężenia, ale potem zaczęły szaleć kontrole, posypały się kary. Niebawem wszyscy pilnowali granicy osiemnastu lat. Tylko tu nadal panowała niczym nieskrępowana swoboda. Przy barze i metalowych stolikach małolaty ciągle wlewały w siebie hektolitry piwa.

Ludzie mówili, że boss albo opłaca się policji, albo jest mocarzem, który nie boi się nikogo. A w rzeczywistości nikt nie wiedział, do kogo naprawdę należy Samobój. Wszyscy byli przekonani, że osoby, które figurowały w papierach, zostały podstawione. Barmani dostawali tylko instrukcje na piśmie, jakie płyty mają puszczać. Co do podawania procentów małolatom, musieli mieć ustne przyzwolenie, bo inaczej by się nie odważyli. Zwłaszcza po nalotach, jakie przeżyły konkurencyjne knajpy Krążyły pogłoski, że boss bywa w Samobóju incognito, by pilnować interesu i słuchać swych ulubionych satanistycznych kawałków. Zaglądało tu regularnie niemało starszych facetów, paru nawet dość w mieście znanych. Niektórzy robili to z sentymentu do dawnych lat, kiedy sami jeździli na metalowe koncerty, inni dla szpanu, jeszcze inni w poszukiwaniu nadających się do upolowania, najlepiej lekko nawalonych, małolatek. Zakładano się nawet, który z nich może być bossem. Aż wreszcie pewna nawiedzona staruszka z sąsiedniej kamienicy, sympatyzująca z Inicjatywą Obywatelską, zaczęła opowiadać, że właścicielem Samobója jest sam Szatan. I tej wersji nikomu już nie udało się przebić. Kuba wypił kilka łyków i wraz z lekkim szumem poczuł przyływ odwagi.

- Właściwie to już dawno chciałem cię o coś spytać - zaczął.

- Więc pytaj. Co się czaisz? A właściwie o co?

- O Żmijkę Huber.

Gotowość Roberta Kajzera do udzielania odpowiedzi wyraźnie przygasała.

- Dobra, tylko się streszczaj. Niedługo przyjdzie moja panienka. Przy niej ani słowa, pamiętaj. Ale właściwie to co cię obchodzi Żmijka?

- Wiesz, po prostu żal mi jej. Może trzeba by jej jakoś pomóc? - improwizował na poczekaniu. - Nikt jej nie podał ręki, kiedy chodziła do naszej budy. Trochę mnie to męczy, ciebie nie? Może jeszcze teraz dałoby się coś dla niej zrobić?

- Chory jesteś. - Kajzer nagłym ruchem przytknął mu dłoń do czoła. - No tak, czterdzieści stopni w cieniu. Jej już nikt nie może pomóc, rozumiesz? Takim jak ona nic nie pomoże.

- Nie wierzę.

- Lepiej uwierz. - W głosie przyjaciela Kuba usłyszał wyraźnie złowrogi ton. - Od Żmijki najlepiej trzymać się z daleka. Ty, a może ty się w niej zakochałeś, co?

- Zwariowałeś?

- Ja nie. To ty zwariowałeś, jeśli po tym wszystkim, co o niej słyszałeś, jeszcze chcesz mieć z nią do czynienia. I nawet nie chce mi się tłumaczyć, dlaczego. Lepiej dla ciebie, żebyś nie wiedział.

- Coś tam wiem.

- Co na przykład? - Robert zrobił się czujny.

- Że to kuzynek Pacyfista nauczył ją jarać. I wciągnął ją w takie towarzycho, że skończyło się gwałtem.

Kajzer pokiwał głową.

- Widzisz? Tylko ci się wydaje, że coś wiesz. Ten cały Pacyfa to biedny dureń, który kiedyś wylądował w dole z wapnem.

Kubie zrobiło się nieprzyjemnie. Takich słów jeszcze z ust przyjaciela nie słyszał. I nie wyglądały one wcale na ściągnięte z jakiegoś filmu albo gry komputerowej. Zabrzmiały przerażająco prawdziwie. Nagle do niego dotarło, że nie zna już Roberta tak dobrze jak kiedyś. Dostrzegł w nim coś obcego, coś, co budziło strach.

- Dobra, powiem ci coś. A zrobię to tylko po to, żebyś nie narobił jakichś głupot. Jesteśmy w końcu kumplami, nie? No więc nieprawda, że Pacyfista nauczył Żmijkę jarać. Nie musiał. Nauczyła się w szkole.

- Co ty gadasz?

- Sam widziałeś, że kupić dragi to w naszej kochanej budzie żaden problem. Wiesz,

szanuję cię za to, że nie pytałeś, skąd Dżemojad wziął wtedy piguły. I tak trzymaj. Żadnych szczegółów. No więc ona już leciała równo, kiedy Pacyfisty babcia dała w kalendarz i nagle dostał mu się kwadrat jak lotnisko. A że on też lubił sobie zajarać i walnąć krechę, szybko się dogadali. Wiesz, że on się już uważał za wielkiego muzyka. A każdy wielki muzyk musi wziąć działkę od czasu do czasu, żeby się odstresować. Niektórzy funkcjonują tak całymi latami. Tylko że Pacyfka nie był na to dość wielki. Kariera się skończyła, zostały dragi. No i Żmijka, która pocieszała go, jak umiała. I organizowała towar, korzystając z tych samych umiejętności.

- Więc jednak jakąś krzywdę kuzynek jej wyrządził.

- Krzywdę? Wątpię. On tylko nauczył ją, jak można facetowi zrobić dobrze. Wiesz, mam na myśli techniczne sprawy. Do reszty sama się rwała. A na pewno nie miała nic przeciw temu. Widziałeś, nawet grubemu robiła.

- Tobie też robiła? - spytał Kuba. Robert uśmiechnął się krzywo.

- Mówiłem, żadnych niepotrzebnych szczegółów.

- Sory. Trzymajmy się Żmijki.

- Słusznie.

Miała naprawdę talent do tych rzeczy. Wymyśliła, że jak wciągnie do biznesu koleżanki, będą mieć towar za darmo i jeszcze zarobią. Kuba uśmiechnął się sam do siebie. A więc nie mylił się. Przecież sam wymyślił tę sytuację. I nawet ją opisał.

- Cwane - mruknął z satysfakcją.

- Nie do końca. Zauważyłeś, że ona już dawno temu przestała bywać w Samobójcu? Jeszcze zanim ją wyrzucili ze szkoły?

- No.

- Nie pytasz, dlaczego?

- Dlaczego?

- Żeby się niektórym ludziom nie pchać na oczy. Ale w końcu sami ją znaleźli. Jak się domyślasz, nie było to trudne. Ten durny Pacyfa nie wziął pod uwagę jednego. Że on razem ze swoją Żmijką nie żyje sam na świecie. I że nie oni pierwsi wymyślili, że można kurestwem zarabiać na dragi. To już nie są czasy kompotu, kiedy kumpel kumplowi odpalał towar, który sam wyprodukował. Komuna się skończyła, w tej branży także. Mamy wolny rynek, a co myślisz. - Zbliżył twarz do twarzy Kuby tak bardzo, że prawie się dotykali. I powiedział cicho, prawie wyszeptał: - Na tym rynku zaczęła się prawdziwa wojna. Żaden mały gnojek nie będzie na nim kręcił swoich lodów.

Teraz zabrzmiało to już całkiem złowrogo.

Kuba patrzył na przyjaciela, jakby go widział pierwszy raz w życiu. Przy drugim kuflu wyraźnie przestawał się kontrolować, jakby to, co opowiadał, zaczynało mu się podobać. Aż się nie chciało wierzyć, że Robert Kajzer jest ciągle uczniem trzeciej klasy o kierunku matematyczno-fizycznym w słynnej na cały kraj „Kuźni”, fabryce prymusów.

Chwilę później równie gwałtownie odsunął się, pociągnął łyk piwa, odprężył.

- Tak że mała Żmijka nie ma co płakać, że ją trochę skotłowali. Mogło być dużo gorzej.

- Na przykład?

- Nie wiem. Jak ona i jej kuzynek nie zmadrzeją, to się przekonamy. Może na przykład wielki muzyk Pacyfa będzie miał połamane wszystkie paluchy i nie tylko już nigdy nie da rady szarpać za druty, ale nawet tyłka sobie własnoręcznie podetrzeć. To na początek. A potem? Możliwości jest wiele.

Kuba Mazurek powoli tracił ochotę do dalszego słuchania. Ale właśnie przed chwilą usiadł przy barze Jacek Ładny. Kuba nie poczuł się tym zdziwiony. Wiedział, że reporter często odwiedza różne knajpy. Lubił piwo. Poza tym w rozmowach z barmanami i ich klientelą szukał tematów, na które niepijący dziennikarze nie mieli szansy wpaść.

Pojawienie się Ładnego przypomniało Kubie, po co właściwie tu przyszedł. Pomyślał, że trudno, trzeba doprowadzić tę rozmowę do końca:

- Popierasz gwałcenie pańienek? - spytał niewinnie.

- Jakie gwałcenie? - Robert wyraźnie się zdenerwował. - Przecież ci tłumaczę od pół godziny, że to dzdżira.

- Mówisz, jakbyś był jednym z nich - Kuba całkiem świadomie posłużył się argumentem użytym kiedyś przez Ładnego.

- Kuba, nie przeginaj. - Kajzer spoważniał. - Czy ja zawsze nie byłem dla ciebie w porządku? Po czyjej jesteś stronie? Myślisz, że nie wiem, że ona ciebie też potraktowała jak śmiecia? Powtarzam ci, że nikt jej nie gwałcił. Chłopcy po prostu zrobili z nią to, co zawsze. Tylko że tym razem za friko.

- Robert, ona była dziewicą - powiedział Kuba cicho, ale stanowczo.

- Co ty gadasz! Jaką dziewicą?

- Bez ściemy. Sam dobrze wiesz.

- A ty co? Sprawdzałeś ją? Nie uwierzę.

- Nie musiałem.

- Słuchaj, w co ty grasz?

Zgoda, masz rację. Ale jak się dowiedziałeś, co? Takie informacje mają tylko psy.

Zaczyna tu coś śmierdzieć.

- Nie tylko psy. Dziennikarze też.

- Ach, mówisz o tym palancie?

- O jakim palancie?

- O tym - Robert pokazał głową w stronę baru.

- Ładny nie jest palantem.

- Jest. Nie obrażaj się. Wiem, że cię wziął pod skrzydełka, do spółki z Żelazną Dziewicą. Ale palantem jest. Poczytaj jego artykuły o narkomanii. Dżizes, co za kity. Taki on ładny, jak mądry. Naiwny frajer, możesz mu to powiedzieć.

- Na pewno nie. Musisz przyznać, że jednak wiadomości ma pewne.

- Pewnie mu powiedziała ta suka, Mamuśka Cyc. Może ją dyma, a ona go informuje.

- Kto taki?

- Widzisz, jaki jesteś zielony? Taka policjantka, podkomisarz Piontek.

- Nie miałem pojęcia, że ty znasz jakieś policjantki,

- Z telewizji. - Robert uśmiechnął się kpiąco.

- Nie widziałeś? Przecież występuje razem z twoją Żelazną Dziewicą i jakimiś porąbanymi posłami, żeby zrobić z Krakowa bezpieczne miasto. Naiwne cipy.

- Zmieniasz temat.

- Co?

- Zmieniasz temat. Mówiłem, że Żmijka Huber była dziewicą, kiedy ją ci faceci zgwałcili.

Kuba widział, że Robert aż zagotował się w środku, ale zapanował nad sobą.

- Dobra. Anatomicznie - wycedził. - Rozumiesz? Anatomicznie była dziewicą. Miała błonę. I tyle. Broniła jej, jak nasi ojcowie socjalizmu. Takie miała zboczenie. Brała chłopakom na wszystkie sposoby, tylko tam nie. Myślała, że jest cwańsza od wszystkich. Całkiem się jej przewróciło pod beretem. Zdawało się jej, że jak pozwolili jej uchować całą cnotkę, to pozwolą jej też działać na własną rękę. A to byłby zły przykład. Wszystkie by tak chciały. Trzeba było pokazać, że to się nie opłaca. Ty myślisz, że ktoś się połakomił na Żmijkę i jej marny tyłek? Masz pojęcie, jakie laski są do dyspozycji? Po prostu trzeba było dać dziwce klapsa, żeby wiedziała, że ma się słuchać. I co się jej stało? Straciła małą błonę? Ale zachowała całe kości. Pozostało już tylko jedno pytanie. Cokolwiek miałoby się stać, trzeba je było zadać. Trudno.

- Wiesz, kto jej to zrobił?

Kajzer przygryzł wargi.

- Kuba, naprawdę przesadzasz. Przecież zawsze byliśmy kumplami. Ciągłe jesteśmy, prawda?

- Wiesz?

- Tego nikt nie wie. A kto wie, też nie wie.

- Żmijka podała jakieś nazwiska.

- Ale nie te.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo już by się kąpała w kwasie solnym.

Zanim Kuba zdążył ochłonąć po tej kolejnej szokującej wypowiedzi przyjaciela, ten złapał go nagle za łokieć.

- A teraz już ani słowa na ten temat. Zapomnij. Idzie moja miss.

Pomiędzy stolikami zbliżała się prawdziwa piękność. Monika, której nazwiska Kuba nie pamiętał, nie była wprawdzie miss świata, tylko miss Krakowa licealistek, ale z jej urodą wszystko miała jeszcze przed sobą.

Kajzer podniósł się i objął dziewczynę ramieniem.

- Pięknie razem wyglądamy, nie? - niby zakpił, ale Kuba dobrze wiedział, że przyjaciel myślał tak o sobie naprawdę. Zresztą, miał powody.

Poczuł, że się czerwieni, kiedy podawał rękę dziewczynie.

- To jest Kuba, mój najlepszy kumpel od przedszkola - powiedział Robert łaskawie. - Wiesz, ten, z którym uciekałem z domu. Opowiadałem ci.

- Aha - powiedziała miss licealistek.

Kuba miał ochotę schować się pod stolik.

- Pamiętasz, Kuba, jak zatopiliśmy kajak na środku jeziora i starzy myśleli, żeśmy się potopili?

Piękność patrzyła na niego z zainteresowaniem, a Kuba miał wrażenie, że znowu tonie.

Robert mrugnął do niego i dokończył:

- A my dopłynęliśmy do brzegu i patrzyliśmy z krzaków, jak się biedne zgreby miotają. Pamiętasz?

Miss zatrzepotała powiekami.

- Chyba fajnie jest mieć kumpla?

Zapewne chciała być po prostu miłą, ale Kuba miał dość emocji jak na jeden dzień.

- Jasne. Nie będę wam przeszkadzał. Zresztą i tak muszę już spadać.

Przy wyjściu dogonił go Jacek Ładny. Kuba poczuł się trochę nieswojo. Dziennikarz

widział go pijącego piwo. Ale Ładny tylko spytał:

- I co?

- Nie wiem, czy nie wolałbym nie wiedzieć.

- A co myślałeś? - Reporter uśmiechnął się gorzko. - Większość ludzi woli w nieświadomości spędzić całe życie. I całkiem im z tym dobrze.

Odchodził już ulicą Bracką, kiedy usłyszał za sobą:

- Kuba!

Odwrócił się. Ładny stał z rękami w kieszeniach sztruksowej marynarki.

- Wybór należy do ciebie.

Piontek, ta mogłaby zabić cyckiem

- „Z moimi starymi było tak, że jak tylko ojciec pojechał na zarobek do Rajchu, matka od razu znalazła sobie nowego frajera...” Kuba Mazurek siedział z głową opuszczoną tak nisko, że podkomisarz Piontek widziała tylko jego włosy, opadające prawie na biurko. Nagle poderwał głowę.

- Przestań - prawie krzyknął.

- Słucham? - spytała zimno.

- Niech pani przestanie. Nie ma pani prawa.

- Ja nie mam prawa? Napisałeś, a teraz ci wstyd?

- Nie pani rzecz.

- Teraz już moja.

- Nie napisałem tego dla pani. Pani to ukradła.

Policjantka pokręciła głową z lekkim uśmiechem.

- Mylisz się. Mieliśmy prawo wziąć wszystko, co znaleźliśmy w tym mieszkaniu. Był legalny nakaz. A ty miej pretensje do samego siebie.

- Mówiłem już dziesięć razy. Przyszedłem pożyczyć płytę.

- Popatrz na mnie - powiedziała podkomisarz Piontek. - Słyszysz? Popatrz na mnie.

Czy ja wyglądam na idiotkę?

Nie, nie wyglądała na idiotkę. Wyglądała na kawał cwanej baby. I mającej wszystko na swoim miejscu.

Kuba, zmuszony do podniesienia wzroku, już go nie opuścił. Od Piontek naprawdę trudno było oderwać oczy. W skórzanej kurtce, szarym golfie i krótkiej czarnej spódnicy przypominała bardziej kochankę gangstera niż policjantkę.

Przerzuciła ramiona przez oparcie krzesła, wypinając biust. Poły kurtki opadły na

boki, a golf mało nie pękł. Chłopaki z dzielnicy nie darmo mówiły, że Piontek mogłaby zabić cyckiem. Jeszcze przed laty, kiedy pracowała w Izbie Dziecka, przyłgnęło do niej przezwisko Mama Cyc. I tak już zostało.

- No? Masz mnie za idiotkę? - ponagliła. Pokręcił głową.

- Myślę, że pani nie jest głupia. Właśnie dlatego powinna pani uwierzyć.

- Wydaje ci się, że jesteś sprytny? Mam ci uwierzyć, że przyszedłeś tam po płytę?

Wzruszył ramionami.

- A po co? Odłożyła długopis.

- Dobra, porozmawiajmy prywatnie. Boisz się? Przyznaj się to żaden wstyd. Każdy by się bał. Z tymi ludźmi nie ma żartów. Ale w twojej sytuacji raczej nie ma lepszego wyjścia, niż powiedzieć prawdę. Kiedy ich dorwiemy, nic ci nie zrobią.

- Czego miałbym się bać? Płyty nie można pożyczyć. Legalna, z hologramem.

Piontek machnęła ręką, zniechęcona.

- Nawet nie wiesz, w co się pchasz, dzieciaku. Nie rozumiesz że nikt tu nie jest twoim wrogiem?

- Proszę nie mówić do mnie dzieciaku.

- Przecież taką masz ksywkę, nie?

- Ksywkę? Ja nie mam żadnej ksywki. W co mnie pani wrabia?

- Tak zeznał jeden z twoich kolegów - przerzuciła papiery na biurku. - Proszę: „Potem przyszedł ten Kuba, którego przezywają Dzieciak. On wcześniej też przychodził do tego mieszkania

- No to co, że przychodziłem? Przecież mówię, że pożyczałem płyty.

Policjantka westchnęła z rezygnacją.

- Wiesz, Kuba, myślałam, że jesteś rozsądniejszy. Opowiadał mi o tobie redaktor Ładny i wyobrażałam sobie kogoś bardziej dojrzałego. Rozczarowałam się.

- Przykro mi, że panią zawiodłem.

- Zawiedziesz przede wszystkim siebie, jeśli się nie opamiętasz. Wydaje ci się, że jeden skręt od czasu do czasu ci nie zaszkodzi, prawda? Nazywają cię Dzieciak, ale ty jesteś mocnym facetem, zawsze panujesz nad sytuacją. Chciałeś tylko być na bieżąco, musiałeś po prostu przetestować nowy towar, nie jesteś ćpunem. Ale taka okazja, pierwszej klasy skun, prosto z Amsterdamu. Nie mogłeś sobie odpuścić, rozumiem to. Oczywiście, chciałeś tylko spróbować. Nie ma mowy, żeby cię wessało, prawda?

- Nie wiem, o czym pani mówi.

Miał świadomość, że Mama Cyc nie może mu nic zrobić. Nie miał pojęcia, co się



stało. Policja wpadła na chatę Pacyfisty, ale najwyraźniej coś zaważyła. Kocioł założyli chyba zbyt szybko. Mieszkanie było czyste, a transport nie dotarł. Widocznie ktoś w porę ostrzegł kurierów.

- To my przejęliśmy transport - rozwiła Piontek jego wątpliwości. - Kurierzy nie mieli takich skrupułów, jak ty. Bo myślisz, że skąd wiedzielibyśmy, gdzie mają dostarczyć towar? Słuchaj, Pacyfisty i tak już nic nie uratuje. Zresztą, może mu to wyjdzie na zdrowie. W pudle będą go leczyć. Jeśli potwierdzisz, że ten facet sprzedawał narkotyki, obiecuję ci, że w szkole o niczym się nie dowiedzą.

- To znaczy o czym?

- Że zostałeś zatrzymany w znanej melinie, gdzie przyszedłeś kupić niedozwolone środki odurzające.

- Przyszedłem pożyczyć płytę - powiedział.

- Tak? Jaką? - próbowała go złapać.

- Rage Against the Machine. Zna pani?

- Znam - kiwnęła głową. - Still knee-deep in the system's shit („wciąż po kolana w gównie systemu”). Tak się właśnie czujesz?

Musiał przyznać, że mu zaimponowała, cytując fragment tekstu z „Wake Up”, jednego z jego ulubionych kawałków. Ale nadal była tylko policjantką. Suka, jak powiedziałyby Robert Kajzer. Tym bardziej niebezpieczną.

- Dokładnie tak - potwierdził.

- Może nawet masz rację. W każdym razie dużo racji. Ale drągi to nie jest żadne rozwiązanie, uwierz mi.

Próbowała różnych sztuczek. Ale Kuba wiedział już, że nie musi się nimi przejmować. Dopiero teraz zaczęło do niego docierać, jakie miał szczęście. Gdyby gliniarze nie spieprzyli roboty, jego sytuacja byłaby całkiem inna. Co mógłby powiedzieć, gdyby go złapali ze skunem w plecaku? Że chciał tylko napisać reportaż do szkolnej gazetki? Kto dałby sobie wcisnąć taki kit? Nawet gdyby to była prawda. A nie była. Przecież nie wrzuciłby tego towaru do wychodka. Nie spaliłby. Oddałby wszystko Żmijce. I dobrze zdawał sobie sprawę, że nie chciała tylko dla siebie.

Za dużo miało tego być. Puściłaby skuna do ludzi, może nawet między uczniów „Kuźni”.

Gdyby to wszystko wyszło, mogliby go nawet oskarżyć o dilerkę. Jak by się tłumaczył? Że zrobił to, bo litował się nad Żmijką Huber? Że ojciec tak jej pilnował, że nie mogła w żaden sposób podjąć towaru sama, a gdyby wyszła z biznesu, obojętnie z jakiego

powodu, to tym razem już nie skończyłoby się na gwałcie? Kto by uwierzył w jego dobre serce? I że nic za to nie chciał? Przecież chciał. Tak, właśnie chciał, żeby zapłaciła mu tak samo, jak płaciła Dżemodadowi i innym chłopakom. Zastanawiał się, czy to można by uznać za handel? I dochodził do wniosku, że jak najbardziej. Już widział swoją matkę. Nie wierzył, żeby mogła spełnić swoją groźbę i zabić się. Ale w wyobraźni widział jej minę. To mu wystarczyło.

Powinien to sobie wszystko dopiero przemyśleć. Może nawet napisać o tym opowiadanie. Ale to wymagało czasu. Teraz musiał po prostu tylko wszystkiemu zaprzeczać. Tak radził mu Robert Kajzer: „W razie czego zasada jest taka, że idziesz w zaparte, choćby ci mieli kości połamać. Udajesz tuman, oni mówią, że czarne, to ty, że białe. Oni, że białe, to ty, że czarne. Oni wiedzą, że rzniesz głupa, ale mogą ci skoczyć”.

Robert na pewno nigdy by nawet nie pomyślał, że Kuba naprawdę może znaleźć się w takiej sytuacji. Sam też się nie znalazł, przynajmniej do tej pory. Tak się tylko przechwalał. Ale metoda działała.

- Słuchaj, dzieciaku, jeśli chcesz zmarnować sobie życie, nikt ci w tym nie przeszkodzi - powiedziała Piontek. - Ale dajesz przykład innym. Jeśli nie zmadrzejesz, prędzej czy później cię dorwiemy. I nie pójdzie ci tak łatwo, jak tym razem. Obiecuję ci to.

Wiedział, że nazwała go znów dzieciakiem specjalnie, żeby go zdenerwować, żeby stracił panowanie nad sobą i zdradził się z czymś. Uśmiechnął się. Teraz był już pewny, że nic nie mogą mu zrobić.

- Pani się naprawdę myli. Chciałbym pomóc, ale nie potrafię.

- Coś ci pokażę - powiedziała policjantka.

Wstała, z oszklonej szafki wyjęła słoik pełen czarnych, poskręcanych liści. Odkręciła wieczko i wysypała trochę na białą kartkę.

- Wiesz, co to jest?

- Nie mam pojęcia. Herbata? - Zdołał się już tak wyluzować, że udało mu się nawet bezczelnie uśmiechnąć.

Opanowała się.

- Przypadkiem powiedziałaś prawdę. Nie masz pojęcia, choć wydaje ci się, że wiesz. Sądziś, że to po prostu zwykły skun, prawda? Albo, jak wy to nazywacie, murzynek.

- Kto nazywa? Ja na pewno nie.

- Wszystko jedno. Ale przecież właśnie to chciałeś kupić od Pacyfisty, prawda? Towar, jaki w Krakowie nieczęsto się zdarza. Koledzy mówili, że daje taki haj, jak żadna inna trawa na świecie. I w dodatku bez konsekwencji. Przecież każde dziecko na świecie wie, że

trawka mniej szkodzi niż papierosy i wódka, dobrze mówię? To tylko wredne zgredy, które same leją w siebie gorzałę i zabijają się nikotyną, zabraniają wam maryški. Przez zwykłą zazdrość. I dlatego, że chcą wam pokazać swoją władzę. No widzisz, myślisz, że wszystko wiesz, ale najważniejszego nie wiesz. Jak ci się wydaje, z jakiego powodu ten skun daje taki haj, jakiego inne nie dają?

Nie wytrzymał jej mentorskiego tonu.

- Niepotrzebnie się pani wysiła, znam tę lekcję. Jest modyfikowany genetycznie, ma dziesięć czy piętnaście razy więcej THC niż zwykła trawa.

- Brawo! Pilny uczeń.

- To nic wielkiego. Takie rzeczy można przeczytać w profilaktycznych broszurkach. I co z tego? Co to ma wspólnego ze mną? Może pani wie, co daje jaki haj, bo ja nie.

- Pilny uczeń, ale trochę niedouczony - ciągnęła, ignorując jego protesty. - Odpowiedź, której udzieliłaś, jest prawdziwa. Tylko że niepełna. W tej branży jest postęp szybszy niż w grach komputerowych. Słyszałaś, co to jest uprawa hydroponiczna? Pewnie, że słyszałaś. Więc na pewno wiesz, że w tej uprawie roślinki nie oglądają ziemi, tylko całe życie rosną w wodzie i tą drogą są karmione wszystkim, czego potrzebują. Azotem, potasem, magnezem i tak dalej. Ale czy tylko? No, jak myślisz? Otóż, dzieciaku, nie tylko. Te, które tu widzisz, zostały nadprogramowo nakarmione heroiną. No i załóżmy, że wredne psy nie robią nalotu na chatę Pacyfisty i transport dociera. Więc kupujesz i jarasz, przekonany, że to tylko stara, poczciwa maryška, po której nic ci nie będzie. A potem czujesz, że coś nie tak, że inny towar, od innych dilerów, już ci nie wystarcza. Że czegoś ci brakuje, tylko nie wiesz czego. I wtedy życzliwy kumpel podsunąłby ci brauna. Wciągnąłbyś dyma i poczuł, że to jest właśnie to, czego ci było trzeba. I byłbyś skończony. Bo dilerzy hery, żeby biznes się kręcił, muszą mieć wciąż nowych klientów.

Starał się nie dać po sobie poznać, jakie wrażenie zrobiły na nim jej słowa. Nie mógł sprawić jej takiej satysfakcji. Dlaczego nie wiedział tego wcześniej? Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego Żmijka Huber uparła się na towar od Pacyfisty, choć zwykłą trawę zdobyłby dla niej dużo szybciej, gdyby tylko była gotowa zapłacić na swój sposób. Czy wiedziała, co w tym towarze jest takiego szczególnego? Teraz podejrzewał, że musiała wiedzieć. Zaczynał rozumieć, dlaczego inni mogli mieć jej dość. Po prostu bali się jej. A już zwłaszcza po tym, jak się rozniosło, że zgwałcili ją ludzie z biznesu. Tylko on był, jak zwykle, ostatnim naiwnym.

- I co? Widzę, że mój wykład nie trafił ci do przekonania. A tak się starałam - powiedziała Piontek zniechęcona.

- Nie, dlaczego, pani cenne wskazówki natychmiast przekażę wszystkim kolegom, żeby zdali sobie sprawę z czyhających niebezpieczeństw. - Z trudem wytrzymał wzrok policjantki. - Ale mnie to wszystko po prostu nie dotyczy.

Piontek machnęła ręką i opadła na krzesło. Zapaliła papierosa, przed czym powstrzymywała się od początku ich rozmowy. Jeszcze raz przerzuciła jego zapiski, przeczytała jakiś fragment, pokiwała głową. Potem nagle rzuciła zeszytem przez biurko.

- Zabieraj swoje bazgroły i spierdalaj.

- Słucham?

- Zejdź mi z oczu. Tacy jak ty są najgorsi. Podniósł się, schował zeszyt do plecaka.

- Do widzenia - uklonił się grzecznie.

Nie odpowiedziała. Wypuszczając dym w stronę sufitu, z ramieniem przewieszonym przez oparcie krzesła, przyglądała mu się zimnym, badawczym wzrokiem, jakby był szczurem, na którym przeprowadza się właśnie ciekawy eksperyment.

Dość bycia dzieciakiem!

(pisze Kuba Mazurek)

No, myślę, że wreszcie mogę być z siebie zadowolony. Nie pękłem przed tą babą. Ale swoją drogą nie chciałbym dostać się w jej łapy, gdyby miała na mnie coś rzeczywiście poważnego. Nieprzypadkowo wybrała pracę w psiarni. Naprawdę ma do tego talent. Nie musi wrzeszczeć, brać na strach. Ma lepsze tricki. Na przykład jak wypnie te swoje balony. Chyba każdemu facetowi wszystko wtedy podchodzi do gardła. Słyszałem o tym wcześniej od chłopaków z osiedla, którzy mieli z nią do czynienia. Po prostu nie mogli, tak ich prowokowała. Musieli trzymać się stołka, żeby się na nią nie rzucić. A ona jakby mówiła: No chodź, koleś, tylko spróbuj.

I każdy wiedział, że gdyby dał się ponieść, to kaplica. Każdemu pokazała w ten sposób, jaki jest malutki. Chłopaki ją za to nienawidzili. Ale nie było takiego, który by nie chciał, żeby go przesłuchiwała. Niektórzy specjalnie po to robili różne głupoty. Teraz ja też mam to za sobą. I muszę powiedzieć, że moje notowania pod blokiem od razu skoczyły. Już mnie nie mają za takiego dzieciaka, co ani nie zajara, pije tylko piwo i nawet jednego dnia nie przesiedział na Izbie Dziecka.

Jak ona to wyczuła? Jeszcze jeden przykład, co to za chytra suka. Wiedziała, gdzie dotknąć, żeby zabolalo. Że kiedy mnie nazwie Dzieciakiem, od razu czuję się zdołowany. Nienawidzę tej ksywki. Fakt, niektórzy mnie tak nazywają, jak się w porę mocno nie postawię. To się za mną ciągnie od podstawówki. A wszystko przez to, że byłem takim

małym geniuszkiem. Podobno mając cztery latka sam czytałem bajeczki. W przedszkolu pisałem wierszyki. To była zasługa mamusi. A znów za sprawą tatusia rozwiązywałem równania proporcjonalne, wiedziałem, jak działa silnik spalinowy i umiałem wyjaśnić, posługując się globusem i piłką, skąd biorą się dzień i noc, pory roku, zaćmienia Słońca i Księżyca.

Zdaje się, że moi starsi im bardziej mieli dość siebie nawzajem, tym mocniej rywalizowali o tytuł Najlepszego Nauczyciela i Wychowawcy małego Kubusia. Cóż, było to lepsze niż gdyby prali się po pyskach, jak rodzice koleśki z osiedla. Jasne. Tylko że ja przez to wyrastałem na dziwaka, który wszystko umiał, tylko nic nie wiedział o prawdziwym życiu.

Jakby tego było mało, do tego klubu pedagogów dołączył dziadek Chłopicki, nauczyciel rysunków, niespełniony artysta malarz. Prawda, zdolności plastyczne miałem niezaprzeczone. To jednak nie wystarczało. Dziadek zadbał, żebym je właściwie ukierunkował. Był wielkim patriotą i konserwatystą. Także w sztukach plastycznych. Wyznawał realizm. Niestety, przez jakiś czas także socjalistyczny. Bardzo starał się z tym ukrywać, ale faktem było, że jeszcze przed moim urodzeniem, za Gierka, jako jedyny w Krakowie przyjął zamówienie na wykonanie w szaleńczym tempie sześćdziesięciu siedmiu identycznych Leninów w oleju. Były wzorowane na znanym zdjęciu, na którym wódz rewolucji lewą rękę trzyma w kieszeni, a prawą wskazuje świetlaną przyszłość. Dziadek się wywiązał i w kolejną rocznicę Wielkiego Października jego Leniny w oleju zawisły w sześćdziesięciu siedmiu gminnych, miejskich i gminno-miejskich komitetach partii. Sygnowane pseudonimem Adam Kmieć.

Zainkasował honorarium i odtąd, w ramach odkupienia grzechów, realizował już wyłącznie zamówienia kościelne. No i bardzo dbał, żebym ja nie powtórzył jego błędu. Od najwcześniejszych lat musiałem malować prawie wyłącznie sceny religijne (choć to już głównie zasługa babci) oraz kopiować tak zwane wielkie malarstwo patriotyczne. Co mi się zresztą podobało, bo było tam dużo koni. Powstawały więc kolejno „Kościuszkowski pod Racławicami”, „Śmierć Józefa Poniatowskiego w nurtach El-stery”, „Pułaski pod Savannah” itd. U dziadków na ścianie do dziś wisi moja „Bitwa pod Kostiuchnówką” wg Kossaka. Za każdym razem, kiedy na nią patrzę, skręca mnie ze śmiechu. Bolszewicy Budionnego są na moim malowidle podobni do małp siedzących na chudych, długonogich psach. Polscy ułani w swych zielonych mundurach przypominają ufoludki z talerzami na głowach. Ich psy są jakby bardziej spasionie. Słowo daję, dziadek był wielkim pedagogiem.

Pamiętajmy, że moi koledzy spod bloku w tym samym czasie pasjonowali się filmami kung fu z „Wejściem smoka” na czele i piosenkami wczesnego Lady Pank. W tym

zestawieniu jasno widać, jakim byłem dziwadłem. Zresztą, czy miałem szansę na coś innego w tej porąbanej rodzinie? Na czele z dziadkiem Chłopickim, typowym konserwatystą krakowskim. Czasem aż współczułem staremu. Moi drudzy dziadkowie są prostymi ludźmi i musiał przeżywać niezłe rozdarcia. Można mu wiele zarzucić, ale jedno trzeba przyznać: nigdy, nawet w czasie największej rodzinnej nagonki, kiedy go obsmarowano jako „ostatniego kochanka nieboszczki partii”, nie wypomniał dziadkowi Chłopickiemu jego sześćdziesięciu siedmiu Leninów w oleju.

Rozmazałem się trochę, ale taka właśnie była geneza mojej wstrętnej ksywki. Jako mały geniuszek poszedłem do szkoły mając sześć lat. Odtąd zawsze byłem najmłodszy, a przez długi czas także najmniejszy w klasie. W ten sposób zostałem Dzieciakiem.

Wiem, że moi starzy nie chcieli zrobić mi krzywdy. Zawsze się starali, tylko rzadko im wychodziło. Kiedyś przecież byli ekstra parą. Wszyscy to mówią. Choć ja już tego nie pamiętam. Najwcześniejszą rzeczą, jaką sobie przypominam na temat pożycia rodziców, była awantura, jaką dziadek Chłopicki zrobił matce. Zdaje się, że poszła do teatru z jakimś obcym facetem. Pamiętam, że nie spałem i słuchałem przez drzwi krzyków dziadka:

- Zapominasz się! Zapominasz, że jesteś żoną i matką. I że ludzie nas znają.

Matka płakała:

- To co ja mam robić? Przecież ja chyba też mam prawo żyć?

- Nie histeryzuj, moja droga. - Do dziś pamiętam ten zimny ton, pełen moralnej wyższości. - Co nazywasz życiem? Kompromitowanie własnego męża?

- Co ty mówisz, tato? To jakieś przesady z zamierchłej epoki.

- Tak ci się tylko zdaje. Przypominam ci, że sama wybrałaś. Ostrzegaliśmy cię oboje z matką. To ty się uparłaś. Więc teraz ponoś konsekwencje, jak przystało na przyzwoitą kobietę.

Wolałbym tego nie pamiętać. Wolałbym pamiętać tylko czasy, kiedy żyliśmy szczęśliwi we troje. Tak było na początku. Na wąskim łóżku w akademiku toczyło się nasze życie. Wieczorem kładliśmy się wszyscy razem. Matka karmiła mnie piersią i usypiała, a ojciec leżąc na wznak czytał albo rozwiązywał problemy szachowe. Czasem podczas karmienia wspólnie planowali spływy kajakowe i górskie wspinaczki. Łóżko założone było wtedy kolorowymi mapami i fotografiami wymarzonych miejsc. Jeszcze inaczej bywało przed egzaminami. W takie dni matka, karmiąc mnie, też nie przerywała czytania. Trzymała książkę nad moją głową i mamrotała pod nosem.

Najprzyjemniej zapadało mi się w sen, kiedy rodzice nie czytali, tylko słuchali muzyki z radia. Kiedy oni myśleli, że już zasnąłem, ja nigdy nie spałem. Wypuszczałem tylko pierś i

dla nich to był sygnał. Książki i mapy natychmiast spadały na podłogę. Kładli mnie pod ścianą, a sami rzucali się na siebie i zaczęli się kochać. Dopiero wtedy, ukołysany ruchami materaca i skrzypieniem sprężyn, usypiałem naprawdę. Trochę dziwnie jest wyobrazić sobie własnych starych w trakcie pieprzenia. Ale przecież musieli się pieprzyć, bo jednak bocian mnie nie przyniósł.

Czy ja to naprawdę pamiętam? Jasne. I pamiętam też, że w owych czasach byłem ich najlepszym kolegą. Wystarczy popatrzeć na zdjęcia z tamtych lat. Zaczynając od tego, na którym matka w dwuczęściowym kostiumie kąpielowym, z wielkim gołym brzuchem, siedzi na burcie żaglówki. Obok ojciec z rumplem w ręce, nad nimi kolorowy spinaker, wydęty zupełnie jak brzuch matki. Na następnych już mnie widać na wierzchu, razem z nimi. Wyglądam z plecaka, który niesie matka. Albo zza głowy ojca, zjeżdżającego na nartach. Wszyscy troje podróżujemy autostopem. Siedzimy w jakimś klubie jazzowym. Przy ognisku, gdzie matka gra na gitarze. Na kei w Mikołajkach czy innej ławie. Na wierzchołku Rysów z Tatrami w tle. Można nas oglądać i oglądać, w dziesiątkach innych sytuacji, które łączy jedno. Na wszystkich widać, że jesteśmy trójką kumpli.

Kiedy to się skończyło? Kiedy przestałem być kumplem, a stałem się syneczkiem, przedmiotem troski, małym geniuszkiem, obiektem edukacji i zabiegów wychowawczych? Jednym słowem, Dzieciakiem? Wtedy, kiedy zamieszkaliśmy kątem u dziadków Chłopickich? Kiedy największą ambicją starego stało się dorównanie braciom, którzy na wsi stawiali dla swoich rodzin domy z kradzionych materiałów, jak to za komuny? Albo całkiem kiedy indziej? Nie mam pojęcia.

Trudno, jakichś kumpli trzeba mieć. Jak nie w domu, to pod blokiem. Więc kiedy wróciłem z przesłuchania u Mamy Cyc i dowiedziałem się, że Mussolini chce się ze mną widzieć, nie wahałem się ani chwili. Z osiedlowym układem albo się żyje dobrze, albo ma się przesrane. Ja żyłem dobrze i miałem spokój. I nic nie musiałem. Nigdy nikt na Azorach nie ściągnął ze mnie haraczu. Nie chodziłem z kolesiami na bryki ani na bitwy z kibicami Cracovii. Mimo to nie ruszali mnie. Zawdzięczałem to dobrym stosunkom z Mussolinim.

Kiedy wprowadziliśmy się na Azory, on, starszy ode mnie o parę lat, już kierował jedną z miejscowych band. Rządzili wschodnią częścią osiedla i ogródkami działkowymi. Miałem szczęście, że od razu mnie polubił. Właśnie dlatego, że tyle wiedziałem. Nie był tępy, zaimponowało mu to. Zaraz na początku kolesie chcieli mi, jako obcemu na tym terenie, spuścić bęcki. Wtedy Mussolini wziął mnie na przepytanko, a potem kazał im, żeby mnie nie tykali. I nie tykają do dziś. Więc kiedy wzywał, trzeba było iść. Mussolini nie jest już, rzecz jasna, szefem bandy osiedlowych smarkaczy. Ma własną siłownię, którą wszyscy nazywają

Katownią. Za czyje pieniądze, nie wiem. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać. Łatwo go tam znalazłem. Wyciskał sztangę, aż oczy wychodziły mu na wierzch.

- Jesteś, Dzieciak - wysapał. - Opowiadaj.

Jeden Mussolini, kiedy tak na mnie mówił, nie robił tego lekceważąco. Od niego mogłem to ścierpieć. Niektórzy ludzie dziwią się, jak mogę w ogóle zadawać się z kimś takim. Nic nie rozumieją. Dzięki temu mogę spokojnie chodzić po osiedlu o każdej porze. Mógłbym nawet w środku nocy zabrać panienkę na działki i włos by jej z głowy nie spadł (dobry pomysł, muszę go kiedyś wprowadzić w życie).

Mussolini nie jest jeszcze jednym tępym łysolem. Oczywiście ma ogoloną czaszkę, bo uważa się za skina, czego łatwo się domyślić po ksywie, którą sam sobie nadał. Ale nie jest tak, że w tej łysej głowie ma pusto. Nie faszeruje się anabolami, więc choć macha sztangą jak nawiedzony, wygląda na mniejszego od większości swoich klientów. Za to lepiej mu się układa pod beretem. Z nim można nawet trochę pogadać. Najpierw myśli, a bije dopiero potem. To tylko taka przenośnia. Mnie nigdy nie tknął. Chodzi mi o to, że nie wyciąga wniosków pochopnie. Zresztą, sam uważa się za myśliciela. W pewnym sensie, rzecz jasna.

Słuchał mojego opowiadania uważnie, choć przez cały czas nie przestawał ćwiczyć. Dopiero kiedy skończyłem, usiadł i wytarł pot ręcznikiem.

- Poważnie, tak ci Mamuśka powiedziała? Udało ci się wyprowadzić ją z nerwów? No, to jesteś niezły. Ale uważaj. Nie z wszystkimi można tak pogrywać. Zawołałem cię, bo chciałem ci powiedzieć, żebyś tego więcej nie robił.

Patrzył na mnie jak chyba nigdy wcześniej. Jakby ze smutkiem. Poczulem się nieprzyjemnie.

- Żebyś czego nie robił? - spytałem.

- Żebyś nie pomagał tej małej dziwce. Nie wiem, co z nią masz, ale zapomnij. Radzę ci jak kumpel. Po co ma się ktoś na ciebie wkurwić?

Nie klął więcej, mówił spokojnie, jak wierzący w swoje posłannictwo nauczyciel. Tym bardziej mnie mroziło.

- Dziwisz się, że wiem? - spytał, wciąż bez uśmiechu. - Ktoś musi panować nad tym całym burdelem.

- Ty? - wyrwało mi się. Pogroził mi palcem.

- Nie. Na razie jeszcze nie ja. Nawet nie powiem, że to są moi kumple. Ale ktoś musi trzymać to wszystko za pysk. Rozumiesz? Żaden złodziejski gnojek, żaden ćpun, żadna mała dziwka nie mogą sobie rządzić, jak chcą. Bo wiesz, do czego by to doprowadziło, Dzieciak? Do chaosu.



Wstał z ławy, zrobił kilka rozluźniających skłonów, nałożył czarny podkoszulek, czarne spodnie i glany.

- Coś ci powiem, Dzieciak - odezwał się, sznurując buty. - Oglądałem wczoraj Sejm w telewizorze. Jeden dupek się pluł, że trzeba zjednoczyć wszystkie siły, żeby zlikwidować polskie gangi. Pomyślałem sobie: Ty głupi wale, jakie siły? Wiesz, co bym zrobił z takim pajacem? Postawiłbym pod ścianą i kula w łeb. Bo to jest, Dzieciak, zdrada narodu. Wiesz, co będzie, jak padną polskie gangi? Okupacja. Natura nie znosi próżni. Przyjdą inni. Ukraińcy, Włosi, Turcy, Albańczycy. Bo kto im wtedy zabroni? Fabryki rozkradzione, banki sprzedane. Politycy kupieni. Zostaje mafia. Jak nie będzie polska, będzie inna. Ta najgorsza. Wiesz, jaka, Dzieciak? Ruska.

Wstał, zapiął szeroki skórzany pas nabijany ćwiekami. Na zakończenie położył mi na ramieniu twardą dłoń.

- Posłuchaj rady kumpla, Dzieciak. Nie pchaj się w te sprawy. To nie dla ciebie.

No i rozmowa z Mussolinim trochę popsowała dobre samopoczucie, jakie miałem po tym, jak sobie poradziłem z Mamą Cyc. Już wspominałem, że do tej pory nie wkurzało mnie, kiedy on jeden mówił mi Dzieciak. Bo nie nazywał mnie tak, żeby poniżyć. Miał się za mojego opiekuna na osiedlu. Teraz i tego mam dość. Dobrze byłoby móc z kimś pogadać naprawdę szczerze. Jacka Ładnego, zdaje się, trochę nudzę. Nie chciałbym się narzucać.

Dziwna sprawa, ale właśnie w trakcie pisania tego arta przyszło mi do głowy, czy kimś takim nie mogłaby być Żelazna Dziewica? Może powinienem spróbować?

Pani poseł, to brzmi kusząco Sień przy Sławkowskiej była ciemna i wilgotna, zalatywało stęchlizną i moczem. Kto nie wiedział, nie domyśliłby się, że tędy wchodzi się do najślawniejszego z nowych pubów w Krakowie, na cześć obalenia komuny nazwanego Free. Barska uparła się, żeby spotkali się w bramie, zamiast po prostu od razu na dole. Jakby chciała, żeby wyglądało to na niezaplanowane spotkanie, żeby ktoś czasem nie pomyślał, że się umówili. Padało, więc Ładny nie mógł nawet spacerować po ulicy. Stał oparty ramieniem o mur, palił papierosa i wypatrywał jej w zamglonej perspektywie Rynku.

Specjalnie przyszedł wcześniej, żeby to ona nie musiała czekać i teraz zastanawiał się, czego tak się bała. Były w niej jakby dwie Justyny Barskie. Jedna umawiała się z nim, jakby to było coś absolutnie normalnego i poza wszelkim podejrzeniem. Druga wołała unikać ludzkich oczu i dziennego światła. Nie chciała już spotykać się w Europejskiej. O każdej porze dnia bywało tam za dużo ludzi biznesu, prawników, urzędników z Ratusza i takich, co kręcili się przy polityce. Krótko mówiąc tych, którzy znali ją jako żonę Barskiego. We Free

spotykało się całkiem inne towarzystwo, przede wszystkim dziennikarze, muzycy i młodzież. W surowej piwnicy, gdzie po ceglanych ścianach biegły niczym nieosłonięte rury kanalizacyjne, najwyraźniej czuła się bezpiecznie.

Odpalał trzeciego papierosa, kiedy wreszcie ją zobaczył. Zaskoczyła go. Nie był tego do końca pewny, ale wydawało mu się, że wyszła właśnie z Europejskiej. Kiedy ją zauważył, zegnała się pośpiesznie na rogu Rynku z jakimiś ludźmi, którzy nawet od tyłu skojarzyli mu się natychmiast z polityką. Nie pomylił się. Jeden z nich się odwrócił i Ładny z daleka rozpoznał hemingwayowską brodę posła Kowalczyka. Cofnął się głębiej do bramy. Kiedy po chwili znów zerknął na ulicę, Barska była już sama. Szła szybko, prawie biegła w jego stronę, osłaniając się parasolką, jakby bardziej przed ludzkimi spojrzeniami niż przed deszczem.

Zza tej parasolki nie zauważyła go, stojącego w bramie, i kiedy nagle stanęła z nim oko w oko, zmieszała się, jakby nie była pewna, czy widział ją wychodzącą z Europejskiej, gdzie z nim nie chciała się spotkać. Rzuciła szybko:

- Spóźniłam się? Przepraszam, ale spotkałam znajomych i nie mogłam się uwolnić. Okropni nudziarze.

- Nie ma się czego wstydzić. Przecież to elita krakowskich polityków - zakpił łagodnie.

- Widziałeś? - Zaśmiała się nerwowo. - Prawdę mówiąc, nie był to przypadek. Musiałam z nimi coś omówić. Na szczęście mam to już za sobą. Teraz ciebie poproszę, żebyś mi doradził, jak mam się zachować.

Poczuł się trochę zawiedziony. Wolałby, żeby ich spotkanie było z jej strony bardziej bezinteresowne.

- Nie wiedziałem, że jestem autorytetem.

- Nie bądź taki skromny.

Po stromych żelaznych schodkach, przypominających raczej drabinę, zeszli do piwnicy, o tej porze jeszcze niezbyt zadymionej i w miarę cichej. Usiedli w pierwszej salce, w rogu niedaleko baru. Zamówił dla siebie żywiec, Barska poprosiła o chardonnay. Było tylko rumuńskie, ale to jej nie przeszkadzało.

Za barem nudziła się wymalowana na wampa Kasia, w chwilach wolnych od pracy słuchaczka Wydziału Nauk Politycznych.

- Witaj, największy znawco ćpunów wśród reporterów prasy regionalnej - przywitała Ładnego, nie ruszając się z miejsca. Stała z łokciami na kontuarze, podpierając brodę obiema dłońmi, i słuchała starych standardów w wykonaniu Bille Holiday. Dopiero kiedy skończył się kawałek, zabrała się do nalewania.

Musiał przyznać, że jej sarkazm był w jakimś stopniu uzasadniony. Ostatnio wykorzystał parę jej wypowiedzi, nie podając źródła. Ale gdyby podał, wsypałby ją.

- Cześć, najlepsza barmanko wśród studentek - odgryzł się. Wykrzywiła się, rzuciła spojrzenie w stronę Barskiej, a potem nachyliła się szybko i syknęła:

- Dziewięć pięćdziesiąt, największy naiwniaku wśród podrywaczy.

Wzruszył ramionami. Może Kasia była zbyt bezczelna, ale taka była zawsze. Swoją drogą, pomyślał, czy Barska ma wypisane na czole, że jest Żelazną Dziewicą?

- Czyżbyś ty też skończyła sławną „Kuźnię”? - domyślił się.

- Wszyscy w tym mieście skończyli sławną „Kuźnię”. Wreszcie usiadł przy Barskiej. Z początku rozmowa się nie kleiła. Wciąż czuli na sobie wzrok barmanki, która, kołysząc się w rytm kawałków Bille Holiday, przyglądała się im, nawet niezbyt się z tym kryjąc. Barska najwyraźniej nie mogła się przełamać i przejść do właściwego tematu.

- Przeczytałam ten twój ostatni tekst o narkomanach - zaczęła ostrożnie.

- I co?

- Niezły. Ale jak dla mnie za bardzo starasz się wczuć w duszę ćpuna.

- A co, ty też jesteś zwolenniczką postawy: zero tolerancji?

- Jakoś nie mogę zdobyć się na tolerancję dla kogoś, kto chce zniszczyć nie tylko siebie, ale i wszystkich naokoło.

Nie chciało mu się brnąć w ten ślepy zaułek. Wiedział z doświadczenia, że ze zwolennikami zera tolerancji nie ma dyskusji. Najwyżej można się z nimi pokłócić. A on nie chciał kłócić się z Barską. Toteż po prostu nie zareagował na jej ostatnie słowo i na chwilę zapadło między nimi kłopotliwe milczenie. Barska nie zdobyła się na przerwanie go. Wypiła łyk rumuńskiego chardonnay i uśmiechnęła się do Ładnego bezradnie.

- No to zrzuć z siebie to brzemie, które cię przygniata - zachęcił ją.

- A nie będziesz się ze mnie śmiał?

- Śmiać się? Z ciebie?

- Obiecuj.

- To niepotrzebne. Ale obiecuję.

- I tak ci nie wierzę. Tylko że w końcu muszę to komuś powiedzieć. Nie wiem, jak się zachować. Ciekawa jestem, co ty byś o tym sądził.

Jednak nie było tak źle. Skoro wybrała właśnie jego, nie musiało skończyć się na dawaniu dobrych rad.

- Najpierw muszę wiedzieć, o czym - powiedział łagodnie.

- Chcę, żebym na jesieni wystartowała do Sejmu.

Nie był zaskoczony. Raczej zawiedziony. Wielu niespełnionych w swych ambicjach nauczycieli próbowało w ten sposób poprawić sobie samopoczucie. Ale nie spodziewał się, że właśnie Barska zechce znaleźć się w tym gronie. Trochę go rozczarowała.

- O! - powiedział tylko. - A kto chce? Zaśmiała się nerwowo.

- Wyobraź sobie, że miałam już dwie propozycje. Liberałowie i tak zwana cywilizowana prawica. Po prostu biją się o moje względy, wyobrażasz sobie? Co tak patrzysz? Myślisz, że opowiadam ci bajki?

Wcale tak nie uważał. Wszystkie komitety potrzebowały ozdobników w postaci młodych i pięknych kobiet, które dobrze sprzedawałyby się na plakatach. Barska poza tym miała naturalny elektorat w postaci absolwentów „Kuźni” z paru ostatnich lat. I ich rodzin. Trochę była też znana z telewizyjnych audycji „Bezpieczne miasto”, gdzie mówiła rzeczy, które mogły podobać się ludziom z natury tolerancyjnym, ale wystraszonym. Myślał: Zresztą, kotku, tym cwaniakom przecież wcale nie chodzi o to, żebyś weszła do Sejmu. To oni chcą tam wejść. Twoja rola to nabić trochę głosów liderom list. Do tego nadajesz się idealnie.

- Co, uważasz, że mi odbiło, prawda?

- Wcale nie - zapewnił szczerze. - Ale co ze szkołą?

- Co tam szkoła. - Wzruszyła ramionami. - Dawno pozbyłam się złudzeń, że jestem tam komuś potrzebna. Komu?

- W twojej klasie jest trochę obiecujących dzieciaków. Taki Kuba Mazurek na przykład.

- Kuba Mazurek? - Jakby się zmieszała. - Nie uważasz, że on jest trochę dziwny?

- A ja nie jestem trochę dziwny? Albo ty?

- Chciałam powiedzieć, że trudno mi tego chłopca zrozumieć. Jakby szukał kłopotów.

- Może ma swoje problemy?

- Każdy ma swoje problemy. Nie pracuję w szkole pierwszy rok. Nauczyłam się nie przejmować trudnym dzieciństwem moich uczniów. To stare konie, kute na cztery nogi. Jeśli będziesz łatwowierny, wykorzystają to bez skrpułów.

- On naprawdę ma talent.

- Myślisz?

- Ja to wiem. Ale nie ma pewności siebie. I to go pewnie zgubi. Nie wydaje mi się, żeby umiał kogokolwiek wykorzystać.

Zamilkła i zamyśliła się. Wciąż trzymając kieliszek z winem w lewej dłoni, zaczęła przygryzać paznokcie u prawej. Już wcześniej zauważył u niej ten gest, kiedy przestawała się kontrolować. Zupełnie mu to nie pasowało do całego obrazu.

- Może masz rację. Mnie on się też podoba. - Zapatrzyła się gdzieś ponad jego ramieniem. - Ma takie ładne dłonie. I włosy.

- Słucham?

- No co? Ty też miałeś kiedyś podobne.

Chrząknął znacząco. Wkraczamy na niebezpieczny teren. Nigdy mi nie mówiłaś, że podobały Ci się moje włosy.

Nie było okazji. Kuba w ogóle jest do ciebie trochę podobny. Niby łobuz, a naprawdę taki delikatny i niepozbywany.

- Co?

Najwyraźniej zrozumiała, że przesadziła.

- To znaczy, masz rację, myślę, że jest zdolny. - Zaplątała się. Jednak zaraz potem wzięła się w garść i zmieniła temat: - Ale o czym my mówimy? Przecież nie chodzi o jednego ucznia. Trzeba po prostu zmienić całą szkołę. Wszystkie szkoły. Cały system. Gdybym była w Sejmie, miałabym szansę przynajmniej coś ruszyć.

Pomyślał, że może ona naprawdę w to wierzy. W końcu, co mu to szkodziło, że nagle zapragnęła zbawiać świat. Nic z tego powodu nie straciła. Wciąż ładnie pachniała, a patrzenie na nią było taką samą przyjemnością jak wczoraj.

- To co? Jednak uważasz, że to bez sensu?

- Ale skąd! Będziesz świetna. - Postarał się, żeby jego słowa zabrzmiały naprawdę przekonująco.

- Spokojnie, najpierw muszą mnie wybrać - powiedziała trzeźwo.

- Oczywiście, że cię wybiorą. Zrobimy ci taką kampanię, że oszaleją za tobą.

- Naprawdę? Podjął byś się tego?

W tym momencie najchętniej odgryzłby sobie język. Nie przewidział, że Barska może złapać go za słówko. Teraz musiał już brnąć dalej. Pocieszał się, że w razie czego zawsze zdoła się jakoś wykręcić.

- Dla ciebie? W każdej chwili. - Zaryzykował, nakrył jej dłoń swoją i uścisnął, niby po przyjacielsku.

Poczuł, jak lekko zeszywniała. Po chwili cofnęła rękę. Jeszcze raz przekonał się, że przydomek Żelaznej Dziewicy słusznie się Barskiej należał.

- Mam przez to rozumieć, że uważasz mnie za najlepszą kandydatkę? - powiedziała kpiąco.

- Oczywiście. A masz wątpliwości?

To też miał być żart, ale mimo woli wyszła prawda. Przecież znał potencjalnych

kandydatów. Aż za dobrze. Barska mogła robić wśród nich za gwiazdę pod każdym względem. Doprowadzenie jej do zwycięstwa w wyborach wcale nie byłoby niemożliwe. To by dopiero była fanga dla różnych pajaców. A przy tym walka wyborcza mogłaby się okazać całkiem przyjemna. W trakcie wspólnej kampanii jej niewzruszona cnota miałaby czas skruszeć.

- Jasne, że mam wątpliwości - powiedziała cicho. - Dałam się głupio wciągnąć. Chyba powinnam przyznać ci rację, moje miejsce jest w szkole.

- Niczego takiego nie powiedziałem - zaprzeczył żarliwie.

- Oczywiście, że tak.

- Wcale nie. Chciałem tylko powiedzieć, że dla „Kuźni” to będzie naprawdę strata. I dla tych dzieciaków też. Kto im zostanie? Pani Caban, jej gwardia przyboczna i grupka wystraszonych oportunistów. Ale jeśli czujesz, że masz coś do zrobienia, to nawet się nie zastanawiaj - brnął coraz głębiej, aż sam przestraszył się tego, co wygadywał. Była to ostatnia chwila, żeby klepnąć ją w ramię, roześmiać się i zawołać: Ale dałaś się nabrać! Żartowałem. Nie wygłupiaj się. Wracaj do szkoły, bo dzieciaki potrzebują takiej nauczycielki jak ty, a nie naiwnej kandydatki, którą starzy wyjadacze chcą kręcić jak pacynką. Ale zamiast tego zakończył: - Temu krajowi też się od nas coś należy.

Poczuł się jak oszust matrymonialny. I właśnie w tej chwili chyba udało mu się przekonać ją, że jest szczerzy. Jak nigdy dotąd, popatrzyła na niego z wdzięcznością. Kiedy podawał jej płaszcz, nie odebrała mu go, jak dawniej, ale z niecodzienną u niej uległością wsunęła ręce w rękawy. Jesteś jak wszystkie, pomyślał. Można się dla ciebie pochlastać i nic, a złapiesz się na pierwszy lepszy tani bajer. Powinien poczuć się jak świnia, a ogarnęła go duma, że jest taki zręczny. Nawet barmanka Kasia spojrzała na niego z czymś w rodzaju uznania. Przechodząc obok baru, puścił do niej oko. Nie poczuł się z tego powodu dumny. Po prostu zrobił to odruchowo.

Kiedy wyszli na ulicę, nie zdecydował się wziąć jej pod rękę. Nie chciał ryzykować, że znów się odsunie. Pomyślał, że jeszcze na to za wcześnie. Niósł tylko jej parasol, a ona pilnowała się, żeby mimo bliskości nie dotykać go w marszu. I tak zdziwił się, że pozwoliła mu odprowadzić się do tramwaju.

Na Siennej natknęli się na zebrzącego grajka, który siedział z gitarą pod murem. Ładny znał go trochę, a przynajmniej wiedział, że ma przydomek Pacyfista i że kiedyś, zanim zaczął pić i palić marihuanę, wróżono mu karierę co najmniej drugiego Maleńczuka. Teraz śpiewał zdartym głosem:

Spotkałem dziś Jezusa, to nie żaden blef,

Zmęczony i smutny Plantami szedł.

Prosiłem: Panie, daj mi znak.

A Jezus odpowiedział tak:

Spytaj bogacza, bracie, który forszę ma,

Przecież wierzysz, że on ci odpowiedź da...

Barska zatrzymała się nagle i sięgnęła do torebki. Kryjąc twarz, wyjęła dwadzieścia złotych.

- Proszę cię, daj mu - powiedziała.

- Dwie dychy? Nie przesadzasz? - zdziwił się Ładny. Sam czasem rzucał narkomanom parę groszy, ale nawet on był zdania, że nie powinno się im zanadto ułatwiać życia. Tym bardziej zdziwił go gest Żelaznej Dziewicy, która dopiero co deklarowała zero tolerancji.

- Proszę cię - powtórzyła.

Wzruszył ramionami, podszedł do grajka i wrzucił banknot do plastikowej miseczki po jakimś fastfudzie. Pacyfista podniósł mętny od haszu wzrok i uśmiechnął się, ale nie do Ładnego.

- Wielkie dzięki, pani profesor! Niech panią Jezus prowadzi! - zawołał na całą ulicę.

Skuliła się i odeszła w kierunku Poczty Głównej tak szybko, że Ładny musiał podbiec, żeby ją dogonić. Nie oddała mu już parasolki. Ale też nie miała nic przeciw temu, żeby na przystanku koło poczty zczekał z nią na tramwaj.

- Nie sądziłem, że go znasz - odważył się odezwać. Odwróciła głowę w drugą stronę i dopiero po długiej chwili odpowiedziała:

- Uczyłam go. Teraz widzisz, jaka ze mnie wychowawczyni? Zaskoczyła go. Czuł, że powinien szybko coś powiedzieć, stanąć po jej stronie.

- Daj spokój. Jeśli ktoś postanowił zostać ćpunem, żadna pani od polskiego go nie uratuje.

Nie było już czasu na rozwinięcie tematu, bo właśnie nadjechał jej tramwaj.

- Oczywiście, masz rację - powiedziała tylko niecierpliwie, podała mu oficjalnie rękę i wskoczyła do wagonu.

Patrzył za tramwajem, dopóki nie zniknął za rogiem Dominikańskiej. Potem musiał wrócić przez całe Stare Miasto do swego samochodu, zaparkowanego przy Placu Matejki. Obok wejścia do kina Apollo zobaczył przyklejoną do gabloty ulotkę z dużym tytułem „Apel”. Pod tekstem widniał podpis „Radni Miasta Krakowa”. Przystanął i zaczął czytać. Podpisani domagali się zdjęcia z ekranu filmu „Dzieciaki”. Uśmiechnął się szyderczo.

- A to oszołomy - powiedział na głos sam do siebie i pokręcił głową.

Wszystkie podpisane osoby należały bez wyjątku do Inicjatywy Obywatelskiej Przeciw Pornografii i Demoralizacji. Jej działacze już nieraz dawali mu zarobić, występując w jego satyrycznych piątkowych felietonach. Nie był to ich pierwszy publiczny występ tego rodzaju. Zamiast zająć się dziurami w krakowskich ulicach, poczuli się powołani do wielkich zadań. Uwierzyli, że ich misją jest zbawienie narodu, po upadku komunizmu zagrożonego przez bezbożny liberalizm, ideologię New Age, upadek obyczajów i powszechny dostęp do prezerwatyw. Organizowali patrole i przemierzali trójkami miasto, tropiąc pornografię i inne diabelstwa. Kioskarzy sprzedających świńskie czasopisma publicznie piętnowali, straszili wiecznym potępieniem i odebraniem koncesji. A kiedy kino Apollo zaczęło wyświetlać „Dzieciaki”, wysmażyli projekt uchwały stanowiącej, że w katolickiej Polsce, w takim mieście jak Kraków, nie ma miejsca na filmy, które pokazują, jak małolaty ćpają i uprawiają seks. Projekt padł w głosowaniu, więc sięgnęli po sposób, do którego przywykli w czasach totalitarnych. Znowu byli prześladowani, tym razem przez demokrację samorządową.

Protest musiała zredagować osobiście radna Teresa Kwiat, przywódczyni antypornograficznej krucjaty. Znał ten natchniony ton nie do podrobienia:

To nie dzieciaki, to bezbożne, odrażające, wściekłe szczeniaki, którym nie można pozwolić, żeby zarażały naszą polską młodzież bakcylem moralnej zgnilizny, jak zarażają wirusem HIV swoje amerykańskie koleżanki...

Pomyślał, że radna Kwiat znowu się prosi, żeby jej dokopać. Jeszcze dwa lata temu zaraz siadłby do komputera i wyklepał felietonik na trzy tysiące znaków, po którym Kwiat znowu popłakałaby się na najbliższej sesji Rady Miasta. Teraz już mu się nie chciało. Przyszło mu do głowy, że to jest temat w sam raz na ćwiczenie dla małolatów z „Kowadła”. Choćby dla Kuby Mazurka.

Pod kościół, facet!

Bankiet z okazji otwarcia hotelu Pułaski zgromadził całą elitę Krakowa. Jedyne pod nieobecność kardynała Macharskiego, który akurat przebywał w Rzymie, poświęcenia nowego obiektu dokonał jeden z pomniejszych hierarchów. Wśród zgromadzonych wywołało to jawny szmerek niezadowolenia. Biskup chrząknął, uśmiechnął się bezradnie i uniósł kropidło.

- No, a teraz do stołu, bo umrę. - Głos Leszka Pobóg-Halickiego, niezależnego komentatora Polskiego Radia Kraków, przebił się przez przymilne, ale skromne oklaski, które rozległy się, kiedy kapłan zakończył ceremonię.

Niektórzy uczestnicy uroczystości spojrzeli ze zgorszeniem na dziennikarza, którego



potężna sylwetka dostrzegalna była z każdego miejsca sali, ale po chwili zrobili to samo co on. Jedyne biskup pozostał nieco z tyłu, zagłębiany w rozmowie z radną Teresą Kwiat, której jak wierny giermek towarzyszył wiceprezydent Wolnego Królewskiego Miasta Krakowa, Dominik Psota.

Przy stole z zakąskami Jacek Ładny nieprzypadkowo znalazł się obok Agaty Kot, polującej na kolejnych rozmówców ze swym nieodłącznym mikrofonem pokrytym tkaniną w kolorze malinowym. Była to barwa rozpoznawcza Radia Wisła, odróżniająca je od błękitów Polskiego Radia Kraków czy ostrych żółci Radia RMF. Ale w połączeniu z kształtem mikrofonu budziła jednoznaczne skojarzenia.

- A tobie co się stało? - spytała Kot, dostrzegłszy Ładnego. - Myślałam, że nie chadzasz na takie imprezy. Nie widuję cię.

Mówiła prawdę. Ładny polował w całkiem innych rewirach, interesowała go całkiem inna zwierzyna. Istniały jednak dwie ważne przyczyny, dla których zainteresował się bankietem w hotelu Pułaski. Jedną z nich była właśnie niewysoka, czarnowłosa, bardzo smagła i przyjemnie zaokrąglona reporterka Radia Wisła ze swym malinowym mikrofonem. Drugą przyczynę mógł do tej pory obserwować tylko z daleka: Justyna Barska stała w głębi hotelowego holu razem z mężem i prezesami The Pułaski Investments. Kilka minut wcześniej podjął nawet próbę zbliżenia, przeszedł obok nich i uklonił się, ale Barska skinęła mu tylko sztywno głową, a jej mąż, piękny Waldemar Barski, przystojniak o sylwetce pływaka, obrzucił go tylko od dołu do góry i z powrotem zimnym, lekko pogardliwym spojrzeniem i nie odpowiedział na ukłon, udając pogrążonego w rozmowie z prezesami. Ładny aż się zagotował. Po spotkaniu we Free i zwierzeniach na temat kandydowania do Sejmu spodziewał się lepszego przyjęcia. Na pociechę pozostawała Kot, zdecydowanie bardziej w jego zasięgu.

- Słyszysz? Nie widuję cię na bankietach. Ocknął się.

- Do tej pory nie miałem powodów.

- Niektórzy koledzy chodzą tylko po to, żeby się najeść i opić.

- No właśnie, mnie też płacą coraz gorzej. Postanowiłem zacząć korzystać z tego Caritasu - wykręcił się żartem.

- Mądra decyzja. Zatopmy nasze wilcze zęby w tłustym brzuchu obcego kapitału - zahuczał z tyłu głos Leszka Pobóg-Halickiego.

Niezależny komentator Polskiego Radia Kraków trzymał już w lewej dłoni kopiasty talerzyk zakąsek i małym widelczykiem zgarniał je sobie do ust. Dopiero teraz zauważył ukrytą za Ładnym Agatę Kot.

- A oto i nasza słynna konkurencja ze swym szalejącym fallusem w dłoni! - wykrzyknął, pryskając wokół majonezem.

- Chciałbyś takiego mieć, grubasie, ale nie łudź się - odpowiedziała reporterka kwaśno.

- Ale to kąsa. Istna czarna wdowa.

- Nie po tobie - odcięła się.

- A uchowaj Boże!

- Wziąłbyś się lepiej do roboty. Już swoje w życiu zjadłeś. A tymczasem znowu straciliście do nas pół procenta słuchalności.

- Żadna hańba. Schlebiacie najniższym gustom. Byłoby się czego wstydić, gdybyśmy was prześcignęli.

Wydawało się, że będą tak odbijać sobie piłeczkę jeszcze długo, kiedy Pobóg-Halicki nagle oklapł, zamilkł, zastygł z ustami pełnymi sałatki śledziowej. Po chwili ocknął się jak wyrwany ze snu.

- Ech, co nam pozostało, koleżanko. Tylko ten wisielczy śmiech przez łzy. A ty dlaczego nie pracujesz, tylko ciągniesz łyskacza jak pijawka w towarzystwie tego tu anachronicznego przedstawiciela mediów drukowanych? Bo też dobrze wiesz, że dla nas nie ma tu żadnej roboty. A chciałoby się, och, jak by się chciało obnażyć, zdemaskować to całe złodziejstwo, to całe oszukaństwo, przekręciarstwo totalne i bezwstydne, które nasz przewielebny ksiądz biskup tak ochoczo skrapiał wodą święconą. Niestety, wszyscy siedzimy w kieszeniach tych wampirów.

- Ale przyzna pan, redaktorze, że pewnym zgrzytem okazała się nieobecność księdza kardynała.

Tego nieodmiennie radosnego głosu, wygłaszającego uwagi tradycyjnie nie na temat, nie dałoby się pomylić z żadnym innym. Poseł Kowalczyk, lider krakowskiej cywilizowanej prawicy, jak zwykle wyłonił się nie wiadomo skąd, był bowiem znany z tego, że pojawiał się wszędzie i to często o tej samej porze. Teraz też wyrósł znienacka przy potężnym boku Leszka Pobóg-Halickiego i choć sam nie był ułomkiem, nagle zmałał i zeszcupłał, a jego broda nie wyglądała już tak hemingwayowsko w porównaniu z dwudniowym zaledwie, ale zwierzęco gęstym zarostem krzewiącym się na obliczu niezależnego komentatora Polskiego Radia Kraków.

- Ksiądz kardynała wezwały ważniejsze obowiązki, panie pośle. Co pan, jako gorliwy syn kościoła, z pewnością rozumie.

- Zgodzi się pan jednak, redaktorze, że jeśli ksiądz kardynał miał na dzisiejszy dzień

zaplanowaną posługę w Stolicy Apostolskiej, to należało przełożyć poświęcenie hotelu. Ja rozumiem, że woda święcona jest zawsze tak samo święcona, ale przyzna pan, że splendor byłby nieporównywalny.

- A nie pomyślał pan, panie pośle, że może ksiądz kardynał specjalnie tak pokombinował, żeby się od tego splendoru wykręcić? Żeby swoją osobą nie firmować tego przekreślenia dziesięciolecia, tej pralni brudnych pieniędzy zrodzonych z grzechu i zepsucia, z nierządu i środków odurzających, z łez wdów i sierot? Tego przybytku szatana, w którym dziewczki wszeteczne gzić się będą z czcicielami złotego cielca, a ojcowie chrzestni Petersburga, Chicago i Neapolu knuć swoje globalne spiski?

- Pana to się zawsze żarty trzymają, redaktorze - odrzekł poseł Kowalczyk, zaśmiał się radośnie i oddalił do innych elitarnych kręgów.

Jacek Ładny czuł się coraz bardziej nie na swoim miejscu. Nie przyszedł tu, żeby uczestniczyć w odwiecznym krakowskim kabarecie, wysłuchiwać tyrad Leszka Pobóg-Halickiego i innych bywalców takich spędów. Przez to nie mógł spokojnie zamienić paru słów z Agatą Kot. Przebolał już odprawę, jakiej mu udzieliła przy taksówce po imprezie w Ritmo Latino. Doszedł do wniosku, że nie ma się co obrażać. Od dłuższego czasu myślał coraz częściej, że najwyższy czas skończyć z samotnym spaniem. Agata Kot była jedną z paru osób, które mogłyby zapełnić puste miejsce w jego łóżku, nie sprawiając mu tym przykrości. Miała już co prawda czterdziestkę, a zamiłowanie do mocnych alkoholi, papierosów i nieprzespanych nocy robiło swoje, ale wciąż była interesująca. Jej smagła uroda jakoś to wszystko wytrzymywała. I choć raczej nie widział szans, żeby roznieciła w nim pożar zmysłów, to czuł, że mógłby z nią sypiać bez przymusu. W sytuacji ich obojga nie było to mało.

- A naprawdę? - spytała. - Po co tu jesteś?

Postanowił, że na razie nie będzie jej jawnie podrywał, żeby nie nabrała za szybko pewności, że przyszedł właśnie dla niej.

- Pomyślałem, że może warto przyjrzeć się naszym nowym biznesmenom - powiedział.

Zaśmiała się z przymusem.

- Zwłaszcza jednemu, prawda?

- Nie rozumiem.

- Rozumiesz, rozumiesz. Przyszedłeś zobaczyć, jak dzisiaj wygląda z bliska mąż Żelaznej Dziewicy. Nie wypieraj się, bo to widać gołym okiem. I co? Wciąż przystojniak, nie?

- No wiesz? Po prostu ta jego błyskawiczna kariera jest interesująca. Jeszcze niedawno się nie liczył, a tu dostał do zbudowania taki hotel. Teraz cały świat stoi przed nim otworem.

- Kryminały całego świata. Bo tak to się skończy. - Leszek Pobóg-Halicki, który już zaczął się oddalać, usłyszawszy, o kim rozmawiają, zawrócił. Nie zdążył przełknąć kolejnej porcji zakąsek, tak się śpieszył z wtrąceniem własnego zdania. - A popatrzcie na tę naiwną prezesową Barską. Jaka dumna, jaka wpatrzona w swojego Waldiego. Bidula, nawet nie przeczuwa, jaki los on jej szykuje.

- Z tego, co tu widzimy, to chyba niedługo zbuduje jej willę na Riwierze - wtrącił Ładny, którego gadanina Pobóg-Halickiego teraz dopiero naprawdę zdenerwowała.

- Willę na Riwierze? A tak, to bardzo możliwe. Do pory, do czasu.

Nawet byłoby wygodnie, bo w Marsylii mają dla takich jak on bardzo fajny dom wypoczynkowy.

Przebywa tam na czasach wielu Afrykanów z wielkimi dragami.

- Parsknął nie do końca kontrolowanym śmiechem, tym razem siejąc wokół czarnym kawiozem.

- Tacy piękni i biali są tam zawsze mile widziani.

- Ale jesteś wredna małpa - oburzyła się Agata Kot.

- Zazdrościsz? Jak popatrzysz do lustra i na niego, to musisz być chyba strasznie wściekły, nie?

Jej zaangażowanie w obronę Barskiego wcale się Ładnemu nie spodobało.

Tymczasem Pobóg-Halicki nie dawał zbić się z tropu.

- Czy mu zazdrościsz? Oczywiście! Wszyscy faceci w Krakowie zazdroszą Waldiemu zabójczej urody, a także pięknej, choć najprawdopodobniej ozięblej małżonki. Ale wcale mu nie zazdrościsz, że pewnego dnia o świcie chłopcy w kamizelkach kuloodpornych wywalą mu z kopa drzwi i wywloką z małżeńskiego łóża w kajdanach. Wyobraź sobie, że tego mu nie potrafię zazdrościć ani trochę.

Kot spojrzała na niego z większą uwagą.

- Ty coś wiesz?

- Od paru lat wszystkie oszałamiające sukcesy w biznesie kończą się w naszym wolnym kraju właśnie tak. Nawet te pokropione przez biskupów.

- Pytam, czy wiesz coś konkretnego.

- Leszek Wielki zawsze coś wie. - Pobóg-Halicki uśmiechnął się zwycięsko.

- Podziel się, bądź kolegą.

- Teraz to kolegą? Już nie starym, grubym zawistnikiem?

- No, Lesiu. - Pogłaskała go po wielkiej dłoni, wciąż dzierzącej widelczyk do sałatek.

- O nie, nie, moja królowo nocy. Nie zapominaj, że wciąż jesteśmy konkurencją. Za bardzo sobie cenię moje okienko na antenie, z którego wolno mi bezkompromisowo gromić wszystkich, którzy nie chcą reklamować się w naszej rozgłośni. Jedyne, co mogę dla ciebie zrobić, to poradzić ci pewne przemyślenia.

- No?

- Zastanów się chwilę. Czy ten piękny, ale głupi Waldi zna się na budowaniu hoteli? Czy on w ogóle zna się na biznesie? Do tej pory czego się złapał, to spieprzył. Doprowadził do upadku nawet takiego kolosa jak Żelbud. Nawet bloku na czterdzieści mieszkań nie udało mu się dokończyć, do dziś ma na karku rozwścieczonych lokatorów. Siedział w długach po dziurki w nosie, już prawie splajtował. A tu nagle takie zlecenie. I taki sukces!

- To dlaczego dali mu ten hotel?

- O właśnie. To wielkie pytanie! Trzeba sobie zadać trud i pogrzebać w starych planach, w zezwoleniach. Coś mi się zdaje, że jeszcze niedawno przewidywano tu tereny rekreacyjne dla spragnionych świeżego powietrza krakowian. Działeczki były tanie, taniutkie. A tu bach, stoi hotelik. A za rok, dwa, wspomnicie moje słowa, z tyłu stanie całkiem duży supermarkecik. Wszystkie sieci są gotowe grubo posmarować masłem za taką lokalizację. I posmarują, posmarują. No, a jak już rekiny pożrą, co jest do pożarcia, obudzi się sprawiedliwość narodowa i weźmie za tyłki drobne karaski, jak nasz piękny głupi Waldi. Bo tak to właśnie hula w tym wolnym kraju.

- Ale dlaczego on?

- Elementary, my dear Watson. Bo ma piękną kartę kombatancką. Bo w czasach młodości chmurnej i durnej rzucał ulotki, urządził zadymy, bił się o niepodległość ojczyzny. Federacja Młodzieży Walczącej, podziemna Solidarność, to wszystko jego towarzysze broni. Stąd dzisiaj w Radzie Miasta, w urzędach ma różnych koleśki, którzy nie dorwali się do wielkiej władzy i wielkiego szmalu, a też wreszcie potrzebują mieć coś z tego, że nadstawiali karki za wolną Polskę.

- Wiesz co? Jak możesz? Przecież to są także twoi koledzy. Wyłazi z ciebie obrzydliwy stary komuch, przefarbowany tylko po wierzchu - odpowiedziała Kot z niesmakiem. - Zawsze ten sam pieprzony czerwony hrabia, nawrócony na niby. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Dlaczego ciebie jeszcze trzymają w tym radiu?

- Bo Leszek Wielki zawsze coś wie. - Uśmiechnął się zwycięsko. - Na przykład, kto się właśnie pojawił. A wy jeszcze tego nie wiecie, maluchy.

Chwilę później dowiedzieli się i oni, kiedy jeden z prezesów The Pułaski Investments

ogłosił przez mikrofon:

- Panie i panowie, a oto i ten, na którego wszyscy czekaliśmy. Człowiek, dzięki któremu nasze pionierskie przedsięwzięcie stało się możliwe. Wielki wizjoner, a przy tym nasz przewodnik i przyjaciel. Panie i panowie, prezes Banku Postępu, pan Gerard Kajzer!

- No i co? Czerwone znowu modne - ucieszył się Leszek Pobóg-Halicki. - Jaka szkoda, że jego eminencja pośpieszył się z kropieniem. Bylibyśmy świadkami sceny o wymiarze symbolicznym. No, koleżanko, tu się tworzy historia. A więc do boju z tym szalejącym fallusem, którego kolor też jest czerwony - Niezależny komentator Polskiego Radia Kraków wydał policzki pełne wędzonego łososia i odpłynął majestatycznie przez rozgadany tłum, kiwając im na pożegnanie swą wielką dłonią z małym widelczykiem. Musiał szybko przelknąć, bo jeszcze usłyszeli z oddali wybuch jego homeryckiego śmiechu.

Jacek Ładny już dawno uciekłby z tego miejsca, choćby do pierwszego lepszego baru, gdyby nie obecność tych dwóch kobiet, których bliskość zaczęła wytwarzać nieoczekiwane napięcie. Kilka razy, kiedy tłum przeredzał się na chwilę, przyłapywał spojrzenia Justyny Barskiej. Zauważył, że nie uszły one uwadze także Agaty Kot, która dziwnym zbiegiem okoliczności opierała się wtedy na jego ramieniu, chwyciła za rękę, niby to w ferworze rozmowy, albo tak się odwracała, żeby zasłonić go przed wzrokiem Żelaznej Dziewicy.

Zapowiedziano przemówienia prezesów i Kot ze swym malinowym mikrofonem zaczęła przeciskać się w ich stronę.

- Trudno, muszę zarobić na tego łyskacza, którego już wypiałam i jeszcze wypiję - westchnęła. - Nie wychodź beze mnie, co?

- Jasne.

Ładny pomyślał z satysfakcją, że coś jednak zaczyna się dziać, po czym zaczął tak manewrować, żeby znaleźć się obok Barskiej, która po raz pierwszy na tym bankiecie stała osamotniona. Wydało mu się, że teraz spojrzała na niego dużo cieplej niż poprzednim razem, w obecności męża i prezesów. Nachylił się do niej poufale.

- I co? Nadal masz ochotę wejść w świat polityki?

Ona też zbliżyła do niego głowę tak bardzo, że poczuł ciepło jej policzka.

- Coraz większą. Ktoś wreszcie powinien to rozpieprzyć. Zauważył, że i ona musiała wypić już kilka serwowanych bez ograniczeń drinków. Był niezwykle podekscytowany jej fizyczną bliskością. Choć tłum napierał ze wszystkich stron, inni ludzie dla niego znikli, byli co najwyżej parawanem, zasłaniającym ich dwoje przed wzrokiem jej męża. Tymczasem mówcy prześcigali się w kwiecistych sformułowaniach sławiących powstanie Hotelu Pułaski. Usłyszał radosny dyszkanctwo posła Kowalczyka:

- Niech mi państwo wybaczą, że w tym pięknym dniu poczuję się trochę poetą i podzielę się refleksją, że oto Bank Postępu, kierowany mistrzowską ręką pana prezesa Kajzera, zbudował w naszym tysiącletnim królewskim grodzie prawdziwą arkę postępu, na której przepłyniemy w dwudziesty pierwszy wiek.

Rozległy się ciche śmieszki, zagłuszone natychmiast przez burzę oklasków.

- I właśnie ty chcesz tego dokonać? - spytał Ładny.

- Trzeba tam wejść w ostateczności zawsze pozostaje zamach samobójczy. - Zaśmiała się cicho i jeszcze bardziej przybliżyła do niego.

Na krótką chwilę zetknęli się ramionami i biodrami. Na bardzo krótką. Barska natychmiast odsunęła się na bezpieczną odległość, wchodząc z powrotem w rolę Żelaznej Dziewicy. Pozostawało mu bezkarne kontemplowanie jej urody. Była sporo wyższa od Agaty Kot i szczuplejsza. Spojrzenie miała trochę nieobecne, ciemnoblond włosy, które zazwyczaj upinała, teraz opadały swobodnie na ramiona zauważył w nich więcej niż zwykle sztucznie rozjaśnionych pasemek.

- Co ci ta baba truła o mnie? - spytała znienacka.

W pierwszej chwili nie zrozumiał, o co jej chodzi, aż podążył za jej wzrokiem i dojrzał przy lśniącej nowości kontuarze recepcji Agatę Kot, podsuwającą malinowy mikrofon Waldemarowi Barskiemu. Chyba ściągnął ją oczami, bo rzuciła mu przez hol szybkie spojrzenie, wystarczająco jednak długie, żeby dojrzał w nim nagłą niechęć. Zaraz odwróciła się i złapała Barskiego za łokieć.

- Masz na myśli matkę jednego z twoich najzdolniejszych uczniów? - spytał.

- Owszem. I przy tym bardzo aktywną. No więc?

- O tobie nic nie mówiła. Broniała twojego męża przed złymi językami.

- Ach tak - powiedziała tylko Barska i zamilkła.

Nie dane było Ładnemu zbyt długo cieszyć się jej bliskością. Kiedy tylko skończyły się przemówienia, pojawił się przy nich Barski, wziął ją pod rękę i odciągnął. Jeszcze tylko rzucił przez ramię:

- Tam są dla pana gadzety, redaktorze. Niech się pan pośpieszy, zanim koledzy wszystkie rozdrapią.

Patrząc na szerokie plecy Waldemara Barskiego, Ładny pomyślał, że nie miałby nic przeciw temu żeby proroctwa Leszka Pobóg-Halickiego spełniły się z nadwyżką.

Mieszkanie Agaty Kot wyglądało tak jak kawalerki innych samotnych dziennikarek. Ona mieszkała wprawdzie z synem, ale pokój Kamila był zamknięty, a cała reszta

przypominała Ładnemu kilka lokali, z których zazwyczaj starał się jak najszybciej wyrwać, żeby nie tworzyć dwuznacznych sytuacji. Tym razem było inaczej. Chciał zostać. Tylko że po ostatnim doświadczeniu przy taksówce nie bardzo wiedział, jak to zrobić. Wystarczająco oszołomił go fakt, że w ogóle się tu znalazł. Wcale się tego nie spodziewał. Tym razem nawet nie próbował nawet wysiąść z taksówki, kiedy Kot otworzyła drzwiczki z jego strony, nachyliła się i spytała:

- Masz ochotę na pożegnalnego drinka?

- Jasne.

W windzie stali tak daleko od siebie, jak to było możliwe. Cuchnęło moczem i wymiotami, po podłodze walały się papiery i niedopałki. Lustro było rozbite, a ściany pokryte obscenicznymi rysunkami i napisami w rodzaju „Cracovia do gazu” czy „Jebać policję”.

- Rany, gdzie ty mieszkasz? - zapytał.

- Tu, gdzie mogę. Na nic lepszego mnie nie stać. Dlatego z jednej strony jestem zadowolona, że Kamil więcej siedzi u dziadków niż u mnie. Choć z drugiej ma to swoje fatalne aspekty.

Po mieszkaniu rozglądał się dyskretnie, nie chcąc jej peszyć. Najwyraźniej nie była osobą przywiązującą wagę do porządku. Stosy książek i gazet piętrzyły się wszędzie i byle jak. Dywan nie widział odkurzacza od wielu dni. Warstwa kurzu na ekranie monitora była widoczna z daleka. Telewizora w ogóle nie zauważył.

Agata Kot, lekko się zataczając, rzuciła byle jak na półkę swój magnetofon z malinowym mikrofonem, potem wyjęła z kredensu dwie szklanki, które wytarła palcem, i napoczętą butelkę Kentucky Jacka.

- Przywożę mi ze Słowacji za grosze - wyjaśniła, choć o to nie prosił.

Usiedli naprzeciw siebie przy stole i długo rozmawiali. A właściwie on pozwalał jej mówić. O ojcu Kamila, podrzędnym działaczu Solidarności, który w stanie wojennym wziął od generałów paszport w jedną stronę i wyjechał do Ameryki, zostawiając ją z małym dzieckiem. O wiecznych kłopotach z synem. O syfie panującym w Radiu Wisła, gdzie mimo to musiała trzymać się etatu rękami i nogami, żeby nie utonąć. A on myślał: Zdaje się, królowo nocy, że jesteś po prostu niedopita i niewygadana. I ja mam ci służyć za słuchacza, do czego, jak wiedzą wszystkie panny, mężatki, rozwódki i wdowy w tym mieście, nadaję się jak nikt. Czy tylko? Nie ma innego sposobu, jak poczekać i przekonać się. Wreszcie przerwała opowieść, niemal w pół zdania.

- Jestem nawalona. Idę spać.

- A ja? - spytał.



- Nie wyganim cię, nie jestem taka. Możesz się przespać na materacu, jak chcesz.

Zataczając się dużo mocniej niż przedtem, przyniosła z pokoju Kamila piankowy materac i rzuciła na dywan. Szybko pościeliła tapczan, jemu rzucając Jasiek i nieobleczony koc. Potem zdjęła ubranie, zostając w krótkiej czarnej halce i czarnych majtkach.

- Dobranoc. Zgaś światło - powiedziała.

Nacisnął wyłącznik. Pomyślał: Albo rybka, albo cipka. Wcale nie chciał sformułować swego postanowienia akurat tymi słowami. Ale tak mu wyszło. I zamiast skorzystać z materaca, położył się w ubraniu na tapczanie obok Agaty Kot. Nawet nie drgnęła. Leżała na boku, z podkurczonymi nogami, odwrócona do ściany. Pomyślał, że może usnęła tak błyskawicznie. Wyciągnął ostrożnie rękę i wsunął pod śliski materiał halki. Lewa pierś reporterki Radia Wisła nie zawiodła go, wciąż gładka i pełna. Do prawej nie mógł dosięgnąć. Zsunął dłoń niżej. Brzuch miała trochę za duży, opadający teraz na bok. Ale to mu nawet odpowiadało. Podobnie jak pełne, dość miękkie pośladki poniżej wciąż wąskiej talii.

Wziął głęboki oddech i wsunął palce pomiędzy uda Agaty Kot. Ku jego zdziwieniu pomogła mu w tym całkiem wyraźnym ruchem bioder. Wcale nie spała. Ale wszystko nadal odbywało się w milczeniu, a ona nie zmieniała pozycji. Tylko wilgotniała coraz mocniej, zaciskając się lekko na jego dłoni i wychodząc naprzeciw ruchom jego palców. Zaczęła dyszeć coraz szybciej i głośniejsze, wreszcie zajęczała na cały głos, długo i przeciągle. Zamilkła, a potem wszystko powtórzyła jeszcze raz. Wreszcie wydobyła z siebie ochryple westchnienie i wypchnęła jego palce z siebie. I znów wydawało się, jakby spała. Był pewny, że ona czeka na dalszy ciąg. Poszedł do łazienki, szybko rozebrał się i umył. Wrócił nagi, rzucił ubranie na dywan i z powrotem wpełzł pod kołdrę obok niej. Tym razem leżała nieruchomo tylko przez chwilę. Kiedy go poczuła przy sobie, nagłym rzutem ciała odsunęła się i odwróciła.

- Co ty wyprawiasz? Spadaj stąd.

- Coś ty? - powiedział lekko, bo naprawdę sądził, że ona tylko się droczy.

Ale Agata Kot zerwała się na nogi i zapaliła nocną lampkę. Leżał nagi, a ona chwiała się nad nim w rozkroku, ze zmierzwionymi włosami. Podciągnęła majtki i wyciągnęła rękę z wyprostowanym wskazującym palcem.

- Won mi stąd! Pod kościół, facet!

Dotarło do niego, że nie żartowała. Miał do wyboru obrazić się albo potraktować incydent z humorem. Wybrał to drugie, choć w głębi duszy czuł pierwsze.

- Coś ci się myli. Pod kościołem tego nie dają, tylko całkiem gdzie indziej. - Usiłował się zaśmiać, ale niezbyt mu wyszło.

Ubrał się powoli, nie kryjąc się przed nią.

- To cześć - powiedział. - Dzięki za poczęstunek. Otwierał już drzwi, kiedy usłyszał za sobą ciche:

- Jacek!

Zawrócił, nie mógł się powstrzymać.

- Zaczekaj, nie rozstawajmy się tak - powiedziała. Uporządkowała trochę włosy, rozlała do szklanek resztę bourbona.

- Przepraszam cię, straciłam kontrolę. Wiesz, że żyję bez faceta, nie mogłam się powstrzymać. W sumie może byś się i nadał - obrzuciła go zamglonym, ale uważnym spojrzeniem, jakby dopiero teraz postanowiła go obejrzeć - ale wiesz, ja potrzebuję kogoś, kto uporządkuje ten mój cały bałagan. Ty byś tylko narobił jeszcze gorszego.

Wódka się skończyła. Dłużej nie miał na co czekać. Agata Kot była pijana, opuchnięta i nieświeża. Mimo to trochę żałował, że musi już iść.

- Przepraszam, że cię wykorzystałam - powtórzyła.

- Nie ma za co - odpowiedział.

Noc była zimna. Nie znał tej okolicy. Wokół piętrzyły się ciemne i martwe o tej porze blokowiska Nowej Huty. Kierował się w dół, na błyszczące w oddali czerwone światła na kominach elektrociepłowni w Łęgu. Godzinę później dotarł do przystanku nocnego autobusu przy Placu Centralnym. Miał szczęście, kolejny odjeżdżał za kilka minut. W trakcie jazdy rozboleła go głowa. Starał się myśleć o czymś innym, byle nie o minionych godzinach. Na szybie w drugim końcu autobusu dojrzał przyklejoną białą kartkę. Zbliżył się.

Do Krakowa dotarł właśnie film pod mylącym tytułem „Dzieciaki”. Czujemy się w obowiązku przestrzec młodzież i rodziców przed tą wyjątkowo szkodliwą, wulgarną szmirą. W naszym mieście nie potrzebujemy takich „dzieł”...

Inicjatywa Obywatelska była wszechobecna. Może nawet kierowca autobusu należał do zwolenników nowej cenzury? Jacek Ładny przypomniał sobie, że musi sprawdzić, jak Kuba Mazurek wywiązał się z ćwiczenia, które mu zadał.

Co radna Kwiat zobaczyła po drugiej stronie lustra (pisze Kuba Mazurek)

Krakowska radna, pani Teresa Kwiat, nie pierwszy raz staje murem po stronie cnoty. Pani Kwiat, wiecznie dziewica, wie, że seks jest niedobry. Zwłaszcza seks nastolatków. Teraz domaga się więc zakazu wyświetlania filmu „Dzieciaki”. Ponieważ w tak świętym mieście jak Kraków nie można pokazywać, jak nastolatki uprawiają seks. I w dodatku są przy tym ućpane.

Kiedy radna Kwiat patrzy w lustro, to co widzi? Widzi siebie, wiecznie dziewicę, w

białej szacie, z lilią w ręku. A wokół siebie widzi gromadę chłopców i dziewczynek, też w dziewiczych szatach, śpiewających pobożne piosenki na cześć Ojca Świętego. Taki jest obraz świata radnej Kwiat, wiecznie dziewicy. Nie ma w nim miejsca na „wściekle szczeniaki”, które mogłyby zarazić tę świątobliwą trzódkę „bakcylem moralnej zgnilizny”. Radnej Kwiat wydaje się, że można żyć tylko po tej stronie lustra.

Ale co by było, gdyby jakiś psotny nastolatek popchnął radną Kwiat na lustro, tak że przeleciałaby na drugą stronę? Wyobraźmy sobie, że tak się stało.

Przeleciawszy na drugą stronę lustra, radna Kwiat niespodziewanie dla siebie znalazła się na krakowskich Plantach. Ale nie były to takie Planty, jakie знаła, Planty odświętne wystrojonych krakowskich rodzin, sunących na sumę do Świętej Anny. Na ławce przy Bramie Floriańskiej siedziało kilkoro odrażająco brudnych nastolatków, a jeden z nich bezskutecznie próbował trafić sobie igłą w żyłę. Radna Kwiat oczywiście czytała o tym, że w Krakowie istnieją już nieliczne grupki wykolejeńców, zarażonych bakcylem moralnej zgnilizny, którzy wstrzykują sobie do żył odrażającą ciecz zwaną kompotem. Nie sądziła jednak, że robią to tak bezczelnie, w biały dzień, na ludzkich oczach.

Ćpuny zauważyły, że radna Kwiat przygląda się im, ale nie reagowały, jakby była jeszcze jednym drzewem, z którego opadły liście. Dopiero po chwili z ławki podniosła się chuda dziewczyna z siną twarzą i dłońmi schowanymi w rękawy.

- Pani da na bułkę - zaszemrała ledwo słyszalnie. Radna Kwiat była wstrząśnięta. To wymizerowane stworzenie przypominało jej dziewczynkę z zapalkami. Nie tak wyobrażała sobie wściekle szczeniaki. Jednak rozsądek i wyznawane zasady nakazywały jej odmówić.

- Nie mogę dać ci pieniędzy, drogie dziecko - powiedziała ze smutkiem. - Zrobiłabym ci tylko krzywdę. Przecież ty zaraz kupiłabyś sobie za to narkotyk.

Dziewczyna spojrzała na nią, jak na głupią. - Oczywiście, że tak - powiedziała teraz silnym, kłótliwym głosem. - Jak tego nie zrobię, umrę. Nie wie pani o tym? Oczywiście, że pani wie, ale pani myśli, że o jednego ćpuna mniej to dla społeczeństwa dobrze, prawda? Pani najchętniej zabiłaby nas wszystkich strzałem w potylicę.

Radna Kwiat, której ojciec przed laty zginął od takiego właśnie strzału w kazamatach UB, poczuła, że robi się jej słabo.

- Co ty mówisz, moje dziecko? - spytała, sięgając drżącą ręką do torebki. - Ja chciałabym dla was jak najlepiej, ja nie wiedziałam, że to tak.

- To jak pani może rządzić tym miastem, ludźmi? Jakie ma pani prawo?

- A ty skąd wiesz? Znasz mnie? - zdumiała się radna Kwiat, czując jednocześnie miłe ciepło, jakie daje nawet nikły płomyczek sławy.

- Oczywiście. Choć wyobrażałam sobie panią inaczej - ćpunka obrzuciła radną lekceważącym spojrzeniem. - Pani jest radną Kwiat, która walczy z gumkami. Według pani AIDS to kara za grzechy dla pedałów, rozpustników i narkomanów.

- Ależ, moje dziecko, ja chcę jak najlepiej.

- Jak pani może chcieć jak najlepiej, jeśli pani w ogóle nie wie, jak żyją ludzie w tym mieście?

- Ależ wiem, wiem. To, o czym ty mówisz, moje dziecko, to jest margines. Ty mówisz o garstce nieszczęśników, nie o ludziach.

- Nie o ludziach? Mogę pani pokazać. Chce pani?

Zanim radna Kwiat zdołała się opamiętać, ćpunka chwyciła ją za rękę i pociągnęła za sobą.

- Pokażę pani tych, których pani uważa za prawdziwych ludzi. Ich dzieci, chodzące do najlepszej ze szkół. Dzieci, którym nic nie brakuje. Dla których zaplanowano wspaniałe kariery. Przed którymi świat stoi otworem. Proszę, jesteśmy na miejscu.

Radna Kwiat zorientowała się, że stoi przed wspaniałym gmachem liceum, uważanego za jedno z najlepszych nie tylko w Krakowie, ale w całej Polsce.

- Niech pani zabajeruje ochronę, a ja się przemknę. Udało się to nadspodziewanie gładko. Jedna z nauczycielek, pełniąca akurat dyżur przy wejściu, rozpoznała radną i wybiegła naprzeciw.

- Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt? - wykrzyknęła przypoehlebnie, z oczywistą przesadą. Mógł ją usprawiedliwiać tylko fakt, że była to również wiecznie dziewica, podziwiająca radną Kwiat za jej niezłomne zasady.

- To jedna z naszych najlepszych placówek, nasze oczko w głowie - odwdzieczyła się radna. - Chciałam tylko upewnić się, czy młodzież może tutaj czuć się bezpiecznie. Rozumie pani, odnośnie zagrożeń moralnych.

- Ależ naturalnie! - wykrzyknęła nauczycielka. - Dbają o to nasi panowie z ochrony.

Przywołała gestem ostrzyżonego osiłka w czarnym uniformie.

- Panie Łukaszku, niech pan pozwoli, niech pan uspokoi naszą panią radną.

- Spoko - wykrzywił się osiłek. - Jakby ktoś przykładowo chciał wnieść dragi, to kasacja.

Prawą pięścią uderzył z góry w lewą otwartą dłoń, jakby chciał pokazać, co spotka ryzykanta, który chciałby przemycić narkotyki na teren wspaniałego liceum. W tej samej chwili radna Kwiat dostrzegła kątem oka, jak jej znajoma ćpunka, ukryta w grupce uczennic, przemyka się do szatni. Spotkały się tam kilka minut później. Ćpunka wciągnęła radną za

szafki.

- Schowajmy się tutaj - szepnęła. - Zaraz się zacznie. Rzeczywiście, po kilku minutach ciszy zza szafek dobiegły przytłumione, podniecone głosy.

- Wierzycie, że nie nawali?

- Nawet mi nie mów. Muszę mieć spida - odezwał się jakiś chłopak. - Bez dopingu w życiu nie napiszę tej klasówki.

- Ani ja. Jestem zielona. Muszę do jutra przeryć cały materiał. Bez amfy mogę zapomnieć - mówiła dziewczyna. - A jak obleję sprawdzian, to nic mnie nie uratuje przed pałą na półroczu. I wtedy starzy nie puszczą mnie z tobą na zimowisko.

- Moi też - powiedział ponuro chłopak. - Zostanie nam piwnica.

Za szafkami coś się poruszyło.

- No, jest - rozległo się westchnienie ulgi. - Masz?

- A wy macie kasę? Działka trzydzieści.

- Co ty gadasz? Przecież cena jest dwadzieścia.

- Dwadzieścia będzie jutro, po klasówce. Możecie poczekać.

- No co ty? Przecież jesteśmy stałymi klientami.

- A macie wyjście? To nie stragan. Płacie albo spadam.

- Nie, zaczekaj. Bierzemy.

- Tak myślałem.

Głosy ucichły. Radna Kwiat czuła, jak pałą ją uszy.

- Czy oni kupowali to, o czym ja myślę?

- Dokładnie - potwierdziła ćpunka, nie kryjąc satysfakcji.

- Ale po co? Takie miłe, inteligentne dzieci?

- Bo amfa da im taki pauer, że jutro napiszą klasówkę na sześć. Do tego w trakcie nauki on ją parę razy przeleci. No, jeszcze się pani dziwi? Tak dociągną może nawet do końca roku szkolnego. Ale nie będzie to trwało wiecznie. Kiedyś wpadną w taki dołek, że będą musieli się ratować. Chce pani zobaczyć, jak?

Znów złapała radną za rękę i wyciągnęła z szatni. Pustymi schodami przemknęły się na ostatnie piętro. W klasach trwały już lekcje. Zanim radna zdołała się zorientować, ćpunka wciągnęła ją do toalety. Kiedy wiecznie dziewica zobaczyła rząd pisuarów i poczuła odór uryny, o mało nie zemdląła. Ale zaraz otrzeźwiły ją odgłosy dochodzące z jednej z kabin. Jakieś szmery, westchnienia, zdyszane, niewyraźne głosy, męski i kobiecy:

- Daj jeszcze pociągnąć...

- Dobrze... Ciągnij mocniej... Głębiej...

Teraz cała twarz paliła radną Kwiat żywym ogniem.

- Co oni robią? Czy... Czy... W toalecie?

- Ma pani na myśli seks? Nie, ci seks mają już z głowy. Przynajmniej ze sobą. Już im to niepotrzebne.

Ćpunka otworzyła drzwi kabiny i popchnęła radną do środka. Obok muszli klozetowej leżeli chłopak z dziewczyną, zapewne uczniowie tego wspaniałego liceum. Nawet nie mieli siły zareagować. Spojrzenie radnej Kwiat powędrowało w stronę sedesu, choć wcale tego nie chciała. W muszli pływały sreberka z czekolady, trochę jakby okopcone.

- Nic nie rozumiem - odezwała się ogłupiała radna. - Jedli czekoladę?

Narkomanka wybuchnęła śmiechem przypominającym kaszel.

- I pani chce rządzić tym miastem? Mówić ludziom, co mają robić?

- Wytłumacz mi - poprosiła pokornie.

Ćpunka poszperała chłopakowi w kieszeni, wyciągnęła stamtąd zwinięte sreberko i zapalniczkę. Kiedy rozwinęła folię, radna zobaczyła w niej małe brązowe kryształki. Narkomanka przytknęła płomień zapalniczki od spodu sreberka i zaciągnęła się oparami.

- To się nazywa brown, proszę pani. Czyli hera dla porządnych dzieci z dobrych domów. Mnie na taką nie stać. Przez panią miałam dziś farta. Dzięki.

Leżący obok sedesu chłopak spojrzał na radną pływającym wzrokiem.

- Czy ty jesteś aniołem? - spytał. - Nie wiedziałem, że tak wyglądają anioły.

Z wrażenia radna Kwiat chyba na jakiś czas straciła świadomość, bo kiedy się ocknęła, była znów na ulicy, kilkaset metrów od słynnego liceum, przed jakąś kamienicą, odrapaną, ale noszącą ślady dawnej świetności.

- Jak mogliśmy tak zostawić tych dwoje biedaków? - przypomniała sobie nagle.

- O nich niech się pani nie martwi. - Ćpunka machnęła ręką. - Oni są w niebie. Niestety, za wstęp do tego nieba trzeba płacić żywą gotówką. A ludzie dziś są bez serca. Jak pani radna. Więc trzeba sobie radzić inaczej, żeby wejść do nieba. To może teraz pokażę pani czyściec.

Przed kamienicą kręciły się dwie małolatki, wystraszone i niepewne siebie. Widać było, że nie mogły się na coś zdecydować.

- Mówię ci, że to ona. Weź ją zapytaj - usłyszała radna Kwiat. W pierwszej chwili pomyślała, że dziewczyny mówią o niej, ale ćpunka szybko wyprowadziła ją z błędu, zwracając się do małolatek:

- Jesteście potrzebujące? Mogę załatwić towar.

- Ale nie mamy kasy. Słyszałyśmy, że tutaj można...

- To dobrze słyszałyście. Mogę wam załatwić wejście.

- A co trzeba robić?

- To, co na kasetach. Im pełniejszy serwis, tym lepszy towar.

- Ale z gumką?

- Z gumką to na dworcu. Tu przychodzą porządni, czysti chłopcy. Zero ryzyka. To co, jesteście chętne? Jak tak, to od każdej jedna działka dla mnie.

- Jak to?

- Tak to. Decydujecie się albo spadowa.

Poszeptały między sobą, potem milcząco pokiwały głowami. Ćpunka nacisnęła guzik domofonu.

- Tu Miśka. Posyłam dwie klientki.

Małolatki znikły w bramie. Radna Kwiat miała wrażenie, że za chwilę zemdleje. Czowała, że musi ocalić te dwie głupie dziewczyny. Nie mieściło jej się w głowie, że można być tak podłą.

- Dlaczego to zrobiłaś? Przecież sama wiesz...

- Lajf is brutal. Mam od tego dołą. W towarze. Biznes musi się rozwijać. Lalki wyglądają na uczennice. Przejdą intensywny kurs i będą idealnymi dilerkami. Niech pani popatrzy na mnie. Każdy pies z kilometra czuje, że idzie ćpunka. A one? Niewinne jak aniołki.

Już układała sobie w głowie mowę, chciała zaapelować ćpuncie do sumienia, ale ta nagle zrobiła się nerwowa.

- Niech pani już idzie. Teraz muszę dać sobie w żyłę. A to nie na pani oczy. Niech pani już wraca do swojego świata. I niech sobie pani dalej w nim rządzi.

Po właściwej stronie lustra radna Kwiat przetarła oczy, jak obudzona ze straszego snu. I natychmiast odetchnęła z ulgą. Znow była w towarzystwie wzorowych nastolatków z porządnych katolickich domów. Przez chwilę tylko miała wrażenie, że jeden z otaczających ją chłopców ma twarz dilerka ze szkolnej szatni, którą odwiedziła po tamtej stronie. Ale zaraz odeгнаła od siebie tą głupią myśl. Przecież tamta strona nie istniała. To był tylko senny koszmar.

Zaraz więc zasiadła radna Kwiat przy biurku i zabrała się do pisania apelu o zakaz wyświetlania złych, szkodliwych filmów, pokazujących świat, jakiego nie ma. Zły świat z chorych snów. Może radna Kwiat przestraszyła się, że nie jest dość dziewicą, skoro coś takiego mogło się jej przyśnić? Tym bardziej żarliwie kreśliła pełne oburzenia zdania:

Taki film, chory, zboczony, nie jest potrzebny polskiej młodzieży, zdrowej, kochającej

Boga i Polskę. Coś tak ohydneho nie ma prawa nazywać się „Dzieciaki”. Jego „bohaterowie” to nie dzieciaki, to bezbożne, odrażające, wściekle szczeniaki, którym nie można pozwolić, żeby zarażały naszą polską młodzież bakcylem moralnej zgnilizny, jak zarażają wirusem HIV swoje amerykańskie koleżanki.

Kiedy skończyła, zaraz pobiegła do swoich kolegów radnych z katolickiej prawicy. Nocą miasto pokryło się plakatami z tekstem apelu. Jest to apel o przywrócenie cenzury. Przed dziesięciu laty radna Kwiat wraz ze swymi kolegami walczyła z komunistycznym zniewoleniem umysłów. Uczymy się o tym w szkole. Dziś radna Kwiat mówi nam, że cenzura jest w gruncie rzeczy OK. Byle nasza.

Czekamy na dalsze propozycje dla nastolatków, zarażonych bakcylem moralnej zgnilizny. Może obozy zagłady? Byle nasze.

Dzieciak W pułapce demokracji

Ostatnią lekcją tego dnia była religia i Kuba mógłby wyjść wcześniej ze szkoły, gdyby nie kolegium. Na zewnątrz padało i postanowił poczekać w budynku. Siedział na parapecie okna na korytarzu i czytał „Wyznania” świętego Augustyna, kiedy jeszcze przed dzwonkiem na przerwę znalazł go Robert Kajzer.

- Ty, co ty się tak ostatnio nie udzielasz, co? Montujemy imprezkę u Rwacza. Łapiesz się?

Od jakiegoś czasu Kuba miał coraz mniej ochoty na wspólne balangi z przyjacielem. Coś się zmieniło. Niby Robert nie dawał mu odczuwać swojej wyższości, ale on ją czuł. A po spotkaniu w Samobójcu pojawiła się między nimi jakaś nowa bariera.

- Wiesz, dziś chyba nie dam rady. Mam kolegium.

- No nie, bo zdechnę ze śmiechu. Aleś zważniał! Wolisz jakieś głupie kolegium od piwka i panienek? Myślałem, że już wydorostałeś. Co ty w tym widzisz? Żeby to chociaż było poważne, ta wasza gazetka. To przecież dziecinada, nie widzisz tego?

Od kiedy Kuba zaczął brać udział w redagowaniu „Kowadła” Robert docinał mu przy każdej okazji: „Ty, redaktor! To jak się ta wasza gazetka nazywa? Podlizadło?”.

Kuba udawał, że w ogóle się tym nie przejmuje, ale przytyki Roberta bolały go naprawdę. Tylko on wiedział, jak mocno. Tym bardziej, że Kajzer miał rację. „Kowadło” nie było wzorem niezależnego pisma. Sam to wiedział najlepiej. A już ostatni numer sprzed wakacji był normalnie skandaliczny. Kamil Kot zrobił z niego po prostu laurkę dla nauczycieli. Najbardziej dla Cabanowej. Wszyscy sądzili, że po prostu chce się jej podlizać, bo już w pierwszym półroczu miał straszne doły z fizyki. Nikt jeszcze wtedy nawet nie



przypuszczał, że Libertowicz dostanie kopa, a jego miejsce zajmie Pirania. Dopiero później pojawiło się podejrzenie, że matka Kamila już przed wakacjami mogła mieć jakieś przecieki z kuratorium.

Cabanowa, odkąd została dyrektorką, nie wtrącała się do gazety. Wydawało się, że „Kowadło” w ogóle dla niej nie istniało. Mimo to wszyscy zachowywali się tak, jakby cenzurowała każdy tekst. Kuba też się pilnował, żeby nie napisać czegoś, co mogłoby Piranię urazić. Trudno więc byłoby nie przyznać Kajzerowi racji. Ale to i tak nie miało większego znaczenia. Nawet gdyby robili najlepsze szkolne pismo na świecie, w oczach Roberta i tak nie znalazłby uznania.

- Co ty o tym wiesz? Nie znasz się - próbował się odciąć. - Przecież ty czytasz tylko „Auto-Moto”.

- A ty co? Od kiedy tak ci się wyostrzył intelekt? Może niedługo w ogóle nie będziesz chciał gadać z takim debilem jak ja, co?

Robert Kajzer wcale nie był debilem. Wszyscy o tym dobrze wiedzieli. IQ miał ponad 120. Olewał tylko niektóre przedmioty. Już w pierwszej klasie miał czelność oświadczyć to wprost samemu Libertowiczowi. Ta odżywka przeszła do szkolnej legendy. Zwykle pierwszaki boją się wszystkiego, a Kajzer od początku czuł swoją siłę.

- Z góry lojalnie uprzedzam, że nie interesują mnie te wszystkie humanistyczne pierdoły - takie zdanie wygłosił na pierwszej lekcji historii z Libertowiczem. - Can you understand it, sir?

Już wtedy lubił złościć wszystkich naokoło swoim prawie biegłym angielskim. Jakby chciał pokazać, kto tu naprawdę jest debilem. Kuba dobrze pamiętał ten moment, bo sam był wtedy zwykłym wystraszoną kotem i powiedzenie czegoś takiego dyrektorowi liceum, tej sławnej, wymarzonej przez wszystkich „Kuźni”, wydawało mu się niemożliwością. A jednak Robert Kajzer powiedział to. I nic mu się nie stało. Dyrektor Libertowicz nie wyrzucił go ze szkoły. Nawet nie skrzyczał. Próbował tylko zażartować, pokazując, że nie tylko Robert umie coś powiedzieć po angielsku:

- Oh, yes, I understand very well what do you mean - wyrecytował, ale z dużo gorszym akcentem. Może to wyczuł, bo przeszedł na polski: - Do handlu samochodami, który odziedziczysz po dziadku, żadne humanistyczne pierdoły nie będą ci potrzebne. Mogłyby nawet przeszkadzać. Wystarczy ci telefon komórkowy.

- Naprawdę? Pan dyrektor też ma telefon komórkowy, a jeździ starym polonezem.

Kuba dobrze zapamiętał śmiechki, jakie rozległy się po tych słowach. I jak bardzo zrobiło mu się przykro. Przypomniawszy sobie swojego ojca, który jaki był, taki był, ale ciągle

pracował i pracował, a też jeździł tylko polonezem. W tym wypadku był po stronie swojego starego i Libertowicza. Ale bardziej podziwiał Roberta Kajzera. I nawet nie przeszłoby mu przez myśl, że mógłby go przegadać. Ze skutecznym odgryzaniem się miał kłopoty od przedszkola. Najlepsze odżywki przychodziły mu do głowy czasem dopiero po paru godzinach. Więc i teraz nawet nie próbował się wysilać. A Robert nie ustępował:

- Będą ekstra laski. Może wreszcie uda ci się stracić cnotę.

- Dzięki, z tym poradzę sobie sam.

- Ty? Sam? Nie rozśmieszaj mnie. Chyba że ciągle masz nadzieję załatwić to ze Żmijką. Ręką przez szmatkę.

Kuba wiedział, że Robert kpi z niego bez złośliwości. Naprawdę chciał oddać mu przysługę. Z czystej przyjaźni. Nie pierwszy raz. Zawsze dotąd jakoś tak się jednak składało, że Kubie przypadały najbardziej beznadziejne panienki, za które nikt inny nie chciał się chwycić. Dlatego jeszcze nigdy nic z tego nie wyszło. Właściwie miał już dość takich przysług. Tylko go kompromitowały.

Rozległ się dzwonek i kilka chwil później korytarz wypełnił się tłumem, w którym Kuba wypatrywał Ewy Góral. Ona dostrzegła go pierwsza, ale nie podeszła, tylko pomachała do niego spod przeciwnej ściany. Od razu zauważył, z jaką niechęcią patrzyła na Kajzera.

- Kuba! - zawołała. - Pośpiesz się. Mam ci coś do powiedzenia.

I nie czekając, poszła na górę. Robert spojrzął na niego, jakby dopiero teraz coś zrozumiał.

- Ty, a może ty na tę laskę masz ochotę? Czarna wpadła ci w oko? Lepiej zapomnij.

- Bo co?

- Nie twój rozmiar.

Teraz już Robert nawet nie udawał życzliwego kumpla. Był naprawdę nieprzyjemny. Wyglądało to na coś osobistego. Jakby sam próbował startować do Czarnej i został spuszczonej po brzytwie. I chyba właśnie w tym momencie Kuba Mazurek postanowił, że musi mu coś udowodnić.

Do it now - powiedział sobie w duchu. Wyczytał to w jakimś poradniku i próbował stosować. Czasem naprawdę działało.

Wbiegł szybko po schodach. Dogonił ją jeszcze przed drzwiami pracowni językowej. Zaczekała na niego. Patrzyła jakoś dziwnie. Domyślał się, o co jej chodziło.

- Nie spodobało ci się, co?

- Nie spodobało mi się? Co ty gadasz? Normalny szok. Jesteś genialny.

- Żartujesz, co?

- Ani trochę. Dlaczego do tej pory tak nie pisałeś?
- Staralem się dostosować do reszty.
- To dobrze, że przestałeś.
- I co? - Aż musiał odchrząknąć z emocji. - Chciałabyś to puścić?
- Natychmiast.

Poczuł, jak spływa na niego fala niespodziewanego szczęścia, ale równocześnie pojawił się niepokój. Chciał tylko zaimponować tym tekstem Czarnej, nie przypuszczał, że przyjdzie jej do głowy zamieścić go w „Kowadle”. Czuł, że mogą z tego wyniknąć duże kłopoty i nie był do końca pewny, czy jest na to gotowy. Ale teraz już nie mógł się cofnąć. Musiał to wykorzystać. Do it nowi - pomyślał.

- Super - powiedział. - Nawet się nie spodziewałem. Mam u ciebie dług. Skoczmy gdzieś po kolegium?

Zrobiła minę, która mogła wyrażać równie dobrze żal jak politowanie.

- Miły jesteś, ale dziś nie da rady. Mam już inne plany. Wybieram się na spotkanie z Miłozsem.

Nie przewidział tego. Nie pomyślał wcześniej, że startując do takiej panienki jak Czarna, trzeba robić rzeczy na poziomie. A przecież w mieście od tygodnia wisiały plakaty zapowiadające wykład noblisty z cyklu „Rozmyślenia na koniec wieku”. Mógł się domyślić, że ona będzie chciała tam być.

- Nic nie wiedziałem - zełgał lekko. - Też bym chętnie poszedł. Może zdązę.

- Zapomnij. - Pokręciła głową. - Będą tłumy, nie dopchasz się. Kamil załatwił mi zaproszenie. Przez swoją matkę, z redakcji.

Nie umiał ani ukryć zawodu, ani powstrzymać się od pytania:

- Idziecie razem? Rozłożyła ręce.

- Przecież wiesz, że Kamil musi być na każdym tak zwanym wydarzeniu.

Kuba od razu stracił cały rozpęd. Wiedział, że nie powinien tak łatwo się zniechęcać. Zawsze to sobie powtarzał. Ale taki właśnie był.

- Przykro mi - powiedziała Ewa Góral.

- Nieważne. - Wzruszył ramionami. - Nic się nie stało. Weszli do klasy razem. Kamil Kot spojrział na Kubę nieprzyjaźnie. Wcale nie krył niezadowolenia.

- Czekamy na was - syknął przez zęby.

Grubas Dżemojad bawił się jak zwykle swoim aparatem. Nagle podniósł go do oka i zrobił im zdjęcie.

- Dowód rzeczowy - powiedział i zaśmiał się głupkowato. To jeszcze bardziej

zdenerwowało Kamila.

- Bierzmy się do roboty - warknął, wykładając z teczki dyskietki z tekstami i zdjęciami. - Nie ma czasu. Oboje z Ewą śpieszymy się na wykład Miłosza. Są jakieś uwagi?

Członkowie kolegium z innych klas jak zwykle siedzieli cicho. Tak się utarło jeszcze w poprzednim roku szkolnym, że to Czarna z Kamilem rządzi „Kowadłem”.

- Dobra, mamy już wszystkie materiały. Dzisiaj jeszcze Anka Bukowska doniosła recenzję nowej książki Gretkowskiej, Rafał Podkościelny rozmowę z katechetą, Dżemojad kącik komputerowy. Możemy siadać i łamać.

- Nie mów do mnie Dżemojad, ptysiojadzie - zaprotestował z nieudawaną złością grubas.

Kot zaczerwienił się. Dyskusja na temat przezwisk mogła okazać się zbyt niebezpieczna. Sam kiedyś przyniósł do klasy wyczytaną gdzieś wiadomość, że utratę energii, spowodowaną jednym wytryskiem, można zrównoważyć zjedzeniem ptysia. A kiedy kilka dni później zobaczyli go z takim właśnie ciastkiem w ręce, kpinom nie było końca. Na pewno nie miałyby ochoty na powtórkę. Udał więc, że nie słyszał i tylko wycedził szyderczo:

- Pan Ireneusz Stecki dostarczył materiały do swojej znakomitej rubryki informatycznej. Teraz dobrze? - i nie czekając na odpowiedź, odwrócił się do Czarnej. - Brakuje jeszcze tylko zdjęcia do twojego tekstu. Przyniosłaś?

Czarna pokręciła głową.

- Mój spada. W to miejsce wchodzi tekst Kuby o radnych. Zaskoczenie było zupełne. Kamil zeszywniał.

- O czym ty mówisz?

- O tekście Kuby przeciw zdjęciu „Dzieciaków”. Wysłałam ci mailem, nie czytałeś?

- No, czytałem. I co? - Nagle odwrócił się w stronę Kuby, jakby z tej strony spodziewał się mniejszego oporu. - Ty naprawdę myślałeś, że my to zamieścimy?

Ale Kuba już poczuł się silny.

- Oczywiście. A dlaczego nie?

- Dlaczego nie? Dlaczego nie? Jeśli nie rozumiesz, to nawet nie chce mi się tłumaczyć. Bo to jest... To jest po prostu obrzydlistwo.

- Chwila, Kamil. To ty czegoś nie rozumiesz - przerwała mu Czarna. - Już powiedziałam, że tekst Kuby wchodzi.

- Powiedziałas? A moje zdanie się nie liczy?

- Liczy się. Ale ciągle ja jestem naczelną. Zresztą, o co ci chodzi? Zapisales sam pół numeru. A tekst Kuby wchodzi na miejsce mojego. Nie możesz mieć pretensji.

- Jak to nie mogę? Chodzi o poziom pisma.

- To znaczy, że co, że ja obniżam poziom? - Kuba musiał prawie krzyknąć, żeby zaczęli go słuchać. - To zaczekajmy na redaktora Ładnego. Niech on osądzi, co podnosi poziom, a co obniża.

Kubę bardzo denerwowało, że Kamil próbował wszystkim narzucać swoją wolę. Kot najwyraźniej nie mógł przeboleć, że to nie on jest naczelnym „Kowadła”. Nie umiał sobie wyobrazić, że ktoś oprócz niego może być ważny. Wszyscy mówili, że przewróciło mu się w głowie, kiedy w drugiej klasie wygrał olimpiadę języka polskiego i długo przed maturą miał studia w kieszeni, bez egzaminu. Przez to zachowywał się, jakby już skończył co najmniej Sorbonę. Musiało mu się także zdawać, że dziennikarstwo wyszał z mlekiem matki. I że to jego wszyscy powinni słuchać. Nawet Czarna. Że może okręcić ją sobie naokoło małego palca i któregoś dnia przelecieć ją bez problemu w szkolnym radiowęźle. Nie mógł ścierpieć, że Kuba pisze lepiej, a teraz w dodatku Czarna nie wzięła jego strony. Na każdy przejaw odmiennego zdania odpowiadał agresją. Tak przynajmniej oceniał go Kuba.

- Co? A po jaką cholere potrzebny nam ten Ładny? - wściekał się Kamil. - Co taki zgred może nam powiedzieć nowego?

- Że robicie gazetkę do kitu - usłyszeli. - Choć to rzeczywiście nic nowego.

W otwartych drzwiach stała Barska, a za nią Jacek Ładny, z rękami w kieszeniach swej wyświechtanej sztruksowej marynarki, z krzywym uśmiechem. Wszyscy się spieszyli i zamilkli. Oprócz Kamila, który z miejsca przeszedł do ataku:

- Tak pan sądzi? Ciekawe. Jeśli „Kowadło” jest takie złe, to ciekawe, czemu zajęło pierwsze miejsce w Krakowie?

- Bo inne gazetki są jeszcze gorsze. W żadnej nie ma życia.

Kot machnął ręką.

- A co pan może wiedzieć o naszym życiu? Pana życie to nie nasze.

Uwaga była trafna. Ładny, choć z przykrością, musiał to przyznać. Myślał gorączkowo, co odpowiedzieć, kiedy wyręczyła go Barska:

- Kamil, przesadziłeś.

- Z całym szacunkiem, pani profesor, ale nie uważam. Pan redaktor nie zna naszego życia, a ocenia.

- Właśnie chciałbym się czegoś o nim dowiedzieć - powiedział Ładny. - Ale z waszej gazetki się nie dowiem.

- Nie? To może z pornograficznych wypocin Mazurka więcej się pan dowie?

- Kuba przynajmniej starał się dotknąć prawdy.

- Prawdy? Patologia to dla pana prawda?

- Kamil, proszę cię, jesteś nieobiektywny - wtrąciła się Czarna.

- Ja jestem nieobiektywny? To ciebie coś zaćmiło. Mam nadzieję, że pani profesor nie pozwoli, żebyś skompromitowała siebie, panią profesor i całą szkołę.

- Czy ja też mogłabym się dowiedzieć, o czym państwo właściwie rozmawiają? - spytała Barska.

Kiedy jej powiedzieli, otworzyła tekst Kuby w komputerze i zaczęła czytać na głos. Kolegium zrobiło się nagle interesujące jak nigdy wcześniej. Chwilami Barska zaciągała się, jakby sama zdumiona słowami, które wychodziły jej z ust. Ci członkowie kolegium, którzy podobnie jak ona, nie znali wcześniej tekstu Kuby, też zamilkli z wrażenia. Kiedy skończyła, aż wypuściła głośno powietrze.

- Mocne. - Pokręciła głową. - Nie sądzicie, że jak na licealną gazetkę, to jednak za mocne?

- Delikatnie powiedziane. - Kot nie panował nad sobą. - To po prostu grafomania i pornografia. Ciekawe, gdzie Mazurek spotkał taką młodzież? Może w jakiejś zawodówce. Bo ja takich ludzi nie znam.

Dżemojad parsknął śmiechem i zaraz demonstracyjnie zasłonił sobie usta dłonią.

- Nie zgadzam się - powiedziała Ewa Góral. - Uważam, że trzeba to puścić. Takiego dobrego tekstu jeszcze w „Kowadle” nie było.

Kot zbladł i zacisnął wargi.

- Ale co, naszą szkołę też tak widzicie? - spytała Barska z wahaniem.

Kuba już chciał odpowiedzieć, ale znów wyręczyła go Ewa:

- Ja myślę, że to nie jest konkretnie o naszej szkole, tylko ogólnie. Że to jest ostrzeżenie, które naszej szkole też się przyda.

- Ja się zabiję - powiedział Kamil. - Chyba śnię sen idioty.

- Jeśli to miał być komplement pod moim adresem, to jestem gotowa odwdziaczyć ci się takim samym - wściekła się Ewa, a Kamil najwyraźniej zupełnie się już pogubił i nie umiał znaleźć mądrej odpowiedzi.

- Może spytamy pana redaktora, co o tym sądzi - szukała jakiegoś wyjścia Barska.

Ładny po raz kolejny zauważył, że przy uczniach nigdy nie mówiła mu po imieniu, choć uważał, że byłoby to całkiem naturalne.

- Cóż, ja sądzę, że to jest zupełnie niezłe. Może nie jest to jeszcze tekst w pełni dziennikarski, ale w tej sytuacji chyba nie mógłby być inny - brnął, bo chciał sprawić Kubie satysfakcję. Chłopak naprawdę się starał. Z drugiej strony, konsekwencje były łatwe do

przewidzenia. - Ale publikacja to inna sprawa, w której trudno mi się wypowiadać. To już, mówiąc językiem zgredów, decyzja polityczna.

- No cóż, chyba mamy różne poglądy na temat, co jest niezłe - powiedział Kamil, nie tając szyderstwa. - Ale pani profesor chyba na to nie pozwoli?

Barska zasłoniła się obiema rękami, jakby się broniła.

- Nie pomyślcie, że chcę was uczyć oportunistów - wycofała się. - Decyzja należy do was. Jeśli chodzi o mnie, to proponowałabym ci tylko, Kuba, wykreślenie tych wszystkich „wiecznych dziewic”. Szanujmy nawzajem swoje uczucia. Religijne i inne.

- Nie ma sprawy, pani profesor - zgodził się nadspodziewanie łatwo.

Członkowie kolegium spierali się kilka minut, ale Kot był coraz bardziej osamotniony. Czarna weszła w rolę naczelną. Ładny przyglądał się dziewczynie zaskoczony. Po tylu latach pracy w zawodzie zachowania ludzkie, których nie przewidział, wciąż wprawiały go w zadziwienie. Do tej pory uważał Ewę Góral za grzeczną panią z tak zwanego dobrego krakowskiego domu, z wszystkimi ograniczeniami wynikającymi z tego stylu wychowania. Teraz niespodziewanie zaczęła wykazywać upór, jakiego się u niej nie spodziewał. Wreszcie, kiedy wszyscy poza Kamilem byli już urobieni, zarządziła:

- Jako naczelną mogłabym po prostu zadecydować sama. Ale dobrze, nie chcę nikomu narzucać mojej woli. Głosujmy.

Ładny aż się uśmiechnął sam do siebie. To był majstersztyk manipulacji. Zapewne nieświadomy. Ale determinacja, z jaką dziewczyna dążyła do swego, wydała mu się imponująca. Aż ją podziwiał. Choć nie rozumiał. Wydawało mu się wcześniej, że ona i Kamil tworzą coś w rodzaju pary. A wynik głosowania musiał okazać się dla Kota upokarzający. I tak też się stało. Tylko on głosował przeciw tekstowi Mazurka. Klęska totalna. Mimo wszystko próbował jeszcze jakoś ratować twarz.

- Niech tylko nikt potem nie mówi, że nie ostrzegałem - powiedział ponuro. - Zwłaszcza autor tej żenady.

- Nie bój się za mnie - odpowiedział Kuba heroicznie.

- Jak jesteś taki odważny i mądry, to teraz weź i złam sobie sam numer na nowo. My z Ewą musimy już iść, żeby zdążyć na Miłosza.

- Beze mnie - powiedziała Czarna. - Ja rezygnuję.

Kota po prostu sparaliżowało. Kiedy odzyskał głos, ledwo zdołał wydukać:

- Ewka, co ty się wygłupiasz? O co ci chodzi?

- O nic. Po prostu muszę dopilnować numeru do końca. Ale ty, oczywiście, nie musisz. Jestem pewna, że doskonale sobie poradzisz beze mnie. Przecież to ty jesteś

stworzony, żeby rozmawiać z noblistami jak równy z równymi. Nie mam racji?

- Ewka, co ty? Zaproszenie się zmarnuje.

- Oczywiście, że nie może się zmarnować. Przecież twoja mama tak się starała, żeby je załatwić. Na pewno Anka chętnie z tobą pójdzie. To ona jest fanką Miłosza. Ja wolę Tolkiena. Masz czas, Anka?

- Dla Miłosza? Zawsze. To co, idziemy?

Kot, jeśli nie chciał skompromitować się do reszty, mógł zrobić tylko jedną rzecz. Kiedy wychodzili, Kuba Mazurek nie odrywał oczu od ekranu komputera i udawał, że jest całkowicie pochłonięty łamaniem. Ale Ładny zauważył jego zwycięski, choć tylko dla niego samego przeznaczony uśmiezek.

Godzinę później Ładny marudził i zwlekał, żeby wyjść na samym końcu razem z Barską. Nie miał już prawie nadziei, by Żelazna Dziewica dała mu się poderwać. Robił to dla samej zasady, żeby nigdy do końca nie rezygnować. Choć już jej wygląd mówił: Zapomnij. Tego dnia miała na sobie jeden ze swych słynnych pancerzy, szary wełniany kostium, czarny golf i czarne półbuty na niskim obcasie. Kiedy schodzili po szerokich, jasno oświetlonych schodach, jej wyprostowane zazwyczaj plecy nagle oklapły, jakby przestała je kontrolować.

- Chyba będą jaja - powiedziała.

- No, będą - zgodził się. - Dlaczego ich nie powstrzymałaś?

- Jesteś zdziwiony?

- Trochę.

Zatrzymała się na półpiętrze.

- Ty też kręciłeś, zamiast powiedzieć jasno, co myślisz.

- Nie chciałem robić Kubie przykrości. To dla chłopaka ważne.

- No widzisz! - W oczach Barskiej pojawił się niespodziewany blask.

- Choć prawdę mówiąc, strasznie to było naiwne i nachalne.

- Tak uważasz? Nie masz racji. Uczę już w końcu parę lat i jeszcze takiego ucznia nie miałam. Kuba jest naprawdę dobry.

- Jak na siedemnastolatka. Zgoda.

- Nie lekceważ go. - Wydawała się naprawdę urażona w imieniu Kubie Mazurka. - Niech ci się nie zdaje, że zjadłeś wszystkie rozumy. Weź pod uwagę, że ja też jestem filologiem.

Patrzył na nią i nie poznawał. Była zarumieniona z emocji, jej oczy lśniły coraz mocniej. Coś mu się przypomniało i teraz już dziwił się trochę mniej. Uśmiechnął się, jakby sam do siebie.



- No, niech ci będzie. Ale Caban się wścieknie.

- Mam to w dupie.

Bardziej zdumiało go takie słowo w jej ustach niż sens tego, co powiedziała. Pomyślał: O, Żelazna Dziewico, wbrew temu, co starasz się udawać, ty też musisz mieć problemy.

Nie chciał pytać wprost, żeby jej nie spłoszyć. Okazało się, że nie musiał. Kiedy zeszli na pierwsze piętro, jej samej wyrwało się:

- Boże, jak mnie to już wszystko męczy.

- Więc dlaczego to robisz? - spytał.

Wzruszyła ramionami.

- Sama nie wiem. Błąd młodości. Kiedy padła komuna, zobaczyłam w tym jakiś sens. Zdawało mi się, że wreszcie będzie można uczyć smarkaczy prawdy. Nie takiej ciemnoty, jaką nam wciskano. Tylko że dzisiaj, jak sam wiesz, nikogo to już nie obchodzi. Kiedy przejrzałam na oczy, było za późno.

Mówiła jakby bardziej do siebie niż do niego. Schodziła powoli, z opuszczoną głową.

- To czemu nie rzucisz tego w cholere? - spytał. - Masz takie możliwości, mogłabyś robić wszystko.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się krzywo.

- Na przykład pracować w „Gazecie Krakowskiej”? Bądź poważny.

- Myślisz, że w Sejmie będzie ci lepiej?

- Dobrze wiesz, że nie będę w żadnym Sejmie. Ale może po drodze coś zamieszam.

Już zamieszałaś, pomyślał.

Byli na dole. Przypomniał sobie, że na parkingu przed szkołą nie widział jej golfa. Pomyślał, że może akurat zrobiła to celowo i powinien wykorzystać sytuację. Właśnie miał zaproponować jej podwiezienie, kiedy zaczepił ją woźny:

- Pani profesor, dzwonił pan prezes. Mówił, że pani ma wyłączoną komórkę. I żeby pani zadzwoniła, jak skończy.

Przyglądał się przy tym bezczelnie Ładnemu.

- Dziękuję, panie Dziuba - powiedziała Barska sucho, prawie opryskliwie.

Szybko wyjęła telefon z torebki i wybrała numer.

- No, to ja - powiedziała. - Możesz już po mnie podjechać.

Ładny nie czekał dłużej. Pożegnał się i wyszedł ze szkoły. Po drugiej stronie ulicy zobaczył Kubę Mazurka i Ewę Góral, idących powoli. Dobiegł go ich śmiech. Poczł nagły przypływ zazdrości, ale równocześnie pomyślał, że oni też są na najlepszej drodze, żeby źle

pokierować swoim życiem. Sam nie wiedział, co bardziej go w nich drażniło.

Widocznie mamy to w genach, myślał, wszyscy wszystko marnujemy. Owiał go mokry ziąb krakowskiej wiosny. Wsiadł do swojego starego polskiego fiata i szybko odjechał.

Kuba z Czarną szli Szewską. Tuż obok bramy, w której za czasów komunizmu milicja zamordowała studenta Pyjasa, zobaczyli siedzącego na chodniku Pacyfistę z gitarą. Trząśnięcie się z zimna, a jego zgrabiące palce wydobywały ze strun gitary dźwięki zdecydowanie nie najwyższej próby. Głos mu też drżał bardziej niż zwykle, kiedy śpiewał:

Spotkałem znów Jezusa, ludzie, wierzcie mi.

Siedział z nami przy kuflu w pubie Free,

Spytałem: Panie, gdzie Twój znak?

A Jezus spojrzał i rzekł tak:

Spytaj tej małolaty, stary, która épa,

To jej się zdaje, że odpowiedź zna...

Jakaś kobieta, na oko pięćdziesięcioletnia, zatrzymała się i powiedziała z oburzeniem:

- Jak można! W tej bramie zginął Staszek Pyjas. A pan takie rzeczy!

Pacyfista podniósł na nią zamglone spojrzenie.

- A ja nie ginę? - spytał.

- Pan ginie na własne życzenie.

- I co, myśli pani, że mniej boli?

Czarna nerwowo grzebała w plecaku. Wyjęła dziesięciozłotowy banknot.

- Kuba, dajmy mu tyle, żeby sobie stąd poszedł.

Dołożył pięć złotych, podszedł i wcisnął Pacyfście do ręki. Grajek spojrzał na pieniądze i podniósł się w gorączkowym pośpiechu.

- Niech was Jezus ochrania, dzieciaki - wymamrotał i oddalił się szybko, ściskając pod pachą swoją gitarę.

- Co cię napadło? - spytał Kuba.

- Bałam się go - odpowiedziała Czarna. - Ale jeszcze bardziej, że ludzie mu coś zrobią. Wariatka jestem, co?

- Wcale nie - powiedział.

Objął ją ramieniem, a ona na to pozwoliła.

Zmyłka za zmyłką Afera wybuchła prędzej, niż ktokolwiek się spodziewał. Kiedy Barska kilka minut przed ósmą przyszła do szkoły, zdumiał ją widok dziewcząt i chłopaków,

którzy przepychali się jedni przez drugich w kolejce do szkolnego sklepiku, wrywając sobie nawzajem egzemplarze najnowszego numeru „Kowadła”. To się wcześniej nigdy nie zdarzyło.

- Co się tu właściwie dzieje? - zaczęła pierwszą z brzegu uczennicę.

- Pani profesor nic nie wie? Jesteśmy sławni. W radiu od rana nawijają o naszej szkole.

Barska poczuła, jak wszystkie myśli odpływają jej z głowy. Przecież spodziewała się tego. A jednak, kiedy przyszło, miała ochotę odwrócić się, uciec ze szkoły i nigdy nie wracać. Musiała użyć całej siły woli, żeby wejść na piętro i otworzyć drzwi pokoju nauczycielskiego, zza których dobiegał nienormalny o tej porze gwar. Na jej widok zamilkli, ale nie próbowali kręcić, o czym przed chwilą tak burzliwie dyskutowali. Na stole leżało kilka egzemplarzy „Kowadła”, otwartych na stronie z tekstem Kuby Mazurka.

- Widzę, że koledzy nareszcie zainteresowali się naszą szkolną gazetą - zażartowała.

Nikt spośród obecnych nie docenił dowcipu. Tylko chemik Rzycki, zwany Trupem, pokiwał ponuro głową.

- Wisielczy humor nie opuszcza koleżanki Barskiej. Nie wiadomo tylko, czy należy się z tego cieszyć czy płakać.

- Wisielczy? A co, mają mnie wieszać?

- Obawiam się, że nas wszystkich.

- Pana też? Ciekawe, kto i za co?

- Kto? Opinia publiczna tego miasta. A za co? Koleżanka żartuje? Ten atak na tak prawą i zacną osobę, jaką jest pani radna Kwiat, to mało? Na wartości, w które wszyscy wierzymy? I niestety, chciała koleżanka tego czy nie, odium spada na całą szkołę. Zbrukane zostało nasze dobre imię, na które pracowaliśmy kilka dziesięcioleci.

- Rany, co to za słowa. Czy pan kolega nie wali przypadkiem z wielkiej armaty do komara? Nie stać pana na trochę luzu? Przecież to tylko dyskusyjny artykuł w licealnej gazetce.

- Koleżanka nazywa to dyskusją? Wylewanie pomysł na jedną z najzacniejszych osób w mieście?

Barska rozejrzała się po kolegach.

- Wszyscy tak sądzicie? Czy ja śnię?

Nie znalazła wsparcia u nikogo z obecnych. Wszyscy po kolei odwracali wzrok. Jeden Libertowicz tego nie zrobił. Ale spojrzał na nią z takim wyrzutem, że była bliska załamania. Za żadną cenę nie chciałaby rozplakać się w ich obecności. I choć do początku pierwszej

lekcji było jeszcze prawie dziesięć minut, zabrała dziennik trzeciej A i wyszła z pokoju nauczycielskiego. Po raz pierwszy od lat poczuła chęć na papierosa. Nie paliła od czasu studiów, a teraz chętnie zaciągnęłaby się dymem aż do bólu płuc, gdyby nie wstydziła się poprosić kogoś o poczęstunek. W ten sposób odkryłaby swoją słabość, pokazała wszystkim, jaka jest zdruzgotana.

Ładny dowiedział się z Radia Wisła. Nie chciał wierzyć własnym uszom, kiedy usłyszał Agatę Kot, czytającą:

- Jak dowiedzieliśmy się nieoficjalnie, porządek obrad dzisiejszej sesji Rady Miasta zostanie rozszerzony o punkt poświęcony skandalicznej publikacji, jaka ukazała się w ostatnim numerze „Kowadła”, gazetki szkolnej liceum znanego jako „Kuźnia”. Artykuł jednego z uczniów zawiera bezprzykładny atak na znaną pravicową radną Teresę Kwiat, przewodniczącą Inicjatywy Obywatelskiej Przeciw Pornografii i Demoralizacji. Jak twierdzą inicjatorzy zmiany w porządku sesji, publikacja ukazuje także tendencyjnie sytuację w krakowskich szkołach, co stawia w niekorzystnym świetle ich dyrekcje, a pośrednio także Kuratorium Oświaty i Zarząd Miasta...

W tym miejscu zrobiono przebitkę na wypowiedź radnego Trybały z Inicjatywy Obywatelskiej:

- Dla mnie jest jasne, że to szyta grubymi nićmi prowokacja polityczna. Należy do arsenału tradycyjnych metod lewicy, że kiedy jej notowania spadają, zaczyna się wywoływanie tematów zastępczych, żeby odwrócić uwagę społeczeństwa od pogrążającej się w kryzysie gospodarki. Do wyborów parlamentarnych mamy jeszcze pół roku, do samorządowych półtora, ale zdaje się, że nasi wrogowie przyjęli strategię długiego nękania. Każda okazja jest dobra do zohydzenia prawicy w oczach społeczeństwa. Teraz mamy próbę wmówienia opinii publicznej, że szkoły pod rządami prawicy to siedliska narkomanii i deprawacji młodzieży. Trudno o większy absurd, ale dla naszych wrogów to nie ma znaczenia. Oni postępują w myśl zasady: Oblej przeciwnika nieczystościami, a zapach pozostanie. Trzeba tylko ubolewać, że do tej brudnej gry wciąga się uczniów, nieświadomych, o co naprawdę chodzi. To ohydne... I znów Agata Kot:

- Do tej bulwersującej sprawy będziemy wracać w naszych kolejnych serwisach. Postaramy się też porozmawiać z dyrektorką „Kuźni”, panią magister Rafaelą Caban, również kojarzoną ze środowiskiem katolickiej prawicy...

Jacek Ładny zeskoczył nago z wersalki i zaczął gorączkowo szukać po pokoju swojej komórki. Był roztrzęsiony, więc trwało to kilka minut, potem nie mógł znaleźć numeru Agaty

Kot. Kiedy mu się to wreszcie udało, zgłosiła się poczta głosowa. I tak kilka razy. Wiedział, że Kot musiała już wyjść ze studia, więc nie odbierała jego telefonów z rozmysłem. Postanowił nękać ją do skutku, i za którymś razem powiodło mu się.

- Nie dzwoń do mnie, bydlaku - usłyszał bez żadnych wstępów.

Mimo to nie zrezygnował. Kiedy wreszcie znów odebrała, uprzedził ją:

- Rozmawiaj ze mną, bo nie będę cię oszczędzał. Naprawdę usłyszał w swoim głosie groźbę. Choć wcale tego nie chciał. Ale udało mu się zatrzymać ją przy słuchawce.

- Co, grozisz mi? Ciekawe, co mi zrobisz. Naślesz na mnie bejsboli? Może i do tego jesteś zdolny.

- Podam cię do sądu koleżeńskiego.

- Ty? Mnie?

- Tak, ja ciebie.

- Ciekawe za co?

- Skąd wiedziałaś wcześniej? Od Kamila, prawda? I wykorzystałaś to, zawiadomiłaś radnych. Z gówna zrobiłaś aferę polityczną, żeby mieć pół procenta większą słuchalność. Jeśli to jest uczciwe dziennikarstwo, to ja jestem Bolesław Wstydlivy.

- Posłuchaj, debilu. Nie muszę z tobą rozmawiać, ale powiem ci, bo chcę, żebyś wiedział, że to ty zrobiłaś aferę. To nie ja zawiadomiłam radnych, tylko radni mnie. I na pewno nie dowiedzieli się od mojego syna.

- Tylko od kogo?

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Olewam to. Twoja bezczelność nie mieści się w głowie. Ty mi prawisz morały? Ty, który mścisz się na moim synu, bo się z tobą zaraz za pierwszym razem nie przespałam?

- Słuchaj, to nie...

- Nie interesuje mnie, co masz do powiedzenia. I nie dzwoń więcej, bo rozgłoszę, że mnie molestujesz.

Wiedział, że byłaby zdolna to zrobić. I w dodatku musiał przyznać, że w tym, co mówiła, miała trochę racji. Przynajmniej ze swojego punktu widzenia. Kiedy się wyłączyła, poczuł ogarniającą go bezradność. Nie spodziewał się, że błahy w końcu tekścik Kuby Mazurka w „Kowadle” spowoduje taką eksplozję. Przewidywał jakąś małą burzę w szklance wody, ale wyłącznie o zasięgu szkolnym. Sądził, że następny numer będzie można poświęcić dyskusji o niebezpieczeństwach czyhających na młodzież i w ten sposób sprawę załatwić. Tymczasem okazało się, że niechcący wypuścili dzina z butelki.

Wyobraził sobie, jak może czuć się Barska. Szybko wybrał jej numer, ale komórka

milczała. Rozumiał, że najprawdopodobniej ma lekcje, ale nie mógł się powstrzymać. Myjąc się i goląc, kilka razy bezskutecznie próbował się do niej dodzwonić. Potem jeszcze dwukrotnie w samochodzie, z takim samym efektem. Naprawdę zaczął się o nią niepokoić. Wyobrażał sobie, że już jest wyrzucona z pracy, że może popełnić jakieś głupstwo. Jakoś nie przyszło mu do głowy, że Justyna Barska ma przecież wspaniałego męża, na którego ramieniu może się wesprzeć w każdej potrzebie.

W redakcji od razu wsiadł na niego naczelny. Kiedy wpadli na siebie przy wejściu, wykrzyknął bez żadnych wstępów:

- Dlaczego my tego nie mamy?

- Czego? - Ładny wcale nie chciał udawać głupiego. Po prostu nie dotarło do niego od razu, że naczelny, znany z niechęci do radia, też już wie.

- Robisz ze mnie wała? Urządzasz rozpierduchę w Radzie Miasta, a my o tym nic nie wiemy? Masz tu jeszcze etat czy już nie?

- Przecież to zwykła bzdura. Nie chciałem nadawać temu rozgłosu.

- Sam się nadał. I to inni zbierają śmietanę.

- Słuchaj, to naprawdę nie ja. - Czuł, że tłumacząc się w ten sposób, pograża się jeszcze bardziej, ale nie umiał nic na to poradzić. - Chłopak napisał, co mu leżało na sercu.

- Sam? - spytał naczelny podejrzliwie.

- Naprawdę masz mnie za takiego buca? Akurat w tym tekście nie postawiłem ani jednego przecinka. A uczniowie sami przegłosowali, żeby go opublikować. Ja się nie wtrącałem.

- Nawet jeśli to prawda, kto w to uwierzy? Może nie jesteś zwykłym bucem, ale głupim bucem jesteś.

Naczelny najwyraźniej zaczynał się przekonywać, że Ładny mówi prawdę. Tyle że to niczego nie załatwiało.

- Słuchaj, zrobimy tak: jutro przedrukujemy cały tekst tego ucznia. Konkurenci się nie odważą, za bardzo są zaplątani w miejskie układy. A ludzie będą chcieli wiedzieć, o co właściwie ta cała afera. Do tego dodamy całą kolumnę poświęconą sprawie.

- Rany boskie, nie rób tego.

- Oczywiście, że zrobię. Mało tego, ty to zrobisz.

Jacek Ładny poczuł, że wszystko wymyka mu się z rąk, że ostatecznie traci kontrolę nad biegiem wypadków. I że właśnie tak, w tak głupi sposób, dotarł do granicy, której nie może przekroczyć. Z przerażeniem pomyślał o stanie swojego konta.

- Jeśli tak, to rzeczywiście już nie mam tu etatu - powiedział, siląc się na maksymalny

spokój.

Naczelnny udawał, że go nie słucha.

- A właściwie to nie - podjął, jakby sam przemyślał sprawę, a groźba Ładnego w ogóle do niego nie dotarła. - To by źle wyglądało. Zlecimy to którejs z naszych małolatek. Ty będziesz udawał, że ciebie to w ogóle nie dotyczy. Nawet dobrze się składa, bo mam dla ciebie inny temat. W Zakopanem jest jakaś rozróbka na lewicy. Zdaje się, że na Podhalu z jednej partii zrobiły się dwie. Więc pojedziesz i opisziesz, jak legendarna jedność lewicy staje się fikcją. Nawiasem mówiąc, wybory na jesieni wygra najpewniej Solidarność. I w ogóle prawica. Może więc czas, żebyś wreszcie zaczął dbać o własną dupę. A przy okazji o moją.

W innych okolicznościach Ładny zrobiłby wszystko, żeby wykręcić się od podobnego zadania. Teraz było mu na rękę. Przede wszystkim jednak miał już za sobą starcie z naczelnym i mógł wrócić do sprawy, która w tej chwili obchodziła go najbardziej. Odnaleźć wreszcie Justynę Barską.

Kilka godzin później dowiedział się, że Barska nie mogła odbierać jego telefonów, bo właśnie wtedy trwało nadzwyczajne posiedzenie Rady Pedagogicznej, zwołane w nagłym trybie przez Cabanową. Zresztą już wcześniej wyłączyła komórkę. Nie miała ochoty rozmawiać z nikim. Była pełna najgorszych przeczuć. Wiedziała już, że nie może liczyć na kolegów. Tylko najmłodsza z nauczycielek, Monika Fiszbach, ucząca w niepełnym wymiarze godzin francuskiego, podeszła do niej chyłkiem na korytarzu i ścisnęła za rękę.

- Cokolwiek będzie się działo, chcę, żebyś wiedziała, że jestem po twojej stronie. Szkoda, że nic nie mogę - powiedziała dramatycznym szeptem, jakby Barskiej groził proces o zdradę stanu i wyrok śmierci.

Fiszbach miała poczciwe intencje, ale swoim odruchem solidarności tylko jeszcze bardziej ją zdołowała. Barska nie szukała wsparcia u koleżanek, dla których sama powinna być wzorem. Oczekiwała go od Libertowicza i tu się boleśnie zawiodła. Kiedy wreszcie udało się jej zamienić z nim parę słów tuż przed nadzwyczajnym posiedzeniem, nie znalazł dla niej słów otuchy.

- A czego się pani spodziewała, pani Justynko? Czy pani uczy pierwszy rok? Pani wie, że niezależnie kto wygra wybory, czeka nas reforma szkolnictwa. Najprawdopodobniej powstaną gimnazja i nauka w liceach skróci się o rok. To znaczy, że także z „Kuźni” parę osób będzie musiało odejść. Jeśli wygra prawica, co jest więcej niż prawdopodobne, pozycja pani dyrektor Caban jeszcze się wzmocni. Pani liczyła, że w takiej sytuacji ktokolwiek panią poprze?

Poczuła się tak, jakby opuścił ją rodzony ojciec. Nie do końca, bo Libertowicz już nie był niczym ojcem. Był przegranym facetem, który nie mógł pozwolić sobie na utratę posady. Do pokoju nauczycielskiego puścił ją przodem. Od progu ujrzała gromadkę tak samo przegranych, smutnych osób i zważyła w możliwość ratunku. Miała właśnie usiąść przy samym końcu stołu, w pobliżu wyjścia na korytarz, kiedy dyrektor Rafaela Caban dosłownie wtargnęła przez drzwi z sekretariatu. Jakby chciała pokazać, jaką niepohamowaną energię kryje jej duże ciało. Chemik zwany Trupem podniósł się skwapliwie z krzesła, a w ślad za nim poderwali się inni. Caban skrzywiła się i machnęła niecierpliwie ręką.

- Proszę koleżanek i kolegów, proszę, żeby bez takich demonstracji. Jestem osobą konkretną, nie lubię zbędnych ceremoniałów, które prowadzą tylko do niepotrzebnej straty czasu.

Wszyscy posłusznie usiedli z powrotem, a ona potoczyła po nich zadowolonym wzrokiem.

- No! A więc do rzeczy. Zdaję sobie sprawę, że państwo chcieliby się wypowiedzieć na temat tego, co się stało w naszej szkole, może ułożyli już sobie w głowach swoje wystąpienia. Cenię państwa troskę o dobro szkoły. Ale żeby, jeśli mogę się tak wyrazić, nie strzępić języków po próżnicy, proponuję, żeby państwo wysłuchali najpierw, co ja o tym wszystkim sądzę. Młodzież jest zbulwersowana, nie powinna zbyt długo pozostawać bez opieki. To co, może tak być?

- Słuchamy z uwagą - wyrwał się przymilnie Trup.

- No! A więc do rzeczy. Otóż jeśli ktoś liczył, że Cabanowa wystąpi przeciwko wolności słowa i stanie się łatwym celem dla pismaków, to się przeliczył. Nie, proszę koleżanek i kolegów. Wolność wypowiedzi, wolność myśli to jedna z wartości, które cenimy najbardziej. Nie będziemy nikomu zamykać ust. Młody człowiek, uczeń, też ma u nas prawo do swobodnego głoszenia swoich sądów. Choćby pochopnych. Choćby, powiedzmy to sobie szczerze, głupich i wrednych. Bo młodość ma prawo do błędu. Takie jest moje zdanie, proszę koleżanek i kolegów, żeby była jasność. Czy teraz ktoś z państwa chce zabrać głos?

Zapadła cisza. Zaskoczenie było kompletne. Barska poczuła dotkliwy, fizyczny chłód. Gdyby Pirania zaczęła krzyczeć, wymyślać, odgrażać się, byłoby to mniej złowrogie.

- No! Tak myślałam. Szkoda czasu na głupoty. Jest przecież oczywiste, że te, no, negatywne zjawiska, opisane przez ucznia, nie dotyczą naszej szkoły. A może koleżanka Barska jest innego zdania?

- Nie jestem pewna, czy właściwie zrozumiałam panią dyrektor... - zaplątała się.

- Wydawało mi się to niezbyt trudne. Po prostu chciałam spytać, czy pani



kiedykolwiek zauważyła, żeby młodzież w naszej szkole zażywała narkotyki. Albo może handlowała nimi. Bo gdyby tak, to należałoby chyba powiadomić odpowiednie władze?

- Nie, nic takiego nie zauważyłam, pani dyrektor.

- No! Tak właśnie myślałam. Chciałabym, żeby wszyscy państwo wyjaśnili to młodzieży na najbliższych lekcjach. I podkreślili, że zgoda dyrekcji na publikację artykułu ucznia w szkolnej gazecie to przejaw tradycyjnej tolerancji i wolności wypowiedzi, panującej w naszej szkole. Wszyscy państwo się zgadzają? No! A pani, koleżanko Barska? Tak właśnie myślałam. To do pracy, koleżanki i koledzy, do pracy.

Kiedy wszyscy wychodzili, Cabanowa zatrzymała Barską jeszcze na chwilę. Patrząc na nią uważnie swymi rybimi oczami, spytała:

- A pani, koleżanko Barska, sądziła, że stara Pirania jest idiotką, tak?

Jacek Ładny szedł do swego starego fiata, zaparkowanego obok Pałacu Prasy przy Wielopolu, kiedy srebrny golf Barskiej zatrzymał się na światłach przy Poczcie Głównej. Nie namyślając się, skoczył między hamujące samochody. Udało mu się przed zmianą świateł dopaść drzwi golfa od strony pasażera.

- Od rana próbuję się z tobą skontaktować - powiedział szybko. - Możesz skrócić i zaparkować przy Starowiślniej?

- Nie mogę - odpowiedziała nerwowo.

W następnej chwili, zanim pomyślał, co robi, siedział koło niej.

- Nie szkodzi, porozmawiamy po drodze.

Zauważył jej panikę, ale pomyślał, że to skutek ciężkiego dnia. Światła zmieniły się i Barska ruszyła, skręcając w lewo, w Świętej Gertrudy. Nie zatrzymała się przed przejściem dla pieszych, tylko dodała gazu, rozganiając przechodniów. Popatrzył na nią z przerażeniem. Gdyby piesi zachowali się mniej czujnie, trafiłaby któregoś jak nic. Ale nie odezwał się. To mogło tylko jeszcze pogorszyć sytuację.

- A co się stało? - spytała, jakby myśląc o czym innym.

- Jak to, co się stało? Wydzwaniam do ciebie, odkąd się zorientowałem, jaką burzę wywołał nasz mały Kuba. Niepokoiłem się o ciebie.

- O mnie? - Jej roztargnione zdziwienie wyglądało na autentyczne. - Dlaczego?

- Jak to dlaczego? Wyobrażam sobie, co musisz przeżywać.

- Ja? Nic takiego.

- Sądziłem, że Pirania pożre cię żywcem.

- Ja też. Pomyliliśmy się oboje. - Spojrzała na zegarek. - Pani dyrektor zaraz będzie w

radiu. Posłuchajmy.

Pokręciła gałką, nastawiając odbiornik na Radio Wisła. Stali w długiej kolejce aut przed światłami na skrzyżowaniu pod Wawelem. Dojeżdżali właśnie do białej linii, kiedy światła się zmieniły.

- Cholera - powiedziała Barska. Nagle dodała gazu i znowu z piskiem opon skręciła w lewo, przejeżdżając skrzyżowanie już na czerwonym. Ładny i tym razem nic nie powiedział, choć gorąca fala spłynęła mu po kręgosłupie. Tymczasem dyrektor Cabanowa była już na antenie.

- Przede wszystkim chciałabym zaapelować o umiar - mówiła spokojnie. - Media zrobiły istną burzę wokół naszej szkoły. Przyznam, że nie bardzo to rozumiem. Nie szukajmy sensacji tam, gdzie jej nie ma...

Ładnego zdumiał ten wstęp. Agatę Kot najwyraźniej też. Rozmowa szła na żywo i teraz w głosie reporterki zabrzmiała niepewność:

- Ale przyzna pani dyrektor, że publikacja, która ukazała się w szkolnej gazecie, jest bulwersująca...

- To ta baba zrobiła tę całą aferę - wykrzyknęła Barska ze złością. - Co ona do mnie ma?

Tymczasem w radiu Cabanowa ciągnęła bez emocji:

- Przyznaję. I właśnie o to chodziło. Chcieliśmy dobitnie zasygnalizować tak groźne niebezpieczeństwo, jakim jest rosnąca narkomania wśród młodzieży. Co prawda naszej szkoły, dzięki Bogu, ten problem nie dotyczy, ale zdajemy sobie sprawę z zagrożenia. Jesteśmy na nie przygotowani.

- Ale forma tego artykułu...

- Pozwalamy naszej młodzieży wypowiadać się szczerze, pani redaktor. O to przecież razem walczyliśmy w Solidarności, prawda? Nawet jeśli młody autor artykułu błądzi, to błądzi w słusznej sprawie. Powiem więcej: rozmawiałam z panią radną Kwiat i ona jest takiego samego zdania. Jest problem, a więc rozmawiamy o nim. Dyskutujemy, spierajmy się. Lepsze to niż chowanie głowy w piasek i zamykanie ust. Przerabialiśmy to za komuny i dzisiaj zbieramy owoce.

Krótką chwilą ciszy na antenie świadczyła, że Kot nie wie, co powiedzieć. Wreszcie spytała:

- Czy to znaczy, że pani dyrektor znała wcześniej treść tej publikacji?

- Ale skąd! W naszej szkole nie ma zwyczaju wcześniejszego cenzurowania tekstów do szkolnej gazety. Zresztą jest ona pod fachową opieką pana redaktora Jacka Ładnego z

„Gazety Krakowskiej”. Więc dyrekcja jest spokojna. Mam też pełne zaufanie do pani profesor Justyny Barskiej, naszej polonistki.

Barska ze złością wyłączyła radio.

- Słyszałeś?

- Niesłychane! - Ładny był pod wrażeniem. - Nie znałem jej. Ta kobieta to geniusz.

- Nikt jej nie znał. Ale wiesz co? Wyjaśnienie jest chyba prostsze, niż nam się zdaje.

- No?

- Musiała się skądś dowiedzieć, że mam kandydować.

- Jasne, to możliwe.

Przejechali skrzyżowanie z aleją Dietla.

- O kurwa! - zakląła cicho Barska, spoglądając w lusterko.

Takie słowo w jej ustach mogło zwiastować tylko nadciągającą katastrofę. Ładny odruchowo przygotował się na uderzenie w samochód, ale nic takiego nie nastąpiło.

- Co się stało?

- Zobaczył cię.

Teraz Ładny też zauważył, że czarny jeep, który rzucił mu się w oczy już koło Pałacu Prasy, znów jest za nimi.

- No, widzę. Ktoś siedzi ci na tyłku, ale dyskretnie. Kto to? Policja?

Spojrzała na niego jak na wariata.

- Chory jesteś?

- To kto?

- Jak to kto? Barski.

- Śledzi cię? - zdumiał się Ładny.

- A co myślałeś? Jutro wyjeżdża, więc musi sprawdzić, czy czegoś nie kombinuję.

Oderwała prawą dłoń od kierownicy i zaczęła obgryzać paznokcie. Potem skrzyła nagle w Świętej Katarzyny i zatrzymała golfa.

- Przepraszam cię, ale musisz tu wysiąść. Powiem mu, że z grzeczności podwiozłam cię do ośrodka dla narkomanów. Bo piszesz reportaż, czy coś w tym rodzaju.

Zrobił posłusznie, co kazała. Zanim zamknął drzwi, spojrzała na niego smutno i rzuciła jeszcze:

- Wytłumaczę ci kiedy indziej. Przepraszam. Trzymaj się.

- Ty się trzymaj - odpowiedział.

Wszedł do poradni antynarkotykowej i przez szybę patrzył, jak czarny jeep przejeżdża powoli wąską uliczką. Waldemar Barski miał na nosie ciemne okulary, przez co o wiele

bardziej rzucił się w oczy. Jakby nie tyle krył się, co chciał być rozpoznany.

Ale szok! (pisze Kuba Mazurek)

Ale szok! Całowałem się. I to z kim! W życiu nikt by nie zgadł. Z Żelazną Dziewicą!

Gdyby ktoś to teraz przeczytał, mógłby pomyśleć, że nigdy wcześniej nie lizałem się z żadną panienką. Nic podobnego! Ale jest lizanie i lizanie. Wcześniej tylko to podejrzewałem. Teraz wiem. I nigdy bym nie pomyślał, że to pierwsze na serio będzie właśnie z nią. Z Justyną. Chociaż...

Niech przynajmniej tutaj mogę ją tak nazwać. Bo w rzeczywistości nawet teraz bym się nie odważył. Bo to niby było, a równocześnie jakby nie było. Samemu trudno mi w to uwierzyć. Myślałem, że to stanie się z Czarną. Byłem prawie pewny. Od czasu słynnego artykułu w „Kowadle” traktuje mnie zupełnie inaczej. Ale z Żelazną Dziewicą!? Sen pijanego małolata.

Po kolei:

Jak wiadomo, było w budzie trochę zadymy po tym moim ar-cie. Choć szczerze mówiąc, myślałem, że będzie dużo więcej. Aż zacząłem panikować. Tylko parę minut chodziłem cały dumny i blady (jak powiedziała by babcia Chłopicka), kiedy zobaczyłem uczniów sławnej „Kuźni” wrywających sobie egzemplarze z płodem mego niewątpliwego geniuszu publicystycznego. Czuję się jak Harun ar-Raszid, przechadzający się incognito ulicami Bagdadu. Tylko że moje incognito nie trwało długo. Niby tekst był anonimowy, ale jeszcze przed pierwszą lekcją rozniosło się, kto jest autorem. Przypuszczam, że musiał to po cichu rozgłosić ten dupek Kamil. Nagle jakieś uśmieszki, niektórzy zaczęli się ode mnie odsuwać, jakbym miał hiva, inni robili głupie miny i mrugali porozumiewawczo. Chemik Trup spojrział na mnie na korytarzu, jakbym to ja był trupem. Pirania udawała, że w ogóle nie widzi moich ukłonów. A Żelazna Dziewica, zauważyłem, też wyglądała na przestraszoną.

I nagle wszystkie strachy się rozwiały. Nie mogłem w to uwierzyć. Bo już zaczynałem rozumieć, jak czuli się nieszczęśnicy, których wieziono drewnianym wózkiem pod gilotynę. A Kot patrzył na mnie, jakby już widział moją głowę w koszu. Wszystkim rozpowiedział, o której godzinie w Radiu Wisła jego matka przeprowadzi wywiad z Piranią. Matko, ale to była zmyła! Kamilkowi szczena opadła, aż walnęło o podłogę. No i na drugi dzień z rana miałem z Żelazną Dziewicą pierwszy, jeśli można tak powiedzieć, kontakt fizyczny. Przed lekcjami podeszła do mnie na korytarzu, objęła ramieniem i powiedziała wesoło: - To co, Kuba? Pokonaliśmy imperium zła. Myślałem, że siądę od takiej poufałości. Ludzie na korytarzu, choć nie słyszeli, co do mnie mówiła, też wytrzeszczali gały. Manifestacja była oczywista.

Choć wtedy ani bym nie pomyślał, do czego dojdzie jeszcze tego samego dnia. Nawet poczułem lekkie rozdwojenie uczuć, bo nie wiedziałem, czy Czarna nie będzie trochę zła o te obłapki. Ale nie. Zdaje się, że jest ze mnie trochę dumna po tym całym zamieszaniu, którego narobiłem. Tak że liczyłem na jakieś dalej posunięte pieszczoty raczej z nią. Stało się inaczej.

Tak się składa, że we wtorek kończymy lekcje późno, o piątej po południu, a ostatnią lekcją jest polak. Trzeba było widzieć Żelazną Dziewicę tego dnia. Zrezygnowała z odpytywania i wykladała jak nawiedzona. Czasem jej się to zdarzało, kiedy temat lekcji należał do jej ulubionych. Ale taka świetna nie była chyba nigdy wcześniej. W ogóle olała program i wzięła do analizy najbardziej znaną piosenkę swego idola, Jacka Kaczmarskiego. Niby wszyscy (w tak wybitnej klasie!) musieli znać „Mury”. Jednak teraz pokazała je nam od zupełnie innej strony. Takiej, która na pewno nie spodobałaby się Piranii i jej politycznym protektorom. Więc może dlatego zdecydowała się na to akurat w takiej chwili.

Wiedziałem wcześniej, że nasza pani potrafi ładnie recytować poezję. Ale nie sądziłem, że może mieć w sobie taki pauer. Dosłownie dreszcze chodziły, kiedy mówiła:

On natchniony i młody był, ich nie policzyłyby nikt. On im dodawał pieśnią sił, śpiewał, że blisko już świt. Świec tysiące palili mu, znad głów unosił się dym, Śpiewał, że czas, by runął mur... Oni śpiewali wraz z nim.

Poczułem takie uderzenie energii, jak ostatni raz chyba na koncercie Heya pod namiotem w Nowym Sączu. Reszta klasy musiała odebrać je także, bo nagle wszyscy, nie umawiając się, zaczęliśmy śpiewać:

Wyrwij murom zęby krat!

Zerwij kajdany, połam bat!

Nie było nikogo, kto nie pamiętałby tych słów, które nasi rodzice śpiewali w stanie wojennym. Nawet ci partyjni, żeby pokazać, po której stronie naprawdę biją ich serca. Więc początkowa mruźniczka z każdym taktem potężniała i w końcu rycieliśmy jak banda pijaków przy ognisku, aż drżały mury starej „Kuźni”:

A mury runą, runą, runą

I pogrzebią stary świat...

- Jak wiecie, właśnie dzięki tej pieśni Jacek Kaczmarski został uznany za barda Solidarności i całej niepodległościowej nastawionej części społeczeństwa - podjęła Barska swój wykład. - Choć w gruncie rzeczy było to nieporozumienie. Ludzie nie zrozumieli poety. Kuba, wiesz dlaczego?

Po raz drugi tego dnia poczułem się wyróżniony, że nie pytała, kto wie, tylko od razu wybrała mnie.

- Bo nikt nie słuchał dalszego ciągu - powiedziałem.

- A ty? Znasz go?

Na szczęście znałem. Nie sprawiłem jej zawodu. Teraz ja mówiłem:

Aż zobaczyli ilu ich, poczuli siłę i czas,

I z pieśnią, że już blisko świt, szli ulicami miast

Zwalali pomniki i rwali bruk: -

Ten z nami! Ten przeciw nam!

Kto sam - ten nasz największy wróg!

A śpiewak także był sam...

W klasie zapanowała totalna cisza. Sprawdziło się. Dalszego ciągu nie znał prawie nikt. Teraz nuciliśmy już tylko w trójkę - Żelazna Dziewica, Czarna i ja:

Patrzył na równy tłumów marsz,

Milczał, wsłuchany w kroków huk,

A mury rosły, rosły, rosły,

Łańcuch kołysał się u nóg...

Mury starej „Kuźni” tym razem nawet nie drgnęły. Za to Czarna chwyciła pod ławką moje palce. Więc przewidywałem, że tego dnia coś się wydarzy. Tylko nie przewidziałem, z kim. Po lekcji okazało się, że po Czarną przyjechała matka, bo miały pójść razem na jakieś zakupy. To mnie zupełnie wytrąciło z uderzenia. Stałem przed budą jak głupi na weselu i nie wiedziałem, co z sobą zrobić. I wtedy nadeszła ona.

- O, Kuba - powiedziała. - Nie śpieszy ci się do domu?

Wzruszyłem ramionami. Dopiero później pomyślałem, że mogło to wyglądać, jakbym czekał właśnie na nią. A może naprawdę tak było?

- To może odprowadzisz osamotnioną kobietę? - spytała. - Robi się już późno, a ja nie wzięłam dziś samochodu. Poza tym powinniśmy chyba porozmawiać o tym wszystkim, co się porobiło.

Nie miałem nic przeciw temu. Choć do głowy mi nie przyszło... Okazało się, że mieszka daleko na Woli Justowskiej, w jakimś nowym apartamentowcu dla bogaczy.

- Nie gorsz się - powiedziała, jakby chciała się przede mną tłumaczyć. - Te apartamenty wybudowała firma mojego męża. Są takie drogie, że nie na wszystkie znaleźli się chętni. Więc mieszkamy sobie jak burżuje, a długi rosną.

Wysiedliśmy z autobusu przy alei Kasztanowej i stamtąd szliśmy piechotą. Żelazna Dziewica wcale się nie śpieszyła. Po prostu spacerowaliśmy, rozmawiając o wszystkim i o niczym.

- I co? Jak ci się spodobała dzisiejsza lekcja? - spytała.

- Wyszło super.

- To dlatego, że mi pomogłeś.

Po tych słowach pierwszy raz pomyślałem, że może to nie będzie takie zwykle odprowadzenie do domu.

- Oboje byliśmy niezli - powiedziałem.

- O, dziękuję! - zaśmiała się.

- Wszystkie lekcje powinny być takie.

- Chciałaby dusza do raju. Niestety, musimy realizować program.

- Ja bym się tym nie przejmował.

Palnęła mi krótkie kazanko, jakby z obowiązku, że jest za wiele rzeczy, którymi się nie przejmuję. Żebym był ostrożniejszy i tak dalej, bo najważniejsze, żebym dobrnął do matury. A potem już tylko opowiadaliśmy sobie historyjki. O naszych rodzinach, o przeżyciach z dzieciństwa, o przeczytanych książkach i obejrzanych filmach. Bardzo się na przykład zainteresowała moimi przejściami z dziadkiem Chłopicim.

- To zupełnie jak mój tata - śmiała się. - Chciał mnie zaprogramować na całe życie. Nawet to imię. Całe szczęście, że nie mógł mnie nazwać lustitia. A wiesz, że na drugie mam Wiktoria? Bo niby urodziłam się jedenastego listopada. Horror.

Była tak rozluźniona, że odważyłem się:

- Czy mógłbym panią wziąć pod rękę?

Nic nie odpowiedziała. Zamiast tego jakby wysunęła się pół kroku do przodu. Pomyślałem, że wszystko popsulem.

- Przepraszam - powiedziałem.

- Nie przepraszaj. Ewy też byś pytał?

Zaskoczyła mnie zupełnie. Tego się nie spodziewałem. Zauważyła, jaki jestem zbity z tropu.

- No, nie pesz się tak. Wiem, że Ewy nie brałbyś pod rękę. Ale oczywiście, taką starszą panią jak ja wypada, jak najbardziej.

A kiedy się ociągałem, sama chwyciła moją dłoń i umieściła sobie w zgięciu łokcia. Chodziliśmy i gadaliśmy, aż zrobiło się prawie ciemno. Nowa budowla, w której mieszkała, wyglądała naprawdę szpanersko. Bramka od podjazdu otwierała się pilotem. Nie pożegnała mnie przed nią, pozwoliła odprowadzić się aż pod same drzwi. Więc pomyślałem, że to chyba coś oznacza. Wyciągnęła do mnie rękę. Uścisnąłem ją dość mocno.

- Dzięki za miły wieczór - powiedziała.

Nie cofała dłoni, więc ja też nie puszczałem. Wtedy ona niespodziewanie wspięła się na palce, żeby pocałować mnie w policzek. Poczułem na twarzy jej suchą i ciepłą skórę. Tylko trochę przesunąłem głowę i dotknąłem jej warg moimi. Na próbę.

- Kuba, co ty robisz? - spytała.

Ale nie cofała się, więc zrobiłem to znowu. Wtedy nagle rozchyliła usta i wciągnęła mój język do środka. No i dalej już było to. Szok. Lizaliśmy się chyba całą wieczność, zanim się opamiętała. Zrobiła krok do tyłu i pogroziła mi palcem.

- Kuba, tak się nie robi. Wykorzystałeś sytuację. Zapytałem, bo chyba tak wypadło:

- Spotkamy się?

Żelazna Dziewica pogłaskała mnie po policzku.

- Nie, Kuba. Nie spotkamy się. Przecież ty się spotykasz z Ewą, prawda? Więc niech tak zostanie.



## *Część druga*

Kłopoty z panienkami, młody?

- Wiesz co? - powiedziała Ewa Góral. - We Free będzie śpiewał Miłosz Balanga.

Wpadniemy?

Wreszcie zrobiło się ciepło, na Plantach kwitły kasztany i Kuba chciałby, żeby droga ze szkoły pod dom Czarnej trwała jak najdłużej. Nawet nie pomyślał, że tak niespodziewanie może liczyć na coś więcej.

- Miłosz Balanga zamiast Czesława Miłosza? - spytał, maskując lekki niepokój, zakłócający radość.

Propozycja Czarnej była taka kusząca. Sam od tygodni nie mógł się zdobyć, żeby jej zaproponować jakieś wspólne wyjście. Bał się, że odmówi. Nie mógł więc odrzucić podobnego prezentu. Tylko że na koncercie Balangi mogli pojawić się ludzie, których po aferze z artykułem w „Kowadle”, wolałby nie spotkać. Czuł się rozdarty.

- A dlaczego nie? - spytała.

- Wolałbym pogadać.

- Spoko. Zdażymy. Przecież nigdzie się nam nie śpieszy, prawda? Tętno od razu mu przyspieszyło. Po takiej obietnicy musiałby być frajerem, żeby się dłużej opierać. Co z tego, że nie przepadał za Miłoszem Balangą. Jeśli chodzi o muzykę, chłopcy z Ruchu Oporu byli w porządku. A co do tekstów, mógł się ostatecznie poświęcić, choć też wolał Czesława. Wieczór spędzony z Czarną był tego wart.

- Chyba że ty masz inne plany? - spytała.

- Nie mam. Tylko jak dla mnie ten Balanga za bardzo zadziera nosa.

- Coś ty. Miłosz jest spoko.

Miłosz zwany Balangą należał do najślawniejszych uczniów „Kuźni”. Nie był, oczywiście, ani poległym porucznikiem legionów Dowborem-Kuklinowskim, ani poetką Rozwadowską, ani Janem Niedzielą, bojownikiem podziemnej Solidarności, a później ministrem w pierwszym wolnym rządzie. Z tymi posagowymi postaciami nie mógł się równać. Ale niektórzy z młodszych nauczycieli rozumieli, że dla uczniów z końca XX wieku większą atrakcją było chodzić do szkoły z bardem pubów niż z pomnikami narodowej męki i chwały. Rozpowszechniali więc szeptem anegdoty o Balandze, które nie nadawały się oficjalnie na lekcję wychowawczą. Bo największym wyczynem Miłosza w liceum było wysadzenie w powietrze sedesu w ubikacji dla chłopców.

Do Free nie dało się wejść. W bramie przy Sławkowskiej kłębił się tłum przestępujących z nogi na nogę chętnych, dla których zabrakło miejsca w środku. Wszyscy chcieli dostać się na koncert Ruchu Oporu.

- Nie wciśniemy się - powiedział Kuba z nadzieją.

- Co cię głowa boli? Ja to załatwię. Chyba że nie masz ochoty, to powiedz od razu.

- Nie, dlaczego? Jasne, że mam. - Nie chciał ryzykować, że dziewczyna zniechęci się do niego.

Chwyliła jego rękę i pociągnęła za sobą. Ogarniały go sprzeczne uczucia. Z jednej strony nie znosił, kiedy ktoś go do czegoś zmuszał. Z drugiej, robiła to przecież Czarna. Czuł uścisk jej szczupłej, trochę spoconej dłoni i dawał się ciągnąć, choć przepychanie się przez tłum budziło w nim obrzydzenie.

Na dole było pełno. Ludzie siedzieli stłoczeni, często po dwoje na niewygodnych krzeselkach. Choć naprawdę niewiele było widać w świetle nagich żarówek i smugach papierosowego dymu. Na żelaznych schodkach zagroził im drogę bramkarz Bartek. Sprawa wyglądała beznadziejnie.

- Zapomnijcie. Następnym razem.

- Miłosz mnie zna - powiedziała Czarna.

- Wszyscy tak mówią.

- Spytaj go.

Bramkarz tylko poruszył lekceważąco ramieniem. W tej samej chwili długowłosa mężczyzna, siedzący tyłem przy barze, odwrócił się, jakby na telepatyczne wezwanie. Balanga. Czarna pomachała do niego gwałtownie. Poznał ją i jego schrypnięty baryton zagłuszył gwar sali:

- No co jest, Ewka? Nie wchodzisz dalej? Nie chcesz słuchać mojego grania?

Czarna rozłożyła ręce, pokazując głową na bramkarza. Balanga zeskoczył ze stołka i zbliżył się do żelaznych schodków.

- Stary, jest full, nie wcisnę ich - tłumaczył się Bartek.

- A co ty mi tu pierdolisz! Moi przyjaciele nie wejdą? To ja wychodzę razem z nimi.

- No co ty, Miłosz? Nie wygłupiaj się.

Droga była wolna. Kuba sam nie wiedział, co ma o tym sądzić. Jeszcze przed chwilą nawet by nie pomyślał, że sławny bard pubów może go nazwać swoim przyjacielem. Nie miał pojęcia, że Czarna jest z Balangą w takiej zażyłości. Zaskoczenie nie było przyjemne. Wcale nie poczuł się wyróżniony.

Tymczasem Miłosz Balanga naprawdę starał się być miły, sam znalazł im nie tylko

miejsce w drugiej sali, ale nawet krzesło. Jedno na dwoje. To za jednym zamachem wiele załatwiło i to bez żadnego wysiłku z Kuby strony. Z konieczności siedzieli przyciśnięci ciasno biodrami i udami, czuł ciepło bijące od ciała Czarnej. Powinien być Balandze wdzięczny. Ale nie był.

- Nie wiedziałem, że tak dobrze znasz naszego barda - nie wytrzymał.

Czarna spojrzała na niego zdziwiona i uśmiechnęła się jakby z politowaniem.

- A czy to takie ważne? Znam go, bo matka wydaje nowy tomik jego tekstów. Nie przejmuj się, jest nieszkodliwy.

Kuba odetchnął w duchu. Nie musiał już przejmować się, że wyjdzie na głupka. Czy Czarna tłumaczyłaby się przed nim, gdyby jej na nim nie zależało? W końcu nawet zdecydował się ją objąć. Kiedy to już zrobił, aż się zdziwił, jak łatwo poszło. Nie tylko nie stawiała oporu, ale przycisnęła się do niego mocniej. Teraz wydawało mu się to takie naturalne. Już po paru minutach nie pamiętał, że jeszcze rano było tylko marzeniem.

Ktoś przyniósł im piwo. Personel we Free dość się pilnował, żeby nie sprzedawać alkoholu nieletnim, ale przeważnie dało się to jakoś dyskretnie obejść. Z początku Kuba był jeszcze trochę niepewny. Nie znał Czarnej od tej strony.

- Chyba po jednym browarku by nam nie zaszkodziło, jak myślisz? - spytał ostrożnie.

- Dlaczego po jednym? - zaśmiała się. - Nie moglibyśmy się po prostu uwalić? Mam dziś na to ochotę.

Musiał mieć głupią minę, bo zaraz dodała:

- No, nie patrz tak. Żartowałam.

- Myślę.

Teraz czuł, że piwo wiele ułatwia. Czarna nie była wyjątkiem. Opierała się na nim coraz mocniej. W ciasnej zadymionej piwnicy łomotała perkusja i wibrował schrypnięty głos Miłosza Balangi:

Macie już swoją wolność Już wolność swoją macie I co? I co? I co? Dziś zawiedzeni powtarzacie To tylko to? To tylko to?

Kubę zawsze trochę raziły polityczne teksty piosenek Balangi, ale nawet nie próbował z nikim o tym rozmawiać, odkąd jakaś dziewczyna powiedziała mu, że po prostu przemawia przez niego zazdrość, bo Miłosz jest boski. Starał się więc słuchać tylko muzyki, nie zwracając uwagi na słowa. W gruncie rzeczy podobało mu się ciężkie brzmienie Oporników, trochę w duchu Nirvany, trochę wczesnego Heya. Musiał przyznać, że Balanga nie dał się wciągnąć w chamską komercję. Nikomu się nie podlizywał. Dlatego grywał w krakowskich piwnicach, a nie na festiwalach.

Kiedy śpiewał, gapił się natarczywie na Czarną. Przynajmniej tak się Kubie wydawało. Wszystkie panienki naokoło wlepiły oczy w Balangę, a on tylko w Ewę. Muzycy nie przemęczali się. Zagrali dwa kawałki i zrobili sobie przerwę na piwo. Miłosz z flaszką w dłoni od razu podszedł do Czarnej.

- I jak?

- Ostra jazda - powiedziała uprzejmie.

Kuba poczuł, że musi coś zrobić, żeby przypomnieć o swoim istnieniu.

- Ty, Miłosz - odważył się - powiedz, skąd w twoich tekstach tyle złości? Przecież tobie w życiu niczego nie brakowało.

I Balanga, i Czarna wydawali się trochę zaskoczeni tą nagłą odzywką.

- Ewka, a skąd ty go wzięłaś? - spytał bard.

- Kuba pisze - powiedziała Czarna.

- A, pisze. No, fakt, to trochę usprawiedliwia głupotę. Pytasz, młody, dlaczego jestem totalnie wkurwiony? A jakby tobie ktoś dał na imię Miłosz, to co?

- Chyba nie dali ci go z powodu wiadomego Czesława?

- A jakby inaczej?

- Przecież za komuny był zakazany.

- Właśnie dlatego. Musiałbyś znać moich starych. Jestem ich wkładem w walkę z komuną. No? Chciałbyś być czymś wkładem w jakąś walkę? Teraz rozumiesz, że zostałem skazany na wkurwienie już w kołysce. A ty co? Jeżeli to prawda, że piszesz, to też musisz być czymś wkurwiony. Mam rację?

Z tym Kuba mógł się zgodzić.

- Może.

- Czym? - spytał Balanga takim tonem, jakby znał odpowiedź.

- No, całym tym syfem - odpowiedział ostrożnie.

- Zawracasz głowę, młody. Co ty wiesz o syfie? Wiesz, co ciebie naprawdę wkurwia? Że sobie nie radzisz z panienkami.

Kuba poczuł się trafiony. I prawie zatopiony. Powinien szybko coś odpowiedzieć, żeby ratować się w oczach Czarnej, a zupełnie nie miał pojęcia co. Wybawienie przyszło z niespodziewanej strony.

- Z tym Kuba akurat radzi sobie całkiem dobrze - powiedziała Czarna.

- Naprawdę? - Balanga uniósł brwi z niedowierzaniem. Wtedy Kuba nagle odzyskał głos. Olśniło go, jak można ugodzić zarozumiałego muzyka.

- A jak sobie radzą wielcy rockmani? Tak jak twój przyjaciel Pacyfa?

Było mu wszystko jedno. Nie miałby nic przeciw temu, żeby Miłosz się obraził. Właściwie nawet chciał tego, jakiejś małej awantury. Czarna patrzyła zaskoczona to na jednego, to na drugiego, mrużąc oczy. Najwyraźniej nie miała pojęcia, jak dawny muzyk Ruchu Oporu radził sobie z małą Żmijką Huber i innymi młodymi ćpunkami.

Balanga rzeczywiście wkurzył się, ale nie wybuchnął. Spojrzał na Kubę zimno.

- Chcesz mi ubliżyć, młody, że mnie porównujesz z tym żalonym facetem? Ty, Ewka, co ten twój koleś ma do mnie?

- Spytaj jego.

- Co masz do mnie, młody?

- To ty zacząłeś.

- Nie, to ty zacząłeś. Co masz do mnie?

- Domyśl się - powiedział Kuba, bo nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

- Coś o mnie słyszałeś? Ktoś ci nagadał jakichś bzdur? Nie wierz, to są świńskie oszczerstwa. Ten żalony facet już dawno nie jest moim przyjacielem. Nigdy nie był. To tylko jemu tak się wydawało.

Czarna miała coraz bardziej głupią minę.

- O co właściwie wam chodzi? - spytała.

- Nie wiesz? A twój koleś wie.

- O czym?

- Że Pacyfa diluje. Od panienek często nie bierze forsy, tylko... No, nie będę ci szczegółowo tłumaczył. Jesteś dużą dziewczynką, domyśl się. Tym bardziej, że parę jego klientek chodzi do waszej szkoły. Do naszej szkoły - poprawił się. - Dziwi mnie tylko, że masz koleśki tak dobrze zorientowanych w tych sprawach. Mama wie?

- Kuba jest dziennikarzem. Na razie tylko szkolnym, ale samo się rozumie, że musi być zorientowany. - Czarna twardo trzymała jego stronę.

- Aha, dziennikarzem. No tak, to wszystko wyjaśnia. - Balanga kiwał głową, a w jego głosie brzmiało wyraźne szyderstwo. Teraz już na pewno nie nazwałby się przyjacielem Kuby.

- Ściśle biorąc, to Pacyfa był jednak twoim kumplem, nie moim - upierał się Kuba. - I nie pomogłeś mu.

- Myślisz, że mnie go nie żal? - Balanga wykrzywił się gorzko. - Żal mi go, słowo ci daję. Wiecie, powiem wam, był niezły. Chodziłem z nim do szkoły muzycznej, to wiem. To był naprawdę genialny pianista. Rewelacja. Jakby mu się poszczęściło, mógłby zrobić karierę jak Zimmermann. A jak nie, to mógłby sobie spokojnie do końca życia bębnić w klawisze w

filharmonii. Ale nagle mu coś odbiło. Postanowił, że będzie grał metal i rwał panienki.

- Jak ty - powiedział Kuba.

- Koleś, krótko mówiąc, nie każdy jest mną. Pacyfa bardzo chciał być namber 1an. A na to jest za krótki. Panienki na niego nie leciały tak, jak by chciał. Myślał, że jak zacznie rapować, to polecą. Ale jaki z takiego maminsynka może być raper? Więc stracił kontrolę nad ćpaniem i zaczął się zadawać z głupimi gówniarami, bo tylko takim mógł zaimponować. Tylko że szybko to one zaczęły nim kręcić. Tak to właśnie wygląda, młody. Nad dragami i panienkami trzeba mieć kontrolę. Jak ją stracisz, kaplica. Balanga musiał być pod wpływem jeszcze czegoś oprócz piwa, bo robił się coraz bardziej gadatliwy i najwyraźniej sam zaczynał tracić kontrolę nad tym, co mówi. W takim stanie mógł wygadać coś naprawdę ciekawego.

- Naprawdę nie mogłeś pomóc koledze? - nie rezygnował Kuba.

- Myślisz, że jestem taką świnią? Chciałem mu pomóc, naprawdę. Wszyscy chcieli. Ale on jest jak topielec. Łapie cię za nogi i ciągnie pod wodę. Wielu próbowało, ale każdy się w końcu zniechęcił. Kiedyś, jeszcze w szkole, próbowała nawet Żelazna Dziewica. No, co się tak gapisz? Już jej tak nie nazywacie?

- Czasami.

- No widzisz. A wiesz, kto ją tak pierwszy nazwał? Pan Miłosz Balanga, prawdziwy klasyk.

- Ściemniasz.

- Ani trochę. Od razu się na niej poznałem. A ten głupek Pacyfa nie. Chciała mu po prostu pomóc, wyciągnąć z dołka, a jemu się ubzdurało, że baba na niego leci. Zaczął się za nią brać na szkolnym wieczorku. No i potem to już miał przerąbane na amen. A ty co, młody? Przeleciałbyś naszą panią od polskiego? Oczywiście, gdyby ci nie wyszło z Ewką.

- Co ty gadasz, Miłosz? - przerwała mu Czarna. - Może już nie pij więcej.

- Nie, czekaj, niech odpowie.

- Chyba ci naprawdę odbiło - zaprzeczył Kuba, zbyt gwałtownie. Czuł, że się czerwieni, ale nie umiał temu zapobiec.

- Mnie odbiło? Dobrze, że tu tak ciemno, to nikt nie widzi, jaki się zrobiłeś czerwony. Słuchaj, nie ma się czego wstydzić. Wszystkie chłopaki napalały się na naszą panią od polskiego. Ja też, mówię ci to jak na spowiedzi. Tylko że ja z góry wiedziałem, co z niej za numer. Zamiast robić z siebie durnia, zamieniłem mój napał w dzieło sztuki. Tobie radzę to samo, młody.

- Co zrobiłeś?

- Napisałem o niej piosenkę.

Nagle uniósł ręce i załomotał w stolik, jakby wybijał rytm na perkusji. Wszyscy dookoła uciszyli się. Wtedy Balanga zaśpiewał krzykliwie:

. Dziewico z Żelaza, wcale nie czujesz,

Że wszystkich przerażasz

I wszystkich rajcujesz.

- No nie! - powiedziała Ewa. - Bez przesady. To na pewno nie jest twój najlepszy utwór, Miłosz.

Kobieta towarzysząca Opornikom od początku wieczoru zbliżyła się, nachyliła nad Balangą i powiedziała mu coś gniewnie do ucha. Bard podniósł z podłogi niedopite piwo i ruszył posłusznie za nią. Była chuda, niewysoka, ubrana w luźną czarną marynarkę i na pewno starsza od barda pubów. Usta i paznokcie miała pomalowane na fioletowo. Kuba widział ją nie pierwszy raz. Pojawiała się na koncertach młodych muzyków, na wernisażach młodych malarzy i spotkaniach z młodymi poetami. Podobno sama pisała wiersze.

Po chwili koncert zaczął się od nowa, a kobieta gdzieś znikła. Z tego nie mogło wynikać nic dobrego. I rzeczywiście. Kilka chwil później pojawił się przy nich bramkarz Bartek, położył Kubie na ramieniu twardą dłoń karateki i powiedział półgłosem:

- Wiesz co, koleś? Macie już dość. Bądź dżentelmenem i odprowadź swoją panienkę do domu.

- O co ci chodzi? - próbował się stawiać Kuba. - Wyjdziemy po koncercie.

- Nie przeginaj - powiedział Bartek spokojnie. - Lubimy was, ale była skarga. Nie potrzebuję, żeby szef nam wszystkim pourywał głowy, że rozpijamy małaolatów. Jak nie chcecie mieć u nas szlabanu, to spadajcie.

- A kto pije? - upierał się Kuba, bardziej dla zasady. Wiedział, że dyskusja z Bartkiem nie ma sensu. Zresztą, Czarna rzeczywiście sprawiała wrażenie, jakby miała już dość.

- Daj spokój - powiedziała. - i tak nie miałam już ochoty dłużej tu siedzieć i słuchać tego bełkotu.

Udało mu się szczęśliwie wyprowadzić ją z piwnicy, choć na żelaznych schodkach miała trochę trudności. Leciała do tyłu, musiał ją podtrzymywać, a ona opierała się na nim całym ciężarem. Było to całkiem przyjemne.

- Przepraszam cię - wybełkotała, kiedy byli już w sieni. - Przeliczyłam się z możliwościami. Brak treningu.

Kiedy wychodzili na Sławkowską, złapała go w pasie, jakby broniąc się przed utratą równowagi. Objął ją mocno ramieniem. W tej chwili nie chciał niczego więcej.

Szczęście przychodzi, kiedy go nie proszą Wszystko toczyło się tak szybko. Jeszcze

rano pierwszą randkę z Czarną miał za ledwie w dalekich planach. Prawie w marzeniach. Teraz siedział na ławce w Parku Krakowskim, a ona leżała z głową na jego kolanach.

- O, nie mogę - powiedziała. - Dawno nie miałam takiego młynka w głowie. Ale zaraz mi przejdzie.

Trochę się dziwił. Wypiła przecież dużo mniej niż on. Jakby tylko udawała, żeby móc sobie na więcej pozwolić. I żeby ośmielić jego. Zebrał się w sobie i już miał się ośmielić, kiedy niespodziewanie odezwała się:

- Ty, Kuba, mogę cię o coś spytać?

- Jasne.

- A odpowiesz szczerze?

- No... tak mi się zdaje.

- To powiedz, ty też miałbyś ochotę na Żelazną Dziewicę? Zamurowało go. Spodziewałby się każdego pytania, tylko nie tego. Spróbował zażartować, żeby zyskać na czasie:

- Masz na myśli dziewicę norymberską?

- Nie kręć. Mam na myśli naszą panią od polskiego oczywiście. Chciałbyś ją przelecieć?

- Co ty wygadujesz?

- Widzisz, nie jesteś szczerzy. Ja wiem, że naprawdę wszyscy się na nią napalacie. Widzę, co się dzieje z Dzemojadem, kiedy Żelazna Dziewica przyjdzie w spódnicy. Aż się ślini. I zaraz na przerwie leci do toalety. Albo nawet w klasie trzepie przez kieszeń. Sama widziałam.

- Porównujesz mnie z Dzemojadem? - spytał, naprawdę urażony.

- W tych sprawach wszystkie samce są takie same.

- Gdzie to wyczytałaś? U Czesława Miłosza? Czy u księdza Tischnera?

- To akurat usłyszałam od mamusi.

- Nie wierzę.

- To uwierz. Moja mamusia mówi mi wszystko, co trzeba.

Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Po prostu nie wiedział, jaka jest prawdziwa odpowiedź na pytanie, które mu zadała. Złapał się na tym już we Free, kiedy Balanga tak jawnie z niego kpił. To prawda, już nieraz oczami wyobraźni widział się z Żelazną Dziewicą w intymnych sytuacjach. Zwłaszcza od czasu, kiedy pozwoliła mu odprowadzić się pod same drzwi. Ale mimo tego, na co wtedy pozwoliła, nie wierzył, żeby mogło między nimi dojść do czegoś więcej.



- Przecież wszyscy chłopcy marzą o starszych facetkach, może nie? Przyznaj się.
- Ja wolę panienki w twoim wieku - odważył się.
- Tak? Nie zauważyłam. Udowodnij.

Nie było wyjścia, musiał udowodnić. Pochylił się nad nią szybko, żeby nie zdążyła mu umknąć. Ale Ewa wcale tego nie próbowała. Sama wpiła się w niego łapczywie, jakby dorwała się do źródła wody na pustyni. Przyciągała przy tym jego głowę tak mocno, że drętwiał mu kark. Sam nie wiedział, kiedy jego ręka znalazła się w jej dżinsach.

Nie spodziewał się, że Czarna może mieć tyle siły. Jednym podrzutem ciała wywinęła się spod niego i już grzecznie siedziała obok na ławce.

- No wiesz? - powiedziała. - Przegiąłeś.

Jakby nagle zupełnie wytrzeźwiała. Poczul się upokorzony i zły.

- Bawisz się mną? - spytał.
- A jesteś zabawką?
- Niektórym się tak zdaje.
- Znam to. Olej ich.

Gdyby miał być szczerzy, nie umiałby wskazać nikogo konkretnego, kto traktowałby go jak zabawkę. Ale często miewał takie wrażenie. Ogólne. Że jest czyjąś zabawką, choć nie bardzo wiedział, czyją. Widocznie Czarna czuła się czasem tak samo. Odepchnęła go, ale teraz zachowywała się pojednawczo. Nie gniewała się.

- Ciebie też mam olać? - spytał.

- Mnie się wcale nie zdaje, że jesteś zabawką. Po prostu wzięłeś za ostre tempo jak dla mnie.

- Chcesz już iść?
- Wcale nie. Mogłabym tu siedzieć do rana. Dokąd mam iść? Do mamusi i tatusia?
- Cały świat zazdrości ci rodziców.

- Prawda? Są tacy idealni, że czasem chce się zawyć. Zwłaszcza jak się ma ten ideał na odzień.

- O matko! To co ja mam powiedzieć?
- Ty? Ty masz normalną rodzinę.
- Ja mam normalną rodzinę? Tak ci się zdaje?

- A nie? Twój ojciec zasuwą za granicą, żebyście mogli się utrzymać na jakim takim poziomie, a twoja matka dba o wasz dom i o ciebie. Tak dzisiaj żyją normalni ludzie.

- Co ty gadasz? Twój nie zasuwają?
- Wiesz, jaka jest różnica? Że dla twoich rodziców najważniejszym celem jest wasza

rodzina.

- Dla twoich nie?

- Dla moich dom jest tylko dodatkiem. Lepiej go mieć niż nie mieć, więc mają. Ale dla matki najważniejsze jest wydawnictwo. Dla ojca, oczywiście, jego historia doktryn politycznych. Założę się, że więcej wie o jakimś Marksie niż o mnie. Wiesz chociaż, kto to był Marks?

- Jakiś piłkarz? - zażartował.

- No właśnie. Gdybyś zapytał mojego ojczulka o mnie, pewnie odpowiedziałby podobnie.

- To teraz ja coś ci wyjaśnię. Z moimi starymi sprawa wygląda tak: Ojciec pojechał zasuwać za granicę głównie po to, żeby nie patrzeć na nas. A moja matka od razu znalazła sobie na boku innego frajera. Tak wygląda ta normalna rodzina.

Sam był zdumiony, że to powiedział. A przede wszystkim, że tak szybko. Poza tym własne słowa zabrzmiały mu w uszach trochę dziwacznie. Jakby zacytował fragment własnego tekstu. Nie wiedział, jak Czarna to przyjmie. Milczała przez długą chwilę, nim wreszcie spytała:

- Dlaczego mi to mówisz?

- Nie mam pojęcia. Chyba chciałem, żebyś wiedziała. Zresztą, to ty zaczęłaś.

Czarna nagle roześmiała się, jakby wypity alkohol znów zaczął na nią działać.

- Z czego się śmiejesz? - spytał.

- Bo co my robimy? Jakiś konkurs, które z nas ma gorszych starych? Was przynajmniej nie opisują w babskich pisemkach. A ja co parę miesięcy muszę czytać, jakiego to mam mądrego ojca i przebojową mamusię.

Sam niedawno widział w „Twoim Stylu” czy czymś podobnym reportaż o rodzicach Czarnej. Też nie był zachwycony. Nic rewelacyjnego. Zwykła laurka. Ckliwa opowieść o tym, jak Beata Aschenbrenner i Andrzej Góral poznali się w Solidarności i pokochali, czego widomym efektem była Ewa. I jak potem byli prześladowani w stanie wojennym, ale się nie dali. Istny „Człowiek z żelaza”. Tyle że ojciec Czarnej nie był robotnikiem, łatwym do zgnojenia, ale młodym uczonym, który zdobył już międzynarodowy rozgłos i komuniści uważali, żeby nie zrobić mu zbyt wielkiej krzywdy. Współczesna część reportażu też była jedną pieśnią pochwalną. Jak to Beata Aschenbrenner-Góral wspaniale odnalazła się w nowej rzeczywistości po upadku komuny, zakładając jedno z najambitniejszych wydawnictw. Jakim autorytetem naukowym i moralnym stał się jej mąż. I jaką zdolną mają córkę, która już została naczelną licealnej gazetki.

Kubie najbardziej podobały się zdjęcia. Pierwsze było historyczne, czarno-białe, zrobione w pierwszych dniach stanu wojennego. W nocy 13 grudnia 1981 roku żołnierze wywlekli ojca Czarnej z łóżka i zabrali. Przez następne dni matka robiła wszystko, żeby ją też zamknęli. Z małą Czarną na rękach demonstrowała na Rynku, przed komitetem partii i więzieniem przy Montelupich. Robiła to przytomnie, zadbała, żeby włączył się za nią jakiś francuski fotograf. W ten sposób powstało zdjęcie, na którym Beata Aschenbrenner z dzieckiem w ramionach jest szarpana przez dwóch żołnierzy w hełmach i z kałachami. Jeden z nich zdziera jej z głowy szal, ona ma włosy rozwiane na wietrze, na ulicy leży śnieg, w tle widać samochód pancerny. To zdjęcie stało się później dość znane, dostało jakieś wyróżnienie na World Press Photo i zostało zamieszczone w kilku francuskich tygodnikach. Jeden z nich dał podpis La mere polonaise.

Współczesne zdjęcia były już utrzymane w manierze typowej dla kobiecych miesięczników. Luksusowe, wysmakowane, wszyscy wyglądali na nich pięknie i zwycięsko. Beata Aschenbrenner na targach książki w Paryżu. Andrzej Góral obok prezydenta Wałęsy i senatora Wajdy, wszyscy z kieliszkami szampana w dłoniach. Beata Aschenbrenner z córką w towarzystwie Czesława Miłosza na promocji nowego tomu esejów mistrza. I wreszcie wszyscy troje na rodzinnej kanapie, na tle fortepianu i sięgającej pod sufit monstery, z zębami wyszczerzonymi jak w reklamie colgate.

Chętnie wyciąłby sobie zdjęcie Czarnej, ale wiedział, że matka to zauważy. Nie wyrzucała tych czasopism, a numer z reportażem o rodzicach Czarnej leżał na jej nocnej szafce przez kilka miesięcy. Kuba kilka razy przyłapał ją, jak zaglądała do niego wciąż od nowa. Jakby sądziła, że odkryje w ten sposób tajemnicę, jak stać się kobietą sukcesu podobną do Beaty Aschenbrenner-Góral. Nie mógł tego znieść.

- Czytałem ten artykuł o was - powiedział. - Bardzo fajny.

- Fajny? Jak reklama nowego środka przeciw zaparciom! Spraw sobie ulgę, jesteś tego warta! - Czarna parsknęła wymuszonym śmiechem.

- Nie rozumiem cię - powiedział. - Jeśli tak o tym myślisz, to po co się zgodziłaś? Po co dałaś się sfotografować?

Nagle zamilkła, przygryzła wargi.

- Sama nie wiem - powiedziała po chwili. - Chyba po prostu jestem grzeczną córeczką. - Znów się zaśmiała. - Sam widzisz. Walczę z paleniem. Po dwóch piwach spadam ze schodów prosto w twoje objęcia. W ogóle nie wiem, jak smakuje trawa.

- Poważnie?

- Dziwi cię to? A ty próbowałeś?

Zmieszał się. Wstydził się przyznać, że też nigdy nie miał skręta w ustach. Okazje trafiały się wiele razy, ale po prostu bał się.

- No, nie wstydź się - ponagliła. - Próbowałeś?

- Tylko raz - skłamał. Zawsze w tej sprawie kłamał. Nawet pisząc.

- I co? Jakie wrażenia?

- Żadne - powiedział lekceważąco. - Nie kręci mnie to. Wolę piwo.

Tak samo zawsze wykręcał się przed kumplami, którzy częstowali go marihuaną. Że trawa go nie bierze, po niej tylko boli go głowa. Że lepiej robi mu browar. I żeby to udowodnić, zwykle wypijał więcej, niż miał ochotę.

- Moja matka kiedyś jarała - wyznała Czarna niespodziewanie.

- Coś ty? I przyznała ci się?

- Jest ze mną szczerza do bólu. Żeby pokazać, jak mi ufa. Ale coś za dużo o tym mówi.

Podejrzewam, że kłamie.

- Po co?

- Bo w poradnikach piszą, że dzieciom trzeba ufać. Więc te wszystkie opowieści to może być podpucha. Żeby mnie wybadać. Poza tym moja mamusia twierdzi, że jeden skręt od czasu do czasu mniej szkodzi niż alkohol.

- Nie wierzę. To jest chyba jedyna na całym świecie.

- Słowo daję. Moją mamusię najbardziej przeraża, że mogłabym pić. A wiesz dlaczego?

- Jasne. Boi się, żebyś nie stała się starą, bezzębną alkoholiczką z czerwonym nosem.

Ewa roześmiała się.

- A wcale nie. Mojej mamusi chodzi o to, że małe dziewczynki, jak sobie popijają, to zapominają, skąd się biorą dzieci.

- Wiesz, a moja na odwrót. Kiedy jedzie ode mnie jak z browaru, udaje, że nie czuje. Ale straszy mnie, że jak wezmę, to się zabije.

- Widzę, że jednak wszyscy starzy są porąbani. A ja myślałam, że twoi to ideał.

- Że moi to ideał? - zdziwił się naprawdę.

- Poważnie. Zazdrościłam ci ich już w podstawówce. Pamiętasz nasze wspólne kolonie, chyba w czwartej klasie? Jak twoi rodzice wzięli mnie na łódkę, bo moi oczywiście nie mogli przyjechać?

Rzeczywiście, przypominał sobie, choć nie było to miłe wspomnienie. Był wściekły na rodziców, że wzięli Czarną na żaglówkę. Już słyszał, jak koledzy będą się nabijać, że popłynął z narzeczoną. Z zazdrością patrzył na tych, do których nikt nie przyjechał i grali na

brzegu w piłkę, a ich śmiechy niosły się po jeziorze. Starzy, jeśli już musieli, mogli żeglować sobie sami. Ale oni robili to specjalnie dla niego, żeby przezwycięził swój lęk przed wodą. Męczył się więc, zakuty w idiotyczny, pomarańczowy kapok, który wcale nie zmniejszał jego strachu. I jakby tego nie było dość, musiała go w tej upokarzającej sytuacji oglądać baba. Był pewny, że wcale nie było im tak żal Ewy. Ją także zabrali z jego powodu. Żeby oswajał się z dziewczynkami.

Nie mogli zostawić go w spokoju. Próbowali sklejać ich rozpadający się związek, ale nawet nie mieli odwagi zostać na dłużej sami z sobą. Był im koniecznie potrzebny, jako jedyne usprawiedliwienie tych wysiłków. Wcale go to nie bawiło.

- No, pamiętasz?

- Słabo.

- A ja bardzo dobrze. Wiesz czemu? Bo tak strasznie chciałam mieć takich rodziców jak twoi. Moi musieli zbawiać naród, obalać komunę, cholera wie co. Tylko nie musieli przyjechać w niedzielę do mnie.

Zaśmiał się.

- Czemu się śmiejesz?

- Bo ja zazdrościłem ci twoich. Że nie zawracają ci głowy na obozie.

- Nie lubiłeś mnie wtedy, co?

- Pamiętasz?

- Trudno byłoby nie zapamiętać. Nie kryłeś się z tym.

- No wiesz, wtedy byłaś jeszcze za mała - powiedział tonem starego podrywacza.

I zaczął jej znów udowadniać, że najbardziej podobają mu się dziewczyny właśnie w jej wieku. Nie broniła się, ale nie była już tak pełna entuzjazmu jak godzinę wcześniej. Poczuł, jak dygocze cała w jego ramionach.

- Proszę cię, chodźmy już - powiedziała wreszcie. - Zrobiło mi się okropnie zimno.

Do przedwojennej kamienicy przy alei Słowackiego, gdzie zajmowali wielkie, czteropokojowe mieszkanie po Aschenbrennerach, było ledwo kilkaset metrów. Znów chciałby je przejść jak najwolniej, ale tym razem Czarna przyspieszała. Cały czas dygotała z zimna. Kiedy podeszli pod budynek, Kuba zauważył ruch firanki w ciemnym oknie na pierwszym piętrze.

- To ty, Ewa? - usłyszał w domofonie głos Beaty Aschenbrenner-Góral.

- Przecież wiesz, że to ja, mamusiu. Otwórz szybko.

- Kto tam jest z tobą?

- Kuba Mazurek - odpowiedziała niecierpliwie. - Odprowadził mnie, żebym nie

wracała sama.

- Dobry wieczór - powiedział Kuba odważnie i bardzo głośno.

- Dziękuję ci, Kubusiu - powiedziała Beata Aschenbrenner-Góral. - Wejdiesz na chwilę?

Nie znośli, kiedy nazywano go Kubusiem.

- Dziękuję, ale już późno.

- Rzeczywiście, nie da się ukryć. Poczekaj, może trzeba ci dać na taksówkę?

- Dziękuję, poradzę sobie.

- Mamusiu, otwórz szybko, bo się posikam - zawołała Czarna niecierpliwie.

Już po otwarciu bramy nagle odwróciła się, jakby coś sobie w ostatniej chwili przypomniała. Pocałowała go jeszcze raz, pośpiesznie, ale mocno.

- Dzięki. Dobry z ciebie chłopak - powiedziała.

Nie wiedział, czy ma się ucieszyć, czy obrazić. Nie mógł spytać o to Czarnej, bo już znikła w bramie. Nie było to idealne zakończenie randki. Ale już postanowił, że następnym razem bardziej się postara.

Gródek nad Dunajcem, tu pękła niejedna cnotka Koło Rożnowa Ładny zjechał z szosy na parking przy zaporze. Wsiadł z samochodu, zszedł na brzeg i usiadł na pniu po ściętej wierzbie. Wokół nareszcie nie widział żadnych ludzi. Zapalił papierosa i patrzył na jezioro otoczone lesistymi wzgórzami. Pod zachmurzonym niebem powierzchnia wody była stalowoszara i zmarszczona przez wiatr wiejący od przeciwnego brzegu. W dzieciństwie Jezioro Rożnowskie zastępowało mu morza południowe. A w ostatnich czasach tak rzadko miał okazję tu zaglądać.

Teraz też nie przyjechałby, gdyby nie to, że klasa Justyny Barskiej była w Gródku na zielonej szkole. Najchętniej dałby już sobie spokój z ich gazetką, ale w ten sposób przyznałby, że czuje się winny. Albo tchórzy. Nie chciał tego robić Justynie. Jej notowania przedwyborcze okazały się zaskakująco wysokie, od kiedy ostatecznie zdecydowała się wystartować z listy liberałów. Dla prawicy, nawet cywilizowanej, okazała się jednak zbyt wolnomyślna. Poseł Kowalczyk musiał z niej zrezygnować z widocznym żalem. Jednak w opinii publicznej rozróżba nie zaszkodziła jej. Chyba nawet pomogła. Takie przynajmniej były wyniki dwóch niezależnych od siebie sondaży. Zresztą Ładny postanowił już, że będzie trwał przy niej niewzruszenie, nawet gdyby jej szansę spadły poniżej zera. I choćby nadal była tak beznadziejnie wierna swemu Waldemarowi, który śledził ją, jeżdżąc za nią po mieście czarnym jeepem.

Specjalnie wyjechał wcześniej, żeby móc posiedzieć nad jeziorem. Nie miał nadziei, że odpocznie. Chciał tylko pomyśleć w spokoju. Kilka osób ostatnio nagadało mu różnych rzeczy, które wymagały zastanowienia. Myślał: Co się z tobą dzieje, Ładny? Dopóki zajmowałeś się sobą, wszystko grało. I nagle zacząłeś mieszać się w życie obcych ludzi. Po cholere?

Nie dało się ukryć, że to on wymyślił Kubie Mazurkowi temat tekstu, który narobił tyle zamieszania. A to jeszcze nie był koniec, czuł to przez skórę. Myśliwi tylko przyczaili się w ukryciu, żeby we właściwej chwili dać ognia ze wszystkich luf. On wiedział. Kuba i Justyna Barska wydawali się zupełnie nieświadomi niebezpieczeństwa. Zdawało im się, że wszystko ładnie przyszło. Męczyło go poczucie, że powinien coś zrobić, jeśli nie jest skończoną świnią. Sam zresztą także mógł oberwać rykoszetem. Widział to wyraźnie w oczach swojego szefa.

- Ja ci chyba jaja urwę - przywitał go naczelny w dniu, kiedy w gazecie ukazał się przedruk tekstu Kuby Mazurka. - Dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

- O czym? - Po raz kolejny był naprawdę zaskoczony.

- Jaka to mina, to świństwo, które mi dałeś do drukowania.

- Przecież sam chciałeś.

- Bo nie powiedziałeś mi wszystkiego. Myślałem, że mnie ta wściekła baba zagryzie, a ja nawet nie mogłem jej powiedzieć, co o niej myślę, bo miała rację.

Okazało się, że babą, która chciała zagryźć naczelnego, była podkomisarz Piontek.

- Wiesz, że takie rzeczy masz uzgadniać z policją. Nie jesteśmy brukowcem. Póki ja tu jestem, wszystkich obowiązuje minimum etyki. Rozumiesz? Znasz takie słowo?

Ładny poczuł, że zaraz eksploduje, jeśli naczelny nadal będzie go pouczał w sprawach etyki. Właśnie przez etykę mieszkał w wynajętej klitce, jeździł starym polskim fiatem i nie miał nic do zaoferowania kobietom, które szukały w życiu stabilizacji. W dodatku wciąż nie miał pojęcia, o co jest oskarżany.

- Ja tego tym bardziej nie wiem. I nie chcę wiedzieć. Nie wciągaj gazety w swoje gierki.

- W jakie znowu gierki?

- Nie udawaj. Chorobliwie nie znosisz radnych z Inicjatywy Obywatelskiej. Wolno ci, ale to twoja prywatna sprawa. Nie pozwolę, żebyś robił z gazety swoją trybunę.

Nie było sensu przypominać po raz kolejny, że wcale nie chciał, aby tekstowi Kuby Mazurka nadawać taki rozgłos. Ale na jedno nie mógł pozwolić.

- Jeszcze raz powtarzam, że w tym tekście nie ma nawet jednego mojego przecinka.

- Możesz sobie powtarzać i tysiąc razy. Nikt w całym mieście w to nie wierzy. Skąd taki gówniarz miałby znać policyjne tajemnice?

- Co takiego?

- Przynajmniej nie robiłbyś idioty ze mnie, bo z siebie już zrobiłeś. Słuchaj, zapamiętaj sobie, bo może się to dla ciebie źle skończyć: Nie jesteśmy jedną z tych gazet, które robią nakład za wszelką cenę. Nie leży w naszych obyczajach zdradzanie tajemnic śledztwa, żeby ułatwić życie bandytom.

- Czy ty słyszysz, co wygadujesz?

- I to bardzo dobrze. Masz to sobie sam wyjaśnić z policją. Bo jeśli gazeta na tym ucierpi, dobiore się do ciebie osobiście. Ale wiesz, co w tej sprawie najbardziej mnie brzydzi?

- Już mi brakuje pomysłów.

- Że wykorzystałaś zaufanie tak porządnej kobiety jak pani Barska. Zbyt uczciwej, zbyt prostolinijnej, żeby przejrzeć twoje gierki. I to w momencie, kiedy mówi się, że ma kandydować do Sejmu. Nie wiem, dlaczego chcesz jej zaszkodzić. Zresztą, nie obchodzi mnie to. Ale nie pozwolę, żeby z naszej przyczyny taka dobra kandydatka zmarnowała szansę. Naprawisz to osobiście. Zrobisz z nią piękny wywiad, który pokaże, że byłaby idealną posłanką.

- Kampania jeszcze się nie zaczęła.

- Więc pokażesz to, udając, że zupełnie o to nie chodzi. Tak, jak tylko ty potrafisz. I nie przyjmuję do wiadomości żadnych wykrętów.

Wcale nie miał zamiaru się wykręcać. Najpierw musiał jednak porozmawiać z Piontek, żeby przynajmniej wiedzieć, o co wszyscy go oskarżają. Przez telefon podkomisarz była dla niego nieuchwytna. Rzecznik policji udawał, że Ładny wcale nie ma założonej blokady, ale w istocie tak było. Musiał działać inaczej. Kiedy nie udała mu się próba sforsowania biura przepustek w komendzie przy Mogilskiej, zrozumiał, że sprawa jest naprawdę poważna. W całym budynku nie znalazł się nikt, kto kazałby go wpuścić. A jeszcze tydzień wcześniej miał tu tylu znajomych. Zawziął się. Wiedział, że Piontek zazwyczaj jeździ do domu tramwajem. Siedział trzy godziny w samochodzie na parkingu, ale w końcu doczekał się. Kiedy przechodziła obok placu parkingowego, ruszył i wyprzedził ją. Wsiadł.

- Musimy pogadać - powiedział.

- Nic z tobą nie muszę.

- Chyba się mylisz. - Zastąpił jej drogę.

- Mam zawołać dyżurnego?

- Nawet cały antygang. Niech mnie spałują i zakują w kajdany. Policja niczego



bardziej nie potrzebuje niż takiej reklamy.

Nagle zdecydowała się i szybko wsiadła do jego auta.

- Ruszaj - rzuciła niecierpliwie.

Niepotrzebnie, bo on już skręcał w Mogilską. Od razu nacisnął na gaz, lekceważąc obowiązujące przy komendzie ograniczenie do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Co ty wyprawiasz - westchnęła Piontek już zupełnie innym tonem. - Wyrzuć mnie przez ciebie z policji.

- A mnie przez ciebie z gazety. Więc nie oczekuj ode mnie współczucia.

- Sam jesteś sobie winien.

- Akurat! Ciekawe, kto oszkalował mnie przed moimi szefami?

- Dziwisz się? Wszyscy myślą, że wiedziałeś to ode mnie. Chyba miałam prawo się wkurzyć?

- Na miłość boską, co wiedziałem? Ciebie też ogarnęła ta paranoja?

- Nic nie wiedziałeś, biedaku, ale napisałeś. Swoją drogą, to bardzo interesujące, kto ci sprzedał te informacje. Może mi powiesz?

- Ty też myślisz, że to ja napisałem?

- Wszyscy są o tym przekonani.

- No więc powtórzę to, co bezskutecznie staram się uświadomić naczelnemu: w tym tekście nie było ani jednego mojego słowa.

Spojrzała na niego z ukosa.

- Mówisz poważnie?

- Nie mam zwyczaju okłamywać kobiet, które zrobiły mnie w konia. Wyglądałoby, że się mszczę.

- Chcesz mi wmówić, że ten smarkacz tak dobrze pisze?

- Kuba ma prawdziwy talent.

- Czytałam jakies jego wypociny i wcale mi się nie wydawało. Ale skoro ty tak uważasz...

Piontek zamilkła, wyglądając przez okno. Dojeżdżali do Placu Centralnego.

- O czym myślisz? - spytał, bo wciąż nie uzyskał wyjaśnienia.

- O tym, co powinnam zrobić z talentami tego twojego Kuby.

- To źle, że mamy zdolną młodzież?

- Problem w tym, że on ma aż za wiele talentów.

- A jaśniej?

- Jeśli naprawdę nie ty wychłapałeś nasze tajemnice operacyjne, zrobił to twój

pupilek. A on na pewno nie dowiedział się niczego od nas. Wniosek? Ma inne źródło. Jako doświadczony reporter na pewno domyślasz się, jakie. Gówniarz zna bydlaków, którzy wciągają te biedne dziewczyny w szambo. Ale z nami nie chce o tym rozmawiać. To jak ja mam teraz postąpić?

- Gabi! Co ty wygadujesz? Przecież on to wszystko wymyślił!

- Doprawdy? Daj spokój. Wierzę ci, kiedy mówisz, że smarkacz ma talent. Ale że jest do tego jasnowidzem, nie uwierzę. Dzięki za podwiezienie. Wybacz, że cię nie zapraszam, ale muszę jeszcze zrobić zakupy.

- Nie szkodzi, przyzwyczailem się. Ostatnio wszystkie mi to mówią - rzucił na pożegnanie i szybko odjechał.

Teraz, siedząc na brzegu jeziora, zastanawiał się, czy jednak się nie myli. A jeśli Kuba nie wymyślił całej sytuacji, tylko poczuł się prawdziwym dziennikarzem śledczym i rzeczywiście czegoś się dowiedział? Czegoś, co miało właściwości nitrogliceryny? Postanowił, że musi z chłopakiem poważnie porozmawiać jeszcze w trakcie tego wyjazdu.

Spojrzał na zegarek. Chwila wytchnienia dobiegała końca. Za pół godziny miał wygłosić do młodzieży coś w rodzaju wykładu prasoznawczego na przykładzie numerów „Kowadła” z ostatniego roku. Nie było to proste zadanie. Zwłaszcza, że musiał stawić czoła Kamilowi Kotowi. Ale już nie mógł się wymigać.

Kuba Mazurek wierzył, że nad jeziorem coś musi się wydarzyć. Choć nie wiedział, jak wybrnąć z obietnicy danej pani Aschenbrenner przed wyjazdem. Dosyć się zdziwił, kiedy zaprosiła go do domu. I to nie przez Ewę. Zadzwoiła do niego osobiście. Telefon odebrała matka i Kuba słuchał z politowaniem, jak zmienił jej się głos, kiedy okazało się, że to sama Beata Aschenbrenner-Góral zrobiła jej zaszczyt. Po rozmowie spytała go tonem pełnym skrywanej nadziei:

- Mam rozumieć, że z Ewą Góral łączy cię coś więcej niż tylko zwykłe koleżeństwo?

Po raz nie wiadomo który pomyślał, jaka jest beznadziejna. I że powinien poderwać kogoś w rodzaju Żmijki Huber tylko po to, żeby zobaczyć jej minę. Wiedział, że nigdy się nie odważy, ale zabawnie było to sobie wyobrażać. Odburknął:

- Nie bój się, jeszcze cię nie zrobię babcią.

- O to jestem spokojna. Wiem, że Ewa nie jest taka.

- Jaka?

- Łatwa. Jak niektóre dziewczyny, które kończą w bramie ze strzykawką w ręce.

- Mama, ty chyba dostajesz jakiejś manii prześladowczej.

- Widzę, co się naokoło dzieje.

- Ale co ma piernik do wiatraka?

- Ma. Albo się ma hamulce, albo się ich nie ma.

- Ty w jej wieku byłaś jeszcze cnotliwa?

- Co to za pytanie?

- Normalne. Szczerość za szczerość.

- Oczywiście. Nie sądzisz chyba, że byłam klasową dajką?

- Jak? To tak się w waszych czasach nazywało?

- Nazywało się trochę gorzej. Tacy są właśnie chłopcy w twoim wieku. Nie dość, że sprowadzą na manowce, to jeszcze potem wstrętne przezywają.

- Może tak było w twoich czasach.

- Wbrew temu, co się sądzi, w tych sprawach niewiele się zmienia. Nie wierzę, żeby dzisiaj nie było porządnych dziewczyn.

Kuba wcale nie uważał, że gdyby Czarna zrobiła to z nim, przestałaby być porządną dziewczyną. Trudno jednak było dyskutować o tym z matką. Zresztą ona też wcale nie miała chęci przedłużać tej rozmowy.

- Lepiej się pośpiesz, przecież pani Aschenbrenner specjalnie na ciebie czeka.

Wszyscy wciąż nazywali matkę Czarnej panięskim nazwiskiem, choć po upadku komuny wzięła ślub z Andrzejem Górale. I to w kościele. Od początku mówiło się, że Góral ma zostać wiceministrem, a nie byłoby zrzeczenie, żeby członek rządu, który miał zawrzeć konkordat z Watykanem, żył na kocią łapę. Tylko że w Krakowie nazwisko Aschenbrenner, kojarzące się automatycznie ze starym prawniczym rodem, wciąż mówiło więcej.

- Oczywiście, mama, skoro sama pani Aschenbrenner czeka na mnie, to chyba dasz mi na taksówkę?

- Wystarczy, jeśli złapiesz najbliższy tramwaj - powiedziała oschle, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że na temat kontaktów z takimi osobami nie powinien żartować.

W ten sposób znalazł się w słynnym mieszkaniu rodu Aschenbrennerów przy alei Słowackiego, w którym za komuny odbywały się tajne spotkania opozycyjnej elity, a już za nowej Polski rozdzielano stanowiska w rządzie i miejsca na listach wyborczych. Trochę go to deprimowało, choć próbował wyluzować.

- To miłe, że wpadłeś, Kubusiu - powiedziała matka Czarnej. Przełożyła papierosa z prawej dłoni do lewej i podała mu rękę. Uścisk miała nadspodziewanie mocny. Kuba pierwszy raz widział ją z tak bliska. To raczej do niej pasowałoby przezwisko Czarna, choć miała już sporo siwych włosów, których nie malowała. Byłaby naprawdę w porządku, gdyby

z takim uporem nie nazywała go Kubusiem. Odpowiedział więc z przekąsem:

- Czuję się zaszczycony, proszę pani.

- Daj spokój, nie wygłupiaj się, Kubusiu. Przecież jesteśmy zwyczajnymi ludźmi.

Zauważyła, że rozglądał się po mieszkaniu, nie mógł się przed tym powstrzymać. Zamknęła okno, przez które wpadał uciążliwy o tej porze dnia hałas przelotowej arterii.

- Życie tutaj ma swoje minusy - powiedziała. - Mąż wolałby domek za miastem. Ale ja się uparłam. W tym mieszkaniu czuję siłę, jaką daje poczucie przynależności do starego Krakowa.

Posadziła go na słynnej kanapie pod monstera, znanej z miesięczników dla pań. Przyniosła z kuchni herbatę i domowy sernik. Kuba był coraz bardziej zdumiony tym przyjęciem. O nim nie można było powiedzieć, że przynależy do starego Krakowa. Jednak, sądząc z przykładu Andrzeja Górala, był na to sposób.

- Pyszne - pochwalił, jak uczono go od dziecka. - Czy to pani sama piekła?

Beata Aschenbrenner zaśmiała się uprzejmie.

- Miło mi, że ci smakuje, Kubusiu. Oczywiście, że sama. To w ramach kultywowania normalności. Poza tym w tym domu poczęstowanie gościa kupnym ciastem byłoby szczytem nietaktu.

- Przecież bym się na tym nie poznał.

- Nie szkodzi. - Znów się zaśmiała, tym razem trochę jakby z politowaniem. - Takie są nasze obyczaje.

Obyczaje nie przeszkadzały jej jednak odpalać jednego papierosa od drugiego i rozsiewać popiół po intarsjowanym stoliku, dookoła popielniczki.

- Co, patrzysz, że za dużo palę? - domyśliła się. - Masz sto procent racji. Walczę z tym, ale mam za dużo stresów. Życie daje w kość, teraz nie mniej niż za komuny, choć inaczej. A do tego, przyznam ci się, trudno wychowywać dorastającą córkę w takich czasach. Zresztą, pewnie w każdym. Wierz mi, Kubusiu, wiem to po sobie. Mnie dobry Bóg ustrzegł, ale rzadko wygrywa się na loterii dwa razy z rzędu.

- Chyba nie ma pani powodów do narzekania na Ewę? Poczul się ważny. W końcu sama Beata Aschenbrenner-Góral uznała go za partnera w dyskusji o wychowaniu swojej córki.

- Na szczęście. Choć przyznam ci się, że niektóre jej znajomości przyprawiają mnie o gęsią skórę. Choćby ten cały Miłosz Balanga.

- Czy to nie właśnie pani wydaje jego teksty?

- Owszem, bo to zdolny chłopak. I jego sława będzie rosła. Więc niech sobie pisze.

Niech sobie komponuje. Niech sobie śpiewa. Ale niech sobie nie ostrzy zębów na nic więcej. Słyszałam, że byliście razem na jego koncercie. Więc jak ci się wydaje, czy on...

- Wydaje mi się, że jest ktoś, kto go ostro pilnuje.

- Ach, Błada Meri. Ona rzeczywiście potrafi robić to skutecznie. Dopóki jej się nie znudzi. - Zamilkła, zamyśliła się, potem zapaliła następnego papierosa i wyrzuciła z siebie - Więc, krótko mówiąc, Kubusiu, bardzo się cieszę, że to właśnie z tobą Ewa jedzie na tę zieloną szkołę.

- Jedziemy z całą klasą - odpowiedział skromnie. Aschenbrenner zaśmiała się po raz kolejny.

- To się tylko tak mówi. Czy ty myślisz, Kubusiu, że ja nie znam życia? Aż za dobrze. I powtarzam, że jestem bardzo zadowolona.

- Pani dobra opinia mi pochlebia - powiedział. - Ostatnio to rzadkość.

- Słyszałam. Mają do ciebie pretensje o ten twój artykuł w waszej gazetce, prawda? Ale ja jestem człowiekiem z branży, wiem, że to, co się pisze, to jedno, a jakim się jest, to drugie.

- Więc jaki ja jestem?

- Myślę, że jesteś przyzwoitym chłopcem. Rozmawiałam na twój temat z panią profesor Barską i ona uważa podobnie.

- Pani profesor Barska ma o mnie dobrą opinię?

- Zdziwiłbyś się, jak dobrą. A ja jej wierzę. I chciałabym także wierzyć tobie.

- Czułbym się zaszczycony.

Spojrzała na niego podejrzliwie, jakby nie wiedziała, czy Kuba z niej kpi, czy tylko stara się być wyjątkowo uprzejmy.

- Więc obiecasz mi coś, Kubusiu?

- Oczywiście. Jeśli tylko chodzi o coś, co będę mógł spełnić.

- O, na pewno. Po prostu daj mi słowo, że nie posuniecie się z Ewą za daleko.

Odchrząknął.

- To znaczy?

- Wiesz, co to znaczy.

- Ma pani na myśli seks?

- Dokładnie.

- Nie myślimy o tym - skłamał.

- No i bardzo dobrze. Wierz mi, że z tym lepiej jeszcze poczekać.

- Aż zdamy maturę? - spytał niewinnie.

- Przynajmniej. W tych sprawach pośpiech nie przynosi nic dobrego. To co, mogę na ciebie liczyć?

- Jasne. Niech pani będzie spokojna. Będziemy odpowiedzialni.

- Dajesz mi słowo?

- Daję pani słowo - powtórzył za nią sztywno. Beata Aschenbrenner westchnęła.

- Dziękuję ci. - Odruchowo położyła mu dłoń na przedramieniu. - Tak trudno dziś o kogoś, na kogo można liczyć. Dobry z ciebie chłopak, Kubusiu.

Jeszcze przed północą Kuba Mazurek leżał w jednym łóżku z Ewą Góral i ledwo mógł uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. Była tylko w nocnej koszuli, a on przed chwilą wszedł do jej pokoju po gzymsie. Wcześniej do sąsiedniej izby, gdzie zameldował się z Mariuszem Gdulą, miłośnikiem archeologii, fantasy i Lary Croft, przemyciła się Jola Balawajder. Obrażony na Czarną Kamil Kot był zajęty Anką Bukowską, która od czasu wspólnego wyjścia na spotkanie z Czesławem Miłoszem mocno się go trzymała. Wszystko było ułożone jeszcze przed wyjazdem. Tak od lat postępowali we Fregacie uczniowie wszystkich roczników ze wszystkich szkół, organizujących tu zielone lekcje.

- Nie przeszkadza ci to? - spytała Czarna ledwo dosłyszalnie.

- Co?

- No, to.

Nie był pewny, czy domyśla się właściwie, o co jej chodzi. Była pierwszą kobietą, której ośmielił się wsunąć tam palce. Nie miał więc pojęcia, jak to wygląda u innych.

- A, to - odpowiedział. - Nie, wcale.

- Na pewno?

- Jasne. To wspaniałe.

- Bo słyszałam, że wielu chłopców tego nie lubi.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Podobno ich to zniechęca.

- Mnie nie.

Nawet nie chciał myśleć, co to oznaczało. Tylko chęć do dalszych pieścizot czy przyzwolenie na wszystko. Wolałby odwlekać decydujący moment jak najdłużej. Tym bardziej, że wiedział z poradników do seksu, że to miejsce powinno być dużo bardziej wilgotne. Pracował więc nad tym wytrwale, choć bez wyraźnego skutku. Kilka minut później poczuł, że ręka Czarnej wpełza do jego dresowych spodni. Trochę wstydził się swojego stanu, ale bardziej był z niego dumny, bo słyszał, że często w podobnych sytuacjach chłopaków zawodzą siły. Musiał drgnąć albo mimo woli napiąć mięśnie, bo zatrzymała ruch ręki i

spytała:

- Mogę?
- Jasne. Jeśli tylko masz ochotę.
- Chciałabym, żeby tobie było przyjemnie.
- Jest mi przyjemnie, cokolwiek robisz. Poczuł, jak jej palce obejmują go.
- Tak? - spytała.
- Jak chcesz.

Zdawało mu się, że śni. Tak długo marzył o tej chwili, a kiedy nadeszła, okazało się, że nie jest przygotowany. Całowali się i pieścili coraz gwałtowniej, aż poczuł, że wszystko może się zaraz skończyć. I właściwie to by mu najbardziej odpowiadało. Tylko nie wiedział, czy jej także. Czuł, że powinien zrobić coś więcej. Podniósł się i kilkoma szybkimi ruchami zrzucił z siebie dres. Stał nad nią i we wpadającym przez okno świetle latarni widział, że ona na niego patrzy. Spodziewał się, że znowu złapie go ręką, ale ona spytała:

- Masz gumkę?
- Słucham?

Zdrętwiał. A więc jednak nie miała ochoty kończyć tak, jak zaczęli. Odchrząknęła i powtórzyła:

- Pytałam, czy masz prezerwatywę. Bo wiesz, chodzi, oczywiście, o moją mamusię. Tak mnie zindoktrynowała, że chyba nie odważyłabym się bez.

Miał, oczywiście, że miał. Nawet trzy, całe opakowanie. Tylko przypomniał sobie właśnie, że nie przetrenował zakładania. Planował to już od dawna, ale jakoś mu zeszło. Teraz musiałby zrobić to na jej oczach i w dodatku nie wiadomo z jakim skutkiem.

- Nie mam - skłamał.
- Nie szkodzi - powiedziała. - Ja mam.

Sięgnęła do nocnej szafki i wydobyła z szuflady pudełko pospolitych prezerwatyw z kolorowym zdjęciem nagiej panienki na opakowaniu.

- Tylko sobie nie pomyśl, że zawsze noszę przy sobie prezerwatywy - przypomniała sobie nagle.

Miał poważniejszy kłopot. Cała jego siedemnastoletnia gotowość, która nie opuszczała go od prawie godziny, nagle znikła w ciągu kilkunastu sekund. Szybko usiadł na skraju leżanki obok dziewczyny.

- Przepraszam cię, poniosło mnie. O mało co oboje nie potraciliśmy głów.
- Co ty mówisz?
- Sama wiesz, że nie powinniśmy tego robić.

- Uraziłam cię czymś? Powiedziałam coś nie tak?

- Skąd. Po prostu obiecałem twojej mamie, że tego nie zrobimy.

Nagłym ruchem obciągnęła na sobie koszulę.

- Czy ja dobrze słyszę? Rozmawiałeś o tym z moją matką? Gwałtowność jej reakcji wskazywała, że palnął głupstwo.

- No... a co w tym złego?

- W tym, że rozmawiałeś z moją matką beze mnie? Nic. Ale że mi o tym nie powiedziałeś, to już całkiem inna sprawa.

- Prosiła mnie o to.

- Ach, prosiła cię o to? I co, akurat prośby mojej matki są dla ciebie najważniejsze? To może byś się zdecydował, kogo chciałeś przelecieć, mnie czy moją matkę?

- Czy ty słyszysz, co wygadujesz?

- Już właśnie przestałam wygadywać. Wyjdź stąd.

- Ewka, nie wygłupiaj się. Co mam zrobić? Przeprosić cię?

- Wsadź sobie swoje przeprosiny. Wyjdź stąd.

Siedział nagi na brzegu leżanki i zakrywał się rękami. Sytuacja zaczynała się robić nadzwyczaj głupia.

- Dokąd mam iść? Jeśli jesteś zła, to prześpię się tutaj, na drugim łóżku.

- Żebyś jutro mógł opowiadać koleśiom, że mnie przeleciałeś? W życiu! Zresztą, dobrze. W takim razie ja wyjdę.

Zanim zdążył zareagować, zeskoczyła z leżanki i nic sobie z niego nie robiąc, zaczęła się przebierać. Zrzuciła z siebie koszulę i przez chwilę była całkiem naga w blasku latarni. Stała do niego tyłem i miała jej biodra tuż przed oczami, jakby chciała mu na pożegnanie tym boleśniej uświadomić, co stracił. Szybko nałożyła na gołe ciało dzinsy i polar. Trzasnęły drzwi. I to był koniec ich wspólnej nocy.

- Ach, fregata! Jezioro Rożnowskie! Niejedna cnotka tu pękła - rozmarzył się historyk Libertowicz, który upadek z dyrektorskiego fotela wciąż źle znosił i trochę za dużo pił.

- Co pan wygaduje, panie dyrektorze! - oburzyła się Monika Fiszbach, która mimo wszystko wciąż go tak tytułowała. - Takie rzeczy w pana ustach?

- Już mi wolno. Nie jestem dyrektorem, tylko starym, przegranym liberałem, któremu przetrącono kręgosłup jednym uderzeniem pałki. Co się nie udało czerwonej bezpiece, wykonała nasza Militia Dei.

Jacek Ładny myślał: Żałosny jesteś, facet. Zaledwie pół godziny wcześniej skończyła



się bezalkoholowa dyskoteka dla młodzieży i wysłali uczniów do pokoi, a Libertowicz już zdążył się wstawić. Ładny nie znosił takich pijacko-kombatanckich posiedzeń. Może najbardziej dlatego, że jemu też w podobnych sytuacjach udzielał się płaczący nastrój. Został na noc w ośrodku wyłącznie dla Barskiej. Choć o jakimś sam na sam z nią nawet nie mógł pomarzyć. Fiszbach pełniła najwyraźniej rolę przyzwoitki. Przynajmniej popracowali solidnie nad wywiadem dla gazety i ostatnia wersja już się prawie Ładnemu podobała.

- Czy ktoś z nas nie powinien zajrzeć do młodzieży? - spytała Barska.

- A chce ci się? - Libertowicz podniósł na nią zażawiony wzrok.

Ładny dopiero teraz pomyślał, że były dyrektor też musi beznadziejnie kochać się w Żelaznej Dziewicy.

- Wcale mi się nie chce. Ale po to tu jesteśmy.

- Myślisz, że nocną inspekcją uchronisz ich przed upadkiem? Jeśli zechcą zejść z drogi cnoty, znajdą tysiąc okazji.

- Niech przynajmniej wiedzą, że my się z tym nie godzimy.

- Odwieczny konflikt sumienia liberałów - westchnął filozoficznie Libertowicz. - Jak dać ludziom wolność, ale nie dopuścić, żeby zrobili z niej niewłaściwy użytek. Nawiasem mówiąc, ten tekścik naszego małego Mazurka był naprawdę bardzo przerażający.

- Dziękuję panu - powiedział Ładny.

- Tak? A za co?

- Pan jeden nie twierdzi, że to Ładny napisał, żeby zemścić się na pani Kwiat.

- Z całym szacunkiem, redaktorze, ale pan jest po prostu za stary, żeby tak wczuć się w mentalność nastolatka.

- Mimo wszystko dziękuję.

- Nie ma za co. Szczerze mówiąc, jeśli nasza młodzież w taki sposób korzysta z wolności, to mnie, staremu liberałowi, pora kłaść się do trumny. Widocznie na te czasy naprawdę lepsze są różne piranie. Oczywiście, naszej pięknej koleżanki Barskiej to nie dotyczy. Jej pora do władzy.

- Wcale nie jestem pewna, czy można mnie nazwać liberałką.

- i bardzo dobrze. Liberałowie mogą w tych czasach przetrwać tylko pod warunkiem, że założą sobie żelazny pas cnoty. O, przepraszam, mam nadzieję, że cię nie uraziłem?

- Bynajmniej. Dla mnie cnota nie jest słowem obraźliwym. - Tylko czy ono na pewno znaczy jeszcze to samo co za naszych czasów? Wiedzą państwo, co mnie najbardziej poraziło w tekście naszego Mazurka? Ta scena w szkolnej ubikacji.

- Faj! - powiedziała Fiszbach.

- Właśnie: Fuj! Człowiek słyszy przez drzwi: „Ciągnij mocniej”. I cóż się okazuje? Że dzisiaj oznacza to wspólne wążanie heroiny. Myślę, że to, co my robiliśmy, było mimo wszystko o wiele piękniejsze.

- Panie dyrektorze! - powiedziała Fiszbach ze zgorzaniem. - Jeśli się zaraz dowiem, że pan też robił to w szkolnej ubikacji, to do końca stracę wiarę w ludzi.

- A co, nie dostrzega pani we mnie tej iskry szaleństwa, niezbędnej do takich ekscesów, młoda koleżanko? Przecież mówię pani, że dopiero naszym wojującym dewotom udało się przetrącić mój kręgosłup. Ale ja jeszcze się odrodzę. Jeszcze zobaczą mój uniesiony tomahawk.

- Tomahawk? - wykrzyknęła Fiszbach.

- Niech pani potraktuje to jako metaforę buntu przeciw nowemu zniewoleniu umysłów, młoda koleżanko.

Ładny nagle doszedł do wniosku, że Fiszbach wcale nie jest naprawdę zgorzona, wyglądało to raczej na coś w rodzaju flirtu. Postanowił skorzystać z okazji i zaproponować Barskiej taniec. Zrobiła minę, że będzie z tego gadanie, ale poszła. Oprócz nich na parkiecie kołysała się tylko jedna, kompletnie pijana para w wieku mocno średnim. Nigdy wcześniej nie tańczył z Żelazną Dziewicą i był przyjemnie zaskoczony. Wcale nie trzymała się sztywno na dystans, jak się spodziewał. Nie kleiła się także i nie wchodziła w krok, ale tańczyła całkiem blisko i pozwalała mu czuć swoje ciepłe ciało.

- Ciekawe, czy nasz Kuba w końcu się ośmieli. Co? Jak myślisz? - spytała niespodziewanie.

- Czy się ośmieli co zrobić? - spytał zdziwiony, bo w tej chwili w ogóle nie myślał o Kubie Mazurku.

- Jak to co? Rozdziewiczyć małą Aschenbrenner. Jego zdziwienie wzrosło niepomiarowo.

- I ty to mówisz?

- A co? To, że jestem Żelazną Dziewicą, nie znaczy, że jestem też starą ciotką.

- Czy to właśnie dlatego nie chciałaś sprawdzać pokoi?

- Nie chciałam, bo tego nie znoszę. Ale dlatego trochę też. Podziało to niesamowicie na jego wyobraźnię. Zagarnął Barską do siebie, osuwając dłonie na jej pośladki.

- Hej, a ty co? - Odsunęła się na przyzwoitą odległość. - Wcale nie powiedziałam, że to mnie trzeba rozdziewiczyć.

Przez jakiś czas Kuba miał jeszcze nadzieję, że Czarna wróci. Ubrał się z niechęcią i czekał. Nie wracała. Wreszcie ruszył na poszukiwania. W dyskotekę jej nie było. Muzyka

jeszcze grała, ale jeśli nie liczyć ich opiekunów, sala świeciła pustkami. Żelazna Dziewica tańczyła z Ładnym i byli jedyną parą na parkiecie. Przy stoliku Libertowicz i profesorka Fiszbach prawie dotykali się czołami. Usiadł na wysokim stołku przy barze, nie patrząc dłużej w ich stronę.

- Właściwie, młody, to nie powinno cię tu być - powiedział barman. Sam był niewiele starszy od Kuby.

- Nie chcę alkoholu. Daj mi colę.

- To mogę.

Kuba wypił kilka łyków, zanim spytał:

- Nie widziałeś tu jednej laski od nas? Takiej...

- Wiem jakiej. Rzuca się w oczy. Jest najlepsza z całej waszej grupy. Nie, tu jej nie było. A co?

- Nic. Tak pytałem.

- Zrobiła cię w konia, młody? Co? Przyznaj się.

- Nie nazwałbym tego tak.

- Tylko jak?

- Nastąpiło drobne nieporozumienie.

- Wiesz, co ci powiem? Zawsze tak jest. Jak cię laska chce zrobić w konia, zawsze znajdzie się drobne nieporozumienie. Czytałeś Marka Hłaskę? On napisał, że nie wolno ufać niczemu, co ma pizdę. To był wielki pisarz.

Nie wiedzieć czemu Kubę bardzo te słowa wzburzyły.

- Chyba sam miał wielką pizdę - powiedział.

- Wiesz co, młody? Naprawdę nie powinno cię tu być.

- Wyjątkowo masz rację. Nie będę pił tej coli, jest ciepła.

Nie wiedział, co dalej robić. Nie mógł dobijać się do wszystkich pokoi i sprawdzać. Gdyby Czarna tylko zechciała, bez problemu znalazłaby innego chętnego. Kamil Kot pierwszy dałby się przeprosić, choć ostatnio ledwo z nią rozmawiał i okazywał wyraźne zainteresowanie Ance, która ostro się koło niego kręciła.

- Oj, chyba się jednak nie udało - odezwała się Barska.

- Co się nie udało? - Ładny znów zachował się nieprzytomnie.

- Jak to co? To, co mówiłam - odpowiedziała enigmatycznie, jakby nie chciała zdradzać szczegółów przy Libertowiczu i Monice Fiszbach.

Podążył za jej wzrokiem i zobaczył Kubę Mazurka przy barze, rozmawiającego z barmanem. Też się zaniepokoił. W sylwetce chłopaka, pochylonego nad kontuarem, było coś

beznadziejnego.

- Nie sądzicie, że należałoby go jednak stąd przepędzić? - spytał Libertowicz. - Jest pierwsza w nocy.

- Zostaw chłopaka. Nie pije alkoholu, tylko colę.

- Na pewno go suszy - zaśmiał się Libertowicz. - Mam nadzieję, że nie po amfie.

- Nie popisuj się - powiedziała Barska z lekkim politowaniem. - Jesteś do tyłu. Teraz mówi się feta.

- Muszę zapamiętać. Ciekawe tylko, skąd ty jesteś taka wyedukowana.

- Po prostu przygotowuję się pilnie do spotkań przedwyborczych. Obecny tu redaktor Ładny uświadomił mi, że jeśli chcę wypisać na moim sztandarze hasło walki z narkomanią, to muszę wiedzieć, o czym mówię.

- To takich kwalifikacji wymaga się teraz w parlamencie? Pięknych czasów dożyliśmy.

- Wolałbyś nadal „Krótki kurs historii WKP (b)”?

- Zamienił stryjek siekierkę na kijek.

Jacek Ładny myślał: Facet, pogadałbyś lepiej o tym, co robiłeś w szkolnych ubikacjach. W tym jesteś mniej żaloszny. A mógłbym się założyć, że pani Fiszbach chętnie poznałaby więcej szczegółów.

Kuba Mazurek zniknął ze stołka przy barze.

- Słuchaj, może poszedłbyś i pogadał z chłopakiem - zwróciła się Barska do Ładnego.

- Wolałabym nie mieć tu jakichś kłopotów.

- Ja? - spytał niechętnie.

- A kto? Jesteś jego guru.

Miał dość bycia czymkolwiek guru. Nigdy do takiej roli nie pretendował. Ale dla Barskiej był wciąż gotów na wiele poświęceń. Podniósł się i poszedł szukać Mazurka. Nigdzie nie mógł go znaleźć. Ani w budynku hotelowym, ani w jego najbliższej okolicy. Pomyślał, co sam zrobiłby na jego miejscu. Zszedł nad jezioro i ruszył brzegiem w stronę nieczynnego jeszcze campingu. Minął kilku wędkarzy, skupionych przy niewielkim ognisku. Dalej brzeg był ciemny i pusty. Chwilami księżyc prześwitywał zza chmur i w jednym z takich przebłysków Ładny dojrzał samotną sylwetkę nad wodą, przy kępie krzaków.

- Kuba? - spytał półgłosem.

Sylwetka poderwała się w odruchu nagłej paniki. Wtedy ją poznał. To była Ewa Góral.

- Ewka, nie uciekaj - powiedział. - Mogłaś trafić gorzej.

- To pan? Przestraszyłam się.

- I słusznie. Samotnej dziewczynie w takim miejscu mogą się przytrafić różne straszne rzeczy.

- A, wszystko mi jedno.

- Nieprawda. Przed chwilą już zrywałaś się do ucieczki jak spłoszona łania.

Pogadamy?

Jej milczenie wyglądało na przyzwalające. Objął ją ramieniem i usiedli na brzegu oboje.

- Gdzie jest Kuba? - spytał.

- Nic mnie to nie obchodzi - odpowiedziała gwałtownie.

- Co się stało? Był zbyt nachalny? To się chłopcom zdarza w tym wieku. I o niczym nie świadczy.

- Pan to wie?

- Owszem.

- Nic pan nie wie. Zrobił coś o wiele gorszego. Dogadał się za moimi plecami z moją matką.

Ładny nie wiedział, jak powinien to zrozumieć. Beata Aschenbrenner wciąż mogła się podobać, z pewnością. Nawet bardziej niż Agata Kot. Ale jakoś nie umiał sobie wyobrazić Beaty Aschenbrenner, niegdysiejszej muzy krakowskich opozycjonistów, odbijającej chłopaka własnej córce.

- Nie bardzo rozumiem - powiedział.

Zaczęła opowiadać. Z takimi szczegółami, że aż robiło mu się głupio. Dla jego wiedzy o obecnych małolatach było to bezcenne, ale prywatnie dość obciążające. Kuba Mazurek, tym razem za pośrednictwem Ewy Góral, wciągał go w swoje sprawy coraz głębiej. Już dawniej go to niepokoiło, a teraz tym bardziej. W dodatku dziewczyna tuliła się do niego coraz mocniej i też nie wiedział, jak to zinterpretować. Czy szukała w nim ojca, czy zastępczego kochanka. Rozsądnie doszedł do wniosku, że raczej chyba ojca. Zaczął ją gładzić po włosach.

- Wiesz, nie mam córki, więc brakuje mi doświadczenia - zaczął ostrożnie. - Ale w tych sprawach wszyscy popełniamy błąd za błędem. Najczęściej chcesz jedno, a robisz drugie. Najgorzej się zawziąć. Jutro sobie wszystko wyjaśnicie.

Te niezdarne banały, których sam się wstydził przed sobą, na Ewę Góral najwyraźniej działały kojąco. Wtuliła się w niego jeszcze mocniej, drząc na całym ciele. Wyczuł, że pod polarem nie ma nic i musiał ostro wcisnąć hamulce, żeby utrzymać się w roli ojca. Tym bardziej, że wypił całkiem niemało, dotrzymując kroku Libertowiczowi, a taniec z Barską

tylko go rozdrażnił. Zdjął marynarkę i okrył nią dziewczynę. To go skutecznie ostudziło, bo już nie czuł tak wyraźnie na sobie jej siedemnastoletnich piersi, a poza tym owionął go ciągnący od wody chłód. Chętnie zakończyłby już ten wieczór pełen obietnic, które nie mogły się spełnić.

- Wiesz, mogę z Kubą pogadać, jak facet z facetem. Oczywiście, jeśli będziesz chciała - powiedział.

Znów pchał się na własne życzenie w cudze kłopoty. I znów był na siebie zły, ale nie bardzo wiedział, jak inaczej mógłby nakłonić Ewę Góral, żeby poszła wreszcie spać i jemu pozwoliła zrobić to samo. Miał nadzieję, że dziewczyna nie zechce skorzystać z jego propozycji. Tymczasem ona zarzuciła mu ramiona na szyję i zaczęła z całej siły całować po policzkach. Objął ją po ojcowsku, a potem przez długą chwilę bał się nawet poruszyć. Pomyślał: Bóg wiedział, co robi, nie dając ci córki.

Emocje były tak silne, że kiedy usłyszał samochód ruszający z parkingu, nie zorientował się, że to jego stary polski fiat, choć odgłos tego archaicznego silnika na ssaniu był nie do pomylenia z żadnym innym.

Kuba poczuł chęć na papierosa. Wyszedł z budynku i zapalił. Tutaj nikt go nie widział. Latarnie oświetlały tylko parking, na którym stało zaledwie kilka samochodów i wynajęty przez szkołę autobus. Golf Barskiej był zaparkowany obok starego fiata Ładnego. Fiat bardziej w cieniu. Golf był za trudny. 125 p wydawał się drobnostką. Robert Kajzer pokazywał mu wiele razy, jak czymś takim odjechać w dziesięć sekund. W zakładzie jego dziadka zawsze stały dwa stare fiaty, traktowane jako magazyn części dla nieudaczników, którzy wciąż jeździli tym przeżytkiem polskiego socjalizmu. Dla zabawy trenowali włamania do nich. Kuba na pamięć wiedział, które przewody trzeba spiąć, żeby uruchomić silnik. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że mógłby z tej wiedzy zrobić praktyczny użytek. Takie rzeczy po prostu imponowały chłopakom z osiedla.

Zszedł nad jezioro, żeby nie przyłapał go z papierosem ktoś z opiekunów, gdyby zachciało im się przewietrzyć na tarasie. Zobaczył kilku wędkarzy przy ognisku, minął ich i poszedł dalej. Nie chciał żadnych ludzi w pobliżu. Kilkadziesiąt kroków dalej usłyszał przytłumione głosy dwojga osób, zaskakująco znajome. Zgasił papierosa i zbliżył się ostrożnie. Na chwilę pokazał się księżyc i Kuba przekonał się, że podejrzenie było słuszne. Na brzegu siedziała Ewa z redaktorem Ładnym. Rozmawiali półgłosem, objęci jak zakochani.

Mimo wysiłków nie mógł zrozumieć słów. Nie było to konieczne. Sytuacja wydawała się dość jasna. A już kiedy Czarna zarzuciła Ładnemu ręce na szyję i zaczęli się całować, nie mogła być jaśniejsza. Kuba odwrócił się i odszedł najszybciej, jak mógł. Szok był za duży.

Słyszał, że niektóre panienki lecą na starych facetów. Ale bogatych. I nigdy by nie przypuścił, że może do nich należeć Czarna.

Fiat Ładnego na parkingu sam się prosił. Kuba nie przewidywał, że kiedyś może mu się przydać linijka, którą wyłącznie dla fasonu nosił w pasku od spodni. Takie narzędzia do otwierania prymitywnych zamków samochodowych chłopcy z osiedla produkowali z metalowych taśm mierniczych. Chodził z nią, bo chciał udawać, że jest podobny do nich. Teraz czuł się taki naprawdę.

Wcisnął linijkę pod uszczelkę przy szybie przednich drzwi i uderzył z góry. Zamek puścił, jak powinien. Redaktor, oczywiście, nie miał alarmu w swoim przedpotopowym samochodzie. Kuba już siedział na fotelu kierowcy. Jednym ruchem lewej ręki wyłamał plastikową osłonę pod kierownicą, a prawą równocześnie wyciągnął dźwignię ssania. Na pamięć spał kable. Nie pomylił się. Silnik zagrał. Wyglądało na to, że zmieścił się w dziesięciu sekundach.

Wyjeżdżając z parkingu, jeszcze nie wiedział, co robić. Przecież wcześniej tego nie planował. Odruchowo skręcił w prawo.

Jakby właśnie przypomniał sobie, o czym opowiadała mu profesorka Barska, kiedy przed południem, podczas przerwy w zajęciach, rozmawiali sam na sam na tarasie, oparci łokciami o balustradę, patrząc na jezioro. To Barska do niego podeszła, pierwszy raz od tamtego wieczoru, kiedy ją odprowadził po lekcjach. Próbowła ciągnąć go za język, czy ma jakieś problemy.

- Tak sam? - spytała. - A gdzie dziewczyna?

- Z innymi dziewczynami - odpowiedział z irytacją.

- Nie bądź na nią o to zły. Kobieta musi sobie pogadać z innymi kobietami.

- Wiem - uciał. - Ja też lubię sam popatrzeć sobie na wodę.

- To znaczy, że mam odejść?

- Nie! - wykrzyknął z takim żalem, że aż się uśmiechnęła.

- Tylko postoję sobie obok ciebie i też popatrzę. Nie będę ci przeszkadzać.

- Proszę ze mnie nie kpić. Wcale mi pani nie przeszkadza.

- Coś cię gryzie?

- Po prostu już nie mogę się doczekać końca roku. Wszyscy mnie wkurzają. Prawie wszyscy - poprawił się.

- Myślisz, że tylko ciebie?

- Pani też czasem nie może tego wytrzymać?

- Pytasz się! - I co?

- Jak już jest bardzo źle, to właśnie jadę w takie miejsce nad jeziorem, posiedzę godzinę nad wodą, popatrzę. I mogę wracać. Pomaga.

- Przyjeżdża pani z Krakowa nad Jezioro Rożnowskie, żeby posiedzieć godzinę? - zdziwił się.

- Bo warto.

- Jakieś wspomnienia? - spytał trochę zbyt bezczelnie.

- Coś w tym rodzaju.

- Gdzie jest to miejsce? - zainteresował się. - Chyba że to tajemnica.

- Tobie powiem. Stąd nie widać. Ale mniej więcej tam - pokazała ręką na przeciwległy brzeg, w stronę zapory. - Za Znamirowicami trzeba skręcić w las koło starej kapliczki. Da się zjechać nad samą wodę. Droga jest fatalna i prawie nikt się tam nie zapuszcza.

- Pokaże mi pani? - odważył się spytać, co mimo wszystko było chyba zaskoczeniem nawet dla niego samego.

- Na pewno chciałbyś, czy pytasz przez grzeczność? - Odwróciła głowę i przyglądała mu się uważnie swymi jasnymi oczami.

Nie wytrzymał tego spojrzenia.

- No... - zamruczał. Zaśmiała się.

- Nie zatrzymuję cię. Zdaje się, że Ewa już przysłała i jest sama. Nie każ jej czekać za długo.

Od tej rozmowy tyle się wydarzyło. Kuba nacisnął pedał gazu do końca. Silnik zaczął się dusić. Ale Ładny sam kiedyś pokazał mu, co w takich przypadkach trzeba robić. Poradził sobie. Wreszcie silnik złapał równy rytm. Włączył długie światła i wkrótce zostawił za sobą uśpiony Gródek.

Ładny jednak wrócił do dyskoteki, gdzie nikt już nie tańczył. Mimo wszystko lepiej było posiedzieć jeszcze trochę z Barską przy muzyce, nawet w obecności przyzwoitki, niż dać sygnał do odwrotu, co skończyłoby się nieuchronnie tym, że nadal musiałby wysłuchiwać nocnych żalów Libertowicza, tyle że samotnie. Tej nocy byłoby to już ponad jego siły.

- Nie znalazłem Kubę - oznajmił, nie wspominając o Ewie Góral. - Chyba po prostu śpi w pokoju.

- Obawiam się, że jednak będziemy musieli to sprawdzić - westchnęła Barska.

- I co zrobisz z parami mieszanymi, które znajdziesz w pokojach? Zameldujesz Piranii? - spytał Libertowicz.

- Wystarczy mi, jeśli się odezwie przez drzwi - powiedziała. - Jestem pełna złych



przeczuć.

Jednak wciąż z tym zwlekali. Aż wreszcie Barska spojrzała w stronę wejścia i powiedziała:

- Chyba wykrakałam.

Dwaj policjanci w towarzystwie kierownika Fregaty podeszli do ich stolika. Zgodnie z nową procedurą starszy stopniem najpierw długo się przedstawiał, a dopiero potem powiedział, o co chodzi:

- Proszę, żeby państwo sprawdzili swoje samochody. Mieliśmy zgłoszenie kradzieży.

- Myśmy nie zgłaszali - zapewniła Barska.

- Mimo to proszę o sprawdzenie. Zgłoszenie było anonimowe.

Prowadzeni przez kierownika, wszyscy rzędem wyszli z budynku. Kiedy stanęli na tarasie, daleko po jeziorze poniół się śmiech Jacka Ładnego.

- Nie wierzę. Złakomili się na mojego trupa!

- Pana to śmieszy? - spytał z przyganą policjant młodszy stopniem.

- Proszę pana, bo ja już widzę ich miny. On jest jak rumak Winnetou. Słucha tylko jednego jeźdźca.

- Dla nas to mimo wszystko nie jest śmieszne - powiedział policjant.

Dla Ładnego też by nie było, gdyby się przez chwilę zastanowił. Jednak na razie nie połączył kradzieży ze zniknięciem Kuby Mazurka. Choć powinien. W ten sposób można by od razu uniknąć wielu późniejszych kłopotów.

Kończyli spisywanie protokołu, kiedy odezwał się radiotelefon jednego z policjantów. Funkcjonariusz rzucił do mikrofonu kilka monosylab, a potem poinformował:

- Chyba ich mamy. Koło Znamierowic jakiś fiat nie zatrzymał się na wezwanie.

Barska bez słowa odwróciła się, zbiegła po schodkach z tarasu i wskoczyła do swojego golfa. Ładny dopadł ją w chwili, kiedy już ruszała.

- Co się dzieje? - spytał.

- Nie mam czasu. Może wiem, gdzie on jest.

- Pojadę z tobą.

- Nie - powiedziała ostro i tak samo ruszyła, zamykając drzwi już w biegu.

Znów został sam na parkingu, tym bardziej samotny, że zaczynał rozumieć, co się stało. Tylko Kuba mógł dojechać jego fiatem tak daleko. Sam zdradził mu kilka sztuczek, kiedy czasem, po zebraniach kolegium redakcyjnego „Kowadła”, podwoził go na Azory. Pomyślał: No tak, wdepnęliście w ładne bagno. I chyba znowu przez ciebie. Usłyszał za sobą głos starszego stopniem policjanta:

- Co tu się, do cholery, dzieje? Gdzie pojechała ta pani?

- Za swoim przeznaczeniem - powiedział Ładny.

- Państwu się zdaje, że możecie policję traktować jak debili, tak? A sami macie niezły burdel na tej szkolnej wycieczce.

Dalej przejazdu nie było. Leśną drogę tarasował fiat Jacka Ładnego, zagrzebany w błocie po osie. Wielka kałuża w dołku na zakręcie okazała się przeszkodą za trudną dla Kubę. Jeśli to był on, co jednak wydawało się coraz bardziej pewne. Barska zostawiła golfa kilkanaście metrów wyżej, jeszcze na twardym gruncie. Dalej poszła pieszo, suchą ścieżką przez las nad koleiną drogi. Do brzegu jeziora miała stąd całkiem niedaleko. W szarówce zbliżającego się świtu było je widać między drzewami.

Jej przewidywania sprawdziły się tak dokładnie, jakby już to kiedyś widziała. W kinie albo we śnie. Kuba siedział na wąskiej piaszczystej plaży, wpatrując się nieruchomo w pasma porannej mgły, zawieszona nad niemal gładką taflą wody. W jego zaokrąglonych plecach i opuszczonych ramionach było coś nieskończenie beznadziejnego.

Podeszła i bez słowa usiadła obok niego na piasku. Nawet nie drgnął, jakby zobaczył ją wcześniej albo przewidział jej nadejście. Nie mogła się powstrzymać i wsunęła dłoń w jego włosy, długie i zmierzwiłone, pachnące chłopcim potem. Zaczęła poruszać palcami, delikatnie pieszcząc kark Kubę.

- I co ty narobiłeś, dzieciaku? - spytała łagodnie.

- Będzie mi pani zastępować mamusię? - spytał, nie odrywając wzroku od wody.

- Mamusię? Nie, mamusię na pewno nie.

- A kogo?

- Nic nie mów - powiedziała, nie przestając przebierać palcami w jego włosach.

- To co mam robić?

- Co chcesz.

Na chwilę znieruchomieli, a te słowa jak gdyby zawisły między nimi. Nawet palce Barskiej zastygły w oczekiwaniu. Potem ziemia, a wraz z nią wszystkie przedmioty i stworzenia odzyskały zdolność ruchu. Kuba odwrócił się nagle i osunął całym ciężarem na Barską, przewracając ją na mokry piasek. Jego wargi były teraz inne niż tamtego wieczoru po szkole, suche i spierzchnięte, jak u chłopców, których zapamiętała z czasów, kiedy sama miała siedemnaście lat. Ona też czuła suchość swoich, zanim jedno i drugie zwilgotniały od zmieszanej śliny obojga. Ich języki też były już pomieszane, oplatały się i walczyły z sobą, jakby pierwsze zaczęły to, co oni mieli robić za chwilę.

To stało się tak znienacka. Kuba nie miał nawet czasu pomyśleć, co mówią na ten

temat poradniki seksu dla nastolatków, a jego ręka już tkwiła pod spódnicą wychowawczynie, niecierpliwie odsuwała na bok brzeg jej majtek, a palce zagłębiały się w miejsce zaskakująco mokre i śliskie po tym, co wybadał u swej klasowej koleżanki. Czarna, pomimo swej gotowości do współpracy, była tam do końca sucha, ciasna i nieprzystępna. Łono Żelaznej Dziewicy ociekało po prostu i jakby samo wciągało zachłannie jego rękę do środka. Przeszkadzały tylko ubrania.

- Zaczekaj - odezwała się zduszonym głosem.

Sama podciągnęła spódnicę, potem zrzuciła majtki i przytomnie schowała je do torebki. Westchnęła, a jej kolana rozsunęły się leniwie na boki, odsłaniając przed oczami Kuby wszystko, co było do odsłonięcia. Kiedy mocował się z paskiem, rozpięła suwak jego dzinsów. Pieściła go w sposób, przy którym usiłowania Czarnej musiały wydać się naiwne i niezdarne.

- No, chodź już - szepnęła.

Niepotrzebnie, on też był niecierpliwy i śpieszył się tak samo jak ona. Tylko że wyraźnie nie miał w tym wprawy.

- Zaczekaj, pomogę ci.

Wsunęła dłoń między ich przyciśnięte do siebie ciała, chwyciła w palce naprężoną do granic siedemnastoletnich możliwości męskość Kuby. Westchnęła głęboko w oczekiwaniu na to, co miało nastąpić w następnej sekundzie, kiedy usłyszała w górze głosy policjantów.

W jednej chwili była na nogach, obciągała spódnicę i otrzepywała się z piasku. Kuba na klęczkach zapinał spodnie. Na szczęście, policjanci zatrzymali się przy samochodach, a stamtąd nie mogli ich jeszcze widzieć.

- Cholera, chyba przyjechali tu za mną - zdenerwowała się Barska. - Wybacz mi.

- I tak by przyjechali - zauważył Kuba spokojnie.

- Ale nie tak szybko - powiedziała z żalem.

Policjanci zbiegali już między drzewami, a kiedy zobaczyli ich na brzegu, zaczęli krzyczeć:

- Na ziemię! Ręce na kark!

- Ja też na ziemię, panowie? - spytała Barska głośno i spokojnie.

- Pani niech się odsunie i nie przeszkadza! - zawołał policjant, którego poznała wcześniej.

Już byli otoczeni przez czterech mundurowych. Stali nadal spokojnie.

- Nikt nie będzie kładł się na ziemi - powiedziała Barska. - Kuba pójdzie z panami dobrowolnie. To wszystko jest nieporozumienie.

- Jasne - powiedział policjant. - Będziemy wyjaśniać. Wyjął kajdanki.

- Ręce, koleś.

Kuba posłusznie wyciągnął dłonie w jego stronę. Trzasnął zamek.

- Po co ten cyrk, panowie? Nie dacie mu rady we czterech?

- Niech pani nie utrudnia czynności służbowych - powiedział policjant surowo. - Taka jest procedura.

- W takim razie pojedę z wami.

- Z jakiego tytułu? Jest pani jego matką?

- Jestem jego wychowawczynią.

- To było go lepiej wychowywać - funkcjonariusz zamknął dyskusję z wyraźną satysfakcją.

Wkrótce odjechali razem z Kubą, zostawiając jednego ze swoich do pilnowania zarytego w błocie fiata. Nie pozostało jej nic innego, jak też zniknąć z tego miejsca.

Ładnego zobaczyła spacerującego po szosie więcej niż kilometr przed Fregatą. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że w nerwach zapomniała o majtkach, które wciąż tkwiły w torebce. Zahamowała w lekkiej panice i zaczęła je nakładać w aucie, sypiąc naokoło piaskiem. Jej ruchy były tak niecodzienne, że Ładny, który już się zbliżał, musiałby mieć zamknięte oczy, żeby nie domyślić się, co robiła. Wreszcie wysiadła zmieszana i wyszła mu naprzeciw.

- Wyciągniemy dzieciaka, Jacek? Co?

- Jasne. Ale najpierw trzeba uspokoić resztę.

- Co, bardzo wielka afera?

- Nie da się ukryć - przyznał. - Kamil Kot robi wrogą propagandę. Ma szczeniak swoje pięć minut.

- Trudno, trzeba stawić czoła wrogowi. Wesprzesz mnie?

- Bez względu na wszystko. - Chciał, żeby ta aluzja była czytelna i tak też chyba została odebrana. - Na dowód powiem ci, że masz z tyłu plamę. Jakbyś usiadła na czymś mokrym, trochę błotnistym, a trochę zielonym.

- Cholera. Bardzo widać?

- Nie da się ukryć.

- Zasłonisz mnie jakoś? Smarkacze mają oczy jak sępy. Nie mówiąc o koleżance Fiszbach.

Pomyślał: Widocznie już taka twoja rola na tej ziemi, Jacku Ładny.

- Odstąpię ci moją marynarkę - powiedział. - Niech znów się na coś przyda.

- Dzięki. - Pocałowała go w policzek. - Jesteś niezawodny.

- Coś ty. Bez przerwy zawodzę samego siebie.

Jego odwieczna marynarka litościwie zakryła jej biodra, a przy tym wyglądała naturalnie, jakby nałożyła ją z powodu porannego chłodu. Już przy wjeździe na parking zobaczyli, że na tarasie zgromadziła się niemal cała klasa. Wysiedli równocześnie.

- No to naprzód! - powiedziała Barska.

- Chciałem ci jeszcze tylko jedno powiedzieć - odezwał się Ładny.

- Tak?

- Nie rozumiem kobiet.

- A myślisz, że ja rozumiem?

Kobiecie trzeba dać trochę czasu Justyna Barska siedziała na Plantach, niedaleko kawiarni Zali-pianek, i niecierpliwie spoglądała na zegarek. Telefon powinien zadzwonić już ponad trzy minuty wcześniej. Ledwo zdołała wyrwać się na czas z towarzystwa Ładnego i Gabi Piontek, do których jeszcze pod koniec dołączył młodszy inspektor Borejko. W ich obecności ta rozmowa musiałaby być nadzwyczaj kłępująca. Wcześniej policjanci próbowali namówić Barską do rzeczy, które były dla niej wstrętne, a Ładny wspierał ją dość niemrawo. Najwyraźniej starał się wrócić do łask u policji.

- Nie zapominaj, że poszliśmy smarkaczowi na rękę. Powinien okazać choć trochę wdzięczności. A ty powinnaś nam w tym pomóc. Mogliśmy go utopić - mówiła Piontek.

- Akurat! Niby za co? - broniła się Barska.

- Wcale nie trzeba mieć za co - mruknął pod nosem Borejko.

- Miał już dwie wpadki - zagłuszyła go Piontek.

- Jakie wpadki? Wszystko się wyjaśniło.

- Słuchaj, naprawdę nie mamy na sobie podsłuchu, jak na filmach. Między nami możemy sobie mówić, jak jest naprawdę. Nie jesteśmy potworami. Nie chcieliśmy niszczyć szczeniakowi życia. Ale gdyby nie my, Szyma nie zrobiłby umorzenia.

- Pan prokurator Szymański sam ma wystarczająco dużo rozumu, żeby nie robić sprawy z głupot - wzruszyła ramionami Barska.

- To wcale nie są głupoty, moja droga - powiedziała poważnie Piontek. - Tak się właśnie zaczyna.

- Może macie rację ogólnie. Ale nie znacie Kuby.

- Na pewno nie tak jak ty, jego wychowawczyni - powiedziała Piontek z dziwną intonacją. - Ale lepiej znamy życie.

- Pani profesorka po prostu wciąż wierzy w ludzi - włączył się znowu młodszy inspektor Borejko. - Podziwiam i zazdroszczę. W Sejmie będzie to cecha na wagę złota. Niestety, dla nas, psów, przewidziano w teatrze życia inną rolę. Naszą wiarę w ludzi zabija każdy dzień. Bo fakty, pani profesorko, wyglądają tak, że dwie trzecie złodziei samochodów, wywodzących się z tak zwanych dobrych domów, zaczyna od rodziny. Nierzadko pierwszą brykę zwijają własnemu tacie. Albo wystawiają go swoim koleśiom. Nasz młody kolega zaczął od pana redaktora, który był dla niego jak ojciec. Czyli mieścimy się w statystycznej normie.

- Ale... - zaczął Ładny.

- Niech pan nie opowiada kolejny raz swojej wersji, redaktorze. Znamy ją na pamięć i cenimy pana mistrzostwo w układaniu fabuł.

- To może pan inspektor powie swoją?

- Bardzo proszę. Nie chcę być okrutny, więc oceniam pół na pół szansę, że nasz dzieciak niedługo znów będzie potrzebował, żebyśmy przymknęli oko na jakiś wyskok.

- Do czego zmierzacie? - spytała Barska.

- Przysługa za przysługę. Pamiętaj, że poręczyłaś za dzieciaka - powiedziała Piontek, wydmuchując dym w stronę sufitu.

- Jak możesz - obruszyła się Barska. - Przyjaźnimy się od studiów.

- Właśnie dlatego mogę iść z tobą na układy. Cholera. Ty też mnie zrozum. Niedługo będziesz domagać się w Sejmie, żeby policja była bardziej skuteczna. W jaki sposób, jeśli nawet ty nie chcesz pomóc!

- Chcę. Tylko nie wciągajmy w to dzieci.

- Pani profesorko kochana! Siedemdziesiąt procent dilerów narkotykowych to są, w rozumieniu prawa, dzieci. - Borejko po raz kolejny posłużył się statystyką. - To kto je wciąga?

- Zróbmy inaczej - powiedziała Piontek. - Obiecuję, że nie będzie musiał zeznawać. W ogóle nie musi z nami rozmawiać. Niech przekaże przez ciebie, co naprawdę wie.

- Jezu!

- Dobrze, nie męczmy już naszej przyszłej pani posłanki w ten piękny dzień wiosenny - odezwał się pojednawczo Borejko. - Przecież chcemy mieć panią po naszej stronie.

- Musicie mnie najpierw przekonać, że to jest właściwa strona, a do tej pory niezbyt wam to wychodzi. - W głosie Barskiej pojawiły się kłótniwe nutki. Zbliżała się godzina umówionego telefonu, a jej rozmówcy najwyraźniej nie mieli jeszcze ochoty się zbierać.

- Właśnie przyniosłem pani argumenty. - Borejko podał jej tekturową teczkę, pełną

papierów. - Znajdzie tu pani mój skromny artykuł w sprawie zaostrzenia ustawy antynarkotykowej oraz analizę rozwoju rynku w ostatnich latach. Plus perspektywa. Nawiasem mówiąc, dość przerażająca.

- Rzeczywiście jest tak źle? - spytała, myśląc najwyraźniej o czym innym.

- To dopiero początek. Wszystko przed nami. Jesteśmy świadkami przełomu. Polska z kraju tranzytowego zmienia się w rynek. O ten rynek będzie się długo krew lała. Natarcie idzie z czterech stron - Borejko odruchowo zaczął rysować na serwetce. - Z Turcji i Bliskiego Wschodu heroina. Z Afganistanu i byłych republik wielkiego Kraju Rad także hera, a oprócz tego mocny hasz. Z Holandii konopie nowej generacji. Wreszcie z zachodniej półkuli kokaina. No i nie zapominajmy, że w produkcji amfetaminy sami jesteśmy światową potęgą.

Popisy kompetencji młodszego inspektora akurat w tej chwili były ostatnią rzeczą, jaka by ją interesowała.

- Dziękuję panu, inspektorze. - Wzięła teczkę i znów spojrzała na zegarek, tym razem z jawną ostentacją.

- No, trzeba wracać do obowiązków - domyślił się Borejko. Poderwała się pierwsza, żeby Ładnemu nie przyszło do głowy zostać z nią, na co miał wyraźną ochotę. Jego spojrzenia, kiedy zobaczył ją w letniej sukience w kwiaty, odsłaniającej ramiona, były z początku zdumione, a potem coraz bardziej łakome.

- Mam tu jeszcze coś do załatwienia. Zapłacicie za moją kawę? - Wysypała drobne z torebki.

- Czuj się zaproszona - powiedziała Piontek.

- W życiu! Nie skorumpujecie mnie marną kawą. Oddaliła się pośpiesznie, żeby telefon nie zadzwonił przy nich. A tymczasem godzina minęła, a on wciąż nie dzwonił. Miała nadzieję, że jej niedawni rozmówcy nie przyłapią jej na ławce. Obserwowała zza drzewa, jak wszyscy troje przeszli po pasach przy Bagateli i poszli prosto Karmelicką. Dopiero wtedy zdecydowała się usiąść. Odruchowo otworzyła teczkę Borejki, ale zaraz zamknęła ją z powrotem. W tej chwili nie miała głowy do ważkich problemów społecznych. Popołudniowe słońce rozleniwiało ją. Lekko, tak żeby nie rzucało się to w oczy, rozszerzyła kolana. Wsunęła dłoń pod teczkę i dotknęła się. Potem trochę mocniej. I jeszcze raz.

Wtedy telefon wreszcie zadzwonił. Nie wyjmując dłoni spod teczki, sięgnęła do torebki lewą ręką.

- Przepraszam, ale tu, w Rynku, są kolejki do automatów - usłyszała zdenerwowany głos Kuby Mazurka.

- Nie gniewam się - powiedziała łagodnie, poruszając palcami. - i tak musiałam

najpierw kogoś splawić.

- Kogo?

Aż się uśmiechnęła, tyle podejrzliwości pojawiło się nagle w jego głosie.

- Nieważne. Paru starych nudziarzy.

- To co mam teraz robić?

- Zaprosić mnie do kina.

- Słucham?

- Zdziwiony? A gdybym była Ewą Góral, też byś się dziwił?

- Proszę o niej nie wspominać.

- Dobrze, jak chcesz. W takim razie ja cię zapraszam. Zdaje się, że w Hucie grają jeszcze „Dzieciaki”, a ja wciąż nie widziałam tego dzieła, które narobiło tyle zamieszania. Chciałabym, żebyś właśnie ty mi je pokazał. No co, nie chcesz?

- Oczywiście. Przepraszam, z przyjemnością - plątał się.

- Znajdziesz mnie na Plantach - powiedziała i wyłączyła telefon, co jedną ręką nie było całkiem łatwe.

Zobaczyła go z daleka, jak się zbliżał; szczupły, długowłose, w koszulce z nadrukowanym portretem Kurta Cobaina, z chłopcą niepewnością w ruchach. Zdażyła jeszcze kilka razy poruszyć mocniej palcami, zanim stanął przed nią. Wtedy po prostu wyjęła dłoń spod teczki z owocami intelektualnego wysiłku młodszego inspektora Borejki i wyciągnęła ją do Kuby. Jego uścisk był suchy i mocny. Zaskakująco mocny jak na takie szczupłe ciało i tak niepewnego siebie chłopaka.

- Podoba mi się u ciebie to, że zgniatasz mi rękę jak facetowi - powiedziała.

- Przepraszam, jeśli za mocno... - wymamrotał. Zaśmiała się.

- Przecież mówię, że mi się podoba. Przynajmniej nie liżesz mnie po rękach, jak twoi koledzy. Rany, nikt na całym świecie już tego nie robi, a oni się uparli, żeby akurat mnie obśliniać. Czy ja jestem Ojcem Świętym?

Kuba chrząknął.

- Mogę o coś zapytać?

- Więcej o to nie pytaj.

- Dobrze. No więc, czy mógłbym mówić pani na ty?

- Rany, a jeszcze mi nie mówisz?

- Nie wiedziałem, czy mogę.

- Przepraszam, ale jeszcze raz to powiem. Obiecałam nie mówić, ale sam mnie prowokujesz. Ewy Góral też pytałeś?



- To co innego.

- No tak, trochę co innego, nie ma co udawać. Jak widzę, Żelazna Dziewica nadal budzi w tobie respekt. - Westchnęła. - No dobrze, w takim razie powiem to całym zdaniem: Możesz mówić mi na ty. Ale tylko kiedy nikt nie słyszy! - Pogroziła mu palcem.

- Zaczekaj. - Piontek pociągnęła nagle Ładnego za rękę, zapominając o swym oficerskim stopniu.

Przebiegli Karmelicką przed hamującymi samochodami, jak para niesfornych smarkaczy. W ciągu ostatnich tygodni ich stosunki były, delikatnie mówiąc, oziębłe, więc takie jej zachowanie Ładny potraktował jako zapowiedź zmiany, choć z pewną nieufnością. Tym bardziej, że nie wiedział, co je nagle spowodowało. Wpadli do taniej jadłodajni, dwie bramy od Bagateli. Pchnęła go na drewnianą ławę.

- Mogę wiedzieć, co tu robimy? spytał.

- To co zwykle w naszym fachu. Zdobywamy informacje, których inni nie mają.

- A konkretnie?

- Jesteś żaloszny, wiesz? Wodzisz za Żelazną Dziewicą swoimi beznadziejnie zakochanymi oczami, a nie pamiętasz, jakim autem jeździ? Popatrz, ciągle tam stoi.

- Jestem beznadziejnie zakochany, ale w tobie - powiedział.

- Wiem, we mnie też. - Machnęła ręką. - Nie moja wina, że wciąż obstawiasz niewłaściwe numery. Bądź przez chwilę profesjonalistą. Zobaczmy, jaką to pilną sprawę miała nagle nasza Justysia do załatwienia.

- To taka jesteś? Śledzisz własną przyjaciółkę?

- Zawsze tak postępuję, kiedy przyjaciółki robią mnie w konia.

- Przerażająca jesteś, wiesz?

- Wiem. Nie zapominaj, że jestem suką podwójnie. Z urodzenia i z fachu. Każdy powinien się dziesięć razy zastanowić, zanim ze mną zacznie.

- Co zacznie?

- Cokolwiek. Cicho. Popatrz. Przewidziałbyś to?

Ładny wcale nie był specjalnie zdziwiony, ale teraz nie przyznałby się już do tego policjantce za żadne skarby. Barska nadchodziła od strony Plant w towarzystwie Mazurka. Nawet jego nieprofesjonalne oko dostrzegło w jej ruchach nerwowość. Pomyślał: Jednak jesteś wredna, Gabi Piontek. Zrobiłaś to, żeby mnie na nią napuścić. Nic z tego. Jacek Ładny już wybrał stronę, po której bije jego serce.

- O co ci chodzi? - spytał niewinnie.

- Od razu musiała go ostrzec. Trzyma z nim, a nie z nami.

- I co w tym dziwnego? - wzruszył ramionami. - W końcu za niego poręczyła. Musi nad chłopakiem czuwać.

- I ty, pismaku, contra me? - zdenerwowała się nagle Piontek. - Czy wy tworzycie jakąś sektę czy co?

W wielkiej sali Świtu byli prawie sami. Oprócz nich oglądało film jeszcze tylko pięć osób. Kino, które zbudowano przed laty, by niosło kulturę spragnionej tego załodze kombinatu metalurgicznego imienia Lenina, teraz podupadło i nieuchronnie zmierzało ku likwidacji. W przeciwieństwie do centrum Krakowa, tutaj nawet atmosfera skandalu i darmowa kampania reklamowa radnej Kwiat nie zdołały przyciągnąć widzów na seans „Dzieciaków”. Młodzież z nowohuckich osiedli miała to w domu.

Dla Barskiej i Kuby była to sytuacja bardzo korzystna, bo mogli usiąść z dala od innych widzów. Porozumiewając się oczami, wybrali miejsca w jednym z najwyższych rzędów, za plecami wszystkich pozostałych. Ale kiedy zgasło światło, długo żadne nie skorzystało z okazji. Sam film wydał się Barskiej pocziwą agitką, ostrzegającą przed pułapkami narkotyków i ryzykownego seksu. Doprawdy, trudno było zrozumieć radną Kwiat i jej kolegów z Inicjatywy Obywatelskiej. Kiedy do połowy seansu Kuba wciąż nie mógł się zdecydować, by chociaż wziąć ją za rękę, zaczęła się nudzić i niecierpliwic. Kolejne nieszczęścia amerykańskich nastolatków na ekranie były trochę zbyt przewidywalne.

Wreszcie jednak Kuba zdobył się na odwagę. Musiało go to naprawdę dużo kosztować, bo jego zwykle sucha dłoń była teraz mokra od potu. Barska odwróciła głowę, uśmiechnęła się ośmielając i ze spoconym palcami chłopaka splotła swoje. Westchnęła głęboko i odprężyła się w fotelu. Film stał się od razu dużo bardziej interesujący.

Kilka minut później, kiedy akcja zmierzała już do tragicznego finału, Kuba zrobił następny krok, przenosząc ich splecione dłonie z oparcia fotela na podolek Barskiej. Poczula między udami ucisk jego twardych kostek. Pozwoliła na to, nie robiąc żadnego gestu. Nie odpychała, ale i nie przyciskała jego ręki do swego ciała. Zareagowała stanowczo dopiero w chwili, kiedy, przynaglony zapewne bliskością końca seansu, zaczął się śpieszyć.

Jego dłoń spelzła najpierw na jej kolano, potem powędrowała wyżej, podciągając sukienkę.

- Nie! - szepnęła mu do ucha, chwyciła jego rękę i położyła z powrotem na oparciu. Kuba zeszywniał i w pierwszej chwili zrobił ruch, jakby chciał wyrwać dłoń, ale trzymała ją mocno. Już do końca filmu trwali w tym dziwnym klinczu.

Na zewnątrz czerwcowy zmierzch był piękny i ciepły, pachnący akacjami, ale

atmosfera wydała się Barskiej bardziej przygnębiająca niż w filmie. Po chodniku, przy zaparkowanych samochodach, kręciło się bez wyraźnego celu paru wyrostków w kapturach, mimo ciepła naciągniętych na głowy. Przechodnie omijali ich z daleka. Barska z ulgą odjechała z tego miejsca. W samochodzie Kuba był małomówny, jakby trochę obrażony.

- Muszę ci powiedzieć, że nie zachwylił mnie ten film ani nie zbulwersował - próbowała nawiązać rozmowę.

Wzruszył ramionami.

- To nie był mój pomysł.

Nie było sensu kontynuować tematu. Zamiast tego spytała:

- O której musisz być w domu?

- W ogóle nie muszę. Matka wyjechała ze swoim facetem.

- Nie mów tak o swojej mamie. Przynajmniej do mnie. To miła kobieta.

- Przepraszam, pani profesor, już nie będę. Moja mamusia w towarzystwie wybitnego reżysera, pana Dulemby, wyjechała na przegląd teatrów profilaktycznych.

- Jesteś niemożliwy. - Pokręciła głową. - Pytałam, bo po kinie lubię pójść na spacer. Tylko że w Hucie nie ma klimatu. Pojedziesz ze mną do Lasku Wolskiego?

- Do Lasku Wolskiego? - Skrzywił się lekko. - Myślałem, że moglibyśmy pójść do mnie.

- Do ciebie? - zdumiała się. - O ho ho! Co za podrywacz. Dopiero co pytałeś, czy możesz mi mówić na ty, a już chciałbyś mnie zatargać na chatę?

- Mówię poważnie.

- A, poważnie? Poważnie to chyba nie jest za dobry pomysł.

- Dlaczego?

- No, nie wiem. Może jednak najpierw do lasu.

- A potem?

- Potem się zastanowimy - powiedziała ostrożnie.

Ciepły piątkowy wieczór przyciągnął do Lasku Wolskiego wielu spacerowiczów. Na głównej alei Barska w ciągu dziesięciu minut trzykrotnie odpowiedziała na ukłony. Najpierw był to siwowłosy mężczyzna o wyglądzie profesora UJ, potem para trzydziestolatków z dzieckiem, wreszcie dwóch rowerzystów.

- Twoi wyborcy - powiedział Kuba z lekkim przekąsem.

- Nie musisz być taki złośliwy. Mnie też to wkurza.

Nagle złapała go za rękę i pociągnęła w wąską, odchodzącą w bok ścieżkę. Tu było pusto.

- Tylko jak ktoś będzie szedł, masz mnie zaraz puścić - zastrzegła.

- Bo to by źle wpłynęło na wynik wyborczy?

- Żebyś wiedział.

Kuba wciąż był trochę sztywny, jakby nie wiedział, jak się ma zachować. Pocałowała go pierwsza. Wtedy zagarnął ją nagle ramionami, chwytając dłońmi za pośladki i wpił się w jej wargi z całych sił. Odsunęła go.

- Spokojnie. Nie zginiataj mnie od razu na miazgę. Po kolei, dobrze?

Znów się nastroszył. Kilkadziesiąt kroków dalej natknęli się na ławkę, do połowy ukrytą w krzakach, zapewne przyciągniętą tu przez jakieś nieznane osoby, będące w podobnej potrzebie. Pociągnęła go na nią i zaczęła całować od nowa. Tylko przez chwilę pozwalał jej robić to tak, jak ona chciała. Potem jego dłoń zadarła jej sukienkę, tym razem sięgając aż do majtek. Chwyliła go za przegub z zaskakującą siłą.

- Bądź grzeczny. Powiedziałam, że po kolei. Odsunął się za złością na drugi koniec ławki.

- Jak ty mnie traktujesz?

- Nie rozumiem cię. Całujemy się, jest fajnie. O co ci chodzi?

- Zachowujesz się jak siedemnastolatka! - wybuchnął.

- Ach, i to jest właśnie ta straszna zbrodnia? A ty co myślałeś? Że panią od polskiego będziesz mógł przelecieć na pierwszej randce?

- A w ogóle? - spytał ponuro.

- Nie wiem.

- Słucham? Nie wiesz?

- No, nie wiem. Zobaczymy. W każdym razie, jeśli będziesz naciskał, to raczej nie.

- A nad jeziorem? - spytał z dziecinnym żalem.

- To była wyjątkowa chwila. Która minęła.

- Zabrakło sekundy.

- Ale zabrakło. I teraz wszystko musimy zaczynać od początku. Po kolei.

- Nie bawisz się mną?

- Dzieciaku... - Zmierziła mu włosy. - Czy ty rozumiesz, że ja przez całe życie miałam tylko jednego mężczyznę? To dla mnie naprawdę nie jest zabawa.

- Dla mnie też nie.

- O, czyżby? A kto jednej nocy obracał koleżankę z klasy i panią od polskiego? Czy tak postępuje odpowiedzialny facet?

- Nie kpij sobie ze mnie. Z Ewą to nie było tak. Po prostu nie wierzyłem, że z tobą coś

byłoby możliwe.

- Aha! Jej na pewno powiedziałbyś to samo.

- Wiem, że głupio wyszło. Ale jak mogłem przypuszczać...

- Zez Żelazną Dziewicą coś jest możliwe? Masz rację, z Żelazną Dziewicą nic nie jest możliwe. Ty jesteś absolutnym wyjątkiem. I nie pytaj mnie dlaczego, bo nie wiem.

Wzięła jego głowę w ręce i długo całowała delikatnie, pieszcząc równocześnie włosy.

- To co, nie możesz do mnie pójść? - spytał z żalem, ale już spokojnie.

- Kłopot właśnie w tym, że mogę. Mój pan mąż też wyjechał, na wyścigi wielkich, ryczących, szpanerskich maszyn. Nawet gdyby miał stuprocentową pewność, że go właśnie zdradzam, nie wróciłby. Potem mógłby mnie zabić, ale nigdy z mojego powodu nie zrezygnowałby z walki z innymi wspaniałymi mężczyznami.

- To w czym problem?

- W tym, że nie mam pewności, że będziesz grzeczny.

- Będę, pani profesor.

- Nie do końca ci wierzę, ale chyba zaryzykuję. Już nie pamiętam, kiedy byłam na chacie u chłopaka.

Ledwo wrócili na główną aleję, Barskiej uklonił się były minister sprawiedliwości, spacerujący z żoną i psem, a zanim doszli do samochodu, wymieniła jeszcze ukłony z byłym szefem kancelarii premiera, spacerującym samotnie, i słynnym od czterdziestu lat aktorem, prezentującym publiczności swoją kolejną jasnowłosą dziewiętnastkę.

- Kraków jest piękny - powiedziała.

Kiedy znalazła się w pokoju Kubie, rzuciła z nóg pantofle. W drodze z Lasku Wolskiego najpierw odstawiła swój samochód do garażu, dowodząc tym, że wciąż jeszcze cały czas kontrolowała sytuację. Kubie wyjaśniła:

- Ładnie bym wyglądała, gdyby mi zwinęli auto na obcym osiedlu, sprzed bloku mojego najbardziej podpadniętego ucznia. Ciekawe, jakbym się tłumaczyła. Nie trzeba by Sherlocka Holmesa, wystarczyłaby moja przyjaciółka Gabi Piontek.

Potem jechali długo autobusem i rozboleły ją stopy. Pozbyła się butów z rozkoszą, co od razu stworzyło dwuznaczny nastrój. Nie zrobiła zresztą nic, żeby to zmienić. Na odwrót.

- Skoro już przytargałeś mnie na chatę, to może urządzimy prywatkę? - Sięgnęła do stojaka z płytami. - Pokaż, czego słuchasz.

- Ostatnio głównie Rage Against the Machine, Chylińską i O. N. A., trochę Nirvany.

- Rany, chyba nie będziemy tego tańczyć?

- Szczerze mówiąc, nie mam nic do tańczenia.

- Nie miałam na myśli disco. Po prostu coś, przy czym można by się poprzytulać.
- Matka ma jakieś stare bluesy.
- Bluesy? No, to już brzmi dużo lepiej. W sam raz na prywatkę.
- Rozbieraną? - spytał, chrząkając.
- Rozbieraną? Co ci znów chodzi po głowie? Zresztą, no, może troszeczkę?
- A może więcej?
- Może i więcej. Jeśli dasz mi słowo, że zatrzymasz się, kiedy poproszę. I nie będziesz

robił trudności.

Westchnął.

- A mam wyjście?
- Jasne. Możesz mi wezwać taksówkę.
- To już wolę dać słowo.
- Fajnie. Tylko pamiętaj!

Przyniósł płyty z pokoju matki. Znów wyglądał na zdeprymowanego. Wyraźnie miał huśtawkę nastrojów.

- Może zrobić ci kawy albo co?
- Kawy? Na rozbieranej prywatce? Nie znajdziesz w domu niczego na odwagę?
- Chyba nie masz na myśli...
- No, coś ty! Jestem tradycjonalistką, jeszcze nie zauważyłeś? Miałam na myśli tylko

jakieś drobne piwko czy coś w tym rodzaju.

- To się znajdzie. Matka zawsze ma w lodówce parę flaszek, w razie gdyby pan Dulemba wpadł niespodziewanie.

Parę minut później kołysali się z butelkami w dłoniach przy dźwiękach „Summer Time”. Kuba, już ośmielony, odchrząknął i spytał:

- No, to kto zaczyna? - Co?
- Jak to co? Rozbieranie. Chyba nie będziemy grać w butelkę?
- Jak jesteś taki odważny, to zaczynaj.
- To co mam zdjąć?
- Jak to co? Spodnie.

Drocząc się, zrzucali z siebie kolejne części ubrania, aż on został tylko w spodenkach, a ona w figach. Wciąż przestępowali z nogi na nogę w rytm starych bluesów Elli Fitzgerald, a Barska czuła na swoim brzuchu coraz mocniejszy ucisk.

- Usiądźmy - poprosił Kuba.
- Jeszcze nie - zamruczała. - Tak jest źle?

- Chodziłaś w liceum na rozbierane prywatki? - spytał.

- Ja? - zdumiała się. - Człowieku, ja w ogóle nie chodziłam na żadne prywatki, dyskoteki ani inne imprezy. Przy moim ojcu takie ekscesy byłyby nie do pomyślenia.

- Masz surowego ojca?

- Surowego? To nawet nie oto chodzi. Profesor Wojtała to żywy pomnik uniwersyteckiego prawa. Chodzące dostojęństwo. Mając takiego ojca, człowiek nie chodzi na prywatki, tylko dwadzieścia cztery godziny na dobę myśli, żeby nie puścić bąka nawet przez sen.

- Ciekawe, co by zrobił, gdyby zobaczył cię teraz? - Kuba najwyraźniej poweselał.

- Nawet nie mów takich rzeczy! - W przeciwieństwie do niego, na chwilę jakby straciła dobry humor. Potem otrząsnęła się. - A ty? Co mi opowiesz o sobie?

Wzruszył ramionami.

- A co ja mam do opowiadania? Marzeniem mojego ojca, odkąd pamiętam, jest ekstra samochód i domek na Woli Justowskiej albo przynajmniej w Libertowie. I odkąd pamiętam, nic mu z tego nie może wyjść. Matka, też odkąd pamiętam, zadrecza się, że się mną za mało zajmuje i żyje w ciągłym strachu, żeby nie został ćpunem.

- Ma powody? - spytała Barska poważnie.

- Gdybym miał zaćpać, chyba już dawno bym to zrobił.

- Nie rób tego nigdy - powiedziała i przycisnęła policzek do jego nagiego ciała.

Chwilę kołysali się w milczeniu, wreszcie szepnęła mu do ucha:

- Rozbierzmy się całkiem.

- Kto pierwszy? - spytał.

- Oboje naraz. Ty mnie, a ja ciebie.

Równocześnie położyli sobie nawzajem dłonie na biodrach i zsunęli z nich ostatnie przeszkody. Łagodnie wzięła go za rękę, usiedli na wersalce. Znowu całowała go delikatnie, gładząc czubkami palców po piersiach, ramionach i plecach, ale nie schodząc niżej. Kuba wytrzymał to tylko kilka minut. Potem rzucił się na nią, przewrócił na wersalkę i przygniótł całym ciężarem nagiego ciała. Uciekła ustami spod jego warg.

- Obiecałeś! - powiedziała ostro. - Ile warte jest twoje słowo? Jeśli nie umiesz się powstrzymać, to lepiej jednak wezwij taksówkę. A jeśli ci się zdaje, że zdołasz mnie zgwałcić, to bardzo się mylisz.

Usiadł posłusznie. Jego opuszczone teraz bezwładnie ramiona i ponura mina śmiesznie kontrastowały z niezmiennie sterczącym dowodem jego pożądania.

- Nie chcę cię gwałcić - powiedział niemal z płaczem. - Ale co ty ze mną wyprawiasz?

- No co? Nie myśl tylko o sobie. Przecież pieszczę się z tobą.

- Tak? Weź chociaż.

- Weź sam.

- Sam nie chcę - nadąsał się.

- Dlaczego? Ja też to zrobię. Wcale się ciebie nie będę wstydziła.

Usiadła po turecku i rozchyliła kolana. Końcami palców pociągnęła po wewnętrznej stronie ud. Powtórzyła ten ruch kilka razy. Potem zatrzymała palce w środku i zaczęła się kiwać w przód i w tył, powoli i miarowo. Kuba na początku bał się patrzeć, a potem nie mógł oderwać oczu.

- No, ty też - wydyszała. - Nie wstydź się mnie.

Sam nie wiedział, jak się na to zdobył, ale posłuchał. Jego skrępowanie minęło w ciągu kilku minut. Uklęknął naprzeciw niej i oboje kiwali się w rytm starego bluesa z kolekcji Anny Mazurkowej. Nie przestali nawet gdy zadzwoniła komórka Barskiej. Jedną ręką sięgnęła do torebki, którą i tym razem miała w zasięgu.

- To ty? - spytała spokojnie. - No, co słysząc?... Oczywiście, że jestem w domu... Nasz telefon jest popsuty... Normalnie, popsuł się... Oczywiście, że zadzwonię do telekomunikacji. I tak przed poniedziałkiem nie naprawią... Co gra? Ella Fitzgerald. No, z płyty, a z czego?... Pożyczyłam... Od Gabi Piontek... Nigdy nie słuchałam? To ty nigdy nie słuchałeś. Co to za śledztwo? Dzwonisz, żeby mnie sprawdzać? Po tylu latach? Żelazną Dziewicę?... Nie złościsz się... Ja ciebie też... Trzymam za ciebie palce.

Odłożyła telefon i dłonią, w której przed chwilą trzymała aparat, zrobiła nieprzyzwoity gest. Jej druga ręka ani na chwilę nie przerwała swego zajęcia. Kuba też nie przestawał i oboje prawie równocześnie zaczęli szybciej oddychać.

- Zaczekaj na mnie - wydyszała. I po chwili: - No, już! Proszę.

Potem odsunęli się od siebie. Siedzieli na dwóch końcach wersalki, powoli odzyskując spokój. Barska odezwała się pierwsza:

- Znajdziesz jeszcze trochę piwa?

Skwapliwie wybiegł do kuchni, zahaczając po drodze o łazienkę. Wrócił nagi, ale wymyty, z dwiema nowymi butelkami. Barska w tym czasie nawet się nie wytarła. Wyciągnęła leniwie rękę po piwo, posadziła Kubę przy sobie i przytuliła się do jego boku.

- I co? - spytała. - Źle było? Odchrząknął.

- No wiesz, ja się rozładowałem. Ale ty? Nie sądziłem, że to ci może wystarczyć.

- Co za znawca kobiet. - Zaśmiała się cicho. - Skąd nas tak dobrze znasz?

- Czytałem w podręcznikach seksu.



- Wyrzuć je. Gdybyś spytał pana redaktora Ładnego, to on by ci wyjaśnił, że nie należy wierzyć we wszystko, co piszą.

Pociągnęła spory łyk piwa i westchnęła głośno:

- O, jak mi teraz dobrze. A ty myślałeś, dzieciaku, że będę drugą panią Robinson czy jak?

Z jego miny wywnioskowała, że nie wie, o czym mowa, więc wyjaśniła:

- Był taki film „Absolwent”, według powieści pana Webba, z Dustinem Hofmanem i piosenkami Simona i Garfunkela. Kiedyś kultowy. No i była tam taka niedopieczona pani Robinson, która młodego człowieka imieniem Benjamin używała zamiast wibratora. Ale mnie to, mój drogi, w ogóle nie jest potrzebne. Mniej mnie interesuje ta dziwna rzecz, która wystaje ci między nogami, więcej to, co masz tutaj - stuknęła go palcem w głowę. - I rola gumowej lalki też mi nie odpowiada. A jeśli ty marzysz właśnie o tym, to sex shop masz po drodze ze szkoły.

- Wcale nigdy tak o tobie nie myślałem - oburzył się. - Tylko chciałbym cię mieć, no wiesz, całą.

Pocałowała go w policzek i szepnęła do ucha:

- Jeśli mówisz prawdę, to pozwól mi do tego dojrzeć. Daj mi trochę czasu.

Pozdrowienia z dołka (pisze Kuba Mazurek)

No i o mało co tego nie zrobiłem. Mówię wam, niewiele brakowało, a bym zaćpał. Teraz już wiem, że ta cienka czerwona linia jest naprawdę bardzo cienka.

Tyle się wydarzyło od dnia, kiedy Żelazna Dziewica była u mnie na chacie. A wszystko z jej powodu. Nie chcę źle o niej mówić, bo podobno powinienem być jej wdzięczny. Przecież do spółki z Ładnym wyciągnęła mnie z tej głupiej afery z jego samochodem, poręczyła za mnie i tak dalej. No i w porządku, pani profesor. Jestem pani wdzięczny jak pies za kość. Tylko że nawet psa tak się nie traktuje. Nie zabiera się go jednego dnia ze schroniska, żeby go nazajutrz kopnąć.

Tak właśnie ze mną postąpiła. Chyba po tym, co robiliśmy w moim pokoju, miałem prawo oczekiwać dalszego ciągu, prawda? Jeśli się robi taką rzecz z facetem, to raczej coś oznacza, takie jest moje zdanie. Zwłaszcza kiedy się na to decyduje nie byle kurwa spod dworca, tylko, jakby nie było, Żelazna Dziewica, znana wszystkim jako największa cnota Środkowej Europy, zaraz po radnej Kwiat. To chyba do czegoś zobowiązuje. A ona po prostu zaczęła mnie unikać. Bez słowa wyjaśnienia. Nie odbierała moich telefonów. Oczywiście wiedziała, które są ode mnie, bo skąd mogłem dzwonić? Z domu albo z automatów. Więc

domyślała się.

W końcu nie wytrzymałem i poszedłem na jeden z tych jej wyborczych kabaretów. I to gdzie! W Teatrze Nieobojętnym! A dokładnie w Nowohuckim Centrum Kultury, po spektaklu „Złotego strzału” w wykonaniu trupy pana Dulemby. I ja na tej chacie wysiedziałem dobrowolnie do końca. To świadczy najlepiej, jak mnie wzięło. Wiedziałem, że robię z siebie debila, ale było mi wszystko jedno.

Kiedy przedstawienie dobiegło do końca i na scenę weszła Justyna, zatargały mną, jak napisała by autorka jakiegoś harlequina, sprzeczne uczucia. W jednej chwili okropnie do niej zatęskniłem i prawie ją znienawidziłem. Ten cały cyrk, jaki odstawiła. Co za obłuda! Starłem się wyszukiwać w niej wszystko co najgorsze. Miała za duży nos, za wąskie ramiona i skłonność do tycia. Poza tym, na co zwrócił mi uwagę Robert, jak na swój wzrost wydawała się za nisko zawieszona. I szczyt wszystkiego, o czym już sam się przekonałem, między nogami była ruda. Może dlatego tak skutecznie umiała maskować także swój wredny charakter. No i nic z tego. Z tymi wszystkimi wadami jeszcze bardziej mnie pociągała.

Dulemba ją przedstawił i zaczęła opowiadać te swoje bajeczki dla grzecznych dzieci. Czułem, że ludzie na sali od początku ustawili się do niej wrogo i poczułem głuchą satysfakcję na samą myśl, jak jej zaraz złączą dopieprzać. Na ten spektakl publiczność nie została, jak zazwyczaj, spędzona siłą ze szkół. Mógł przyjść, kto chciał, a zaproszenia były rozdawane za darmo. I na-pchało się małałatów, bo wszystkie wejściówki brały udział w losowaniu gier komputerowych. Cały ten przekręt wymyślił oczywiście Ładny, załatwił sponsorów na gadzety i nagłośnienie w „Gazecie Krakowskiej”, radiu i telewizji. Było jasne, że najmniej tu chodziło o tych smarkaczy. Większość publiczności i tak była za młoda, żeby głosować. Cały ten happening został zmontowany wyłącznie na użytek tivi. A ja kiedyś myślałem, że to facet nieprzekupny jak Robespierre i święta Agnieszka (dała sobie główkę uciąć, zamiast wyrzec się wiary i poślubić bogatego bezbożnika) w jednej osobie. Najwyraźniej Żelazna Dziewica nie mnie jednemu odebrała rozum. Quod erat demonstrandum.

Przynajmniej była szansa, że teraz dostanie za swoje. A rachuby Ładnego wezmą w łeb. Na widowni mieli dwa rodzaje nieprzyjaciół. Pierwszych interesowało wyłącznie losowanie CD ROM-ów. Ich mogli się nie obawiać, bo ci kolesie nie mieli żadnego interesu, żeby przedłużać choć o minutę coś, co dla nich było wyłącznie ściemą. Ale byli też ci drudzy. Ćpuny po leczeniu i wolontariusze, pracujący w tym środowisku. Przyszło ich niewielu, ale właśnie ci, co mieli potrzebę dopieprzania. Obserwowałem ich z boku i od początku mi się wydawało, że aż się rwali. Nie pomyliłem się. Pierwsza wyrwała się streetworkerka z

programu Stop AIDS. Piękna czarnowłosa lalka z nogami do szyi i pępkiem na wierzchu. Wiedziałem, kim jest, bo Ładny mi ją kiedyś pokazał, jak przysiadła się do seropozytywnych sępiących na ulicy. Nie zdziwiłbym się, gdyby sam ją tu ściągnął. Teraz miał zebrać owoce tego zarozumiałstwa.

- A więc pani chce chorych ludzi zamykać do więzienia? - ruszyła do ataku.

W chwili, kiedy to się już zaczęło, wszystko się we mnie przekreśliło o sto osiemdziesiąt stopni. Nagle przeszła mi cała złość na Justynę. A może nie tyle przeszła, co została odroczone. Po prostu nie miałem sumienia w takiej chwili być przeciwko niej. Znowu, jakby wbrew sobie, zacząłem kibicować za Żelazną Dziewicą. Modliłem się, żeby tylko nie zaczęła się głupio bronić, że wcale nie chce nikogo zamykać do więzienia i w ogóle bardzo wszystkich ćpunów przeprasza. Widziałem po niej, że w pierwszej chwili miała na to ochotę. Już ją na tyle znałem. Była przerażona. Ładny ścisnął ją przelotnie za łokieć, jakby dawał jej znak. I pomogło. Wzięła się w garść.

- Myślę, że dla niejednego narkomana byłoby lepiej, żeby w porę trafił do więzienia, zamiast zostać na wolności. Przynajmniej ktoś by go zmusił do leczenia - powiedziała twardo.

Te słowa wywołały pomruk złości, ale przynajmniej nie śmiech. Tym razem podskoczyła ze swojego siedzenia chuda, myszata ćpunka, znana z tego, że pochodziła z bardzo wykształconej rodziny i pisywała arty do narkomańskich pisemek.

- Czy pani wie, o czym mówi? Jakie leczenie? Niech nas pani nie rozśmiesza. Była pani w więzieniu? Bo ja byłam. I wie pani co? Zwijałam się z bólu, a te skurwysyny specjalnie nie wysyłały mnie na detoks, bo myślały, że na głodzie zacznę sypać kumpli. Wie pani, jak to fajnie, kiedy w kiblu chce panią rozerwać na strzępy, kiedy ma pani wrażenie, że robi pani kupę wielkości piłki futbolowej? A te gnoje tylko się śmiały. Mówiły do mnie: Śmieciu, chcesz do doktora? To powiedz nam, kto był z tobą?

Teraz już Justyna nie dała się zbić z tropu. Wiedziała, do kogo mówi. Przecież nie do nich, oni i tak nie pójdą do wyborów. Mówiła do mikrofonów:

- Trzeba było mnie lepiej słuchać. Przed chwilą właśnie podkreślałam, że praca policji z uzależnionymi pozostawia wiele do życzenia, że trzeba ją ucywilizować, lepiej przygotować do wymagań, jakie stawiają nowe czasy. O to także chcę walczyć w Sejmie.

Ćpunka zniechęciła się. Tylko machnęła pogardliwie ręką i usiadła. Piękna wolontariuszka była groźniejsza. Nie odpuszczała:

- A gdyby tak pani dziecko zachorowało? Też kazałaby je pani zamknąć do więzienia?

No, aż mi się zrobiło gorąco. Wyobrażam sobie, jak ona się musiała czuć. Wkraczała na pole minowe.

- Nie mam jeszcze dzieci. A wolałabym nie rozmawiać o hipotezach. - Nie umiała ukryć napięcia.

- Ach, więc pani nie wie? To wygodne. Więc wyobraźmy sobie, że to brat, kuzyn, albo, czy ja wiem, o, uczeń. Uczniów przecież pani ma, prawda? I co? W razie czego zadzwoni pani na policję?

Justyna szybko spojrzała na mnie i zaraz zwróciła oczy w inną stronę. Po zakończeniu spektaklu na widowni zapalono światło, żeby kontakt wzrokowy był w obie strony i wiedziałem, że już wcześniej mnie zauważyła. Choć udawała, że jest inaczej. Bardzo się starała nie patrzeć w tę stronę albo przesuwiała wzrokiem ponad moją głowę. Teraz pierwszy raz nie wytrzymała. Zdawało się, że lalka zapędziła ją w pułapkę bez wyjścia. A przynajmniej bez dobrego wyjścia. Gdyby powiedziała, że tak, wyszłaby na sukę bez serca. Gdyby zaprzeczyła, oznaczałoby to, że ma inne poglądy na użytek wyborców, a inne prywatnie. Nie doceniłem jej talentu do kręactwa. Rozłożyła ręce.

- Szczerze? Nie wiem, co bym w takiej sytuacji zrobiła. Znając siebie, przypuszczam, że nie wydałabym bliskiej osoby. Ale jeszcze tego samego dnia złożyłabym rezygnację z wszystkich funkcji publicznych. Nie tak, jak wielu naszych polityków, którzy w podobnych przypadkach udają, że to ich nie dotyczy i kurczowo trzymają się foteli.

No i znów wykręciła kota ogonem na swoją korzyść. Ćpunów nie przekonała, ale telewizjom i tym razem powiedziała to, co chcieli usłyszeć. Nie poznawałem jej. Nie poznawałem tej Żelaznej Dziewicy, która tak niedawno prowadziła lekcję o „Murach” Jacka Kaczmarskiego. Teraz sama dokładała swoją cegielkę. Another brick on the wali. Przecież nie mogła tak się zmienić w ciągu kilku tygodni. Musiała już taka być, tylko się czaiła. Tak samo szczerza jak wtedy, kiedy lizała się ze mną w swojej bramie. Wszystko to już wiedziałem. A jednak czekałem na nią jak żebrak przy wyjściu, kiedy inni dawno już poszli, łącznie ze szczęśliwymi posiadaczami wygranych CD ROM-ów. Wreszcie, może po trzech kwadransach, wyszła. Ale nie sama, tylko w towarzystwie Jacka Ładnego, Dulemby i jakichś innych ludzi, pewnie z partii. Sądząc z brzmienia ich głosów, zaliczyli już tradycyjną lampkę wina. Dobrze, że przynajmniej nie było z nimi mojej matki.

- To ty? - zdziwiła się Żelazna Dziewica, ale było to zdziwienie na pokaz i wcale nie radosne.

- Chciałem pani profesor pogratulować - powiedziałem możliwie głośno.

Zatrzymała się, a towarzyszący jej mężczyźni poszli dalej. Zatrzymali się kilka kroków od nas i zerkali ciekawie, choć Ładny próbował odciągnąć ich uwagę, zaczynając jakąś dyskusję.

- Dziękuję ci, Kuba, ale teraz nie mam dla ciebie czasu - powiedziała cicho.
- W ogóle nie masz dla mnie czasu.
- Tak jest lepiej, Kuba.
- Zależy dla kogo. Spotkaj się ze mną.
- To nie jest dobry pomysł.
- Więc co miało znaczyć...

Przerwała mi, zanim zdążyłem skończyć. Chyba się przestraszyła, żebym nie powiedział za dużo.

- Przemyślałam to sobie. To było głupie, Kuba.
- Głupie!
- Tak. Kiedy ochłoniesz, sam dojdiesz do takiego wniosku. Na wakacjach o wszystkim zapomnisz.

Potem wyciągnęła do mnie wyprostowaną rękę, jak pani prezydentowa odwiedzająca trudną młodzież w ośrodku wychowawczym.

- Wesołych wakacji, Kuba - powiedziała tak głośno, żeby tamci usłyszeli. - Baw się dobrze!

No to pomyślałem, że będę się dobrze bawił. Jak cholera.

W jaki sposób znalazłem się w pociągu do Katowic razem ze Żmijką Huber? Sam nie wiem. Tak wyszło. Po prostu. Nie szukałem specjalnie tego towarzystwa. Ale też, kiedy się nadarzyło, nie uciekłem. Chyba z pięć godzin stałem przy wylotówce na Warszawę, łapiąc samochody na stopa i nikt się nie zatrzymał. Kierowcy ciężarówek zrobili się ostatnio chamowaci i kiedy czują, że nie masz zamiaru zapłacić, nie wezmą cię. A osobowi po prostu boją się brać facetów. I szczerze mówiąc, wcale im się nie dziwię. Zaczęło się ściemniać i nie było sensu dłużej tam sterczeć. Wsiadłem w autobus i przyjechałem na Dworzec Główny, bo dom był ostatnim miejscem, do którego w tej chwili chciałoby mi się wrócić.

Wpadłem na Żmijkę w hali kasowej, gdzie bezczelnie sępiła od podróżnych na bilet. Zaobserwowałem, że nie jest to głupia metoda. Zawsze znajdowali się frajerzy, którzy nie umieli odmówić i udawali, że wierzą w tę ściemę. Tym bardziej że Żmijka, kiedy się umyła i odpicowała, wcale nie wyglądała na ćpunkę. Teraz była ucharakteryzowana na normalną panienkę. Żadnych czubów, piercingów czy innych punkowatych gadżetów. Jakby nie chciała rzucać się w oczy. Sprawiała wrażenie zagubionego niewiniątka. Na moich oczach naciągnęła parę osób na kasę. Starszą emerytkę, faceta koło pięćdziesiątki, który patrzył na nią jak pies na kość, i parę młodych gejów. Wcale nie miałem zamiaru jej zaczepiać. Sama mnie zauważyła. I nawet wyglądała na ucieszoną, co mnie trochę zdziwiło. Po słynnym kotle na

melinie u Pacyfisty już jej nie widziałem.

- O, cześć! Dobrze, że cię widzę, bo już dawno chciałam ci podziękować.

Najwyraźniej była ujarana trawą, ale nie za bardzo. Na tyle, żeby przez najbliższą godzinę mieć pozytywny stosunek do rzeczywistości.

- Podziękować mi? Za co?

- Że się dla mnie narażałeś. No i że mnie nie wysypałeś.

- Skąd wiesz?

- Tego się nie da ukryć. - Zaśmiała się głupekowato, co uznałem za skutek działania THC.

- Nie ma za co - machnąłem ręką.

Pogadaliśmy chwilę o wszystkim i o niczym. Przyznałem się jej, że właśnie wyjechałem na stop, tylko nikt mnie nie zabrał. Wtedy zawołała:

- Ty, to jedź ze mną, co? Muszę zniknąć z Krakowa, a samej było mi łyso. Co ci zależy?

Nie zależało mi. Tego dnia nie dbałem o nic. Mogłem robić cokolwiek, więc równie dobrze mogłem pojechać ze Żmijką. Choćby na koniec świata. Okazało się, że tylko do Katowic. Na wejściu powiedziała mi tyle, że ma tam coś ważnego do załatwienia, a mnie ze Śląska będzie łatwiej wyrwać się stopem niż z Krakowa. To zupełnie wystarczyło, żeby mnie przekonać. Gdybym wiedział... Chociaż, po co się oszukiwać. Gdybym wiedział, też bym z nią pojechał.

Był to osobowy pociąg, prawie pusty. Za Jaworzmem w całej salonce oprócz nas zostały może cztery osoby. Żmijka złapała mnie za rękę.

- Boję się, wiesz? - powiedziała.

Pomyślałem, że to pewnie pierwsze objawy psychozy amfetaminowej. Żmijka od wielu miesięcy nie żałowała sobie ekstazki. To się musiało jakoś odbić.

- Wiem, myślisz, że to od dragów, co, nie? Mylisz się. Wcale tyle nie ćpam, jak ludzie mówią. Fakt, lubię się naspidować na rajwie, bo jak się wyszaleję do oporu, to na jakiś czas zapominam o tym całym syfie. Z tego samego powodu nie stronię od trawki. Ale od czystej fety trzymam się z daleka. A opiatów w życiu nie brałam.

- Jesteś pewna?

- Jasne. Po co bym cię miała okłamywać?

Powtórzyłem jej wykład, jaki usłyszałem od Mamy Cyc. Zaśmiała mi się w nos.

- Maryśka napojona herą? Nie wierz w takie bajki. Zwykła policyjna zmyła dla zastraszenia głupoli. Nikt się w to nie bawi.

- A że skun ma kilkanaście razy więcej THC od zwykłej trawy, też nieprawda?

- I co z tego? Nie musisz się tyle ojarać, żeby mieć dobrze. Mniejsza szansa, że dostaniesz raka. To źle?

Nie dało się ukryć, że Żmijkę mógłbym zagać z wielu innych przedmiotów, ale z tego była wyraźnie lepsza. Nawet nie było co się wygłupiać. Odpuściłem.

- To czego się boisz? - spytałem.

- Wdepnęłam w takie gówno, że nie masz pojęcia.

- Wiem.

- Nic nie wiesz. I lepiej, żebyś się nie dowiedział. Wierzyłem jej, że się ponarażała różnym gościom. Ale więcej chyba robiła koło tego szumu, żeby dodać sobie ważności. Zresztą, gdzie by się mogła schować?

- Gdzie się ukryjesz? - spytałem.

- W Rajchu. Tylko nie mów nikomu.

- I co tam będziesz robić?

- Nie wiesz, co panienka może robić w Rajchu? Taka otwartość mnie zmroziła.

- Wiem. I słyszałem, jak to wygląda. Zaśmiała się nieszczerze.

- Daj spokój. Żartowałam. Dałeś się nabrać. Jakoś sobie poradzę. Nikt już nie pamięta, ale przecież jeszcze niedawno byłam wzorową uczennicą. Znam trochę niemiecki. Mam tam nawet jakąś rodzinę, ale przed nimi na razie muszę się czaić. Od razu by mnie zakapowali do starych.

Nie wierzyłem jej. Nie wyglądało mi na to, żeby w ogóle poważnie myślała o ucieczce za granicę.

- Słuchaj, a nie lepiej byłoby od razu do nich uderzyć? Jacy są, tacy są, ale w takiej sytuacji na pewno ci pomogą.

Aż się wzdrygnęła i odsunęła ode mnie.

- To już wołałabym pójść do więzienia.

Śmiać mi się zachciało, takie to wydało mi się sztuczne.

- Nie przesadzaj. Rozmawiałem kiedyś z twoim ojcem i wydaje mi się, że jemu naprawdę na tobie zależy.

- I to jest właśnie całe moje nieszczęście - powiedziała.

Musiałem dziwnie na nią spojrzeć (tyle się teraz słyszy o nadużyciach seksualnych w rodzinie, że takie podejrzenie pierwsze się narzuca), bo zaczęła ostro zaprzeczać.

- Coś ty! To wcale nie to, co sobie pomyślałeś. On mnie prawie w ogóle nie dotykał. Boże, ale wymyśliłeś! Nawet jak łamaliśmy się opłatkiem w Wigilię, nie całował mnie. Jakby

się brzydził.

Odwróciła głowę w stronę okna. W szybie widziałem, że zagryza wargi.

- To o co chodzi? - spytałem, żeby przerwać ciszę.

- O co? - Znów złapała mnie za rękę, jakby bała się, że jej ucieknę. - Chciał mnie wyhodować na wzorcową sztukę, za którą mógłby dostać medal na wystawie. A ja już nie mogłam.

- Przecież byłaś dobra. Sama mówiłaś.

- W podstawówce. I może byłabym dalej, gdybym poszła do naszego liceum na osiedlu. Ale on oczywiście musiał mnie posłać do pieprzonej „Kuźni”.

- Przecież zdałaś.

- Ale za jaką cenę! Plułam krwią, żeby go zadowolić. Wszystko było za mało. O każdą czwórkę robił awanturę. Musiałam mieć same piątki i szóstki, jak w podstawówce. Koń by nie wytrzymał. Jakiś czas jeszcze ciągnęłam, bo sobie nie wyobrażałam, że można inaczej. Aż w końcu coś we mnie pękło. I to przez taki drobiazg, że nigdy byś nie pomyślał. Przez głupi pocałunek z chłopakiem. Stary mnie przyłapał, jak lizałam się w bramie z jednym koleśkiem. Pierwszy raz w życiu, kumaszczyk? Nawet nie miałam wielkiej ochoty, ale chciałam się w końcu przekonać, jak to całe lizanie wygląda. Jezu, co się działo!

- Zbił cię?

- On nigdy nie bije. Wolałabym, żeby bił, niż mówił takie rzeczy. Że jestem nie tylko kurwą, ale i wyrodną córką, że oni dla mnie wypruwają sobie flaki, a ja, zamiast poprawiać czwórki, szlajam się z chuliganami, bo porządni chłopcy takich rzeczy nie robią. Wyobrażasz to sobie? Pomyślałam: O nie! Przecież to obóz koncentracyjny. Koniec tej niewoli. No i popłynęłam. Dalej już wiesz.

Wagon kolebał się na niekończących się zwrotnicach, a Żmijka Huber ścisnęła moją rękę. Dojeżdżaliśmy do Katowic.

Naszego pobytu na Śląsku aż nie chce mi się wspominać. Wystarczy powiedzieć, że na pierwszy nocleg Żmijka zatargała mnie do meliny jakiegoś starego pedała, w odrapanej kamienicy niedaleko dworca. Kupiliśmy w nocnym sklepie sześciopak piwa i za to dziad rzucił nam materac w kącie kuchni. Od razu chciałem stamtąd wiać, ale Żmijka tłumaczyła, że u gejów czuje się bezpiecznie. No dobrze, a ja? Powiedziała, że jak położymy się razem, to mnie nie ruszą.

- Nie musisz się ze mną kochać, jak się brzydzisz. Wystarczy, że będziemy razem spać. Ale pozwolisz się przytulić?

Pozwoliłem, a jakie miałem wyjście? Zresztą, materac był za wąski, żeby spać na



dystans. Wcisnęła się we mnie jak małe dziecko i kilka chwil później spała. A ja nie mogłem. Z początku w mieszkaniu był spokój, dziad za ścianą w samotności popijał piwo i oglądał porno na wideo, sądząc z dobiegających z telewizora stękań. W środku nocy dołączyło paru innych facetów i czego ja się przez następne godziny nasłuchiwałem, tego nawet nie napiszę. Fakt, że do mnie nikt nie próbował się dobierać. Ale tylko czekałem, kiedy to się stanie i do samego rana prawie nie spałem.

Na drugi dzień Żmijka poprosiła mnie, żebym został z nią jeszcze trochę w Katowicach. Szukała kontaktu z kimś, kto przeczuciłby ją do Rajchu na lewym paszporcie. No i zostałem. Było mi jej żal. I może to się wyda bez sensu, ale nawet zaczynałem ją trochę lubić. Nie chciała mi powiedzieć, co dokładnie jej grozi.

- Po prostu muszę zniknąć, zanim psy zaczną mnie szukać. Chociaż, psy to jeszcze głupstwo...

Zapatrzyła się w coś za moimi plecami, a oczy miała naprawdę pełne strachu. Więcej się od niej nie dowiedziałem. Po dwóch dniach wyprowadziliśmy się z pedalskiej meliny, bo goście dziada jednak w końcu się mną zainteresowali. Następne noce przekoczowaliśmy na dworcu z menelami. W dzień zarabialiśmy kasę. Nauczyłem się sępić. Nigdy wcześniej nie sądziłem, że to takie proste. Wystarczy zapomnieć, kim się naprawdę jest. Stałem się po prostu jednym z nich, dworcowym sępem. Wielkich sukcesów nie miałem, ale zawsze na jedzenie i piwo usepiłem. Żmijka była dużo lepsza i potrafiła każdego dnia odłożyć parę złotych. Zauważyłem, że odkąd z nią byłem, nie jarała ani nie zarzucała ekstazki. Więc rzeczywiście nie była uzależniona. Tylko że sielanka na dworcu też nie trwała długo. Któregoś z następnych dni, a było to jeszcze przed południem, usłyszałem cichy głos Żmijki:

- Nie odwracaj się. Spadamy stąd. W tej chwili. Tylko nie biegnij.

Obejrzeliśmy się za siebie dopiero pod budynkiem sądu, gdzie stały dwa radiowozy i kręciło się pełno psów. Dopiero wtedy wytłumaczyła mi, że dworzec w Katowicach jest pod kontrolą i nie każdy, kto chce, może sobie na nim tak po prostu sępić.

- Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś?

- Bo byś od razu wymiękł. A tak mamy parę groszy.

Następna melina, do której trafiliśmy, to był istny kocioł. Niby normalne trzypokojowe mieszkanie w bloku, niby normalna rodzina, nawet z małymi dziećmi. A balanga przez całą dobę. Właściwie nie balanga, ale ponure chłanie, łykanie prochów i dawanie w żyłę. Gospodarze tylko chlali, ale każdy, kto przyszedł, mógł robić, co chciał. Melina narkotykowa była najwyraźniej w tej samej klatce, tamci jednak nie pozwalali dawać w żyłę u siebie.

Już po godzinie stało się dla mnie jasne, z czego żyją gospodarze, kiedy pojawiły się ich trzy lokatorki. Mówiły ze wschodnim akcentem, a profesję miały wypisaną na buźkach. Jedna była naprawdę fest lagą, ale jej koleżanki wyglądały jak podstarzałe robotnice z fabryki azbestu, świeżo wymalowane do trumny. Dały sobie po szybkiej bani i zaczęły opowiadać wrażenia spod jakiejś ściany płaczu. Najwyraźniej chodziło o jakieś miejsce, gdzie katowickie królowe nocy spotykają się z klientami. Potem przyszli jacyś nowi znajomi, nabrali ochoty. Zrobili zrzutkę i zaproponowali wschodnim pięknościom pracę w nadgodzinach. Zaczęła się zabawa, w trakcie której nawet nie odchodzili od stołu. Wszystko to działo się na oczach dzieci. Gospodarzom nie przyszło do głowy, żeby choć wygonić je do drugiego pokoju. Najwyraźniej były przyzwyczajone, bo spokojnie bawiły się w sklep pustymi flaszkami.

Trudno mi było udawać, że to mój normalny sposób spędzania wieczorów. Szczerze mówiąc, można było zniechęcić się do seksu na długo. Żmijka też wyglądała na zawstydzoną, ale trzymała się tej meliny, bo zdaje się, że miała nadzieję przez gospodarzy dostać swój wymarzony kontakt. Jednak w gruncie rzeczy wiedziałem o niej bardzo mało. Skoro знаła takie miejsca i to w obcym mieście, to chyba nie była taka niewinna, jak próbowała mi wmawiać.

Dwa dni później miałem dość. Tylko brakowało mi pomysłu, co dalej. To znaczy, pomysł miałem, tylko że nierealny. Wiedziałem o tym, a mimo to postanowiłem jeszcze raz spróbować. Do jakich poniżeń byłem zdolny? Poszedłem do najbliższego automatu i zadzwoniłem na komórkę Justyny. O dziwo, odebrała.

- To ty, Kuba? - Głos miała nawet dość łaskawy, pewnie dlatego, że byłem daleko. - Jak się bawisz?

- Świetnie.

- To się bardzo cieszę. No i co jeszcze mi powiesz?

- Spotkajmy się, Justyna.

- Znowu zaczynasz? Zdawało mi się, że tę sprawę już wyjaśniliśmy sobie wystarczająco.

Głos jej się od razu zmienił. Nawet nie była zła, tylko znudzona i zniecierpliwiona.

- Więc na pewno nie chcesz?

- Na pewno.

- To cześć.

Odwiesiłem słuchawkę. Teraz naprawdę było mi wszystko jedno. Wróciłem na melinę, opróżniając po drodze kilka puszek tyskiego mocnego. Balanga trwała. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Zabrałem się więc do opróżniania trzeciej. Gospodarze chlali. Ich

dzieci bawiły się w sklep. Jedna ze wschodnich prostytutek była w trakcie gry wstępnej ze starym facetem, którego wcześniej nie widziałem. Żmijka wydawała się całkowicie pograżona w rozmowie z dwiema pozostałymi. Na wersalce tonęła w szczęściu para młodych ćpunów, którzy regularnie przychodzili tu dawać sobie w żyłę. Zdaje się, że nawet nocowali. Dziewczyna przyjrzała mi się.

- Ale jesteś w dole, śliczny - wybełkotała. - Nie męcz się. Odpalę ci centa, chcesz? Chcesz, przecież widzę, że chcesz. Jak nie umiesz, to sama dam ci w żyłę. Za jedyną dychę cent i fachowa usługa. Wchodzisz?

Z tylnej kieszeni dżinsów wyjąłem banknot dziesięciozłotowy. Chwyliła go łapczywie. Wyciągnąłem rękę, zacisnąłem pięść i patrzyłem obojętnie na zbliżającą się strzykawkę wypełnioną brązowym płynem.

Żmijka skoczyła na ćpunkę w ostatniej chwili.

- Co robisz, zdiro?

- Spadaj. - Tamta próbowała ją odepchnąć. - Co cię to obchodzi? Pilnuj swojego nosa.

Żmijka z siłą, o jaką nigdy bym jej nie podejrzewał, chwyciła ćpunkę za sweter i dosłownie rzuciła nią o ścianę. W następnej chwili podniosła mnie i wypchnęła za drzwi. Potem niewiele pamiętam. Zdaje się, że zasnąłem, kiedy jechaliśmy autobusem. Nie wiem, jak dotransportowała mnie na dworzec i wsadziła do wagonu. Musiała mi jeszcze kupić bilet do Krakowa, bo miałem go w ręce, kiedy w pociągu obudzili mnie konduktorzy.

Teraz zbliża się świt, a ja siedzę w poczekalni i piszę ten art. Żeby nie zapomnieć. Bo jutro chyba nie uwierzę, że to mi się przydarzyło naprawdę. Prawie to zrobiłem. I zrobiłbym, gdyby nie Żmijka.

Wszystko jest skomplikowane, dopóki nie stanie się proste. Wraz z końcem roku szkolnego niespodziewanie nadeszły upały. Dzikie kąpielisko w dawnym kamieniołomie wapienia na Zakrzówku zappełniło się plażowiczami. Mimo ustawionych dokoła tablic zakazujących kąpieli, wielu z nich pływało w niebezpiecznych zatoczkach pod opadającymi pionowo skałami. Jacek Ładny wyłonił się z wody i przy pomocy rąk wy dostał się na kamienisty brzeg. Tuż obok opalały się na kolorowych ręcznikach Barska i Piontek, popijając piwo prosto z butelek. Szyjki dwóch innych flaszek, już opróżnionych, wystawały z plażowej torby. Nie zauważyły go. Przyglądały się chłopcom, skaczącym do wody z wysokiej skały po drugiej stronie zatoczki. Wykorzystał to i położył się na brzuchu za dużym kamieniem, obserwując kobiety spoza rosnących tu chwastów.

- Boże, nie mogę na to patrzeć - powiedziała Barska.

- Coś ty - zamruczała Piontek dziwnym tonem. - Sama bym z nimi skoczyła, gdybym się nie bała, że mi cycki urwie.

- Wariatka jesteś.

- Popatrz tylko, jacy oni są piękni. Nie bierze cię to? Nie wierzę.

- Bierze? Chyba na wymioty. Przecież każdy taki skok może się skończyć na wózku inwalidzkim.

- Jasne. Ci chłopcy też o tym wiedzą. Ale ryzykują. Bo oni chcą latać, Justa, latać. Tak jak wszyscy, jak my dwie. Tylko nam, stara, życie nie daje. A oni znaleźli metodę, widzisz?

- Też mi metoda. Na skręcenie karku. - Barska wzruszyła ramionami.

Kolejna naga sylwetka oderwała się od ściany kamieniołomu i wśród krzyków widzów spadła głową w dół, przebijając powierzchnię stawu.

- Widziałas? - powiedziała Piontek. - Ten był całkiem podobny do tego twojego małolata.

- Wcale nie.

- Jak nie! Tak samo chudziutki.

- Mam nadzieję, że Kuba nie jest takim idiotą.

- A ja odnoszę wrażenie, że większym. - Piontek pokiwała głową.

Położyły się na wznak i zamknęły oczy, wystawiając twarze do słońca. Ładny, korzystając z tego, że wciąż nie dostrzegły jego obecności, usiadł i bez skrępowania przyglądał się ich ciałom. Były niemal w jednym wieku, ale Barska lepiej się trzymała. Brzuch Piontek po dwóch ciążach nie wrócił całkiem do dawnego kształtu, a na udach pojawiły się delikatne rozstępy. Ładny przyłapał się jednak na tym, że owe zmiany wcale mu nie przeszkadzały, a nawet przeciwnie, w przewrotny sposób czyniły ciało policjantki jeszcze bardziej dla niego atrakcyjnym. Choćby nawet chciał swoje dawne nieudane podboje wykreślić z życia raz na zawsze, musiał przyznać sam przed sobą, że obie nadal bardzo mu się podobały, każda na swój sposób.

- Przyznaj się, on cię kręci? - spytała Piontek, nie otwierając oczu.

- Kto?

- Nie udawaj. Twój małolat.

- Co znaczy kręci?

- Masz na niego ochotę? Puściłabyś się z nim? Tylko szczerze.

- No wiesz? Chyba upał szkodzi ci na głowę.

Ładny zauważył, że Barska zaczerwieniła się pod świeżą opalenizną.

- Ale łiesz. - Piontek zaśmiała się, nisko i gardłowo. - Powiesz mi, że jak Waldka nie

ma w domu, a ty robisz sobie dobrze przed spaniem, to nie myślisz o swoich uczniach?

- Wiesz co, Gabi? Wal się! Nie robię sobie dobrze przed spaniem.

- A kiedy? - spytała Piontek niewinnie. - Z rana?

Barska poderwała się, rzuciła na przyjaciółkę, złapała za szyję i zaczęła potrząsać. Piontek, krztusząc się ze śmiechu, biła dłonią o ręcznik, jak zapaśnik, który daje przeciwnikowi znak, że się poddaje.

- Już dobrze, dobrze. - Odkasliwała, masując sobie gardło. - Wiem, że jesteś grzeczną dziewczynką, nie taką, jak stara świntucha Gabi Piontek. Ale nie udawaj, że chociaż sobie nie wyobrażasz...

- Musiałabym być chora.

- To ja chyba jestem chora. Bo ile razy widzę ładnego maślaka, to po prostu nie mogę. A ten twój Kuba to wstrętny smarkacz, ale jaki apetyczny. Jakie ma świeżutkie ciało, nie mów, że przynajmniej pomagać byś nie chciała.

- Nie odzywam się do ciebie.

- Taka zła? Bo wiesz, że mam rację. Nasi faceci już się wypalili, stara. A taki dzieciak? Wyobrażasz sobie, jaką musi mieć atomową erekcję? A szprycę? Jakbyś oberwała z armatki wodnej.

- Ciekawie się was słucha, dziewczynki - ujawnił się Ładny. Barska aż krzyknęła z zaskoczenia i wstydu. Piontek tylko obrzuciła go lekceważącym spojrzeniem.

- Ty się nie wtrącaj - zgasiła go. - Na ten temat nie masz nic do powiedzenia.

Ładny wstał bez słowa, stromą ścieżką wśród kwitnących ziół wspiął się na szczyt białej skały, spojrział w dół, na turkusową tafle wody, przypominającą szybę z bardzo grubego i twardego szkła, nie zastanawiając się ani przez chwilę złożył się jak scyzoryk i runął głową w dół. Wypłynął po kilku chwilach, łapiąc spazmatycznie oddech. Kiedy jego głowa ukazała się z powrotem nad wodą, obie kobiety odetchnęły z ulgą.

- O, nie mogę! - powiedziała Piontek. - Ale się chłopak przejął.

Dwa dni później Barska wracała do domu już po zmierzchu. Kazała taksówkarzowi zatrzymać się przy Parku Decjusza i dalej szła piechotą, rozluźniona, wdychając zapachy letniego wieczoru. Nieformalne spotkanie przedwyborcze z grupą przedsiębiorców udało się nadspodziewanie. Widziała wyraźnie, że zrobiła porażające wrażenie na mężczyznach zebranych w klubie biznesmena. Wielu wywodziło się jeszcze z komunistycznej nomenklatury, inni spośród handlarzy walutą albo prosto z wiochy. Na użytek prostaków nałożyła obcisłą, ale elegancką jasnoniebieską suknię, która pięknie harmonizowała z delikatną opalenizną i świeżo rozjaśnionymi pasemkami, które tak uwielbiał Waldemar

Barski. Nielicznych fachowców starszej i nowszej generacji oczarowała znajomością aktualnego prawa gospodarczego i deklaracją, że będzie się opowiadać za zmniejszeniem podatków i stóp procentowych.

Sława osoby opętanej manią antynarkotykową też jej w tym gronie nie zaszkodziła. Raczej pomogła. Większość z obecnych miała dzieci albo wnuki w wieku szkolnym i bolesną świadomość, że istnieje sfera życia, której nie kontrolują.

Jeśli chodzi o gry przedwyborcze, ostatnie dni miała naprawdę bardzo udane. Jacek Ładny wywiązał się z zadania. Po wywiadzie w „Gazecie Krakowskiej” zadzwoniło kilkanaście znaczących osób, został zacytowany w przeglądach prasy Polskiego Radia Kraków, BBC i „Polityki”. Równocześnie w czerwcowym numerze „Elle” ukazał się reportaż o niej i Waldemarze Barskim jako parze przyszłości. Został przygotowany jeszcze na wiosnę, dzięki zakulisowym staraniom Beaty Aschenbrenner, kiedy tylko zaczęło się mówić, że Barska może się znaleźć na liście wyborczej liberalów. Autorka tekstu nie zapomniała oczywiście wspomnieć, że jej bohaterka pochodzi z rodziny o pięknych tradycjach, jest córką słynnego historyka prawa, profesora Wojtali.

Barska wszystkie te zabiegi traktowała z pobłażaniem. Tak po prostu funkcjonował Kraków. I nie tylko Kraków. Albo trzeba było zaakceptować, albo dać sobie spokój. Na szczęście wszystko działo się jakby bez jej udziału. Sama nie kiwnęła palcem, całą robotę załatwiali inni. Poczula, że zaczyna płynąć na fali, która naprawdę może ją zanieść aż do Sejmu. I ta perspektywa coraz bardziej się jej podobała.

Tylko myśli o Kubie Mazurku zakłócały jej spokój. Po ostatniej rozmowie z nim, kiedy zaczął ją po imprezie w Nowohuckim Centrum Kultury, była bardzo z siebie zadowolona, że okazała taką stanowczość. Ale kiedy potem przestał się odzywać, najpierw czegoś jej brakowało, aż wreszcie zaczęła się niepokoić. W końcu nie wytrzymała i zadzwoniła do Anny Mazurkowej, od której dowiedziała się, że chłopak wyjechał na autostop. Wtedy poczuła się trochę urażona, że tak łatwo z niej zrezygnował. Ale ostatecznie tak było lepiej. I wygodniej. Gdyby spotykali się nadal, mogłoby to ich zaprowadzić nie wiadomo dokąd. Ten jeden wieczór powinien pozostać dla obojga tylko uroczym wspomnieniem. Tak nakazywał rozsądek. Już zaczęła się z tym godzić, kiedy poprzedniego dnia znienacka zatelefonował skądś spoza Krakowa, z automatu. Poczula równocześnie radość, że nie zapomniał, i złość, że znów zawraca jej głowę. A potem miała żal, że nie zadzwonił jeszcze raz. Teraz powtarzała sobie od nowa, że właśnie tak jest dobrze.

Dochodziła już do swego apartamentowca, zatopiona w tych rozmyślaniach, kiedy nagle wzdrygnęła się i krzyknęła cicho. Prawie potknęła się o kogoś, kto wydawał się spać na

chodniku, plecami oparty o mur. Głowę zakrywał mu kaptur od dresu. Przypominał ćpunów dogorywających w bramach wokół Plant. Tyle że w tej okolicy nigdy wcześniej ćpunów nie widywała.

Cofnęła się i już miała ominąć nieruchome ciało jak największym łukiem, kiedy jej wzrok padł na długą, wąską dłoń, którą od razu poznała. Cały jej spokój, z takim trudem odzyskany przez ostatnie dwa tygodnie, uleciał w jednej chwili. Przykucnęła obok i potrząsnęła leżącego za ramię.

- Na miłość boską, Kuba, co ty wyprawiasz? Ocknął się, poderwał z chodnika.

- Przepraszam cię, długo nie przychodziłaś, zmorzyło mnie. Przyjrzała mu się. Nawet w świetle latarni nie wyglądał dobrze.

- Ale co ty tu robisz?

- Przepraszam - powtórzył. - Nie miałem dokąd pójść. Nie chcę ci sprawiać kłopotu. Pomóż mi tylko. Pożycz trochę kasy. Oddam ci, jak tylko dostanę od ojca.

- Jak to, nie mogłeś pójść do domu?

- Nie chcę, żeby mnie matka zobaczyła w takim stanie.

- W jakim stanie? Jesteś zaćpany? - przeraziła się.

- Ona by pomyślała dokładnie to samo. - Zaśmiał się szyderczo. - Nie, nie jestem zaćpany, tylko wykończony. Ale nie mam siły tłumaczyć tego matce. Poza tym boję się, że może chodzić za mną policja.

- Co znowu zrobiłeś?

- Nic nie zrobiłem. Mogą się mnie czepiać, co wiem o zniknięciu Żmijki, wiesz, Iwony Huber. A ja nie mam ochoty z nimi rozmawiać.

- Załóżmy, że pożyczę ci pieniądze. No i gdzie pójdziesz?

- Są wakacje. Trochę się powłóczę, a potem zobaczymy. Nie potrzebuję dużo. Pożycz mi dwieście złotych i już mnie nie ma.

- Nie ma mowy - zdecydowała nagle. - Przede wszystkim trzeba cię wykąpać i nakarmić.

Bezskutecznie próbował ukryć radość, jaką sprawiły mu jej słowa.

- A twój mąż? - spytał.

- Nie ma go. Dostał nową dużą robotę w Zakopanem. Buduje obrzydliwie luksusowy hotel dla obrzydliwie bogatych ludzi. Tak się ich boi, że osobiście wszystko nadzoruje. W domu pojawia się raz na parę dni. Dzisiaj nie przyjedzie.

- Jesteś pewna, że chcesz?

- Nie marudź, bo się rozmyślę.

Otworzyła kluczem wejściowe drzwi i popchnęła go przed sobą.

- Pośpiesz się, bo jak sąsiedzi zobaczą, to pomyślą, że prowadzę melinę.

- Wstydzisz się mnie?

- Gdybyś się zobaczył, też byś się wstydził. Gdzie ty się obracałeś?

- W melinach też.

- Pięknie.

- Zależy ci?

- Poświadczyłam za ciebie na policji.

- Jaka szlachetna.

Wepchnęła go do mieszkania i z ulgą zatrzasnęła drzwi. Nie mógł powstrzymać taksującego spojrzenia.

- Co, chciałbyś mnie udusić i obrabować? - spytała. - Naiwny, tu nic nie ma. Siedzimy w długach po szyję.

- Szkoda, bo właśnie taki miałem plan. - Zrobił zawiedzioną minę. - A nawet lepszy, bo jeszcze całą noc zabawiałbym się twoimi zwłokami.

Zbliżył się do niej z łatwym do odgadnięcia zamiarem. Odsunęła się.

- Rany, ale cuchniesz - powiedziała. - Ściągaj te szmaty i włącz pod prysznic, a ja tymczasem wrzucę je do pralki.

- To w czym będę chodził?

- Nie martw się, to pralka najnowszej generacji. Długi długami, ale sprzęty mój mąż musi mieć najlepsze. Za godzinę wszystko będzie suche.

- I wtedy już będę mógł sobie pójść?

- Sam tak mówiłeś, prawda?

- Jasne.

Nawet nie wiedziała, kiedy zaczęli się całować. Ani które zaczęło pierwsze. Wreszcie oderwała się od niego.

- Kuba, coś ty narobił? - spytała. - Dlaczego tu przyszedłeś?

- Żeby cię zobaczyć.

- Od razu tak pomyślałam - westchnęła.

- A ty nie chciałaś? - spytał, nagle z wielką pewnością siebie.

- Wiesz, trudno mi zaprzeczać chwilę po tym, jak ci wpychałam język do gardła. Ale to nie jest takie proste. Trochę chciałam, a trochę nie.

- A co bardziej?

- Chyba bardziej nie chciałam. Już prawie zaczęłam odyskiwać spokój.



- A ja nie. Mnie było coraz gorzej. Jeszcze raz westchnęła głęboko.
- Znów nie dotrzymujesz umowy. Miałeś się najpierw wykapać.
- A ty znów grasz na zwłokę. Ale jak chcesz.

Szybko rozebrał się przed nią na środku pokoju i nagi poszedł do łazienki, odrzucając do tyłu swoje długie włosy z zabawną chłopięcą dumą. Ledwo się powstrzymała, by za nim nie pobiec.

Wrzuciła do pralki jego dzinsy, koszulę i bluzę od dresu. Potem zajęła się kolacją. Kiedy długo nie wychodził, poczuła niepokój. Do Zakopanego było zaledwie sto parę kilometrów i choć Barski zapowiedział, że nie wróci na noc, mógł zmienić plany. Samo wpuszczenie Kuby Mazurka do mieszkania było ryzykowne. A co dopiero nakłonienie go, żeby rozebrał się do naga.

- Chyba zwariowałam - powiedziała na głos sama do siebie. Wreszcie wyłonił się z mokrymi włosami, nieokryty nawet ręcznikiem.

- Co tak długo? - spytała.

- Czekałem na ciebie - powiedział z pretensją.

- Naoglądałeś się filmów nieodpowiednich dla twojego wieku. Pralka zakończyła właśnie suszenie jego ubrań.

- No dobrze, pokazałeś, że jesteś piękny jak Adonis, a teraz się ubierz. Twoje majtki i skarpety wyrzuciłam, bo nie byłam pewna, czy moja pralka by to wytrzymała. Masz tu nowe.

Obejrzał części męskiej bielizny, które mu podała. Slipy miały naszywkę Hugo Bossa. Na skarpety wystarczyło spojrzeć, by się zorientować, że nie były kupione za dwa złote w supermarkecie.

- Jego rzeczy? - oburzył się.

- Nie masz wyjścia. Zresztą, to nie są jego rzeczy, tylko nowe.

- A jak się zorientuje?

- Nie zorientuje się. Ja robię zakupy.

- Takie też?

- Owszem. On jest na to za wielki prezes.

Rozmowa o mężu wyraźnie Kubę zdeprymowała. Jakby chciał to ukryć, znów chwycił ją w ramiona. Tym razem nie pozwoliła się pocałować.

- Zostaw.

- Przecież ty też chcesz - nadal grał pewnego siebie.

- Jak się ubierzesz.

- Dlaczego?

- Jeszcze nie jest tak późno. Może ktoś wpaść z wizytą.
- To nikogo nie wpuszczaj.
- Nie jestem z tych, którzy udają, że ich nie ma w domu.
- I jak wytłumaczysz, co ja tu robię?
- Łatwiej wytłumaczyć, co mój uczeń robi u mnie ubrany niż goły. No już! Bo się pogniewam.

Wzruszył ramionami i naciągnął na biodra slipy od Hugo Bossa. Kilka chwil później siedział kompletnie ubrany za stołem i pochłaniał wołowy befsztyk z frytkami i sałatką z pomidorów, popijając czerwonym montepulciano d'abruzzo. Ona siedziała naprzeciw niego tylko z kieliszkiem wina i opierając brodę na rękach, przyglądała mu się.

- Wiesz, że jeśli nie liczyć mojego ojca i męża, jesteś w moim życiu pierwszym facetem, któremu zrobiłam kolację?

Nie powinna tego mówić. Każdy krok pogłębiający zażyłość z Kubą Mazurkiem prowadził w stronę kłopotów. Już to wiedziała. A jednak robiła kolejne głupstwa, które potem próbowała odkręcać. Właśnie się przekonała, że nieskutecznie.

- Ty też, poza moją matką, jesteś jedyną kobietą, która to dla mnie zrobiła.

I w tym momencie powinna go wyrzucić. Był wykąpany i nakarmiony. Powinna zadzwonić do najbliższych hoteli, znaleźć mu pokój, zamówić taksówkę, dać mu pięćset złotych i pożegnać. I od rana stać się dla niego nieuchwytną aż do końca wakacji. Zamiast tego powiedziała:

- Kuba.

- Proszę?

- Wiesz, że naprawdę jesteś piękny? Zastygł z ostatnią frytką w ustach.

- Kpisz sobie ze mnie?

- Wcale nie.

- Jestem chudy, mam wąskie ramiona i mięśnie jak u wróbla - ocenił się samokrytycznie.

- I to jest właśnie piękne.

- Czy to znaczy, że dziś będziemy... - urwał.

- Się kochać? - dokończyła za niego. - Możliwe. Jeśli czegoś nie popsujesz. Pozwól mi regulować tempo, dobrze?

Zgasiła górne światło, zmieniła płytę w odtwarzaczu. Posadziła go na kanapie i usiadła mu na kolanach. Odtwarzacz śpiewał głosem Martyny Jakubowicz:

Siedzę nad rzeką, Nie dbam o szmal.

Jestem daleko...

- Możesz zacząć mnie rozbierać - szepnęła mu do ucha.

Nie miała już na sobie sukni, którą wieczorem czarowała biznesmenów. Zamieniła ją na szeroką domową spódnicę i wpuszczoną w nią bluzkę, zapinaną na guziki. Teraz Kuba rozpiął je po kolei, odsłaniając powoli piersi Żelaznej Dziewicy, wolne od biustonosza. Oglądał je przecież nie pierwszy raz, ale trudno mu było ukryć wrażenie, jakie cały czas na nim robiły. Przez długą chwilę siedział bez ruchu i tylko patrzył na nie i na okrągły brzuch swej wychowawczynie, z tajemniczym otworem pępka pośrodku. Potem sięgnął do zapięcia spódnicy.

- Jeszcze nie.

Chwyliła jego dłoń i położyła sobie na kolanie. Nie był do końca przekonany, czy na pewno o to chodzi, ale począł gładzić jej uda, coraz wyżej i wyżej, aż doszedł do końca. Musiał się poczuć trochę zbity z tropu, bo choć tym razem nie miała na sobie majtek, wcale nie było tam tak wilgotno i ślisko, jak pamiętnej nocy nad jeziorem. Syknęła cicho i przez spódnicę zaczęła kierować jego palcami. Teraz już szybko wilgotniała coraz bardziej. Nagle zeszywniała, zerwała się z kanapy, narzuciła na siebie bluzkę i zanim zorientował się, co się dzieje, wybiegła na taras. Dopiero teraz uświadomił sobie, że na cichej o tej porze ulicy przed chwilą zatrzymał się jakiś samochód. Jego silnik wciąż pracował. Barska wróciła uśmiechnięta, kręcąc głową.

- Boże, ale jestem tchórz. To sąsiedzi wrócili z imprezy. A ja już myślałam, że to mój mąż.

- Czy twój mąż nie wjechałby do garażu? - zdziwił się Kuba.

- O tej porze mógł być po tyłu drinkach, że wzięłby taksówkę.

- Z Zakopanego?

- Wrzuciłby to w koszy - wzruszyła ramionami. Usiadła mu na kolanach i zaczęła całować.

- Musimy zacząć od początku - szepnęła. - Przepraszam cię. Tym razem poszło trochę szybciej i godzinę później, oboje nadzy, przenieśli się na ogromną rozkładaną kanapę.

- Pościel jest tylko moja. Z Barskim tu nie śpię - zapewniła go.

Zacząła go pieścić coraz gwałtowniej i jemu pozwoliła na to samo. Wreszcie wyszeptała:

- Teraz już możesz robić, co chcesz. Tylko mi jeszcze nie wkładaj, proszę.

Zaskakująca niekonsekwencja tej prośby na chwilę trochę go dezorientowała. Potem najwyraźniej doszedł do wniosku, że wstydziła się wyrazić wprost swoje pragnienie, bo

zaczął całować ją po brzuchu, zsuwając się coraz niżej. W tej samej chwili usłyszał, że w pobliżu budynku zatrzymał się kolejny samochód. Już kiedy nadjeżdżał, Barska cała się spięła. Teraz poderwała się z pościeli i naga podbiegła do drzwi prowadzących na taras. Kuba leżał nieruchomo, z ramieniem pod głową i przyglądał się jej białym pośladkom, skierowanym w jego stronę, kiedy wychylała głowę przez zasłonę.

Odwróciła się z przerażeniem w oczach.

- Jezu! Teraz to naprawdę on. Podbiegła do Kuby i szarpnęła go za rękę.

- Ściemniasz - powiedział. - Nie wygłupiaj się.

- Wyskakuj, nie ma czasu na dyskusje.

- Zostaw mnie - protestował. - Poradzę sobie z nim.

- Chyba zwariowałeś. Nie znasz go. A poza tym, pomyśl, do cholery, co ja potem zrobię?

Jedną ręką zbierała z podłogi jego rzeczy, a drugą popychała go w stronę drzwi tarasowych. Nie dała mu już szansy na żaden opór. Nagiego wypchnęła na zewnątrz, wyrzucając za nim jego ubranie.

- Nie wychodź stąd, cokolwiek by się działo. Rozumiesz? Pod żadnym pozorem.

Zamknęła za nim drzwi i zaciągnęła zasłony. Szok był tak potężny, że Kuba w zdenerwowaniu nie trafiał w nogawki i rękawy. Trzęsącymi się rękami nie mógł nałożyć sobie skarpetek, wreszcie schował je do kieszeni i wsunął adidasy na gołe nogi. Ledwo się ubrał, usłyszał, że Barski wszedł do mieszkania. A więc nie był to kolejny wybieg Żelaznej Dziewicy. Musiał uważać, żeby nie potrącić w ciemności stolika i składanych krzesełek, ustawionych pośrodku tarasu. Jedna z kwater okiennych była uchylona i słyszał wyraźnie rozmowę prowadzoną wewnątrz.

- Jeszcze nie śpisz? - Głos prezesa nie wydawał się głosem kochającego i stęsknionego męża. - Aha, pijamy sobie w samotności.

Znaczyło to, że zdążyła posprzątać ślady, świadczące o czymś zupełnie innym.

- Czy ja tobie wyliczam kieliszki? - zdenerwowała się.

- Ja przynajmniej nie piję do lustra - odpowiedział z odcieniem pogardy, jaką najwyraźniej żywił dla ludzi, którzy to robią.

- Wolę sama niż z byle kim - odparła.

- Ostatnio jakoś nie stosujesz się do tej zasady.

- Możesz mi wyjaśnić, co to za aluzje? Kogo masz na myśli?

- Oczywiście, że mogę. Tego twojego pierdolonego pismaka w śmierdzących dżinsach.

- Jego dzinsy nie śmierdzą.
- Skąd wiesz? Wąchałaś?
- Jesteś obrzydliwy. Dobrze wiesz, ile zrobił dla mojej kampanii.
- Fakt, jest przydatny. Dlatego jeszcze to wszystko toleruję.
- To znaczy, właściwie co tolerujesz? - spytała kłótliwie.
- Nie wiem. I nawet nie chcę wiedzieć.
- Nie, no, powiedz. Co właściwie masz mi do zarzucenia?
- Choćby to, że pokazujesz się z kimś takim publicznie.
- Pokazuję się także ze złodziejami, których ty zapraszasz.
- Ostrożnie! Sama korzystasz z ich pieniędzy. I bardzo to lubisz.
- Jesteś pewny? Nagle zmienił ton.
- Przepraszam, nie wypominam ci. Nie kłóćmy się.
- Nie ja zaczęłam.
- Wiem. Powiedziałem: przepraszam. - W jego głosie pojawiło się nagle znużenie. -

Jestem rozdrażniony.

- Stało się coś? - spytała.
- Zgadłaś. Mamy problem. I to właśnie przez twojego redaktorka. To dlatego trochę mnie poniosło. Musisz mi pomóc.
- Chętnie. Ale nie możemy porozmawiać o tym rano?
- Rano muszę być z powrotem w Zakopanem. Nie mogę tracić kontroli nad wypadkami.
- Więc przyjechałeś w środku nocy tylko po to, żeby mi to powiedzieć? Nie mogłeś zadzwonić?

- To nie jest sprawa na telefon. I trzeba ją załatwić od ręki, zanim będzie za późno. Wszystko ci zaraz wyjaśnię, tylko najpierw pójde do łazienki. Zrób mi tymczasem kawy.

Kuba przeraził się, że kiedy Barska będzie w kuchni, jej mąż może wyjść na taras, choćby po to, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. A nie było tu niczego, za czym mógłby się ukryć. Pozostawała tylko ryzykowna droga na dach. Co właściwie mógłby powiedzieć Barskiemu, gdyby ten złapał go na tarasie? W najlepszym razie wzięłby go za złodzieja i oddał w ręce policji. A wtedy i tak wszystko by się wydało.

Nie wahał się dłużej. Podciągnął się na rękach i wspiął na dach. Treningi na sztucznej ścianie wspinaczkowej w hali Korony wreszcie na coś się przydały. Ledwo zdążył schować się między szerokimi kominami przewodów wentylacyjnych, usłyszał, że drzwi na taras naprawdę się otworzyły. Po chwili doleciał go zapach dymu z papierosa, a kilka minut

później głos Barskiej, w którym brzmiały nutki skrywanego przerażenia:

- Waldek, gdzie jesteś?

I spokojna odpowiedź Barskiego, tak bliska, jakby stał tuż obok:

- Tutaj, na tarasie.

- Kawa gotowa - powiedziała już mniej nerwowo, ale z lekkim zdziwieniem.

- Przynies tutaj. Tu jesteśmy bliżej nieba. A jeśli ty nas nie uratujesz, tylko modlitwa będzie mogła nam pomóc.

- Przerażasz mnie - głos Barskiej, też już całkiem bliski.

- Bo sam jestem przerażony. Jeśli ten twój Ładny nie da się przekonać, wielu ludzi utonie. A my razem z nimi.

- Wyjaśnisz mi wreszcie?

- To są kwestie finansowe. The Pułaski Investments ma kłopoty. Jeśli nie dostanie nowej pożyczki, żeby dokończyć zaczęte inwestycje, padnie. A jeśli padnie Pułaski, padnie Progress Bank, który mu udzielił ryzykownych kredytów. Chodzi o to, żeby o sytuacji nie dowiedzieli się właściciele kont i nie zaczęli uciekać z pieniędzmi.

- Co ma do tego Ładny?

- Dostał takie kwity na Progress Bank, że jeśli to rozgłosi, będzie po nas.

- Kto mu dał?

- Ktoś, kto nam źle życzy. A temu pismakowi wydaje się, że może jeszcze zrobić karierę. Chce na tym gównie wypłynąć. O ile wiem, ma już gotowy albo prawie gotowy artykuł. Może go opublikować każdego dnia, a wtedy wylecimy w powietrze. Choć on jest za głupi, żeby przewidzieć wszystkie konsekwencje.

- Skąd ty wiesz, co robi Ładny?

- Też mam swoich informatorów.

- Domyślam się. Nie rozumiem tylko, co my mamy z tym wszystkim wspólnego. Mówiłeś mi, że dla Pułaskiego jesteś tylko wykonawcą. Więc co cię oni obchodzą?

- Po pierwsze, jeszcze mi nie zapłacili, bo nie mają czym. I nie zapłacą, jeśli nie dostaną nowego kredytu. A wtedy ja leżę.

- A po drugie?

- To nieprawda, że jestem tylko wykonawcą. Siedzę w tym po uszy. Załatwiłem dla nich parę delikatnych spraw i jeśli zaczną ich trzepać, dojdą i do mnie. Nie mówiąc o tym, że paru czcigodnych radnych trafi do pudła.

- No, pięknie. Choć czuję, że ciągle nie mówisz mi wszystkiego.

- Bystra jesteś. Zgadnij, kto lokuje kasę w Progress Banku?

- Ty mi powiedz.
- Miasta. Gminy. Duże firmy państwowe.
- Czyli powierzają tym kombinatorom pieniądze przeznaczone na szkoły, na szpitale, na wypłaty dla pracowników?
- Dokładnie. Progress Bank był od początku tak pomyślany, żeby przepompowywać publiczny grosz do prywatnych biznesów.
- Co za świństwo.
- Tak właśnie tworzy się polski kapitalizm, skarbie. Tylko że panuje totalna hipokryzja, każdy boi się nazywać rzeczy po imieniu. Więc jeśli ten Ładny wywoła skandal, najlepsi klienci ze strachu przed tak zwaną opinią publiczną zaczną wycofywać lokaty. I będzie katastrofa. Przy okazji tysiące biednych ludzi stracą swoje oszczędności. Sama powiedz, czy to będzie sprawiedliwe?
- Waldek, w co ty się wpakowałeś?
- Nie bądź głupia. Dziś w Polsce nie da się zbudować sracza, żeby nie popełnić jakiegoś przestępstwa. Więc co za różnica?
- Właśnie przez takie gadanie ten kraj nigdy się nie dźwignie.
- Wiesz co, skarbie? Może niedługo sama będziesz uchwalać ustawy, których jedynym celem będzie napełnienie kieszeni paru o wiele większym złodziejom. Więc nie udawaj niewiniątka.
- Dobrze, skończmy tę głupią dyskusję. Czego właściwie ode mnie oczekujesz?
- Że wybijesz pismakowi z głowy pisanie o tym. - Ja?
- Właśnie. Prezesi Pułaskiego tak robią po nogach, że już byli gotowi zaoferować mu łapówkę, co im na szczęście wyperswadowałem. On jest na tyle głupi, że mógłby woleć sławę nieprzekupnego od szmału.
- A ja co niby mam mu zaoferować?
- Oczywiście, że nic. Wystarczy, że poprosisz.
- Ach, uważasz, że to wystarczy?
- Jestem prawie pewny.
- Jesteś łajdak, wiesz?
- Nie, skarbie. Po prostu troszczę się o ciebie, o naszą rodzinę. Nie zapominaj, że chodzi także o oszczędności twojego ojca, które ciulał przez pół życia z profesorskiej pensyjki.
- Jesteś łajdak do kwadratu.
- Po prostu zrób to.

- Teraz?

- Nie będzie lepszej pory. Nawet sam ci wybiorę numer, gdybyś nie pamiętała. Proszę. Krótka chwila przerwy i znowu głos Barskiej:

- Jacek? Przepraszam, że cię obudziłam, ale sprawa jest pilna... Nie, to nie ma nic wspólnego z Kubą Mazurkiem. O ile wiem, jest na autostopie. Ale mam do ciebie wielką prośbę... Krótko mówiąc, odpuść sobie sprawę Progress Banku... Wszystko ci wyjaśnię, ale obiecaj mi, że nic o tym nie napiszesz... Wyobrażam sobie, że jesteś zaskoczony. Ale uwierz mi, że to by zaszkodziło wielu porządnym ludziom... Komu? Mojemu tacie, na przykład... Jacek! Trudno mi o tym dyskutować przez telefon. Powiem tyle, że jeśli puścisz ten tekst, będę musiała zrezygnować z twojej pomocy w kampanii... Nie szantażuję cię. Po prostu nasza dalsza współpraca stanie się niemożliwa. A mnie będzie bardzo przykro... Obiecujesz?... Wielkie dzięki. Całuję cię, pa.

Potem spytała:

- I co? Zadowolony? Dobra byłam?

- Sam bym tego lepiej nie zrobił. - Sądząc po brzmieniu głosu, Barskiemu wyraźnie poprawił się humor. - Która to godzina? Dochodzi wpół do czwartej. To znaczy, że mamy jeszcze czas na szybki numer.

- O nie!

- O tak! Jesteś moją żoną, a ja twoim mężem. Więc nie traktuj mnie jak żebraka.

- Nie traktuję cię jak żebraka. Ale czy myślisz, że po tym, jak mnie potraktowałeś, mogę mieć ochotę kochać się z tobą? Czuję się cała brudna.

- Lubię cię brudną.

- Puść mnie. Zabierz te łapy, słyszysz?

- Nie doprowadzaj mnie do ostateczności, dobrze? Nie zmuszaj, żebym znów zrobił to siłą. Wiesz, że jestem silniejszy.

- Już mnie dzisiaj zgwałciłeś psychicznie. Nie wystarczy ci?

- Wcale cię nie musiałem gwałcić. - Zaśmiał się szyderczo. - Sama zrozumiałaś, że nie byłoby miło zostać tylko z nauczycielską pensyjką.

- Budzisz we mnie obrzydzenie.

- Doprawdy? Przede mną nie będziesz udawać Żelaznej Dziewicy. Za dobrze się znamy.

- Puszczaj, świni!

- No, co jest? O co ci chodzi? Dlaczego już nie jesteś dla mnie taka jak dawniej?

- Bo ty nie jesteś już taki jak dawniej.



- Jaki? Czy cię już nie kocham? Nie wypruwam sobie dla ciebie żył? Nie należy mi się za to odrobina uczucia?

- To nazywasz uczuciem?

- A ty od kiedy tak wysubtelniałaś? Nie pamiętasz już, co kiedyś ze mną wyprawiałaś? I to bardzo chętnie. A teraz wydaje ci się, że robisz mi łaskę, bo raczysz rozłożyć nogi?

- Proszę cię, postaram się być miłsza. Ale dziś mnie nie zmuszaj. Nie po tym wszystkim.

- Po czym wszystkim, co? Po czym wszystkim?

- Puszczaj!

- Rozbieraj się, bo podrę te szmaty na tobie.

- Drzyj, jak już inaczej nie potrafisz! - krzyknęła.

Z tarasu dobiegały teraz odgłosy szamotaniny. Potem rzeczywiście dźwięk rozdzieranego materiału. Krzyk Barskiej. I stłumiony, wściekły głos jej męża:

- Zamkniesz się czy nie?

Odgłosy walki przeniosły się do mieszkania. Trzasnęły zamykane drzwi. Kuba za kominem trząsał się z chłodu i z emocji. Nie wiedział, co ma robić. Bał się, że uśnie i spadnie z dachu. A kiedy zdrętwieje z zimna, nie będzie w stanie wrócić na taras. Wolał zaryzykować i zrobić to wcześniej. Skoncentrował się, zsunął się po dachu na brzuchu i z powrotem opuścił na rękach na dół. Niemal przyłgął uchem do okna. Znowu usłyszał podniesiony głos Barskiego:

- Kładź się, bo nie ręczę za siebie.

Po chwili rozległy się dwa kłaśnięcia, jakby uderzenia otwartą dłonią w twarz. I jeszcze kilka następnych. Wreszcie przeciągły jęk Barskiej. Kuba słyszał szczekanie własnych zębów. Co mógł zrobić? Może powinien wpaść do środka z brzękiem tłuczonych szyb i zrobić z prezesem porządek. Ale przecież Barska kazała mu siedzieć cicho i nie ujawniać się pod żadnym pozorem. Pozostała mu więc tylko rola milczącego świadka, dygocącego w porannym chłodzie.

Teraz słyszał w środku stękania Barskiego, ciche jęki jego żony i rytmiczne, wilgotne plaśnięcia, coraz szybsze i głośniejsze, których znaczenia mógł się jedynie domyślać. Uświadamiały mu tylko boleśnie, jaki jest żałosny. Nagle prezes krzyknął z wściekłością, ale i rozpaczą:

- No, kurwa, zrób coś! Rusz tą zimną dupą! Jestem twoim mężem. Kochaj mnie!

Chwilę później wydobył z siebie głuche, rozdzierające stęknięcie, jakby został śmiertelnie trafiony, a potem rozplakał się. Było to trudne do uwierzenia, ale bez żadnej

wątpliwości prawdziwe. Prezes Barski głośno szlochał.

Wreszcie za drzwiami zapadła grobowa cisza. Kuba Mazurek osunął się na posadzkę tarasu. Był zeszywniały z zimna. Nie byłby w stanie wspiąć się z powrotem na dach i gdyby Barski znowu otworzył drzwi, nic by go nie uratowało.

Po pięknym i ciepłym wieczorze nad Krakowem wstawał pochmurny świt. Poblądle światła ulicznych latarni gasły jedne po drugich. Kuba zapadł w nerwową drzemkę, przerywaną co chwila przez wrzaski gawronów, które budziły się w Lesie Wolskim. Na dobre otrzeźwiło go trzaśnięcie samochodowych drzwiczek. Podpełził do skraju tarasu i wyjrzał na ulicę. Taksówka z prezesem Barskim właśnie odjeżdżała. Jaszczcze raz poczuł się cudem uratowany.

Drzwi na taras otworzyły się i stanęła w nich Barska w szlafroku, z opuchniętą twarzą i potarganymi włosami. Osunęła się na kolana obok Kuby.

- Wybacz mi - powiedziała. - Nie mogłam inaczej.

Był zbyt odrętwiały, by spytać, co ma jej wybaczyć. Bo powodów mogło być kilka. Objęła go ramieniem i wprowadziła do mieszkania. Palce miał tak zgrabiałe, że nie mógł sam rozpiąć guzika przy dzinsach i musiał poprosić o to Barską. Dopiero potem poszedł wreszcie do łazienki, pachnącej agresywnymi męskimi perfumami. Teraz było mu to obojętne. Wrócił i na stoliku przy kanapie zauważył napoczętą trój graniastą butelkę whisky Glenfiddish. Na etykiecie wyobrażony był jeleń z rozłożystymi rogami. Złapał ją szybko, dla pewności obiema rękami, i pociągnął prosto z szyjki dwa głębokie łyki. Dosłownie ścięło go to z nóg. Tymczasem Żelazna Dziewica znów uklękła przy nim na podłodze.

- Kuba - szepnęła. - Wiem, że to było okropne. Wybaczysz mi?

- Jezu - odpowiedział. - Daj mi się tylko trochę przespać.

I nie czekając na odpowiedź, zwałił się w pościel. Zauważył jeszcze, że była świeżo zmieniona, pachnąca krochmalem, jak u matki. Ostatnim wrażeniem, jakie ogarnęło go przed zaśnięciem, było rozlewanie się w jego zdrętwiałym ciele zniewalająco ciepłego strumienia Glenfiddisha, napoju prezesów.

Obudziło go uczucie dziwnej, nieznannej wcześniej przyjemności. Jak często po przebudzeniu, odczuwał bolesne napięcie, domagające się rozładowania. Teraz połączyło się ono z czymś, co robiła, klęcząc na podłodze, Żelazna Dziewica. Wiedział o tym, nie otwierając oczu, i nie ruszał się, żeby nie przestała. Ona przerwała sama, nie doprowadzając rzeczy do końca. Teraz poczuł jej lepkie usta na swoich i powoli uniósł powieki. Spłoszona, usiadła obok niego.

- Kuba, chcesz mnie jeszcze? - spytała desperacko. Wyciągnął bez pośpiechu rękę i

pociągnął za pasek szlafroka, który gładko ześlizgnął się z ramion Barskiej. W bezwzględny światła dnia piersi jego wychowawczynie straciły swą nocną tajemniczość, były blade i bezbronne, i nie tak już doskonałe. Biały brzuch, układający się w dwie fałdki, na styku z udami zanurzał się w zaskakująco bujnych rudawych włosach, które na nogach były wygolone, ale nie całkiem dokładnie. Te drobne usterki wcale go nie zniechęciły. Na odwrót.

Wciąż patrzyła na niego z bolesnym pytaniem w oczach. Ujął ją w pasie obiema dłońmi i spróbował dźwignąć do góry. Najwyraźniej tylko czekała na ten sygnał. Uniosła nogę, okraczyła go i opadła na jego ciało całym ciężarem. Aż trudno było uwierzyć, że to się właśnie stało, że ma to już za sobą. Najpierw zabołało, a potem było niewygodnie, ale przynajmniej mógł patrzeć na nią bez żadnych przeszkód. Żelazna Dziewica jakby ofiarowywała mu ten widok, swe kołyszące się piersi, pulsujący brzuch, teraz zaokrąglony i bez fałdek, i wszystko, co dotąd mógł oglądać tylko na kasetach.

Kiedy już trwało to trochę za długo i zapragnął inaczej, sama to zrozumiała. Nawet nie wiedział, kiedy znalazła się pod spodem, zaciskając się na nim rytmicznie.

- Nie musisz uważać - szepnęła.

I nie uważał. Nie próbował się dłużej powstrzymać. Pozwolił, żeby w jednej chwili wypłynęła z niego cała nędza ostatnich dwóch tygodni tułaczki i wszystkie upokorzenia, jakich tej nocy doznał na tarasie.

Teraz był już innym człowiekiem. Gestem zdobywcy sięgnął na stół, po butelkę Glenfiddisha. Zanim pociągnął z niej kolejny łyk, puścił oko do jelenia na etykiecie.

Barska przewróciła się leniwie na brzuch i przerzuciła nogę przez biodra Kuby, przyciskając udem jego zmęczoną męskość. Patrzyła na niego nagle rozjaśnionymi oczami. Zaśmiała się głośno.

- Boże, jakie to było proste - powiedziała.

- Wszystko jest skomplikowane, dopóki nie stanie się proste - odpowiedział przemądrzałym tonem Kuba.

- Jak mawiał stary Fuller - dokończyła. - Jaki oczytany, mój prymusik.

Cmoknęła go w policzek. Jeszcze chwilę wpatrywała się w niego, zanim szepnęła wstydliwie:

- Wiesz co, dzieciaku? Chyba się w tobie zakochałam.

Justa, idź ty się leczyć na głowę!

- Mój węch starej tropiącej suki mówi mi, że dzieje się coś dziwnego - powiedziała Gabriela Piontek, puszczając kółko z dymu. Justyna Barska siedziała z policjantką pod

parasolem w ogródku przy Bunkrze Sztuki, gdzie tego wieczoru koncertował Boba Jazz Band z anglojęzyczną solistką na gościnnych występach. Piontek była nieustępliwa:

- Powiesz mi, o co chodzi?

Barska nadal milczała, uśmiechając się tylko tajemniczo i popijając swoje chardonnay.

- Wyglądasz tak młodo, tak radośnie, że to nie może być tylko nastrój - badała podkomisarz. - Pomyślmy więc, co to może być. Poprawiły się stosunki z Waldkiem?

Barska aż się zaśmiała.

- No tak, błędny trop, głupi pomysł. Szukajmy dalej. Jacek Ładny? Nie, on jest tylko na posyłki. Nigdy nie był poważnie brany pod uwagę, prawda?

Piontek nagle zamarła z płucami pełnymi dymu, potem wydmuchnęła go głośno i odwróciła się do Barskiej z całym krzesłem.

- Niemożliwe! Puściłaś się ze swoim maślakiem! - wykrzyknęła i natychmiast zasłoniła usta dłonią.

Na szczęście solówka na saksofonie była zbyt głośna, żeby ktokolwiek usłyszał te nieostrożne słowa. Poza Barską, która zaczerwieniła się i spuściła oczy.

- Justa, nie wierzę! Ty chyba zwariowałaś.

- Może.

- Nie może, tylko na pewno. Idź ty się leczyć na głowę.

W oczach policjantki zdumienie ustąpiło miejsca nieskrywanej trosce.

- Gabi - powiedziała Barska z wyrzutem. - A kto pierwszy wychwalał przede mną uroki świeżego ciała? Atomowych erekcji, armatnich wytrysków? Co?

- Wariatka! Chyba nie brałaś tego poważnie? Nie przyszło mi do głowy, że mogłabyś być taka naiwna. O tym można sobie głupio pogadać, ale tego się nie robi.

- Robi się. Jako policjantka powinnaś to wiedzieć najlepiej.

- Miałam na myśli, że nie robią tego porządne, rozsądne kobiety. Wychowawczynie młodzieży. Panie prezesowe. Kandydatki na posłanki do Sejmu RP. A jak już robią, to przecież nie tak! Kiedy potrzebują draga, załatwiają to inaczej. Jadą do Krynicy i podrywają sobie kochasia na turnus albo nawet na jeden weekend. Albo znajdują znudzonego żonatego faceta z nadwyżką mocy przerobowych. Ale z własnym uczniem? Na miłość boską, Justa!

- Skąd mogłam wiedzieć? - zasmuciła się Barska. - Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

- Kpisz sobie ze mnie? - Piontek spojrzała na przyjaciółkę z urazą.

- Gabi, ja nie potrzebuję draga. Ja się zakochałam.

- Boże, to jeszcze gorzej!

- Dlaczego?

- Jeszcze pytasz? Myślisz, że jak to się skończy?

- Jakoś się skończy. Przecież się nie pobierzemy. A coś nam z tego zostanie na całe życie.

- Zostanie wam wstyd i hańba. Myślałaś, co będzie, jak sprawa się wyda? Będziesz musiała odejść ze szkoły. Przynajmniej z tej. A to dobra szkoła. Nie zapominaj też, że zgodziłaś się kandydować do Sejmu. Ludzie już się zaangażowali, uwierzyli w ciebie, budują na tobie jakieś plany. Nie męczy cię, że wystawisz ich do wiatru? Skompromitujesz wszystkich liberałów. Już widzę tryumfującą radną Kwiat. I tego oszołoma Psotę, który wygra mandat walkowerem, na twoje własne życzenie. Tego chcesz?

- Gabi...

- Nie mówiąc już o tym, że zanim się to wszystko stanie, Waldek cię po prostu zabije.

- Gabi, dlaczego ma się wydać? Chyba mnie nie sypniesz?

- Nie, ja cię nie sypnę, wiesz o tym. Ale nie zapominaj, że nie wszyscy będą tacy wyrozumiali. Różne życzliwe osoby już wcześniej obserwowały cię bardzo uważnie. Choćby ta harpia z Radia Wisła, Agata Kot.

- Właśnie. Nie rozumiem, co ta baba do mnie ma? Ten jej rozwydrzony synalek zawsze miał u mnie szóstki. Zresztą, muszę przyznać, zasłużenie.

Piontek zaśmiała się szyderczo.

- Nie wiesz? Ona po prostu leci na Waldka. Widać to gołym okiem.

- A niechby i on na nią poleciał. Miałabym trochę spokoju.

- Ty naprawdę oszalałaś.

Muzycy zrobili sobie przerwę i musieli teraz ostrożniej dobierać słowa.

- Intryguje mnie tylko, jak to się mogło stać? - zainteresowała się Piontek. - Według naszych informacji operacyjnych, ten twój... - pohamowała się w porę - ... twój uczeń podróżuje po Polsce autostopem.

- Powiedzmy, że w trakcie tej podróży zahaczył o Wolę Justowską.

- Niesamowite - zdumiała się podkomisarz. - Nawet policja nic o tym nie wiedziała.

- Wciąż się go czepiacie? - przeraziła się Barska. - Myślałam, że jesteś lepszą przyjaciółką.

- Nie czepiamy się go. - Policjantka machnęła ręką. - Choć powinniśmy, bo myśmy mu pomogli, a on nam nie. Ale niech tam. Pozyskaliśmy innego informatora. Lepszego. Więc niech sobie żyje w spokoju. Oczywiście pod warunkiem, że naprawdę nie jest w nic wplątany.

- Naturalnie, że nie jest.

- Ze względu na ciebie chcę w to wierzyć. Mamy jednak sygnał, że był widziany na Śląsku, w bardzo podejrzanych miejscach, w towarzystwie Iwony Huber. Jeszcze nie pewnego, sprawdzamy to.

- Ale dlaczego go śledzicie?

- Nie śledzimy. Sprawdzamy tylko operacyjnie kontakty tej małej Huber. Jest zgłoszenie o jej zaginięciu.

- I co to może znaczyć?

- Nie wiem. - Piontek wzruszyła ramionami. - Może po prostu jest na trasie z ćpunami.

A może za jakiś czas znajdziemy osobno jej główkę, osobno cyczuszki, a osobno cipkę.

- Jesteś obrzydliwa.

- Po prostu wiem, co się może stać. A ty nie zapominaj, że też już nie jesteś dziewicą.

- Dzięki za przypomnienie.

- Nie ma za co.

Nagle za nimi rozległ się przymilny głos:

- Może sympatyczne panie poratują kalekę paroma groszami?

- Spadaj, Kulas - powiedziała Piontek, nawet nie odwracając głowy.

- A, to pani komisarz. Przepraszam, nie poznałem. Od znajomych nie biorę.

- Ja nie jestem znajomą - powiedziała Barska i podała mężczyźnie o kulach pięciozłotową monetę. Był jeszcze młody, ale przerażająco zniszczony.

- Moge, pani komisarz?

- Jak pani daje, to bierz i znikaj. Masz prawa wyborcze, Kulas?

- Jasne. Już dawno nie siedziałem.

- To idź na wybory i zagłosuj na panią Justynę Barską, lista liberałów. Zapamiętasz?

- Jasne. Jeszcze namówię kumpli. Ma pani wygrane.

- Spadaj już!

Kiedy mężczyzna o kulach oddalił się, wsiadła na Barską:

- Co ci przyszło do głowy, żeby mu dawać pieniądze?

- To odruch. Od kiedy więcej poczytałam, co to za choroba, narkomania, często nie mogę się powstrzymać.

- Narkomania? Jaka narkomania? Przecież Kulas to zwykły alkohol. Jeśli chcesz być kompetentna, powinnaś nauczyć się odróżniać. Ćpuny i alkohole to dwa wrogie plemiona.

Barska westchnęła, kręcąc głową.

- Jeszcze dużo muszę się nauczyć odróżniać. Narkomanów od alkoholików, banki od szulerni...

- Hali! Nie gadaj za wiele. Są rzeczy, których nie będę mogła zachować dla siebie, jeśli już je usłyszę. O sentymentalnych bzdurach mogę zapomnieć. Ale nie o wszystkim.

- Skąd wiesz, co mogłabym powiedzieć?

- Nie wiem. I nie chcę wiedzieć. Wystarczyłoby, żeby taki Kulas coś usłyszał.

- Ten nieszczęśnik?

- Ten nieszczęśnik to nasz kontakt operacyjny. Nikt ważny, ale kręci się po melinach, sępi po knajpach, to czasem czegoś się dowie. Na przykład, kto się z kim w tajemnicy spotyka na ławce koło Zalipianek.

- Przerażające.

- Co? Że degenerat jest kontaktem? Zdziwiłabyś się, ile kontaktów mamy wśród czcigodnych profesorów, biznesmenów, dyrektorów departamentów, parlamentarzystów. Nie mówiąc o księżach.

- Myślałam, że komuna się skończyła.

- Komuna jest wieczna, Justa. Zmienia tylko kolory. I wciąż doskonalili metody. Przecież ty jeszcze studiowałaś podstawy filozofii marksistowskiej. Każde państwo to aparat ucisku, nie pamiętasz?

- Wolę definicję, że to organizacja wszystkich obywateli.

- Niezmiennie naiwna. Raczej kontrola wszystkich obywateli. Bolszewia robiła to prymitywnie i odrażająco. Teraz technika poszła do przodu. Wiesz, co ci mogę poradzić, jeśli chcesz bawić się w konspirację? Przede wszystkim wyrzuć telefon komórkowy. Nigdy nie płać kartami płatniczymi. Nie zatrzymuj się w hotelach, prywatnych kwaterach ani na kempingach. Nie podróżuj samochodem. Ani własnym, ani pożyczonym, ani kradzionym. Ani taksówkami, bo połowa taksiarzy to kontakty. A już broń Boże samolotem. Unikaj supermarketów, stadionów, koncertów rockowych i knajp. I w żadnym wypadku nie korzystaj z poczty internetowej.

- Krótko mówiąc, nie żyj.

- Dokładnie. Albo nie konspiruj. Wtedy możesz robić to wszystko i śmiać się w żywe i elektroniczne oczy, które śledzą cię w każdej sekundzie twego istnienia.

- To może mnie też będziecie chcieli zwerbować na ten wasz... kontakt operacyjny?

- Jeśli się głupio podłożysz, powinnaś się z tym liczyć.

- Chcesz mnie przestraszyć?

- Tylko uświadomić, w co się pakujesz.

- Gabi, ale ja właśnie przestałam się bać. I bardzo mi się to podoba.

Plantami, od strony Bagateli, zbliżał się Jacek Ładny i już z daleka machał do nich.

- Nadciąga nasz łowca przygód - mruknęła Piontek. - Cholera, nie zdążyłam zmyć się na czas. Nie pogniewasz się, że cię zostawię?

- Poradzę sobie. Z Jackiem zawsze - uśmiechnęła się Barska.

- Każda baba sobie z nim poradzi. Nie widziałam drugiego tak łatwownego faceta.

- Całe szczęście, że tacy też są.

- O czym plotkujecie, dziewczęta? - spytał Ładny, udając szampański humor.

- O tobie, oczywiście. Zastanawiamy się kiedy wreszcie dasz się złapać jakiejś mamuśce i przestaniesz siać postrach na mieście.

- Przenigdy. Śmiertelne przerażenie w oczach kobiet podnieca mnie.

- Trudno to zauważyć - mruknęła Piontek.

- Gabi! - zawołała z wyrzutem Barska.

- Przepraszam, już mnie nie ma - zawołała, zamachała rękami i roztopiła się w mroku.

- Co ją ugryzło? - spytał Ładny. - Dlaczego tak uciekła? Rozsiewam jakąś zarazę?

- Wołała nie słyszeć, o czym będziemy rozmawiać.

- Intrygujące. A o czym będziemy rozmawiać?

- Myślę, że masz do mnie kilka pytań.

- Owszem. Ale skąd ona wie, jakie to pytania?

- Nie wie. Czuje. Jak sama mówi, ma węch starej suki. Więc domyśla się, że robimy coś nieładnego. I przez przyjaźń dla nas nie chce być tego świadkiem.

- Twoje przekonanie o szlachetności naszej Gabi jest rozczulające. Ale cóż my właściwie robimy nieładnego? Masz na myśli ten głupi artykuł o Progress Banku? Że go nie napiszę? Jacek Ładny robił już bardziej nieładne rzeczy.

- A co innego? I dlaczego głupi? Odniosłam wrażenie, że ci na nim bardzo zależało.

- Zależało. Ale nie tak, jak na dobrych układach z tobą. Spuściła oczy.

- Miły jesteś...

- Zresztą, prędzej czy później i tak ktoś się do nich dobierze. Więc jeśli twój tato czy ktoś ma w Progress Banku jakieś pieniądze, lepiej niech je w porę wycofa. Myślę, że chodzi także o twój męża, prawda? Też niech od nich ucieka, jeśli może.

- Chyba nie może - powiedziała cicho.

- Cholera, niedobrze. To ci może zaszkodzić w wyborach. Choćby z tego powodu musimy na razie siedzieć cicho.

- Jacek, właśnie o tym musimy poważnie porozmawiać.

- To dobrze. Wiesz, jeśli mam prowadzić twoją kampanię, to muszę wziąć w gazetce urlop. Więc wolałbym dokładnie wiedzieć, na czym stoję. Ze mną możesz być całkiem



szczera.

- Wiem, Jacku. Ale nie tutaj. Chodźmy gdzieś, gdzie nas nikt nie usłyszy.

Dopił swoje piwo, zapłacili i przenieśli się na ławkę przy pomniku Grottgera, wznoszącego swój zasepiony profil nad ciałami pomordowanych powstańców. Kiedy długo milczała, zaczął sam:

- No więc jak? Chcesz mnie do kampanii czy nie? Jeśli nie, zrozumieć. Wiem, że jest wielu godniejszych.

- Ależ chcę! Zastanawiam się tylko poważnie, czy jednak powinnam startować.

- Trochę za późno. Jest jakiś nowy powód?

- A sprawy Waldka nie wystarczą?

- Oczywiście że nie. Co drugi kandydat ukrywa rzeczy dużo gorsze. Masz jakieś udziały w jego firmie?

- Skąd?

- No właśnie. W kraju, gdzie senatorami są gangsterzy, posłami złodzieje i alkoholicy, taka przeszkoda jest po prostu śmieszna. Nawet gdyby afera z Progress Bankiem wyszła jeszcze przed wyborami, mogłoby ci to odebrać najwyżej trochę głosów. Nadrobimy to gdzie indziej. Kraków to także wielkie osiedla. Postawimy na młodych i ich rodziców. Widzę możliwość przeciągnięcia na twoją stronę części elektoratu lewicy, bo ludzie, których planują wystawić, to straszne betony. Wiesz, potrzebujemy kilku lewicowych haseł, ale takich, pod którymi liberał też może się podpisać: miejsca pracy, ochrona najsłabszych, wykształcenie dla wszystkich, internet w każdej szkole i tak dalej. Tradycjoniści złapią się na twój program antynarkotykowy. A do tego twoja uroda, twarz trochę już pokazywana w telewizji, plus nieskazitelna opinia. Będzie dobrze, zobaczysz.

Ładny zapalał się coraz bardziej, zagłębiał w szczegóły swojego planu, nad którym najwyraźniej myślał już od dawna. Wreszcie Barska przerwała mu:

- Jacek, w takim razie muszę ci powiedzieć wszystko.

- Jest jeszcze coś?

- Jest. Mam kochanka.

- Aha - powiedział tylko Ładny.

Tym razem on zamilkł. I to na długo. Myślał: Po cholere mi to mówisz, głupia? Musiałbym być debilem, żeby się nie domyślić już w Gródku. Kto miałby wiedzieć, że takie rzeczy się zdarzają, jeśli nie ja? Ale nie pchaj się w takie erotyczne afery, jeśli nie potrafisz trzymać języka na wodzy. Przyzwoici obywatele tego kraju ukamienują cię samymi spojrzzeniami. Nie mów nic więcej. Nie mów!

- I co? - spytała w końcu. - Rezygnujesz?

- Co? Nie, nie rezygnuję. Jestem w końcu profesjonalistą. Poczulem się tylko zaskoczony.

- Że Żelazna Dziewica ma kochankę?

- Właśnie. Ale to też żadna przeszkoda. Niektóre panie posłanki rzną się na boku, aż wióry lecą, a potem wychodzą na trybunę i są jako miedź brzęcząca i jako cymbał grzmiący. Dopóki to się nie staje sprawą publiczną, nie kończy skandalem, rozbiciem rodziny, wszystko jest OK.

- Jacek, ja się nie rżnę, aż wióry lecą - powiedziała z urazą.

- Przepraszam. Oczywiście - odpowiedział oficjalnym tonem, nie patrząc na nią.

- Nie chciałabym, żebyś robił coś przeciw sobie.

- Nie miej skrupułów. Dobrze, że mi powiedziałaś, będę wiedział, na co uważać.

- Jeszcze ci nie powiedziałam, kto to.

- Nie muszę wiedzieć.

- Chyba musisz - westchnęła. - To Kuba Mazurek.

Jacek Ładny wybuchnął udawanym śmiechem, tak głośnym, że aż menele, okupujący ławkę po drugiej stronie skweru, przy głównej alei, zaczęli spoglądać na nich z zainteresowaniem.

- O, nie mogę! Ale mnie wypuściłaś. A ja ci już prawie uwierzyłem.

Kiedy milczała, spojrzał na nią z niepokojem.

- Jacek, ja cię nie wypuszczam. Spowaźniał.

- Mam w to wierzyć? Że zdradzasz męża z Kubą Mazurkiem?

- Taka jest właśnie prawda. Sądziłam, że się czegoś domyśliłeś już nad jeziorem.

- Czego? - zdziwił się.

- Że Kuba jest dla mnie kimś więcej niż tylko uczniem.

- No tak, trudno byłoby nie zauważyć, ale byłem pewny, że masz dla niego uczucia... no... macierzyńskie.

- Macierzyńskie!

- Nie przejmuj się. Zawsze byłem trochę debilny.

- Przepraszam. Powinnaś powiedzieć ci wcześniej. Ale sama nie przypuszczałam, że sprawy zajdą aż tak daleko.

- A kiedy... kiedy zaszły tak daleko?

- Dzisiejszej nocy.

- Dzisiejszej nocy! Więc może to tylko jednorazowy wyskok? - spytał jakby z

nadzieją.

- Nie, Jacku. To nie jest jednorazowy wyskok.

- Aha. - Pokiwał głową. - No to rzeczywiście mamy problem. Jeśli się ludzie dowiedzą, jesteś załatwiona. A liberałowie w Krakowie leżą. Radna Kwiat porąbie cię swoim mieczem ognistym na kawałki.

- To co robimy?

Chwilę milczał, potem sięgnął do kieszeni i podał jej coś.

- Co to jest?

- Klucz od mojej kawalerki. Żaden luksus, ale tam będziecie w miarę bezpieczni. To duży blok, wielkie osiedle. Ludzie nie znają sąsiadów. A mnie i tak prawie nigdy nie ma w domu. No co, nie chcesz?

- Oczywiście, że chcę. Po prostu zaniemówiłam z wrażenia.

- To chodź, odwieziesz mnie do domu, wezmę sobie zapasowy komplet, a przy okazji obejrzysz lokal, żebyś później nie musiała błędzić.

Wielkie blokowisko Prokocimia miało ten dodatkowy plus, że leżało z dala od Azorów, kontrolowanych przez kolegów Kuby, i Nowej Huty, gdzie mieszkała Agata Kot. Kawalerka Ładnego na kimś przywykłym do porządku mogła robić wrażenie odrażające, ale na tajny punkt kontaktowy nadawała się idealnie.

- Wannę i zlew postaram się doprowadzić do porządku, ale pościel musisz sobie przywieźć. Za to mam tu trochę pościelowej muzyczki.

Zrobił kawę, nastawił „July Morning” Uriah Heep.

- Możesz mi jeszcze tylko wyjaśnić, co cię napadło? - spytał. Zaczynał powoli odzyskiwać równowagę. Teraz do głosu dochodziła ciekawość.

- Po prostu, skoro się już zakochałam, chcę to przeżyć do końca. Zatrzymać to na zawsze. Nie chcę uciekać przed uczuciem.

- Chcesz wiedzieć, jak to jest?

- Właśnie.

- A w swoim mężu nie byłaś zakochana? Z tego, co pamiętam...

- Oczywiście. Ale tamto było całkiem inne. Bardziej pensjonarskie zauroczenie. Wiesz, jaki był Waldek, nie? Jak gwiazdor rocka. Przecież znałeś go wtedy.

- Raczej słabo. Był, zdaje się, w Młodzieży Anarchistycznej?

- W Federacji Młodzieży Walczącej. Pierwszy zadymiarz Krakowa. No i pierwszy podrywacz. Z gatunku, wiesz, co noc inna laska. A na mnie w ogóle nie zwracał uwagi. Przecież byłam ładna. I znana, jako córka mojego taty. Sam byłeś świadkiem, że ciężko było

mi się opędzić. A on nic.

- I cóż go tak odstraszało?

- Wiesz, że miałam opinię cnotki.

- No, wiem - mruknął.

- Zresztą słusznie, na trzecim roku byłam ciągle cnotliwa. Ale zawzięłam się. Powiedziałam sobie: Waldemarze Barski, będziesz mój.

- Wsypałaś mu coś do wódki i zniewoliłaś we śnie? - Ładny uśmiechnął się krzywo.

Nigdy wcześniej nie próbował dowiadywać się, w jakich okolicznościach zostawiła go z dnia na dzień dla pięknego Waldiego. Nawet po latach byłoby to zbyt bolesne. Ale sytuacja się zmieniła.

- Dużo bardziej romantycznie. Zaczęłam chodzić na zadymy. To były ostatnie miesiące komuny. W hucie zaczęły się od nowa strajki, na uniwerku się gotowało. Pamiętasz, nie? No i raz była zadyma na Placu Dominikańskim, przed kościołem Świętego Jacka. Milicja zamknęła Franciszkańską i Stolarską, zaczęło się pałowanie. Uciekaliśmy Pasażem Bielaka w stronę Rynku. W pasażu zrobił się kocioł, zaczęłam się bać. I nagle pojawił się Waldek. Pociągnął mnie za rękę i wołał: „Spadamy stąd, mała, bo jak ktoś zamknie kratę, to tu będzie rąbanka”. Wydarł mnie na Rynek, dobiegliśmy do Świętego Wojciecha i nagle zaczęliśmy się całować. Wyobrażasz sobie, naokoło armatki wodne, gaz, ZOMO pałuje, a my się całujemy, jakbyśmy byli sami na świecie. To spadło jak piorun z nieba. No, ale to już zamierzchła historia.

Milczeli oboje przez dłuższą chwilę. Ładny też był wtedy w Pasażu Bielaka. Może minutę wcześniej, może dwie minuty później. Widocznie los chciał, żeby w spanikowanym tłumie natknęła się nie na niego. A może i tak wszystko było przesądzone. Ciszę przerwała Barska.

- A ty możesz mi na coś odpowiedzieć? - spytała.

- Szczerłość za szczerłość.

- Dlaczego to robisz?

- Jesteś zdziwiona? Spodziewałaś się morałów? Sceny zazdrości?

- Szczerze mówiąc, bardziej tego, niż klucza od mieszkania.

- Więc będę brutalnie szczerzy. To jest niesamowita fabuła. Jestem po prostu ciekawy, jakie będzie zakończenie.

Cudowna przemiana Kuby Mazurka Matka ucieszyła się na jego widok, ale też nie potrafiła ukryć lekkiego zdenerwowania.

- Pan Dulemba jest u nas - powiedziała. Wolała uprzedzić go od razu. - Zaprosiłam go na kolację.

- Z żoną?

Anna Mazurkowa zaczerwieniła się. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Przepraszam, mama. Głupi żart.

Pocałował ją w policzek. Wydawało się, że była tym o wiele bardziej oszołomiona niż jego poprzednim odezwaniem się.

- Nie masz nic przeciw temu, że zjemy razem?

- Absolutnie. Pod warunkiem, że wystarczy także dla mnie.

- No wiesz?

Matka wyglądała na osobę, która poczuła wielką ulgę, a równocześnie niezmiernie zdziwienie. Kuba zostawił plecak w przedpokoju i wszedł do salonu.

- Dzień dobry panu - powiedział uprzejmie.

Dulemba był nie mniej zdziwiony, niż przed chwilą Mazurkowa. Podniósł się z fotela i niepewnie wyciągnął rękę.

- Witaj, Kuba. I co tam? - spytał bezsensownie.

- Panie, w polityce? Nic nowego. Zdaje się, że ćpuny trzymają się mocno. Przepraszam, to miał być dowcip.

- Mimo zaawansowanej starczej demencji domyśliłem się tego. A nie śmieję się, bo to, niestety, prawda.

- Orka na ugorze, co?

- Wiem, że niezbyt cenisz to, co robię.

- Nie, dlaczego.

- Słyszałem, że moja sztuka ci się nie podobała.

- Sztuka może być, tylko w ten happy end nie wierzę.

- Jaki happy end? Przecież dziewczyna umiera.

- Ale facet doznaje cudownego uzdrowienia. To ściema. Znaczący, fałsz psychologiczny. Moim zdaniem.

- A ja wierzę, że każdy może się wyleczyć.

- Świat jest pełny odwrotnych przykładów.

- Bo za mało się wszyscy staramy. To jest właśnie misją mojego teatru. Sprawić, żeby ludzie więcej się starali.

- Utopia.

Obaj się męczyli. Brnęli w tę rozmowę na siłę, żeby nie zamilknąć.

- Przecież ty, Kuba, swoim artykułem też próbowałeś się starać.

Kuba machnął ręką.

- Nie ma o czym mówić. Narobiłem tylko ludziom zadymy.

- Myślę, że się mylisz. Mnie, w każdym razie, bardzo się to podobało. Prawdziwie szlachetny, młodzieńczy gniew.

- Żartuje pan ze mnie?

- Wcale nie - zaprzeczył Dulemba gorąco. - Naprawdę cię podziwiałem. Myślę, że obaj, każdy na swój sposób, próbujemy się starać.

Brakowało im już pomysłów do dalszej rozmowy. Na szczęście Mazurkowa podała kolację. Widać było jej staranie, żeby z dwóch porcji mięsa i ziemniaków zrobić trzy, nadrabiając podwójną ilością sałatki z pomidorów i papryki.

- A wiesz, Kuba, że znów pytała o ciebie policja? - Matka wydusiła to wreszcie z siebie.

- Skąd mogę wiedzieć. Czego znowu chcieli?

- Może ty nam powiesz?

- Ja nie mam pojęcia. A oni nie mówili?

- Podobno zaginęła ta dziewczyna.

- Jaka dziewczyna?

- Nie pamiętam nazwiska. Ta, którą w zimie zgwałcili.

- A, Żmijka. No i co?

- Nie wiem. Zdaje się, mieli podejrzenie, że pojechaliście razem.

- Ja? Ze Żmijką Huber? Popatrz na mnie. Czy wyglądam na takiego, co włóczy się z ćpunami po dworcach?

- Muszę przyznać, że wyglądasz nadspodziewanie schludnie.

- No widzisz.

- To teraz tak luksusowo podróżuje się stopem? - wtrącił się Dulemba. - Za moich czasów jeździło się na węglu i ze świniami.

- Zależy, kogo się złapie - uśmiechnął się Kuba.

- A, podrywacz, co? - zawołał dziarsko Dulemba i puścił do niego oko.

Kolacja szczęśliwie dobiegła końca.

- Przepraszam, pójde zobaczyć, co słyhać u mnie - powiedział Kuba i zniknął z salonu.

W swoim pokoju otworzył komputer i zajrzał do skrzynki internetowej, do której nikt inny nie znał kodu dostępu. Znalazł w niej cztery e-maile. Żaden z nich nie był od Ewy Góral.

Za to ze zdziwieniem stwierdził, że dwa przysły od Justyny Barskiej. Oba wysłane jeszcze przed jego telefonem z Katowic, brzmiały identycznie:

Kuba, co się z tobą dzieje? Daj znak życia. Iron Maiden.

Uśmiechnął się sam do siebie, kliknął „replay” i wklepał:

Żyję. Jak wiadomo. The Kid.

I kliknął „send”.

Potem otworzył przesyłkę od ojca.

Cześć, Kuba, Gratuluję, jesteś już w klasie maturalnej. Mimo kłopotów, o których słyszałem, wzięłeś się w garść i wygrałeś. Tak trzymaj. Każdemu zdarzy się potknięcie, ważne, żeby iść dalej. U mnie OK. Miałem wracać na jesieni, bo mam dość obczyzny, ale zaproponowali mi kierownika grupy budów, więc się waham. Co ty na to? Szkoda, że w tym roku nie spędzimy choć paru dni wakacji razem.

Całuję. Ojciec.

PS Drobna nagroda za promocję, jak zwykle, przekazem bankowym.

- Ale się wysiliłeś - powiedział Kuba na głos. Potem napisał odpowiedź:

Cześć, Tato, Dzięki za pamięć. U mnie też OK. W wakacje postanowiłem samodzielnie poznawać kraj ojczysty. Autostopem, jak Ty kiedyś. Gratuluję awansu. Zrób, jak sam chcesz. Ja jestem już dużym chłopcem.

Całuję. Kuba.

PS Dzięki za przekaz.

Ostatni e-mail był od Roberta Rajzera.

Siemanko. Gdzie cię wciąło? Tylko nie ściemniaj, że przysnąłeś na jakiejś dupie, bo i tak ci nie uwierzę. Siedzę na chacie u dziadka i pilnuję biznesu. Wpadnij, zaszalejemy. Nara.

Nie zdążył odpowiedzieć, kiedy zapukała matka.

- Pan Dulemba chciałby się pożegnać.

Kuba wyszedł do przedpokoju, uściskał rękę reżysera.

- Fajnie się z panem gadało - powiedział. - Moglibyśmy jeszcze kiedyś dłużej podyskutować. Znam kilka historii, które by pana zaciekały. Pomyślałem, że może by się panu do czegoś przydały.

- Mówisz poważnie? - zdziwił się Dulemba. - Bardzo chętnie. A może byśmy razem coś napisali?

- Niezły pomysł - powiedział Kuba. - Musimy się spotkać po wakacjach.

- Odprowadzę pana Mariana do taksówki - powiedziała Anna Mazurkowa, całkiem zdezorientowana.

Kiedy wróciła pół godziny później, robił sobie kawę w kuchni.

- Chcesz? - spytał.

- Poproszę.

Usiedli przy kuchennym stole. Oboje nie pamiętali, kiedy ostatni raz zdarzyła im się taka okazja.

- Wcale nie musiał iść - powiedział Kuba.

- Proszę?

- Mówię, że nie musiałaś go wyrzucać z mojego powodu. Masz swoje życie. Nie jestem już małym Kubusiem.

- Wiedziałaś?

- Mama, nie bądź dzieckiem.

- I tak by nie został - powiedziała.

- Dlaczego?

- Nie wiem, czego się domyślasz, a czego nie, ale chyba nie jest tak, jak ci się wydaje.

Jesteśmy tylko parą dobrych przyjaciół.

- Żadnego seksu? Taki biały romans? Nie musisz udawać. Ja się nie gorszę.

Była zmieszana, jak nigdy.

- Nie potrafię mówić o tym tak otwarcie, jak ty. W każdym razie Marian nie ma zamiaru rozbijać swojej rodziny. Ani ja.

- I tak jest lepiej?

- A nie?

- Nie wiem. Tego jeszcze nie przerabiałem. A mówiąc nawiasem, to ojciec przysłał mi maila. Że miał wracać jesienią, ale nie wróci, bo dostał awans.

Mazurkowa poruszyła nerwowo ramieniem.

- Już nieraz miał wracać jesienią.

- Myślisz, że on tam kogoś ma? Jakąś Hildę?

- Nie wiem. Ale musiałby być nienormalny, żeby nie mieć.

- Chyba mi nie powiesz, że w Iraku miał Arabkę? Wróciłby w kawałkach.

- Nie Arabkę, tylko szefową polskiej stołówki.

- Była lepsza od ciebie? - zdziwił się.

- Widocznie była. Taka ciepła mamuśka.

- Dawała mu piersi?

- Kuba, to twój ojciec. Stosunkowo całkiem niezły.

- Sory. Cofam.



- Czy ty wiesz, że chyba nigdy tak z sobą nie rozmawialiśmy?
- Widocznie dzisiaj jest dzień cudów.
- To znaczy?
- Nic szczególnego. Tak mi się tylko powiedziało.
- Nie, nieprawda. Zmieniłeś się bardzo w ciągu tych dwóch tygodni. Za tym coś musi się kryć. - Parę razy nerwowo poprawiła włosy, zanim się odważyła: - Poznałeś jakąś dziewczynę?
- Masz na myśli, w sensie biblijnym? Czy poznałem kobietę? No więc tak, poznałem kobietę. Gorszy cię to?
- Gorszy? Mnie? Skąd, bardzo się cieszę.
- Cieszysz się? Przecież mam dopiero siedemnastkę. Czy nie powinienem być ciągle na etapie nocnych polucji?
- Westchnęła.
- Boże! Ładne ma o mnie wyobrazenie mój własny syn. Ja się od miesiący zamartwiałam, że nie układa ci się z dziewczynami, a ty...
- Że nie układa mi się z dziewczynami?
- A może się myliłam? Zaczynałeś już robić głupstwa. Byłam przerażona, żebyś nie zrobił jakiegoś naprawdę wielkiego.
- Na przykład nie zaćpał?
- Właśnie.
- Oj, mama, mama.
- Nie śmieję się. Nie tacy się łamali.
- Skąd wiesz? Od pana Dulemby?
- Owszem, od pana Dulemby. Naprawdę zgłębił temat.
- No to przynajmniej jedno zmartwienie masz z głowy.
- Chwała Bogu. Poznam tę dziewczynę?
- Nie wiem. Na razie chyba na to za wcześnie.
- Starsza od ciebie?
- Trochę.
- O ile?
- Cztery lata.
- Och, to nie tak wiele. Przy takiej różnicy zdarzają się nawet całkiem udane małżeństwa.
- Mama!

- Tak tylko mówię, że to żaden problem. I wiesz co? Może nawet lepiej, że z Ewą do niczego nie doszło.

- Dlaczego?

- Ach, bo pani Aschenbrenner ma o sobie zbyt wysokie mniemanie. Chyba nie widzi dla Ewy nikogo poniżej księcia Monaco.

Ironia tego stwierdzenia była dla Kuby czytelna zupełnie wyraźnie. Dobrze wiedział, że matka namiętnie czytywała plotkarskie magazyny i śledziła kolejne erotyczne skandale w rodzinie Grimaldich.

- Biedna Ewa - powiedział.

- Żebyś wiedział. Wyobraź sobie, że ta Aschenbrenner zadzwoniła do mnie z awanturą.

- Żartujesz. O co?

- Podobno obiecałeś jej, że będziesz Ewę osłaniał przed innymi chłopakami, a tymczasem sam się do niej dobierałeś i w dodatku wywołałeś skandal.

- I co jej odpowiedziałeś?

- Że do tanga trzeba dwojga.

- Brawo, mama. Co ci się stało?

- Niech nie będzie taka ważna.

- Nareszcie.

- Lepiej późno niż wcale, co?

Było już po północy, kiedy oboje kładli się spać. Od lat nie zdarzyło im się rozmawiać do tak późnej pory.

Obudził się późno i dopiero koło południa wybrał się odwiedzić Roberta w warsztacie jego dziadka. Zdumiały go zmiany, jakie nastąpiły w posiadłości najstarszego z Rajzerów. Od ulicy powstała nowa stacja obsługi, obok trwała budowa czegoś, co wyglądało jak przyszły salon sprzedaży. Stary warsztat, całkiem teraz zasłonięty, w porównaniu z otoczeniem przypominał raczej komórkę na rupiecie. Przed warsztatem, na starych oponach, siedzieli Robert i Dżemojad, popijając colę z puszek.

- Proszę! I odnalazł się zaginiony - zawołał Robert. Obecność grubego trochę Kubę zdziwiła, ale nic nie dał po sobie poznać.

- A już mówili, że cię Żmijka wzięła na hol - powiedział Dżemojad.

- Żmijka? Mnie? Chyba prędzej ciebie.

- To samo im powiedziałem - przytaknął Robert. - Że Kuba Mazurek to kawał gościa i z taką szmatą by się nie zadawał.

- Komu powiedziałaś?

- Psom, oczywiście.

- Ciebie też o to pytali?

- Pytali, kogo mogli. Szukają tej głupiej Żmijki, jakby to była córka prezydenta.

- Ich kłopot.

- Też tak mówię. To gdzie się właściwie podziewałaś?

- Jeździłem trochę stopem po różnych przyjemnych miejscach. A wy? Siedzicie w Krakowie?

- My nie mamy czasu na wakacje. Robimy kasę. Biznes wymaga poświęceń, stary.

- Biznes? Twój własny?

- Jeszcze nikt o tym nie wie. Oprócz paru kumpli.

- Chodziły słuchy, że masz przejąć interes po dziadku.

- To dziadkowi tak się wydaje. Ojciec znowu chciałby mnie wysłać na Harvard czy do innej pieprzonej katowni i zrobić ze mnie bankiera. Każdy chce mi układać karierę. A ja ich wszystkich pieprzę. Nie mam zamiaru słuchać żadnych ojców chrzestnych. Jeszcze gdyby dziadek był inny, to może. Ale on się ma za capo di tutti capi, a naprawdę na te czasy jest cieniutki.

- To, co tu widać, świadczyłoby o czym innym. - Kuba zatoczył ręką dookoła.

- Zachłysnął się powodzeniem. Nie rozumie, że koniunktura nie będzie trwała wiecznie. Pierwszy kryzys go utopi. Już przeinwestował. Mógłby się uratować, gdyby się mnie słuchał, ale na to jest za głupi. Muszę więc uratować choć tyle, co dla siebie.

- Ty sam?

- A co myślisz? Właśnie piszemy z Irkiem program do analizy i prognozowania rynku w najbliższych latach. A przy okazji robimy dziadkowi porządek w systemie. Na szczęście zgred pojechał do sanatorium i nie pcha nosa, gdzie nie trzeba. A ci ludzie, których zostawił, to ćwoki.

- A rodzice?

- Na Seszelach.

- Gdzie?

- Nie słyszałaś, że w tym roku jeździ się na Seszele?

- Ty nie chciałaś?

- Ja pieprzę Seszele. Co ja bym tam robił? Gródek nad Dunajcem, to są Seszele! W dzień biznes, w nocy szaleństwa. Takie życie lubię. Żeby tylko przetrwać ten rok do matury.

- Nie myślisz o studiach? - zdziwił się Kuba.

- Jasne, jakiś dyplomik trzeba będzie zrobić. Ale żadne Harvardy. Przez te lata, które bym tam zmarnował, zrobię tutaj taką kasę, że kupię sobie dziesięciu gości po Harvardzie i wezmę ich na kierowców.

- Jesteś bardzo pewny siebie.

- Masz przed sobą profesjonalistę, który wie, co mówi. - Spojrzał na zegarek. - Właśnie jest do załatwienia jeden mały biznes. Jedź ze mną. Czegoś się nauczysz.

Kuba miał jeszcze do spotkania z Justyną Barską kilka godzin, więc chętnie skorzystał z propozycji przyjaciela. Sam był ciekawy jego biznesów. Pojechali starą skodą favorit, której w żaden sposób nie dałoby się nazwać maszyną szpanerską, do czego Robert przywiązywał zwykle duże znaczenie.

- To wóz służbowy - wyjaśnił niepytany. - Żeby nie rzucać się w oczy.

Zajechali na parking przed Hitem. Sprzed wejścia do supermarketu zabrali jakiegoś przechadzającego się nerwowo człowieka o wyglądzie wykapanego i przebranego lumpa. Nie był stary, ale z jego twarzy biła wieloletnia choroba alkoholowa. W samochodzie natychmiast rozszedł się odurzający zapach brutala. Potem zaparkowali między innymi samochodami. Robert sprawdził godzinę.

- Jeśli nie zrezygnował, to powinien zaraz być.

- A jak nie przyjedzie? - zaniepokoił się pasażer.

- Nie bój się, na flaszkę i tak dostaniesz.

- To może byś dał małą zaliczkę? Tylko na jedno piwo.

- Powiedziałem: po robocie - powiedział Robert ostro.

- W porządku, ty jesteś szefem.

Kuba spojrział na przyjaciela z podziwem pomieszanym z lekką zazdrością. Zachowanie Roberta mogło imponować. Ustawiał nieznanego jak chciał, choć ten musiał mieć już koło trzydziestki.

- No, jest - powiedział Robert.

Na plac wjechał srebrny polonez caro i stanął poza miejscami parkingowymi, w samym rogu, koło transformatora. Robert ruszył spokojnie, objechał plac i dopiero potem zatrzymał się obok poloneza. Wysiedli. Kierowcą caro był pięćdziesięciolatek z siwiejącą brodą, o wyglądzie inteligenta, w dżinsach, tanich butach i bawełnianej koszuli z kieszeniami, najwyraźniej kupionej na Kleparzu od Wietnamczyków za pięć do siedmiu złotych. Kuba dobrze znał ten typ mężczyzn, którzy uczciwie pracowali, żyli skromnie i nigdy niczego się nie dorobili. Człowiek z poloneza przypominał mu ojca.

- To co, prezesie, handlujemy? - spytał lump.

- Chyba po to tu jesteśmy? - Inteligent starał się bardzo nieudolnie udawać pewność siebie.

- Ale, wiesz, prezes, ta cena, co pan mówił, jest nie do przyjęcia.

- Cena jest do negocjacji - powiedział inteligent. - W pewnych granicach.

- Możemy obejrzeć? - spytał Robert.

- Proszę bardzo. - Inteligent wzruszył nerwowo ramionami. Robert obszedł auto naokoło, jakby w ogóle nie patrząc.

- Mówił pan, że wóz bezwypadkowy? - spytał.

- Bo tak jest.

- To niech pan powie temu, co panu wstawiał ten błotnik, żeby się lepiej wziął za handel pietruszką. Takiego chamskiego spawu w życiu nie widziałem.

Inteligent zaczerwienił się.

- Tylko mała stłuczka.

- Naprawdę? - Robert już leżał pod samochodem. Po sekundzie wstał, otrząpął spodnie i dłonie. - Podłoga skoszona.

- Niemożliwe!

- Jak panu mówię, to nie tylko możliwe, ale bankowe. Zgroza tym jeździć. Nadaje się tylko na szrot.

- I co robimy, prezesie? - zasmucił się lump. - Możemy zapomnieć o handlu i rozejść się bez urazy. Albo możemy zacząć negocjacje od nowa.

- A co by pan proponował?

- Połowę.

- Połowę? - przeraził się brodac.

- Więcej nikt panu nie da - powiedział Robert. - A tak będzie pan miał przynajmniej kłopot z głowy.

Kuba przypomniał sobie, jak brodac zachowywał się zaraz po wyjściu z poloneza, kiedy jeszcze nie wiedział, że jest obserwowany. Przyglądał się wtedy nerwowo karoserii za tylnymi lewymi drzwiami, nawet ukradkiem dotknął palcem blachy przy gumowej uszczelce. Teraz Kuba zbliżył się i zauważył w tym miejscu charakterystyczne zmarszczenie lakieru. Coś mu to przypominało. Kiedy mieli starego fiata 125p, ojciec dziury w blasze zaklejał po prostu taśmą papierową i zamalowywał pędzlem.

- A karoseria czym łatana? - spytał niespodziewanie. - Papierem?

Robert spojrzał na niego z pełnym uznaniem i zdziwieniem.

- O czym pan mówi? - zaniepokoił się znów inteligent.

- O tym.

Kuba wyciągnął palec i przebił nim blachę na wylot. Właściciel poloneza caro nawet nie zaprotestował. Wyglądał na zupełnie zdruzgotanego.

- Ciekawe, czego się jeszcze dowiemy? - spytał Robert. - Wie pan co? Mamy propozycję. Spuści pan jeszcze tysiąc i więcej nie sprawdzamy.

- A! - brodacz machnął desperacko ręką.

- Mądra decyzja - pochwalił Robert.

Po zakończonej transakcji jechali z powrotem we dwóch. Lump prowadził poloneza.

- Po co ci ten dziwny osobnik? - zainteresował się Kuba.

- Problem w głupich przepisach. Nie mogę być stroną umowy kupna-sprzedaży, bo jestem niepełnoletni. Potrzebny mi ktoś z dowodem.

- Wierzysz mu?

- Spoko. Dostanie na parę flaszek i będzie lizał buty.

- A ty ile zarobisz?

- Na czysto jakieś sto pięćdziesiąt, dwieście procent. Nie są to wielkie pieniądze, ale na razie biore, co się da. Wprawiam się, a na bieżące wydatki wystarczy. A jak się trafi większy biznes, to inwestuję.

Kuba nie spytał, w co przyjaciel inwestuje. Zatrzymali się na światłach. Robert sięgnął do kieszeni, wyjął zwitek banknotów, odliczył pięćset złotych.

- Trzymaj, twoja dola.

- Zwariowałeś?

- O co ci chodzi? Uczciwie zarobiłeś. Dzielimy się po bratersku, pół na pół? Zapomniałeś już, że jesteśmy braćmi?

Kuba nie odpowiedział. Wziął banknoty bez słowa. Ruszyli.

- A swoją drogą nie myślałem, że masz taki dryg. Wyrobiłeś się ostatnio, wiesz?

- Dzięki za uznanie.

- Może byś ze mną pracował, jak otworzę swój biznes?

- Wszystko przed nami - odpowiedział Kuba ostrożnie, - A dzisiaj przed nami szaleństwo. Jedziesz z nami na dyskotekę. Są dwie chętne laski z Warszawy. Jedna miała być dla Dżemojada, ale myślę, że będzie wołała ciebie.

- Dzięki, ale mam inne plany.

- To zmień. Wreszcie będziesz miał okazję stracić cnotę.

- To już nieaktualne - powiedział, patrząc przed siebie. Robert oderwał wzrok od drogi i popatrzył z ciekawością na Kubę.

- Nie gadaj, naprawdę? I kiedy miało miejsce to historyczne wydarzenie? Opowiedz.  
- Nic ci nie opowiem, bo ty mi i tak nie wierzysz.  
- Nieprawda. Dziś jest inaczej. Zmieniłeś się. Zastanawiałem się, co ci się stało. To musi być to. Z nią się umówiłeś?

Kuba przytaknął.

- Nie ma sprawy, zabierz ją.  
- Niemożliwe.  
- Dlaczego? To mężatka? - domyślił się.  
- Dokładnie.  
- Gdzie ją poderwałeś?  
- W Krynicy. Złapałem na stopa.  
- Proszę! Jaki ma samochód?  
- Hondę prelude.  
- No! A co robi? Jakaś bizneswoman?  
- Coś w tym rodzaju.  
- Bardzo stara?  
- Nie bardzo. Trzydziestka.  
- I tak od razu? - Pokazał niedwuznaczny gest.  
- No, tak od razu.  
- Nie bądź taki tajemniczy. Powiedz, jak ci robiła?  
- Spytaj, jak nie robiła.  
- Patrzcie! A to ci Kuba Rozpruwacz - zaśmiał się Robert i klepnął go w kolano. - Kto by powiedział. Tylko ja zawsze w ciebie wierzyłem. Pamiętaj, że jak rozkręcę biznes, masz u mnie robotę.

Łap, ile zdołasz

Przez następne tygodnie spotykali się niemal codziennie w kawalerce Jacka Ładnego. Barska dzieliła czas pomiędzy przygotowania do kampanii wyborczej i godziny spędzane w ramionach Kuby na wygniecionej wersalce dziennikarza.

Kuba miał więcej wolnego czasu. Właściwie miał sam wolny czas. A więc to on przychodził pierwszy i czekał na nią, czytając książki Jacka Ładnego i słuchając jego płyt. Barska zjawiała się o nieregularnych godzinach, nigdy nie było wiadomo, kiedy będzie. Żeby nie zwracać na siebie uwagi, nie używała domofonu ani klucza, tylko, jak stara konspiratorka, dzwoniła z budki na osiedlu. Kuba nie odbierał telefonów, ale kiedy aparat dzwonił trzy razy i

milkł, wiedział, że to ona. Stawał wtedy w oknie, z którego widać było podejście pod blok i kiedy zbliżała się już do bramy, biegł do drzwi i naciskał domofon. Kilka minut później wchodziła bez pukania i dosłownie rzucali się na siebie.

Taki rytuał ustalili się od pierwszego dnia, kiedy wszystko było jeszcze niewiadome i niepewne, a oni zdenerwowani i speszeni nieznaną sytuacją. Barska, pomna ostrzeżeń swej policyjnej przyjaciółki, nie skorzystała z taksówki, tylko straciła trzy kwadransy w zatłoczonym tramwaju, przyglądając się pasażerom i zastanawiając się, który z nich może być kontaktem operacyjnym. Albo po prostu znajomym Barskiego. Kiedy podchodziła pod ponury blok na Nowym Prokocimiu, oglądała się mimo woli za siebie, a serce biło jej jak nigdy wcześniej przed spotkaniem z mężczyzną.

- Czekales - powiedziała zamiast powitania.

- Przyszlasz - odezwał się Kuba w tej samej chwili. Zaśmiali się oboje.

- Jak mogłam nie przyjść? - spytała.

- Jak mogłem nie czekać? - odpowiedział.

Nawet nie rozpakowali torby, w której przywiozła świeżą pościel. Przywitali się na gołej, zakurzonej podłodze z płytek pcv, bo Jacek Ładny nie miał dywanu. Potem weszli do wanny.

- Cholerne wybory - powiedziała, gładząc go po piersi. - Nie pozwalają mi być z moim chłopcem tak długo, jak bym chciała.

- Właściwie po co ty to robisz?

- Do tej pory nigdy o to nie pytalesz - zdziwiła się.

- Nie chciałem cię urazić. Teraz pytam, bo sama zaczęłaś.

- Wiesz, chyba po to, żeby to wszystko miało sens.

- To znaczy co?

- Wszystko. Solidarność, nasze marzenia. Nasza młodość.

- Wierzysz w to?

- Sama nie wiem. Myślę, że trzeba próbować.

- Teraz mówisz, jak pan Dulemba. Wiesz, ten z Teatru Nieobojętnego.

- To źle?

- Nie wiem. Tak czy siak, wydaje mi się, że jesteście bardzo naiwni.

Uśmiechnęła się.

- My, stare zgrechy?

Wykrzywił się, wyciągnął ręce z rozcapierzonymi palcami i objął jej szyję.

- Dlaczego mi ubliżasz? - spytał złowieszczo.



- Jak ci ubliżyłam? - wycharczała.

- Twierdzisz, że kocham się ze starym zgreдем? Odwołaj, albo zabiję.

Zamachała rękami, że odwołuje. Puścił ją i rozkazał:

- Powtarzaj: Jestem młoda, jestem bardzo młoda. Mam siedemnaście lat.

- A widzisz? W gruncie rzeczy chciałbyś, żebym miała siedemnaście lat. Ja też bym chciała. Ale mam trzydzieści trzy i oboje musimy się z tym pogodzić.

- Auuu!

Kuba zawył jak dziki Indianin i usiłował wepchnąć jej głowę pod wodę. Broniła się, machając na oślep rękami i chlapiąc na całą łazienkę. Wreszcie zmęczeni się i żartobliwe zapasy skończyły się najpierw długim pocałunkiem, a chwilę później byli na wersalce. Barska i tym razem nie zdążyła wyjąć pościeli.

- Na pewno się dobrze pilnowałeś? - spytała potem. - Prawdę mówiąc, powinnam kupić prezerwatywy.

Kuba nagle spochmurniał i odsunął się pod ścianę.

- No, nie obrażaj się tak od razu - odezwała się pojednawczo. - Z tymi prezerwatywami tylko żartowałam. Ja też nie przepadam za dotknięciem gumy. Jeszcze jeden dowód, że jednak jestem starej daty. Chodź, napijemy się wina.

Owinięci tylko ręcznikami, usiedli na wygniecionej wersalce Ładnego. Z torby z pościelą Barska wyjęła owiniętą w papier butelkę.

- Kupiłam jakieś węgierskie, półsłodkie. Wiem, że moje ukochane chardonnay jest dla mojego chłopca za kwaśne.

- To źle, że nie przepadam za kwasem, który wykrzywia gębę?

- No skąd! Wiem, że dojrzewający chłopcy potrzebują dużo cukru. No nie, nie mogę! Znów się naburmuszył. Mówię tylko prawdę.

Wypili po łyku ciemnoczerwonej, trochę ciężkiej kadarki.

- Uważasz mnie za niedojrzałego, nieodpowiedzialnego gówniarza, któremu nie można wierzyć? Nie ufasz mi? - spytał Kuba z pretensją.

Wsunęła mu język do ucha.

- Ależ ufam ci, dzieciaku. - Dmuchnęła gorącym, pachnącym winem oddechem. - Nie mogłabym kochać się z mężczyzną, któremu nie ufam.

- To znaczy, że mężowi ufasz?

- Nie, jemu nie ufam już od dawna. Toteż się z nim nie kocham. Tylko się kładę, bo to jednak mój mąż. Zresztą sam słyszałeś.

- To różnica?

- I to bardzo wielka, zapewniam cię.

- On używa prezerwatyw?

- Oczywiście.

Ręczniki zsunęły im się z bioder. Znów całkiem nadzy, gładzili się nawzajem palcami, popijając powoli kadarke.

- Nie chcę, żebyś z nim w ogóle spała - powiedział Kuba.

- Staram się tego unikać. Jeśli mogę.

- Dlaczego ty się z nim nie rozwiedziesz? - spytał. Położyła mu palec na ustach.

- Spokojnie, nie tak nerwowo - powiedziała sennie. Wreszcie przydała się pościel, którą z sobą przywiozła. Kilka minut później spali, nadzy, nieokryci nawet prześcieradłem, dotykając się splecionymi dłońmi.

Kiedy się obudzili, zaczynało zmierzchać.

- Rany boskie! Która to godzina? - Barska zerwała się z wersalki. W pośpiechu nakładała majtki, skacząc na jednej nodze, w zdenerwowaniu nie mogła zapiąć biustonosza.

- Co się stało? - spytał zaspany Kuba.

- Mówiłam ci, mój tata ma dzisiaj urodziny. Przyjdą rektorzy, różne inne ważne dziady, chyba nawet prezydent. Zostało mi pół godziny na dojazd. Muszę złamać zasady konspiracji i wziąć taksówkę.

- Nie wybaczą ci małego spóźnienia?

- Nie o to chodzi. Ma wpaść telewizja.

- No i co? Przecież to nie ty robisz za dostojnego jubilata. Aha, przyda się w kampanii, co?

- Bystry jesteś, mój skarbie.

Całowała go zachłannie, ale równocześnie krok za krokiem zmierzała tyłem ku drzwiom, ciągnąc go za sobą.

- Twój mąż też będzie? - spytał ponuro.

- Oczywiście. A co myślałeś?

- I powinniście wejść razem, prawda? O to chodzi?

- Już i tak nie zdążę, muszę coś wymyślić. Nie rób trudności, dzieciaku. Znasz zasady.

- Jakie zasady? Kto je ustalił?

- Życie.

Byli już przy drzwiach. Nadal go całując, sięgnęła na oślep do tyłu i otworzyła zatrzask.

- Kocham cię, mój mały - szepnęła. - Tylko że świat rządzi się swoimi prawami.

Czekaj na mnie jutro.

Przed wyjściem wyjrzała ostrożnie na korytarz. Zamykając za nią drzwi, pożegnał ją szyderczo tekstem z amerykańskiego serialu:

- love you too.

Ale Justyna Barska tego już nie usłyszała. Kuba został nagle sam w pustym mieszkaniu i zupełnie nie wiedział, co ma z sobą począć. Kiedy na nią czekał, było inaczej. Wraz z jej odejściem dalsze przebywanie w zapuszczonej kawalerce dziennikarza stało się bez sensu. Nie dopił nawet do końca puszki piwa, którą znalazł w lodówce. Poczł, że musi napisać o sobie i Barskiej. Chciał jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju, puścić płytę Rage Against the Machine i stukać w klawisze komputera. Stukać choćby do rana następnego dnia, kiedy znów będzie mógł zobaczyć Justynę.

W drodze do tramwaju już z daleka zauważył kilku miejscowych bloksów w kapturach naciągniętych na głowy, zajmujących całą szerokość chodnika. Wyczuł, że jeśli podejdzie bliżej, zaatakują. Nauczył się takie rzeczy rozpoznawać na własnym osiedlu. Zawczasu skręcił między bloki. Nadzieja, że nie ruszą za nim, okazała się uzasadniona. Woleli poczekać na frajera, który sam się podstawia pod buty. Kiedy wsiadał do tramwaju, już o nich nie pamiętał.

Kolejne dni wyglądały podobnie. Barska coraz niechętniej traktowała wszystkie zajęcia kradnące jej czas, który mogłaby poświęcić kochankowi. Buntowała się przeciw ciągłym naradom z lokalnymi przywódcami partii, wciąż próbującymi ustalić strategię, która pozwoliłaby zarówno konkurować z rządzącą lewicą, jak i zagrozić drogę rwącym się do władzy radykalnym ugrupowaniom z prawej strony sceny politycznej. Towarzyszącą tym zabiegom obłudę długo starała się traktować z obojętnością, jako nieuniknioną cenę, aż w końcu niesmak zaczął przeważać i nie wytrzymała.

- Proszę państwa, przecież wy mnie zmuszacie do składania obietnic, których nikt nie jest w stanie spełnić - oburzała się naiwnie, a Ładny przy jej boku tylko się uśmiechał.

Niewielu już było takich działaczy jak Janek Mrówka, który najmniej zmienił się od studiów i czasów podziemnej Solidarności i wydawał się zupełnie nie pasować do nowych czasów. Poza Ładnym tylko on jeden podtrzymywał ją w postanowieniu. W jakimś sensie przypominał Jacka Kuronia. Nieco zaniedbany, pełen anachronicznych wyobrażeń o służbie publicznej, coraz bardziej odstawał od swych partyjnych kolegów, którzy zamienili dzinsy na garnitury, tenisówki na służbowe lancie, a idee wolności na wolność od idei, jak sam mawiał. Nadal chodził w chińskich tenisówkach na gołe stopy i flanelowej koszuli w kratę, nie zgolił

rzadkiej, siwiejącej teraz brody i konsekwentnie odmawiał ubiegania się o jakąkolwiek władzę.

Kiedy i on zaczął krytykować niektóre metody przywódców i ich nadmierną giętkość, przestali liczyć się z jego zdaniem.

- Nie zwracaj na to uwagi - przekonywał Barską. - Właśnie dlatego trzeba, żebyś wygrała.

Nie cofnęła się więc. Jednak coraz częściej znikwała z partyjnych nasiadówek, dzięki czemu więcej czasu mogła poświęcać Kubie. Kiedy w lipcu nadeszły długotrwałe deszcze, przez całe dni prawie nie wychodzili z mieszkania Ładnego. Raz nawet, kiedy za oknami ulewa zupełnie przesłoniła świat, została na noc. Wysłała Barskiemu SMS, że opady odcięły ją w domu znajomych i wyłączyła telefon. Włączyła go dopiero w południe następnego dnia. Aparat zarejestrował kilkanaście nieodebranych połączeń z numerem Ładnego. Zadzwońska do niego, speszona. Nie ukrywał złości.

- Co ty wyprawiasz?

- Przepraszam, wiem, że zajęłam ci mieszkanie na noc. Nie gniewaj się.

- Co ty bredzisz? Jakie mieszkanie? Nie widzisz, co się dzieje?

- Nie bardzo wiem, o co ci chodzi.

- Nie oglądasz telewizji? Nie słuchasz radia?

- Nie. A po co?

Kuba obudził się i zaczął głaskać ją po nagich piersiach.

- Dziewczyno, pół kraju pod wodą, ponad trzydzieści śmiertelnych ofiar, dziesiątki zaginionych, straty idą w miliardy, a ty nic nie wiesz? W Krakowie woda przelewa się przez mosty, wały zaczynają przepuszczać, ludzie tracą dorobek całego życia, opozycja szaleje, a kandydatka do Sejmu spokojnie śpi?

- Jacek...

- Twoi konkurenci dwoją się i troją, żeby wypłynąć na fali powodziowej. A ty chcesz w niej utonąć?

- Jacek, przepraszam...

- Nie przepraszaj, tylko się zbieraj. Będę za pół godziny i jedziemy w teren. Trzeba nadrobić zaległości.

Ładny jeszcze nigdy nie przemawiał do niej tak kategorycznie. Kiedy się wyłączył, posłusznie pobiegła do łazienki, opłukała się szybko pod prysznicem i zaczęła się ubierać. Kuba patrzył na to z rosnącym niezadowoleniem. Wreszcie wybuchnął:

- A co ty tak się go słuchasz? Dlaczego on ci rozkazuje? Kto jest dla ciebie

ważniejszy?

- Ty jesteś ważniejszy, Kuba. Ale to też jest ważne. Nie mogę nawalić. Teraz już nie mogę.

Ładny przyjechał o oznaczonym czasie i zabrał ją na objazd najbardziej zagrożonych miejsc. W samochodzie wręczył jej kilka kartek.

- Naucz się, co masz mówić - powiedział tonem niezachęcającym do dyskusji.

Czytała z rosnącym niesmakiem.

- Jesteś pewny, że muszę? - Tak.

- No dobrze - westchnęła, wciąż najwyraźniej pełna poczucia winy. - Jeśli tak uważasz.

Kiedy przyjechali pod Most Grunwaldzki, ulewa nie była już tak gwałtowna, jak w nocy, ale wciąż padało.

- Nie masz parasola, Jacek?

- Jaki parasol? - skoczył na nią. - Chcesz głupio wyglądać w telewizji?

Wręczył jej żółty sztormiak ze sztywnej tkaniny.

- Teraz możesz nałożyć kaptur, ale jak będą cię fotografować, masz go zdjąć.

Pamiętaj!

Wisła wprawdzie nie przelewała się jeszcze przez most, ale płynęła tuż pod nim, chlapiąc o konstrukcję. Przejazd był zamknięty. Na wałach zebrało się mnóstwo ludzi, przyglądających się z niepokojem wzbierającej wodzie. Z ust do ust podawano sobie coraz bardziej zatrważające informacje o stanie wałów w mieście.

Jak przewidział Ładny, żółty sztormiak Barskiej, wyróżniający się w szarym tłumie, natychmiast przyciągnął uwagę telewizyjnych kamer. O fotoreporterów prasowych sam zadbał. W ten sposób już w Kronice Krakowskiej o siedemnastej mogła oglądać samą siebie, bezkompromisowo krytykującą lewicowy rząd.

Siedziała z Kubą na wersalce. Oboje byli nadzy, pili wino i słuchali jej ostrych słów, padających z telewizora: „Kraj pogrązał się w powodzi, ludzie ginęli, straty osiągały gigantyczne rozmiary, a politycy, kierujący tym państwem, spali. Ocknęli się poniewczasie, kiedy dla wielu na ratunek jest już za późno. Jestem tym przerażona i oburzona. Tak dalej być nie może! „

Na ekranie deszcz ściekał po jej włosach, po twarzy i żółtym sztormiaku, podkreślając dramatyzm wypowiedzianych zdań.

- Wyglądasz super - pochwalił Kuba, obejmując ją od tyłu i gładząc po piersiach.

- Jezu - powiedziała. - Ale czy to naprawdę ja?

- Tak mi się zdawało. Chyba że Julia Roberts. Chwyliła go za rękę.

- Naprawdę, nie zdawałam sobie sprawy, że to aż taka kiła. Przecież to byli kiedyś całkiem inni ludzie. I ja też. Nie poznaję samej siebie.

- Chyba jesteś bardziej naiwna niż ja. - Kuba udawał doświadczonego. - Odkryłaś Amerykę.

- A ty niby skąd to wiedziałeś? Ile lat byłeś politykiem?

- Nie muszę być. - Wzruszył ramionami. - To się wie.

- Skąd?

- A są kratery na Księżycu?

- No, są.

- Skąd wiesz? Ile lat mieszkałaś na Księżycu?

- Mój mądrała.

Każdy następny dzień wydawał się lepszy od poprzedniego. Barska, wracając z kolejnych wizyt u powodzian, była coraz bardziej nienasycona. On za każdym razem bardziej się starał. Wreszcie któregoś dnia spytał:

- Powiedz mi, czy jestem dobry?

- W jakim sensie? Czy masz dobre serce i tak dalej?

- Nie wygłupiaj się. Czy jestem dobry w tych rzeczach.

- W jakich rzeczach? - spytała, jakby chciała jeszcze zyskać na czasie. - Masz na myśli w łóżku?

- Jasne, że w łóżku, przecież nie w kiblu - zdenerwował się. Zrozumiała, że nie powinna przeciągać struny. Zaśmiała się cicho i pocałowała go koło ucha.

- Co za pytanie - szepnęła. - Jesteś cudowny.

- Nie wymiguj się. Konkretnie. Jestem lepszy od twojego męża?

- Co znaczy konkretnie? Czy masz większego małego? Nie zabieram do łóżka miarki.

- Nie pogrywaj ze mną. Powiedz prawdę.

- Dobrze. No więc... on ma większego. Cały jest większy. Ale to przecież nie ma znaczenia.

- Nie ma? - zawołał Kuba prawie z płaczem, jakby był przekonany, że jest to rzecz najważniejsza na świecie.

- Jak mówię, że nie ma, to nie ma. Równie dobrze mógłbyś spytać, czy ma większe uszy. Owszem, ma większe.

Kuba trochę się uspokoił. Ale nie ustępował.

- A stoi mu tak długo, jak mnie?

Westchnęła ciężko.

- No więc mogę cię uspokoić. Jemu stoi krócej. Zadowolony? Rzeczywiście, mina Kuby była dużo mniej tragiczna. Choć wcale nie do końca.

- A technika?

- Rany! Co technika?

- Nie udawaj, że nie rozumiesz. Który z nas lepiej cię zaspokaja?

- Uważasz, że to sprawa techniki?

- A nie?

- Dzieciaku, czego ty się naczytałeś? Co to znaczy technika? Jak ruszać? Z góry, z dołu, z boku, w kółko? Jak lizać? Gdzie wkładać ile palców? Zapomnij o tym i rób, co chcesz. Waldek Barski to mistrz techniki. I nic z tego nie wynika.

- Wiedziałem - powiedział Kuba ponuro.

- Co wiedziałeś?

- Że jedynie on robi ci naprawdę dobrze. Ja jestem tylko twoim kaprysem, bo się z nim pokłóciłaś czy coś. Chcesz się na nim odegrać, co?

- Kuba, bo za takie gadanie naprawdę się na ciebie pogniewam - powiedziała po raz pierwszy z autentyczną złością. - Czy ty wiesz, ile ja ryzykuję, spotykając się tu z tobą? Wszystko. I ty masz mi czelność mówić, że jesteś tylko kaprysem?

- To czym jestem?

- Kocham cię. A jego nie. I żadne sztuczki nic tu nie pomogą. - Wyciągnęła do niego ramiona. - A teraz chodź i po prostu zrób mi to, nie myśląc o technice.

Pół godziny później zapytał.

- Jeśli jest tak, jak mówisz, to tym bardziej nie rozumiem, dlaczego go nie rzucisz.

- Bo to się wydaje takie proste, kiedy się ma siedemnaście lat.

- Jesteś wierząca?

- Chyba nie na tyle.

- Więc o co chodzi?

- O wiele rzeczy. O mojego ojca, o pracę. O samego Waldka trochę też. On się stara.

Tylko że mu nie wychodzi.

- O to, co ludzie powiedzą?

- Oczywiście, że o to także.

- Czyli o wygodę?

- A co myślałeś? Wygoda to nie taka zła rzecz.

- O miejsce w Sejmie?

- No tak. Teraz także o miejsce w Sejmie.

- To obrzydliwe, wiesz?

Powiedział to naprawdę z takim wstrętem, że aż się zaśmiała.

- Nie. To normalne.

- Jeśli popełniłaś pomyłkę, to dlaczego nie chcesz jej naprawić?

Po raz kolejny ciężko westchnęła.

- Kuba, ja nie popełniłam pomyłki.

- Jak to?

- Kiedy się w nim zakochałam, kiedy za niego wyszłam, to nie była pomyłka. To był wspaniały facet, a ja zadurzona w nim po uszy. Dopiero potem się zmienił. A może ja się zmieniłam. A może zmieniło się jeszcze coś innego. Nie wiem.

Sięgnęła po torebkę, poszperała w niej, wyciągnęła jakieś złożone we czworo zapisane kartki.

- Wahałam się, czy ci to pokazać. Ale niech tam, przeczytaj, wiedz o mnie wszystko. Nie chcę się przed tobą czaić.

Był to najwyraźniej bardzo szczególny list miłosny, pisany kodem stworzonym na własny użytek przez Barską i jej męża. I tak nieprzyzwoity, że Kuba, czytając, mimo woli czerwienił się. Pierwsze słowa brzmiały:

Moja najdroższa na całym świecie Dziuro...

Potem było coraz bardziej zawstydzająco. Jakby Barski wyżywał się w układaniu jak najbardziej wymyślnych opisów tego, co chciałby robić ze swoją żoną.

Czy moja Głęboka Dziura myśli o swoim Wielkim Wężu przez cały czas, bez przerwy, tak jak Wielki Wąż myśli o Niej? Siedzę ja sobie na przykład na strasznie mądrym wykładzie jakiegoś Jeffrey'a Sachsa czy innego Greenspana o sposobach przekształcenia krajów postkomunistycznych w kwitnące gospodarki wolnorynkowe i czuję, że Wielki Wąż chce mi się urwać, jakby był gotów sam przelecieć ocean, żeby już w tej chwili wpełznąć do swojej Głębokiej Dziury, przetkać Ją na wylot i zatopić całą w swej gorącej ślinie...

I tak przez cztery gęsto zapisane strony, aż do końca:

Z tej odległości kocham Cię, moja Dziuro, mocniej niż kiedykolwiek. I choć naokoło przewalają się miliony wspaniałych dziur, białych, czarnych, kawowych, żółtych, czerwonych, w prążki i kwiatki, Wielki Wąż ani drgnie na ich widok, tylko śpi zwinięty w kłębek i śni, że wciąż przetyka Ciebie, bez przerwy, aż do skończenia świata. Amen. Kocham Twoje listy, czytam je w kółko. I tylko smutno mi, że nie piszesz już ani słowa o Głębokiej Dziurze i Wielkim Wężu. Czego się boisz? Cenzura zdechła wraz z komuną. A gdyby nawet



nie, to pieprzyć ją. Ja nie wstydę się niczego. Także tego, że najchętniej wszedłbym w Twoją Dziurę cały, głęboko, głęboko, i został tam na wieki...

Kuba chrząknął.

- Mógłby pisać do „Extasy” - odezwał się ochryple. Szybko położyła mu palec na ustach.

- Nie szydź z tego. Wcześniej i ja pisałam do niego takie listy. Może nawet jeszcze śmielsze. Problem się zaczął, kiedy on pisał je nadal, a ja już nie potrafiłam.

- Ja bym w ogóle nie potrafił.

- Bo ty jesteś inny. I ja teraz też jestem inna.

Wyszli razem. Już dwa dni wcześniej doszli do wniosku, że nie zważając na konspirację, Barska nie powinna sama chodzić wieczorem po obcym osiedlu. Bała się. I Kuba wiedział, że nie bez podstaw. Tego wieczoru nie spotkało ich nic nieprzyjemnego. Nawet nie natknęli się na bloków, okupujących zazwyczaj osiedlowe alejki. W ciemniejszym przejściu, obrośniętym z obu stron krzewami, Barska złapała go za rękę. Potem wspięła się na palce i zaczęła całować.

- To na pożegnanie - szepnęła.

W pobliskiej klatce schodowej zapaliło się światło. Zaszczekał wyprowadzany przez kogoś pies. Szybko oderwali się od siebie, ale idąc dalej, wciąż trzymali się za ręce. Puściła go dopiero w chwili, kiedy dochodzili do przystanku tramwajowego przy Teligi.

- Jutro chyba nałożę ciemne okulary i czapkę z daszkiem. - Zaśmiała się bez radości.

- Wkurza mnie to - powiedział. - Jak długo będziemy się spotykać po kryjomu w tej kanciapie?

- A jakie mamy wyjście? - spytała. - Możemy tylko łapać, co się da.

Nadjechała szóstka. Barska wsiadła do niej sama. Kuba poczekał na następny tramwaj.

To jest możliwe! (pisze Kuba Mazurek)

Siemanko, ludzie, którzy wchodzą do tego vortalu i piszą, że nie ma na świecie takiej rzeczy, co się nazywa miłość. Ja wam mówię, że taka rzecz jest możliwa. I to nawet między siedemnastoletnim facetem i kobietą, która przekroczyła już trzydziestkę. Nie seks, nie zwykłe pieprzenie, ale prawdziwa, wielka miłość. Czy na całe życie? Za to nie ręczę. Ale kto wie?

Rozumiecie, że ten art jest wpuszczony do Internetu, więc muszę się trochę maskować, żeby nas za wcześnie nie rozpoznano. Musi wam wystarczyć, że chodzę do

liceum w dużym mieście, a Ona jest moją panią od... pewnego przedmiotu. Może myślicie, że to jakaś stara panna, która nie miała innej szansy. Otóż nic podobnego. Jej mąż to dziany burżuj, mają dom, samochody, kasę, wszystko to, co wielu z Was tak bardzo jara. I wcale nie żaden stary (bez epitetów, seniorom należy się szacunek - korektor), ale kawał przystojniaka, kulturysta i w ogóle sportowiec.

Widzicie, że można mieć wszystko, co Wy w życiu uważacie za najważniejsze, a kiedy pojawia się ten piorun z nieba, chemia, wiązka energii czy jak to nazwiecie, wszystko staje się nieważne. Pewnie, że trzeba mieć szczęście, żeby coś takiego przeżyć. Myśmy je mieli. I nie możemy go stracić. Będzie jeszcze wiele przeszkód. Wiem, że ludzie są gotowi na wiele, żeby zniszczyć cudze szczęście, na które sami nie mają szans, bo nie zasługują na nie. Ale Moc będzie z nami, Pm absolutely sure!

Jeszcze Jej tego nie mówiłem, bo wiem, że za wcześnie. Wiem, że teraz to by Ją zanadto przestraszyło. Jeszcze nie jest gotowa. Muszę być cierpliwy. Więc na razie mówię to tylko Wam:

Chcę z nią być. Chcę, żebyśmy mieli dziecko. Wierzę w to. A wy?

The Teenager Pierwsze poważne ostrzeżenia - Mamy pewien problem - powiedział ostrożnie Jacek Ładny.

Stali w korku przed światłami na zatłoczonej Alei Pokoju. Wiedząc, że męża nie ma w Krakowie, Barska bez obaw zabrała dziennikarza do swojego golfa. Jechali na spotkanie ze związkowcami w hucie Sendzimira.

- Problem? - rzuciła nieuważnie. - Związany z hutą?

- Nie. Dlatego na razie nie będę ci nim zawracał głowy. Ale przypomnij mi po spotkaniu.

- Ejże! Czy to przypadkiem nie jest jakaś mina, której boisz się ruszać, dopóki nie musisz? - spytała podejrzliwie.

- Skoncentrujmy się na razie na hucie - uciął. Westchnęła.

- Tak, to jest właśnie to, co lubię nawet bardziej niż powodzie. Wielkie piece. Spusty surówki. Walcowanie blach na zimno. Ciągnienie drutów na gorąco. Poezja. W końcu wychowałam się na „Człowieku z żelaza”. Kocham hutników. Kocham hutników. Kocham...

- Bez nerwów. Dałaś sobie radę przy powodzi, dasz i tutaj. Misja, którą mieli do załatwienia w hucie, wydawała się dość delikatna. Trudno byłoby zabiegać o poparcie związkowców, których lider, słynny Staszek Skowron, sam kandydował do Sejmu z listy prawicy. Był legendą z czasów podziemnej Solidarności, kiedy huta nosiła jeszcze imię

Lenina. Na tym terenie nikt nie mógł mu zagrozić. Ładny wpadł jednak na pewien pomysł, oparty na kalkulacji, że liberałowie też mieli w mieście i kombinacie pewną liczbę zwolenników, zwłaszcza wśród kadry kierowniczej. Gra szła o to, by Barska wydała się działaczom robotniczym bardziej do przyjęcia niż zajmujący wyższe miejsca na liście zwolennicy rozwiązań skrajnie liberalnych, wyznawcy radykalnych ekonomistów w rodzaju Sachsa czy Balcerowicza. Należało przekonać Skowrona, że powinien zawrzeć cichy sojusz właśnie z nią. Formalnie biorąc, było to działanie przeciw partii, z której listy startowała. Na tym właśnie polegała delikatność sytuacji.

- Niewiele z tego rozumiem, ale podejrzewam, że takich kombinacji nie pochwaliliby ani Pan Jezus, ani mój tata. - Barska pokręciła głową.

Ładny wzruszył ramionami.

- Toteż żaden z nich nie kandydował do Sejmu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

- Ale o czym ja w ogóle mam z nimi rozmawiać? Przecież o hutnictwie nie mam bladego pojęcia.

- Nieważne. Masz tylko powtarzać, że polskie państwo nie może polskich hut zostawić na pastwę losu, rzucić na pożarcie zagranicznym molochom. Możesz napomknąć, że twoim zdaniem nie wszystkie teorie Keynesa nadają się tylko na śmietnik.

- Jakiego znowu Keynesa? Jakie teorie?

- Nie musisz wiedzieć. Oni też nie wiedzą. Chodzi tylko o to, żeby uwierzyli, że jesteś lepsza od takich liberałów jak Luberda czy Wunderlich, że masz duszę przepełnioną współczuciem dla ciężkiej doli hutnika i miejsc pracy w polskim hutnictwie będziesz bronić jak niepodległości.

- Luberda i Wunderlich mówią to samo.

- Jasne. Ale ty masz ich przekonać, że Luberda i Wunderlich podstępnie kłamią, a ty jesteś szczerą.

- Boże!

- Sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało.

- Niestety.

Rozmowa ze związkowcami, zgodnie z przewidywaniami Ładnego, okazała się jednak bardzo udana. I nadszperowanie łatwa. Skowron, którego niepodległościowa broda, kiedyś zabójczo czarna, teraz stała się interesująco szpakowata, wprost nadszkakiwał Barskiej. Niemal ją podrywał. A przynajmniej sondował ewentualne szansę. Kiedy nieśmiało wspomniała o Keynesie, pokiwał tą brodą z entuzjazmem i aż zaklaskał w dłonie.

- To widzę, koleczy, że mamy wśród liberałów bratnią duszę! - zawołał.

Już w samochodzie, ruszając z parkingu przed biurowcem huty, Barska nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Nawet nie przypuszczałam, że potrafię tak ściemniać, mówiąc językiem moich uczniów. Ale - przypomniała sobie - miałeś mi coś powiedzieć.

- Właśnie, zdaje się, że teraz mamy do pokonania poważniejszą przeszkodę.

- Mów. Po zwycięstwie nad hutnikami jestem gotowa stawić czoła diabłu.

- Nie tak wiele się pomyliłaś - mruknął Ładny.

- No! Intrygujesz mnie. To co tam chowasz?

- Dowiedziałem się, jakiego haka użyje na ciebie nasz stary, poczciwy, bogobojny Psota. I to może już w najbliższych dniach.

- A jakiegoż on może mieć na mnie haka? - rzuciła lekceważąco.

- Dlaczego nie masz dzieci.

- Słucham?! - Aż przyhamowała.

- Ma zamiar spytać cię publicznie, dlaczego nie masz własnych dzieci, skoro tak się troszczysz o cudze.

- A co go to obchodzi?

- Jego, moja droga, obchodzi, żeby wejść do Sejmu zamiast ciebie.

- Ale przecież takie pytanie to zwykłe chamstwo. Zmieszam go z błotem i wszystkie Polki staną za mną murem.

- No właśnie, mnie też wydaje się to dziwne. Jeśli nie jest głupi, to powinien jeszcze coś chować w zanadru. Tylko co?

- Nie mam pojęcia.

- Nie obraż się, ale muszę o to spytać. Miałaś kiedyś skrobankę? Ostro hamując, skręciła gwałtownie kierownicę, wjechała na chodnik i zatrzymała samochód.

- No wiesz? Tym razem przesadziłaś.

Trudno było nie zauważyć, że jest cała rozdygotana.

- Przepraszam. To nic osobistego. Jeśli jestem twoim doradcą, to muszę znać twoje słabe punkty.

- Nie mam słabych punktów. Przynajmniej takich.

- Owszem, masz. Sam wiem o jednym - powiedział spokojnie. Długo milczała, przygryzając wargi.

- Dobra, pogadajmy - zdecydowała się wreszcie. - Ale chodź, przejdziemy się. Muszę się trochę uspokoić.

Wysiedli z samochodu. Stali akurat na wysokości Parku Lotników. Przeszli kawałek

aleją Pokoju i zagłębili się między drzewa. W parku o tej porze dnia było upalnie i prawie pusto. Na niewykoszonych kawałkach rozległych polan kwitły żółto wrotycze i nawłocie. Znaleźli zacienioną alejkę, szli nią powoli, z dala od siebie.

- Nie odpowiedziałas mi na pytanie - upomniał się Ładny cicho, ale stanowczo.

- Pieprzone kandydowanie - powiedziała ze złością.

- Trochę za późno na takie refleksje.

- No więc nie. Nie miałam skrobanki. Zadowolony?

- Jako kto?

- Jako mój doradca. A niby kto inny?

- Jako twój doradca nie muszę być zadowolony, tylko poinformowany. Oczywiście, że tak jest lepiej. W takim razie szukajmy dalej. Nie deklarowałaś nigdy publicznie, że nie chcesz mieć dzieci?

- W życiu!

- Może wyśmiewałaś dzieciarobów, którzy, jak prezydent Psota, dali krajowi piątkę nowych obywateli?

- W odróżnieniu od niego, nie jestem chamką.

- To na co on, do diabła, liczy?

- Nie wiem. Nie mógłbyś wziąć pod uwagę, że facet jest po prostu głupi?

- Biorę. Ale głupiemu też można dać się złapać.

- Jacek, przecież to, co on głosi, to są dziewiętnastowieczne zabobony. Dziś małżeństwa nie śpieszą się tak z dziećmi. Wiele kobiet rodzi pierwsze dopiero po trzydziestce i wszystko jest w porządku.

- No właśnie!

- Co właśnie?

- Właśnie dałaś się złapać. Jeśli on liczy, że zaczniesz gadać coś takiego, to wcale nie jest taki głupi.

- Przecież to prawda.

- Ale prawda, która w naszym bogobojnym kraju robi złe wrażenie. Wiesz, jak ludzie to odbiorą? Patrzcie, co to za zimna, nieczuła, wyrachowana suka.

- Dziękuję.

- Nie ma za co, to mój obowiązek. Więc odbiorą to tak: Patrzcie, na pierwszym miejscu jest dla niej kariera, biznes męża, domy, samochody, podróże, psy, a dopiero na szarym końcu dziecko, osoba ludzka, przyszłość narodu.

- Nie mamy psa.

- Ale wyborcy o tym nie wiedzą.
  - To co mam mówić?
  - Że właśnie planujecie dziecko.
  - Co takiego? Może mam jeszcze złożyć obietnicę wyborczą, że w trakcie kadencji zajdę w ciążę?
  - Wystarczy zasugerować, że taka radosna nowina nie jest wykluczona. Możesz dać do zrozumienia, że przeszłaś kurację hormonalną. Kobiety się wzruszą.
  - A to co znowu ma znaczyć? Że do tej pory testosteron walił mi do głowy? Bez sensu!
  - Może nie tak bardzo, skoro aspirujesz do władzy.
  - Miły jesteś. Męski szowinista!
  - Nie mam być miły, tylko skuteczny.
  - Posłanka w ciąży? To idiotyzm.
  - Myślę, że wprost przeciwnie. Przyrost naturalny w Polsce spada, niedługo będzie ujemny. Narodowi grozi wymarcie. W tej sytuacji posłanka w ciąży będzie symbolem odradzania się sił witalnych Polaków.
  - W życiu nie słyszałam większej bzdury. Nie poznaję cię, Jacek, wiesz? Nie przypuszczałam, że możesz być taki cyniczny.
  - Nie jestem taki. Gram rolę, która tego wymaga.
  - Grasz ją podejrzanie dobrze. Zatrzymał się nagle, spojrzał jej w oczy. - Nie lubisz mnie już? - spytał.
  - Przeciwnie, Jacku, lubię cię.
- Ujęła go pojednawczo pod ramię, pociągnęła na niedaleką ławkę pod rozłożystym klonem. Szeroka polana opadała stąd ku alei Pokoju, a dalej było widać dymiące kominy elektrociepłowni w Łęgu.
- Muszę cię lubić, bo w przeciwnym razie z kim mogłabym szczerze porozmawiać? - przyznała. - Nie mogę w nieskończoność dusić tego wszystkiego w sobie. A już nawet Gabi boję się ufać.
  - Czego nie możesz dusić w sobie? Masz kłopoty?
  - A jak myślisz?
  - Myślę, że byłoby dziwne, gdybyś nie miała. Ale przecież do tej pory Gabi zawsze była idealną powiernicą. Jeszcze za studenckich czasów. Mylę się?
  - Była. Ale już nie jest.
  - Co się zmieniło?

- Zazdrości mi.

- Zazdrości ci? - zdziwił się Ładny. - Czego? Że będziesz panią posłanką?

- Głupi. Kuby mi zazdrości. Ładny chrząknął z powątpiewaniem.

- Jesteś pewna?

- Jasne. Sama by chciała, ale nie ma dość odwagi. Więc krew ją zalewa, że ja się odważyłam.

Kręcił głową, wciąż nie dowierzając.

- Skąd wiesz?

- Stąd, że też jestem babą. Nie widać? Wprawdzie właśnie się dowiedziałam, że podejrzewasz mnie o męskie hormony, ale zapewniam cię, że mam też wystarczająco dużo babskich, żeby takie rzeczy wyczuwać.

- A nie przyszło ci czasem do głowy, że ja z kolei mogę zazdrościć Kubie Mazurkowi?

- Owszem, przyszło. Ale mam nadzieję, że ty jesteś za dumny, żeby się do tego przyznać.

- Dzięki za uznanie. Więc słucham cię, moja córko. I z góry rozgrzeszam, bo wszystko, coś uczyniła, z miłości uczyniłaś.

- Nie wygłupiaj się. Naprawdę mam kłopot - powiedziała poważnie.

- Z Kubą.

- Oczywiście. Wydaje mi się, że zaczyna się za bardzo przywiązywać.

- I to cię dziwi?

- Trochę. Wydawało mi się, że taki młody chłopak powinien się szybko znudzić taką starą babą. A tymczasem on mi robi sceny zazdrości. Pyta, czemu nie rozwiodę się z mężem.

- A właściwie to czemu się nie rozwiedziesz? - wyrwało się Ładnemu. Zaraz dodał: - Przepraszam. Rozumiem, że to dla ciebie nie są żarty.

- Żarty? Jacek, ja jestem przerażona.

- Chciałabyś się już wypłatać? - spytał, jakby z lekką nadzieją.

- Nie, skąd! Na razie nie wyobrażam sobie życia bez niego. Nie chciałabym go skrzywdzić.

- Przepraszam, że powiem banał, ale jako posiadaczka babskich hormonów powinnaś wiedzieć, że nie da się zrobić jajecznicy, nie rozbijając jajek.

- Nie zdawałam sobie sprawy. Sądziłam, że to ja będę bardziej cierpieć. Że on ma po prostu problem z utratą cnoty.

- I kiedy już ją utraci, powie ci: Zrobiłaś swoje, stara babo, a teraz zabieraj mi z oczu

swoją starą dupę?

- Wyraziłeś to bardzo obrazowo, ale rzeczywiście, właśnie coś takiego myślałam.

- Boże! I wy mówicie, że to faceci nie rozumieją waszych subtelnych dusz. - Pokiwał głową z politowaniem.

- Jacek, to co ja mam robić? Nie mogę z nim po prostu skończyć. Nie umiałabym. Jeszcze nie teraz.

- To nie kończ. Tylko nie zapominaj, że to facet. Prawdopodobnie zakochany w tobie na śmierć i życie. Jeśli liczysz na to, że mu przejdzie, pewnie masz rację. Ale zanim mu przejdzie, może robić różne nieobliczalne rzeczy. Nic nie znaczy, że ma tylko siedemnaście lat.

- Skąd wiesz?

- Nieważne. Wiem i już.

- Potępiasz mnie? - spytała cicho.

- Potępiam? Podziwiam cię - odpowiedział.

Milczała długą chwilę. Potem nachyliła się i pocałowała go w policzek.

- Chodźmy - powiedziała. - On na mnie czeka. - Kuba?

- Nie, Waldek. Wpadł na parę godzin do Krakowa. Mam się z nim spotkać w biurze.

W czasie, kiedy Barska z Ładnym rozmawiali z przywódcami hutniczej Solidarności, Kuba Mazurek odbył podróż do Katowic i z powrotem. Nie mógł powstrzymać się przed umieszczeniem w Internecie arta, który napisał poprzedniej nocy. Nie umiał dłużej przeżywać wszystkiego w samotności. Musiał podzielić się z kimś wiadomością o przygodzie, jaka mu się przydarzyła. Wynalazek Internetu pozwalał zachować przy tym anonimowość. Jeśli się oczywiście zachowało pewną ostrożność. Nawet przez chwilę nie pomyślał, żeby połączyć się z siecią z własnego komputera. Po namyśle zrezygnował też ze skorzystania z którejs z krakowskich kafejek internetowych. Doszedł jednak do wniosku, że stolica Górnego Śląska jest położona wystarczająco daleko, by uniemożliwić dotarcie do autora nawet służbom śledczym.

Cała operacja w Katowicach zajęła mu nie więcej niż godzinę. Niedaleko dworca, w długiej, wąskiej ulicy, po której jeździły czerwone tramwaje, znalazł kawiarenkę internetową, w której znudzona, żująca gumę kobieta nie zażądała od niego żadnych dokumentów. Zapłacił tylko, usiadł przy jednym z wolnych komputerów i wszedł do vortalu www.małolaty.pl. Chwilę wahał się, w jakim dziale umieścić swój art - seks, miłość czy może szkoła. Wreszcie zdecydował się na miłość. Kliknął „send” i bez pośpiechu opuścił kafejkę.



Wydawało mu się, że nikt nie zwrócił na niego uwagi. Żującą gumę, inkasując od niego należność, ledwo uniosła wzrok znad kolorowego czasopisma. Kilka innych osób nie odrywało wzroku od ekranów swoich komputerów. Kuba jeszcze przed wyjazdem z Krakowa ściągnął włosy gładko przy głowie i spał w kucyk, który ukrył pod plecakiem. Wiedział, że takie uczesanie bardzo go zmienia. Nie zaniedbał niczego.

Wrócił od razu na dworzec. Na powrotny pociąg nie czekał nawet pół godziny. Kiedy Barska kończyła rozmowę z Ładnym w Parku Lotników, był już z powrotem w Krakowie. Wszystko trwało niewiele dłużej, niż gdyby wybrał się do kina. Do kawalerki dziennikarza dotarł przed nią. Ledwo zamknął drzwi, uruchomił komputer. Nie mógł się powstrzymać przed sprawdzeniem, czy są już jakieś odpowiedzi na jego art. Yortal był najwyraźniej przez cały dzień odwiedzany przez młodych internautów, bo już kilkoro z nich zareagowało na nowy komunikat. Komentarze były w większości nieprzyjemne:

Autor: 007; Ale ściema!

Autor: Terminator; Koleś, nasi ojcowie mawiali: Na starej piczy młody (wiadomo kto - korektor) ćwiczy. Tak trzymaj. W następnej kolejności radzę ci odwiedzić osiedlowy Klub Złotej Jesieni.

Autor: Punkowa; Jeśli to prawda, ta twoja pani od... pewnego przedmiotu ma niezłe narąbane pod beretem.

Autor: Gineko; To ty, koleś, masz narąbane! Wiesz, jakie pasożyty mają takie stare baby w (zbędna dosłowność - korektor)?

Autor: Femina; Gineko, jesteś burak! To wy macie pasożyty, ale w mózгах. Czy wszyscy faceci, którzy piszą do tego vortalu, myślą członkami?

Autor: Mycha; Współczuję twojej ukochanej. Ona ci zaufała, a ty rozgłaszasz to na cały świat. Co z tego, że anonimowo? Myślisz, że jak ona przeczyta, to się nie domyśli?

Autor: Realist; Aleś ty naiwny, facet! Wierzysz, że ta stara zdzira cię kocha? Że pozwoli ci zmachać sobie bachorka? Jesteś jej potrzebny tylko do ostrego (wiadomo, do czego - korektor). A tobie się roi, że ona zostawi dla ciebie męża, który kosi dużą kasę? Założę się, że po tobie on ją (wiadomo co, korektor), aż się próchno sypie.

Kiedy telefon zadzwonił trzy razy, Kuba aż się wzdrygnął. Ledwo zdążył wyłączyć komputer i podejść do okna, a Barska już podchodziła do bloku. Prawie biegła. Wpadła do klatki, jakby ktoś ją gonił.

- Co się stało? - przywitał ją w drzwiach. - Dlaczego biegłaś?

- Jak to, co się stało? Śpieszyłam się do ciebie.

I znów rzuciła się na niego, jak co dzień, gwałtownie szarpiąc pasek jego spodni,

zsuwając mu je z bioder, ściągnając z niego koszulkę. Ale kiedy też zaczął ją rozbierać, pociągnęła go do łazienki.

- Zaczekaj, najpierw się wykąpiemy. Czuję się taka nieświeża, od rana biegam po mieście.

Sama rozebrała się szybko i wskoczyła do wanny, ledwo naleciało do niej trochę wody. Potem pieściła Kubę tak namiętnie, że nawet nie zdążyli wyjść z kąpieli. Kochali się powoli, kołysząc się we wspólnym rytmie, a woda kołysała się wraz z nimi, przelewając się przez brzegi wanny na posadzkę. Trwało to dłużej niż kiedykolwiek przedtem i Barska wreszcie odblokowała się zupełnie, nie dusiła już głosu w sobie, jęcząc i krzycząc bez zahamowań. A potem długo jeszcze leżeli objęci w coraz chłodniejszej wodzie.

Barska poruszyła się pierwsza, usiadła i dołała gorącej. Mieszając wodę dłońmi, zaśmiała się nagle niespodziewanie radośnie.

- W życiu nie kąpałam się w tak zatłoczonym basenie.

A kiedy w oczach Kuby wyczytała brak zrozumienia, dodała:

- Tu pływają miliony małych Mazurków. Nawet się nie uśmiechnął.

- A wiesz, że myślałem, żeby mieć z tobą dziecko? - powiedział poważnie.

Jednym susem wyskoczyła z wanny.

- Na miłość boską, co ty wygadujesz, dzieciaku?

Wspięła się na palce, stanęła okrakiem nad umywalką i zaczęła się płukać, szybko, a zarazem bardzo dokładnie.

- Nie bój się - powiedział, wciąż bez uśmiechu. - Tylko myślałem.

Trochę się zawstydzila, sięgnęła po ręcznik.

- Nawet nie myśl. Jeśli ci takie głupie pomysły będą chodziły po głowie, to naprawdę bez prezerwatywy nie pozwolę ci się nawet zbliżyć.

Speszony, wyszedł także z wanny, wypuścił wodę i wytarł się. Nagle stracił humor.

- O co znowu chodzi?

- Może już w ogóle nie chcesz?

- Ależ chcę. Udowodnić?

Tym razem kochał ją w milczeniu, nie wkładając w to uczucia. Potem zsunął się z niej od razu i leżał, patrząc w sufit. Długo patrzyła na niego pytająco, a kiedy nie reagował, wstała i wyjęła wino z torby. Nago poszła do kuchni po kieliszki i otwieracz. Nalała i jeden z kieliszków podała Kubie. Wziął bez słowa, potem usiadł na pościeli po turecku i wypił łyk. Nie patrzył na nią i nie odzywał się.

- Kuba, co się dzieje? - spytała. - Nic.

- Przecież widzę. Co ci zrobiłam?
  - Nie wiem.
  - Jak to nie wiesz?
  - A co robiłaś cały dzień?
  - Byłam z redaktorem u hutników.
  - U hutników? A, wybory.
  - Owszem, wybory.
  - A przedtem?
  - Kiedy przedtem?
  - W nocy.
  - Czytałam Miłosza. Słuchałam Czajkowskiego. Spałam.
  - A poza tym?
  - Co poza tym?
  - Nie pieprzyłaś się ze swoim mężem?
  - Nie było go tej nocy.
  - A potem? W dzień?
  - Nie rozumiem, o co ci chodzi.
  - Rozumiesz. To dlatego musiałaś się najpierw wykąpać, prawda? Dzięki i za to.
  - Kuba, proszę cię. Nie utrudniaj tego, co i tak jest trudne.
  - Dla ciebie jest trudne? A dla mnie?
  - Przecież wiedziałaś.
  - Masz się z nim nie pieprzyć, słyszysz?
  - Dobrze, spróbuję.
  - Nie mówię, żebyś spróbowała, tylko żebyś tego więcej nie robiła.
  - Nie traktuj mnie tak samo, jak on.
  - A co? Tylko jemu wolno? A ja uwierzyłem, że mnie kochasz. Ale byłem naiwny!
- Przysunęła się do niego, przylgnęła nagim ciałem do jego boku.
- Kocham cię, Kuba. To prawda - powiedziała cicho.
  - Ale pieprzysz się także z nim.

Delikatnie wsunęła mu palce we włosy. Odepchnął jej dłoń tak silnie, że uderzył ją przy tym w twarz. Kieliszek wyleciał jej z ręki i rozbił się o ścianę. Czerwone wino splamiło pościel. Dopiero wtedy Kuba jakby oprzytomniał i przestraszył się tego, co zrobił. Chwytał ją w ramiona.

- Justyna, przepraszam. Nie chciałem.

Wysunęła się z jego objęć i zwinęła się w kłębek na prześcieradle, plecami do niego. Jej nagie ciało zadygotało.

- Justyna - powtarzał z rozpaczą. - Co mam zrobić?

- Nic. To nie twoja wina - odpowiedziała, pociągając nosem. - Powinnam przewidzieć, że będą kłopoty.

Pół godziny później zasnęli oboje, pogodzeni. Kiedy się obudzili, było już prawie ciemno. Ale tym razem nie zrywali się z pościeli w pośpiechu. Barska nie popędzała, nie musiała nigdzie zdażyć. Jakby chciała uspokoić kochanka. Wykapali się, leżąc długo w wannie, aż wystygła woda. Zanim wreszcie wyszli od Ładnego, zapadła już noc.

Ochłodziło się znacznie, niedawno padał deszcz. Osiedle było wyludnione.

- Musimy iść do taksówki - powiedziała Barska. - Ostatni tramwaj już przejechał.

- A konspiracja?

- Do cholery z konspiracją.

- I kto to mówi? - zaśmiał się z goryczą.

- Przecież nie stoję na rynku i nie krzyczę: Jestem kochanką Kuby Mazurka! Jestem kochanką Kuby Mazurka! Chcę tylko wziąć taksówkę. Zresztą, dla zmyłki wysiadziemy przy dworcu. Stamtąd każde weźmie swoją.

- Jeśli o mnie chodzi, możemy skończyć z konspiracją.

- Oj, Kuba, Kuba - westchnęła. - Sam nie wiesz, co mówisz. Czasem i tak mam wrażenie, że już wszyscy wiedzą.

- To czemu nic nie robią?

- Nie wiem. Może po to, żeby potem bardziej zaboląło. Kiedy się zorientowali, że są otoczeni przez ciemne postaci w naciągniętych na głowy kapturach, na ucieczkę było za późno.

- No, jesteście, robaczki - odezwał się jeden z napastników. - Coście się dzisiaj tak grzebali?

Ten, który mówił, miał napakowaną sylwetkę o odstających od tułowia ramionach. Stał tak, że jego ocieniona kapturem twarz nie była widoczna. Ale na pewno nie był już nastolatkiem, typowym bloksem.

- Przepraszam, proszę nas przepuścić, śpieszymy się do taksówki. - Barska starała się mówić ostro, ale uprzejmie.

Odpowiedzią było błyskawiczne uderzenie w twarz, aż się zatoczyła.

- Nigdzie się nie śpieszycie, szmato. Teraz masz randkę z nami. Nie wiedziałas? No to już wiesz.

Silne ramiona pchnęły ich w stronę zaparkowanej na chodniku półciężarówki. Zmusiły do oparcia się plecami o blaszany bok pojazdu. Błysnęły latarki, świecąc im prosto w oczy.

- A ty, koleś, skąd jesteś? - odezwał się tym razem któryś z pozostałych.

- Z Krakowa - odpowiedział Kuba głucho.

Teraz on zarobił w twarz. Niezbyt mocno, zaledwie karcąco.

- Nie graj cwaniaka, bo poplujesz zębami. Komu kibicujesz, Wiśle czy Cracovii?

- Nie interesuję się piłką.

- Szkoda.

Drugie uderzenie było mocniejsze. Głowa Kuby odskoczyła do tyłu, uderzyła o blachę.

- Nie bawcie się - ponaglił ten pierwszy. - Muszą mieć jakieś papiery.

Legitymację szkolną Kuby wyłuskali z tylnej kieszeni jego dzinsów. Nosił ją przy sobie, żeby mieć zniżkę w tramwajach.

- Koleś mieszka na Azorach.

- To się zgadza. A ta rura?

- Wola Justowska. Naprawdę musi być dziana, suka.

- Kluczyki są? - Są.

- Dobra, szmato, a teraz gadaj, gdzie bryka?

- W garażu.

- A garaż gdzie?

- Chodzi wam o samochód? - spytała ze zdziwieniem. Kolejne uderzenie w twarz aż klasnęło.

- Tutaj my zadajemy pytania - wygłosił filmowy tekst osiłek.

- Ty, ale w dowodzie rejestracyjnym ma napisane, że to golf - odezwał się ten, który przetrząsał torebkę Barskiej.

- Jaki, kurwa, golf?

- No, golf. Kluczyki też są od volksa.

Osiłek wyrzucił z siebie strumień przekleństw. Potem spytał złowrogo:

- A honda gdzie?

- Jaka honda? - spytała Barska.

Teraz na jej głowę spadła zwinięta pięść.

- Honda prelude, szmato.

- Nie mam żadnej hondy prelude.

- Nie masz? A twój stary?

- Także nie.

Do Kuby przyskoczył nagle najmniejszy z napastników i przytknął mu coś do szyi. Coś ostrego i kłującego.

- Gadaj, suko, bo mu łeb upierdolę!

- Panowie, nie mamy żadnej hondy. - Barska rozplakała się.

- Przysięgam. To pomyłka.

Było chyba w jej głosie coś, co kazało uwierzyć napastnikom, że mówi prawdę.

- Zabiję gówniarza - zamruczał osilek.

Barska najwyraźniej zrozumiała, że chodzi mu o Kubę.

- Panowie, błagam - zaszlochała. - Weźcie karty kredytowe. Podam wam kody.

- Wydaje ci się, że jesteś cwana, szmato? Pierdolę twoje karty kredytowe. I ciebie też zaraz wypierdolę. Przynajmniej tyle będzie z ciebie pożytku.

- Nie, proszę.

- Proś, szmato, proś. To mnie jara. Proś ładnie, to ci tak dogodzimy, jak ten twój cienias nie dałby rady przez całe życie. A będziesz fikać, to wrócisz do domu z jego łbem w reklamówce.

Ten, który wciąż trzymał Kubie ostrze przy szyi, zachichotał złowieszczo. Otworzyli tylne drzwi półciężarówki.

- Włóż sama, szmato, będzie mniej bolało.

Popchnięta, uderzyła kolanami o krawędź podłogi towarowej części samochodu. Odwróciła głowę w stronę Kuby i spojrzała na niego błagalnie.

- Proszę cię, nie rób nic - powiedziała.

Nikt nie nadchodził z pomocą. Nikt nie wyprowadzał psa na spacer, było na to zbyt późno. Okna sąsiednich bloków były ciemne, tylko nieliczne rozjaśniał jeszcze słaby blask od telewizorów. Oboje, i Barska, i Kuba, wiedzieli, że powinni krzyczeć, wrzeszczeć na całe gardła. Młodszy inspektor Borejko podkreślał to przy każdej okazji. Ale żadne z nich nie zdołało się odblokować. Zresztą, nie było gwarancji, że to by coś dało. Sterroryzowani niemal conocnymi awanturami mieszkańcy osiedla mogliby zareagować raczej zamykaniem okien i zatykaniem uszu.

Kiedy Barska niezgrabnie, na kolanach, zaczęła wchodzić do półciężarówki, Kuba nie wytrzymał. Zapominając o ostrzu, które mogło przebić mu szyję, okręcił się i uderzył małego obiema wyprostowanymi rękami, trafiając go w twarz. Mały był akurat zaprzątnięty obserwowaniem upokarzającej sytuacji, w jakiej znalazła się kobieta, i dał się zaskoczyć. Ale

pozostali byli czujni. Kuba dostał uderzenie z tyłu, które mogłoby go zabić, gdyby trafiło w głowę. Na szczęście był wciąż w ruchu i cios dosięgnął tylko jego pleców. Mimo to poleciał do przodu, tracąc równowagę. Padając na chodnik, jeszcze w ostatniej chwili próbował uchwycić się kosza na śmieci przed wejściem do bloku. Nie udało mu się. Kubeł ze śmieciami wyskoczył z uchwytów i uderzył o bruk w tej samej chwili, w której z płytkami zetknęło się ciało Kuby.

Nogi nadbiegających były tuż, kiedy zdołał poderwać się z ziemi, z kubeł pełnym śmieci w ramionach. Ostatnim wysiłkiem uniósł go nad głowę i cisnął w najbliższe okno na parterze. W nocnej ciszy brzęk tłuczonych szyb zabrzmiał ogłuszająco. Na sekundę powróciła zupełna cisza, nawet napastnicy zastygli, jak porażeni. Potem w mieszkaniu, do którego wpadł kubeł, rozległ się przeciągły kobiecy wrzask, tak przeraźliwy, że nie sposób było go zignorować. W osiedlowych oknach jedno po drugim zapalały się światła. Zaspani ludzie wołali:

- Policja! Dzwonimy po policję!

Na jednym z balkonów ukazał się siwowłosa mężczyzna w szlafroku, z dubeltówką w dłoniach.

- Bandyci! W końcu trzeba z wami zrobić porządek! - krzyknął histerycznie.

Błyski z obu luf zajaśniały w ciemności jak ceglastoczerwone błyskawice. Huk wystrzałów zmieszał się z niemilkącym, przeciągłym wyciem kobiety z parteru. Napastnicy nie czekali dłużej. Chyłkiem, niczym wyszkoleni komandosi, przytrzymując na głowach kaptury, dobiegli do półciężarówki i wskoczyli do środka. Sprawiający wrażenie szefa osiłek zajął miejsce obok kierowcy. Przy wsiadaniu kaptur zsunął mu się z głowy i przez moment widać było jego gładko wygoloną czaszkę i rozdęty od sterydów kark. Wystartowali spokojnie, bez niepotrzebnego hałasu.

Barska i Kuba też się ocknęli. Nie porozumiewając się, odnaleźli w mroku swoje dłonie i już biegli, przygięci ku ziemi, kryjąc się za krzakami, byle dalej od bloków. Nie zatrzymani przez nikogo, zostawili za sobą osiedle, skąd dobiegało teraz wycie radiowozów i klucząc ciemnymi uliczkami starego Prokocimia, dotarli do torów kolejowych, a potem szli wzdłuż nich, ustępując przejeżdżającym pociągom. Niewiele ponad godzinę później byli już na dworcu Kraków Płaszów. Przemknęli się do pustej o tej porze damskiej toalety.

- Boże, jak my wyglądamy - załamała rękę Barska.

- Ale masz problem - mruknął Kuba.

Nagle zaczęła śmiać się histerycznie. Nie mogła przestać i w końcu nie było już wiadomo, śmieje się czy płacze, kiedy zobaczyła jego lewą rękę, ociekającą krwią. Uspokoila

się natychmiast.

- Boże, jesteś ranny! Kuba spojrzał przelotnie.

- To tylko skóra - wzruszył ramionami.

Opatrzyła mu ranę na ramieniu, używając do tego chusteczek higienicznych, które obwiązała paskiem od sukienki. Potem obmyli się i oczyścili ubrania, na ile się dało. Ale sińców na twarzach nie dało się zmyć. Barska nałożyła ciemne okulary.

- No co? Naprawdę je wzięłam - odpowiedziała na jego zdziwienie.

Usiedli na ławce na pustym peronie.

- W takim stanie nie możemy wsiąść do taksówki - powiedziała. - Zadzwońię do Jacka.

Ładny nie wyszedł jeszcze z redakcji. Jego urlop był fikcją. I tak nie miał się gdzie podziać, kiedy Barska z Kubą używali jego mieszkania. Tego dnia wypił tylko dwa piwa, i to przed paroma godzinami, zaryzykował więc i przyjechał swoim samochodem. Pojawił się szybko. Na ich widok pokiwał głową.

- No, to kampanię wyborczą musimy zawiesić - powiedział krótko.

- Fajnie. Mam urlop. - Barska próbowała zapobiec kolejnemu wybuchowi płaczu.

Spotkali się w trójkę po raz pierwszy od czasu, kiedy Ładny dowiedział się oficjalnie, że Barska i Kuba mają romans. Mimo to zachowywał się, jakby sytuacja była dla niego całkiem normalna. A przynajmniej udawał, że tak jest. Poszedł przodem do swojego fiata, żeby nie peszyło ich, że patrzy, jak trzymają się za ręce. Otworzył im drzwi z tyłu, było oczywiste, że powinni siedzieć razem. Zapalił silnik i tylko jeszcze zapytał, zanim wyjechał z parkingu:

- Co wam zabrali? Barska potrząsnęła głową. - Nic.

- To trochę dziwne, prawda?.

- Wzięli nas chyba za kogo innego - powiedziała.

Kuba odwrócił głowę do okna. Przez całą drogę nie powiedział ani jednego słowa.

Występni kochankowie nigdzie nie są mile widziani Wyjechali z Krakowa o świcie. Barska podjechała po Kubę na parking przy kościele Błogosławionej Jadwigi Królowej Polski, obok ogrodzenia ogrodów działkowych. O tej porze nie było tu żywego ducha. Wielkie blokowiska Azorów nie obudziły się jeszcze. Uśpione były też domki w sąsiednich uliczkach, kiedy Kuba szedł na spotkanie. Teraz czekał, oparty o drzewo nad parkingiem. Barska wyskoczyła z auta, podbiegła i przywarła do niego kurczowo. Ciemne okulary tylko częściowo zakrywały siniaki.



- Gdzie my się teraz podziejemy? - spytała.

- Polska jest duża. Świat jeszcze większy.

Ton głosu Kuby przeczył słowom. Był cichy, załamujący się i niepewny.

- Dzieciaku.

Wciągnął ją przez bramę w głąb ogrodu. Całowali się znów jak dawniej, nawet jeszcze bardziej zachłannie, jakby ze świadomością, że nie wiadomo, ile czasu jeszcze im zostało. Barska do podróży ubrała się w dżinsy. Teraz Kuba rozpiął ich guzik i suwak, wsunął rękę do środka. Było ciasno i niewygodnie. Osunęli się na mokrą od porannej rosy ławkę. Barska opanowała się pierwsza.

- Nie, tak nie można. Zaraz przyjdą tu jacyś ludzie.

- Pieprzę ich.

Wysunęła się spod niego, zapięła spodnie.

- A ja nie. Też mam ochotę kochać się z tobą. Ale przecież nie tutaj - wskazała ręką na widoczne między drzewami mury kościoła.

Nie wyglądał na zadowolonego, ale bez słowa ruszył za nią do samochodu. Podała mu kluczyki.

- Ty prowadź. Ja jestem wciąż za bardzo roztrzęsiona.

Od razu poprawił mu się humor. Gesty, jakimi dotykał kierownicy i dźwigni zmiany biegów, były niemal pieszczotliwe. Jak na tak młodego kierowcę, prowadził zaskakująco pewnie, łagodnie i bez szarpnięć. A równocześnie już na Opolskiej parę razy wypróbował wszystkie możliwości stukonnego silnika. Dopiero wtedy spytał:

- Dokąd właściwie jedziemy?

- Dokądkolwiek. Byle jak najdalej stąd - odpowiedziała cicho. - Może na Mazury?

- Poważnie? - ucieszył się. - A mogę autostradą i dwupasmówką przez Łódź?

- Którędy chcesz. Jesteś w tym lepszy niż ja.

Na autostradzie bez trudu rozpędził golfa do dwustu kilometrów na godzinę. Auto pewnie trzymało się drogi, choć na koleinach, wyżłobionych na prawym pasie przez ciężarówki, trochę rzucało.

- Nie za szybko? - spytała.

- Boisz się?

- Nie boję się. Ufam ci. Ale wolałabym, żeby nas policja tak od razu nie namierzyła. Wyobrażasz sobie, jakby zobaczyli nasze gęby? Nie ma wątpliwości, że by nas zatrzymali do sprawdzenia.

Zwolnił do przepisowej prędkości i jechał równo sto trzydzieści, tylko przy

wyprzedzaniu korzystając z całej mocy silnika, co mu sprawiało wyraźną radość. Mijali widoczne w oddali ruiny zamku Tenczyn, kiedy Barska zaśmiała się, po raz pierwszy od wielu godzin.

- O co chodzi?

- Aż przyjemnie na ciebie patrzeć. Pieścisz to autko bardziej namiętnie niż mnie.

Udało jej się sprawić, że też się uśmiechnął.

- Bardziej to nie. Ale prawie. Jest podobne do ciebie.

- Z powodu lekkiego prowadzenia? - zacytowała stary dowcip.

- No wiesz? Żelazna Dziewico, co ty gadasz? Z powodu, że zmyłkowe, tak samo jak ty. W ogóle nie widać temperamentu, jaki drzemie pod tą spokojną karoserią.

- Co za znawca! Ale dziękuję.

Poranne chmury rozwiały się i Kuba mógł widzieć w lusterkach czerwone słońce, wstające z tyłu nad autostradą i łagodnymi pagórkami po jej obu stronach. Barska włączyła odtwarzacz. Zabrzmiały pierwsze takty „July Morning” Uriah Heep, którą znali już na pamięć, bo towarzyszyła im od pierwszej nocy w kawalerce Ładnego. Zasypiali przy niej i włączali zaraz po przebudzeniu.

There I was on a July morning looking for love With the strength of a new day dawning and the beautiful sun... [W pewien lipcowy ranek szukałem miłości Silny dniem wstającym i pięknym słońcem... (przekład - tu i na str. 291, 301 - Arkadiusz Nakoniecznik)]

- Zakosiłaś mu płytę? - zdziwił się Kuba.

- Teraz to jest nasza piosenka - odpowiedziała. - Już jej nie oddam nikomu.

At the sound of the first bird singing I was leaving for home With the storm and the night behind me and a road of my own... [Na głos pierwszego ptaka ruszyłem do domu Droga własną, a noc i burza zostały w oddali...]

- A gdzie jest nasz dom, Justyna? - spytał.

- Nie wiem. Może na Mazurach?

- Masz tam kogoś?

- Mam. Może jedyne go człowieka, który w tej chwili byłby mnie w stanie zrozumieć.

- Kto to? Jakiś dawny wielbiciel? - W głosie Kuby znów zabrzmiała z trudem ukrywana zazdrość.

- Coś ty! To mój brat.

- Twój brat? - zdumiał się. - Nic mi nie mówiłaś, że masz brata.

- Nikomu nie mówię. Marek Wojtala jest dla naszej rodziny trędowaty. Tata się go wyrzekł.

- Jak to wyrzekł? Mamy koniec dwudziestego wieku.

- Mój tata jest jak Bóg, poza czasem. Wyrzekł się i już. Na przykład wykreślił go ze swojej biografii. We wszystkich nowszych wydawnictwach przeczytasz tylko, że ma córkę.

- Co za średniowiecze!

- Nie komentuję zachowań mojego ojca. Tak zostałam wychowana. Zresztą, Marek sam wyniósł się z domu.

- I to była ta straszna wina?

- Nie, jego wina jest dużo większa. I w dodatku prawdziwa.

- Zabił kogoś?

- Siebie.

- Coś ściemniasz. Dopiero co mówiłaś, że żyje na Mazurach.

- Żyje, ale jakby nie żył. Jest narkomanem.

W samochodzie zapadła cisza. Słysząc było tylko szum opon po asfalcie i gwizd powietrza, wpadającego przez uchylone szyby. Kuba odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Aha - powiedział tylko.

Barska puściła płytę od początku. Słuchali w milczeniu aż do ostatnich słów:

With the day came the resolution  
I'll be looking for you... [Wraz z nowym dniem  
przyszło postanowienie, Że szukać cię będę...]

Kiedy przebrzmiały końcowe takty, Kuba spytał:

- Jeszcze raz?

Odpowiedzi nie było. Spojrzał. Barska spała. Wyłączył odtwarzacz i odruchowo zwolnił, nie chciał, żeby zbyt gwałtowna jazda zakłóciła jej sen. Przed Dąbrową Górniczą zjechał na drogę szybkiego ruchu w kierunku Warszawy i Łodzi. Na zalesionych odcinkach co kilka kilometrów smagłe prostytutki z Bułgarii czy Rumunii polowały na klientów. Niektóre z nich desperacko podciągały spódnice, pokazując, że nie mają nic pod spodem, ale ich spojrzenia wcale nie były zachęcające.

Barska obudziła się dopiero za Częstochową. Przeciągnęła się i roztrzepała palcami włosy.

- Lepiej? - spytał.

- Dużo lepiej. Długo spałam?

- Prawie sto pięćdziesiąt kilometrów.

- Bardzo się nudziłeś?

- Jak pies w pustym domu.

- Kłamca. Nareszcie mogłeś sobie poszaleć, żadna baba ci nie truła, co, nie? O, i jakie

widoki!

Na poboczu kolejna bułgarska prostytutka pertraktowała z klientem w białym opłu, dosłownie wpychając mu przez okienko zupełnie nagie piersi. Kuba poczuł dłoń Barskiej na udzie.

- Sprawdzimy, co cię bardziej podnieca.
- Przestań, bo wylądujemy na drzewie.
- To zatrzymaj się - powiedziała, jakby to było najzupełniej oczywiste.
- Tutaj?
- Mówiłam ci rano. Zapomniałeś?

Natychmiast zwolnił, przejechał jeszcze kilkaset metrów poboczem, szukając dogodnego miejsca, wreszcie zatrzymał się przy wylocie piaszczystej leśnej drogi. Odeszli dalej w las, prawie biegnąc i przedzierając się przez poszycie. Kuba chciał oddalić się jeszcze bardziej od szosy, ale ona zatrzymała go niecierpliwie w kępie młodych drzew. Całując go, zrzuciła pantofle i zsunęła z bioder dzinsy razem z majtkami.

- Ty się nie rozbieraj - poprosiła.
- Dlaczego?
- Bo tak.

Nawet gdyby chciał dalej dyskutować, było już za późno. Leżeli na gołej ziemi, porośniętej rzadką leśną trawą, a Barska zachowywała się jeszcze bardziej gwałtownie niż w trakcie ich najbardziej namiętnych zbliżeń w mieszkaniu Ładnego. Jej pięty i palce rąk ryły ziemię dookoła, a krzyk, którego nie próbowała tłumić, rozniósł się po lesie. Wyczerpani, leżeli chwilę na plecach, z oczami utkwionymi w gałęzie wysokich sosen, przez które przeświecało bardzo niebieskie niebo.

- Wiesz co? - spytał Kuba.
  - No?
  - Rozwiedź się z mężem i wyjdź za mnie.
- Jeszcze chyba nigdy nie było między nimi tak cicho. Jakby nawet przestali oddychać.
- Słyszałaś, co powiedziałem? Usiadła i pocałowała go.
  - Co ty gadasz, dzieciaku. Uniósł się na ramionach.
  - Nie chcesz?
  - Nie mów takich rzeczy, bo się rozplacę.

Poderwał się ze złością, zapiął spodnie i ruszył w stronę samochodu, zostawiając ją półnągą na ziemi. Dogoniła go zdyszana już prawie przy szosie, po której nieprzerwanym sznurem sunęły samochody, nagminnie przekraczając nie tylko dozwoloną, ale i rozsądną

prędkość.

- Ty, dlaczego mnie zostawiasz w lesie, co? Nie jestem prostytutką. Choć może facetom zawsze tak się wydaje.

- To ty mnie zostawiasz - powiedział.

- Ja ciebie zostawiam?

- A co, myślisz, że nie widzę, co się dzieje? Co to ma być? Pożegnalna wycieczka? Ostatnia niedziela? Żeby było co wspominać na starość?

- Kuba, mylisz się. To nie tak.

- A jak?

- Przecież próbuję ratować, co się da. Tego nie widzisz?

- Tak? Jak długo jeszcze?

- Jak długo będzie można. Zresztą, ty się pewnie znudzisz wcześniej.

- Byłoby ci to na rękę, co?

- Nie, Kuba. Będę cierpiała. Ale tak będzie, zobaczysz. Wiesz, co by było, gdybym powiedziała: Dobrze, rozwiodę się z mężem? Zanim skończyłby się nasz proces rozwodowy, uciekałbyś przede mną na ulicy.

- To ty byś chciała, żeby tak było.

- Nie kłóćmy się Kuba, proszę. Jeszcze jesteśmy razem. Cieszymy się tym. No?

Po chwili pokiwał głową.

- Przepraszam. Znow mnie poniosło.

- Nie przepraszaj. Wiem, że ci trudno. Mnie też.

W samochodzie sam zaproponował:

- Jeszcze raz „July Morning”?

- Jeszcze dziesięć razy.

Przez Łódź przebijali się zmuśnięci akurat w godzinach szczytu i znużeni zatrzymali się za Ozorkowem na obiad w drewnianym zajeździe, stylizowanym na chłopską karczmę. Kuba, zapominając o niedawnych humorach, pochłonął talerz gęstego żuru z dwoma jajkami, a potem gigantyczny szaszłyk z frytkami i sałatką z pomidorów. Barska zadowoliła się miską dymiącego kapuśniaku z wiejską kielbasą. Kuba przyjął jej wybór z takim zdumieniem, że aż się zaśmiała.

- Widzisz, jak mnie jeszcze wcale nie znasz? Zamiłowanie do prostych potraw mam po mamie. Ojciec, można powiedzieć, wziął sobie gosposię. To znaczy, jest oczywiście wykształcona i nawet lepiej urodzona niż on. Ale wiesz, pochodzi nie z tych dobrze urodzonych, co na Riwierach nabierali francuskich obyczajów, tylko z tych, co ginęli w

powstaniach, byli wyrzucani z majątków, zsyłani na Sybir, a ich potomkowie klepali biedę. Kapusta ze skwarkami to był ich prawdziwy przysmak. Zresztą, skądinąd to kopalnia witamin. I pycha. Spróbuj.

Wyciągnęła w jego stronę łyżkę ze zwisającymi nitkami kapusty. Połknął. - I co?

- Z twojej ręki zjadłbym zupę z cykuty.

- Nie zjadłbyś - pokręciła głową. - Chyba że na złość. Znam cię. Na deser postawiła mu wielki puchar lodów z owocami i bitą śmietaną. Sama zadowolila się czarną kawą. Przyglądała mu się z czułym uśmiechem.

- No co? - zorientował się w końcu.

- Przyjemnie patrzeć, jak jesz.

Dyskretnie wyjęła portmonetkę i przykrywając ją dłonią, przesunęła po stoliku w jego stronę. Ręka Kuby, niosąca do ust łyżeczkę z lodami, zawisła w pół drogi.

- Nie musisz się bać - powiedział.

- Czego?

- Że byłbym na twoim utrzymaniu.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Myślałaś, że zgodziłbym się, żeby mnie kobieta utrzymywała? Co ty sobie myślisz?

- A więc nie zgodziłbyś się?

- Jasne, że nie.

- Seksista!

- Nie śmieć się ze mnie. Mówię poważnie.

- Ale to, co mówisz, jest niepoważne. Jak to sobie wyobrażasz? Niepełnoletni, rok przed maturą?

- Wszystko mam przemyślane. Pojadę do ojca, do Rajchu. Znajdzie mi jakąś robotę.

- Jaką? Będziesz układał Niemcom kafelki w łazienkach? Sprzątał na budowach?

- Chociażby.

- A nie przyszło ci czasem do głowy, że ja bym się na to nigdy nie zgodziła? Gdybym miała stać się tego powodem, wolałabym cię wcale nie znać.

- Bo co?

Znów stracił humor. Odsunął od siebie pucharek z niedojedzonymi lodami.

- Bo to nie jest sposób na życie dla ciebie.

- Nie wiedziałem, że masz takie przesady.

- To nie są przesady. Ty masz zdać maturę, skończyć studia i zostać wielkim

publicystą. Taka jest twoja ścieżka i rola na Ziemi.

- I po co mi to?

- Nie wiem. Tobie może po nic. Ale ja wierzę, że każdy ma do spełnienia jakieś zadanie. Trudno, taka jestem.

- Twój tata cię tak nauczył?

- Mój tata ma wiele wad, ale jest bardzo mądrym człowiekiem.

- A ja olewam wszystkie zadania. Ja sobie ich nie zadawałem.

- Masz dar.

- Nie prosiłem o niego. I jak właściwie mam go wykorzystać? Nabijać kasę właścicielom gazet, jak Ładny?

- Nie, masz coś zrobić, żeby ten upodlony kraj podniósł się kiedyś z kłeczek. Żeby ten nieszczęsny naród przestał naprzemian to szczyrzyć zęby, to merdać ogonem i sikać po podłodze. Po to zostałeś stworzony. A nie żeby układać Niemcom kafelki.

Chyba mówiła za głośno, bo młody człowiek za barem przyglądał im się ciekawie, z lekkim uśmiechem.

- Dobra, skończmy z tym. - Machnęła ręką. - Zdaje się, że zaczynam się zachowywać, jakby to była lekcja wychowawcza.

- Albo jakbyś już była w Sejmie - powiedział Kuba. - To jest twoje zadanie?

- A nie wierzysz w to?

Kuba nie odpowiedział. Podeszła kelnerka z rachunkiem. Wziął portmonetkę i spokojnie zapłacił, dokładając napiwek. Kiedy wychodzili, Barska demonstracyjnie objęła go w pasie, na oczach obsługi i gości.

- Widzisz? - powiedziała. - Dziś jesteśmy mężem i żoną. I w dodatku wciąż się kochamy, jakbyśmy wcale nie byli małżeństwem. Właśnie zjedliśmy romantyczny obiadek we dwoje.

- Ciągłe tylko kpisz ze mnie.

- Przysięgam ci, że nie. Trochę wyobraźni, kochany. Spojrzała na zegarek.

- No, jedźmy. Nie wypada, żebym po pięciu latach niewidzenia pojawiła się z tobą u kochanego braciszka w środku nocy i bez uprzedzenia.

- Po ilu latach?

- Po pięciu, może nawet więcej. Oczywiście, dzwoniemy do siebie od czasu do czasu.

- Tak, żeby ojciec nie wiedział?

- Oczywiście.

Wyjeżdżając z parkingu przy zajeździe, stracili kilka minut, zanim w nieprzerwanych

sznurach ciężarówek trafiła się luka, pozwalająca skręcić w lewo. Przez ten czas Kuba milczał, skupiając całą uwagę na szosie. Dopiero kiedy włączyli się już do ruchu, spytał:

- Jaki on jest?

- Mój brat? - No.

- Świetny. To znaczy, byłby świetny, gdyby nie przećpał życia. Nie mówię tego, bo to mój brat, ale naprawdę nie spotkałam drugiego tak zdolnego faceta. No, może ciebie. - Uśmiechnęła się. - Ale on był bardziej wszechstronny. I kto wie, czy to go właśnie nie zgubiło.

- Bo?

- Nie wiedział, co ma z sobą zrobić. Tata, oczywiście, chciał z niego uczynić następcę tronu. Zresztą nikt nie nadawałby się do tego lepiej niż Marek. Kiedy byliśmy dziećmi, musiałam się z nim bawić nie w chowanego, tylko w sądy. Oczywiście, ja byłam zawsze oskarżoną, a on równocześnie oskarżycielem, obrońcą i sędzią. No, czasem pozwalał mi być stronami. Ale sędzią zawsze musiał być on.

- I co? Skazał cię kiedyś na śmierć?

- O, wiele razy. Miał to po tacie. Profesor Wojtala do dziś jest zwolennikiem kary kapitalnej.

- To co się stało, że twój brat nie poszedł w jego ślady?

- Kiedy przestał już być dzieckiem, zaczęły mu się nie podobać klasowe koncepcje prawa. Ojciec to, oczywiście, rozumiał. Dlatego od początku szykował dla niego karierę uniwersytecką. Sam wybrał taką drogę z podobnych powodów. Gdyby nasz ojciec żył w Ameryce albo innym normalnym kraju, byłby na pewno znakomitym karnistą. Ma takie niezachwiane, wrodzone poczucie sprawiedliwości. Wiesz, niebo gwiazdźście nade mną i tak dalej. Ale przyszło mu żyć w komunie, więc został historykiem prawa. I też jednym z najlepszych w Europie.

- Czy ty przypadkiem nie jesteś zakochana w swoim tatusiu?

- Znalazł mi się Freud z Azorów! - prychnęła ze złością. - Mówię ci, że nikt lepiej niż ja nie widzi jego wad. Ale co mu się należy, to mu się należy.

- Przypuszczam, że twój brat miał inne zdanie?

- To prawda. Marek ma wiele talentów. Jest uzdolniony muzycznie, plastycznie, tanecznie. Ale niestety, nasz tata nigdy specjalnie nie cenił zawodów artystycznych.

- Może się bał, żeby twój brat nie został pedziem?

- Ach, to by mu w ogóle nie przyszło do głowy. Bał się czego innego. Właśnie zaczynało się w Polsce po cichu mówić o narkotykach. Czytało się „Dzieci z Dworca ZOO”.



Zdaje się, że ojciec miał jakiegoś przyjaciela dyplomatę, którego córka zaćpała. Był przerażony, że jemu mogłoby się coś takiego przytrafić.

- I twój brat właśnie to zrobił?

- Właśnie.

Za Brodnicą odbili w boczną drogę, wijącą się pośród jezior przez ubogie warmińskie wioski.

- Pięknie tu - powiedziała. - Nie dziwię mu się, że tu zamieszkał.

- Jesteś pewna, że on zrozumie? - spytał Kuba.

- Oczywiście. Ja go rozumiałam. To znaczy, nigdy nie pogodziłam się z tym, co z siebie zrobił. Ale nie wyrzekłam się go nawet na chwilę.

- A teraz jest już wyleczony?

- Kuba, z tego nie można się wyleczyć. Choć podobno teraz nie ćpa, najwyżej czasem popala trawę. Jest z kobietą, która go wspiera i pilnuje. Zobacysz, też świetna dziewczyna.

Jednak było widać wyraźnie, że jest zdenerwowana. Mijali Iławę, kiedy zdecydowała się:

- Mimo wszystko zadzwonię. Przynajmniej sprawdzę, czy są w domu.

Z początku telefon nie odpowiadał.

- Może są na jeziorze albo w lesie. Tam nie wszędzie jest zasięg - wyjaśniła.

Za trzecim razem dostała połączenie.

- Marek? Zgadnij, kto mówi... Oczywiście, że to ja, braciszku... Gdzie jestem? Koło Iławy... Oczywiście, że jestem wariatka, dopiero teraz się dowiedziałeś?... Ja też się bardzo cieszę. Aha, wiesz, mam z sobą autostopowicza... Czy to bezpieczne? Nie bój się, całkowicie... To znajomy. To znaczy, syn znajomych... Co, zupa jagodowa? Ekstra!... Ja też cię całuję, braciszku. See you soon.

Trasa się teraz skomplikowała, była coraz gorzej oznakowana. Barska wyjęła mapę i próbowała bawić się w pilota, mimo to kilka razy mylili się, musieli zawracać i pytać o drogę miejscowych. Wreszcie nawet najbardziej dziurawy asfalt się skończył. Ostatni odcinek prowadził piaszczystym traktem między zalesionym brzegiem jeziora a polami należącymi kiedyś do PGR, teraz puszczone w ugór, porośniętymi aż po horyzont wysuszonym zielskiem. Przejechali środkiem osady złożonej z kilku zdewastowanych domków z czerwonej cegły. Przy drodze stali biednie ubrani mężczyźni, pijąc piwo z puszek i spoglądając nieprzyjaźnie w stronę wzbijającego kurz samochodu. Zza płotów wyskakiwały kundle, obszczekując auto hałaśliwie.

- Fajne przywitanie - powiedział Kuba.

Barska nie podjęła żartu. Wyglądała przez okno, jakby tłumiąc zdenerwowanie.

- To już tam - powiedziała.

Ostatni dom stał w odległości kilkuset metrów od osady, bliżej jeziora. Z daleka było widać tylko czerwony dach, prześwitujący między drzewami. Dopiero kiedy wjechali na podwórze, okazało się, że z tyłu kryje się jeszcze budynek gospodarczy. Po podwórzu wałęsały się kury.

Na przywitanie wyszedł chudy, wysoki mężczyzna z długimi brązowymi włosami, zaplecionymi w wiele cienkich warkoczyków. Twarz miał smutną, w każdym razie poważną, bez uśmiechu. Wyglądał na ponad czterdzieści lat, choć jeszcze tyle nie miał. Podbiegła do niego. Nie powiedziała ani słowa. Długą chwilę stali, obejmując się w milczeniu. Na schodkach prowadzących do domu stanęła kobieta w krótkiej, prostej sukience w kwiaty. Była bosa, na siwiejących włosach miała jaskrawą przepaskę. Też mogła mieć czterdziestkę albo nawet więcej. Za nią kryła się mała jasnowłosa dziewczynka. Oboje gospodarze udawali, że nie zauważyli siniaków na twarzach gości. Barska podeszła do kobiety i też objęły się w milczeniu, ale znacznie krócej i jakby z przymusem. Kuba stał skrępowany przy samochodzie.

- To jest Kuba - powiedziała Barska. Gospodarze niemal na to nie zareagowali.

- Autostopowicz - mruknął tylko mężczyzna, a potem głośniejszym głosem spytał, ni to stwierdził: - Pan jedzie dalej?

- No, coś ty? Gdzie pojedzie o tej porze? - zaprotestowała Barska. - Nie bój się, to nie zabójca ze szlaku. To mój uczeń.

- No właśnie - powiedział mężczyzna. - Tak mi się zdawało, że to pana widziałem za kierownicą. I trochę się zdziwiłem, że dałaś prowadzić autostopowiczowi.

- Pomyślałeś, że mnie porwał i zaraz zażąda okupu? - zaśmiała się z przymusem.

- To, co ja pomyślałem, jest bez znaczenia - powiedział mężczyzna niezbyt przyjaźnie, ale potem jakby przemógł się i wyciągnął rękę. - No, dobra. Miło poznać słuchacza sławnej „Kuźni”. Jestem Marek Wojtala.

Kobieta skinęła Kubie głową i znikła w domu.

- No to chodźcie na tę zupę jagodową - powiedział Marek i zaprosił ich gestem do środka.

Wnętrze było nieporządne i zagracone, sprzęty ubogie i jakby zebrane przypadkowo. Spod sufitu zwisały pęki suszących się ziół. W archaicznym kuchennym piecu z żelazną płytą i fajerkami palił się ogień. Usiedli przy stole, na którym stały już talerze pełne fioletowej zawartości.

- Na drugie będą tylko placki - powiedziała kobieta. - Gdybyśmy wiedzieli...

- Daj spokój, Mariola - zawołała Barska. - Uwielbiam placki ziemniaczane. Zresztą, przecież nie chodzi o żarcie, tylko żeby się spotkać, pogadać.

Kobieta nazwana Mariolą wzruszyła ramionami.

- O czym?

Jedli w milczeniu chłodną zupę jagodową z lanymi kluskami, ale i ona zaczęła się kończyć. Mariola wstała i zajęła się smaženiem placków. Jasnowłosa dziewczynka, cicha i nieśmiała, czepiała się jej nóg. Wreszcie Marek przerwał milczenie:

- Jak tata?

- Kwitnie - odpowiedziała skwapliwie Barska. - Niedawno miał jubileusz, wydaje nową książkę. Zdaje się, że jest poważnie brany pod uwagę jako kandydat na rzecznika interesu publicznego w następnej kadencji.

- Ma staruszek zdrowie - powiedział Marek zadziwiająco pieszczotliwie i wcale nie wyglądało to na szyderstwo.

Barska opowiedziała jeszcze kilka najnowszych historyjek z życia profesora Wojtali i widać było, jak Marek taje w oczach.

- Dlaczego on nie kończy tej swojej historii prawa wojennego? Przecież to będzie światowe wydarzenie. Nikt nie będzie mógł dłużej sądzić zbrodni wojennych, nie powołując się na Wojtalę.

- Zdaje się, że tata jest tego samego zdania i nie wypuści dzieła w świat, póki nie uzna, że to już doskonały brylant.

- Powinnaś go wspierać - zniecierpliwiał się Marek.

- Ja jego? A kto go może do czegoś zmusić?

- Jesteś w końcu jego ukochaną córeczką.

- Daj spokój, braciszku.

- Placki - powiedziała Mariola i zaczęła hałasować talerzami.

Po zmroku zapalili ognisko nad jeziorem. Marek grał na gitarze, śpiewali. Siedzieli długo, jakby wszyscy specjalnie odwlekali krępujący moment. Tylko Mariola w pewnym momencie poszła położyć usypiającą córkę.

- A co u ciebie, braciszku? - spytała Barska, kiedy tamta się oddaliła.

- Nie narzekam. Ludzie chcą, żebym im grał. Zarabiam więcej niż nam potrzeba.

- Wydawało mi się, że ludzie tu bardzo zbiednieli.

- Zależy. Kto się nie przystosował, ten ginie. Inni się bogacą. Pałac w majątku kupił jakiś Wielki Gatsby. Zrobił imprezę, wzięli mnie do grania. Mówię ci, najechało mercedesów,

że nie zmieściły się na podwórku. A takich dup nie widziałem nawet we śnie.

- Marek, przecież to na pewno jacyś gangsterzy.
- Co z tego? A Sinatra komu śpiewał? Co ja mogę?
- A dla mnie coś zaśpiewasz, braciszku?
- Jasne. Co byś chciała?
- Pamiętasz „Lesson In Love” Bee Geesów?
- Pytasz!

Uderzył w struny, jego mocny, wibrujący głos poniósł się po wodzie:

Ali God's children need someone to love And you know, baby, you know I found mine...\*

Barska przysunęła się do osamotnionego Kuby i objęła go ramieniem.

She can show me I'm the one...[Ona mi powie że to właśnie ja ]

- Przestań!

After her you will see me gone...[A potem zaraz sobie pójde...]

Mariola stała w ciemności, poza zasięgiem światła z ogniska, i krzyczała:

- Przestań, słyszysz? Nie śpiewaj tego! Marek przerwał, stłumił dłońią struny.
- Będę śpiewał, co będę chciał - powiedział. Odpowiedzi nie było. Kobieta znikła.
- Przestań, jeśli ona nie chce - poprosiła Barska. - Nie wiedziałam, że tego nie lubi. O

co jej chodzi?

- Cóż - powiedział Marek. - To nie jest łatwe życie.
- Sądziłam, że wspieracie się nawzajem.
- Tym bardziej nie jest to łatwe.

Kuba odezwał się, jakby dopiero teraz coś zrozumiał:

- Już wiem! To pan był pierwszym Pacyfistą. Marek nie patrzył na niego.
- Każde Boże dziecko musi kogoś kochać, A ja właśnie znalazłem kogoś dla siebie!
- Pamiętają mnie jeszcze w Krakowie?
- Pytanie! Pan jest legendą. Pies, Tarzan, Krasnal i pan. Młody Pacyfista wziął ksywkę

po panu, bo też wolał siedzieć niż pójść do wojska.

- Słyszałem, że Pies został już profesorem. A Krasnal?
- Dał sobie złoty strzał w kibelu przy Poczcie Głównej.
- Poczciwy stary kibel przy Poczcie Głównej. A Pacyfista numer dwa?
- Siedzi na ulicy i sępi na działkę - powiedziała Barska ze złością, jakby chciała przerwać tę rozmowę.

- Nie chciałem tego, Bóg mi świadkiem. Gówniarze sami się pchali - powiedział

Marek. - A pan co, młody człowieku? - Z uporem unikał zwracania się do Kuby przez ty. -  
Też idzie w nasze ślady? A moja siostra zabiera pana na autostop?

- Ja? W życiu! Ja tylko o tym piszę.

- Po co?

- Żeby było.

- Bo to takie ciekawe? To niech pan uważa, żeby pana też nie uwiodła legenda.

- Nie ma obawy.

- Zobaczmy. I co teraz będzie pan opowiadał, jak wróci pan do Krakowa? Że spotkał legendarnego Pacyfistę, który żyje sobie na Mazurach ze starą kłótliwą alkoholiczką i dzieckiem, z którego nie wiadomo co wyrośnie? A żyje tylko dlatego, że gra i śpiewa dla gangsterów, którzy w rewanżu zaopatrują go w metadon? Budujący przykład dla młodzieży ze sławnej „Kuźni”.

- Przestań, Marek - powiedziała Barska. - Kuba nic nie będzie opowiadał.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem.

Marek jakby dopiero teraz zauważył, że jego siostra i Kuba od jakiegoś czasu siedzą ciasno objęci.

- Aha, po prostu wiesz. - Pokiwał głową. Podniósł się.

- Chyba pora spać. A pan, młody człowieku? Prześpi się pan na sianie? Dam panu koce, nad ranem będzie chłodno.

- Daj spokój, Marek - powiedziała cicho Barska. - Przecież my śpimy razem. Nie domyśliłeś się?

- Owszem, domyśliłem. Choć muszę przyznać, że z pewnym zdziwieniem. Spytałem przez delikatność.

- To zbyteczne.

- W takim razie myślę, że sobie poradzicie, prawda? Dobranoc. Odszedł, niosąc gitarę. Ognisko dopalało się powoli, a oni wciąż siedzieli objęci, bez ruchu, nie zważając na komary.

- Nie wyglądają na zachwyconych - powiedział Kuba.

- Chyba coś między nimi jest nie tak. Kiedy byłam tu ostatni raz, wyglądało to dużo lepiej. Nie wiem, może ona znów zaczęła pić, może dziecko im zaszkodziło zamiast pomóc.

- A może nie są aż tak tolerancyjni, jak ci się zdawało? Przecież widać, krew ich zalewa, kiedy patrzą, jak nam z sobą dobrze.

- Przepraszam, może powinniśmy pojechać gdzie indziej - przyznała. - Ale nie miałam żadnego pomysłu.

Kochali się cicho na samym brzegu, słuchając monotonnego plusku fal. Na końcu szepnęła mu do ucha:

- Widzisz, w końcu miałam cię nad jeziorem.

Nad ranem Kuba obudził się z karkiem zdrętwiałym od poduszki twardej jak kamień. Podobnie jak gruby siennik, na którym spali, była wypchana świeżym sianem, którego zapach dodatkowo przyprawił go o ból głowy. Wcześniej, jeszcze przed świtem, kochali się znowu, siano w sienniku chrupało i kłuło przez szorstkie płótno. Potem Kuba zapadł w ciężki sen, a kiedy się ocknął, Justyny nie było. Musiała wstać dopiero co, bo jej miejsce było jeszcze ciepłe.

Podniósł się i wyjrzał przez otwarte okno. Barska, tylko w majtkach i podkoszulku, szła przez zdziczały ogród w kierunku wychodka. Nie dało się inaczej nazwać pochylonej drewnianej budki bez drzwi, od strony lasu zupełnie otwartej. Gospodarze twierdzili, że dzięki temu w domu jest mniej much. Trudno było pojąć, jak sobie radzili podczas mroźnych i śnieżnych mazurskich zim. Barska weszła do wygodki, ale zaraz stamtąd wyszła, oddaliła się o parę kroków i po prostu przykucnęła w trawie pod drzewem. Wracała powoli, zrywając jakieś dziko rosnące kwiaty.

Kiedy wchodziła do domu, Kuba usłyszał w kuchni szuranie krzesła, potem głos jej brata:

- Zaczekaj. Możemy pogadać?

- Oczywiście - odpowiedział głos Barskiej.

- Justysia, co ty wyprawiasz?

Teraz odpowiedź nastąpiła dopiero po dłuższym milczeniu:

- Nie jestem już waszą małą Justysią. Nie zauważyłeś?

- Zawsze nią będziesz. Czy ty nie widzisz, co robisz naszemu ojcu?

Milczenie było znowu dłuższe.

- Słyszysz, co mówię? - ponaglił.

- Marek, ty mi prawisz morały?

- Chcesz powiedzieć, że nie byłem lepszy? To prawda. Ale mnie stary przeboleał. A jak się dowie, co ty wyprawiasz, to go zabije.

- A co ja znów takiego wyprawiam? Że chcę wyszarpać trochę szczęścia dla siebie i tego chłopaka? To taka zbrodnia? Że zakochałam się w niewłaściwym człowieku?

- Szczęścia? Nie bądź naiwna. Oboje dostaniecie wilczy bilet, tak się to szczęście skończy. A ojciec zawału.

- Jeśli nie dostał po twoich wyczynach, to i teraz nie dostanie.

- Dostanie. Bo to ty jesteś jego ukochaną córeczką.

- Chyba żartujesz. Przecież to ty zawsze byłeś jego ukochanym synkiem, nadzieją jego życia, następcą tronu, przedłużeniem istnienia i czym jeszcze chcesz.

- A założymy się?

- Marek, nie będę się z tobą kłócić. Przepraszam, pomyliłam się. Nie powinniśmy tu przyjeżdżać i wciągać cię w nasze problemy. Tylko Kuba się obudzi i pojedziemy.

- Justysia, ja nie to chciałem powiedzieć. - Głos Marka zmienił się zupełnie, teraz był jakby przestraszony. - Nikt was nie wygania, siedźcie tu. Dokąd pojedziecie?

- Dokądkolwiek. Komuna się na szczęście skończyła i ten kraj jest pełny wolnych miejsc w hotelach.

- Chyba nie mówisz poważnie? W hotelach trzeba się meldować.

- To co? Niczego się nie wstydzę.

- Justysia, nie rób tego. Zostańcie, proszę.

- Jeśli prosisz, to dobrze. Zostaniemy parę dni, dopóki siniaki nie znikną.

Kiedy wróciła do pokoju, Kuba leżał na sienniku, ale nie udawał, że śpi. Położyła się obok. Jej ciało było wciąż chłodne i wilgotne od rosy.

- To nieprawda - powiedział.

- Co?

- Że zakochałaś się w niewłaściwym człowieku. Przyłgnęła do niego i po chwili usnęli oboje.

Czy to już koniec?

Znikali z domu na całe dni. Wyszukiwali odludne miejsca w lasach i nad jeziorami, gdzie mogli uprawiać miłość na ziemi i kąpać się bez ubrań, jak hipisi w filmie „Easy Rider”, który kiedyś, teraz wydawało się, że bardzo dawno, obejrżeli na wideo w kawalerce Jacka Ładnego.

Dziennikarz dzwonił do niej kilka razy na komórkę i był jedynym człowiekiem ze świata, z którym rozmawiała. Dzwonili także inni. Rodzice, działacze partii liberalnej, Gabriela Piontek. Najczęściej dzwonił Barski. Odbierała tylko wtedy, kiedy na ekranie telefonu wyświetlił się numer Ładnego. W trakcie jednej z tych rozmów, kiedy oboje z Kubą przed chwilą wyszli nadzy z wody, powiedziała do słuchawki:

- Jak się czujemy? Jak w „Easy Rider”. - A po chwili: - No wiesz? Jesteś okropny.

I wyłączyła się od razu.

- Co odpowiedział? - spytał Kuba.

- Żeby nie zapominała, jak tamci skończyli.

Kuba milczał. Leżeli na brzegu nieuczęszczanej zatoczki w zachodniej odnodze Jezioraka. Od strony lądu nie było tu dostępu, a od otwartego jeziora osłaniał ich pas szuwarów. Odkryli to miejsce, pływając wiosłową łódką, którą wypożyczyli na przystani w Jerzwałdzie. Na brzegu rosły wysokie sosny, pod którymi leżeli teraz, w słońcu stojącym wysoko nad wodą.

- Nie musimy tak skończyć - odezwał się Kuba. - W ogóle nie musimy skończyć.

- Nie wracaj do tego, proszę - powiedziała, nie otwierając oczu. - Popatrz, jest tak dobrze, że można o wszystkim zapomnieć.

- Na jak długo?

- Na zawsze.

- Justyna, rozmawiaj ze mną poważnie.

Przewróciła się leniwie na brzuch. Na plecach i pośladkach miała odciski śladów sosnowych igieł.

- Porozmawiać? Poważnie? To ty mi poważnie odpowiedz, czy gdziekolwiek na świecie siedemnastoletni uczeń poślubił trzydziestotrzyletnią nauczycielkę?

- Oczywiście. W Ameryce zdarzył się właśnie taki przypadek. Choć im było jeszcze trudniej niż nam.

- Tak? A to ciekawe. Opowiedz.

- Ona miała czterdzieści lat, a on nie miał nawet siedemnastu, tylko czternaście. Tam każdy stosunek z osobą w tym wieku jest przez prawo traktowany jako gwałt.

- Wyobraź sobie, że wiem. Mój tata zawsze twierdził, że jeśli chodzi o ustawodawstwo w dziedzinie nadużyć seksualnych, stan Kalifornia może służyć za wzór.

- No więc ją postawili przed sądem.

- Pięknie. I to ma być ten budujący przykład dla nas?

- Zaczekaj. Pierwszy wyrok dostała w zawieszeniu, pod warunkiem, że więcej się z nim nie spotka. Ale oni nie mogli bez siebie żyć. Postanowili mieć dziecko. Ona zaszła z nim w ciążę i wtedy postawili ją drugi raz przed sądem i zamknęli do więzienia.

- Barbarzyńcy. I co dalej?

- Nawet to ich nie załamało. Postanowili, że się pobiorą, jak tylko on osiągnie pełnoletniość - Zaraz się rozplączę. Gdzie to znalazłeś? W „Historiach Prosto z Życia”?

- Wciąż mnie masz za debila? W Internecie. Na stronach Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych Ameryki.

- Och, przepraszam! Pod jakim hasłem szukałeś? Juvenile schoolboy seduced by his



old mistress? (Uczeń uwiedziony przez starą nauczycielkę?).

Usiadł ze złością.

- To wszystko jest prawda. Nic nie ściemniam.

- I co z tego wynika? Mogę najwyżej dziękować Bogu, że urodziłam się w Polsce. Tu jeszcze, na szczęście, nie zamykają do więzienia za przespanie się ze swoim uczniem. Ale Polacy niczego nie robią konsekwentnie.

- Z tego wynika, że nie jesteśmy jedyni. I że to się może udać. Zerwała źdźbło trawy i w zamyśleniu połaskotała go nim po piersiach.

- Chciałabym, żeby tak było, Kuba. Naprawdę.

- Tak może być - upierał się.

- Wierzysz, że ten chłopak z Ameryki naprawdę ożeni się z tą kobietą?

- Oczywiście.

- Kiedy on będzie pełnoletni, ona skończy czterdzieści cztery lata, niedługo zacznie przekwitać. Zapewniam cię, że do tego czasu przejdzie mu chęć do ożenku.

- Mówisz tak, bo sama nie chcesz.

- Mówię tak, bo nie chcę wpuścić się w zaulek bez wyjścia. Gdybym choć przez chwilę uwierzyła, że możemy być razem na zawsze, to po mnie, nie rozumiesz tego? Po tobie wszystko spłynie jak woda po kaczce, a ja zostanę z dziurą w duszy.

- Więc po prostu tchórzysz.

- Może i tchórzę. Łatwo być odważnym, kiedy się ma siedemnaście lat.

- Czasem cię nienawidzę, wiesz?

Próbował ukryć przed nią swój stan, pozostający w jawnej sprzeczności ze słowami. Roześmiała się.

- Lubię, kiedy mnie tak nienawidzisz. Chodź, jeszcze nie robiliśmy tego w wodzie.

Zsunęła się do jeziora, pociągając go za sobą. Nie opierał się. Zdążył jeszcze tylko wymruczeć:

- Zobaczysz, jeszcze cię przekonam.

Z szuwarów poderwały się jakieś ptaki. Usłyszeli tylko łopot ich skrzydeł.

Wracali wieczorem do domu jej brata, kiedy telefon zadzwonił kilka razy z rzędu, w krótkich odstępach. Za każdym razem wyświetlał się numer Ładnego. Wreszcie odebrała.

- No co, moi wyborcy znów nie mogą beze mnie żyć? - spytała. - Zabawiaj ich jakoś.

- Z tym sobie radzę. Kiedy wrócisz, będą cię nosić na rękach. Gorsza sprawa z twoim mężem.

- Co ty mówisz? Rozmawiałaś z Waldkiem?

- Zadzwoił do mnie i opowiadał dziwne rzeczy.

- To znaczy?

- Wybacz, naprawdę nie mogę mówić o tym przez telefon. W każdym razie gadał, jakby się ujarął. A to przecież wzór sportowca?

- Jasne.

- Więc może zadzwoń do niego, na wszelki wypadek.

- Dobrze. Rano. Słuchaj, czy on coś... No, czy rozwiązał zagadkę?

- Tego nie wiem. Ale uważaj na siebie.

- Jestem dużą dziewczynką.

- To ty tak myślisz. Wiesz, że gdyby ktoś ci zrobił krzywdę pewnemu staremu pismakowi byłoby smutno?

- Wiem. Dzięki. Śpij dobrze. Niech ci się przyśni naga Pamela Andersen.

- Kulą w płot. Mimo wszystko mam nadzieję, że ty też będziesz dobrze spała.

Rozłączył się.

- Co się dzieje? - spytał Kuba.

- Eee!

- Machnęła ręką lekceważąco.

- Mam wrażenie, że tylko chciał sobie pogadać.

- Już nauczyłem się poznawać, kiedy kłamiesz.

- Nie myślmy o tym do rana, dobrze?

I nie myśleli.

Nazajutrz obudzili się później niż zwykle. Słońce świeciło prosto w ich okno. Mariola zdążyła zjeść już śniadanie i poszła nakarmić kury.

Marka nie było. Rano osiodłał konia i pojechał do Jerzwałdu, do sklepu. Barska zrobiła jajecznicę i właśnie zaczęli jeść kiedy Mariola stanęła w drzwiach z dziwnym, ledwie zauważalnym uśmiechem.

- Nie wiem, czy cię to zainteresuje, ale zdaje się, że twój mąż właśnie tu jedzie - powiedziała.

- On ma jeepa, prawda?

- Kurwa! - krzyknęła Barska z ustami pełnymi gorącej jajecznicy.

- Gdzie są kluczyki?

- Za późno - powiedziała Mariola. - Stąd nie ma innej drogi. A na tej się nie wyminiecie.

Barska przełknęła, nabrała pełno powietrza do płuc i wypuściła głośno.

- Dobra. Ty, Kuba, zmykaj. A ja stawię czoła bykowi.

- O nie! - powiedział Kuba. - Drugi raz mnie do tego nie zmusisz. Zrobimy to razem.

Przestraszona chwyciła go za ramię i popchnęła do pokoiku, który od paru dni był ich schronieniem.

- Proszę cię, nie rób mi tego. Bierz plecak i uciekaj. Czekać na mnie na naszym opuszczonym pomoście. Przyjdę na pewno. Przysięgam.

- Nie - powiedział Kuba. - Nie jestem takim gnojkiem.

- Błagam cię.

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli pan zrobi tak, jak mówi pana wychowawczyni - odezwała się Mariola. - My tu chcemy żyć spokojnie.

Kuba zacisnął zęby, wpadł do pokoiku, porwał plecak i wyskoczył przez okno. Przebiegł przez sad, koło wychodka skręcił w las i biegł, dopóki starczyło mu tchu. Wtedy upadł na ziemię i zaczął z całej siły bić w nią pięściami.

Tymczasem w kuchni Barska przytomnie zgarnęła jajecznicę Kuby na swój talerzyk, drugi wrzuciła do miski z brudnym naczyniem. Potem z talerzykiem w jednej ręce, a z widelcem w drugiej spokojnie usiadła na schodkach przed drzwiami i nie przerywała jedzenia, kiedy czarny jeep zajechał na podwórko i wysiadł z niego Barski.

- O! - powiedziała tylko. - Znalazłeś mnie, mój mężu.

- Zawsze cię znajdę. Nawet na końcu świata - powiedział z fałszywym uśmiechem.

Podszedł i pocałował ją w policzek.

- A pani jest zapewne żoną brata mojej żony? - zwrócił się do Marioli i wyciągnął do niej rękę.

Z ociąganiem podała mu swoją, odpowiadając:

- Zbytek łaski. Jestem tylko jego materacem, służącą i pomogłam mu przedłużyć jego cenny gatunek. Choć nie wiem, czy dobrze zrobiłam.

Za drzwiami rozległ się płacz dziecka. Potem dziewczynka ukazała się w drzwiach. Była zupełnie goła i brudna, jedną piąstką tarła zamknięte oczy, drugą macała po ścianie. Mariola chwyciła ją na ręce, usiadła na schodach, wyjęła nieładną, białą pierś z niebieskimi żyłkami i włożyła dziecku do buzi. Dziewczynka uspokoiła się natychmiast, chwilęssała, potem sama wysunęła się z ramion matki i schowała się za nią.

- Śliczna panienka - zaśmiał się Barski z pełną swobodą, jakby zupełnie nieskrępowany. - Na pewno było warto.

- Dobrze, że śliczna - przyznała Mariola. - Jak w tym kraju pójdzie tak dalej, będzie mogła zostać kurwą w niemieckim burdelu.

- Do tego czasu zmienimy ten kraj - powiedział Barski.

- Tak? Pan go zmieni?

- Ja też. Oczywiście, nie tak bardzo, jak moja żona, kiedy już zostanie panią poseł.

- O! Naprawdę? Nic nie mówiłaś - zdziwiła się Mariola, spoglądając na Barską dziwnie, jakby kpiąco.

- Bo moja żona jest osobą bardzo skromną. - Tym razem w śmiechu Barskiego zabrzmiała jakaś złowieszcza nuta. - To co, zrobisz mężowi poranną kawę? Jechał do ciebie całą noc.

- Oczywiście.

- Nie będę wam przeszkadzać, pogadajcie sobie - powiedziała Mariola. - Muszę naciąć koniczyny dla królików. Ktoś tu musi coś robić.

Po chwili zobaczyli ją, jak idzie przez łąkę z sierpem i płachtą w jednej ręce, drugą prowadząc dziecko. Mała dreptała obok niej śmiesznie, w za dużych na nią czerwonych gumiakach. Poza nimi nadal nie miała na sobie zupełnie nic.

Barski wszedł do kuchni, usiadł za stołem i spokojnie czekał na kawę, bębniąc tylko lekko palcami po blacie. Dopiero kiedy Barska napełniła dwa fajansowe kubki, a on do swojego wsypał dwie łyżeczki cukru i zamieszał, odezwał się:

- To co, żono, pogadamy?

- Jeśli mamy o czym...

- Mam, mam. Chciałbym ci odpowiedzieć na pewne pytanie.

- Tak? No, słucham.

- Pamiętasz, nie tak dawno spytałaś mnie w nocy, dlaczego nie mogę spać.

- No, pamiętam. Odpowiedziałeś, że masz na głowie nową inwestycję i ciągle kłopoty z Progress Bankiem.

- Skłamałem. - Tak?

- Teraz powiem ci prawdę. Nie spałem całą noc, bo rozmyślałem, czy zabić was oboje, czy tylko jego.

Kubek drgnął w jej dłoni, trochę kawy rozchlapało się na blat.

- Zlituj się. Co ty wygadujesz? Kogo zabić?

- Tego durnego pismaka.

- Waldek, ty bredzisz.

- Tak sądzisz? Że bredzę?

Sięgnął pod wypuszczoną na wierzch koszulę, wyjął zza paska wielki czarny pistolet i położył na stole. Ciężka stal stuknęła o blat. Barska patrzyła na broń szeroko otwartymi

oczami, jakby nie była w stanie oderwać od niej wzroku.

- Na miłość boską, co to jest?

- Smith and Wesson, kaliber dziewięć. Robi duże dziury.

- Skąd to masz?

- Kupiłem. Legalnie. Mam pozwolenie.

- Masz pozwolenie na broń i nawet mi nie powiedziałeś?

- A ty? Mówisz mi wszystko?

- Oczywiście. Wszystko, co ważne.

- Aha, to według ciebie dawanie dupy na boku nie jest ważne?

- Waldek, o czym ty mówisz? Ciągle mnie podejrzewasz o Jacka? To nonsens!

- Uspokój się, wiem. Choć powiem ci, że to było bardzo bolesne, podejrzewać, że zdradzasz mnie z takim przegranym dziennikarzyną.

- Jacek nie jest przegranym dziennikarzyną - zaprzeczyła z nową siłą. - Ale że cię z nim nie zdradzam, to fakt.

- Jednak rzuciłaś na niego podejrzenie. I ten dureń o mało co nie stracił przez to życia.

- Żartujesz, Waldek, prawda? Dlaczego mnie straszysz? Przecież to gazowy pistolet, prawda? Straszak?

Barski bez słowa ujął broń prawą ręką, wystawił za okno i pociągnął za spust. Huk był tak potężny, że Barska poderwała się ze zdławionym okrzykiem, rozlewając resztę kawy. Kura, trafiona pociskiem, dosłownie eksplodowała. Brązowe pióra zawirowały w powietrzu. Największy kawałek kurzego kadłuba poderwał się jeszcze na nogi, przebiegł parę metrów i upadł śmiesznie na bok, choć nogi nadal poruszały się w powietrzu. Pozostałe kury rozbiegły się na wszystkie strony, gdacząc przeraźliwie i machając skrzydłami.

Barski leniwie podniósł pistolet wyżej i strzelił ponownie. Przez okno było widać wyraźnie odskakujące drzazgi, kiedy kula przebiła grube wrota stodoły. Barski naciskał spust raz za razem, dopóki nie opróżnił magazynka. Wszystkie pociski trafiały bardzo blisko siebie, aż w końcu we wrotach powstała wielka dziura o nieregularnych brzegach. Wreszcie zamiast wystrzału rozległo się tylko suche stuknięcie iglicy. Barski spokojnie odłożył pistolet na stół.

- Straszak, co? Faktycznie, można się trochę przestraszyć, prawda?

Barska, która przez cały czas kanonady stała, przyciskając dłonie do uszu i krzyczała, teraz zaczęła się powoli uspokajać, zanosząc się jeszcze słabnącym szlochem. Wreszcie wyjąkała:

- Waldek, ty... ty jesteś chory.

Barski wstał bez słowa, wyszedł na podwórko, podniósł za nogi kurze ścierwo, wrócił

do kuchni i rzucił je na stół, ochlapując blat krwią. Brakowało głowy, dużego kawałka piersi i grzbietu. Z rany sterczały ostre kawałki kości.

- Nie jestem chory. Gdybym był chory, twój pismak wyglądałby teraz jak ta kura.

- Waldek, jak mogłeś w ogóle pomyśleć coś takiego?

- A mogłem, mogłem. Być zdradzonym, robionym w konia, to boli. Ale to jeszcze da się przeżyć. Ale być w dodatku ośmieszonym, tego można nie wytrzymać.

- Zlituj się, Waldek, a kto cię ośmieszał?

- Fakt, że moja żona zdradza mnie z kimś takim, z takim... pismakiem, ośmiesza mnie sam w sobie! - Po raz pierwszy od początku tej rozmowy podniósł głos.

- Przecież ty go prawie nie znasz. Skąd możesz wiedzieć, jaki Jacek jest?

- Znam pismaków - uciał.

- Poza tym ja cię z nim nie zdradzałam.

- A skąd ja mogłem wiedzieć? Co mogłem pomyśleć, kiedy co wieczór przemykałaś się do jego śmierdzącej nory?

- Znów mnie śledziłeś?

- Powiesz, że nie było powodu?

- Ależ Jacek tylko pożyczył mi klucz od swojego mieszkania. Wytłumaczę ci...

- Sam wiem. Jego szczęście, że się zorientowałem, zanim było za późno. Bo mówię ci, była już taka chwila, że brakowało sekund. Miałem już jego łeb jak na strzelnicy. Wystarczyło wyciągnąć gnata i wałnąć.

Barski chodził teraz po kuchni i opowiadał, gestykulując rękami, jakby od nowa przeżywał tamte sytuacje.

- Widzisz, nie jestem chory, postanowiłem najpierw wszystko sprawdzić, upewnić się do końca. Nie było to takie proste, pod blokiem każdego dnia kręciły się jakieś gnoje, amatorzy cudzych samochodów. Wydawało mi się, że mogą namierzać mojego jeepa, więc musiałem być ostrożny.

- Chwała Bogu, że się troszczysz chociaż o jeepa. - Nawet w tych warunkach nie zdołała się powstrzymać.

- Troszczę się o wszystko. O życie twojego pismaka też się zatroszczyłem. Choć muszę przyznać, że już był jakby nieżywy. Opamiętałem się w ostatniej chwili. Coś mnie nagle oświeciło. Zastanowiłem się: Zaraz, dlaczego ten głupi chuj śpi w tym swoim żalonym gracie, kiedy ty jesteś właśnie u niego na górze?

Barski zatrzymał się, umilkł. Usiadł z powrotem za stołem, wypił łyk zimnej kawy z kubka.

- W ten sposób ocalił swoje nędzne życie, nawet o tym nie wiedząc. - Odetchnął głęboko. - No, a potem zobaczyłem cię z tym dzieckiem. I pomyślałem sobie: Rany boskie, przecież nie zabiję dziecka.

Barska chwyciła się brzegu stołu, bezwładnie opadła na taboret.

- Waldek, to nie jest tak jak myślisz. Kuba ma różne problemy, a ja, wiesz, jestem jego wychowawczynią, więc...

Barski machnął ręką.

- Nawet się nie wysilaj. A na działkach koło kościoła? To też była lekcja wychowawcza? Liżesz się z wszystkimi uczniami, którzy mają problemy? I pozwalasz im pchać sobie łapy do majtek?

- Tam też nas widziałeś? - spytała ledwo dosłyszalnie. Zaśmiał się pogardliwie.

- Widzisz, jaka jesteś głupia? Wystarczyło zmienić samochód i już niczego nie zauważyłaś.

- Waldek, to okropne.

- Zgadzam się. Ale nie bój się. Już ci powiedziałem, że dziecka nie zabiję.

- Okropne jest to, co my robimy.

- Co my robimy? Czy co ty robisz?

- Nie, my oboje. Co się stało, Waldek? Przecież kochaliśmy się kiedyś.

- Ja cię wciąż kocham. Jestem twoim mężem. Zależy mi na tobie. Wypruwam sobie dla ciebie żyły. Wplątuję się w jakieś ciemne interesy. A ty zdradzasz mnie z dzieckiem. Potrafisz mi wytłumaczyć, dlaczego?

Barska spuściła głowę i milczała, patrząc pod stół, na swoje bose stopy.

- No, wytłumacz mi. Dlaczego mi to zrobiłaś?

Zanim doczekał się odpowiedzi, za oknem rozległ się tętent galopującego konia. Marek Wojtala na gniadym wałachu wpadł na podwórko. Osadził go w miejscu, zeskoczył i gdzieś na chwilę zniknął. Potem pojawił się w progu, trzymając w rękach siekierę na bardzo długim trzonku. Miał na sobie skórzany płaszcz, podobny do tych, jakie widuje się w westernach, i gołą głowę okoloną warkoczykami.

- Co ty robisz z mojego domu? - spytał przez zaciśnięte zęby.

- Daj spokój, szwagier - prychnął Barski pogardliwie. - To jest dom?

- Tak, to jest mój dom. A ty masz się z niego wynieść i więcej nie pokazywać.

Barski wzruszył ramionami i bez pośpiechu sięgnął po pistolet. Marek postąpił pół kroku do przodu.

- Zrób to, a stracisz rękę - powiedział.

- Nie denerwuj się - odezwała się cicho Barska. - Wystrzelał już wszystkie naboje.

- Tym lepiej. A teraz niech się stąd zabiera, jeśli nie wie, jak powinien się zachowywać gość.

- Ty mi będziesz prawil morały? Ćpunie?

- Ja. Złodzieju.

- No, tośmy sobie pogadali, jak szwagier ze szwagrem. - Barski zaśmiał się złowieszczo. - A teraz ja wam powiem, jak zrobimy.

- Nie będę cię słuchał - powiedział Marek.

- Będziesz. Przecież nie chcesz mieć tu policji, prawda?

- Straszysz mnie?

- Uświadamiam ci tylko twoją sytuację. Na wypadek, gdybyś zapomniał. Jeszcze mam tylu kumpli, żeby ci załatwić obserwację dwadzieścia cztery na dobę. Myślisz, że to nie odstraszy twoich dostawców? Na ile ci wystarczy zapas metadonu, który ukryłeś gdzieś w stodole? Na tydzień? A potem? Ile wytrzymasz bez brania? Trzy dni? Nie pozostanie ci nic innego, jak wrócić do kompotu. I na bajzel. Pamiętasz jeszcze to życie? Nie byłoby ci żal tej ślicznej małej dziewczynki, którą powołałeś do życia?

- Jesteś łajdak - powiedziała Barska. - Zrobię, co zechcesz, tylko zostaw Marka w spokoju.

- Nie jestem łajdak. Jestem twoim mężem. Chcę ci przebaczyć i wyciągnąć cię z tego bagna, w którym zaczęłaś tonąć. Nikomu nie chcę zrobić krzywdy. Proszę tylko, żebyś z własnej woli pojechała teraz ze mną. Jechałem tu całą noc, jestem skonany. Muszę odpocząć. Zamówiłem już dla nas pokój w hotelu. Po prostu pożegnajmy miłych gospodarzy i wyjdźmy stąd razem, jak małżeństwo. A od jutra zabierzesz się od nowa za swoją kampanię wyborczą. To wszystko.

- Nie musisz robić tego, co on chce - powiedział Marek. - On blefuje. To złodziej. Nie będzie sam pchał się policji na oczy.

Barski nawet na niego nie spojrział.

- Daj spokój, Marek. Nie znasz go - powiedziała Barska. - Jesteś dobrym bratem, ale nie chcę jeszcze ciebie wciągać w moje sprawy.

Podeszła i objęła go. Oddał uścisk jedną ręką, z drugiej przez cały czas nie wypuszczając siekiery.

- Ucałuj swoje kobiety. I trzymaj się, braciszku - powiedziała.

- Ty się trzymaj - odpowiedział.

Kilka minut później na piaszczystej drodze przez ugór dwa samochody wzbijały



obłoki kurzu. Przodem jechał golf, jeep kilkadziesiąt metrów z tyłu.

Godzina mijała za godziną, a Kuba Mazurek wciąż siedział na brzegu jeziora, obok starego pomostu, nie ruszając się prawie wcale. Szuwary były tu wycięte, brzeg pokrywały drobne ciemnoczerwone kamyki, pozostawione kiedyś przez lodowiec. W oddali, środkiem zatoki, przepływały żaglówki, kierując się do śluzy przy ujściu kanału. Z niektórych jacyś ludzie machali do Kuby rękami i pokrzykiwali. Nie odpowiadał, ale też nie starał się kryć. Słońce przemieszczało się powoli nad zatoką, ale on nawet nie zwracał na nie uwagi, choć najpierw długo świeciło mu ostro w oczy, potem coraz słabiej, aż znalazło się za jego plecami. Wreszcie skryło się za lasem i przestało grzać go w plecy. Już tylko cienie sosen wydłużały się coraz bardziej na wodzie.

Kiedy w końcu usłyszał kroki, zapadał już zmierzch.

- Nareszcie przyszaś - powiedział. Odpowiedzi nie było. Kuba odwrócił głowę.

- To pan?

- To ja - odpowiedział Jacek Ładny.

- A ona?

- Wyjechała.

- Powiedziała, żebym na nią czekał.

- Tak wyszło.

- Powiedziała, żebym czekał. Dlaczego nie przysza? - Głos chłopaka nabrał wysokich, histerycznych tonów.

- Widocznie nie mogła. Nie słyszałeś strzałów? Kuba zerwał się z ziemi.

- Jakich strzałów? Co on jej zrobił?

- Uspokój się, nic. Strzelał w powietrze, psychol.

- Po co?

- Żeby się rozładować. Niektórym robi dobrze, jak sobie postrzelają.

- I co dalej? Pojechali razem? Dokąd?

- Myślę, że do Krakowa, do domu.

Od wody pociągnęło wieczornym chłodem.

- I na nas też już czas, Kuba. Chodź, to kawał drogi.

- A skąd się pan tu właściwie wziął?

- Jestem niewolnikiem fabuł. Musiałem wiedzieć, co się dzieje.

- I tylko tyle? Ale pan ściemnia. Myśli pan, że jestem ślepy? Albo taki głupi?

Ładny wyjął paczkę papierosów.

- Chodź, zapalimy po jednym przed drogą. Ty chyba palisz?

- Dawno nie paliłem. Nie ciągnęło mnie. Ale teraz chętnie. Usiedli na końcu dziurawego pomostu. Palili, spoglądając w milczeniu na wodę, znad której zaczynał unosić się opar. Po drugiej stronie zatoki tkwiła samotna łódka ze zwiędłymi żaglami, unieruchomiona przez wieczorną flautę.

- To już koniec? - spytał cicho chłopak.

- Nie wiem, Kuba.

- Ale jak pan myśli? Czy ona jeszcze zechce się ze mną spotkać?

- A ty z nią? Kuba milczał.

- Widzisz?

- Co widzę? Oczywiście, że tak.

- Zawahałeś się. To o czymś świadczy. Siedziałeś tu cały dzień i główkowałeś. Więc już rozumiesz, że to wszystko nie wygląda tak, jak ci się zdawało.

- Ja się z niczego nie wycofuję. Tylko zaczyna mi się zdawać, że z nią sprawa jest jednak beznadziejna.

- Ale jeszcze nie chcesz w to uwierzyć, prawda? Żal ci ją tracić. Choć równocześnie coraz bardziej cię wkurza.

- A pan co taki mądry? Skąd pan wie, co ja czuję?

- Kuba, nie ty pierwszy na świecie masz siedemnaście lat.

- Co chce mi pan powiedzieć? Że pan też kombinował ze swoimi nauczycielkami?

- No, nie z wszystkimi.

- Ale z jedną?

- Dokładnie.

- Ale numer. Jak miała na imię?

- Natasza.

- Fajnie. I jaka była?

- Nie taka odważna jak twoja. Myślę, że to, co ty przeżyłeś, było wyjątkowe.

- Nawet jeśli to już koniec?

- Nawet wtedy.

- A z tą pana... dziewczyną? Też był koniec?

- Dużo wcześniej. Właściwie zaczęło się i zaraz skończyło. Była za bardzo przerażona.

- I co się stało dalej?

- Nic szczególnego. Pogodziła się z mężem, urodziła mu dziecko i przestała myśleć o szaleństwach.

- To przykre.
- Nie, Kuba. Tak już jest.
- Opowie mi pan więcej? - A ty?
- Jasne.
- Ale nie teraz. Jedźmy już.

Ostatni raz spojrzeli na jezioro i przez pociemniały las poszli w kierunku drogi. Stary fiat Ładnego radził sobie na wyboistych mazurskich drogach lepiej niż na autostradzie. I choć trochę kluczyli, błądząc bez mapy w ciemnościach, po niecałej godzinie dotarli do głównej szosy z Gdańska do Warszawy. Kilka kilometrów dalej przy trasie wyłonił się z ciemności jasno oświetlony budynek nowego hotelu w Miłomłynie.

- Kupię papierosy i coś do picia - powiedział Ładny. Skręcił w lewo, na hotelowy parking, wysiadł z samochodu i wszedł do restauracji. Srebrny volkswagen golf i czarny jeep cherokee stały obok siebie, zaparkowane przed samym wejściem do hotelu. W świetle padającym z hallu ich krakowskie rejestracje były widoczne aż za bardzo wyraźnie. Ładny wrócił, niosąc papierosy i dwie duże butelki wody mineralnej.

- Nie zrobiłem tego celowo - powiedział.
- Nie pomyślałem tak - odpowiedział chłopak.

Mimo późnej pory szosa była zatłoczona w obie strony. Ładny opuścił szybę i prowadził spokojnie, pozwalając wyprzedzać się bardziej niecierpliwym kierowcom.

- A pan? - spytał Kuba. - Już pan zrezygnował?
- Z czego?
- Z Justyny. Przede mną nie musi się pan czaić.
- Mów mi po imieniu - mruknął Ładny. Przejechali kilka kilometrów.
- Nie odpowiedziałeś mi - powiedział Kuba.
- Na głupie pytania nie odpowiadam.
- Dlaczego głupie?
- Faceci nie rezygnują.
- Tylko kobiety? - No.
- Dlaczego?
- A cholera je wie.

Sięgnął ręką do schowka, wyjął kasetę Wysockiego i włożył do odtwarzacza.

- Kiedyś z tą moją... dziewczyną na okrągło katowaliśmy się tą pieśnią - powiedział.
- Dlatego ją wozisz z sobą?
- Ty też będziesz kiedyś woził, zobaczysz.

Wkakoj dien' niedieli, w ktorom czasu

Ty wyjdiesz ko mnie ostorożno,

Kogda ja tiebia na rukach uniesu

Tuda, gdzie najti niewozmożno...

Kasetowy odtwarzacz w samochodzie Ładnego miał fatalny dźwięk, a silnik hałasował. Ale on i tak znał te słowa na pamięć:

Ukradu, jeśli krążą tiebie po dusze.

Zna li ja stolko sil razbazańł?

Sogłaszajsia chotia by na raj w szałasze,

Jeśli tieriem s dworcem kto-to zaniał [„O której godzinie i w jaki więc dzień /Ty do mnie podejdiesz ostrożna? / A kiedy na rękach uniosę ja cię, / Gdzie znaleźć już nigdy nie można? / Skradnę ciebie, jeżeli ta kradzież - nie grzech. / Nie darmo błdziłem w tym gaju. / Więc się zgadzaj przynajmniej na szałas bez strzech / Jeśli domek z pałacem ktoś zajął”. (W. Wysocki, „Człowiek za burtą. Wiersze-pieśni”, przekład. Aleksander Śnieżko, Oficyna Literatów i Dziennikarzy „Pod Wiatr”, Warszawa 1996)]

- I co? Nie chciała raju w szałasie?

- Może i chciała. Kto to wie?

- Niesamowite - powiedział chłopak. - Z tobą naprawdę było prawie dokładnie tak samo.

- Zmieniają się tylko piosenki - przytaknął Ładny.

Za oknami monotonnie migały światła jadących z przeciwka samochodów. Kaset skończyła się, a oni wciąż milczeli. Wreszcie odezwał się Kuba:

- Jacek.

- Tak?

- Ja też jeszcze nie zrezygnowałem.

Odpowiedź przyniesie czas

Mieszkanie było jeszcze mniejsze niż kawalerka Jacka Ładnego, ale dokładnie wysprzątane, niemal sterylne. Tandetne sprzęty przypominały wyposażenie taniego hotelu, a może raczej internatu, ale Barskiej to nie przeszkadzało. Dałaby teraz wszystko za każde bezpieczne schronienie na parę godzin.

- Nie bój się - powiedziała Gabriela Piontek. - Lokal został kilka tygodni temu spalony, więc chwilowo jest nieczynny. Podsluch zdjęty, obserwacja też. Barskiego sama sprawdziłam. Kumple z Zakopanego wpadli mu na budowę. Siedzi tam i właśnie tłumaczy się

za pijanego kierowcę. Tylko bądź czujna, bo mogą mnie za to wywalić z roboty.

- Gabi, nie wiem, jak ci mam dziękować - powiedziała Barska.

- Nie dziękuj, wyznam ci szczerze, pierwsza bym pałkę strzaskała na twojej głowie, gdyby nie dziątek pacierze...

- Jakich znowu dziątek? - Barska uśmiechnęła się słabo.

- Twoich wyborców, oczywiście. Do których sama się zaliczam.

- Tak ci na tym zależy? Naprawdę?

- Żebyś wiedziała. Komuś w tym kraju powinno na czymś zależeć. Jeśli do Sejmu wciąż będą wchodzić tylko aferzyści, krzykacze, debile i stare komuchy, to do czego dojdziemy?

- A co ja zrobię, Gabi?

- Przynajmniej spróbujesz, prawda? No i będziesz ładnie wyglądała na trybunie.

Barska usiadła na wąskim tapczaniku pod oknem i pociągnęła nosem.

- Wzruszyłaś mnie, Gabi, naprawdę. Dlaczego tak ryzykujesz? Mogłabyś powiedzieć: Stara wariatko, rozlałaś zupę, to teraz ją zlizuj sama.

- Tak właśnie sądziłaś? Że tak powiem?

- Miałabyś prawo.

- Nie kłam. Uwierzyłaś, że byłabym gotowa cię sprzedać, bo zazdroścę ci twojego smarkacza. Przyznaj się, co?

- Dlaczego tak myślisz? A, Ładny ci powiedział - domyśliła się.

- Wcale nie chciał. On gotów dać się za ciebie pokroić. Ale przy tym jest taki naiwny, że można go podejść jak dziecko. Byle się miało szparę między nogami.

- Nie mów tak o nim. Jacek jest uroczy.

- Uroczy? Ciekawe. Takie słowo w związku z nim chyba nigdy nie przysłoby mi do głowy.

- Ale on właśnie taki jest.

- To po jaką cholere dałaś mu kosza, kiedy mogłaś go mieć z ciałem, duszą i włosami?

- A ja wiem? Może właśnie dlatego?

- Nie, kochana. Dobrze wiesz, dlaczego. Bo wtedy z Waldkiem poszłyby do ołtarza każda, na którą raczyłby kiwnąć palcem.

- Myślisz, że wszystkie jesteśmy takie idiotki?

- Ja bym się na pewno nie zastanawiała. A wcale nie uważam się za idiotkę.

- Widocznie dopiero później zmądrzałaś. Ja zresztą też. Tylko trochę za dużo płacę za tę naukę.

- I kto by powiedział. Udawaliście taką świetną parę. Wszyscy wam zazdrościli.
- Nie udawaliśmy. Naprawdę byliśmy świetną parą.
- I co się stało?
- Nie wiem. Waldek się zmienił. Zaczął gonić za pieniędzmi.
- To jeszcze nie grzech. Niejedna by mu za to robiła, co tylko by zechciał.
- Jasne. To tylko wymówka. Wiesz, wydaje mi się, że wszystko się odwróciło po...

No, wiesz, po czym.

- Nie musisz o tym mówić, jeśli nie chcesz.
- Nie. Myślę, że właśnie przyszedł już czas na mówienie.
- Wydawało mi się, że to była twoja własna decyzja.
- Mnie się też tak wydawało. Ale on nie zrobił nic, żeby mnie powstrzymać. A całą odpowiedzialność złożył na mnie. Widziałam, że był wściekły jak cholera, choć to ukrywał. Nie chciałam go stracić. Chciałam, żeby sam to zaakceptował. Mówiłam: Wiesz, może powinnam przerwać? To jeszcze nie pora. Musielibyśmy zrezygnować ze zbyt wielu rzeczy. A on: „Kochanie, to twoja własna decyzja, uszanuję każdą, jaką podejmiesz”. No i nie wiem. Potem już przestałam panować nad sytuacją. Ale gdyby mi nie pomógł, nawet nie wiedziałabym, jak to załatwić. Wiesz, to w Polsce było już nielegalne. Sam zawiózł mnie do Katowic, do takiej jednej lekarki. No i stało się.

- Co się stało, to się nie odstanie - powiedziała policjantka. - Cholera! Co za filozofia! Przepraszam, ale nic innego nie przyszło mi do głowy. Ale co, chyba nadal możesz mieć dzieci?

- Fizycznie, tak.
- A psychicznie?
- Właśnie podobno prezydent Psota ma mnie o to publicznie spytać.
- Prezydent Psota? On jest do tego zdolny. Skąd wiesz?
- Ładny jakoś to wyczał.
- O, to widzę, że się jednak nasz Jacuś do czegoś przydaje. Jest możliwe, żeby ktoś coś wiedział?

- Nie mam pojęcia. Wyobraź sobie, że Jacek spytał mnie o to prosto z mostu. Na środku alei Pokoju ni stąd, ni zowąd palnął: Miałaś kiedyś skrobankę? Myślałam, że wjadę pod tramwaj.

- Chyba się nie przyznałaś?
- No co ty?
- I bardzo dobrze. Więc jest raczej mało prawdopodobne, żeby z tej strony coś ci

groziło. Psota maca na ślepo, byle cię jakoś zranić.

- Też tak sądziłam. Ale teraz... Wiesz, z tą lekarką była potem straszna afera. Musisz chyba pamiętać? Jednej z kolejnych pacjentek przebiła macicę i kobiecie musieli wszystko wyciąć.

- Ach, coś sobie przypominam. Później ta lekarka się otruła czy coś?

- Powiesiła się.

- Fuj! Kobiety nie powinny się wieszać.

- Dlaczego?

- Bo potem sprzątają przeważnie faceci. Chciałabyś, żeby cię facet oglądał osraną? Nawet po śmierci? Jak już, to tylko prochy albo gaz. Wygląda się bardzo ładnie.

- Dzięki, będę pamiętać.

- No, ty! Nawet tak nie żartuj! I nie pękaj. Z tą aferą nie masz nic wspólnego.

- A jeśli zostały jakieś ślady, w kartotece tej lekarki albo gdzieś?

- W kartotece? Po nielegalnej aborcji? Stuknij się!

- Sama już nie wiem.

- Mówię: Nie pękaj. Twoi wrogowie właśnie na to czekają.

- Postaram się.

- Pamiętaj.

Policjantka chwilę kręciła się po mieszkaniu, jakby coś po raz kolejny sprawdzając. Wreszcie zdecydowała się.

- Pozostał mi jeszcze jeden niemiły obowiązek. Nie wiem, czy się nie pogniewasz, ale trudno.

Z niewielkiego plecaczka, który zwykle nosiła zamiast torby, wyjęła przenośny komputer i podłączyła do gniazdka. Włączyła system i uruchomiła Internet Explorer.

- Ale sprzęt - powiedziała z podziwem Barska.

- A co myślałaś? Policja też rośnie wraz z krajem. Wpisała adres [www.małolaty.pl](http://www.małolaty.pl). Pojawiła się główna strona jednego z najpopularniejszych młodzieżowych vortali. Weszła do działu „Miłość” i otworzyła jeden z dokumentów. Jako jego autor figurował The Teenager.

- Bardzo chytra ksywka - powiedziała Piontek z przekąsem. - Zamiast The Kid. Za cholere nikt by się nie domyślił.

Barska milczała, wpatrując się w tekst, wyświetlony na ekranie.

Siemanko, ludzie, którzy wchodzą do tego vortalu i piszą, że nie ma na świecie takiej rzeczy, co się nazywa miłość. Ja wam mówię, że taka rzecz jest możliwa. I to nawet między siedemnastoletnim facetem i kobietą, która przekroczyła już trzydziestkę. Nie seks,

nie zwykle pieprzenie, ale prawdziwa, wielka miłość. Czy na całe życie? Za to nie ręczę. Ale kto wie?...

Starą się dzielnie nad sobą panować.

- Urocze - uśmiechnęła się wreszcie. - Ale przecież z tego wcale nie wynika, że chodzi o nas.

- Nie żartuj. - Piontek pokiwała głową z politowaniem. - Nawet mało zdolny analityk bez trudu odkryje, że słynny artykuł „Co radna Kwiat ujrzała po drugiej stronie lustra” i to miłosne wyznanie wymyślił ten sam niedojrzały, choć zdolny mózdzek.

Barska spojrzała na nią z nowym niepokojem.

- A dlaczego miałby to badać analityk? Chyba nie śledzicie znowu Kuby?

- Bądź spokojna. Choć muszę ci powiedzieć, że niestety, nadal kręci się w pobliżu bardzo podejrzanych typów. Ale nie, aktualnie nie jest obiektem. Oczywiście może się nim stać, jeśli ktoś się na przykład zainteresuje, co pewna kandydatka do Sejmu RP ma wspólnego z owym młodym a kochliwym pisarzem. Nie zapominaj, że władzę wciąż trzyma partia, której twoja wygrana niekoniecznie by się spodobała.

- Boże, w co ja się pcham - powiedziała Barska. - A ty jak na to wpadłaś? Śledzisz go prywatnie? Albo mnie?

- Justa! Ten vortal jest pod stałą obserwacją, bo chętnie pisują do niego narkomani. Ćpuny uwielbiają opowiadać o swoich przeżyciach na haju, heroinowych orgazmach i tak dalej. A przy okazji, niechcący, naprowadzają nas na pewne tropy. Oczywiście, robią różne zmyłki, w ich przekonaniu bardzo przebiegłe. Zupełnie jak twój Kuba. I nie wie, biedak, że to jest bardziej czytelne niż gdyby napisał „Kocham Justynę Barską” sprayem na ścianie.

- Dzięki - powiedziała Barska cicho.

- Nie gniewasz się?

- Coś ty. Dobrze, że wiem.

- No właśnie. Nie chciałam ci robić przykrości. Ale trzeba, abyś wiedziała, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Chłopak robi się po prostu niebezpieczny.

- Przykrości? Przecież to piękne.

- No, może i piękne, ale...

- Niebezpieczne też. Masz rację. Nie martw się. Postaram się odzyskać kontrolę nad sytuacją.

- Mam nadzieję. Bo wiesz, każdy ma do tego dostęp. Ktoś może na to wpaść w każdej chwili. Nawet Waldek. To by było jeszcze pół biedy, bo on nie ma żadnego interesu w rozgłaszaniu takich rewelacji. Ale koledzy Kuby ze szkoły, twoi uczniowie? Ten jakiś



geniusz komputerowy, o którym opowiadałaś? Marmoladożerca czy jak mu tam? Myślisz, że nie zaczęliby czegoś podejrzewać? A gdyby dostał to w łapy nasz dobry wiceprezydent Psota? Boże!

Godzinę później w drzwiach stanął Kuba Mazurek.

- Myślałem, że już się nigdy nie spotkamy, że to koniec - przywitał ją.

- Cicho, dzieciaku. Właśnie spotkaliśmy się. Mamy dla siebie całe trzy godziny. Nie tracimy ich.

Wąski tapczanik nie należał do wygodnych, nie było też na nim nawet prześcieradła. Jednak po dwóch tygodniach niewidzenia się nie zwracali uwagi na niedogodności policyjnego lokalu.

- Masz jakieś specjalne życzenie, mój kochany? - spytała głosem łamiącym się, jakby przewycięzała wstyd.

- Jakie?

- Nie wiem, może miałbyś ochotę na coś, czego jeszcze nie robiliśmy? Zresztą, nie mów. Będziemy robić wszystko, co poznaliśmy do tej pory, a ja się sama domyśle, jak sprawić ci największą przyjemność. Dobrze?

Poruszała się jak na zwolnionym filmie, wpełzając pod niego na plecach, na brzuchu, siadając na nim przodem, tyłem, bokiem, klękając i wypinając pośladki, sadzając go na krześle i okraczając. Trwało to dłużej niż zazwyczaj. Nauczyła się już rozpoznawać, kiedy jest bliski końca i powstrzymywać go. Tego dnia trwało to w nieskończoność. Wreszcie pochyliła głowę nad jego biodrami. Tak, żeby mógł patrzeć. Kiedy robiła to wcześniej, kryła twarz przed jego wzrokiem. Oderwała się na chwilę i pocałowała lepkimi wargami.

- Możesz tak skończyć - szepnęła i zsunęła się z powrotem w dół.

Ale on po chwili wysunął się z jej ust.

- Co? - spytała.

- Wolałbym, żebyś pozwoliła zrobić mi dziecko - powiedział. Znieruchomiała, potem podniosła się z klęczek i usiadła obok niego na brzegu tapczanu, przygryzając wargi.

- Tak? - spytała.

- Tak.

- Jesteś tego pewny?

- Jestem.

Siedziała jeszcze chwilę, a potem opadła na wznak, wkładając ręce pod głowę. Zamknęła oczy i powoli rozchyliła kolana.

- To zrób - powiedziała.

- Poważnie? - spytał z niedowierzaniem.

- Jeśli mówię...

- A ty jesteś pewna?

- Chcesz czy nie chcesz?

Zerwał się pośpiesznie i opadł na nią gwałtownie, jak nigdy wcześniej. Całe jego ciało było rozdygotane i napięte do granic możliwości. Poruszył się zaledwie kilka razy i oboje równocześnie zaczęli krzyczeć, nie kontrolując się zupełnie. Potem opadł na nią bezwładnie, całym ciężarem. Chwyliła jego pośladki w obie dłonie i przyciskała do siebie kurczowo, a spod zaciśniętych powiek płynęły jej łzy. Kilka minut później ocknęła się i spojrzała przytomnie na zegarek, którego nie zdjęła z ręki.

- Zaraz musimy iść - powiedziała, pociągając nosem. - Nie.

- Kochany, musimy trzymać się umów.

- Jakich umów?

- Dzięki którym mogliśmy się tu dzisiaj spotkać. I tych, które zaraz zawrzemy ze sobą.

- O czym ty mówisz? Przecież...

- Przez jakiś czas nie możemy się spotykać.

- Jak to? Teraz?

- Właśnie teraz.

- To będziemy mieli dziecko czy nie?

- Nie wiem. Ja tak łatwo nie zaskakuję. Ale może. Potraktujmy to jako znak, dobrze?

- A do tego czasu?

- Do tego czasu będziemy myśleć o sobie i kochać się na odległość.

- Wybory, co? - rzucił z pogardą.

- A tak, wybory. Nie masz co szydzić. Jeśli mnie wybiorą, będę musiała często wyjeżdżać. Nie wydaje ci się to kuszące?

- A jakie to będzie miało znaczenie, jeśli będziemy mieli dziecko?

- Kuba, proszę cię. Zrobiłam, co chciałeś. Już większego dowodu miłości chyba nie mogłam ci dać? Więc teraz ty zrób coś dla mnie.

- Jako dowód miłości mam się z tobą nie spotykać?

- Przez jakiś czas. Musimy być ostrożni, skoro opowiedziałeś o nas całemu światu przez Internet.

Zastygł z otwartymi ustami jak porażony prądem.

- Skąd wiesz?

- Wszyscy wiedzą. Policja, pewnie także koledzy ze szkoły. Więc nie utrudniaj.

Nagi wciąż Kuba wyglądał na zdruzgotanego bardziej niż kiedykolwiek.

- Przepraszam - powiedział cicho.

- Nie przepraszaj. To, co napisałeś, jest piękne. Tylko... sam rozumiesz.

- Ale jak mnie namierzyli? Przecież zabezpieczyłem się, to niemożliwe.

- Analiza porównawcza tekstów, Kuba. Trzeba było lepiej uważać na moich lekcjach.

Ubierali się w milczeniu.

- Mam wyjść pierwszy, tak? - spytał.

- Tak. A zresztą... cholera z tym. Na tym osiedlu jeszcze nikt nas nie zna, mam nadzieję. Wyjdziemy razem. Ostatni raz.

Nie zareagował na te słowa. Na ulicy nikt nie zwracał na nich uwagi. Z osiedla w stronę centrum skrócili sobie drogę przez rozległe nieużytki, czekające na zabudowanie. Nie było tu nikogo, więc szli powoli, trzymając się za ręce i całując co kilka kroków. Dokoła nich całe łany żółtych nawłoci już przekwitały.

- Wakacje się kończą, Kuba - powiedziała Barska.

Kawiarniane ogródki w Rynku były pełne. Ludzie korzystali z ostatnich ciepłych dni sierpnia, jakby chcieli nadrobić pierwszą, deszczową połowę lata. Gabrielę Piontek znalazła w Bambusie przy pałacu Potockich. Przed policjantką stała opróżniona do połowy szklanka piwa.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała Barska. Dyskretnie oddała klucz.

- Nie martw się, wkalkulowałam to. - Piontek się uśmiechnęła. - Pożegnania się przedłużają.

- Wcale nie wiem, czy to było już pożegnanie.

- Justa!

- Nie krzycz na mnie. Sama wszystko wiem. Postanawiam jedno, a robię drugie.

- Masz minę dziewczynki, która właśnie stłukła cenny wazonik.

- Bo nie wiem, Gabi, czy nie nadużyłam twojego zaufania.

- Podpaliłaś lokal?

- Nie śmieję się ze mnie, Gabi.

- No to co takiego? Nie powiedziałaś mu, że się rozstajecie?

- Powiedziałam, że na jakiś czas. Do wyborów.

- No i bardzo dobrze. Tak się właśnie powinno mówić. Do wyborów on sobie skołuje jakąś łaskę w swoim wieku. Już wie, jak to się robi.

- Ale wcześniej zrobiłam coś...

- Wyduś wreszcie.

- Pozwoliłam mu to zrobić, wiesz... do środka. Policjantka popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- No, ale chyba masz... spiralę albo coś?

- Właśnie, że nie.

- I masz właśnie... dni...? Barska pokiwała głową.

- No, ty to naprawdę masz chyba źle w głowie.

- On tak tego chciał...

- Nie pierdol mi, Justa, co on chciał - zdenerwowała się Piontek. - A gdyby chciał w trakcie ciupciana odrzynać ci powolutku głowę, to co? Niektórzy chłopcy tak strasznie o tym marzą.

- Nie dobijaj mnie. Może nie zaskoczę.

- Ale może zaskoczysz.

- Pomyślałam, że niech to będzie znak.

- Co ty opowiadasz? Jaki znak? Chyba twojej głupoty. Miałaś odzyskać kontrolę nad sytuacją. A ty co robisz? Co to ma być, sąd boży? Nie domyślasz się, co Bóg może o tym sądzić?

- A ty, Gabi, wiesz, co sądzi Bóg?

- Na szczęście ja nie muszę się nad tym zastanawiać. Uuuuh - wydmuchnęła głośno powietrze z płuc. - Chyba z tego wszystkiego walnę sobie jeszcze jedno piwo. A ty?

- Chętnie.

Dziewczyna wyglądająca na dorabiającą w czasie wakacji licealistkę przyniosła nowe kufle, ale Piontek wciąż nie mogła się uspokoić.

- Spałaś z Waldkiem ostatniej nocy?

Barska nie odpowiedziała, ale zrobiła minę, z której wynikała odpowiedź.

- I co, w razie czego da mu się wmówić? Barska wzruszyła ramionami.

- Nie jestem tylko pewna, czy miałabym na to ochotę. Piontek spojrzała na nią szyderczo.

- Ach, nie miałabyś ochoty! Pewnie brzydzisz się kłamstwem, prawda? To piękna cecha. Tylko co byś powiedziała światu? Oto jest dziecko Kuby Mazurka, ucznia klasy trzeciej Be, w której przypadkiem jestem wychowawczynią? A co kiedyś powiedziałabyś temu dziecku? Wiesz, skarbie, twój tatuś był moim ulubionym uczniem, moim pupilkiem? I tak bardzo chciał, żebym go nauczyła, jak się robi dzieci, że nie mogłam się oprzeć?

- Gabi, nie musisz mnie dręczyć. Wystarczająco dręcę sama siebie.

- Wiesz co? Masz szczęście, że twój wierny Jacuś właśnie nadciąga z odsieczą, bo chyba bym własnoręcznie skróciła twoje cierpienia.

Ładny już z daleka machał zwiniętym w rulon papierem, który trzymał w ręce. Dostawił krzesło do ich stolika i usiadł na nim okrakiem, w pozie triumfatora.

- Jest dobrze, dziewczyny - powiedział. - Partia zmienia taktykę. Zaczynają stawiać na ciebie, Justyna. Dali kasę na plakaty.

Rozwinął przed sobą rulon. Plakat przedstawiał parę trzymających się za ręce nastolatków. Nad nimi unosiła się tajemniczo uśmiechnięta twarz Barskiej. Pod spodem biegły na ukos stylizowane litery: Justyna Barska - nadzieja młodych.

- No i co? - spytał Ładny z dumą.

- Rewelacja - mruknęła Piontek.

.

### *Część trzecia*

Nic już nie jest takie samo (pisze Kuba Mazurek)

Po wakacjach wszystko w budzie jest inne. Czarna nie pojawiła się już w „Kuźni”. Będzie zdawała brytyjską maturę. Potem pewnie wystartuje na Oxford albo do jakiejś innej tamtejszej „kuźni”, dającej przepustkę do całego świata. Do Krakowa chyba już nigdy nie wróci, co najwyżej wpadnie od czasu do czasu na Boże Narodzenie.

Jasne, że gdyby nie ta afera między nami, też by wyjechała. Trochę się wkurzyłem, że choć opowiadała mi różne nieważne pierdoły, o swoich starszych i tak dalej, nawet słowem się nie zająknęła, że od nowego roku szkolnego zabiera zabawki i znika w londyńskiej mgłę. A przecież musiała dawno wiedzieć, takiej sprawy nie załatwia się z dnia na dzień. Widać wszystkie samice są podobne. Tu wciskają ci kit, a tu po cichu robią swoje.

Nietrudno się chyba domyślić, że mówię także o Justynie. Nie, żebym miał do niej żal. Choć fakt, że czasami miałem ochotę ją zabić. Albo skończyć za jednym zamachem z nią i z sobą. Wyprowadzić ją na jakiś dach, że to niby bardziej romantycznie, kochać się z nią ostatni raz, a potem wziąć za rękę, skoczyć i pociągnąć za sobą. Oczywiście, oboje bylibyśmy nadzy. I już wtedy wszyscy dowiedzieliby się bez żadnych wątpliwości, co nas łączyło. Problem był tylko z wyborem dachu. U mnie w bloku nie było bezpiecznie, bo zawsze można by się nadziać na koleśki, którzy akurat byliby za bardzo napaleni na babę. Dzięki za taki romantyzm. Blok Ładnego nadawał się jeszcze mniej. Z kolei apartamentowiec Justyny był za niski. W dodatku lądowałyby się na miękkim i można by się nie zabić, a tylko złamać kręgosłup i resztę życia spędzić na wózku, jak Superman. Koszmar.

W końcu zrezygnowałem z dachu i zacząłem myśleć, żeby zawieźć Justynę w Tatry, wyprowadzić na niedostępną półkę skalną i stamtąd, po ostatnim, wyjątkowo namiętym stosunku, rzucić się z nią w przepaść. Tylko że przez cały lipiec lało, a kiedy deszcze ustały, w Tatrach było za zimno, żeby rozbierać się do naga. No i w końcu znaleźliśmy się na Mazurach. Wcześniej raz tylko udało mi się nakłonić ją do miłości na szczycie skały w Dolinie Kobylańskiej pod Krakowem. Kochało się fajnie, jeśli nie liczyć mrówek, ale potem jakoś już nie chciało mi się skakać. Jeszcze do tego nie dojrzałem. Pomyślałem, że nie ma się z czym tak śpieszyć. Więcej już nie pojechaliśmy kochać się na skałach. W ogóle nie wiem, czy choć przez chwilę naprawdę byłem zdecydowany zabić się wspólnie z Justyną. Ale ciekawie było to sobie wyobrażać.

Teraz się nie widzimy. W szkole wzięła bezpłatny urlop aż do wyborów, więc nie ma

okazji. Ostatni raz spotkała się ze mną przed dwoma tygodniami, dosłownie na parę minut. Tylko żeby mi powiedzieć, że jednak nie będziemy mieli dziecka. Nawet nie wiem, czy tego dnia, kiedy mi pozwoliła, naprawdę była na to szansa, czy po prostu chciała, żebym jej już więcej o to nie męczył. Często myślę, czy powinienem żałować, że się nie udało. Jasne, rozumiem, że byłaby straszna zadyma, gdybym rzeczywiście zrobił dziecko Żelaznej Dziewicy. Bo przecież dla wszystkich ona dalej jest Żelazną Dziewicą. Może z wyjątkiem Jacka, który pewnie główkuje po nocach, jak to się mogło stać. A może i nie główkuje, bo przecież po tej historii ze swoją panią od rosyjskiego najlepiej wie, że takie rzeczy się zdarzają. Choć i on chyba nie myślał wtedy o dziecku.

No więc nie umiem sobie wyobrazić, co by było, gdybyśmy mieli dziecko. Jak wziąć to na trzeźwo, pewnie i tak nie bylibyśmy razem. Już widzę, jak wszyscy by szaleli. Jej rodzice, mąż, szkoła, ta głupia partia, która ją wystawiła do wyborów. Więc marne szansę, żeby to się udało. Ale przynajmniej byłby powód, żebyśmy się spotykali. Bo teraz powoli przestaję wierzyć, żeby ona jeszcze chciała. Nawet po wyborach. Chyba tak tylko ściemniała, żebym ją przestał męczyć i nie doprowadził do jakiejś kompromitacji. Jeszcze poczekam, zobaczymy.

Trzeba się tymczasem rozejrzeć za jakimś zastępstwem, żeby nie zostać jak ten głupi na weselu. Poznałem niezłą laskę w Pałacu Młodzieży, gdzie Jacek próbuje zmontować jakiś miesięcznik, który miałby być redagowany przez młodych napaleńców z całego Krakowa. Nie taki, jak te głupie szkolne gazetki, tylko coś bardziej serio. Właśnie na temat różnych problemów małopolskich. Ze starymi, z dragami, z alkoholem i tak dalej. No i z seksem, jak najbardziej. Przy okazji może się uda zrobić także wersję internetową. Nie wiem, czy będę się w to bardzo angażował, bo w końcu trzeba trochę pomyśleć o maturze. Żeby, jak to mówią, otrzepać pył z butów i zapomnieć o sławnej „Kuźni”, pani Caban i innych atrakcjach młodego życia. Ale panienką trzeba się zainteresować. Ma na imię Ewa, co się może trochę nie najlepiej kojarzyć, ale mi nie przeszkadza.

Widać, że Jackowi praca z małolatami weszła w nałóg, a w „Kuźni” nie miałby już czego szukać. Pod nieobecność Żelaznej Dziewicy opiekę nad „Kowadłem” objął Libertowicz i od razu wszystko spieprzył. Kiedyś to był taki fajny chłop, jeszcze jako dyrektor. Teraz jakby już całkiem olał i tylko przytakiwał Cabanowej. Gazetą rządzi niepodzielnie Kamil Kot do spółki z Anką Bukowską. Zdaje się, że oni też w wakacje wspólnie poznali co to seks i teraz durny Mruczek okropnie stroszy ogon. Ja to się mogę z tego tylko uśmieć. Wielki mi seks, z Anką. Tyle zyskał, że teraz wszyscy wołają na niego Mruczek. Bo to Anka mówi do niego Mruczku, rozkosznie mrużąc swoje oczka, jakby i tak nie były dość małe. W każdym

razie, położą „Kowadło” błyskawicznie, idę o zakład. Ale to mi wisi. Bez Czarnej i bez Żelaznej Dziewicy nasza gazetka już mnie nie interesuje ani trochę.

W budzie więc zmiany o sto osiemdziesiąt stopni. Ale to i tak nic w porównaniu z naszym domem. U nas to chyba o pięćset osiemdziesiąt. Istne trzęsienie ziemi. Krótko mówiąc, stary wrócił z Rajchu. I w dodatku na wejściu zrobił z siebie pajaca. Było tak, że w sobotę pojechaliśmy z matką do Hita. Wracamy objuczeni siatami, a matka pyta:

- Kuba, czy ja nie zamknęłam drzwi na oba zamki?

Nie pamiętałem, więc mówię, że nie pamiętam, ale i mnie wydało się to dziwne. Matka miała odruch przekręcania obu kluczy, nawet kiedy wychodziła tylko ze śmieciami. Więc zakradam się do własnej chaty jak detektyw Sipowicz w „Gliniarzach z Nowego Jorku” do jakiejś bandyckiej meliny, gdzie za każdymi drzwiami może czaić się morderca. Tylko brakuje mi odznaki i gnata trzymanego obiema rękami. Reszta jest klasyczna. Niemal czolgam się po ścianach. Do każdego pomieszczenia zaglądam szybko zza framugi i zaraz cofam głowę. Nagle matka szepcze mi do ucha:

- Cholera, na pewno nie zamykałam drzwi do salonu.

No i już wiemy, że to nie serial, że naprawdę ktoś jest w domu. Kiedy to się stało jasne, wcale nie miałem ochoty dłużej udawać detektywa Sipowicza. Dużo by mi pomogły te balety, jakbym na wejściu zarobił kosą między żebra albo bejsbolem w łeb. Nawet nie mówię o matce, która na pewno i bez tego mało nie po-sikała się ze strachu. Już tylko myślimy, jak się po cichu wycofać i z dołu zadzwonić po gliny.

W tym momencie drzwi od salonu otwierają się i staje w nich kochany tatuś. Wyrzuca w górę ramiona jak mistrz kolarski na mecie i woła:

- Niespodzianka!

Też całkiem jakby grał w amerykańskim filmie. I niechby ktoś powiedział, że stary McLuhan nie miał racji. Wszyscy jesteśmy dziećmi telewizji. Swoją drogą, niespodzianka naprawdę mu się udała. Matka o mało nie zesłała na serducho.

- No co, nie cieszą się? - zapytał stary bardzo inteligentnie.

- Oczywiście, tatusiu. Tylko jesteśmy porażeni efektem - powiedziałem.

Tu nastąpiła stosowna porcja rodzinnych uścisków, w czasie których matka jakoś się stroszyła, jakby to ona miała powód.

- Co, wysłali cię na Ukrainę i wpadłeś po drodze? - spytała z przekąsem.

Miała prawo to powiedzieć, bo już kiedyś tak zrobił, choć bez tych sztuczek rodem z „Jasia Fasoli” czy innego równie wybitnego dzieła.

- Wróciłem - zawołał, jakby ogłaszał, że trafiliśmy szóstkę w totka. - Wróciłem,



wyobrażacie sobie?

Oczywiście, zgrywał wesołka, bo też był w nerwach i to jak! Wcale mu się nie dziwiłem. Miał powody. Trzeba to było widzieć! Dopiero teraz matce szczena opadła do samych kolan. Założyłbym się, że ostro główkowała, co zrobić, żeby uratować najbliższą randkę z Dulębą. Nie mówiąc o następnych. Ale trzeba jej przyznać, że jednak wysiliła się na uśmiech.

- Mam nadzieję, że tym razem to prawda - powiedziała odważnie.

Powrót starego wyglądał na poważny problem. Okazało się to już przy obiedzie, który matka naprędce skleciła z tego, co przywieźliśmy z Hita. Po prostu nie było o czym gadać. Sekrety techniki budowy mostów i wiaduktów niezbyt nas, prawdę mówiąc, interesowały. A opisy katedry w Kolonii, Parady Miłości w Berlinie i baru w Monachium, gdzie Hitler wpadał z kolegami na piwo, już znaliśmy. Więc emocje wybuchły dopiero kiedy się okazało, że stary przywiózł z Rajchu BMW.

- Czy ty na pewno wiesz, w co się wpackowałeś? - wsiałem na niego z miejsca. - i gdzie je masz?

- Stoi pod blokiem - wyznał z naiwną dumą dziecka. Zwariował facet, słowo daję. Rzeczywiście, sam zauważyłem na parkingu srebrną beemę, którą już interesowało się paru kolesi. Nawet pomyślałem, co za dureń postawił taką brykę na osiedlu, w dodatku na niemieckich numerach.

- Zostały ci jeszcze jakieś pieniądze? Czy mam ci dać na ubezpieczenie? - spytała matka.

Było to dosyć wredne, bo dobrze wiedziała, że bmw było marzeniem starego prawie od urodzenia. Choć miała też dużo racji. Pomarzyć dobra rzecz, ale kupuje tylko idiota. Nie czytał gazet czy co? Miał taki wybór. Mógł kupić volksa, opla, każdy samochód dla ludzi. Już nawet merca lepiej. A on się sady na bmw. Naprawdę nie wiedział, że szpanować beemą to ambicja każdego małego gangsterka na niezmiernych obszarach niedawnych ojczyzn socjalizmu, poczawszy od świętej granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, a skończywszy na tonących we mgłach brzegach Pacyfiku?

- Coś ty! - powiedział ojciec. - Kupiłem je bardzo okazjijnie. Dosłownie za grosze, biorąc pod uwagę przebieg i stan techniczny.

- Tylko że złodzieje o tym nie wiedzą - przerwałem mu te zachwyty. - Zresztą, dla nich nieważne, ile ty dałeś, tylko ile oni wezmą.

- O, przesadasz. Przecież nie jest tak, że każdy samochód w tym kraju zaraz zostaje skradziony. Zresztą, wielcy gangsterzy wybierają inne modele.

Naprawdę był głupi. Wygłaszał podobne sądy z taką pewnością, jakby przynajmniej raz w tygodniu jadał śniadanie z wielkimi gangsterami. Co on wiedział? Oczywiście, że wielki gangster nie będzie szukał dla siebie bryki pod blokiem na Azorach.

Problemem nie są wielcy, tylko mali. A najgorsi tacy, którzy aż się trzęsą, żeby ich uważano za gangsterów. Wcale nie potrzebują najlepszych modeli, tylko czegoś, co wygląda jak beema. W ich zasranej wiosce, gównianym miasteczku czy na ohydny osiedlu i tak nikt się na tym nie pozna. Egzemplarze starsze i tańsze, a najlepiej walnięte, są nawet bardziej poszukiwane niż te z najwyższej półki. Bo małe gangsterki nie mają wielkiej kasy, chcą tylko na nią wyglądać. Nawet mi się nie chciało tłumaczyć staremu chłopu elementarza.

- Postaw je chociaż na strzeżonym parkingu - poprosiłem. - Przynajmniej dopóki nie założymy blokady skrzyni biegów i jakiegoś przerywacza prądu.

- Mam bardzo dobry immobilizer z alarmem - obruszył się.

- To weź go wymontuj i wyrzuć do Wisły - powiedziałem. - Tam się najlepiej sprawdzi. Założymy sami jakiś wyłącznik, jak kiedyś w twoim starym fiacie.

- Może wiesz, co mówisz - zgodził się wreszcie stary.

- Ja myślę!

Dopiero pod koniec obiadu okazało się, że matka niepotrzebnie wpadła w takie przerażenie. Ojciec wrócił wprawdzie do Polski, ale nie do Krakowa. Firma zaproponowała mu pokierowanie budową koło Szczecina. Za mniejsze pieniądze niż w Rajchu, ale życie po tej stronie też było tańsze.

- Będę mógł częściej przyjeżdżać - tłumaczył się. - Zawsze to krok w dobrym kierunku.

Atmosfera przy stole od razu się poprawiła. Ten krok nie był mimo wszystko zbyt wielki. Na szczęście ze Szczecina trudniej dojechać do Krakowa niż z niejednego miejsca w Rajchu. Tak że bez paniki, mamusiu.

Tymczasem stary znalazł nowy temat do konwersacji, jeszcze bardziej rodzinny.

- To widzę, że twoja pani od polskiego wyrosła na prawdziwą gwiazdę - sypnęła ni z gruszki, ni z pietruszki.

Matkę jakby coś nagle zabolalo w brzuchu. A więc chyba wiedziała. Nie spodziewałem się. Jeśli to była prawda, do tej pory maskowała się doskonale. Zresztą, była przecież mistrzynią konspiracyj. Pod tym względem nie dorastałem jej do pięt. Tylko jak by na to wpadła? Nie mam pojęcia. Przecież naprawdę bardzo się pilnowałem, jeśli nie liczyć tego arta, którego wpuściłem do sieci. Zgoda, może to i było głupie. Ale co, czy z tego naszego szaleństwa miało nic nie zostać, żaden ślad? Musiałem jakiś zostawić, choćby taki. Poza tym

mamy tylko kilka wspólnych zdjęć, zrobionych nam przez fotoreportera z „Gazety Krakowskiej” przy redagowaniu „Kowadła”. W dodatku zaledwie na jednym z nich jesteśmy sami, we dwójkę, bez Mruczka i Dżemojada. Aha, jest jeszcze takie, na którym oprócz nas jest jeszcze Czarna. Też może być. Wracajmy jednak do starego i jego rewelacyjnego odkrycia.

- Co masz na myśli? - spytałem grzecznie.

- No, przecież całe miasto jest nią obwieszone, nie widziałeś? Zresztą, trzeba przyznać, że to ładna kobieta. Pewnie połowa chłopaków w klasie kocha się w niej po kryjomu. Co, ty też? Przyznaj się.

Uznał chyba, że to świetny dowcip i z rozmachem klepnął mnie w udo. Słowo daję, można się było zwinąć ze śmiechu. Matka nie wiedziała, gdzie ma podziąć oczy.

- Wolę młodsze - mruknąłem.

- Ach, wy, młodzi, nie wiecie, co naprawdę dobre. Co tam młodsze. Zielone pomidory. Trzydziestka, to jest ideał! Mówię ci.

- A ty od kiedy jesteś takim znawcą? - włączyła się matka głosem, w którym brzmiała i uraza, i nietajone lekceważenie.

- O! Czyżbyś nagle zrobiła się zazdrosna?

Ojciec odpowiedział jej podobnym, pełnym pretensji tonem. Widocznie on też miał już dość zgrywania starego głupka rodem z komedii rodzinnych. Nie chciało mi się słuchać dalszego ciągu.

- Po takim długim niewidzeniu chcecie na pewno pobyć trochę sami - powiedziałem wrednie.

I poszedłem sobie. Zresztą, nie powinien mieć pretensji. Musiałem przecież załatwić i jego sprawę. Wpadłem do Katowni.

Drzwi pilnował jakiś małolat, którego nie znałem. Tu się też zmieniało. Gówniarze robili się coraz bardziej agresywni.

- Szukasz czegoś?

Spytał, jakby chciał się bić. A nie miał więcej niż czternastkę.

- Jest Mussolini?

- A kto pyta?

Musiał to gdzieś podsłuchać. Nie wyglądał na takiego bystrzaka, co wymyśliłby podobny tekst samodzielnie. Mussolini wystawił głowę z siłowni.

- Co jest? A, to ty, Dzieciak. Właż.

Małolat spojrział na mnie wrogo, jakbym co najmniej chciał wygryźć go z posady.

- Co to za święto? - spytał Mussolini. - Dawno cię tu nie widziałem.

- Wakacje są.

- Nie tłumacz się. Nie masz się co wstydzić, że jesteś porządny. Tacy też się przydają.

- Mam problem - powiedziałem.

- Gadaj.

- Mojemu starszemu odwalilo i przyciągnął sobie z Rajchu beemę.

Mussolini aż gwizdnął.

- Musi kosić niezłą kasę.

- Skąd. To z okazji.

- Walnięty rzęch?

- A jak? Tylko że staruszek wydał na niego swoją krwawicę.

- I to jest twój problem?

- Mój problem jest taki, że młode gnojki się nie znają i mogą się napalić. A on wtedy dostanie zawału.

- Masz to załatwione - powiedział Mussolini. - Nikt na Azorach tej bryki nie ruszy.

- Zrobisz to dla mnie?

- Chyba mówię. Podoba mi się, że się troszczysz o rodzinę.

- Dzięki.

- Nie masz za co dziękować. Chowaliśmy się pod jednym blokiem. Kumple muszą sobie pomagać, nie? A trafi się okazja, to się zrewanżujesz.

To już nie brzmiało tak dobrze. A zwłaszcza, że nazwał mnie swoim kumplem. Nie potrafiłem zgadnąć, co mogło znaczyć to wyróżnienie, na pewno nic dobrego. Ale miałem wyjście?

No więc przynajmniej to mi się udało pozytywnie załatwić. Do domu dalej nie chciało mi się wracać. Wsiadłem w sto trzydziestkę i pojechałem na dworzec główny. Faktycznie! Już koło więzienia przy Montelupich zobaczyłem pierwszy billboard. Wielkie oczy Justyny patrzące na mnie ze ściany, coś niesamowitego. Nie ja jeden wyglądałem z autobusu, obracając za nimi głowę. Plac przed dworcem obwieszony był mniejszymi plakatami z tym samym zdjęciem, tylko trochę inaczej zakomponowanym. Dopiero teraz zauważyłem wmontowaną z boku parę nastolatów i podpis: Justyna Barska - nadzieja młodych. Myślałem, że sobie siądę. Czy ten Ładny zrobił to celowo?

Poszedłem Basztową wzdłuż Plant, potem Krupniczą i aleją Krasieńskiego do mostu. Wszędzie to samo. Tysiące Justyn, patrzących na mnie tymi oczami. Spojrzeniem z poduszki. Nie mogłem się uspokoić. Obok Wawelu, na rusztowaniu z metalowych rurek, wisiał jej

następny billboard. Ktoś naprawdę wpompował w nią kupę kasy. Usiadłem na murku przy bulwarze nad Wisłą i chyba ze dwie godziny wgapiałem się w te oczy, nie widząc naokoło nic poza nimi. I myślałem: Facet! To była twoja kobieta. Czy to możliwe?

Za wszystko trzeba kiedyś zapłacić

Telewizyjna debata na temat najpilniejszych problemów, które powinien rozwiązać Sejm następnej kadencji, już po pięciu minutach przekształciła się w benefis tylko dwóch osób. Skrajnie prawicowego kandydata Dominika Psoty i startującej z listy liberałów Justyny Barskiej. Reszta rozmówców była dla nich jedynie tłem. Od bezpośredniej rywalizacji tych dwojga mogło zależeć bardzo wiele, bo w sondażach obie partie osiągały w Krakowie bardzo podobne wyniki.

Psota, kiedy chciał, potrafił być uroczym rozmówcą, grzecznym, nieagresywnym. Bardzo dobrze wypadł na wizji. Z zawodu był lekarzem pediatrą. Mężczyzna, który wybrał tak niemęską specjalizację, już przez samo to mógł liczyć na sympatię żeńskiego elektoratu. W dodatku, przy swoich czterdziestu pięciu latach wciąż przystojny, demonstrował solidną urodę szczęśliwego ojca rodziny, odpowiedzialnego faceta, na którego zawsze można liczyć. Niepoprawne politycznie wypowiedzi na temat homoseksualizmu, przemocy domowej czy prezerwatyw dla jego zwolenników mogły stanowić tylko dodatkowy argument. Na tym polu Barska była bez szans. Choćby chciała, nie mogłaby sobie pozwolić na odżywki, jakie zdarzały się Psocie, w stylu, że geje są zakałą narodu, a samotne matki same sobie zgotowały taki los.

Ładny długo tłumaczył jej, żeby nie próbowała walczyć z Psotą o jego wyborców, tylko starała się przyciągnąć do urn takich, którzy w ogóle nie wybierali się do wyborów, bo uważali, że to bez sensu. Zwłaszcza młodych.

- W tym kraju wielu ludzi nie idzie głosować nie z lenistwa, ale z rozpacz, bo na lewicę porządnemu człowiekowi wciąż głosować nie wypada, a na prawicy nie ma na kogo. Przekonaj ich, że dla ciebie warto zmienić tę postawę.

Starała się więc, jak potrafiła. Ładny zaangażował się tak bardzo, że walczyła o te głosy trochę jakby dla niego. A on wspierał ją w chwilach słabości.

- Słuchaj, ja chyba jednak nie pójdę do tej telewizji - mówiła. - Nogi mi miękną na samą myśl.

- Tam będą krzesła - odpowiadał spokojnie.

- Nie żartuj sobie ze mnie, Jacek. Naprawdę jestem przerażona.

- Przecież jesteś oswojona. Umiesz się zachować przed kamerą, ładnie wyglądasz na

ekranie. Co za problem?

- Ale też wiem, jak telewizja potrafi zniszczyć.
- Nie dasz się. Jesteś odważną dziewczynką.
- Mam wrażenie, że Psota chce mnie załatwić.
- I nie mylisz się. Pewnie właśnie przed kamerą zahaczy cię o dzieci.
- No widzisz?

- Nic się nie bój. Jesteś na to przygotowana, o czym on nie wie. Poradzisz sobie z tym. Tym bardziej, że na pewno nie pójdzie na full. On też się boi, co myślisz. Inaczej już dawno próbowałby obrzucić cię błotem, choćby wyciągając z zapomnienia twojego brata. Ale dobrze wie, że Krakówek by mu tego nie darował. Profesor Wojtala jest pod Wawelem świętą krową. I bardzo dobrze.

- Ładnie się wyrażasz o moim tatusiu.

- Nie mam się wyrażać ładnie, tylko kompetentnie. A prawda jest taka, że kto go zaczepi, nawet gdyby wcześniej dostał błogosławieństwo od czarnych, będzie miał w Krakówku przewalone. Zresztą, czarni też odetną się od kogoś takiego. Ostatecznie profesor Wojtala grywa z hierarchami w brydża, a Psota tylko obślinia im ręce.

- Znów opowiadasz mi jakieś obrzydlistwa. Wolałabym, żeby mój ojciec nie miał z tym nic wspólnego.

- Więc ogłoś, że jesteś córką listonosza. Zresztą, to i tak by nic nie pomogło. Po prostu nic na to nie poradzisz. Myślałaś, że da się włożyć paluszek do ognia, ale tak, żeby nie bolało? Dużo mniejsze dziewczynki wiedzą, że się nie da. Popatrzyła podejrzliwie.

- Ty! Czy ty to mówisz na pewno w związku z wyborami?

- Moje uniwersalne metafory stosują się do różnych sytuacji - odpowiedział. - Przed kamerą też może zabołec, ale ty się tylko pogardliwie uśmiechniesz, jak wódz Apaczów na mękach i powiesz: Pshaw! Błada twarz ma dużo dzieci, ale mało rozumu.

Zaśmiała się, trochę z przymusem.

- Chcesz mnie rozbawić, żebym się mniej bała.

- To tylko taka technika relaksacyjna. Znam także inne.

- Nie wątpię. Kilka pań w Krakowie mogłoby coś na ten temat powiedzieć, prawda?

- Jeśli tak twierdzą, kłamią.

- Akurat! Może lepiej wróćmy do tematu, co?

- Cały czas mówimy na temat. Po prostu pamiętaj przed kamerą, że są ludzie, którzy będą z tobą bez względu na wszystko.

- Bez względu na wszystko?

- Dokładnie.

- To też jest jakaś technika? Motywacyjna czy jaka?

- To akurat jest po prostu prawda.

Od tej rozmowy z Ładnym minęło kilka dni i teraz, w trakcie transmisji na żywo, spełniała się większość jego przewidywań. Z początku Psota nie uderzał wprost, robił tylko aluzje, na razie zrozumiałe tylko dla niej. Wreszcie porzucił grzeczności i zaatakował.

- Pani Barska jest w tej luksusowej sytuacji, że nie należy do żadnej partii, więc z żadnym programem nie musi się identyfikować. Ale siłą rzeczy, czy przyjmując miejsce na liście liberałów, nie zgodziła się pani na udział w wielkim oszukiwaniu narodu?

- Przeciwnie - powiedziała twardo, jakby przypomniawszy sobie radę Ładnego, że na pierwszy atak musi odpowiedzieć atakiem dwa razy mocniejszym, żeby ci, których ujęła swym urokiem, przekonali się, że potrafi także walczyć. - To właśnie prawica próbuje nam wmówić, że w ekonomii potrafi czynić cuda. Panie prezydencie, czy to nie grzech pychy, uważać, że jesteście jak Mojżesz i wystarczy, byście uderzyli laską w skałę, a trysną pieniądze?

- Wcale tego nie obiecujemy. Proponujemy natomiast inne wartości w miejsce pieniędzy. Takie jak Bóg. Ojczyzna. Rodzina. Których liberałowie chcieliby nas pozbawić, w zamian za garść szklanych paciorków.

- Szklanych paciorków?

- A czymże innym są wasze hasła wolności, jeśli nie świecidełkami, za które ciemni tubylcy mają oddać prawdziwe skarby?

- No, panie prezydencie, jeśli tak pan ocenia wolność, za którą pan podobno za komuny dał się wsadzić do więzienia, to...

- Myślę, że po prostu inaczej rozumiemy wolność. Dla was wolność to prawo do robienia, czego dusza zapragnie. Dla nas możliwość życia zgodnie z prawem boskim. W rodzinie, która jest dla nas największym dobrem na ziemi.

- Czyżby pan sądził, że liberałowie nie mają rodzin, żyją w komunach, mają wspólne kobiety, a dzieci wypędzają do lasu? Nie, panie prezydencie. Liberałowie też cenią sobie rodzinę. Ale rodzinę, która nie jest więzieniem, która nie jest karą dożywocia, tylko taką, której wszyscy członkowie mogą się swobodnie realizować.

- Jak? Wchodząc w grzeszne związki, w tym z osobami tej samej płci? Upijając się, biorąc narkotyki? Zabijając nienarodzone dzieci?

- Panie prezydencie!

- Przepraszam, ale czyż nie takie są wasze postulaty? Legalizacja tak zwanych wolnych związków, małżeństwa homoseksualne, pozostawienie łagodnego prawa

antynarkotykowego, ale za to dalsza liberalizacja ustawy o zabijaniu dzieci poczętych?

- Gdyby organizowano mistrzostwa w demagogii, pan prezydent mógłby w nich startować z dużymi szansami na zwycięstwo - Barska uśmiechnęła się do kamery. - Już chyba wszyscy wyborcy wiedzą, że jeśli chodzi o ustawę antynarkotykową, to ja akurat jestem zwolenniczką jej zaostrzenia.

- W porządku - uśmiechnął się Psota. - Tu akurat jesteśmy po jednej stronie. Ale jeśli chodzi o zabijanie nienarodzonych...

- Moim zdaniem obecna ustawa jest wystarczająco kompromisowa i nie ma co wywoływać zastępczej burzy w momencie, kiedy kraj stoi przed koniecznością zasadniczych reform, o czym pan prezydent doskonale wie. Broniąc praw nienarodzonych, powinniśmy także pomyśleć o dzieciach, które już się urodziły. Jak im stworzymy możliwości życia, nauki, rozwoju.

W pomieszczeniu obok studia Jacek Ładny, obserwujący debatę na monitorze, aż syknął.

- No, to teraz jej przypierdoli - wyrwało mu się.

Inni dziennikarze, czekający na wynik pojedynku przed kamerami, nie zdziwili się, że Ładny tak się emocjonuje. Wiadomo było, że kampania Barskiej oparta jest głównie na jego pomysłach. Jej porażka byłaby więc także jego klęską, a jej wygrana jego triumfem. Tylko Agata Kot spojrzała na niego z lekkim politowaniem.

- Bardzo to budujące, że pani Barska tak troszczy się o przyszłość dzieci narodzonych, nadziei naszego narodu. Mogę ją zapewnić, że i mnie te problemy nie są obce, a może nawet bliższe.

- Na twarzy radnego Psoty, wypełniającej teraz cały ekran monitora, pojawił się uśmiezek Judasza. - Ostatecznie stworzyłem możliwości życia, nauki, rozwoju piątce moich własnych dzieci. Może będę nieskromny, ale odnoszę wrażenie, że udało mi się to nawet całkiem nieźle.

- Niestety, nie wszyscy młodzi w tym kraju mają tyle szczęścia, co dzieci pana prezydenta. - Barska nie traciła spokoju. - Wystarczy przejść się po pierwszym lepszym osiedlu w Nowej Hucie, żeby zobaczyć tłumy nastolatków, którzy zaczynają nienawidzić tego kraju, bo nie widzą w nim dla siebie żadnej przyszłości.

- Zapewne liberalną receptą pani Barskiej na poprawę ich losu będzie ożywienie gospodarcze - ciągnął Psota z jawnym lekceważeniem. - Tylko ja pytam, jak sobie liberalowie wyobrażają ożywienie gospodarcze w kraju, który zaczyna wymierać? W którym rodzi się



coraz mniej dzieci? A to są, niestety, skutki właśnie ich liberalnych pomysłów.

- Panie prezydencie! Trochę umiaru - zaprotestowała Barska.

- Za chwilę dowiemy się, że liberałowie spiskują, żeby Polacy nie mieli dzieci.

- Wystarczy, że otumanili część narodu fałszywym blaskiem błyskotek, o których mówiłem. Wmawiają nam, że od dzieci, od rodziny, od rodzinnej miłości ważniejsze są kariera, powodzenie w biznesie, sukces osobisty. A przede wszystkim używanie życia, niczym nieskrępowana przyjemność, w której dzieci tylko przeszkadzają. Czy nie mam racji?

- Uśmiezek radnego Psoty stał się teraz już całkiem jawnie zjadliwy.

Nawet jeśli aluzja nie była w tym momencie czytelna dla większości wyborców, stanowiła aż nadto czytelną sugestię, by zainteresowali się prywatnym życiem kandydatki liberałów. Plakaty z jej piękną twarzą, które dopiero co zalały miasto, tym bardziej do tego zachęcały. Prowadząca debatę prezenterka jakby dopiero w tej chwili zorientowała się, że pozwoliła Psocie na zbyt wiele.

- Może jednak pozwolimy wypowiedzieć się także pozostałym uczestnikom naszej dyskusji? - zaproponowała niezbyt zrecznie.

- Nie, chwileczkę! - sprzeciwiła się Barska.

Wśród dziennikarzy na zapleczu emocje także wzrosły. Nikt tu nie darzył sympatią postkomunistów z lewicy czy ludowców, których kandydaci tworzyli zaledwie tło debaty. Przedstawiciele krakowskich mediów podzielili się na kibiców albo Barskiej, albo Psoty.

- Nie daj się hipokrycie! - znów nie wytrzymał Ładny. Agata Kot tym razem popatrzyła na niego jakby z mniejszą niechęcią.

- Proszę mi pozwolić odpowiedzieć, bo pan prezydent najwyraźniej pije do mnie - ciągnęła Barska. - Przyznaję, że w przeciwieństwie do pana prezydenta, który ma w tej dziedzinie godne podziwu zasługi, ja nie dochowałam się jeszcze dzieci. A więc, jego zdaniem, jestem zapewne odpowiedzialna za wymieranie narodu.

- Ależ ja nic takiego nie powiedziałem! - Psota aż zasłonił się rękami.

Barska zignorowała jego okrzyk.

- Chciałabym panu prezydentowi odpowiedzieć jego ulubioną maksymą, że niezbadane są ścieżki Pana. Jednych dobry Bóg obdarza dziećmi w nadmiarze, innym tej łaski długo skąpi, choćby jej bardzo pragnęli. Niezbyt to po chrześcijańsku, szydzić z niedoli bliźniego.

Dzięki wynalazkowi kolorowej telewizji widać było bardzo wyraźnie, jak Dominik Psota oblewa się czerwienią.

- Nic podobnego nie było moim zamiarem - bronił się.

- Mogę pana prezydenta uspokoić. - Barska uśmiechnęła się tajemniczo, jak na plakacie. - Na szczęście pana partii nie udało się jeszcze zakazać stosowania pewnych kuracji, dzięki którym można łasce Bożej nieco dopomóc. Tak że jeśli pańskiej wrażliwości nie gorszyłaby posłanka w stanie błogosławionym, to może pan z czystym sumieniem oddać na mnie swój głos.

Oszłupienie było totalne, zarówno w studiu, jak i w pokoju dziennikarskim. Na wizji zapadło milczenie, trwające, jak później wyliczono, dwadzieścia dwie sekundy. Wreszcie odezwała się znowu Barska:

- Dziękuję, ja powiedziałam wszystko.

- No właśnie - ocknęła się prowadząca dyskusję. - Pozwólmymy także wypowiedzieć się krótko przedstawicielom innych partii.

Przedstawiciele innych partii byli ciągle tak zszokowani, że nie potrafili już wymyślić nic mądrego. Wypadli bardzo słabo. W pokoju dziennikarskim zapanowała gorączkowa atmosfera. Niektórzy przedstawiciele mediów drukowanych już wystukiwali swoje teksty na laptopach. Radiowcy czaili się, żeby dopaść kandydatów od razu przy wyjściu ze studia. Agata Kot zbliżyła się do Ładnego, choć przedtem trzymała się od niego na dystans.

- Ale szok - powiedziała. - Ty to wymyśliłeś, Jacek? Przyznaj się.

- Coś ty. - Wzruszył ramionami. - Życie to wymyśliło. Sam jestem zaskoczony.

- Uważaj, żebym ci nie uwierzyła. W każdym razie, chapeaux bas. Nie doceniłam cię. Ryzykowny numer, ale świetny. Wytrąciłeś mi broń z ręki. Właśnie chciałam jej wbić szpilę, a teraz nie mogę. Miałabym przeciw sobie wszystkie słuchaczki.

- A właściwie to dlaczego ty jej tak nie lubisz? - spytał.

- Bo ja wiem? Może mamy niezgodne biopola albo co?

Kiedy Kuba Mazurek zauważył w zaparkowanej przed blokiem skodzie favorit Roberta Kajzera, było za późno, żeby się cofnąć. Postanowił minąć go, jakby był powietrzem.

- Nie udawaj, że mnie nie widzisz - odezwał się Kajzer ze złością. - Co ty sobie, kurwa, myślisz?

Kuba odwrócił się do niego.

- Sprzedałeś mnie - powiedział.

- Nic nie rozumiesz. Obaj mamy problem. Wsiadaj, wszystko ci wytłumaczę.

- Ja nie mam żadnego.

- Tak ci się tylko zdaje. A jak mnie nie posłuchasz, będziesz miał przewalone do entej potęgi. Chyba słyszałeś o Mariuszu Żaku? Ci goście się nie pieprzą.

Kilka miesięcy wcześniej sprawa była bardzo głośna. Mariusz Żak, trener wschodnich sztuk walki, szkolący policjantów i ochroniarzy, niecały miesiąc wcześniej, po wyjściu nad ranem z dyskoteki, został zakłuty nożami na parkingu w samym centrum. Świadców nie było.

- Jacy goście? - spytał. - W co ty mnie wrobiłeś?

- Sam się wrobiłeś - powiedział Rajzer złowieszczo.

- A co ja niby takiego zrobiłem?

- Jesteś ciemny. Nie musisz nic robić, żeby się wrobić. Wystarczy, że żyjesz. Wsiadaj, szkoda czasu. Nie mogę tu tak stać na widoku.

Kuba zawahał się, ale wsiadł. Kajzer naprawdę wyglądał na przestraszonego. Wyjechali szybko z osiedla, kierując się w stronę śródmieścia.

- Nie mogłem uwierzyć, że to zrobiłeś - powiedział Kuba.

- A ty co mi zrobiłeś? To cię nie smuci?

- Co ja ci zrobiłem?

- Wpuściłeś mnie, kurwa, w cały ten syf. Kto ściemniał o jakiejś bizneswoman i hondzie prelude?

- Nie wierzę. To znaczy, że ja jestem wszystkiemu winien?

- A nie? Gdybyś mi powiedział prawdę, jak przyjacielowi, nie byłoby tej całej afery. Żelazna Dziewica, ja nie mogę! Co ty w tej babie zobaczyłeś? Przecież ona musi być zimna jak trup.

- Nie twoja sprawa.

- Tak mnie teraz traktujesz? Uważaj, żeby się to dla ciebie źle nie skończyło. Ci goście się zawiedli. Są wkurwieni jak nie wiem.

- Na ciebie, nie na mnie.

- Nie łudź się. Gdybyś mi powiedział prawdę...

- Chory jesteś? Jak mogłem ci powiedzieć prawdę?

- Normalnie. Kumple sobie mówią takie rzeczy. Gdybyś mi zaufał, wiedziałbym tylko ja. A tak...

- Nie strasz. Było ciemno, nie zapamiętali jej. Chyba że ty im znowu powiesz.

- Nie muszę. Fakt, może by o niej zapomnieli. Gdyby nie wisiała teraz na każdym płocie. Musieliby być chyba ślepi.

Kuba zaciął się i milczał.

- Nie miej do mnie żalu, Kuba - powiedział Kajzer innym tonem. - Musiałem. Ratuje życie, nie rozumiesz?

- Co się dzieje, Robert? W co ty się wplątałeś?

- O to miasto toczy się wojna, stary. Złota wolność się skończyła. Nikt już tu nie będzie kręcił lodów na własną rękę. Ludzie z miasta biorą wszystko pod kontrolę. Jak się im uda, żaden gnojek na osiedlu nawet radia z auta nie zwinie bez pozwolenia. Żaden ćpun nie kupi działki u byle kogo, tylko u tego, u kogo mu każą.

- O czym ty w ogóle gadasz? Co ty masz z takimi ludźmi wspólnego? Kradłeś samochody czy co?

- A nie nauczyłem cię?

- Myślałem, że to tylko tak, dla jaj. I co, prochami też handlowałeś?

Kajzer nie odpowiadał.

- Nie wierzę. Ty, syn prezesa banku? Po co ci to? Przecież ty masz wszystko.

- Wszystko? - rzucił Kajzer gniewnie. - Nikt nie ma wszystkiego. A już ja na pewno.

Poza tym po prostu lubię tę zabawę.

- Ładna zabawa!

- A żebyś wiedział.

- Nie dla mnie.

- Chodzi tylko o jeden raz.

- Co takiego? W życiu!

Zajechali przed Cafe Paradis XXI, nowo otwarty lokal w samym środku Starego Miasta, niedaleko Rynku, w zaadaptowanych wnętrzach historycznego gmachu. Kajzer zwolnił, jechał teraz bardzo powoli, jakby szukając miejsca do parkowania.

- Kwatera główna - powiedział. - Przyjrzyj się. Widzisz tego łysego?

Na schodkach obok szklanych drzwi, przesłoniętych kotarą, stał na rozstawionych nogach ogolony na zero osiłek w czarnym garniturze i takiej samej koszuli. Jego sylwetka była żywą reklamą sterydów anabolicznych. Kubie ten widok od razu źle się skojarzył.

- Poznajesz? - spytał Kajzer.

- To on?

- Jeśli masz na myśli tego samego gościa co ja, to się nie mylisz.

- Wielki mi gangster. Na bramce.

- Nie wkurzaj mnie, Kuba. Po co zgrywasz głupiego cwaniaka?

Zabiłby cię jednym palcem. I mnie też, choć jestem od ciebie dwa razy silniejszy.

Łysy, nie ruszając się z miejsca, wyraźnie zaczął przyglądać się skodzie. Kajzer dodał gazu.

- Dlaczego miałby nas zabić? - spytał Kuba.

- Bo się wkurwił. Pokażę ci coś jeszcze.

Objechali dookoła Stare Miasto. Kajzer znalazł wolne miejsce przy Szczepańskiej i piechotą podeszli do Rynku.

- Chodź, postawię ci piwo i popatrzymy.

Usiedli w ogródku. Nie czekali długo. Przed Delikatesami pojawił się wychudzony narkoman z obiema rękami w gipsie, od nadgarstków aż po pachy.

- Widzisz go? On tylko nie chciał dilować dla nich kompotu. Uważał, że wciskają rozcieńczony towar, a on nie miał sumienia oszukiwać kumpli. No i teraz ma kłopot. Musi codziennie dać w żyłę, a nie może się nawet sam odlać.

- Dlaczego mi to opowiadasz?

- Bo na mnie są trochę bardziej wkurwieni. Jestem im winien przysługę. I nie wywiązałem się.

- A czego chcesz ode mnie?

- Z hondą prelude się nie udało. Ale teraz jest zamówienie na jeepa.

- Zwariowałeś? Jeśli masz na myśli tego jeepa, co ja...

- Dokładnie tego samego.

- To niemożliwe. Facet się z nim nie rozstaje. Chyba nie myślisz o napadzie? Nie świruj, Robert.

- Spoko, to ty nie rób w gacie. Masz do czynienia z fachowcem. Nie wiesz o tym? Sytuacja jest dokładnie rozpoznana. Facet godzinę temu odleciał do Mediolanu.

- Skąd wiesz?

- Bo leci razem z moim starym i innymi prezesami. Jeep stoi na płatnym parkingu.

- Nie zamknął go w garażu? Dlaczego?

- To nie nasz kłopot, Kuba. Nie rób trudności. Ty masz tylko znaleźć zapasowe kluczyki, zrobić odciski i zeskanować sygnał z pilota.

- O nie! Tego nigdy nie zrobię.

- Zrobisz, nie panikuj. Mamy na to całe dwie doby. Wracają dopiero w niedzielę wieczorem. Dorobienie kluczy zajmie parę godzin. Dostaniesz je do łapy i wyprowadzisz brykę z parkingu. Reszta cię nie obchodzi. Proste, nie?

- Nie mogę, Robert. Zrozum.

- Kuba, uratowałem ci życie. Pamiętasz?

Jacek Ładny był znowu przyjmowany w komendzie. Kampania wyborcza Justyny Barskiej nie wypełniała mu całego czasu. Starał się przynajmniej co kilka dni wygospodarować parę godzin na zbieranie materiałów do „Wściekłych małałatów”. Policja

była ważnym źródłem. Następnego dnia po debacie telewizyjnej pojechał na Mogiłską. Trochę posiedział w Izbie Dziecka, rozmawiając z wychowawcami, potem odwiedził wydział do spraw nieletnich. Gabriela Piontek sama go tam znalazła i zaciągnęła do siebie.

- Będę miała dla ciebie dobry temat. Chcesz? - spytała.

- Do wyborów jestem na urlopie - odpowiedział Ładny.

- I dobrze. Przed wyborami i tak nic nie ogłosimy. Nie zrobimy takiego prezentu lewicy. Ale zaraz potem zatrzęsie się. Powyjmujemy wszystkich krakowskich gangsterków jak karpie ze stawu przed Bożym Narodzeniem.

- To dlaczego mówisz mi o tym już teraz?

- Bo cię lubię. Poza tym jestem pod wrażeniem wczorajszego występu Justy. Muszę przyznać, że miewasz przebłycki wielkości. Więc tak zrobimy, żebyś był pierwszy, kiedy już sprawa ujrzy światło dzienne.

- Jestem wzruszony.

- Należy ci się to ode mnie. Pamiętasz, jak zrobiłam aferę o ten artykuł Kuby Mazurka, aż o mało co nie wyrzucili cię z gazety? Miałaś rację, chłopak prawdopodobnie nie konkretnego nie wiedział, kombinował na wycucie. Albo znał tylko pogłoski, krążące pośród ćpunów.

- Mimo wszystko nie sądzę, żeby Kuba obracał się na co dzień pośród ćpunów.

- Przez wakacje na pewno nie. - Pokiwała głową ze znaczącą miną, potem zorientowała się. - Och, wybacz. Wiesz, że zawsze miałam niewyparzoną gębę.

- Nie tłumacz się. W gruncie rzeczy jesteśmy trochę podobni. Ja tylko nie chciałem, żeby Kubie przytrafiło się coś złego.

- A ja chciałam? Przecież daliśmy mu spokój. Zresztą, poradziliśmy sobie bez niego. Na razie tylko do twojej wiadomości, ale mamy tych gnoi, którzy zmuszali dziewczynki do nierządu i dilowania.

- Aresztowaliście ich?

- Na razie niektórych, pod błahymi zarzutami. Są pewni siebie, próbują rządzić zza krat. Wydaje im się, że niedługo wyjdą. Ale się zdziwią!

- Co to za goście?

- Nowe pokolenie. Bezwzględne skurwysyny. Pracują dla ludzi spoza Krakowa, a w zamian chcą tutaj rządzić niepodzielnie. Najpierw wystawili nam starych krakowskich bandziorków, wiesz, Pietruczę, Bułę i ich koleśki. Wyczyścili sobie przedpole.

- Co ty opowiadasz? - zdziwił się fałszywie. - A ja czytałem, że likwidacja gangów Buły i Pietruchy to wielki sukces policjantów z krakowskiego antygangów.

- Nie tylko czytałeś, ale sam o tym pisałeś, Jacusiu. Więc nie dziw się tak. Takie jest życie, jeszcze się nie nauczyłeś?

- Uczę się od ciebie. Buła i Pietrucha zostali usunięci z drogi waszymi rękami, więc ci, co ich wydali, mogli przejąć po nich rynek. Tak było?

- Dokładnie.

- A tych nowych kto wam wystawił? Zaśmiała się.

- Nie rób takiej zgorzonej miny. Ważne, że już niedługo ich nie będzie. Taka Iwona Huber będzie mogła przestać się ukrywać. Parę innych panienek się nie wykolei.

- I co dalej? Przyjdą nowi.

- Przyjdą. Tak to się toczy. Ale zanim przyjdą, może jakiś Kuba Mazurek, albo inny podobny chłopak w głupim wieku wybije sobie z głowy głupie pomysły.

- A ci, co nie zdążą?

- Odwieczny dylemat kapitana Titanica. - Rozłożyła ręce. - Nie ma szalup dla wszystkich. Pytanie: uratować tylko niektórych, czy pozwolić, żeby wszyscy utonęli?

- Jakaś ty dzisiaj filozoficznie nastrojona, Gabi.

- Wiem, z kim rozmawiam. Jeśli już mam zostać obsmarowana, niech wypadnę choć trochę inteligentnie.

Wyszli z budynku razem, odprowadził ją na przystanek.

- Masz kontakt z tym Kubą? - spytała.

- Co parę dni. Robimy nowe pismo w Pałacu Młodzieży.

- Pod tytułem?

- „Detoksykacja”.

- O! Ambitne! A on co, odtruł się już?

- Wygląda OK.

- Może udawać. Pilnuj go. Za dużo już takich widziałam. Byłoby mi przykro, gdyby skończył jak oni.

- Wyglądasz na zmęczoną, Gabi.

- A co myślisz? Za wszystko się płaci. - Aż zaśmiała się z własnych słów. - Cholera, widzisz? Nic, tylko wygłaszam cenne myśli. Weź to zanotuj.

Pod presją Domofon z początku milczał. Dopiero kiedy Kuba nacisnął guzik po raz trzeci, długo i natarczywie, rozległ się zaspany głos Barskiej:

- Tak?

- Wpuść mnie - powiedział głucho, z ustami tuż przy kratce.

- Co ty wyprawiasz? Umawialiśmy się.

- Wpuść mnie. Muszę cię zobaczyć. Przez chwilę nie odzywała się.

- Zaczekaj. Zaraz do ciebie zejść.

- Pada deszcz - powiedział niecierpliwie i z groźbą w głosie. - Otwórz, zanim wszyscy sąsiedzi się obudzą.

Wreszcie rozległ się brzęczyk. Kuba, nie zapalając światła, wbiegł cicho po schodach. Drzwi od mieszkania Barskich były lekko uchylone. Przedpokój tonął w półmroku, rozświetlonym tylko słabym blaskiem nocnej lampki z sypialni. Barska stała oparta o framugę, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

- Nie dotrzymałeś umowy - powiedziała oschle.

Nawet w tym świetle było widać, że gablotka z kluczami nie jest zamknięta.

- Przepraszam, nie mogłem wytrzymać - odpowiedział. Nagle osunął się przed nią na kolana, oplótł ramionami jej nogi, przywierając mokrymi włosami do brzucha. Wzdrygnęła się i zeszywniała, potem zrobiła ruch, jakby chciała się uwolnić. Trzymał mocno, kurczowo. Kilka minut stała zupełnie nieruchoma, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, a on dygotał, z twarzą wciśniętą między jej uda. Wreszcie niepewnie dotknęła palcami jego głowy.

- I co ja mam z tobą zrobić, dzieciaku? - spytała, wzdychając. - Przecież ty się cały trzęsiesz. Wstań, wysusz się chociaż. Przyniosę ci ręcznik.

Puścił ją i podniósł się. Zapaliła światło w przedpokoju i znikła w korytarzyku, na którego końcu znajdowała się ścienna szafa. Teraz ruchy Kuby stały się szybkie i precyzyjne, jakby wcześniej przećwiczone. Bezsmerowo otworzył gablotkę. Zapasowe kluczyki wisiały na swoim miejscu. Jedne z literami „vw” na breloczku, drugie z firmowym znaczkiem Chryslera. Zdjął je z haczyka wraz z pilotem, przytknął gablotkę i wszedł do łazienki. Spuścił spodnie i usiadł na sedesie. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął blaszane pudełko z modeliną, bez pośpiechu i dokładnie zrobił odciski obu kluczy; od stacyjki i od blokady dźwigni biegów. Schował pudełko z powrotem. Włożył rękę do bocznej kieszeni i uruchomił skaner fal radiowych, nie wyjmując go na wierzch. Nacisnął przycisk na pilocie.

W tej samej chwili Barska otworzyła bez pukania drzwi do łazienki, ale zobaczywszy go siedzącego na muszli, podała mu tylko ręcznik i wycofała się zawstydzona.

- O, przepraszam - powiedziała. - Zrobię tymczasem herbatę.

Posiedział jeszcze chwilę, zapiał spodnie, spuścił wodę i wyszedł, wycierając włosy ręcznikiem. Barska hałasowała szklankami w kuchni. Zdjął kurtkę i powiesił na wieszaku. Równocześnie, korzystając z tej osłony, szybkim i precyzyjnym ruchem włożył kluczyki do gablotki. Wszedł do kuchni. Nigdy wcześniej nie widział Barskiej w piżamie. Jej biodra,



opięte miękko niebieską bawełną, wyglądały bardzo podniecająco. Sięgając od tyłu, złapał ją przez bluzę za piersi. Oparła się o niego bezwładnie.

- Widzisz, wcale nie można ci wierzyć - powiedziała. Poddawała się jego pieszczotom przez tkaninę, ale kiedy spróbował wsunąć dłonie pod nią, uwolniła się.

- O nie! Pamiętaj, że obiecałeś.

- Nie mogę, Justyna...

- Możesz, możesz. Usiądź. Wypijemy herbatę, pogadamy - próbowała zapanować nad sytuacją.

Posłusznie spełnił jej żądanie. Teraz wyglądał na kogoś bardzo zmęczonego, kto chce tylko odpocząć.

- Cytryna? - spytała.

- Jasne.

Wypił szybko kilka łyków bardzo gorącej herbaty, odetchnął głęboko, oparł się wygodnie i rozluźnił.

- Jak tu dobrze - zamruczał.

- Ty, a skąd ty wiedziałeś, że Waldka nie ma w domu? Chyba nie ryzykowałbyś awantury, gdybyś nie był pewny? - spytała podejrzliwie.

- Waldka?

Głos zmienił mu się w jednej chwili, był teraz rozzalony i kłótniwy.

- Przepraszam, mojego męża. No, skąd wiedziałeś? Wzruszył ramionami.

- Z telewizji.

- Chyba coś bujasz.

- Nie oglądałaś „Kroniki Krakowskiej”? Pokazywali ich na lotnisku. Jesteś żoną vipa, nie wiedziałaś o tym?

- Nie bądź złośliwy. Nie zasłużyłam sobie na to.

- Na pewno? Nie tylko jego widziałem w telewizji. Ciebie też.

- Tak? No i co? - spytała niepewnie.

- Sama wiesz. Super! Cały Kraków się w tobie zakochał. A już mój stary po prostu wlaźby do telewizora, gdyby tylko dał radę. Ale mogłabyś mi coś wyjaśnić?

- Słucham.

- Co to za ściema z tym dzieckiem?

- Dlaczego ściema?

- Kogo okłamałaś? Mnie czy ich?

- Nikogo nie okłamałam. Przecież nie powiedziałam, że jestem w ciąży. Dałam tylko

do zrozumienia, że w najbliższej przyszłości nie jest to wykluczone.

- Ach, nie jest wykluczone, tak? I to w najbliższej przyszłości? Wykluczone było tylko ze mną, tak?

- Kuba, rozmawialiśmy już o tym. Tak po prostu widocznie miało być.

- Ale tobie to odpowiada, prawda?

- Kuba, nie dręcz.

- A myślisz, że ja się nie dręcę? Cały Kraków może na ciebie patrzeć, a ja nie. Więc przynajmniej dziś tu zostanę.

- Nie!

- Dlaczego? Już tu jestem.

- Bo ja się boję.

- Czego? Przecież on nie wróci.

- Poprzednim razem wrócił, pamiętasz? Mam uraz.

- Włącz radio.

- Po co?

- Włącz. O północy na Krakowie są wiadomości.

Posłusznie nacisnęła przełącznik. Spiker Radia Kraków właśnie zaczynał czytać najnowsze informacje. Wysłuchali ich do końca, łącznie ze sportem i prognozą pogody.

- I co? - spytała.

- Gdyby samolot musiał zawrócić do Krakowa, powiedzieliby o tym. A skoro nie zawrócił ani nie spadł, to znaczy, że wylądował w Mediolanie. On dziś nie przyjdzie.

- Kuba, ja to wiem. Ale i tak się boję. To niezależne ode mnie. Proszę cię, idź do domu. Spotkamy się po wyborach, tak jak się umówiliśmy.

- Tak się umówiliśmy? - spytał z goryczą.

- A nie? Nie pamiętasz?

- Przestań kłamać. Przynajmniej nie rób mnie w konia. Nigdy nie miałaś zamiaru spotykać się ze mną po wyborach. Myślałaś, że mi do tej pory przejdzie.

- A nie przejdzie?

- Nie. Tobie przejdzie. Mnie nie. Więc przynajmniej zostanę z tobą dzisiaj. Ostatni raz.

- Ale ja nie mogę! Po prostu mam blokadę, nie rozumiesz? - Nie.

Umilkła. Chwilę zastanawiała się, przygryzając wargi. Wreszcie zdecydowała się:

- Dobrze - powiedziała łagodnie, dotykając jego dłoni palcami. - Ale nie tutaj. Weźmiemy auto i pojedziemy gdzieś.

- Dokąd?
- Dokądkolwiek. Do lasu, nad rzekę, w skały, wszystko jedno.
- Przecież ciągle pada.
- To zostaniemy w aucie.

Przemknęli cicho do garażu. W żadnym z okolicznych okien nie zapaliło się światło. Szum ulewy tłumiał nawet odgłosy silnika.

Wyjechali na autostradę, potem skręcili w kierunku Zakopanego. Prowadziła Barska. Wycieraczki pracowały na najszybszym biegu. Na dwupasmowym odcinku szosy światła nadjeżdżających z przeciwka ciężarówek nie były jeszcze zbyt dokuczliwe. Ale za Myślenicami, kiedy droga zwęziła się, ich źle ustawione reflektory sprawiały, że prawie każde wymijanie stawało się groźne. Tym bardziej, że gdzieś na asfalcie potworzyły się wielkie i głębokie kałuże.

Kuba delikatnie dotknął palcami uda Barskiej. Potem bardziej zdecydowanie. Kilka chwil później odezwała się:

- Przestań. Bo zrobię wypadek.
- No i co? Nie chciałybyś, żebyśmy zginęli teraz razem?
- Nie. Zabierz rękę. To naprawdę niebezpieczne.
- To zatrzymaj się.
- Gdzie?
- Wszystko jedno.

Kuba nie cofnął dłoni. Kilkaset metrów dalej w ostatniej chwili ukazała się z lewej strony szosy żwirowa zatoczka, otoczona drzewami. Barska zaczęła hamować zbyt gwałtownie, wpadła w poślizg, bokiem zjechała na lewą stronę, na żwirze w zatoczce golfem zarzuciło i w ostatniej chwili zatrzymał się przed drzewami na skraju skarpy, u podnóża której płynęła Raba.

- Jezu - wyszeptała. - O mało co, a by się twoje słowa sprawdziły. Wystarczyłoby, żeby coś jechało z przeciwka.

Przywarła do niego żarłocznie. Jej domowa rezerwa nagle znikła bez śladu. Deszcz monotonnie bębnił o karoserię. Kilkanaście minut później oboje osunęli się bezwładnie na siedzenia. Wzięła go za rękę.

- Widzisz, że ty pierwszy odkryłeś prawdziwy ogień w Żelaznej Dziewicy? W pewnym sensie jesteś moim pierwszym facetem.

- Wolałbym być także ostatnim.
- Ciii. - Pogłaskała go po rękę. - Nic nie mów.

Zapadli w niespokojną drzemkę, przerywaną dreszczami, bo robiło się coraz chłodniej. Wreszcie do reszty obudził ich gwałtowny hałas, głośniejszy od warkotu przejeżdżających samochodów. W pierwszej chwili nie wiedzieli, co się stało, nie do końca jeszcze oprzytomniali i oślepieni blaskiem przebijającym przez zalane deszczem szyby. Światło zgasło i teraz mogli zobaczyć więcej.

Wielki tir z przyczepą, który przed chwilą o mało ich nie staranował, wypełniał sobą niemal całą zatoczkę.

Dwaj ludzie wyskoczyli prawie równocześnie z szoferki.

Barska nie czekała dłużej.

Trzęsącą się ręką przekręciła kluczyk w stacyjce i wystartowała nerwowo wprost na szosę, bez gwarancji, że nadjeżdżający z tyłu zdążą wyhamować.

- O Boże, ale się przestraszyłam, - Lewą ręką trzymając kierownicę, prawą przycisnęła do piersi.

- Widzisz, nigdzie nie ma dla nas miejsca.

Kuba milczał ponuro.

Przejechali kilka kilometrów bez celu, w kierunku Zakopanego.

- Pojeździmy jeszcze trochę, zanim się pożegnamy, dobrze? - powiedziała.

- Widzisz, ja też nie chcę się z tobą rozstawać. Ale bądźmy dorośli.

Przed Rabką skręciła z głównej szosy i jeszcze przez trzy godziny krążyli bocznymi, krętymi drogami wśród wzgórz.

Świt wstawał spóźniony, krajobraz pod niskimi chmurami wyglądał szaro i biednie.

- Masz paszport? - spytał Kuba.

- Oczywiście. Bo?

- Ja mam swój przy sobie. Możemy pojechać gdzieś, gdzie nikt nie będzie się nas czepiał.

- Na przykład?

- Wszystko jedno.

Możemy zamieszkać w Paryżu, w Londynie, w Rzymie, gdzie chcesz. Wszędzie są tysiące Polaków i jakoś sobie radzą. Lepiej niż tu.

- Pięknie. I co będziesz robił w tym. Paryżu, Londynie czy Rzymie?

- Wszystko jedno. Cokolwiek. Mogę układać kafelki.

- A dla mnie co zaplanowałaś? Będę podcierać tyłki staruszkom?

- Znasz języki, wybijesz się.

- Po dziesięciu latach? Może...

Nadał się.

- Nie spodobało ci się.

- Kuba, przyjemnie było sobie pomarzyć, ale teraz trzeba wracać do rzeczywistości.

Muszę się jeszcze trochę przespać. Czeka mnie pracowity dzień.

Z Góry Libertowskiej ukazał się zamglony Kraków, w którym nie wygasły jeszcze wszystkie światła.

- Nie obrazisz się, jeśli wysadzę cię w Borku, przy tramwaju?

- Mógłbym cię skompromitować.

- Po co nam teraz jakiś skandal?

- Wybory...

Zatrzymała się obok pętli, w niedozwolonym miejscu, włączyła światła awaryjne i odwróciła się do niego.

- Kochany...

- Nie mów do mnie kochany.

- Dobrze, jak chcesz. Zrozum tylko, że ja teraz walczę o życie. O całą moją przyszłość.

Obejrzała się czujnie i pocałowała go lekko w usta. Wysiadł.

- A myślisz, że ja o co walczę? - spytał na głos.

Ale ona już ruszyła. Pomacał się po kieszeniach. Skaner i pudełko z odciskami kluczy były na swoich miejscach.

Ładny wpadł do redakcji, żeby skorzystać z Internetu na szybszym sprzęcie niż jego stary komputer. Naczelnicy zobaczył go w wejściu i łaskawym gestem zaprosił do gabinetu. Dawno już nie było mowy, żeby Ładny zastanowił się, czy zależy mu na tej pracy.

- Brawo - powiedział, wskazując mu krzesło. - Nawet nie przypuszczałem, że jesteś taki skuteczny. Nasza pani Barska jest już w sondażach na czwartym miejscu, zaraz za wielką trójką obecnych posłów. Aż się nie chce wierzyć.

- Widzisz? Powinienem sam wystartować i rzucić w diabły tę harówkę u ciebie.

- Musiałbyś mieć jeszcze jej argumenty. - Naczelnicy obiema dłońmi wykonał okrągły gest w okolicach kłap swej tweedowej marynarki.

- Mógłbym sobie wszczepić silikon.

- To by nic nie dało. Nie pasowałyby do reszty. Poza tym nikt by nie uwierzył, że zajdziesz w ciążę. Lepiej trzymaj się roli cichego doradcy. To w sam raz dla ciebie.

- Cierpi na tym moja potrzeba uznania.

- Ależ zostałeś uznany. Popatrz tylko.

Rozłożył płachtę gazety. Płatne ogłoszenie Barskiej zajmowało całą kolorową rozkładówkę.

- I tak codziennie, aż do ciszy wyborczej. Wiesz, ile kasy z tego zgarniemy?

- Nawet nie chcę wiedzieć. Kto za to płaci?

- Komitet wyborczy partii, oczywiście.

- Masz mnie za aż takiego durnia?

- Oficjalnie nie mogę tego kwestionować. A jeśli chcesz znać moją prywatną opinię, to między nami mówiąc, myślę, że prezes Kajzer.

- Kajzer? Przecież Progress Bank to spółka z udziałem państwa.

- Oczywiście. Wydawać państwowe mniej szkoda.

- Ale po co?

- Jak to po co? Przecież prezes Kajzer i prezes Barski to dzisiaj jedna ręka. Jakie jest najmłodniejsze hasło? Złodzieje wszystkich kolorów, łączcie się! Prezesowa Barska w Sejmie może okazać się warta wszystkich pieniędzy.

- No wiesz? - obruszył się Ładny. - Ona nigdy nie pójdzie na żadne kombinacje.

- Mogę się zgodzić, że na razie ona jeszcze o tym nie wie. Chociaż, czy ja wiem? Ktoś tu, zdaje się, chciał kiedyś napisać jakiś artykuł. I nagle okazało się, że nie ma tematu. A może ja coś pokręciłem?

- Nie miałbyś tych ogłoszeń - mruknął Ładny.

- No, nie miałbym. Więc nie robię ci wymówek.

- Mówisz to tak spokojnie?

- Mogę ci powiedzieć, cały czas prywatnie, że mnie się to też nie podoba. Ale wszystko jest zgodne z prawem. Co mogę poradzić? - Rozłożył ręce. - Nie mogę legalnej partii odmówić zamieszczenia legalnej reklamy.

- Biedaczysko.

Naczelnny pogroził mu palcem.

- Nie kęśaj ręki, która cię karmi. Ty też masz z tego dołę.

Kuba Mazurek wyskoczył z autobusu koło Plant. Wmieszał się w tłum w alejce prowadzącej w stronę Bramy Floriańskiej. Szedł szybko, ale nie mógł powstrzymać się przed rzucaniem krótkich spojrzeń na boki, i raz na jakiś czas do tyłu. Wciąż padał deszcz, ludzie przemykali pospiesznie, kryjąc się pod parasolami, nie zwracając uwagi na innych przechodniów. Tylko stare dworcowe prostytutki mokły heroicznie na ławkach wokół

okrągłego skweru, znieczulone alkoholem. I tylko one wydały się zainteresowane Kubą.

- To co, kochanie, zrobimy szybki numer? - Zdarty głos jednej z nich goił go aż do Szpitalnej.

Jeszcze mocniej nacisnął daszek czapki na czoło i złapał dłonią kołnierz kurtki pod szyją, kryjąc twarz. Pogoda jakby specjalnie mu sprzyjała, usprawiedliwiając takie zachowanie. Dwie godziny wcześniej Robert Kajzer przekazał mu dokładne polecenia. Kuba wolałby to zrobić później, w nocy, ale instrukcje były jasne. Miał zostawić samochód na parkingu koło Hita dokładnie między dziewiątą a dziewiątą dziesięć wieczorem.

Obszedł parking dokoła, wypatrując jeepa. Były dwa, oba czarne. Dość szybkim, ale spokojnym krokiem zbliżył się do pierwszego z nich. Numery się nie zgadzały. Minął go obojętnie. Podchodząc do drugiego, już nie sprawdzał rejestracji, tylko od razu nacisnął przycisk na pilocie. Jeep miauknął i zamigał światłami. Zamki odskoczyły. Kuba wsiadł do środka. Wciąż nikt nie zwracał na niego uwagi. W zamku blokady dźwigni biegów dorobiony klucz obrócił się bez problemu. Kwit parkingowy leżał za szybą. Kuba szybko porachował należność i przygotował dokładnie odliczoną sumę. Odetchnął głęboko i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zagrał.

Powoli podjechał do budki parkingowego. Młody mężczyzna w żółtym ceratowym płaszczu z kapturem wyłonił się z niej bez pośpiechu. Kuba opuścił szybę, podał strażnikowi kwit i pieniądze. Tamten przeliczył je powoli.

- Mało - powiedział.

- Słucham?

- Brakuje dziesięć złotych.

Kuba, całkowicie zaskoczony, zaczął nerwowo grzebać w kieszeniach, pod uważnym spojrzeniem parkingowego, który przyglądał mu się przez otwarte okno. Wyciągnął garść drobnych i kilka banknotów. Zrobił ruch, jakby chciał je wszystkie wcisnąć parkingowemu do ręki. Opanował się w ostatniej chwili.

- Nie, chyba jest dobrze - powiedział flegmatycznie. - Niech pan jeszcze raz sprawdzi.

Strażnik zaczął jeszcze raz liczyć pieniądze, nie śpiesząc się. Wreszcie powiedział:

- A, faktycznie, ma pan rację. Pomyliłem się.

Wolno poszedł do budki. Wreszcie szlaban podniósł się. Kuba wyjechał z parkingu i skręcił w stronę obwodnicy. Wieczorny ruch, jak każdego deszczowego dnia, był wciąż duży. Kuba co chwila spoglądał na zegarek, ale pilnował się, żeby nie przekraczać dozwolonej prędkości. Przed rondem Matecznego zobaczył za sobą policyjny radiowóz. Minęli kilka świateł. Oznakowany polonez trzymał się wciąż za nim. Kuba nie zmieniał pasa, nie

przyspieszał ani nie zwalniał. Dopiero przed wjazdem do Hita włączył kierunkowskaz i zjechał na prawy pas. Radiowóz pojechał prosto.

Na parkingu, tak jak kazał Robert, znalazł miejsce dla jeepa pomiędzy innymi samochodami. Wrzucił kluczyki do schowka, wysiadł i tylko zatrzasnął drzwi. Nie oglądając się, przeszedł przez plac najszybciej jak potrafił, by znaleźć się na ruchliwej ulicy Kamińskiego. Czekając na zmianę świateł, nie wytrzymał i kilka razy rozejrzał dokoła. W połowie przejścia rzucił się biegiem, dopadł do autobusu, który właśnie zatrzymał się na przystanku po drugiej stronie. Był ostatnim z wsiadających. Stanął z tyłu i zaczął obserwować pasażerów. Żaden z nich nawet na niego nie spojrzał.

Autobus zatrzymał się na światłach koło Nowego Kleparza, kiedy doleciały go słowa:

- Trzeba będzie zagłosować na tę laskę.

Odwrócił głowę w tamtą stronę. Mówiła to młoda kobieta, stojąca przy kasowniku w towarzystwie kilku innych podobnych jej osób. Wyglądali na studentów, jadących do centrum na imprezę.

- Co to da? - odpowiedział jeden z jej kolegów. - Wszyscy oni to jeden gang.

- Ale podobają mi się jej oczy. Coś w nich ma. - Co?

- Właśnie nie wiem.

Kuba popatrzył przez okno. Bilboard przy zakładzie karnym był jasno podświetlony. Barska patrzyła na niego wciąż tak samo. Spuścił wzrok.

Kto by się tego spodziewał?

Nigdy jeszcze nie słyszał, żeby Piontek miała tak zdenerwowany głos, jak tego dnia w telefonie.

- Jacek, rzucaj wszystko i przyjeżdżaj do komendy. Na biurze przepustek wiedzą.

- Co się stało?

- O nic nie pytaj. Niedobrze jest.

Na Mogilskiej był dwadzieścia minut później. Piontek nawet nie wpuściła go do gabinetu. Wyszła mu naprzeciw, wzięła pod ramię i poprowadziła aż na sam koniec korytarza, do wielkiego okna. Tutaj nie było nikogo.

- O co chodzi? - spytał.

- Gdzie jest Justa? W domu jej nie ma. Jej komórka milczy.

- Ma nagranie w radiu na żywo. Ale co...

- Pięknie!

Piontek wyjęła paczkę papierosów i zapaliła, nie częstując Ładnego. Popiół



strzepywała wprost na kamienny parapet. Nie ponaglał, widząc, że policjantka próbuje się opanować.

- Afera, Jacek - odezwała się wreszcie.

- Powiedz wreszcie.

- Musieliśmy zdjąć dzieciaka.

- Jakiego dzieciaka?

- Twojego Kubę, tumanie - prawie krzyknęła.

- Czy ja dobrze słyszę? Znów robicie z nim jakieś sztuczki? Podobno już mieliście innych świadków. Uciekli wam?

- Nic nie rozumiesz. Zdjęliśmy go, bo ukraść samochód. I to zgadnij, komu? Pięknemu Waldiemu.

- Gabi, upiłaś się?

- Wolałabym.

Opowiedziała mu w kilku zdaniach, co się stało. Pokręcił głową.

- Nie wierzę w to. Przyznał się?

- Nie przyznał. Ale to mu nic nie pomoże. Ma tak - przeciągnęła wskazującym palcem po gardle.

Ładny oparł się biodrami o parapet, skrzyżował ramiona na piersiach.

- Wszystko, co mówisz, jest bez sensu. Barski wyjeżdża za granicę i zostawia samochód na publicznym parkingu, zamiast w garażu?

- Twierdzi, że z pośpiechu. Nie ma powodu, żeby mu nie wierzyć.

- Jeśli Barski coś mówi, to nie ma powodu nie wierzyć? Ale jeśli mówi Kuba Mazurek, to jest powód?

- Oczywiście. Przeciw niemu mamy dowód.

- Jaki dowód? Że go rzekomo ten cieć rozpoznał?

- Nie tylko rozpoznał. Wcześniej z jego pomocą sporządziliśmy portret pamięciowy.

W przeciwnym razie nie trafilibyśmy do Mazurka.

Z papierowej teczki wyjęła kserograficzną odbitkę.

Wystarczył jeden rzut oka, by nie mieć żadnych wątpliwości, kogo przedstawia komputerowa grafika.

- Podobny?

- Podejrzanie. Jakby ten ktoś wcześniej widział zdjęcie. Nie sądzisz, że przede wszystkim powinniście zająć się tym parkingowym? Wypuszcza taką brykę ze smarkaczem za kierownicą i nawet nie zapyta o dowód rejestracyjny?

- Parkingowy nie ma takich uprawnień. Ale coś podejrzewał i tak manewrował, żeby przyjrzeć się kierowcy. Stąd zapewne tak dobrze uchwycił podobieństwo.

- A co z tym jeepem? Macie go?

Spojrzała na niego z politowaniem, wzruszając ramionami.

- Śmieszny jesteś. Jeep już na pewno na Ukrainie.

- Kuba Mazurek w międzynarodowym gangu przemytników? Trzeba mieć chorą wyobraźnię, żeby coś takiego wymyślić.

- Jacek, wiem, że to dla ciebie szok. Myślisz, że dla mnie nie? Szczeniak wszystkich zrobił w konia. Za wcześnie uznaliśmy, że nie miał nic wspólnego z tymi gnojami od małej Huber.

- Oczywiście, że nie miał. Nawet do tego nie wracaj.

- Jacek, to są fakty. Jest jedna duża grupa, która stara się opanować i narkotyki, i handel kradzionymi samochodami. Ze Wschodem prowadzą coś w rodzaju wymiany towarowej. Z dawnych sowieckich republik Azji Środkowej, a pewnie także z Afganistanu, idą do nas dragi. Heroina, hasz, marihuana, trochę efedryny. A w tamtą stronę luksusowe samochody, skradzione w Niemczech i w Polsce. Jak ten biedny smarkacz się w to wplątał, nie wiem. Ale fakt, że się wplątał. Nie zdziwiłabym się, gdyby wciągnął go młody Kajzer.

- Syn prezesa Kajzera?

- A co ty się tak dziwisz? Gnojka nawet złapaliśmy raz z kieszeniami pełnymi afgana. Żebyś go widział, jak się stawiał. Mało spotkałam w życiu tak bezczelnych gówniarzy. A jak wiesz, znam wielu różnych.

- No i co? Dlaczego nim się nie zajmiecie, tylko wciąż dręczycie Kubę?

- Bo tamten jest cwańszy. Nie dał się złapać na niczym poważnym. A hasz? Za to nic nie możemy mu zrobić. Dzięki twojej ukochanej miękkiej ustawie, której tak bronisz. Nie mówiąc już o parasolu, który rozpiną nad nim tatuś.

- Do starego też dawno powinniście się dobrać. Ale najwyraźniej i nad nim ktoś u was rozpiął parasol.

Nie wyglądała na zdziwioną.

- Dlaczego u nas? To już nie komuna, policja nie jest pierwszą władzą w państwie.

- Widzę. Jesteście mocni tylko na takich jak Kuba Mazurek. Kajzerów nie jesteście w stanie dopaść, a jakieś sukcesy przecież musicie mieć.

- To ty miałaś chłopaka pilnować. Nie upilnowałaś.

- Gabi, zrób coś - powiedział Ładny. - Przecież on nie może pójść do więzienia. Ani nawet do poprawczaka. Nie poradzi sobie.

- Ja już nic nie mogę. Nawet nie mam do niego dostępu. Obrabia go Borejko i chłopcy z antygangu.

- To właściwie po co mnie tu ściągnęłaś? Żeby mi tylko powiedzieć, że nic się nie da zrobić?

- Powinniśmy uzgodnić, co w razie czego będziemy mówić - powiedziała cicho, patrząc pod nogi.

- W razie czego?

- Mazurek na razie idzie w zaparte, ale nie wiadomo, jak długo wytrzyma. Borejko to doświadczony pies. A kiedy dzieciak się przyzna, może się okazać, że miał oryginalne kluczyki i pilota. Następne pytanie będzie brzmiało: skąd? I to będzie nasz wspólny problem, Jacek.

- To by Justynę załatwiło na amen.

- Nie tylko ją.

- Reszta zależy od tego, co wszyscy zeznamy, prawda?

- Prawda - odrzekła cicho, patrząc wciąż pod nogi. - Jacek, ja mam dwoje dzieci na głowie.

- Ale ty przecież o niczym nie wiedziałaś - powiedział.

- Dzięki, Jacek.

- W porządku. Masz to u mnie po starej przyjaźni.

Kiedy Ładny przyjechał do Radia Kraków, audycja wyborcza jeszcze trwała. Wszedł do amplifikatorni. Na szczęście program prowadziła dziennikarka, z którą był w dobrych stosunkach. Dał jej znak przez szybę, że chciałby wejść do studia, w którym siedziała razem z Barską.

Skinęła głową i pokazała realizatorowi, żeby go wpuścił.

Ten odwrócił głowę.

- Zaczekaj, zaraz puszczę reklamy, wtedy wejdiesz. Czekaj nie dłużej niż trzy minuty.

W studiu usiadł na wolnym krześle obok Barskiej.

- I jak leci? - spytał, starając się nie okazywać zdenerwowania.

Dziennikarka uniosła kciuk do góry.

- Wspaniale. Myślę, że pani jest już w Sejmie.

- O co pytają?

- Dzwonią przeważnie rodzice dzieci w wieku licealnym. Widać, że to jest duży

problem. Zaraz wchodzimy z powrotem. Chcesz zostać?

Ładny skinął głową. Nie było możliwości, żeby przekazać Barskiej dyskretnie, z czym przyszedł. Nałożył słuchawki.

Po chwili rozległ się w nich głos kolejnej słuchaczki. Kobieta przedstawiła się jako matka nastoletniej narkomanki, twierdząc, że jej córka zaczęła brać z powodu kłopotów w szkole. Potem nastąpiło wyliczanie żalów:

- To aż nie do wiary, jak okrutne stosunki panują w niektórych polskich szkołach. Wychowawczynie, kobieta, której nie powiodło się w małżeństwie, wciąż wyśmiewała i wyzywała moją córkę przy całej klasie. Nazywała ją grubą krową, debilką, mówiła, że się poci i przez to nigdy nie znajdzie sobie chłopaka. Córka, niestety, kryła się z tym wszystkim przed nami, wstydziała się. Kiedy się zorientowaliśmy, była już w nałogu. Pytałam: córeczko, coś ty zrobiła, dlaczego? A ona: Mamuś, nie mogłam tego dłużej wytrzymać. Mogłam wyskoczyć z okna albo zaćpać. Co byś wolala?

Dziennikarce z trudem udało się powstrzymać strumień wymowy kobiety. Dała znak Barskiej, żeby ta szybko coś powiedziała.

- Doskonale panią rozumiem. Proszę mi wierzyć, że będę robiła wszystko, aby takich szkół i takich nauczycieli było jak najmniej. Trzeba tak zmienić w Polsce prawo, żeby szkoła nie tylko lepiej uczyła, lepiej przygotowywała do życia w jednoczącej się Europie, ale też była bardziej przyjazna dla uczniów. A tacy... a takie osoby, bo nawet trudno ich nazwać nauczycielami czy wychowawcami, powinny chyba zacząć myśleć o zmianie zawodu. Jeśli zaś chodzi o narkomanię, musimy walczyć z nią wspólnie I rodzice, i szkoła.

Dziennikarka po raz kolejny uniosła kciuk w górę.

Realizator puścił piosenkę.

- Będziemy powoli zmierzać do końca - powiedziała dziennikarka, spoglądając na elektryczny zegar nad szybą, oddzielającą studio od amplifikatorni. - Jeszcze jeden, góra dwa telefony. O. już mamy następnego rozmówcę.

Tym razem Ładny natychmiast poczuł niepokój, choć w pierwszej chwili nie rozpoznał kobiecego głosu w słuchawkach.

- Ja też mam syna w szkole. W tej sławnej „Kuźni”, która ciągle zajmuje czołowe miejsca w rankingach. W klasie, w której wychowawczynią jest pani poseł... przepraszam, na razie jeszcze kandydatka na panią poseł.

Po takim wstępie można by się spodziewać kolejnej porcji pochwał. Z miny dziennikarki można było sądzić, że właśnie tak odebrała słowa kobiety. Ale Ładny już zorientował się, że ten głos, w którym brzmiało rozżalenie, a nawet tłumiony płacz, na leży do

Anny Mazurkowej. I nie wiedział, jak się zachować.

- Jest pani bardzo zajęta kampanią wyborczą, więc na pewno jeszcze pani nie wie... Chciałam więc... chciałam pani powiedzieć, że dziś rano mój syn został aresztowany. I pani nie umiała temu zapobiec.

Barska nagłym ruchem zakryła usta dłonią. Dziennikarka była w panice, realizator też.

W głosie Mazurkowej z każdym słowem pojawiały się coraz bardziej histeryczne nutki. Ładny zaczął dawać dziennikarce gwałtowne sygnały, wskazując na przemian na mikrofon i na siebie. Zorientowała się i wpadła Mazurkowej w słowo:

- Jest z nami w studiu pan redaktor Jacek Ładny z biura wyborczego pani Justyny Barskiej, który chyba coś wie na ten temat.

- Proszę się uspokoić - powiedział Ładny do mikrofonu, starając się wypaść jak najbardziej przekonująco. - Ja też znam pani syna, jestem w kontakcie z policją i wydaje mi się, że nastąpiło nieporozumienie...

- Mój syn jest oskarżony... o współpracę... z gangiem handlarzy narkotyków i złodziei samochodów - przerwała mu Mazurkowa łamiącym się głosem. - Jak to możliwe, że pani wychowawczyni... tak wyczulona na tym punkcie... niczego nie zauważyła?

- Jeszcze raz proszę, żeby się pani uspokoiła. Syn nie jest o nic oskarżony, a jedynie podejrzany. Policja sprawdza tylko pewne fakty. Myślę, że został wzięty za kogoś innego. Jak pani wie, syn pani działa w nowym międzyszkolnym miesięczniku, którym się opiekuję. Miał właśnie napisać reportaż o młodocianych przestępcach. Zapewne z tego powodu znalazł się w niewłaściwym miejscu. Proszę wspierać syna psychicznie i wierzyć, że wkrótce będzie w domu.

Dziennikarka dała realizatorowi znak, przecinając dłonią powietrze, jakby ścinała nią głowę. Potem sama weszła na antenę:

- Jak państwo słyszeli, nasza kandydatka z listy liberalów, pani Justyna Barska, nawet w trakcie kampanii wyborczej nie traci kontaktu ze szkołą i jej problemami. Zapraszam państwa do słuchania nas jutro o tej samej porze. Naszym następnym gościem będzie kandydat prawicy, radny Miasta Krakowa, pan Dominik Psota.

Ostatnie zdania wypowiedziała niemal na jednym oddechu. Kiedy tylko realizator dał znak, że są poza anteną, zerwała słuchawki z uszu i wykrzyknęła z rozpaczą:

- Kurwa, co ja pierdołę!

- Spokojnie - powiedział Ładny. - Było dobrze. Zapanowałaś nad sytuacją.

- Tak myślisz? - spytała z nadzieją.

- Oczywiście. Było dobrze. Było dobrze - powtarzał, zastanawiając się gorączkowo,

co robić dalej.

Barska siedziała nieruchomo, wciąż ze słuchawkami na uszach, z rękami opuszczonymi bezwładnie po obu stronach krzesła. Ładny położył jej dłoń na ramieniu i ścisnął. Ocknęła się. Zdjęła słuchawki i wstała mechanicznie, ale wyglądała, jakby za chwilę miała zemdleć. Zaniepokojony chwycił ją pod rękę.

- Opanuj się - szepnął do ucha. A głośno powiedział: - Tak się przejęłaś tym Mazurkiem? Niepotrzebnie, doprawdy. To prawie dorosły facet. Szkoła nie odpowiada za wszystko, co robią prawie dorośli ludzie. Zresztą jestem pewny, że to pomyłka.

Uśmiechnął się uspokajająco do dziennikarki, która najwyraźniej nie wiedziała, co ma o tym wszystkim sądzić, i wyprowadził Barską ze studia. Cały czas podtrzymywał ją mocno, jakby się obawiał, że za chwilę upadnie. Kiedy byli już na zewnątrz budynku, powiedział:

- Weź się w garść. Gramy dalej, prawda?

Jej spojrzenie było nieobecne, ale pokiwała głową.

- Tak, tak, oczywiście.

Młodszy inspektor Borejko wstał zdziwiony zza biurka.

- Pani profesorka tutaj? A czemuż zawdzięczamy tę wizytę?

- Niech pan się nie zgrywa, inspektorze - powiedziała Justyna Barska w jej głosie brzmiało zmęczenie.

- Oczywiście, domyślam się, co panią tu sprowadza. Słyszałem w radiu. Nawiasem mówiąc, ten Ładny to jednak profesjonalista, co? Nawet się nie spodziewałem. Wybrnął z kabały po mistrzowsku, choć przecież z radiem nie ma często do czynienia. Jednak, no cóż, powiem szczerze, w tej chwili nie jest pani w stanie w żaden sposób pomóc swojemu uczniowi. Radziłbym skoncentrować się na kampanii wyborczej, a tę sprawę nam zostawić. Trochę zaufania do policji, pani profesorko.

- Kuba jest niewinny - powiedziała.

- Jeśli to prawda, nic mu nie grozi. Nie ma się czym niepokoić.

- Proszę mnie nie zbywać. Kuba jest w areszcie i nie ma się czym niepokoić?

- Nie w areszcie, tylko w Izbie Dziecka - sprostował Borejko łagodnie. - Zapewniam panią, że to spora różnica. Ma chłopak w tym wszystkim szczęście, że się jeszcze łapie do małolatów.

- Pan mówi o szczęściu? Policjant rozłożył ręce.

- Gdyby zechciał choć trochę współpracować, mógłby poprawić swoją sytuację. Wiemy, że zna różnych osobników, którzy nas interesują. Ale on gra twardziela, którym nie

jest. I to się dla niego może przykro skończyć. Nawet obecność matki nie potrafi go zmiękczyć. To co ja mogę zrobić? Nic. Wie pani, wśród małaolatów zapanowała teraz taka moda, żeby szpanować na bandziorków, a psy... No, nie chcę się przy damie wyrażać.

- Panie inspektorze, Kuba nie jest taki...

- Na przykład ta mała Huber - Borejko zignorował jej słowa. - Gdyby nam zaufała...

- Wiadomo coś o niej? - ożywiła się Barska.

- A, prawda, przecież ta mała też była pani uczennicą. - Pokiwał głową. - No cóż, wiadomo. Znalazła się.

- Jak to, znalazła się? Wróciła do domu?

- Znalazła się w Lasach Kobiórkich, niedaleko Katowic. Półtora metra pod ziemią. W stanie daleko posuniętego rozkładu.

- Jezu!

- Pewnie nie znalazłaby się nigdy, gdyby jeden mały gnojek nie zaczął sypać kumpli, żeby ratować własny tyłek. Jej rodzice wierzyliby, że dziewczyna ukrywa się w Rajchu. No i widzi pani, gdyby uwierzyła nam do końca...

- Co znaczy do końca?

- A, bo pani nie wie. Żmijka poszła na współpracę. Ojciec przekonał ją, żeby była rozsądna. I to była bardzo mądra decyzja. Niestety, potem się jej odwidziało. Ubzdurała sobie, że w Rajchu będzie mogła ukryć się i przed nami, i przed gangiem. Głupia smarkula. Poszła do konkurentów, żeby ją przerzucili na lewym paszporcie. Sama wsiadła do auta, jak owca na rzeź. Mieli niby jechać na przejście do Cieszyna, że przez Czechy bezpieczniej. Nie wiedziała, że chłopcy grali na dwie strony i dostali dokładne instrukcje, co mają z nią zrobić. Po co gangowi był taki świadek, nawet w niemieckim burdelu? Dojechali tylko do Tychów, a potem w las. Jeszcze tylko kazali jej napisać kartkę, którą później ktoś wysłał z jakiegoś miasta w Niemczech.

- Co jej zrobili?

- Najpierw, rzecz jasna, skorzystali ostatni raz z okazji. Potem połamali ręce i nogi, żeby wiedziała, jak kończą kapusie. A potem... Na pewno chce pani znać szczegóły?

- Na pewno.

- Cóż, z protokołu sekcji zwłok, obecność ziemi w drogach oddechowych i tak dalej, wynikałoby, że została żywcem zakopana. Wody, pani profesorko?

- Tak, proszę...

Borejko bez pośpiechu sięgnął na parapet po czystą szklanę, nalał do niej kryniczanki z plastikowej butelki i podsunął Barskiej. Wypiła powoli kilka łyków, odstawiła szklanę i

powiedziała:

- Chcę złożyć oświadczenie.

- W jakiej sprawie? - Borejko uniósł brwi.

- Panie inspektorze!

- No dobrze. Słucham. Ale muszę panią uprzedzić, że cokolwiek pani powie, nie będzie miało żadnego wpływu na sytuację Mazurka. Już raz pani za niego poręczyła. Nie skorzystał z tego dobrodziejstwa, więc...

- Pan mnie nie rozumie. To znaczy, może ja się źle wyraziłam. Chcę złożyć zeznanie, czy jak to się tam nazywa. Takie do protokołu.

Wzrok Borejki był uprzejmie znudzony.

- Zna pani jakieś nieujawnione dotychczas fakty, powtarzam. fakty, mogące rzucić nowe światło na sprawę?

- Tak.

- Pani profesorko, nie powinienem tego robić, ale - Borejko nachylił się ku niej - naprawdę panią lubię i cenię. No i chciał bym panią zobaczyć na trybunie sejmowej. Więc... proszę mi najpierw powiedzieć prywatnie, co pani tam wymyśliła. Bo chłopakowi pani nic nie pomoże, a sobie może tylko narobić kłopotów. Nie mówiąc już o tym, że fałszywe zeznanie...

- Panie inspektorze, ja tego nie słyszałam - powiedziała Barska ostro, jakby odzyskując siły.

Borejko zeszywniał, podniósł słuchawkę.

- Do mnie! - rzucił.

Do gabinetu wpadł młody, przestraszony funkcjonariusz. Borejko bez słowa wskazał mu miejsce przy maszynie do pisania.

- No to proszę - powiedział.

- Nazwisko, imiona, nazwisko panińskie, imiona rodziców, data i miejsce urodzenia.

- Barska Justyna Wiktoria, z domu Wojtała, córka Romana i Zofii, urodzona jedenastego listopada tysiąc dziewięćset sześć dziesiątego czwartego roku w Krakowie.

- Jakie są pani znane fakty związane z kradzieżą samochodu jeep grand cherokee, numer rejestracyjny... - rzucił okiem do akt - będącego własnością Waldemara Barskiego?

- Kuba nie mógł ukraść tego samochodu.

Borejko znudzonym głosem podyktował protokolantowi:

- Ja twierdzę, że Jakub Mazurek nie mógł ukraść samochodu jeep grand cherokee, numer rejestracyjny... będącego własnością mojego męża Waldemara Barskiego...

Potem zwrócił się znów do Barskiej:



- I na czym opiera pani to przekonanie?

- Kuba Mazurek był wtedy ze mną.

Borejko próbował ukryć zaskoczenie.

- Wtedy, to znaczy kiedy?

- Przez całą noc, od około siódmej wieczorem do około siódmej rano.

- Ach tak. I co robiliście?

- Jeździliśmy moim samochodem.

- Całą noc?

- Tak, całą.

- Cały czas jeździliście? Dwanaście godzin?

- Nie, nie cały. W przerwach uprawialiśmy seks.

- W samochodzie - powiedział Borejko beznamyślnie.

- No tak, w samochodzie, przecież padał deszcz. Czy muszę opowiadać z wszystkimi szczegółami? - podniosła głos.

Borejko zamknął oczy.

- No nie, ja się chyba zastrzelę. Wyjdz! - krzyknął do protokolanta.

Funkcjonariusz zerwał się i wybiegł.

- Pani Justynko, na litość boską! - Borejko patrzył na Barską niemal z rozpaczą. - Dziecko! Co ty wyprawiasz? Skompromitujesz się tylko, a jemu nie pomożesz. Kto w te brednie uwierzy?

- Niech pan się lepiej zatroszczy o zabezpieczenie dowodów, panie inspektorze. I niech pana ludzie ich nie zetrą, jak to się wam czasem zdarza.

- Chce mnie pani sprowokować? O jakich dowodach pani mówi?

Sięgnęła do torebki, wyjęła kluczyki od swojego golfa i położyła na biurku Borejki.

- Mój samochód stoi na parkingu przed komendą - powiedziała spokojnie. - W nim znajdzie pan na pewno dowody. Mikroślady czy jak wy to nazywacie.

Rozpacz w oczach młodszego inspektora Borejki zastąpił pełen zawodu smutek.

- Więc to prawda? - spytał.

- Oczywiście. A gdyby panu było jeszcze za mało dowodów, proszę spytać redaktora Ładnego, który już wcześniej użyczał nam swojego mieszkania.

Borejko podparł policzek ręką i długo patrzył Barskiej w oczy. Nie odwróciła wzroku. Wreszcie spytał:

- Na pewno pani tego chce?

- Na pewno.

Odetchnął głęboko i sięgnął po kluczyki.

- Cóż, mam nadzieję, że pani wie, co robi. Podniósł słuchawkę i wrzasnął z nagłą wściekłością:

- Do mnie!

Justyna Barska i Kuba Mazurek przecięli Rynek na ukos. Szli piechotą od samej Mogiłskiej, trzymając się za ręce. Od kilku godzin nie padało i turyści znowu wylegli na ulice.

- Pożegnamy się na Plantach, dobrze? - spytała.

- Nie wstąpimy nawet na pożegnalną kawę?

- Lepiej nie.

U wylotu Grodzkiej, na drewnianej skrzynce, siedział Pacyfista z gitarą. Stanęli po drugiej stronie i słuchali, wciąż ze splecionymi dłońmi. Zauważył ich i zaśpiewał swoją piosenkę, której od lat nie chciała kupić żadna wytwórnia:

Gdy byłem w dole, że nawet szkoda słów,

Na szlaku Jezusa napotkałem znów.

Krzyknąłem: Panie, nie dręcz dłużej mnie,

Pozwól zrozumieć, błagam cię.

Spytaj człowieka, Pan rzekł, co przy tobie śpi,

Tylko w miłości, bracie, znajdziesz znak, zaufaj mi...

- Robimy zrzutkę? - spytał Kuba.

Oboje zebrali prawie sto złotych. Kuba podszedł do grajka i wrzucił pieniądze do plastikowego kubka.

- Żegnaj, Pacyfa - powiedział cicho.

Pacyfista nie odezwał się i dopiero kiedy już odchodzili, wykrzyknął na cały głos:

- Jezus niech będzie z wami!

Koło kina Wanda czekali na tramwaj. Niedługo. Objęli się jeszcze raz.

- Niech ci się powiedzie w życiu, Kuba - powiedziała.

- Tobie też, Justyna.

Poszedł Plantami w stronę Wisły. Obok Wawelu zatrzymał się. Jacyś ludzie w niebieskich kombinezonach zdierali właśnie z billboardu wyborczy plakat kandydatki liberałów. Nie miała już jednego oka i połowy ust, a z napisu zostało tylko: Justyna Barska - nadzieja...

## ***EPILOG***

Co w pieśni ma ożyć, w życiu zginąć musi (Kuba Mazurek pisze do Jacka Ładnego)

From: kubamazurek@wp. pl To: jacekladny@gk. pl. Subject: wiadomość z daleka  
Cześć Jacek, Myślałem, że się odezwiesz, co słyhać w Krakowie, ale Ty (mogę Ci jeszcze tak mówić?) musisz być chyba na mnie maksymalnie wkurzony. Jeśli tak jest, to wcale Ci się nie dziwię, po tych wszystkich przykrościach, jakie musiałeś mieć przeze mnie. Więc chciałbym tylko, żebyś wiedział, że nikomu nie chciałem sprawić kłopotu. Tę rzecz, wiesz jaką, musiałem zrobić, bo gdyby rzeczywiście zabili Roberta, to jak bym później z tym żył? Tym bardziej, że to nie żadna ściema, dla tych koleś to norma. Dowiedziałem się, że Żmijka nie żyje. Na pewno wiesz o tym więcej ode mnie. Więc chyba rozumiesz, że nie miałem ruchu?

Ekstremalnie mi szkoda tej biednej lalki, słowo. Już myślałem, że udało jej się uciec. Kiedyś, wiesz, kiedy zaczęła dawać te numery w szkole i robić chłopakom przyjemność byle gdzie, nawet w kiblu, podzielałem ich opinię, że to straszna dziwka. Potem, kiedy ją trochę poznałem, nie myślałem już o niej tak źle, a przede wszystkim zrobiło mi się jej żal, że wszystko się obróciło przeciw niej. Teraz widzę, że może ona nigdy tego nie chciała, tylko wpadła w kanał, sama nie wiedziała kiedy. Pewnego dnia szła sobie brzegiem, obsunęła jej się noga i po zawodach. Nie każdy miał tyle szczęścia, co pewien Kuba. Może o nim słyszałeś?

Jeśli chodzi o mnie, to powoli mi się układa. Życie z ojcem w Szczecinie nie jest ideałem, ale obaj się staramy. Zwłaszcza on. Aż mnie to śmieszy, bo próbuje nadrobić czas stracony, kiedy byłem małym Kubusiem. Więc zabiera mnie na wycieczki, na grzyby i tak dalej. Pływamy nawet razem na żaglówce. Żeglarze z nas obu, jakby powiedziała moja babcia, jak z koziej dupy trąba, ale on uważa, że to świetnie integruje. No więc się integrujemy. Jak chodzi o mnie, to by mi wystarczyło, żeby kupił po flaszcze piwa i integrował się ze mną w domu przy telewizorze. Ważne, że pierwszy raz odważyłem się z nim normalnie rozmawiać. Właściwie to nawet nie musiałem się odważyć. Samo poszło.

Z matką też mam stosunki poprawne, choć trochę oficjalne, odkąd zamieszkała z tym głupim Dulębą. Już mi się zdawało, że faceta zaakceptowałem, ale dobrze mówię, tylko mi się zdawało. Dalej wkurza mnie, że chce wszystkich nauczać. Napisałem kawałek sztuki o Żmijce Huber i wysłałem mu. Szkoda, żeby po dziewczynie nie został żaden ślad. Coś jej się ode mnie należy. A on mi pisze, że to za mało profilaktyczne. Ale prawdziwe, baranie! Żeby dopisał na przykład, jak lalka w końcu zrozumiała, że ojciec ją naprawdę kochał. Akurat! Jak Hitler Żydów. Mnie będzie pouczał, wielki dramaturg. Profilaktyczny. Wal się,

facet! I jak tu udawać, że moja matka dobrze wybrała?

W końcu spytałem ojca wprost, czy on jest takim niedorajdą, że sobie nie potrafi poderwać kobiety. Ucieszył się, jakby znalazł rekordowego grzyba, i wystękał, że też ma „panią swojego serca” (uwierzysz, on naprawdę tak gada, a przecież, kiedy chodził do podstawówki, Rolling Stonesi już śpiewali!). I oczywiście zaraz urządził zapoznawczą kolacyjkę. Nuda totalna. Ta „pani jego serca” wstydu nawet nie przynosi, jakaś inżynierka. Ale o czym mam nagle gadać z obcą kobietą? O wytrzymałości betonu? To już z dwojga złego wolę Dulembę. A niech to szlag trafi! Byle zdać maturę i wynoszę się byle gdzie, byle dalej od nich. Raz w roku mogę razem z nimi odśpiewać „Lulajże Jezuniu” i to wystarczy. Niech sobie żyją, jak chcą. To tyle. Nie pytam, co u Niej, bo nie wiem, czy chciałbyś odpowiedzieć. Trzymaj się.

Kuba (Jacek Ładny pisze do Kuby Mazurka)

From: jacekladny@gk. pl. To: kubamazurek@wp. pl. Subject: Reply: wiadomość z daleka Cześć Kuba, Nie odzywałem się, bo nie wiedziałem, czy tego chcesz. Po takich przejściach jedni chcą o nich w kółko gadać i utrwałać je w pamięci, drudzy przeciwnie, starają się o wszystkim zapomnieć, unikając jakichkolwiek kontaktów, które mogłyby odnawiać wspomnienia. Widzę, że zaliczasz się do tych pierwszych, co wskazywałoby, że podobnie jak ja jesteś miłośnikiem fabuł, gotowym do cierpień i wyrzeczeń, byle zdobyć ciekawą historię. Tyle że zamienianie własnego życia w źródło tematów to niebezpieczna zabawa i życie daje aż nadto przykładów, że często źle się kończy.

Stanowczo zdrowiej i bezpieczniej eksploatować cudze życiorysy, a taką możliwość, jak już trochę wiesz, daje zawód dziennikarza. Szczerze mówiąc, nie doradzam ci go. Za komuny była to psia służba, ale żyło się złudzeniami, że ma się wpływ na losy narodu, jakąś misję do wypełnienia. Jedni wierzyli, że przyczyniają się do budowy powszechnej szczęśliwości w socjalistycznym rajku. Drudzy, że swoimi wypocinami przyspieszają upadek znieawidzonego czerwonego imperium. Nawet totalni sprzedawczycy, czy to za ruble, czy za dolary, stroili miny nieugiętych szermierzy albo przynajmniej Konradów Wallenrodów. Dziś służba spsiała jeszcze bardziej, a złudzenia prysły. Jeśli czasem, z wielkim trudem, uda ci się zrobić coś dobrego, bądź przygotowany, że nie otrzymasz za to nagrody, a będziesz miał szczęście, jeśli cię nie ukarzą. Tak że jeśli możesz robić w życiu coś innego, nie zastanawiaj się. W razie gdybyś nie mógł (co podejrzewam), wysłałem maile do dwóch równych gości w Szczecinie, którzy, jeśli zechcesz, dużo Ci pomogą.

Kuba, nie mam do Ciebie żalu o nic. Sądziłem, że raczej Ty mógłbyś mieć do mnie. Prawdę mówiąc, chyba przyczyniłem się trochę do tego wielkiego zamieszania w Twoim

życiu. A przynajmniej zdawało mi się, że Ty możesz tak myśleć. Sam pytam się siebie, dlaczego tak postępowalem? Czyżby popychała mnie chęć zdobycia niezwykłej fabuły? Jeśli tak było, wierz mi, że robiłem to nieświadomie. Z premedytacją próbowałem tylko wykorzystać Cię trochę jako researchera, na co sam przystałeś. Twoim życiem, a zwłaszcza Twoimi uczuciami, nigdy nie ośmieliłbym się manipulować. Ale skoro nie masz do mnie pretensji, to pewnie sam tego chciałeś. Cóż, jak się domyślałeś, na twoim miejscu też bym chciał.

W Krakowie po wyborach, jak można się było spodziewać, niewiele się zmieniło. Wymiana sejmowej większości z pseudolewicowej na pseudoprawicową grodem Kraka nie zachwiała. Tu wciąż niezmiennie rządzi Krakówek. Z interesujących nas osób zarówno prezes Barski, jak i prezes Kajzer, pomimo zamieszania w sprawach prywatnych, nie tylko ocalili swoje cenne tyłki, ale ich pozycja jest dziś mocniejsza niż kiedykolwiek. Jestem prawie pewny, że sponsorowali nie tylko tę kampanię, o której wiemy. Obstawiali wiele koni i teraz zbierają wygrane.

Twój przyjaciel (choć myślę, że już nie?) Robert Kajzer jeszcze raz spadł na cztery łapy przy pomocy swego ojca i innych wpływowych opiekunów (myślę, że nawet w pewnej Instytucji), jakich zabrakło biednej Żmijce Huber. Stary Kajzer, podobnie jak znana nam pani Aschenbrenner, także (choć z nieco innych powodów) wypchnął synalka do szkół za granicę, usuwając go z oczu policji i tych drugich. Nic o nim nie wspominasz, więc podejrzewam, że Ci nie przysłał widokówki z dalekich krajów. I nie dziwię się.

Także sławna pani Rafaela Caban, twoja dawna dyrektorka, złapała nowy wiatr w żagle po wygraniu wyborów przez prawicę. Teraz już otwarcie wprowadza własne porządki, polegające głównie na obowiązku głoszenia przez wszystkich nauczycieli jedynie słusznych poglądów. Biedny Libertowicz z tego wszystkiego uciekł na zwolnienie chorobowe i nic nie wskazuje, żeby jeszcze miał wszystkim pokazać, jak się odgrażał. W sumie, pomijając okoliczności, chyba dobrze się stało, że odszedłeś z „Kuźni i stało się to we właściwym momencie.

Kłopoty, jakie sprawiłeś pewnym osobom, nie były aż tak wielkie (choć, oczywiście, przez życie niektórych z nich przeszedł istny huragan), jak sobie może wyobrażasz. Przede wszystkim sprawa się nie rozniosła. Może nie uwierzysz (mnie też trudno), ale duża w tym zasługa matki Twojego kolegi Kamila, pani Kot. W czasie konferencji prasowej, zwołanej przez liberałów, rozeszły się pewne plotki. Wtedy ona pierwsza powiedziała, że dziennikarze wszystkich mediów powinni zawrzeć umowę, że o plotkach ani słowa. Oczywiście, koledzy z gazet i rozgłośni, które żyją z plotek, zaczęli się krzywić. Pani Kot postawiła sprawę na ostrzu

noża: Kto się wyłamie, będzie przez wszystkich innych tępiony bez litości. I wyobraź sobie, nikt się nie odważył. Nie dziwię się, bo wyglądała jak lwica w obronie młodych. W razie czego zagryzłaby. Byłem po prostu w szoku, w ogóle nie rozumiałem co się jej stało. Poszedłem jej podziękować, a ona mówi:

- Nie dziękuj. To nie ma nic wspólnego z tobą. Baba mi po prostu zaimponowała.

Przy okazji wydało się, dlaczego Kamil w ostatnim czasie traktował Cię tak wrogo. Po prostu od pierwszej klasy kochał się potajemnie i nieszczęśliwie w znanej nam osobie. I to, zdaje się, także bardzo niepokoiło jego mamę, niezależnie od sympatii, jaką żywiła dla prezesa Barskiego. No i kiedy okazało się, że wiadoma osoba była rzeczywiście zainteresowana uczniem, ale całkiem innym, w pani Kot rozbiła się bania ze szlachetnością. Ale to są może tylko złośliwości starego sceptyka i cynika. Może pani Kot poczuła się naprawdę solidarna z tą osobą. Kto ją wie?

Ach, do diabła! Dlaczego nie piszę po prostu Justyna? Od tej chwili już tylko tak będę ją nazywał. Nie chciałeś o Nią zapytać. Wiedziałeś, że od pewnego czasu mieszka ze mną? Chyba jednak nie wiedziałeś. Mało kto wie. Świadomie nie napisałem „żyjemy razem”, bo nie wiem, czy naprawdę tak jest. Za wcześnie o tym mówić. To prawda, mieszkamy w jednym mieszkaniu. I śpimy w jednym łóżku, trzeba to powiedzieć. Ale czy naprawdę jesteśmy razem? Czas pokaże. Albo i nie pokaże.

Nie wiem, czy Justyna w ogóle zamieszkałaby ze mną, gdyby lepiej ułożyły się jej stosunki z rodzicami. Też się starali (jak Ty z Twoim ojcem), tylko że wyszło im to dużo gorzej. Stary Wojtala robił nadludzkie wysiłki, żeby zaakceptować córkę z wszystkimi jej „grzechami”, ale podobnie jak w przypadku jej brata nie pozwoliła mu na to profesorska ciasnota umysłowa, żeby nazwać rzecz po imieniu. On, który za komuny nadstawiał pierś do odznaczeń (prywatnie odgrywał Katona, ale Order Budowniczych Polski Ludowej jednak przyjął), nadal chce być wyrocznią moralną, nawet w sprawach, które go przerastają. W jego życiu kobiety były przecież głównie gosposiami. Więc niby wspaniałomyślnie przyjął córkę pod dach, ale traktował jak psychicznie chorą, chował przed ludźmi, a już zwłaszcza dbał, żeby nie pokazywała się na licznych hecach jubileuszowych ku jego czci.

Justyna i bez tego źle znosiła ciężę (Poczułeś się zaskoczony? To tak, jak wcześniej ja, bo mnie też wmawiała, że nie zaszła). Zachowanie rodziców tylko sprawę pogorszyło i biedaczka wpadła w depresję. Chociaż ta jej próba samobójcza... Podcięła sobie żyły płytko i wiedząc, że matka zaraz wejdzie do łazienki. Ty powiedziałbyś: zwykła ściema. Psychiatra nazwał to sygnałem. Rozmawiałem z nim długo i powiedział mi coś, na co sam bym nie wpadł:

- Niech pan zwróci uwagę, redaktorze, na sposób, w jaki targnęła się na życie. Ostatnio rzadko spotykam się z podcięciem żył. To jakby wyszło z mody. Dziewięć kobiet na dziesięć na jej miejscu sięgnęłoby po środki nasenne, lub coś podobnego. Jej prawdziwy zamiar jest wyraźny. Sądzę, że nie użyła trucizny, żeby nie uszkodzić płodu. Myślała bardzo przytomnie. Nie chciała zaszkodzić dziecku.

Ale pan profesor Wojtala tak odczytał ten sygnał, że wsadził ją do Kobierzyna. Zresztą, do spółki z pięknym Waldim, który próbował wykorzystywać pozycję, jaką wciąż zapewnia mu kontrakt małżeński. Wyobrażam sobie, że mogła go zalać nagła krew, kiedy nagle wszystkie kalkulacje związane z perspektywą posiadania żony w Sejmie pękły jak przekłuty balon. Stary Wojtala jest już tak skołowany tym wszystkim, że mógł nawet uwierzyć Waldiemu, że to będzie dla Justyny najlepsze. Bo jak inaczej wytłumaczyć, że na własne życzenie traci już drugie dziecko, które przecież mimo wszystko kocha?

Więc nie mogłem już dłużej udawać, że to nie moja sprawa. Kto miał na jej sygnał odpowiedzieć, jeśli nie ja? Choć gdybym twierdził, że tylko na to czekałem, skłamałbym. Sam nie umiałem sobie odpowiedzieć, co aktualnie czułem do Justyny. Wcześniej przespaliśmy się tylko raz. Była w dołku po rozstaniu z Tobą. Przyjechała do mnie omówić jakiś szczegół kampanii i potem nie miała ochoty wracać do domu. Męża, jak się domyślasz, znów nie było. Może nie chciała leżeć sama w pustym mieszkaniu i rozpamiętywać. Nie myśl, że wykorzystałem sytuację. Wcale nie miałem zamiaru. Tak jakoś wyszło. Oddałem jej tapczan, sam poszedłem spać na podłogę, na dmuchany materac. Nawet trudno mi powiedzieć, kto pierwszy dał znak. A potem wcale nie było świetnie. Ja zrobiłem to bardziej dla zasady, że jeśli już miałem zostać zastrzelony przez Barskiego, to niech bym choć wiedział, za co.

Jasne, że się zgrywam. Potem żadne z nas nie miało ochoty na powtórkę, aż do tego niby samobójstwa. Ja w każdym razie czułem się nie za dobrze. Ten skurwysyn Barski miał dużo racji, kiedy naubliżał mi w szpitalu. Bo trzeba Ci wiedzieć, że wpadliśmy na siebie niemal przy jej łóżku. On miał do niej dostęp oficjalnie, jako mąż. Choć nie wiem po co, chyba żeby ją dobić. Ale widzisz, tak właśnie w tym kraju jest, że najgorszy mąż ma większe prawa niż najlepszy przyjaciel. Ja po prostu przedarłem się przez kordony. No co? Z panem redaktorem też się liczą, nawet w szpitalu dla wariatów. Ten świr, jak mnie zobaczył, popełnił błąd, bo chciał pokazywać władzę. Szlag go trafił, kiedy lekarz oznajmił:

- Pacjentka chce widzieć tylko pana Ładnego.

Cały się napiął i wykrzyknął:

- A ten facet co tu robi?

Od razu miał lekarza przeciw sobie, więc ja się ośmieliłem pograć mu na nerwach:

- Co, panie prezesie, to może mnie pan wreszcie zastrzeli z tego wielkiego gnata, którego pan trzyma w spodniach?

Lekarz z początku rozumiał to niewłaściwie i już się szykował, żeby opieprzyć mnie, zamiast jego, ale przyjrzał się jego kurtce na brzuchu i aż mu się oczy zrobiły okrągłe.

- Wniósł pan broń do szpitala?

No więc tak wyszło, że to prezes musiał się wynosić. Ale jeszcze na odchodnym odgryzł się:

- Nie. Nie zastrzelę cię, pismaku. Jeśli lubisz wylizywać resztki po innych facetach, to nie będę ci przeszkadzał.

I muszę Ci powiedzieć, Kuba, że to jest naprawdę problem. Udaję, przed nią i przed sobą, że nie jest, ale czy kiedyś uda się nam w to uwierzyć, nie wiem. Możesz sobie powtarzać tysiąc razy na dzień, że taki Barski ze swoimi poglądami to dno, męski szowinista i co tam chcesz. W środku i tak będzie cię to dręczyć. Więc wciąż nie umiem odpowiedzieć, jak to się zakończy. Na pewno nie zostawię jej samej, jeśli Barski znów spróbuje coś jej zrobić. Na razie udaje, że odpuścił. Ale ja mu nie wierzę. Tacy jak on nie rezygnują tak łatwo. Przecież Justyna (w jego pojęciu) wciąż jest własnością, do której daje mu prawo święty kontrakt małżeński. Nie szkodzi, że ta własność jest popsuta i już właściwie do jego celów nieprzydatna. Czuję, że i tak kiedyś się o nią w jakiś sposób upomni i wtedy trzeba będzie stawić mu czoło. Ale to sprawa przyszłości.

Na razie po prostu muszę się nią opiekować, żeby znowu nie wpadła w dół. Psychicznie nie jest źle. Zajął się przekładami z angielskiego i nawet skończyła już tłumaczyć jedną książkę, która wkrótce ma się ukazać w wydawnictwie Beaty Aschenbrenner. Jednak fizycznie jej stan wciąż bardzo ją męczy, jej żołądek mało co przyjmuje i zostałem mistrzem świata w gotowaniu kaszki manny na wodzie. Może kiedy się dziecko urodzi, coś się wyjaśni. A może nie.

Żegnaj, Kuba. Podążaj Twoją ścieżką, twórz Twoją własną fabułę. Ale pamiętaj o nas, tak jak my o Tobie.

Jacek Ten e-mail nigdy nie został wysłany. Jacek Ładny jeszcze raz przeczytał uważnie cały tekst, zastanawiał się przez chwilę, a potem nacisnął „delete”. Komputer zapytał:

Czy na pewno chcesz nieodwracalnie usunąć ten dokument i całą jego zawartość?

- Przepraszam, Kuba - powiedział Ładny na głos. - Chyba tak będzie lepiej.

Kliknął „OK”. Tekst zniknął z ekranu.